



**LOTTE I SØREN
HAMMER**

**DZIEWCZYNA
Z PRZEKŁĘTEGO BAGNA**

PRZEKŁAD JUSTYNA HABER-BIAŁY

**LOTTE I SØREN
HAMMER**
**DZIEWCZYNA
Z PRZEKŁĘTEGO BAGNA**

PRZEKŁAD JUSTYNA HABER-BIAŁY



Tytuł oryginału: Pigen i Satans mose
Przekład z języka duńskiego: Justyna Haber-Biały
Copyright © Lotte Hammer Jakobsen, Søren Hammer Jacobsen, 2023
This edition: © Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S,
Copenhagen 2023
Projekt graficzny okładki: Marcin Słociński
Redakcja: Maria Zając
Korekta: Justyna Kukian

ISBN 978-87-0235-155-2

Konwersja i produkcja e-booka: www.monikaimarcin.com
Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe.

Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S
Klareboderne 3 | DK-1115 Copenhagen K
www.gyldendal.dk
691962519
www.wordaudio.se

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)

[Rozdział 59](#)

[Rozdział 60](#)

[Rozdział 61](#)

[Rozdział 62](#)

[Rozdział 63](#)

[Rozdział 64](#)

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)

[Rozdział 68](#)

[Rozdział 69](#)

[Rozdział 70](#)

[Rozdział 71](#)

[Rozdział 72](#)

[Rozdział 73](#)
[Rozdział 74](#)
[Rozdział 75](#)
[Rozdział 76](#)
[Rozdział 77](#)
[Rozdział 78](#)
[Rozdział 79](#)
[Rozdział 80](#)
[Rozdział 81](#)
[Rozdział 82](#)
[Rozdział 83](#)
[Rozdział 84](#)
[Rozdział 85](#)
[Rozdział 86](#)
[Rozdział 87](#)
[Rozdział 88](#)
[Rozdział 89](#)
[Rozdział 90](#)
[Rozdział 91](#)
[Rozdział 92](#)
[Rozdział 93](#)
[Rozdział 94](#)
[Rozdział 95](#)
[Rozdział 96](#)
[Rozdział 97](#)
[Rozdział 98](#)
[Rozdział 99](#)

Rozdział 1

Pierwszy prawdziwie wiosenny deszcz spadł w tym roku w połowie marca. Nad krajem wzeszło ciepłe, jasne słońce. Odbijało się w porannych kałużach, kusząc najodważniejsze zawilce ukryte w leśnej ściółce, i spłoszyło skowronka, który świergocząc, wzbił się ponad skoszonym polem. Zajrzało nawet do wnętrza domów i zirykowało dzieci, bo przeszkodziło im we wpatrywaniu się w monitory komputerów.

Czarne audi R8 mknęło wiejską drogą wiodącą pomiędzy Lillerød i Lynge. Odprowadzane zazdrosnymi spojrzeniami, w pełnym słońcu bez problemu przebijało się przez ruch uliczny, zatrzymując się wyłącznie przy znaku stopu oraz przed przejściem dla pieszych. Potem przed samochodem, jak okiem sięgnąć, rozciągała się już tylko pusta droga. Kierowca lekko przycisnął pedał gazu, a chwilę później użył większej siły. Delektował się tym, jak pojazd niemal przywiera do jezdni, ze świstem przemierzając kolejne kilometry, i w swojej młodzieńczej zuchwałości po raz kolejny odrobinę przyspieszył.

- Jedź ostrożnie.

Henrik Krag zerknął z ukosa w stronę pasażera, rozpartego na fotelu z na wpół przymkniętymi powiekami. Mogłoby się wydawać, że przysypia, ale to było mylne wrażenie. Z nim to nigdy nic nie wiadomo. Mężczyzna niekiedy sprawiał wrażenie rozkojarzonego, prawie bez kontaktu, chociaż od tygodnia niczego nie pił. Innym razem potrafił reagować szybko i z bystrością, chociaż w jego wydatnym brzuchu chlupotało przynajmniej z dziesięć sporych łyków z piersiówki, którą zawsze miał przy sobie. Nazywał się Jan Podowski, a Krag nie potrafił go rozgryźć, nawet nie umiał się zdecydować, czy go lubi, chociaż pracowali ze sobą od niemal dwóch miesięcy.

- Przecież mam wolny pas.

- Wolny pas to prosta droga do punktów karnych. W najlepszym wypadku. A poza tym to nie jest temat do dyskusji.

Podowski mówił spokojnym, pozbawionym irytacji, niemal uprzejmym głosem. Zresztą nie musiał zmieniać tonu, bo hierarchia między dwoma mężczyznami była od dawna ustalona, a Krag przyjmował polecenia bez sprzeciwu. Był młodym mężczyzną, miał dwadzieścia parę lat, jasne, lekko kręcone włosy, niebieskie, wzbudzające zaufanie oczy, silne kończyny i zababraną kartotekę. Miał również niezłomną wolę, aby dobrze wykonywać swoją pracę, uczyć się od starszego partnera i przynajmniej tym razem pokazać, na co go stać. Gdyby ktoś go spytał, jak mu idzie, pewnie odpowiedziałby, że jak do tej pory całkiem niezłe. Ale jak dotąd nikt nie był tego ciekawy.

- Niezła fura. Jak długo będziemy się nią wozić? - zagadnął.

- Aż nasza wróci od mechanika.

- A kiedy to będzie?

- We wtorek, może w środę albo kilka dni później - odparł beznamyślnie starszy mężczyzna.

- Mam nadzieję.

Przez chwilę jechali w milczeniu, a potem Krag wrócił do tematu:

- Ile tak w ogóle kosztuje takie audi?

- Z pewnością więcej, niż zarobisz przez całe swoje życie, więc już teraz możesz sobie darować to marzenie.

- Ależ dlaczego? Pozwól mu marzyć, Pawiu Pojanski - wtrącił z tylnego siedzenia ktoś, kto wyraźnie usiłował zakpić z polskiego nazwiska Podowskiego. - Marzenia są potrzebne, bo motywują ludzi do działania. Ty pewnie sam masz jakieś małe nierealistyczne marzenia, na przykład, żeby pożyczyć parę lat dłużej. - Właścicielka głosu zaśmiała się perliście.

Podowski pochylił głowę do przodu i powiedział:

- Benedikte, nie życzę sobie, żebyś zwracała się do mnie w ten sposób. Dobrze wiesz, jak się nazywam.

Ponownie wybuchnęła śmiechem, na twarzy Kraga też pojawił się uśmiech, nieco wbrew jego woli, bo wolałby okazać wsparcie partnerowi. Przekrzywił lusterko wsteczne i ukradkiem zerknął na kobietę, która wsparła jego marzenia. Tymczasem znów zapadła cisza.

Benedikte Lerche-Larsen wyglądała uroczo, miała w sobie coś świeżego i bezpośredniego. Krag ocenił, że jest w tym samym wieku co on, albo nawet ciut od niego młodsza. Rudowłosa, z wyraźnie i ładnie

zarysowanymi kośćmi policzkowymi, które w połączeniu z regularnymi rysami nadawały jej twarzy pogodny, radosny i beztroski wyraz, jakby za chwilę miała posłać komuś swój rozbrajający uśmiech.

Zauważyła, że przygląda jej się w lusterku, i uśmiechnęła się przebiegle, kiwając głową w przód i w tył i nie spuszczać z niego wzroku. Krag śledził ten ruch i nie był w stanie się od niego oderwać, chociaż chętnie by to zrobił. Chyba.

- Przestań się tak na mnie gapić. Za kogo ty się w ogóle uważasz? - zaatakowała go nagle Benedikte.

- Przepraszam.

- No to posłuchaj, powiem ci, ile kosztują samochody mojego ojca. Ma trzy, a ten jest z nich najtańszy. Kosztuje mniej więcej tyle co dwadzieścia pięć dziwek, pod warunkiem że zachce im się pracować. I właśnie tutaj do gry wkraczasz ty, mój ty patykowaty przyjacielu, bo niektóre z nich wolą płaszczyć tyłki i się lenić, zamiast pilnować roboty. - Skinęła głową w stronę kolejnej pasażerki pojazdu. - Tak, o tobie mówię, kobieto. Sprowadziliśmy cię tutaj z daleka na łono cywilizacji, a ty nagle odmawiasz wywiązania się ze swojej części umowy. Ale z moją rodziną nie można sobie pogrywać i gwarantuję ci, że za chwilę zaczniesz śpiewać inaczej.

Transportowana dziewczyna również należała do ładnych, chociaż nie dało się o niej tego powiedzieć w tym momencie. Trudno było ocenić, ile ma lat, ale jej strach był oczywisty. Wciśnięta w tylne siedzenie, jak najdalej od Lerche-Larsen, teraz, gdy była o niej mowa, odsunęła się o kolejne parę centymetrów, mimo że nie rozumiała większości słów. Nikt poza nią samą nie znał jej prawdziwego imienia, ale tutaj, w Danii, mówiono na nią Jessica. Wszystkie kobiety z jej transportu otrzymały imiona zaczynające się na „j” - tak było łatwiej.

Krag zerknął przez ramię w jej stronę. Gdy odbierali ją godzinę temu, płakała i teraz znów zaczęła.

Lerche-Larsen przez chwilę przyglądała się dziewczynie, aż w końcu straciła nią zainteresowanie, a potem pochyliła się do przodu między fotelami.

- Mówiłeś mu, co się wydarzy? - spytała Podowskiego.

- Przecież nietrudno zgadnąć - odparł opieszale.

- Nie wspomniałeś nawet, że to już drugi raz?

- Nie.

Odwróciła się do Kraga.

- No, no, no, zaczyna się robić interesująco. Henriku, to twój pierwszy raz, ale tej beksy już drugi, więc nie masz pojęcia, co się szykuje. To będzie prawdziwy chrzest bojowy.

Krag nic nie odpowiedział. Zresztą co można było na to rzec? Co by nie powiedział, i tak pokonałaby go tymi swoimi elokwentnymi złośliwościami, nie wspominając już o tym, że mogła się czuć praktycznie nietykalna.

- Jak się nazywała ta ostatnia, która musiała zaliczyć drugą rundę, zanim pojęła, po co ją importowali? Nie, Janie, poczekaj, nic nie mów, sama sobie przypomnę. Daj mi chwilę... Isabella, miała na imię Isabella, prawda, Janie?

- Owszem.

- Ha, ha, wiedziałam, że zapamiętam. Henriku, posłuchaj teraz uważnie, co Jan z nią zrobił. Użył kabli rozruchowych ze swojego samochodu. Jeden koniec zamocował na jej języku, a drugi... no tak, chyba się domyślasz gdzie. Mówię ci, kwiczała jak świnia i to już długo przed tym, zanim została podłączona do prądu.

Audi nieznacznie skręciło w stronę przeciwnego pasa, niezbyt mocno, ale wystarczająco, aby zdradzić, że Krag nie jest zachwycony obrazem, który próbują mu wbić do głowy. Lerche-Larsen delectowała się wywołanym wrażeniem i wyciągnęła dłoń do przodu, owijając sobie pasmo włosów Kaga wokół palca.

- No, bez przesady, chyba nie tak trudno było się tego domyślić. Jednak nie odbyło się to tak, jak ci się wydaje, słodziaku, bo ten numer by nie przeszedł. Nie możemy przecież uszkodzić towaru, bo wtedy już nikt nie miałby ochoty go kupić...

- Benedikte, jeżeli masz przy sobie kokę, to należy ją teraz wyrzucić przez okno - przerwał jej Podowski.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że ten twój złoty zabytkowy drobiazg w torebce musi pozostać niezauważony podczas przeszukania, jeżeli do niego dojdzie. Chyba że masz ochotę na wycieczkę do komendy policji w Hillerød.

Teraz Krag również zauważył policjantów i zwolnił, szarpiąc przy tym głową do przodu, żeby uwolnić włosy z jej palca. Paręset metrów

dalej widać było garstkę samochodów zepchniętych na pobocze, a pośrodku drogi stał funkcjonariusz z patrolu motocyklowego. Rzucił się w oczy w tej swojej żółtej kamizelce z białymi paskami odbłaskowymi. Lerche-Larsen wyciągnęła szyję. Gdy się zorientowała, o co chodzi, zapytała nieco niepewnym głosem:

- Janie, co tam się dzieje?

- Nie mam pojęcia. Kontrola prędkości, badanie alkomatem, paragraf dwadzieścia dwa? Skąd mam wiedzieć?

- Czy to ma coś wspólnego z nami?

- Na ten moment nie, ale może mieć, jeżeli nie wykażesz się odrobiną sprytu.

Lerche-Larsen sięgnęła do torebki i wyłowiła z niej pięknie grawerowane złote etui, ale zamiast wyrzucić jego zawartość przez okno, podała je Kragowi.

- Schowaj to - poleciła oschle.

Ten spojrzawszy pytającym wzrokiem na Podowskiego. Starszy mężczyzna z rezygnacją wzruszył ramionami, a wtedy Krag wetknął etui do kieszeni.

- A co z Jessicą? Co, jeżeli będzie próbowała się stąd wydostać? - zapytał.

- Dlaczego miałyby to robić?

- To przecież policja, chodzi o to, że... pomagają ludziom i te sprawy.

- To tak nie działa.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli to, że system tak nie działa. Jeżeli pójdzie z glinami, zostanie odesłana z powrotem do Nigerii, a w jej ojczyźnie żyją ludzie, których boi się znacznie bardziej od nas.

- A ona o tym wie?

- Gwarantuję ci, że wie. One wszystkie doskonale o tym wiedzą.

Podowski miał rację. Afrykanka nie wykorzystała okazji, żeby poszukać pomocy u policji, natomiast zaczęła drzeć i coś mamrotać, jak tylko samochód skręcił z głównej drogi i ruszył leśną ścieżką. Krag umiejętnie omijał największe dziury i wkrótce skręcili ponownie, kierując się śladami kół pozostawionymi w ciężkiej glinie przez inne pojazdy, jeżdżące tędy od dziesięcioleci. Ciemnozielone drzewa iglaste odcięły ich od promieni słońca, gdy - żeby oszczędzić podwozie -

toczyli się wolno po długim zakręcie, aż dotarli do niewielkiej polany, gdzie w najodleglejszym zakątku stała skromna drewniana chata.

Jak tylko samochód się zatrzymał, wysiadła z niego Lerche-Larsen i bez słowa wyjaśnienia ruszyła biegiem, kierując się śladami opon prowadzącymi w głąb lasu. Mężczyźni pozostali w samochodzie. Podowski upił spory łyk z piersiówki.

- Dokąd ona poszła? - zapytał Krag.

- Chyba się wysikać.

- Dlaczego jest tu z nami? Sądziłem, że będziemy tylko my.

- Nie myśl o niej, skup się na pracy, za którą dostajesz wynagrodzenie.

Krag potaknął na znak, że rozumie.

- Czy to prawda, co mówiła o tej Isabelli? - zapytał mimo to.

- Tylko częściowo, przesadzała, ale nie denerwuj się, tej metody już nie stosujemy. Kontrolowanie tego wszystkiego było za trudne, a poza tym później nie mogłem odpalić samochodu.

- W takim razie jakie metody teraz stosujemy?

Bardzo mu zależało, żeby pytanie zabrzmiało, jakby rzucił je od niechcienia, jakby użycie tej czy innej tortury nie miało dla niego znaczenia. Niezbyt mu się udało. Starszy mężczyzna wyczuł jego zdenerwowanie.

- Uspokój się, jakoś to będzie, w rzeczywistości nie jest tak źle. Chodź, rozprostujemy trochę nogi, przyda nam się - odparł powściągliwie.

Wysiedli z samochodu i stanęli po jego przeciwnych stronach. Krag zauważył, że jego partner sapie przy najmniejszym wysiłku jeszcze bardziej niż zwykle. Gdy Podowski wreszcie złapał oddech, znów zaczęli ze sobą rozmawiać, a ich słowa niosły się nad dachem audi.

- Nie ma powodu ukrywać, że to najgorsza część naszej pracy, ale po pierwsze, nie zdarza się zbyt często, najwyżej kilka, może trzy razy w roku, a po drugie, z czasem ta robota staje się łatwiejsza. Pierwszy raz jest zdecydowanie najtrudniejszy.

Krag skinął głową ze zrozumieniem i pomyślał, że to marne pocieszenie.

- Posłuchaj, przecież kiedy je przejmujemy, mają co najmniej dwumiesięczne doświadczenie w pracy w burdelu. I to jest właśnie

odpowiedni moment, by wybić im z głowy najgorsze fochy. Poza tym te nieliczne, które musimy od czasu do czasu postawić do pionu, niemal zawsze wyciągają wnioski po paru klapsach czy kilku pogrózkach. Rzadko się zdarza, żebyśmy musieli uciekać się do czegoś większego. Poza tym to ich ostatnia szansa. Jeżeli dzisiejsza lekcja nie pomoże, odeślemy ją z powrotem.

- Dlaczego?

- Bo przemoc kłóci się z koncepcją tego interesu, zdecydowana większość naszych partnerów biznesowych nie przepada za tego rodzaju praktykami.

- A co ona właściwie zrobiła?

- Chodzi raczej o to, czego nie zrobiła. Leży pod swoimi klientami jak kłoda. Było na nią wiele skarg, musieliśmy zwrócić koszty siedmiu spotkań, a może ośmiu, nie pamiętam dokładnie. Coś się zepsuło, bo do tej pory pracowała bez zarzutu, ale nikt nie wie, co się stało.

- A ona coś na ten temat powiedziała?

- Nic albo raczej nic, co miałyby jakiś sens.

W głowie Kraga błysnęło światełko nadziei. Pomyślał, że może lepiej porozmawiać z dziewczyną i po prostu spróbować jej przemówić do rozsądku. Gdy to zaproponował, Podowski odparł:

- Może to i niezły pomysł. Ale zdecydujemy wieczorem.

- Ma wieczorem klienta?

- Oczywiście. Poza tym pamiętaj, że gdy robi się mroźno, dobrze jest związać dziewczyny i pozostawić je na zewnątrz na jakieś pół godziny. To naprawdę proste i nadzwyczaj efektywne. Sprawdziłem to trzykrotnie i potem wszystkie pracowały bez zarzutu, nawet gdy przyszło lato.

Zaśmiał się, jakby właśnie opowiedział jakiś dowcip, a Krag mu zawtórował.

- Aha, panienska już wraca ze swojego spaceru. Ty zajmiesz się dostarczeniem Jessiki do domku, a ja go w tym czasie otworzę i wyjmę z samochodu nasze rzeczy.

Krag się obrócił i spostrzegł, że Lerche-Larsen rzeczywiście zmierza w stronę samochodu. Nadszedł czas, aby zająć się robotą.

Chatka była wykorzystywana podczas polowań i nie rzucała się w oczy. Zbudowano ją z ciężkich bali, a w obu dłuższych ścianach

osadzono okna szprosowe, które teraz były nieźle zakurzone. W jednym końcu pomieszczenia ustawiono dwie prycze, na których leżały pokrywane się kurzem materace piankowe, a w drugim stał czarny, matowy żeliwny piec, od którego w stronę dachu odchodziła długa rura do odprowadzania spalin. Umebłowanie należało do oszczędnych – ciężkie drewniane meble ustawiono wokół długiego stołu, przymocowanego na stałe do podłogi. W pomieszczeniu znalazła się jeszcze poźółkła rycina przedstawiająca myśliwego z psem. Ściany udekorowano różnymi typami jelenich poroży i czaszek, a spoglądanie na puste oczodoły sprawiało, że człowiek czuł się nieswojo. Powietrze było ciężkie i zatęchłe. Krag zmarszczył nos – woń puszkowego piwa, nikotyny i niewymienianego od lat tłuszczu, którego używano do smażenia na tym prymitywnym tarasowym grillu, konkurowała ze zwykłą stęchlizną i wilgocią. Przez moment mężczyzna chciał otworzyć okno, ale na myśleniu się skończyło.

Związali dziewczynę liną, przewieszoną wcześniej nad jętką. Afrykanka była naga i stała wygięta ze zwieszoną głową. Podowski umiejętnie skrępował jej dłonie, ściągnął je powyżej kolan, a następnie precyzyjnie grubym kijem pod związanymi nadgarstkami i kolanami ofiary.

Potem podniósł ją na wysokość około metra, a drugi koniec liny obwiązał wokół pieca i zrobił luźny węzeł. Dziewczyna zaczęła zawodzić, a właściwie to kwilić, chociaż jeszcze niezbyt głośno. Jej kręcone włosy zwisały w stronę podłogi niczym czarna przędza, podczas gdy ona sama wywracała oczami tak, że było widać tylko białka. Krag pomyślał, że to wszystko nie jest w porządku, i uciekł wzrokiem od tego widoku do czasu, aż Podowski wręczył mu pałkę. Była misternie wpleciona z kabla elektrycznego i sprawiała wrażenie ciężkiej, a jednocześnie elastycznej. Krag ponownie spojrzał na dziewczynę. Jedna z gumek w jej włosach niemal się zsunęła, zatrzymując na końcu pasemka, i przypominała teraz jakiegoś owada, który próbuje się schować.

- Będziesz uderzał powyżej ud, po siedzeniu... Tak, to znaczy po dupie, a potem po plecach i ramionach. Uważaj, żeby nie uszkodzić jej nerek, szyi i organów płciowych.

Podowski z pedagogicznym zacięciem, nie dotykając dziewczyny, wskazywał kolejne miejsca, a Krag mu przytakiwał.

- Ile razy mam uderzyć? - zapytał.

- Dopóki nie powiem stop.
- A jak mocno?
- Z całej siły.

Krag nie miał więcej pytań i nie dało się już tego odwlec. Ponownie zważył pałkę w dłoni, a potem zadał dziewczynie mocny, ale kontrolowany cios w plecy. Uderzeniu towarzyszył rozpaczliwy ryk, a ofiara wiła się z bólu, kołysząc się na linie do przodu i do tyłu. Pomyślał, że wygląda jak beczka zawieszona na drzewie podczas zabaw karnawałowych i mocno zagryzł zęby, próbując powstrzymać łzy.

- Potrafisz lepiej, człowieku, przyłóż się do tego.

Krag uderzył ponownie, w to samo miejsce, ale tym razem z całych sił. Dziewczyna zawyła rozdzierająco, Lerche-Larsen odwróciła wzrok, Podowski skinął ze zmęczeniem głową. Krag poczuł w sobie dziwną buzującą złość - złość na dziewczynę, którą katował. Może z powodu tego jej krzyku, a może dlatego, że musiał ją wytargać za ucho z samochodu, a potem zmusić do rozebrania się, a może też dlatego, że wisiała teraz przed nim bezbronna, a jego praca polegała na zadawaniu jej bólu. Każde kolejne uderzenie przychodziło mu łatwiej - pięć, dziesięć, dwadzieścia razy, przestał już liczyć. Wymierzał następne ciosy, aby się z tym jak najszybciej uporać. Krzyki zlewały się w jeden wrzask, przerywane tylko po to, aby Afrykanka mogła złapać oddech. I wtedy nagle, gdy wszystko szło zgodnie z planem, kolejne uderzenie sprawiło, że rozwiązał się węzeł zaciśnięty wokół pieca, i dziewczyna zniemacka runęła na podłogę. Krótki, nieprzyjemny dźwięk oznajmił, że złamała kark. Nastąpiła cisza.

Rozdział 2

Jezioro wciskało się pomiędzy dwa nieregularne wzniesienia, jakby tylko tutaj znalazło się dla niego miejsce. Wieki temu topniejący lodowiec wydrążył w tej okolicy dolinę rynnową, którą teraz porastały liściaste drzewa, tworząc swego rodzaju enklawę pośród tego ponurego, nieprzebranego lasu iglastego. Wzdłuż linii brzegowej, niemal na całej jej długości, dostępu do wody strzegły szerokie strefy buforowe utworzone z trzciny, pałki i manny, otoczone wełnianką, której białoszare kłosa nie tylko służyły biednym chłopom jako materiał izolacyjny, ale także zwiastowały lato i stanowiły zabawkę dla majowego wiatru.

Akwen nie miał żadnej oficjalnej nazwy. Był zbyt dobrze ukryty. Lokalni mieszkańcy nazywali go po prostu jeziorkiem albo małym jeziorem, a osoby z zewnątrz, najczęściej ornitolodzy czy myśliwi, nie przejmowali się takimi głupstwami. Wyjątek odnośnie do nazwy dotyczył wschodniego brzegu, bo na starych mapach oznaczono to miejsce jako Przekłete Bagno. Legenda głosiła, że w 1658 roku oddział szwedzkiego wojska, maszerując na Kopenhagę za panowania Fryderyka III Oldenburga, podczas jednej z niezliczonych sąsiedzkich wojen, właśnie tam rozbił swój obóz. Wieczorem obcy zabawiali się z córkami okolicznych chłopów, zarówno z tymi chętnymi do igraszek, jak i nieskorymi do takich uciech. Hulanka przerodziła się w orgię, a koniec końców w jeziorze utopiono samego pastora z kościoła w Kolleløse, gdy ten w przypiływie odwagi, uzbrojony w słowo Boże i ogarnięty złością, próbował zatrzymać przemoc wojskowych. W tej opowieści zapewne nieco podkoloryzowano niektóre fakty, ale w okolicy dbano o lokalne historie. A na dodatek starsi mieszkańcy opowiadali z niezachwianym przekonaniem, że przed ścięciem trzciny w tamtym miejscu należało trzykrotnie wykonać znak krzyża, gdyż w przeciwnym wypadku przed upływem roku nadchodziło nieszczęście.

Podowski się nie przeżegnał. Po pierwsze, nie znał legendy, a po drugie, nieszczęście już go dopadło. Stał nad brzegiem jeziora, spoglądając na wyrosły na wysokość wzroku las rozhuśtanym trzcina.

Za nim w milczeniu czekała Lerche-Larsen, a pomiędzy nimi znajdował się wielki, grubo ciosany granitowy kamień, przywiązany do pary solidnych, skrzyżowanych ze sobą świerkowych żerdzi tą samą liną, której wcześniej użyto do wymierzenia kary Jessice. Mężczyzna się odwrócił.

- Benedikte, świetnie sobie poradziłaś - ocenił.

Wskazał stopą na leżący między nimi blok granitu - przydrożny kamień, w miejscu, gdzie wystawał z ziemi, pokryty częściowo łuszczącą się białą farbą. Mimo ciężaru Lerche-Larsen wraz z Kragem przenieśli go niemal o dwa kilometry. Chociaż dzięki długim świerkowym żerdziom łatwiej było dźwigać kamień, bo ciężar się rozkładał, to dziewczyna i tak wykonała kawał dobrej roboty. Wyrazy uznania nie zrobiły jednak na niej wrażenia i odpowiedziała, jakby ich nie usłyszała:

- Co zamierzasz powiedzieć mojemu ojcu?

- Że zdarzył się wypadek, którego szczegółów z pewnością nie chce poznać. I zamierzam oczywiście dodać, że jest stratny na tej inwestycji.

- Nic więcej?

- Nie, nic więcej. To w zupełności wystarczy. Zarówno twoja matka, jak i twój ojciec liczą się z podobnymi wpadkami. Uwzględnili to w budżecie.

- A co ze mną?

- Jak to, co z tobą?

- Powiesz im, że wzięłam w tym udział?

Starszy mężczyzna nieco zwlekał z odpowiedzią, wsłuchując się w donośny śpiew ukrytego w trzcinnie bąka zwyczajnego.

- Sądziłem, że byłaś z nami na polecenie swojej matki, by upewnić się, że nie jesteśmy żadnymi mięczakami.

- Janie, daruj sobie. Dobrze wiesz, że to kłamstwo.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że to nie matka ją wysłała, ale nie zamierzał drążyć, czemu Benedikte chciała poznać wszystkie obszary działalności prowadzonej przez jej rodziców. Zamiast tego oznajmił:

- Zakładam, że jesteś boleśnie świadoma faktu, że twoi starzy cię z tego nie wyciągną. Grozi ci rok więzienia, podobnie jak Henrikowi i mnie.

Kobieta potaknęła głową z irytacją.

- Jestem, jak to ująłeś, boleśnie świadoma faktu, że wszyscy troje wpadliśmy w prawdziwe bagno.

Kragowi udało się przytargać zwłoki ze wzniesienia aż do samego jeziora i ani razu się przy tym nie poślizgnąć ani nie upaść. Z martwą, nagą dziewczyną zarzuconą na ramiona schodził zygzakiem w dół, od jednego drzewa do drugiego, aż znalazł się na wysokości pozostałej dwójki. Podszedł do nich, ukląkł, a potem ostrożnie zrzucił ciało Jessiki z siebie i ułożył je na kamieniu.

- Nikt cię nie widział? - upewnił się Podowski.

Pytanie było zbędne. Gdyby po drodze kogoś spotkał, nie dotarłby do nich taki spokojny. Prawda jednak była taka, że kompan Kraga sporo zaryzykował, każąc mu przetransportować dziewczynę w ten sposób. Z drugiej strony inne rozwiązania również niosły za sobą ryzyko.

- Nie wydaje mi się - odparł Krag.

- A chatkę przygotowałeś do podpalenia?

- Tak.

Lerche-Larsen odwróciła się plecami do zwłok, a tym samym do dwóch mężczyzn.

- Dlaczego chcesz ją spalić? - zapytała. - To przyciągnie uwagę - dodała.

- Bo to konieczne. Pozostawiliśmy dziesiątki śladów i niezależnie od tego, co byśmy zrobili, i tak zostaną odkryte, jeżeli tylko zaczną tam węszyć.

Na polecenie Podowskiego zwłoki Nigeryjki miały zostać przytroczone do kamienia i świerkowych żerdzi. To był skomplikowany proces i Krag przez cały czas obawiał się, że zostaną nakryci - dostrzeżeni przez leśniczego albo, co gorsza, przez jakichś wałęsających się po okolicy myśliwych z bronią. Jednak nic takiego się nie zdarzyło, a ich makabryczna praca powoli acz skutecznie posuwała się do przodu. Najpierw zsunęli kamień z żerdzi, po czym Podowski zażądał, żeby wydrążyli w ziemi kilka równoległych rowków o długości co najmniej pół metra i głębokości pięciu centymetrów. Patykiem wytyczył miejsca i chociaż dwoje młodych ludzi miało do dyspozycji tylko własne dłonie, by usunąć czarną, wilgotną ziemię, wykonało jego polecenie, nie pytając nawet o cel. Krag nie chciał wyjść na nierozgarniętego, a Lerche-Larsen już jakiś czas temu stwierdziła, że

najlepszym sposobem na uporanie się z tą koszmarną sytuacją będzie wykonywanie bez sprzeciwu poleceń starszego mężczyzny. Gdy skończyli kopać wytyczone rowki, położyli świerkowe żerdzie w poprzek wgłębień, a potem przetoczyli na te tyczki kamień, tak aby jego dłuższy bok znalazł się wzdłuż prowizorycznych dźwigni. Na końcu umieścili ciało dziewczyny. Leżało teraz w obrzydliwej pozycji, jakby Nigeryjka obejmowała kamień, a jej ramiona i nogi zwisały luźno na boki. Podowski i Krag przywiązali ją najmocniej, jak się dało, a Lerche-Larsen, gdy to okazywało się konieczne, przeciągała koniec liny dołem, przez któryś z rowków. Wkrótce pozostało już tylko zanieść zwłoki do jeziora i do tego potrzeba było wszystkich rąk.

I tym razem Podowski przejął dowodzenie:

- Musimy zdjąć buty i ubranie i zostać w samej bieliźnie. Nie możemy wrócić do domu przemoczeni do suchej nitki.

Żadne z nich nie zaprotestowało, a Podowski nie przestawał instruować:

- Jak skończycie, ponownie włożycie buty, ale musicie się przygotować, że czeka nas niezbyt przyjemna kąpiel. Woda nie ma więcej niż pięć stopni, więc musimy się z tym uporać w parę minut, rozumiecie?

Potaknęli i zaczęli się rozbierać. Podowski ich powstrzymał:

- Poczekaście, aż odpowiednio ją ułożymy i ustalimy, kto co robi. Nie będziemy przecieżyć marznąć i o tym dyskutować.

Chwilę później mężczyźni stali już w samych majtkach, Lerche-Larsen miała na sobie dodatkowo biustonosz - a wszyscy na nogach buty. Krag trząsł się z zimna, jeszcze zanim zdołał rozwiązać sznurówki. Lekki wietrzyk, którego wcześniej w ogóle nie wyczuwał, teraz agresywnie smagał jego ciało, podczas gdy on sam próbował się osłonić, chowając za bluszczem okalającym starą lipę.

- Ja pieprzę, ale zimno.

Podowski zaatakował go z nienacka niczym jastrzęb:

- Przestań jęczeć, bo to nie poprawi sytuacji.

Niespodziewanie poparła go Lerche-Larsen, która rzuciła ze złością:

- Możesz ogrzać się w więzieniu albo pomarznąć przez chwilę tutaj. No dalej, podnosimy ją.

Zdecydowanym krokiem weszła między trzciny i zaczęła się posuwać w głąb jeziora, aż woda sięgnęła jej połowy ud. Mężczyźni wolno podążali za nią, ograniczeni znajdującym się między nimi dźwiganym ciężarem. Krag posapywał z zimna, ale cierpiał w milczeniu. Lerche-Larsen odgarniała przed nimi sitowie i powoli, krok za krokiem, zmierzali z dziewczyną i kamieniem naprzód, pozostawiając za sobą pas trzciny, który ograniczał widok na brzeg jeziora. Gdy woda zaczęła sięgać mężczyznom do pasa, siła wyporu nieco ułatwiała poruszanie się, choć ograniczona kontrola nad zdrętwiałymi członkami w naturalny sposób utrudniała tę wyprawę.

- Jeszcze dziesięć kroków i ją puszczamy. Dawaj, Henriku, dasz radę. Tylko dziesięć kroków i będzie po wszystkim, policzymy razem - zakomenderował Podowski.

Tak też zrobili, wchodząc głębiej. Gdy padła liczba dziesięć, woda sięgała im niemal do szyi i wtedy puścili zwłoki.

- Uważajcie, żeby podczas drogi powrotnej nie złamać zdźbeł tej pieprzonej trzciny. Wracamy równie wolno i ostrożnie, jak tu przyszliśmy - dodał starszy mężczyzna.

Krag prawie nic już nie słyszał, dotarło do niego tylko słowo „z powrotem”. Wyprzedziła go Lerche-Larsen, jedną dłoń odchyłała trzciny, a drugą ciągnęła go w stronę brzegu. Nie trzeba było być lekarzem, by dostrzec, że ciało Kraga się wyziębilo i że należy je jak najszybciej ogrzać. Podowski śledził tych dwoje wzrokiem, jego własna otyłość stanowiła znakomitą ochronę przed wychłodzeniem, dlatego okoliczności nie odbiły się tak bardzo na jego kondycji fizycznej. Będzie musiał zwolnić Kraga, dać mu trochę pieniędzy i przekonać, aby trzymał się od nich z daleka, a przede wszystkim zapomniał o tym, co się tu stało. Było mu szkoda, bo polubił chłopaka, ale nie miał innego wyjścia. Po chwili przeniósł wzrok na Lerche-Larsen i się uśmiechnął. Po raz pierwszy zobaczył, że Benedikte jest dzieckiem swoich rodziców - zdecydowana, silna i cyniczna, nieoszczędzająca ani siebie, ani innych. To była zupełnie inna dziewczyna niż ta, którą widywał na co dzień.

Rozdział 3

Gdy Henrik Krag i Jan Podowski puścili niesiony balast, a ciało dziewczyny opadło na dno jeziora, kamień przesunął się w taki sposób, że wylądowało na boku, jakiś metr od miejsca, gdzie las trzciny graniczył z otwartym zbiornikiem. Nigeryjka leżała z wytrzeszczonymi oczami i rozdziawionymi ustami, jakby wydawała niemy krzyk w tym swoim nowym świecie, a jej zwłoki powoli ulegały rozkładowi. Początkowo ten proces zachodził wolno, gdyż niska temperatura wody hamowała aktywność mieszkańców dna jeziora, ale to się z czasem zmieniło. Na początku stycznia wydajne tarki drapieżnych ślimaków buszujących na dnie zbiornika pozbawiły Jessicę oczu, a stawonogi o długich łacińskich nazwach wyczuły i znalazły drogę do otworów ciała, więc gdy w maju rozkwitły buki, a wodorosty nad jej głową się zazieleniły i nabrały sprężystości, proces rozkładu przybrał na sile. Gazy jelitowe rozdymały jej ciało od wewnątrz, a dłonie wrzynały się w liny, próbując wypłynąć na powierzchnię, podczas gdy raz z jednych, raz z drugich otworów wydobywały się sznury pęcherzyków powietrza. Wczesnym latem odór zwłok dziewczyny przyciągnął masę jeziornych padlinożerców: skorupiaki, larwy, a także różne gatunki ryb wszelakich rozmiarów. Gdy nastąpiła pełnia lata, w ciele Nigeryjki rozgościła się ławica żółtych węgorzy, które zaraz zniknęły jedna po drugiej, w tygodniu gdy zakwitły lipy, a krótkie duńskie lato miało się już ku końcowi. W sierpniu rozkładowi uległy ostatnie mięśnie i ścięgna, oderwała się prawa dłoń, a krótko po niej lewa. Pierwszego września rozpoczął się sezon polowań na kaczki.

Myśliwy zajął miejsce przy brzegu jeziora o bardzo wczesnej porze. Siedział cierpliwie na rozkładanym krzeselku, obserwując, jak blade słońce na wschodzie nieśmiało rozświetla perłowoszare niebo, a przyroda wokół niego nabiera kolorów. Obok krzeselka leżał jego pies myśliwski – trzyletni seter irlandzki, który w swoim krótkim życiu przysporzył panu więcej trosk niż radości. Wabił się Głęb i był

naprawdę głupi. Właściciel tęsknił za poprzednim zwierzakiem, który nieszczęśliwie nabawił się pasożytniczego zapalenia dróg oddechowych i po męczarniach choroby opuścił go w swoim najlepszym wieku. Myśliwy wspominał zwierzę, siedząc na krzesełku i obserwując, jak nastaje świt, bez niechęci drapiąc następcę swego pupila za uchem. Przecież zwierzę nie było winne temu, że nie grzeszyło bystrością.

Kaczka krzyżówka dostała perfekcyjny strzał podczas lotu i spadła niczym kamień. Z trzaskiem przebiła się przez suche trzciny, a potem z głuchym pluskiem przebiła lustro wody, a odgłosy wystrzału rozniosły się po całym wzniesieniu. Myśliwy złożył broń, a następnie na krótko wzniósł pięść w stronę nieba, uradowany swoim celnym strzałem, podczas gdy pies podniósł ogon i zaskomlał. Teraz należało przynieść zdobycz. Właściciel trzykrotnie wydał seterowi komendę, aby ruszył do jeziora, i trzykrotnie zwierzę wróciło, merdając ogonem, ale o pustym pysku. Myśliwy potrząsał głową i powoli oswajał się z myślą, że jeżeli zamierza dziś upiec ptaka, to sam będzie musiał go sobie przynieść. Albo zastrzelić kolejną kaczkę, tym razem gdzieś nad lądem. Zerknął z ukosa na swojego psa.

- Powinieneś się cieszyć, że w tym kraju nie jadamy psów - powiedział oschle.

Głęb wpatrywał się w swojego pana i wyglądał na zadowolonego. Potem po raz czwarty zniknął pośród trzciny i myśliwy musiał wołać go wielokrotnie, zanim ten się pojawił, dumny jak paw, chociaż to, co ze sobą przyniósł, nie było kaczka krzyżówką.

Myśliwy, który na co dzień pracował jako fotoreporter, wielokrotnie widywał martwych ludzi, więc nie zszokował go widok czaszki. Była wyblakła, z brązowo-czarnymi przebarwieniami oraz strąkami włosów pokrytymi algami i klejącymi się do ciemienia. Górną szczękę wypełniały nienaturalnie białe zęby, a dolnej brakowało. Przez chwilę trzymał ją przed sobą niczym jakiś Hamlet, aż doszedł do przekonania, że musi być prawdziwa. Wtedy odłożył ją ostrożnie na trawę, ale już po chwili tego pożałował. Jego zwierzak nie zachowywał się jak większość psów, więc na wszelki wypadek należałoby mu uniemożliwić ewentualną ucieczkę ze zdobyczą. Dlatego myśliwy podniósł czaszkę i umieścił ją na młodej brzoźce poza zasięgiem psa, przeciskając jedną z gałązek przez oczodół. To zachowanie, będące wyrazem braku szacunku, kosztowało go potem ponaddwugodzinne przesłuchanie

w komendzie w Hillerød, gdzie nie wykazano specjalnego zrozumienia dla braku ogłady Głęba.

Kolejne dni przynosiły na zmianę deszcz i porywisty zachodni wiatr, co znacznie utrudniało pracę nurkom. Jezioro było co prawda niewielkie, ale pośrodku sięgało dwunastu metrów, a niski poziom wody przy porośniętym trzciną brzegu przeszkadzał w poszukiwaniach. Pierwszego dnia udało się wydobyć jedynie martwą kaczkę krzyżówkę, która po części potwierdziła wersję myśliwego, chociaż nikt do tej pory nie kwestionował jego wersji wydarzeń. Zastrzeżenia budził natomiast sposób, w jaki potraktował czaszkę. Drugi dzień upłynął bezowocnie, natomiast trzeci zrekompensował dotychczasowe starania. Już o poranku znaleziono pozostałości dłoni, a chwilę później dolną szczękę, która zaplątała się w kłacza grążela żółtego. Znalezione fragmenty zwłok dodały nurkom zapału. Teraz byli już pewni, że mają czego szukać, i po południu udało się odnaleźć szkielet zatopiony w Przeklętym Bagnie. Zwłoki dziewczyny przywiązane do kamienia zostały wyciągnięte na ląd w dniu, który był mniej więcej równie zimny jak ten, w którym jej zabójcy wrzucili ją do wody pół roku wcześniej.

Śledztwo zostało przekazane policji kryminalnej w Hillerød, ale mimo świetnej roboty techników nie przyniosło żadnego rezultatu. W raporcie z sekcji zwłok stwierdzono, że ciało należy do kobiety pomiędzy piętnastym a dwudziestym rokiem życia, przeciętnej budowy, o wzroście około stu siedemdziesięciu centymetrów. Przyczyną śmierci było złamanie drugiego kręgu szyjnego, poza tym nie znaleziono żadnych innych złamań czy jakichkolwiek zniekształceń kości, poza złamanym zębem, ale do tego urazu doszło prawdopodobnie podczas przywiązywania dziewczyny do kamienia. Najbardziej problematyczne okazało się ustalenie, jak długo zwłoki przebywały w wodzie. Patolog skłaniał się ku przedziałowi od czterech do siedmiu miesięcy, a i to tylko pod warunkiem spełnienia szeregu dodatkowych założeń, co jeszcze bardziej komplikowało sprawę. W praktyce oznaczało to, że ktoś wrzucił kobietę do jeziora pomiędzy lutym a kwietniem. Podczas sekcji zwłok ustalono także pewien dość zaskakujący fakt, mianowicie to, że kobieta była przedstawicielką rasy czarnej. Potwierdzono to trzykrotnie na podstawie badań włosów, czaszki i DNA denatki. Niestety badania techniczne nie przyniosły żadnych istotnych postępów. Linę, którą przywiązali kobietę do granitowego bloku,

uwaznie przebadano pod kazdym mozliwym katem, ale okazalo sie, ze taka sama mozna nabyc w prawie wszystkich marketach budowlanych na terenie kraju. Drobiazgowo zważono i zmierzono także kamień, choć już wcześniej w toku dochodzenia ustalono, że pierwotnie leżał on w miejscu, gdzie polna droga prowadząca do lasu Hanehoved przecina się z inną, szerszą. Został wykopany z ziemi, jednak nikt nie potrafił określić kiedy. Poza tym specjalistom udało się dokonać rekonstrukcji twarzy denatki. W ostatnich latach technika bardzo się rozwinęła, więc cały proces przebiegał teraz szybciej i kosztował mniej, a jego wynik wydawał się pewniejszy niż dotychczas.

Policja kryminalna skupiła się na dwóch tropach, które niestety okazały się prowadzić donikąd. Jeden z nich wiódł do majątku Kolløse Gods, do którego należał las Hanehoved, a tym samym leśnie jezioro, w którym znaleziono zwłoki. Majątek pozostawał własnością szambelana Adama Blixena-Agerskjolda – nowoczesnego i bezpośredniego mężczyzny tuż po czterdziestce, którego korzenie rodowe sięgały parę wieków wstecz. Mężczyzna wraz ze swoją żoną i garstką pracowników prowadził mocno uprzemysłowione gospodarstwo rolne, uprawiając różne zboża – głównie jęczmień ozimy, pszenicę ozimą oraz dziką kukurydzę – na powierzchni ponad siedmiuset hektarów. Jego działalność nie przynosiła kokosów, a każdą wolną koronę przeznaczal na prace konserwatorskie obiektów historycznych, które do niego należały. Zarówno on sam, jak i jego żona wyglądali na świadomych zobowiązań kulturowych, chociaż była to wymagająca sporych nakładów finansowych świadomość, którą potrafili docenić tylko nieliczni.

Policja z oczywistych względów skupiła się na lesie szambelana, a tylko w niewielkim zakresie na jego gospodarstwie. Jednak las Hanehoved, najogólniej rzecz ujmując, pozostawał niezagospodarowany. Prawo do polowań przekazano stowarzyszeniu łowieckiemu, mieszczącemu się w dzielnicy Frederiksberg w Kopenhadze, więc mogły upłynąć miesiące, zanim ktoś z Kolløse Gods będzie miał jakąś sprawę do załatwienia w lesie. Poza tym ustalono, że nikt – ani z majątku, ani ze stowarzyszenia – nie natknął się na terenie posiadłości na żadną Afrykankę.

Drugi trop, którym podążyli kryminalni z Hillerød, też okazał się błędny. Wykonano ogromną pracę operacyjną, pokazując portret

dziewczyny nie tylko nielicznym pobliskim mieszkańcom, ale również sporemu gronu przedsiębiorców w trzech najbliższych większych miasteczkach: Slangerup, Lynge i Ganløse. Kosztowało to policję mnóstwo wysiłku, ale okazał się on daremny, a z braku nowych pomysłów śledztwo powoli traciło impet. W rocznicę śmierci tajemniczej kobiety nie było już żadnego policjanta, który zajmowałby się tą sprawą. Również opinia publiczna nie troszczyła się szczególnie o jej los, co jednak wkrótce miało się gwałtownie zmienić.

Rozdział 4

Lokalna stacja telewizyjna z Hillerød, zwana TV-20, w dni parzyste rozpoczynała transmisję o dwudziestej. Swoją działalność opierała na pracy wolontariuszy oraz dotacji z Ministerstwa Kultury, przygotowując od czasu do czasu znakomite i rzetelne materiały na temat różnych lokalnych aktywności - od posiedzeń rady miejskiej poprzez wydarzenia sportowe aż po relacje z amatorskich przedstawień teatralnych. Do stałych audycji należał magazyn *Na straży prawa w Hillerød*, emitowany w co drugą środę, w którym bez zbędnej sensacji i pośpiechu omawiano sprawy kryminalne z okolicy. Podobnie było pewnej kwietniowej środy, kiedy w programie nadawanym na żywo zamierzano przeprowadzić dłuższy wywiad z lokalnym komendantem. Rozmowa miała dotyczyć opublikowanego przez niego niedawno raportu z działań podejmowanych przez policję w ostatnim roku. Niestety zwierzchnik komendy musiał odwołać wizytę w studiu tuż przed rozpoczęciem nagrania i na jego miejsce został wysłany inny funkcjonariusz - z doświadczeniem i w odpowiedniej randze.

Policjant był oczywiście nieprzygotowany do wywiadu, ale wykazał się rozsądkiem i uczciwie przyznawał, że czegoś nie wie, gdy pytano go o sprawy, na których się nie znał. Z drugiej strony dziennikarz umiejętnie kierował rozmowę na tematy, na które funkcjonariusz wypowiadał się ze sporym znanstwem, i nie było ich wcale tak mało. Pierwsza część spotkania przebiegła więc znakomicie i gdy już obaj mężczyźni odetchnęli z ulgą na myśl o tym, że wspólnymi siłami bez problemów doprowadzą audycję do końca, sprawy przybrały zły obrót. Wyniknął temat dochodzenia w sprawie zabójstwa Afrykanki znalezionej w lesie Hanehoved, a to śledztwo trudno było zaliczyć do zeszłorocznych sukcesów policji. Funkcjonariusz jednak nie chciał tego przyznać. Przeprowadzający wywiad zaczął ostrożnie naciskać:

- Jednak ogólnie rzecz biorąc, należałoby chyba powiedzieć, że nie udało wam się zrobić postępu w tej sprawie, prawda?

Starszy sierżant skinął głową, przyznając rację dziennikarzowi, a jednocześnie zamierzał bronić swoich kolegów z wydziału

kryminalnego, bo wiedział, że wykonali godną pochwały pracę.

- Ustalenie, skąd właściwie pochodzi taka Murzynka, to niekiedy bardzo trudne zadanie.

Dziennikarz stracił wątek i w studiu zaległa krępująca cisza.

- O czym pan mówi? - dopytał po chwili z niedowierzeniem.

- Ofiara była przecież z Afryki, chodzi o to, że... mogła przecież mieszkać gdziekolwiek.

Funkcjonariusz, opisując ofiarę, nie miał bynajmniej złych intencji, niezależnie od tego, jak niezręcznie to zabrzmiało. Jego ojciec używał określenia Murzyn w stosunku do imigrantów zarobkowych przybyłych w latach siedemdziesiątych i właśnie ono przyszło mu teraz do głowy. W najmniej odpowiednim do tego miejscu i na domiar złego w najmniej odpowiedniej porze. Dziennikarz zebrał się w sobie i usiłował jakoś wybrnąć z tej sytuacji:

- Nie ma pan chyba na myśli tego, że sprawę tej kobiety należy traktować inaczej z powodu koloru jej skóry?

- Nie, oczywiście, że nie. Dlaczego mielibyśmy potraktować ją inaczej?

Kolejne dni okazały się jeszcze gorsze. Komendant policji w Hillerød próbował bronić swojego podwładnego, ale nie wykazał się przy tym zbyt dużą roztropnością i koniec końców obraźliwe określenie Murzyn padło jeszcze wielokrotnie, tym razem w programie ogólnokrajowym telewizji, a na dodatek w czasie największej oglądalności. Potem rozpętała się medialna burza: temat podjęły telewizja, radio i ogólnokrajowe gazety. Zainteresowali się nim także blogerzy - językoznawcy zaczęli wymądrzać się na temat tej fatalnej nazwy, a socjologowie snuć domysły o rasizmie w duńskiej policji. Rozgorzała żywiołowa dyskusja o naruszaniu godności w kontekście intencji mówiącego. Fragment wywiadu z funkcjonariuszem wyświetlano nieprzerwanie, podczas gdy on sam przymusowo spędzał ten czas u siebie w domu, przeklinając duńskie media i swoich nowych przyjaciół ze skrajnej prawicy.

Jednak medialne utarczki słowne miały też wyraźną zaletę. W związku z debatą o negatywnych konotacjach określenia Murzyn sprawa znalezienia zwłok czarnoskórej kobiety została wnikliwie omówiona we wszystkich duńskich mediach. Nawet średnio bystrzy

sekretarze redakcji zrozumieli, że sprawa zabójstwa i żenującego zachowania funkcjonariusza policji będzie się świetnie sprzedawać. Wywęszyli sensację. Trzeciego dnia medialna burza osiągnęła apogeum podczas wydania wiadomości, gdy historię przedstawiono telewizzom, opatrując ją nagłówkiem *Rośnie presja na Komendanta Głównego Policji*, mimo że nie wysilono się specjalnie, by wyjaśnić, kto ją wywierał i czego dotyczyła. Doradczyni komendanta do spraw kontaktów z mediami zareagowała bezzwłocznie – jeszcze tego samego wieczoru sporządziła notatkę w ostrym tonie, w której rekomendowała swojemu szefowi, aby podjął odpowiednie kroki. Chodziło o to, żeby wyraził swoje zdecydowanie i zrobił wszystko, by trafił do świadomości szarego obywatela. Komendant nie cierpiał takiego podejścia z całego serca, po pierwsze dlatego, że zawsze było wykorzystywane przeciwko niemu, a po drugie wyłącznie konsultanci ds. PR wiedzieli, co zrobić, by dotrzeć do ludzi. Niemniej jednak postanowił skorzystać z tej rady. I tak to w praktyce nieistniejące dochodzenie w sprawie zwłok kobiety znalezionej w leśnym jezioru zostało z fanfarami i na jego wyraźny, bezwzględny rozkaz odebrane policji okręgu północnej Zelandii i przekazane do wydziału zabójstw w Kopenhadze. Nic lepszego nie przyszło komendantowi do głowy.

Rozdział 5

Szef wydziału kryminalnego Komendy Głównej Policji w Kopenhadze, Konrad Simonsen, pojawił się w pracy dość wcześnie, żeby zapoznać się z aktami, których trzy sterty piętrzyły się na jego biurku. Dokumenty dotyczyły nowej sprawy, którą miał się zająć. Mężczyzna szybko zmienił plany, bo otrzymał maila od głównego komendanta z mgliście sformułowanym nakazem poinstruowania wszystkich pracowników wydziału zabójstw, jak mają się wypowiadać o zabójstwie Afrykanki z Przekłętego Bagna. Około dziewiątej, kiedy Simonsenowi nie udało się jeszcze nic zdziałać, do jego biura przyszedł Arne Pedersen. Był jednym z najbliższych współpracowników, mężczyzną tuż po czterdziestce, kompetentnym i zazwyczaj w dobrym humorze. Dzisiejszy dzień nie należał do wyjątków.

- Cześć, Simon. Zapowiada się cudowny dzień. Czeka nas podobno przyjemna wycieczka do lasu.

- Ma padać w ciągu dnia, więc nie liczyłbym na to.

- Ten piękny poranek ma ci tyle do zaoferowania, a ty sprawiasz wrażenie, jakbyś nie zamierzał się tym cieszyć.

- Zamknij się i pomóż mi.

Pedersen rzucił marynarkę na biurko i ustawił się za plecami Simonsena.

- Sądziłem, że przyszedłeś wcześniej, żeby zapoznać się ze sprawą tej Murzynki.

- Stop, nigdy tak nie mów. Właśnie dostałem niezbyt przystępnego maila z góry. Mówię ci, bicie piany na najwyższym poziomie, gorzej niż zwykle. Jeżeli dobrze zrozumiałem, chodzi o to, żebyśmy nie wysilali się specjalnie podczas naszego nowego śledztwa. Najważniejsze, żeby opinie publiczna była przekonana, że ciężko i zdecydowanie pracujemy nad wyjaśnieniem sprawy. A poza tym mamy się wystrzegać wszelkich rasistowskich podtekstów: między sobą, na forum, w mowie, piśmie, w myślach, a nawet snach. Stary oczekuje ode mnie, że w bardzo

jednoznaczny sposób przekażę to wszystkim swoim współpracownikom. Rodzinom w sumie też by nie zaszkodziło.

- Więc Murzy...

- Zamknij się!

- Sorry, szefie. Ale wytepienie tego określenia nie będzie łatwe. Wszyscy mówią teraz o sprawie, której nazwy nie wolno mi wymówić, bo zawiera zakazane słowo. To się będzie ciągle powtarzać. Niezależnie od tego, co zrobisz.

- Rzecz w tym, że to ty będziesz miał okazję się wykazać, żeby spróbować temu zapobiec.

Pedersen rozłożył ręce w geście poirytowania.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Jestem twoim szefem i mówię, czego oczekuję. Użyj kilku sformułowań głównego. Będzie zadowolony, skleć z nich jakiś spójny tekst. Potem wyślij go w moim imieniu do wszystkich mundurowych w kraju. Ufam ci, więc nie musisz mi tego pokazywać przed rozesłaniem. Spokojnie, nie spiesz się, wyruszamy dopiero za kilka godzin. W tym czasie posiedzę w twoim biurze. Otworzysz mi?

Simonsen stał już gotowy do wyjścia z aktami sprawy.

- Chyba żartujesz. Radź sobie sam.

Tak też zrobił. Otworzył sobie drzwi łokciem i wolnymi palcami, skoro Pedersen nie chciał mu pomóc.

Sklecenie notatki zajęło Pedersenowi godzinę, ale wynik okazał się, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności, wcale nie najgorszy. Po kilkukrotnym przeczytaniu pisma i wprowadzeniu drobnych poprawek zdecydował, że nie ma na co czekać, i zgodnie z poleceniem inspektora rozesłał mail w jego imieniu. Potem dopił resztkę kawy, która zrobiła się już zupełnie zimna, a następnie wszedł na stronę internetową jednego z dzienników, żeby przejrzeć bieżące wiadomości. Niczym innym nie mógł się zająć, bo jego gabinet był zajęty. Ledwie przeszkrołował trzy portale, do biura szefa wkroczyła Hrabianka, która najpierw grzecznie zapukała, ale potem nie zamierzała czekać na zaproszenie. Kobieta miała czterdzieści parę lat, była zdolna i powszechnie szanowana. Rok temu związała się z Simonsenem, który wprowadził się do jej willi w Søllerød. Jeżeli nawet zaskoczyła ją obecność Pedersena, nie dała tego po sobie poznać.

- Cześć, Arne, jesteś zajęty?

- Nie, niezbyt. Kryzys finansowy i relacje sportowe mogą poczekać, a jeżeli szukasz Simona, to siedzi u mnie w biurze i czyta raporty.

- Właściwie o tym chciałam z tobą porozmawiać. Ale dlaczego zamieniliście się biurami?

Pedersen wszystko jej wyjaśnił. Nadarzyła się okazja, żeby poskarżyć się na konieczność sporządzenia tej nieszczęsnej notki, lecz na zrozumienie nie było co liczyć. Hrabianka zgadzała się z Komendantem Głównym Policji.

- Uważam, że pomysł z ostrzeżeniem jest świetny, a ty potrafisz formułować takie pisma o wiele lepiej niż Simon.

Komplement nie odniósł spodziewanego efektu.

- To przecież głupie. Nie można przekonać ludzi, by się inaczej wyrażali, a poza tym irytuje mnie, że teraz wszystko musi być takie poprawne. Niedługo lepiej będzie się w ogóle nie odzywać, żeby ci językowi żandarmi nie wołali o pomstę do nieba w imieniu kolejnej poniżanej grupy.

- Bzdura, Arne. Zresztą sam doskonale o tym wiesz. Nie masz problemów z wyrażaniem własnego zdania i jednoczesnym przyzwoitym odnoszeniem się do innych.

- Możliwe, ale o wiele gorsze będzie niewłożenie wysiłku w rozwiązanie sprawy, niezależnie od tego, jak ją nazwiemy. Wtedy to dopiero damy wyraz swoim uprzedzeniom.

- Jedno nie wyklucza przecież drugiego. A właściwie dlaczego mamy się nie wysilać?

Pedersen znów zaczął jej wszystko wyjaśniać, ale i tym razem Hrabianka wzięła stronę głównego komendanta, co nie zdarzało się często. Była znana z tego, że nigdy nie próbowała przypodobać się ani tym na górze, ani na dole, i dzięki temu szanowały ją obie strony.

- Pewnie chodzi mu o to, żeby rozsądnie gospodarować dostępnymi zasobami. Hillerød przeprowadziło znakomite dochodzenie i nie ma powodu, żebyśmy je powtarzali, jeżeli nie wniesiemy do sprawy nic nowego. Nie chodzi o to, że zabita kobieta jest Afrykanką. Zresztą wszystkie te bezpodstawne spekulacje możemy od siebie odsunąć, znajdując jej zabójcę czy zabójców.

Hrabianka uśmiechnęła się, a Arne jej zawtórował. To chyba nie mogło być takie trudne?

Pedersen wykorzystał sytuację, aby zmienić temat i przy okazji zaspokoić swoją ciekawość. Wszyscy w komendzie wiedzieli, że Hrabianka była dzisiaj na spotkaniu dotyczącym jej finansów, i już szeptało po kątach, że być może krach na rynkach finansowych wpłynął również na stan jej oszczędności. Chociaż Arnego nie powinno to obchodzić, zapytał ją o to prosto z mostu, bo był to na nią jedyny sposób.

- I co tam? Jak się mają twoje finanse? Pieniądze wyparowały czy nadal jesteś obrzydliwie bogata?

- Zarządca mojego funduszu to arcykonserwatywny, profesjonalny, sceptyczny, stary przyk, który nigdy nie wierzył w szybkie zyski. Teraz wyszło mi to na dobre, ale dosyć na ten temat. Przyszłam, żeby porozmawiać o Pauline Berg. Okazuje się, że jednak z nami nie pojedzie.

Temat należał do trudnych. Nazbierało się wokół niego zbyt wiele emocji.

- Bo? - zapytał ostrożnie.

- Bo nie czuje się w lesie bezpiecznie. Chciałaby pojechać, naprawdę, ale nie da rady.

Pedersen skinął głową bez komentarza. Było jak było.

Berg ledwo przekroczyła trzydziestkę i pracowała jako aspirantka w grupie najbliższych współpracowników Simonsena. Zaledwie dwa lata wcześniej podczas jednej z akcji została porwana i uwięziona w bunkrze. Prawie przyplaciła to życiem. Od tego czasu z trudem odnajdywała się w różnych sytuacjach, tak jak teraz w związku z wyprawą do lasu. Zimą postawiono jej wreszcie diagnozę: zespół stresu pourazowego albo w skrócie - którego konsekwentnie używał lekarz przedstawiający sprawę wydziałowi zabójstw - PTSD. Jednocześnie nie potrafił zaproponować niczego sensownego i nadal nie wiedzieli, jak powinni traktować współpracowniczkę, której zachowanie było nieprzewidywalne, wręcz irytujące, a która ogólnie rzecz ujmując, nie była w stanie wykonywać swojej pracy. Jakby tego było mało, Berg miała maniacką obsesję na punkcie nieistniejącego dochodzenia dotyczącego śmierci kobiety, która co prawda zmarła w tragicznych

okolicznościach na terenie dawnego poligonu wojskowego Melby Overdrev, pomiędzy Asserbo a Hundested w północnej Zelandii, ale której śmierć wynikała z przyczyn naturalnych. Obecnie wyłącznie ta sprawa, konsekwentnie nazywana przez aspirantkę sprawą o zabójstwo, była jedyną, którą interesowała się w pracy.

- A co na to Simon? - zapytał cicho Pedersen.

Hrabianka początkowo nic nie odpowiedziała. Zamiast tego spuściła głowę i nieprzeniknionym wzrokiem, z umiarkowanym zadowoleniem malującym się na twarzy, zaczęła się przyglądać dywanowi, a potem nagle się wyprostowała.

- To samo co ty. Nic innego, ale to jest po prostu nie w porządku. Rzeczywistość wygląda tak, że odkąd Berg wróciła do pracy, mamy z nią ogromny problem, ale za każdym razem, kiedy próbuję to przedyskutować z tobą czy Simonem, raczycie mnie wyłącznie unikami i jakimiś bzdurami - oświadczyła zdecydowanym tonem.

W oskarżycielskim geście wytknęła go palcem wskazującym, żeby podkreślić swoją irytację. Pedersen skupił wzrok na krótko przyciętych paznokciach Hrabianki, ponieważ jej gest sprawił, że wpadające przez okno światło odbijało się od bezbarwnego lakieru.

- Jak długo zamierzacie coś takiego tolerować? Trzy lata, cztery, a może pięć?

Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Kilka lat temu miał romans z Berg, a przez pewien czas był w niej nawet do szaleństwa zakochany, ale nie chciał zostawiać swoich dzieci i zakończył ten związek. Dzisiaj tęsknił za Pauline sprzed porwania, choć gdy tylko mógł i sytuacja na to pozwalała, starał się unikać dziewczyny. Teraz stłumił westchnienie.

- Co chcesz zrobić? Zwolnić ją? To zresztą niemożliwe. Mamy przecież służbową notatkę od głównego, że niezależnie od tego, jak Berg będzie się zachowywała w pracy, nie można wobec niej wyciągać żadnych służbowych konsekwencji. Wiem o tym, bo sam ją dostałem, gdy zastępowałem Simona, i zakładam, że nadal jest aktualna - oznajmił.

Pedersen przez pewien czas pełnił obowiązki szefa wydziału zabójstw, kiedy Simonsen dochodził do siebie po operacji serca.

- Oczywiście, że nie chcę jej zwolnić. Zresztą co by to dało? - Hrabianka odrzuciła jego sugestię. - Musimy z nią, do cholery, po

prostu porozmawiać. Udawanie, że nic się nie stało, jest totalnie bez sensu.

- Dlaczego tak się nagle na nią wzięłaś? Przecież zachowuje się podobnie już od dłuższego czasu. Nie moglibyśmy porozmawiać o tym z Simonem?

Potrząsnęła głową, a potem stwierdziła z przesadną ironią:

- Arne, znakomity pomysł, po prostu genialny. Porozmawiać o tym z Simonem - jak na to wpadłeś? Przed nami długa droga do Kolløse, więc będziesz mógł porozmawiać o tym z Simonem. Chętnie cię wesprę, uznajmy, że umowa stoi.

Zrezygnował z protestów, co miał, do diaska, zrobić, gdy była w tym swoim humorze? Rozłożył tylko ręce w geście bezradności, a ona odwróciła się i sobie poszła. Zaczął się zastanawiać, czy czyjeś plecy mogą wyglądać „wyniośle”.

Rozdział 6

Do lasu Hanehoved w północnej Zelandii jechali samochodem Hrabianki. Prowadził Pedersen, choć sam właściwie nie wiedział dlaczego, ale ona po prostu usadowiła się na tylnym siedzeniu, informując, że przekazuje kierownicę jednemu z trzech mężczyzn – któremu, było jej wszystko jedno. Simonsen również wybrał tylną kanapę, a czwarty członek zespołu, Klavs Arnold, nadal uchodził za nowicjusza na kopenhaskich drogach. Jako że nikt nie miał zamiaru słuchać syntetycznego głosu GPS-u, Pedersen okazał się jedynym możliwym wyborem. Zdecydował się na trasę przez miasto w stronę autostrady na Hillerød, a w duchu rozważał, czy to właściwy moment, aby dotrzymać obietnicy danej Hrabiance i rozpocząć rozmowę o sytuacji z aspirantką Berg. Ubiegła go jednak Hrabianka, która postanowiła wyłuszczyć sprawę w długim monologu, nie ukrywając przy tym, że przygotowywała się do niego od dłuższego czasu. Gdy skończyła, nastała cisza, a wtedy Arnold przekrzywił głowę i spojrzał w niebo przez przednią szybę.

- Chyba wkrótce zacznie padać – zauważył.

Była to jawna prowokacja, napięcie między nimi się wzmogło, a zrobiło się jeszcze gorzej, gdy Jutlandczyk zwrócił się bezpośrednio do Hrabianki:

- Uważam, że teraz powinniśmy się skupić na dochodzeniu. Jestem pewien, że znajdzie się jeszcze okazja i lepszy moment, żeby nawiązać do twojego monologu o Berg.

Pedersen uniósł dłoń pomiędzy swoją twarz a lusterko wsteczne, Hrabianka prychnęła, a Simonsen demonstracyjnie zamknął teczkę z aktami sprawy, które właśnie przeglądał, świadomy, że nie może pozostawić tego sporu bez odpowiedzi. Ku ogólnemu zaskoczeniu wzięła stronę Arnolda – sprawa Berg mogła poczekać.

Jednak żaden z trzech mężczyzn nie robił sobie nadziei, że Hrabianka tak łatwo odpuści, chociaż była w mniejszości i miała przeciwko sobie szefa. I się nie pomylili. Gotowa do walki zwróciła się

w ostrych słowach do Simonsena, nie dodając jednak nic nowego. Uwaga na temat jej monologu nie była całkiem chybiona. Tych dwoje wdało się w sprzeczkę trwającą przez całą drogę od Uttesrlev Mose do Værløse – ona wrogo nastawiona i gotowa na konfrontację, on odburkujący coś z ledwo powstrzymaną złością, najwyraźniej w kiepskim humorze. Samochód tonął w deszczu, który najpierw padał dość niepewnie, a potem wszedł w spółkę z silnie wiejącym wiatrem, zmuszając Pedersena do znacznego zmniejszenia prędkości.

Prostoliniowość Arnolda ponownie ustaliła porządek dyskusji.

– Kurczę, brzmicie jak stare małżeństwo.

Hrabianka nic nie odpowiedziała, a Simonsen warknął:

– Pilnuj swojego nosa.

– Dobra, dobra, bez urazy. Nie zamierzacie się wkrótce pobrać?

Simonsen zmiął w ustach przekleństwo, a Hrabianka natychmiast wykorzystała okazję, żeby spławić Arnego.

– Pobraliśmy się w zeszłą sobotę.

Świeżo upieczona panna młoda odebrała gratulacje od kolegi, ochoczo opowiadając o tej radosnej uroczystości, poprowadzonej przez urzędnika stanu cywilnego w ratuszu w Rudesdal, w obecności Anny Mii, córki Simonsena, która była jedynym gościem. Uroczystość została poprzedzona długą dyskusją i zawarciem wielu kompromisów związanych z planowaną oprawą. Simonsen chciał skromnego ślubu, Hrabianka marzyła o czymś większym. Pewnego dnia jednak nagle zmieniła zdanie i przystała na jego pomysł bez żadnych wyjaśnień.

– Pomyśl, że musieliśmy wezwać sąsiada na świadka, bo w przeciwnym razie ślub byłby nieważny. Prawda, Simon?

Jej małżonek wymamrotał coś ze złością, a wtedy go upomniała:

– Uśmiechnij się trochę, wyglądasz jak pacjent po leczeniu kanałowym.

Jak zwykle wszystko skupiło się na Pedersenie. Wmieszał się w sprzeczkę z własnej głupoty:

– Szczerze ci gratuluję, Simon, a właściwie wam obojgu. Nie zdradziliście się ani słowem.

To była kropla, która przelała czarę.

– Zamknij się! – krzyknął w końcu Simonsen.

Tak też zrobili wszyscy pozostali. Milczeli przez resztę podróży.

Rozdział 7

Kobieta, która przywitała czworo kopenhaskich funkcjonariuszy wydziału zabójstw, wyglądała jak wyjęta z filmu Mortena Korcha. Szambelanowa Lenette Blixen-Agerskjold czekała na swoich gości przy wjeździe na polną drogę, prowadzącą do lasu Hanehoved. Wypoczęta i uśmiechnięta, z kropelkami deszczu na czole, machała na powitanie w stronę samochodu. Na niebie właśnie pokazała się tęcza, a słońce zaczęło wychodzić zza chmur.

Lenette była trzydziestoparoletnią kobietą, nieco poniżej średniego wzrostu i miała na sobie praktyczny komplet składający się z niebiesko-zielonej kurtki deszczowej i spodni. Nogawki musiała podwinąć, bo okazały się za długie. Jej masywna sylwetka wybrzuszała się w nieodpowiednich miejscach z powodu umiarkowanej nadwagi, a kasztanowe włosy, farbowane domowym sposobem, wyraźnie domagały się wizyty w salonie fryzjerskim. Miała pogodną, na swój sposób urzekającą twarz i bystre, radosne spojrzenie.

Po tym, jak samochód skręcił, poprowadziła ich energicznymi gestami polną drogą. „Zaskakująco eleganckimi”, pomyślał Pedersen, stosując się do jej wskazówek. Pokazała im pobocze, gdzie kończyły się krzewy tarniny oddzielające dróżkę od pól uprawnych, i zaproponowała, by tam zaparkowali. Arnold wykorzystał okazję, aby skomentować:

- Coś takiego, wita nas arystokracja we własnej osobie.

Nie wyjaśnił, skąd to wie, a i nikt nie dopytywał. Może przeczytał w raporcie, z którym nie wszyscy zdążyli się jeszcze zapoznać.

- Ma tyle samo z arystokracji co ty i ja - poprawiła go Hrabianka.

- Kim jest więc szambelanowa? Sądziłem, że to ktoś powiązany z rodziną królewską.

- To na swój sposób prawda. Jeżeli będziesz utrzymywał dobre relacje z królową, możesz zostać nominowany.

- Czyli sugerujesz, że nie jest specjalnie wysoko urodzona? Zresztą nawet nie wygląda na taką.

- To dość względne, szambelan znajduje się na drugim szczeblu w hierarchii, na równi z biskupami, burmistrzami większym miast i naszym wspólnym szefem.

- A ile jest takich grup? - drążył zainteresowany Arnold.

- Stawkę zamyka czterdziesta grupa, do której należą wyszczekani jutlandzcy funkcjonariusze, zresztą razem z postaciami z kreskówek oraz chińskimi krasnalami ogrodowymi. Skupmy się teraz raczej na pracy - odpowiedział mu Simonsen.

To właśnie Konrad przejął na siebie wstępne formalności związane z przywitaniem się z Lenette. Pozdrowili się uprzejmie, podając nazwiska i stanowiska - z uśmiechem i życzliwie, można by rzec, adekwatnie do panującej pogody. Szef wydziału zabójstw podziękował należycie za możliwość odwiedzin, a potem przedstawił swoich ludzi, którzy przywitali się podaniem ręki. Po wymianie kilku niezobowiązujących uwag na temat kapryśnej duńskiej wiosny Simonsen postanowił wyjawic cel:

- No więc, przyjechaliśmy tutaj, żeby rozejrzeć się po okolicy. Nie wiem, czy już rozmawiała pani o tym z mężem?

- Proszę mi mówić Linette, my tutaj, na wsi, zwracamy się do siebie po imieniu, i owszem, rozmawiałam z Adamem. Przykro mu, że nie mógł was powitać, ale miał spotkanie w banku, więc na razie ja będę wam musiała wystarczyć. Mąż z pewnością zdąży wrócić, zanim dojdziemy do majątku - odparła głębokim, niemal zmysłowym głosem, jakby flirtowała.

Simonsen zaśmiał się lekko, niemal odruchowo, bo roztaczała wokół siebie dobrą aurę.

- Oczywiście, chętnie go poznamy, jeżeli nadarzy się okazja. Czy mąż uprzedził cię też, że żadne z nas nie zdążyło się jeszcze porządnie zapoznać ze sprawą, więc może się zdarzyć, że...

Zawahał się na moment, a wtedy ona zdecydowanym tonem wpadła mu w słowo:

- Tak, wiem: będziecie pytać mnie o sprawy, o których już wcześniej rozmawialiśmy. Dla mnie to nic nowego, podobnie rzecz się miała z policjantami z Hillerød, dlatego jestem przyzwyczajona. Ułożyłam dla nas trasę. To oczywiście tylko propozycja, ale jest jedna rzecz, którą musicie zobaczyć, dlatego sugeruję, żebyśmy zaczęli właśnie od niej.

Nie czekając na odpowiedź, Blixen-Agerskjold poprowadziła ich z powrotem polną ścieżką. Zatrzymała się tuż przy skrzyżowaniu z drogą krajową, po czym wskazała na dziurę w ziemi. Towarzystwo spoglądało na wyrwę i ze zrozumieniem kiwało głowami - wiedzieli, na co patrzą. Tutaj znajdował się przydrożny kamień użyty do obciążenia ciała Afrykanki przed zatopieniem go w jeziorze. Funkcjonariusze rozejrzeli się oceniająco wokół. Było stąd wszędzie daleko, a nawet bardzo daleko, gdy wzięło się pod uwagę taszczenie granitowego bloku. Simonsen, nie zwracając się do nikogo konkretnego, zapytał na głos:

- Czy ktoś pamięta, ile on ważył? Wydaje mi się, że gdzieś o tym czytałem, ale dokładna wartość wypadła mi z głowy.

- Prawie osiemdziesiąt kilo, a stąd jest około dwóch kilometrów do jeziora, i to w linii prostej - odparł Pedersen.

Nasuwały się różne wnioski, ale żaden z funkcjonariuszy nie wymówił ich na głos. Woleli zaczekać, aż zostaną sami. W pewnym momencie szambelanowa uznała, że goście dość się już napatrzyli.

- Zakładam, że interesuje was, jak stąd dojść do jeziora? - zapytała.

Z wewnętrznej kieszeni wyjęła mapę i rozłożyła ją na ziemi przed sobą. Policjanci przyklękli w zwartym półkolu, a Blixen-Agerskjold użyła patyka jako wskaźnika.

- Tu mamy posiadłość, a tam znajduje się jezioro, w którym znaleziono Afrykankę. Można do niego dotrzeć dwiema różnymi trasami: albo skręcić z drogi krajowej w leśną dróżkę, ale ta jest dość zarośnięta i stosunkowo trudna do przebycia, albo podążać tą polną ścieżką, a potem skręcić w prawo, skąd dróżka prowadzi do myśliwskiej chatki. Na koniec należy jeszcze przeciąć świerkowy las, graniczący z jeziorkiem. W tym ostatnim przypadku dotrze się do północnego brzegu, miejsca znalezienia dziewczyny. Jeżeli wybieriecie pierwsze rozwiązanie, dojdziecie do południowego przybrzeża, gdzie znajduje się wieża widokowa, wykorzystywana podczas polowań na jelenie, to się chyba nazywa ambona - wyjaśniła.

Powiodła wzrokiem po swojej publiczności, która potakiwała.

- Jaką tu macie zwierzynę łowną? - zapytał Arnold.

- Jelenie, chociaż nie ma ich za dużo, a poza tym jeszcze daniele. Nie jestem pewna, jak się nazywają poszczególne gatunki, ale Adam to wie. Nie przepadam za polowaniami.

Simonsen chciał wiedzieć, czy polna dróżka, na której stoją, prowadzi do samego majątku. Szambelanowa w odpowiedzi pokręciła przecząco głową.

- Nie, kończy się kilka kilometrów dalej, ale można potem przejść granicą pola, to nie jest zbyt uciążliwe, sama tak tutaj dotarłam.

- Nie da się przejechać samochodem?

Właścicielka majątku ze sceptycyzmem odniosła się do tego pomysłu.

- Może traktorem, ale ta polna dróżka kończy się przy kamiennym murku. Możliwe, że jest w nim gdzieś jakaś wyrwa, to prawdopodobne. Nie mam pojęcia.

- Ale zwykły samochód osobowy raczej nie dałby rady?

- Wydaje mi się, że to byłoby trudne, ale kto wie? Możesz mi towarzyszyć, gdy wybierzemy się z powrotem do posiadłości, wtedy sam ocenisz.

Nikt nie miał więcej pytań, więc całą grupą ruszyli polną dróżką, nie odzywając się zbyt wiele. Wysoko na niebie ponad ich głowami rozśpiewał się skowronek, ale tęcza zdążyła już wyblaknąć, a szare chmury przemieszczały się na wschód. Pedersen rozmyślał o tym, że jego praca miała swoje dobre strony, a Arnolda zastanawiało, czy szambelanowa nie jest przypadkiem zbyt perfekcyjna w tej swojej uprzejmości. Simonsen i Hrabianka szli obok siebie w milczeniu.

Pierwszym przystankiem była schowana w lesie chatka myśliwska. Wyglądała na nową, została zbudowana z prefabrykatów, na planie sześciokąta z pionowo ustawionych okorowanych świerkowych bali. Każda ściana domku miała wstawione szprosowe okienko. Jeden stopień prowadził do topornych, ciężkich drzwi. Funkcjonariusze wiedzieli, że wewnątrz chatki zostało zbadane niezwykle drobiazgowo, przeczesano dosłownie każdy centymetr kwadratowy w poszukiwaniu ewentualnych śladów, ale niczego nie znaleziono. Naukowa ekspertyza, którą dysponowali policjanci wydziału zabójstw, z niemal stuprocentową pewnością wykluczała obecność Afrykanki w tym miejscu.

Blixen-Agerskjold schyliła się i wyjęła klucz ze schowka pod stopniem. Otworzyła drzwi, ale sama pozostała na zewnątrz. Podobnie jak Simonsen i Hrabianka, Arnold ograniczył się do przelotnego

zajrzenia przez drzwi, tylko Pedersen wszedł do środka. W pomieszczeniu dominował stojący pośrodku sześciokątny otwarty kominek, otoczony masywnym blatem ze steatytu, prawdopodobnie zaprojektowany w taki sposób, żeby utrzymać ciepło przez całą noc. Wokół blatu ustawiono cztery prycze, które pełniły jednocześnie funkcję siedzisk, przy jednej ze ścian stała szafa, kolejną zajmowały drzwi. Pedersen usiadł na pryczy i powiódł wzrokiem dookoła, ale nic szczególnie nie przykuło jego uwagi. Sumiennie odsiedział jeszcze parę minut, niestety z tym samym rezultatem.

- Chatka jest nowa. Kiedy została postawiona? - zapytał stojący na zewnątrz Arnold.

- Półtora roku temu, ta stara tak się już rozpadała, że było nam po prostu wstyd - odparła bez zastanowienia Blixen-Agerskjold.

- Wstyd przed kim?

- Udzielamy prawa do polowań związkowi łowieckiemu w Kopenhadze. Mogą tu przyjeżdżać przez cały rok, ale w praktyce zdarza się to głównie jesienią, więc zimą chatkę rozebrano i postawiono nową.

Simonsen przejął inicjatywę.

- Wasz zarządca nazywa się Frode Otto? - zapytał łagodnie.

Po raz pierwszy twarz szambelanowej nieco się wykrzywiła. Jej głos zabrzmiał ostrzej.

- Tak, to on i doskonale wiem, że w młodości był na bakier z prawem. Ale od tego czasu minęło ponad piętnaście lat. A mimo to przesłuchiowano go przynajmniej dziesięciokrotnie, a na dodatek wszystko, co mówi, jest z góry traktowane jak kłamstwo i fikcja. Ludzie się przecież zmieniają, często na lepsze, ale może wydaje ci się, że to niemożliwe?

- Być może. To oczywiście ani miłe, ani sprawiedliwe, gdy ktoś jest źle postrzegany po tym, jak odbył swój wyrok i od wielu lat najwyraźniej nie wpakował się w nowe kłopoty. Jednak ja prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa i prawda jest taka, że w najmniejszym stopniu nie przejmuję się takimi drobiazgami. Przesłuchuję, kogo uznam za stosowne, a wieloletnie doświadczenie sprawiło, że stałem się cyniczny i pozbyłem się złudzeń co do zmiany ludzi na lepsze. Tak to już jest - odparł Simonsen bez owijania w bawełnę.

- Czyli za młodzieńcze błędy trzeba płacić już do końca życia?

- Hm, o ile wiem, to ostatnio doszło do kolejnej porażki. Chyba że coś pomyliłem?

Blixen-Agerskjold spuściła wzrok. Hrabianka wydawała się zaskoczona. Ton jej męża był mocno zaczepny, nawet za bardzo jak na jej gust. Poza tym dyskusowanie o przeszłości zarządcy z jego szefową wydawało się na obecnym etapie średnio uzasadnione. Jednak pomimo swoich obiekcji funkcjonariuszka zrobiła dokładnie to, czego od niej oczekiwano, i delikatnie chwytając szambelanową pod ramię, odciągnęła ją nieco na bok. Zatrzymały się z dala od pozostałych, choć mężczyźni widzieli, że ze sobą rozmawiają. Po chwili rozległy się ich śmiechy, a wtedy Simonsen też uśmiechnął się pod nosem. Dobry i zły glina - to niemal zawsze działało.

Towarzystwo zmierzało przez świerkowy las w stronę jeziora. Drzewa rosły tutaj dość rzadko, a i runo było wyraźnie przerzedzone. Kobiety szły przodem - bez pośpiechu prowadziły pochód, swobodnie rozmawiając.

- Dorastałaś w tej okolicy? - zapytała Hrabianka, zwracając się do szambelanowanej na ty, tak jak sobie tego życzyła.

- Prawie, jestem ze Slangerup. To niedaleko stąd, ale biorąc pod uwagę dostępność majątku, mogłabym równie dobrze pochodzić z Jutlandii. Nie bywałam w takich miejscach, zanim nie poznałam Adama.

- A jak poznałaś swojego męża?

- Pracowałam jako ekspedientka u rzeźnika. Wiesz, to nie było wcale takie romantyczne.

- Opowiedz mi o tym.

Szambelanowa rozpoczęła opowieść, a Hrabianka przysłuchiwała się uważnie, od czasu do czasu dopytując o jakieś szczegóły.

Gdy opuściły świerkowy las i weszły w liściasty, intymna atmosfera, którą Hrabianka stworzyła, przyniosła spodziewane efekty.

- Cztery lata temu Frode dostał wyrok trzech miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu za przemoc - napomknęła Blixen-Agerskjold. - Chodziło o burdę w knajpie w Kopenhadze i myślę, że obie strony były

równie winne. Zdecydowaliśmy się go zatrzymać, ale zaznaczyliśmy, że to już ostatnie ostrzeżenie.

Doszły do granicy zbrocza. Blixen-Agerskjold wskazała dłonią pomiędzy drzewami na jezioro rozciągające się poniżej. Chwilę później dołączyli do nich mężczyźni. Ostrożnie przemieszczali się w dół wzniesienia. Miejscami schodzili niemal na czworakach, a niekiedy opuszczali się tyłem, przytrzymując się młodych buków z rzadka porastających wzniesienie aż do samego brzegu. Jedna z gałązek odgięła się mściwie i drasnęła Pedersena w ucho, które zaczęło krwawić. Gdy pojedyncze krople krwi skapnęły na jego jasną skórzaną kurtkę, zaklął ze wściekłością, a wtedy Arnold go przeprosił.

Przed lasem trzciny, zasłaniających widok na jezioro, ktoś wbił w miękką glebę pal. Na górze zawiązano czerwono-biały pasek plastiku z napisem „policja”, zakończony pętelką. Nietrudno było zgadnąć, co konkretnie oznaczono. Simonsen wyjął scyzoryk i odciął taśmę, a następnie zwinął ją i wsunął do kieszeni. Potem się odwrócił i długo w milczeniu przyglądał się zarośłom. Pozostali trzymali się nieco na uboczu, w pełnej szacunku ciszy, niepewni, jakiego typu informacje chłonie teraz szef, gdy tak stoi i wpatruje się przed siebie, stracony dla świata i pogrążony we własnych myślach.

Jednak Simonsen niczego nie chłonał. Wspominał Kaspera Plancka, swojego dawnego szefa, który zmarł w zeszłym roku. Niedostrzegalnie potrząsnął głową, sam zdziwiony tym, jak funkcjonuje ludzki umysł. Od niemal dziesięciu lat pełnił funkcję szefa wydziału zabójstw i w tym czasie nie poświęcił swojemu poprzednikowi zbyt wielu zawodowych myśli. Były oczywiście wyjątki, tak, zwłaszcza jeden istotny, musiał to przyznać, ale summa summarum radził sobie w pracy samodzielnie. A mimo to po śmierci tego starego pryka tęsknił za nim niemal przez cały czas. Zaczął się zastanawiać, co też Planck by teraz powiedział, gdyby tu z nimi był. Początkowo nie potrafił udzielić przekonującej odpowiedzi, ale po chwili te jego domysły przecięła jasna heretycka myśl. Nie miał już najmniejszych wątpliwości co do komentarza, jaki wypowiedziałby jego dawny szef, gdyby teraz stanął obok niego. Niemal usłyszał jego ponury, nieco niespieszny głos, z tą charakterystyczną brutalną nutką szczeroci, która często przechodziła w sarkazm. Usłyszałby zapewne: „Co my tutaj, do cholery, robimy?”.

Rozdział 8

Simonsen, Hrabianka oraz państwo Blixenowie-Agerskjoldowie siedzieli w biurze szambelana w głównym budynku majątku Kolleløse Gods, popijając kawę i delektując się domowej roboty preclami. Prosto z pieca i jeszcze ciepłymi. Mężczyźni rozmawiali, kobiety milczały. Hrabianka przyglądała się obrazom na ścianach, które uwieczniały najpierw ród Blixenów, a potem Blixenów-Agerskjoldów. Portrety wisiały w równym rzędzie na każdej ze ścian, znajdujące się na nich postaci spoglądały gorliwie na żyjących potomków, a ich oczy zdawały się wyrażać konkretne oczekiwania. Funkcjonariuszka tylko jednym uchem przysłuchiwała się tej nieco wymuszonej rozmowie o prowadzeniu gospodarstwa, którą podtrzymywał Simonsen.

Adam Blixen-Agerskjold był wysokim, kościstym mężczyzną o bladej, pociągłej twarzy, końskiej szczęce, wytrzeszczonych oczach, wąskich, bladych ustach i z potarganą kozią bródką na cofniętym podbródku. „W zdumiewającym stopniu przypomina swoich przodków”, pomyślała Hrabianka, uznając gospodarza za sympatycznego. Miał nieco mroczny głos, gdy precyzyjnie i bez irytacji odpowiadał na pytania inspektora, chociaż musiało być dla niego oczywiste, że poprowadzenie kanalizacji przez fundamenty z kamienia polnego czy odrestaurowywanie miedzianego dachu w najmniejszym stopniu nie interesowało szefa wydziału zabójstw.

Po chwili pogawędki i spróbowaniu wypieków Simonsen poprawił się na krześle i splótł dłonie na brzuchu. Hrabianka, która знаła ten gest, wyostrzyła uwagę.

- Czy sam osobiście zajmujesz się dokumentacją finansową majątku? - zapytał policjant. Do męża Lenette inspektor zwracał się tak jak do niej, czyli po imieniu.

- Tak, wspólnie z bankiem i naszym księgowym. - Blixen-Agerskjold skinął głową na potwierdzenie.

- I prowadzisz w ten sposób całą dokumentację?

- Nie, nie całą. Nasz zarządca Otto rozlicza się z tych obszarów, którymi się zajmuje, ale oczywiście przedstawia mnie i mojemu księgowemu odpowiednie raporty.

- A jakie obszary należą do zarządcy?

- Te, które nie są bezpośrednio związane z prowadzeniem gospodarstwa rolnego. Obecnie są tylko trzy. To polowania, potem nasi goście - za sadem jabłoni mamy siedem domków dla gości - oraz hodowla grzybów w piwnicy. Niestety żadne z tych działań nie ma większego znaczenia ekonomicznego. Cały czas eksperymentujemy, próbując znaleźć alternatywne źródła dochodów, jak dotąd bez większych sukcesów.

- I to akurat Otto jest odpowiedzialny za te eksperymenty?

- Tak, właśnie on. Ja skupiam się wyłącznie na rolnictwie.

- A jak wygląda sprawa z rozliczeniami, załącznikami, budżetami i tego rodzaju dokumentacją? Czy moglibyście nam udostępnić te dane, umożliwić wykonanie kopii? Interesuje nas także nieco wcześniejszy okres.

- Oczywiście, nie mamy nic do ukrycia. Ale jeżeli chodzi o kopie z dawnych lat, to mogą trochę ważyć. - Szambelan się uśmiechnął.

- Bo? - spytał Simonsen nieco ostrzejszym tonem.

Właściciel majątku wskazał kościstym ramieniem w stronę regału na książki po swojej lewej stronie, gdzie stało, jedna przy drugiej, mnóstwo książek oprawionych w skórę z wyblakłym złotym nadrukiem.

- Mamy tutaj księgi z drugiej połowy osiemnastego wieku. Można w nich prześledzić dochody z głównej posiadłości i tej dzierżawionej, a także wpływy z lasów, młyna i dziesięciny. Wszystko oczywiście w przeliczeniu na baryłki zboża. Obawiam się jednak, że kopiowanie może zająć sporo czasu.

- Adamie, przestań już. Doskonale wiesz, czego dotyczyło pytanie - wtrąciła się jego żona.

Telefon Simonsena głośno zapikał, sygnalizując nadejście SMS-a. Hrabianka spojrzała zaskoczona, bo jej mąż zawsze przed rozpoczęciem rozmowy wyłączał komórkę. Zdziwiła się jeszcze bardziej, gdy inspektor przeprosił rozmówców i zajął się odczytywaniem wiadomości. Postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce.

- Przepraszam za to nasze niezbyt fortunne sformułowanie. Jak już się zapewne zorientowaliście, jesteśmy nowicjuszami, jeżeli chodzi o księgowość. Mamy jednak kolegów, którzy specjalizują się w tej dziedzinie. Czy bylibyście skłonni do współpracy, gdybyśmy przysłali tutaj kilku z nich?

- Oczywiście! Jak już mówiłem, nie mamy nic do ukrycia. Większość informacji można również znaleźć w sieci, jeżeli dysponuje się odpowiednimi hasłami i kodami, a wasi ludzie mogą je ode mnie dostać - odpowiedział natychmiast szambelan, bez najmniejszego zawahania.

Simonsen przekazał telefon Hrabiance, żeby mogła przeczytać wiadomość. Pochodziła od Berg i brzmiała:

Madame widzi, że dziewczyna została powieszona naga na drzewie. Do góry nogami, z głową w dół, a potem pobita na śmierć. Jej ubranie zostało spalone w lesie. Madame jest bardzo pewna swojej wizji.

PS Ależ ten jej mąż jest obleśny!

Pomimo makabrycznej treści Hrabianka uśmiechnęła się szeroko, a jednocześnie z rezygnacją potrząsnęła głową z powodu zachowania swojego świeżo upieczonemu małżonka. Simonsen właśnie przekazał Berg jeden ze swoich osobistych bastionów. Madame była jasnowiedzką, przyjmującą u siebie w domu, w Høje Taastrup. Od dłuższego czasu stanowiła dla inspektora alternatywne źródło informacji, ale specjalnie się z tym nie obnosił. Hrabianka tylko raz miała okazję ją spotkać, w pozostałych przypadkach Simonsen kontaktował się z Madame bez świadków. Często nikt nawet nie wiedział, że ją odwiedzał ani co mu wtedy powiedziała. Jednak tym razem, w związku z prowadzonym dochodzeniem, zaszczyt spotkania z jasnowiedzką najwyraźniej przypadł w udziale Berg. Należało dobrze znać Simonsena, żeby uświadomić sobie, jak znaczący był to gest, zwłaszcza że o niczym nie wspomniał podczas podróży, licząc się z tym, że zostanie później zganiony. Hrabianka pomyślała, że to wszystko jest głęboko niesprawiedliwe.

Kiedy skończyła czytać SMS, Simonsen zapytał:

- Czy wyrazilibyście zgodę na bardziej systematyczne przeszukanie lasu Hanehoved?

Hrabianka zmarszczyła brwi. Zazwyczaj szef wydziału zabójstw nie przykładał zbyt dużej wagi do słów Madame.

- Nie mam nic przeciwko temu. Masz na myśli cały las? - chciał się upewnić Blixen-Agerskjold.

- Tak, cały las.

- Mogę zapytać, czego zamierzacie poszukać?

- Pozostałości po ognisku, możliwe też, że resztek odzieży.

- Należącej do tej Afrykanki?

- Być może, będziemy próbowali to ustalić, w miarę możliwości.

Pytanie, czy zechcesz nam w tym pomóc.

- Tak, oczywiście. Możecie potraktować posiadłość jako bazę wypadową, jeżeli tak będzie wam wygodniej. Mogę też zorganizować paru ochotników, jeśli zajdzie taka potrzeba. Kiedy chcielibyście zacząć?

- Jeszcze tego nie zaplanowałem, ale wkrótce - odparł Simonsen. - Byłoby świetnie, gdybyśmy mogli wyruszać stąd. Za ochotników dziękuję, ale to miłe z twojej strony.

Mężczyźni wymienili jeszcze kilka praktycznych uwag, po czym inspektor wraz z Hrabianką podziękowali za miłą gościnę i opuścili biuro.

Rozdział 9

Pedersen i Arnold lustrowali majątek Kolleløse Gods i jego liczne zabudowania. Ich profesjonalna ciekawość nie była poparta żadnym konkretnym planem. Gdy spotykali którąś z zatrudnionych w posiadłości osób, witali się uprzejmie, wymieniali kilka niezobowiązujących uwag i człapali dalej. Przez dłuższą chwilę węszyli wokół domków dla turystów, zaglądając przez okna, a następnie przecięli trawnik i udali się do podłużnych bocznych zabudowań kompleksu, teraz nieczynnych, ale nadal utrzymanych w dobrym stanie. Ich ceglane ściany z małymi, pomalowanymi na czarno metalowymi okienkami pokryto wapnem w kolorze ochry.

- Ten mail, który Simon wysłał przed południem, to jeden wielki stek pouczeń. Naprawdę się starałem coś z tego pojąć, ale to kompletnie nie ma sensu - stwierdził Arnold.

- To ja pisałem ten mail w jego imieniu - wyjaśnił Pedersen.

- Doskonale o tym wiem.

- Coś podobnego, naprawdę? Może w takim razie wiesz też, że to było polecenie z samej góry?

- Nie, ale to wcale nie polepsza sprawy. Jeżeli jest jakaś rzecz, do której się nigdy nie przyzwyczaję, to właśnie ten zawołany sposób komunikowania, który tutaj w Kopenhadze czasami uprawiacie. U nas w domu, na Jutlandii nazywamy rzeczy po imieniu.

W domu, czyli w Esbjerg. Pedersen pomyślał, że Arnold już zawsze będzie mówił w ten sposób, choćby nie wiem jak długo mieszkał w okolicach Kopenhagi. Przeprowadził się z rodziną do stolicy tylko dlatego, że jego żona dostała się do parlamentu, choć miał nadzieję, że to nigdy nie nastąpi. Z pewnością gdy tylko upłynie jej kadencja, natychmiast wróćą do siebie.

- To dlatego, że tam, skąd pochodzisz, utrzymujecie się z połowu ryb - zaczął tłumaczyć Pedersen, niczym nauczyciel. - To prosta i konkretna praca: wypłynięcie w morze, złapanie ryb, z powrotem do domu, wypatroszenie nieprzyjemnej zawartości, do pieca, z pieca, do

brzucha i już jesteście syci i szczęśliwi. Natomiast my tutaj jesteśmy kupcami, a to dużo bardziej skomplikowane, bo zawarcie korzystnej umowy handlowej często wymaga okrężnej drogi. Takie podejście znajduje odzwierciedlenie w języku, dlatego musimy być bardziej wyrafinowani.

- Jeżeli kiedykolwiek przyjedziesz do Esbjerg, to masz jak w banku, że zabiorę cię na kuter rybacki, żebyś miał okazję wyrzygać te swoje protekcyjne uwagi prosto do Morza Północnego.

- Wiesz co, zawsze o tym marzyłem, to znaczy nie o tym, żeby zwymiotować, tylko żeby zaliczyć taką rundkę na kutrze. Naprawdę mógłbyś coś takiego zorganizować?

Arnold się zatrzymał, ale nic nie odparł, a Pedersen powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem. Jakaś kura przecisnęła się przez uchyloną bramę stodoły, znajdującą się po ich lewej stronie.

- Co to było? - zapytał Jutlandczyk?

- *Gallus gallus domesticus*, zwana także kurą domową. Powinieneś wiedzieć takie rzeczy, to przecież ty pochodzisz ze wsi.

Kura skubała coś pomiędzy brukowanymi kamieniami na dziedzińcu, od czasu do czasu podejrzliwie zerkając w stronę dwóch funkcjonariuszy, jakby wiedziała, że o niej rozmawiają. Arnold stał dalej w bezruchu, także wtedy, gdy ptak chwilę później, pogdakując, poczłapał dalej. Nagle Pedersen też to dostrzegł - krótkie, białe błyski światła dochodzące ze stodoły, trwające nie dłużej niż parę sekund. Weszli do środka.

Wewnątrz było sporo miejsca, wszędzie stały maszyny rolnicze, nowe na przemian z używanymi - jakieś traktory, kombajny, opryskiwacze i inne pojazdy, których zastosowania funkcjonariusze nie potrafili się domyślić. Po lewej stronie od wejścia znajdował się stary powóz, jedno z kół zastąpiono podparciem z belki, a jego zadaszenie wyglądało na mocno sfatygowane - było popękane i pokryte pleśnią. Obok stał nowoczesny, gigantyczny pług, czerwono-zielone monstrum, którego liczne błyszczące lemieszki zostały sprytnie złożone i sterczały teraz w kierunku sufitu. Zygzakiem przecięli pomieszczenie, Arnold szedł przodem, Pedersen z niejakim wahaniem podążał za nim, niepewny, dokąd prowadzi go Jutlandczyk. Błyski światła stawały się coraz silniejsze, a do nosów funkcjonariuszy zaczęła docierać ostra woń

ozonu. Na tyłach pomieszczenia, przy niewielkim metalowym stole, stał jakiś mężczyzna i spawał. Twarz miał osłoniętą przyłbicą, a nad jego stanowiskiem pracy zwisała sporych rozmiarów rura podłączona do dużego czarnego pochłaniacza. Spawacz zerknął przelotnie na dwóch nieproszonych gości, po czy demonstracyjnie wrócił do swoich zajęć. Policjanci stali przez chwilę i przyglądali się pracy, od czasu do czasu osłaniając dłonią oczy lub odwracając wzrok od silnego niebieskawobiałego światła. Potem Arnold postąpił kilka kroków do przodu i wyłączył urządzenie z prądu. Mężczyzna ściągnął swoje wielkie rękawice i rzucił je ze złością na metalowy stół, podniósł przyłbicę, zamrugał oczami, zdjął z głowy kask i położył go na rękawicach.

- Frode Otto? - zagadnął Pedersen.

- Kto pyta?

Arnold zaczął szukać identyfikatora, ale mu przerwano:

- Daruj sobie, dobrze wiem, że jesteście gliniarzami. I tak, nazywam się Frode Otto.

Zarządca był krzepkim mężczyzną, około pięćdziesiątki, o grubych rysach i silnych kończynach, jego ciało zdradzało przyzwyczajenie do wysiłku fizycznego. Miał ogorzałą twarz, a przyprószone siwizną włosy związał w nieestetyczny koński ogon, który ocierał się o szyję. Bystre, niechętnie spojrzenie. Arnold wpatrywał się w jego dłonie - ogromne, nawet jak dla niego. I spracowane - nie dawały się całkowicie rozprostować, powykrzywiane, jakby harowały od dziesięcioleci. W małym palcu brakowało dwóch paliczków, na serdecznym obrączki. Policjant wyciągnął dłoń na powitanie, ale spawacz tylko się cofnął.

- Dziękuję, możemy sobie darować te uprzejmości. Powiedzcie, co chcecie wiedzieć. Spróbuję odpowiedzieć na wasze pytania najlepiej, jak potrafię, starając się nie myśleć o tym, że zapewne odpowiadam na nie po raz setny - burknął.

Arnold wskazał na kawałek metalu leżący na stole.

- Jesteś kiepskim spawaczem - stwierdził.

Rozbrajający ton głosu Jutlandczyka sprawił, że uwaga zabrzmiała niemal jak koleżeński komentarz. Pedersen się uśmiechnął, widział to już wcześniej. Jego partner miał spory dar nawiązywania kontaktu z ludźmi w swoim własnym niepowtarzalnym stylu. Trzech mężczyzn

przyglądało się teraz kawałkowi metalu, dostrzegając, że spoina rzeczywiście jest nierówna i węzłowata.

- Ja sam wcale nie potrafię lepiej. To, kurczę, trudniejsze, niż mogłoby się wydawać - dodał funkcjonariusz.

- To nie żadna nastawa ołtarzowa, wystarczy, że będzie się trzymać. Poza tym jestem zajęty. - Otto wzruszył ramionami.

- Nie musisz się niepokoić, za chwilę sobie pójdziemy. Interesuje mnie jedno: czy rzeczywiście ludzie z Hillerød tak bardzo ci dokuczili, że jesteś teraz taki opryskliwy?

Mężczyzna pokiwał głową na boki, jakby chciał dać do zrozumienia, że w sumie nie jest tak źle.

- Właściwie doskonale cię rozumiem. Potrafimy być naprawdę nieprzyjemni, gdy kontaktujemy się z obywatelami, z którymi wcześniej mieliśmy do czynienia - wtrącił się do rozmowy Pedersen.

Jego pojednawczy ton okazał się skuteczny, Otto się rozchmurzył i po chwili rozmawiali już swobodnie o różnych sprawach. Jednak nastrój zmienił się gwałtownie, gdy dołączyli do nich Simonsen z Hrabianką. Wyszli z za traktora i jak tylko Otto ich dostrzegł, zaczął się zachowywać inaczej. Na początku zeszywniał, jakby się wystraszył, a potem szybko przywdział swoje rękawice i nieuprzejmie odwrócił się plecami do nowo przybyłych. Podłączył spawarkę do prądu i założył kask, a następnie opuścił przyłbicę. Simonsen ustawił się po drugiej stronie jego stanowiska pracy i bez skrępowania przyglądał się pracy zarządcy do czasu, aż łuk spawalniczy kazał mu odwrócić wzrok, a wtedy zamachnął się ramieniem w jakimś karykaturalnym geście, którego nikt z funkcjonariuszy nie potrafił odczytać. Arnold spojrzął pytająco w stronę kontaktu. Jego szef pokręcił przecząco głową, a potem powtórzył wcześniejszy gest. Oślepiające światło wyeksponowało ten ruch w nieco zniekształconej formie na ścianie, w postaci cienia. Hrabianka pomyślała, że czas wracać do domu. Odwróciła się i ruszyła do wyjścia, a pozostali podążyli za nią.

Rozdział 10

W salonie kasyna Hafnia, przeznaczonym do gry w pokera, powietrze aż drżało od skumulowanego napięcia. Tego wieczoru pula była największa. Zwycięzca miał zostać chip leaderem, a jednocześnie zapewnić sobie znakomitą pozycję wyjściową, by wspiać się na sam szczyt w turnieju. Jan Podowski przyglądał się publiczności, której uwaga skupiła się na stole finałowym. Wyczekujące twarze na wyciągniętych szyjach, osoby znajdujące się z tyłu wstały, bo tylko nieliczni śledzili grę na wewnętrznych monitorach kasyna, na których był najlepszy obraz. Każdy chciał osobiście wziąć udział w tym wydarzeniu. Albo prawie każdy.

Podowski zauważył, jak trzy fotomodelki wykorzystały okazję, żeby choć przez chwilę odkleić z twarzy uśmiech i zamiast tego trochę ogrzać nagie ramiona, przesuwając po nich dłońmi w górę i w dół. Zatrudniono je w charakterze żywych słupów reklamowych, co odbierało im nieco seksapilu, mimo perfekcyjnych kształtów. Na dodatek miały na sobie zbyt opięte jedwabne sukienki - w kolorach kasyna Hafnia: pomarańczowym, zielonym i czerwonym - żeby przyciągnąć wzrok. Złapał spojrzenie panny Pomarańczowej, skrzyżował ramiona i powtórzył jej ruchy na swojej marynarce od smokingu. Obdarzyła go w zamian słabym uśmiechem, prawdziwym i przypuszczalnie pierwszym takim, od kiedy tu się pojawiła. Wyłożono turn, czwartą kartę wspólną, i pomieszczenie wypełniło się niepokojem. Podowski zerknął obojętnie na monitor po swojej lewej stronie. Dziesiątka karo, a to mogło oznaczać wszystko. Zaraz potem kamera uchwyciła Benedikte Lerche-Larsen w zamysłonej pozie, która, jak Podowski wiedział, potrafiła przeciągać grę w nieskończoność, aby potem pójść na całość i przegrać. Powinna się już wycofać, mimo wszystko nie przyszli do kasyna, aby zgarnąć całe pięćdziesiąt tysięcy, ale poza ich dwojgiem nikt nie miał o tym pojęcia.

Swoją drogą tego wieczoru szło jej całkiem nieźle, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. To był jeden z jej najlepszych występów, jakie dotąd oglądał. Znał jej styl obstawiania, była wybitna

w *tight aggressive*, rozgrywała tylko mocny zakres rąk. Angażowała się w jakieś trzydzieści procent rozdań. Z drugiej strony, gdy już się zaangażowała, była konsekwentna w swoich podbiciach i przebiciach, zarówno przed flopem, jak i po nim. Najlepsze było to, że niekiedy przełamywała swój schemat i w odpowiednich momentach decydowała się na dzikie blefy i półblefy, niekiedy robiła to nawet w trzech rozdaniach z rzędu. To sprawiało, że zdawała się nieprzewidywalna, trudna do rozgryzienia, co zresztą znakomicie harmonizowało z jej zachowaniem poza stołem pokerowym. Dzisiejszego wieczoru jej strategia okazała się skuteczna i Benedikte doszła do samego finału. Oczywiście miała też szczęście, to było konieczne, bo w pokerze w krótkiej perspektywie szczęście zawsze okazuje się istotniejsze od umiejętności. Niemniej to nie przypadek, że koniec końców znalazła się pośród czterech ostatnich graczy. Podowski uznał, że powinien ją pochwalić, gdy za chwilę do niego podejdzie, chociaż zapewne odpowie na jego pochlebstwo typowym dla siebie sarkazmem. Broniła się w taki sposób, odkąd pamiętał. Taka reakcja to pokłosie dzieciństwa przeżytego bez miłości, gdzie wszystko, co robiła, nie było dość dobre. Pozostawało zagadką, dlaczego już dawno temu na dobre nie odwróciła się od swoich rodziców - zasłużyli na to, zresztą ona też. Stwierdził, że pewnego dnia ją o to zapyta. Dopił whisky i od razu zatęsknił za kolejną.

Lerche-Larsen zakończyła w końcu podjęła decyzję, a stłumione westchnienie rozeszło się po sali, gdy wszystkie żetony przesunęła w stronę puli. Kamera skierowała kilkusekundową uwagę na jej przeciwnika o pryszczatej twarzy, gdy ten bez wahania ją sprawdził. Oboje graczy odstłoniło swoje karty, a monitor zaczął mrugać, wyświetlając przesadnie wielkimi złotymi cyframi kwotę w puli - 2,1 miliona - śmiesznie nadmuchaną wartość, która nie miała nic wspólnego z rzeczywistością. Podowski stwierdził z satysfakcją, że dziewczyna zapewne przegra. Mógł ją uratować jedynie river w postaci szóstki. Krupier stopniował napięcie w należyty sposób, po czym odstłonił siódmkę trefl, a wtedy Podowski dał znać kelnerowi, że życzy sobie kolejnej whisky.

Minęło trochę czasu, zanim dołączyła do niego Lerche-Larsen. Już powoli zaczął się za nią rozglądać, kiedy wreszcie się pokazała. W zaskakująco towarzyskim nastroju. Sunęła w jego stronę przez salę

niczym królowa, a ludzie odprowadzali ją spojrzeniami, gdy posyłała im miłe uśmiechy, prezentując się korzystnie w tym oszczędnym żółtym świetle. Podobnie zresztą jak w tym ostrym białym nad stołem pokerowym. Uwiecniło ją kilka błysków aparatów, a ona okazała jeszcze więcej wdzięku, pozując do kolejnego zdjęcia. Miała na sobie czarną spódnicę podkreślającą figurę oraz długi kaszmirowy kardigan w kolorze stonowanego indygo, komponujący się z kamieniami szlachetnymi w jej dużych złotych kolczykach. Rude włosy były rozpuszczone, a makijaż oszczędny. W dłoni trzymała srebrną kopertówkę od Chanel. Podowski pomyślał, że kobieta powoli staje się znaną twarzą wśród pokerzystów, a dzisiejszy wieczór z pewnością przysłuży się jej reputacji. Podśledzał, jak po kątach szeptano, że dorobiła się nawet ksywy Nudna Twarz. Wydawało mu się, że by zaoponowała, gdyby się o tym dowiedziała, chociaż z nią nigdy nic nie wiadomo.

Kobieta wślizgnęła się elegancko na barowy stołek obok Podowskiego, ale odezwała się dopiero, gdy jej adoratorzy odwrócili wzrok. Skinęła głową w stronę jego whisky.

- Jesteś pijany? - zapytała ostrym tonem.

- Nie, nie bardziej niż zwykle.

- Zwykle bywasz pijany, czyli tak. Nie mam ochoty odwozić cię do domu czy gdzie tam się wybierasz, możesz wziąć taksówkę.

Podowski był znany z tego, że chronił swoje życie prywatne, więc gdy go gdzieś podrzucała, zawsze domagał się wysadzenia przy stacji Roskilde, resztę drogi pokonywał sam.

- Sam dostanę się do domu bez żadnego problemu. Powiedz mi, co to było za przedstawienie. To do ciebie niepodobne - stwierdził.

- Spotkałam przyjaciółkę. Siedzi przy barze i mizdrzy się do każdego. Chciałam, żeby dostrzegła, na czym polega różnica między dobrym a kiepskim stylem. Nie cierpię jej.

- Po co ci przyjaciółka, której nie cierpisz?

- Nie twoja sprawa. Może dlatego, że tylko takie mi odpowiadają. Załatw mi lemoniadę w kolorze butelkowej zieleni z owocem granatu i sokiem z czarnego bzu, a do tego kilka kostek lodu, a potem mi opowiesz, co sądzisz o tym chłopaku.

Podowski pstryknął na kelnera i udało mu się nawiązać z nim kontakt.

- Myślę, że chłopak ma potencjał, choć nie jestem tego pewny. Jego styl gry wydaje się niespójny, więc trudno coś powiedzieć. A co ty o nim myślisz? - zapytał nieco nieobecny.

- To samo co ty: niedoświadczony lekkoduch, a z drugiej strony dość bystry, nie ma co do tego wątpliwości. Zapewne SL sprawdził go w sieci, w przeciwnym razie nie siedzielibyśmy tutaj. Jak on go ocenia?

Svend Lerche, nazywany w skrócie SL, był ojcem Lerche-Larsen. Dopiero w ostatnich latach zaczęła używać jego inicjałów i Podowski nadal odczuwał pewien zgrzyt, gdy mówiła w ten sposób. To określenie jak mało co oddawało jej chłodny dystans do ojca. Zresztą ona sama doskonale zdawała sobie z tego sprawę, co więcej delektowała się, przeciągle wymawiając te dwie litery. Jakby dla niej nigdy nie nazywał się inaczej... To było wręcz przerażające. Podowski nie miał jednak ochoty, aby dyskutować z nią o swoim szefie, bo stąpałby po cienkim lodzie, a nie chciał kłopotów.

- Nie mam pojęcia, jak głęboko twój ojciec zajrzał mu w karty, dosłownie rzecz ujmując, ha, ha... Sama musisz z nim o tym porozmawiać - odparł.

Jego dowcip spalił na panewce, bo go po prostu zignorowała.

- Myślisz, że wygra? - zagadnął ją ponownie po chwili.

Swoje pytanie podkreślił ruchem dłoni, wskazując na monitor telewizora, który właśnie pokazywał zbliżenie młodego mężczyzny w zamysłonej pozie. Po tym, jak Lerche-Larsen opuściła stół, wygranemu zaczęto poświęcać znacznie więcej uwagi. Benedikte zerknęła teraz nieuważnie na jego twarz i zaskakująco precyzyjnie skomentowała:

- Nie, o ile nie będzie miał cholernie dużo szczęścia. Ten drugi gbur jest zbyt mocny, na koniec go zeżre. Mimo to facet ma szansę zostać numerem dwa.

- Numer dwa to też nieźle.

- Numer dwa to przegrany, a swoją drogą, to sam będziesz z nim rozmawiał. Ślini się na mój widok od paru godzin, nie mogę go zdzierżyć.

Podszedł kelner i Podowski zamówił Benedikte drinka. Dzięki temu zyskał nieco czasu do namysłu. W końcu przeszedł do sedna.

- Okej, pogadamy z nim, gdy skończy. Dostanie pięć kawałków i poddamy go kilku tradycyjnym próbom w sieci, a także zarezerwujemy mu kurs online, który będzie musiał ukończyć. Jeżeli sobie z tym poradzi w rozsądnym czasie – powiedzmy w ciągu dwóch miesięcy – będziemy nad nim pracować, w przeciwnym wypadku odpuścimy go sobie. Poza tym obiecuję go uprzedzić, że ciebie w pakiecie nie dostanie. Zgadasz się?

Skinęła głową bez przekonania, jakby sprawa jej nie dotyczyła.

- Niech będzie.

Kelner przyniósł jej drinka, którego niemal natychmiast mu oddała, bo barman zapomniał dodać kostek lodu. Lokal wypełnił się rozproszonymi oklaskami, gdy gbur pozbył się trzeciego finalisty gutshotem. Podowski przypomniał sobie, że zamierzał ją pochwalić, dlatego rzucił nonszalancko:

- Świetnie dzisiaj grałaś, naprawdę dobrze sobie poradziłaś.

Zareagowała natychmiast. Odwróciła się gwałtownie w jego stronę, wzmagając czujność.

- Jeżeli w ten mało elegancki sposób próbujesz dobrać się do mojej premii, to musisz wiedzieć, że zamierzam ją zachować tylko dla siebie. Mogę ci odpalić tysiaka, jeżeli nie wspomnisz o niczym SL, ale ani korony więcej. Nie robiłeś dzisiaj nic poza chlaniem przez cały wieczór.

Nie poświęcił premii ani jednej myśli, w rzeczywistości zupełnie o niej zapomniał. Pieniądze należały do ojca Lerche-Larsen i jeżeli tylko się o nich dowie, z pewnością je skonfiskuje. Nie z powodu kwoty, jest mu obojętna, ale liczą się zasady. SL płacił im pensję. Podowski nie miał pojęcia, ile Lerche-Larsen od niego dostawała, ale otrzymywała wynagrodzenie, dlatego jej ojciec miał prawo do wszystkiego, co udało jej się zdobyć w godzinach pracy.

- Sama się z tym bujaj. Nie zamierzam mu nic mówić, chyba że zapyta wprost. I tak przecież może to jutro bez problemu zobaczyć na stronie internetowej kasyna Hafnia.

- Niekoniecznie, bo zdarzy się nieszczęśliwa pomyłka. Moje nazwisko się tam nie pojawi.

- Hm, czyli to dlatego przyście tutaj zajęło ci tyle czasu?

- Tak, musiałam to najpierw załatwić.

- A co z tą twoją rozpustną przyjaciółką? To było kłamstwo?

Lerche-Larsen wzruszyła ramionami. Kelner postawił na stole drink, tym razem z lodem. Próbował dodać jakąś uprzejmą uwagę, ale zupełnie go zignorowała. Nagle zaangażowała się w rozmowę, kładąc dłoń na ramieniu Podowskiego. Jej głos się zmienił, stał się intensywniejszy.

- Widziałeś wczorajsze wiadomości?

- Tak, większość. Co masz na myśli?

- Tego szefa wydziału zabójstw, nie pamiętam, jak się nazywa, ale to on przejął sprawę... No wiesz, o co mi chodzi.

Od wydarzeń w lesie Hanehoved minął ponad rok, a dopiero dzisiaj, po raz pierwszy, wróciła do tamtej historii. Do tej pory z jej ust nie padła najmniejsza sugestia dotycząca tego, co się wówczas zdarzyło.

- Nazywa się Konrad Simonsen i jest szefem wydziału zabójstw w Kopenhadze. Co ci w nim nie pasuje?

- Nie chodzi mi o nic konkretnego, wydaje się dość nieprzyjemny i... tak po prostu go nie lubię.

- Boisz się?

- Tak, boję się - przyznała. - A ty nie? - zdziwiła się.

- Nie, nieszczególnie, już nie. Trochę się denerwowałem zaraz po fakcie, ale teraz nie wydaje mi się, żeby było się czego obawiać. Wiem natomiast, że to nie jest temat do dyskusji w tym miejscu. W żadnym wypadku.

- Nie, oczywiście, że nie, masz rację. A co z Henrikiem? Macie ze sobą kontakt?

- Nie, nie mamy i już nigdy nie będziemy mieć, ale, Benedikte, przestań już o tym mówić. Jednak zawieziesz mnie do Roskilde, gdy tu skończymy. Wtedy będziemy mogli o tym pogadać po drodze.

Z wahaniem przystała na jego propozycję.

- Niech będzie.

Przez pewien czas śledzili rozgrywki pokera w milczeniu, ale rozstrzygnięcie się przedłużało. Pozostali przy stole dwaj kombatanci mieli taką samą liczbę żetonów i ta sytuacja trwała już od dłuższego czasu. Podowski zaczął się nudzić, Lerche-Larsen ponownie uciekła gdzieś myślami.

- Wyjdę zapalić - przerwał jej rozmyślenia.

Zmierzyła go krytycznie od stóp do głów, gdy z trudem się podnosił.

- Jeżeli nie umrzesz z przepicia, zejdziesz z powodu otyłości, o ile wcześniej nie wykończy cię rak. Co na to twoja dziewczyna? Zaczęła się już rozglądać za jakimś zastępstwem?

Nie wydawał się zaskoczony, bo już wcześniej raczyła go takimi reakcjami. Przed chwilą nieco się otworzyła, pokazała ułamek siebie, więc to normalne, że teraz tak się zachowała. Taka już była, ta biedna Benedikte.

Rozdział 11

Pogoda w Wielkanoc pokazała się ze swojej najlepszej strony, jednak mężczyzna, który tego sobotniego przedpołudnia maszerował willową uliczką w Rungsted, nie zwracał sobie głowy panującą aurą. Jego zdecydowany krok odbijał się echem na płytkach chodnika i tylko jego sporadyczne przelotne spojrzenia na oznakowania drogowe dzielnicy zdradzały, że tu nie mieszka i wytyczył swoją trasę na podstawie mapy. Regularny stukot obcasów sprawił, że listonosz na moment uniósł wzrok znad trzymany listów, a wściekle ujadające kundły odprowadzały przybysza do końca posesji. Poza tym nikt się nim nie interesował. To była okolica, w której każdy pilnował własnego nosa i nie wtrącał się w sprawy sąsiadów. Wyraźnie to teraz wyczuł, dlatego trzeźwo ocenił, że w tej dzielnicy mieszkają porządni ludzie. On sam był mężczyzną, który trzymał się na uboczu, dlatego nie uznawał wścibstwa, nawet jeżeli wybierał się tylko z wizytą. Dużo zamieszania oznaczało sporo kłopotów - wcześniej czy później zawsze kończyło się tak samo. Tupnął mocniej, żeby podkreślić tę ostatnią myśl - taką miał filozofię życiową, którą wyznawał przez całe życie. A ci, którzy postrzegali jego powściągliwość jako słabość i brak woli działania, się mylili. Bjarne Fabricius był niebezpiecznym mężczyzną i wcale nie drżały mu ręce, gdy znajdował się pod presją. Sporo ludzi zdążyło się z czasem o tym przekonać.

Niecałe dziesięć minut później doszedł do celu. Na moment zatrzymał się przy ogrodowej furtce i przebiegł okolicę czujnym spojrzeniem, żeby wyrobić sobie o niej zdanie. Willa była nieco cofnięta od strony drogi - czerwone, dobrze utrzymane cegły pod zieloną, glazurowaną dachówką, budynek o trzech kondygnacjach i ładnie wkomponowany w pagórkowaty teren. Dwa panoramiczne okna wychodziły na pomalowany na biało taras, ogród urządzone gustownie, choć nudno, a w murowanym garażu, który Fabricius właśnie minął, stały zaparkowane dwa pojazdy: białe porsche i czarne audi. W słońcu za domem pobłyskiwała cieśnina Sund - niebieska i leniwa z miniaturowymi kontenerowcami sunącymi po kanale żegludowym.

Z tej odległości zdawały się nieruchome, jakby były zakotwiczone. A jeszcze dalej rozpościerało się szwedzkie wybrzeże.

Mężczyzna otworzył furtkę i wszedł do środka. Żółte i białe żonkile w regularnych kępach porastały brzegi ogrodowej ścieżki aż do drzwi wejściowych. Pod wpływem nagłego impulsu schylił się i zerwał jeden z kwiatów. Gdy powąchał żółte płatki, stwierdził z rozczarowaniem, że nie wydzielają żadnego zapachu. Ponownie się schylił i odłożył żonkila na miejsce, tuż obok innych. Zadzwoił do drzwi. Otworzyła je Benedikte Lerche-Larsen i Fabricius uśmiechnął się szeroko, a może nawet szczerze.

- Benedikte, dobrze cię widzieć. Miałem nadzieję, że cię zastanę. - Objął ją, zanim zdążyła się wycofać.

Przesunęła dłonią po jego ramionach i stwierdziła, że świetnie się trzyma jak na te swoje pięćdziesiąt lat. Miał twarde i wytrenowane mięśnie.

- Ojciec jest w drodze, miał rano mały wypadek i musiał pojechać na pogotowie - odezwała się.

Fabricius zmarszczył czoło, takie zbiegi okoliczności zawsze wzbudzały jego podejrzenia.

- Wypadek? Co się właściwie stało?

Chwyciła go pod ramię i poprowadziła wzdłuż domu.

- To nic poważnego, poślizgnął się w łazience i stłukł sobie stopę, przyjechała karetka i zrobiło się niezłe zamieszanie. Ale to teraz bez znaczenia. Poza tym mama poprosiła mnie, żebym oprowadziła cię po domu, zaraz zresztą sama się tu pojawi. Ale spokojnie, zdążyłam jej odmówić - wyjaśniła.

- Dziękuję. Powiedz mi, podoba ci się ten nowy dom?

Wzruszyła ramionami.

- Jest w porządku, zresztą jak ten poprzedni w Klampenborgu. Możemy usiąść na tyłach ogrodu i popatrzeć na wodę, możesz też obejrzeć kolekcję storczyków Svenda - to nowe hobby jego i ogrodnika. - Wyciągnęła dłoń w stronę dwóch szklarni stojących po przekątnej, po ich prawej stronie. - Wolę zostać na zewnątrz, bo tam śmierdzi. Ostrzegam cię - dodała.

Fabricius namyślał się przez chwilę, a potem wybrał szklarnię. Kwiaty go interesowały.

- Jeśli czegoś ci potrzeba, mogę zadzwonić po Jana - zaproponowała Benedikte.

- Stary, dobry Jan Podowski, więc on nadal się jakoś trzyma? No tak, licho przecież złego nie bierze. Myślisz, że da radę załatwić nam szklankę mrożonej herbaty?

- Chodziło mi bardziej o coś do picia, gdy będziemy sobie spacerowali - jakieś piwo albo wodę. Z herbatą jest za dużo zamieszania, zresztą dostaniesz ją później, bo matka przygotowała jakieś przekąski na tarasie.

- O dobry Boże. W takim razie poczekam. A swoją drogą, czy Jan jest upoważniony do przeglądania ksiąg?

- Do niektórych, podobnie jak księgowy. Jednak żaden z nich nie ma dostępu do wszystkiego.

- W przeciwieństwie do ciebie?

- Po raz pierwszy, owszem. Taki jest plan, ale może Svend zmieni go w ostatniej chwili, to się już zdarzało.

- Albo ja to zrobię.

Ta uwaga nie zrobiła na niej wrażenia.

- Tak, a może to będziesz ty - odparła z uśmiechem.

Fabricius pomyślał, że bardzo trudno było jej nie lubić, czego nie dało się powiedzieć o jej ojcu. Gdy doszli do szklarni, puściła jego ramię i poszła dalej sama. Spoglądał za nią przez moment, a potem przywołał ją do siebie.

- Benedikte, pokaż mi te storczyki.

Rozdział 12

W szklarni było ciepło i duszno, a Fabricius pomyślał, że jego gospodyni nie przesadziła, wspominając o zapachu. Szli wolno środkowym przejściem, on prowadził i narzucał tempo, przyglądając się otaczającym ich kwiatom. Zatrzymał się przed wyjątkowo dużym egzemplarzem, który zwisał z gałęzi. Jego pięć różowych płatków układało się w gwiazdę, której najwyższe ramię sprężyste wznosiło się na wysokość niemal metra, podczas gdy pozostałe odchyłały się do tyłu i sięgały w kierunku ziemi.

- Znasz się trochę na orchideach? - zapytał.

- Nie mam o nich najmniejszego cholernego pojęcia.

Wolno odwrócił głowę w jej stronę i chłodno skomentował:

- Nie lubię, kiedy ktoś przeklina, zwracając się do mnie.

Uśmiechnęła się rozbrawiająco i natychmiast się poprawiła:

- Przepraszam, nie zamierzałam cię urazić. I nie, nie wiem nic na temat orchidei poza tym, że istnieje parę tysięcy gatunków i że te, które zwisają z drzew, prawdopodobnie nazywają się epifity. Wiem też, że zerwanie jednej z nich i wsadzenie sobie we włosy sprawi, że Svend się wścieknie.

- Hm, w takim razie chyba powinienem się powstrzymać. Powiedz mi, jak sobie radzisz na studiach?

- Wolno. Jestem na czwartym semestrze, a powinnam być na piątym. Brakuje mi też jednego egzaminu, ale wkrótce do niego podejść.

- Skąd to opóźnienie? Studia są zbyt trudne?

- Nieszczęśliwie, ale weź pod uwagę, że pracuję dla was prawie na cały etat. Poza tym Svend wysyła mnie na wszelkie możliwe dodatkowe kursy, a one wymagają czasu.

- Nic o tym nie wiedziałem. Jakie kursy?

- No więc studiuje prawo gospodarcze i matematykę i uczę się głównie w Kopenhaskiej Szkole Biznesu. Natomiast te dodatkowe egzaminy, które wymyśla ojciec, to taka dość przypadkowa mieszanka, gdy coś mu przyjdzie do głowy. Kursy księgowości, mnóstwo

informatycznych, swego czasu miał na ich punkcie prawdziwą obsesję, na przykład zaawansowana obróbka grafiki czy dźwięku. Wspominał też, że powinnam się nauczyć francuskiego, choć do tej pory, na szczęście, na gadaniu się skończyło. To, w jaki sposób mój francuski miałyby się przysłużyć jego interesom, póki co przerasta moją wyobraźnię. Ale może ty masz jakieś sensowne wytłumaczenie, skoro Svend nie raczył mnie jeszcze oświecić? W końcu płacisz połowę mojego wynagrodzenia.

- Sądziłem, że zależało mu na tym, żebyś poznała rachunek prawdopodobieństwa i statystykę.

- To już umiem. W czasach liceum właściwie nie zajmowałam się niczym innym. Sam mnie wtedy uczył, znacznie więcej, niż wymagano w szkole. Wtedy to nie wydawało mi się szczególnie rozrywkowe, ale przyznaję, że okazało się przydatne. Poza tym te przedmioty wchodzą w sporym zakresie w program moich studiów.

- Czyli będziesz mogła przejąć interes, gdy jemu już się znudzi?

Lerche-Larsen zawahała się na moment, wyczuwając drobną zmianę w tonie jego głosu. Pytanie wcale nie zostało zadane przypadkiem i od niechcienia. Próbowwała ostrożnie z tego wybrnąć.

- Z częścią pewnie bym sobie poradziła, ale muszę się jeszcze sporo nauczyć.

- Co za lojalność.

Jeżeli sądził, że ją sprowokuje, to się pomylił. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak, to też, to w sumie jest najtrudniejsze - odparła z uśmiechem.

- Ile dziewczyn prowadzicie z matką na boku?

- Cztery, ale chciałybyśmy w ciągu roku rozszerzyć działalność do sześciu lub siedmiu.

Nie mógł jej nie podziwiać. Odpowiedziała bez wahania i bez najmniejszego strachu. Bardzo niewielu znanych mu ludzi zdobyłoby się na taki wyczyn. Mimo wszystko jego przecież również przy tym okradała. Odwrócił się i postąpił kilka kroków do przodu, przyglądając się kwiatom. Słyszał, że podążyła za nim, poza tym woń jej perfum przebijała się przez inne zapachy wypełniające pomieszczenie.

- Wiesz, co się dzieje z małymi dziewczynkami, które są zbyt chciwe? - zapytał cicho, nawet się nie odwracając.

- To samo co z dużymi mężczyznami, którzy zatracają się w błahostkach. Niszczą.

Zaśmiał się krótko, a potem porzucił wszelkie uprzejmości.

- Byłaś na okładce „Gracza pokera”, wymieniona z nazwiska i tak dalej. Poza tym tak się wystroiłaś, że nie było najmniejszych wątpliwości, gdzie fotografowie skierują swoje obiektywy. Powiedz mi, co ty sobie, do cholery, wtedy myślałaś?

- No tak, przepraszam. Popełniłam błąd. Poza tym Svend się z tobą w tej sprawie całkowicie zgadza i wcale nie było mi do śmiechu, gdy przez pół godziny wysłuchiwałam jego wrzasków. Mam nadzieję, że ty nie zamierzasz na mnie krzyczeć.

Był pod wrażeniem faktu, w jak sprytny sposób udało jej się nie minąć z prawdą, a jednocześnie wtrącić, że dostała już ochrzan. Ale jej ojciec nie widział czasopisma, jeszcze, bo on już o to wkrótce zadba. Nienawidził opinii publicznej, a najbardziej ze wszystkiego tych pismaków, niezależnie od tego, jak nieistotnym i kiepskim czasopismem był „Gracz pokera” na tle innych publikacji.

- Nie, krzyk nie jest w moim stylu. Ta dziewczyna, którą znaleziono w leśnym jeziorze, ta, wokół której było tyle zamieszania, czy to jedna z waszych?

Doskonale znał odpowiedź, interesowało go jednak, czy Benedikte zdecyduje się na kłamstwo. Jeżeli tak, to uzna ją za głupszą, niż się spodziewał.

- To był wypadek.

- Oczywiście, że wypadek. Czy ty też uczestniczyłaś w jej zabójstwie?

- Tak. Chcesz usłyszeć całą historię?

Skinął głową, a ona zaczęła opowiadać - spokojnym, rzeczowym tonem, bez jakichkolwiek wymówek. Obrócił się w jej stronę i obserwował ją podczas tej opowieści.

- A jaki jest twój wniosek? - zapytał neutralnym tonem, gdy skończyła.

Wzruszyła ramionami, niepewna, czego się po niej spodziewa. Jego zimne, bezpośrednie spojrzenie domagało się jednak odpowiedzi.

- Mój wniosek jest taki, że się boję. I że siedzę w tym sama. Svend z pewnością nie ma zamiaru mi pomóc, a moja matka, nawet gdyby

chciała, w co szczerze wątpię, jest na to za głupia – odparła po chwili wahania.

– I to jedyne, czego się nauczyłaś?

– Nie, nauczyłam się jeszcze, że poker i dziewczyny, każde z osobna, to świetny pomysł, ale nie razem, a już na pewno nie tak otwarcie. Powinniśmy zostawić dziwki i skupić się na Akademii Pokera. Jest mnóstwo klientów zainteresowanych takim sposobem prania brudnych pieniędzy, pod warunkiem że okaże się skuteczny, a przecież taki jest. Wyobrażam sobie, że ty również do nich należysz.

Zabrzmiała jak echo tego, co sądził już od wielu lat, chociaż nie mogła o tym wiedzieć.

– Co wiesz o mojej pozostałej działalności? – zapytał bezbarwnym tonem.

– Absolutnie nic poza tym, że jest dość rozległa i że ten kramik moich rodziców nie ma dla ciebie większego znaczenia. Poza tym nie chcę wiedzieć nic więcej, nie jestem taka głupia.

– Ale twój ojciec nie zgadza się z tobą w kwestii strategii działalności? – Zadowolony z odpowiedzi Fabricius postanowił zmienić temat.

– Niestety nie. A to on decyduje, a nie ja. Dlatego nie mogę z tym zrobić nic więcej, chyba że ty go do tego zmusisz.

Mężczyzna pokręcił głową – wolno, ale zdecydowanie.

– W jaki sposób Svend miałby ci pomóc w sprawie tego małego wypadku, gdyby zechciał to zrobić?

Teraz naprawdę zaangażowała się w rozmowę, odpowiadając bez wahania:

– Przekonując cię do pozbycia się Henrika i Jana, to oczywiste.

– Henrika Kraga i Jana Podowskiego?

Gdy potwierdziła, zmrużył oczy, zastanawiając się nad jej propozycją, po czym storpedował ten pomysł:

– Przyznaję, że jesteś konsekwentna w swoim sposobie myślenia, ale nie. To mogłoby bardzo łatwo przynieść skutek odwrotny do zamierzonego i nagle mielibyśmy dwa problemy zamiast jednego. Albo dokładniej rzecz ujmując: ja miałbym dwa problemy zamiast tego, że teraz ty masz jeden.

- Jeżeli połączą nas z tym zabójstwem, możemy zamykać interes, a w najlepszym wypadku będziemy zmuszeni do większej reorganizacji. To będzie też twój problem.

- Może pewnego dnia wrócimy do tej rozmowy, gdy będziemy mieli na nią trochę więcej czasu. Mogłaby okazać się interesująca dla obu stron - odparł w zadumie Fabricius.

- Czy to zaproszenie?

Uśmiechnęła się nieznacznie, po czym wwierciła w niego szelmowskie spojrzenie, którego jednak nie odwzajemnił.

- Potraktuj to, jak chcesz. Czyli jesteśmy umówieni?

- A co twoje córki na to, że umawiasz się z kimś w ich wieku? - Jej głos zdawał się podszyty przebiegłością.

Ta uwaga była błędem - głupim i nieprzemyślanym. A mimo to jego reakcja ją zaskoczyła. Zrobił krok w jej stronę, po czym ją obrócił i trzymając brutalnie za ramię, wykręcił je i założył za plecy, a potem szarpnął do góry, aż jęknęła. Solidnym ruchem drugiej dłoni pociągnął ją za włosy, przyciskając jej prawe ucho do swoich ust.

- Nie lubisz orchidei? - wysyczał pod nosem.

Zaprzeczeniu bliżej było do jakiegoś nieartykułowanego dźwięku niż do „nie”, jego uścisk bolał. Zrobiło się jeszcze gorzej, gdy pchnął jej głowę w stronę przypadkowego kwiatka, nie poluzowując chwytu. Zacisnęła zęby, a mimo to wydała z siebie jęk bólu.

- To jest Cattleya Barbara Belle, a ten to...

Brutalnym szarpnięciem skrzył jej głowę w stronę kolejnego kwiatu:

- *Paphiopedilum lathianum*, gatunek znany ze swoich pantofelków.

Ponownie przybliżył jej ucho do swoich ust. Ból ramienia nieco zelżał, wyczuwała teraz jego napierające ciało bez choćby grama zbędnej tkanki tłuszczowej.

- Jeżeli kiedykolwiek odezwiesz się do mnie w ten sposób, to zmuszę cię do nauczenia się nazw wszystkich znajdujących się tutaj kwiatów. I do zjedzenia tych, których nazw nie będziesz pamiętała. Niech ci się nie wydaje, że to tylko puste słowa, mówię poważnie. Zrozumiałaś? - syknął.

Popchnął ją do przodu, nie oczekując odpowiedzi. Potknęła się i zadrapała kolano o donicę.

- Twój ojciec będzie miał problem, by utrzymać przy życiu oba gatunki w tej samej szklarni. Zimą wymagają różnych temperatur, ale pewnego dnia sam się o tym przekona. Przejdziemy na taras? Myślę, że na dzisiaj wystarczy już tego oglądania - zwrócił się do niej jak gdyby nigdy nic.

Wstała. Strużka krwi spływała jej po goleni, a on wręczył jej swoją chusteczkę. Rana nie była głęboko. Wytarła krew szybkim ruchem, przykładając chusteczkę do nogi.

- Pięć, Benedikte, nie więcej niż pięć.

Trzymał dłoń z rozcapierzonymi palcami, zwróconą wnętrzem w stronę dziewczyny, na wysokości jej twarzy.

- Pięć dziwek prowadzonych na boku przez ciebie i matkę. To musi wystarczyć. A jeżeli ojciec was nakryje, nie możesz się tłumaczyć, że przyzwoliłem na wasz interesik na boku.

- Nie odkryje. W takim razie umawiamy się na pięć. - Włożyła mu w dłoń chusteczkę, a potem zaczęła wolno zamykać na niej jego palce. - W takim razie kiedy się zobaczymy?

Uśmiechnął się oziębło i cofnął dłoń.

- Poinformuję cię.

Rozdział 13

Taras na tyłach ogrodu był dumą Kariny Larsen. Kunsztownie zaprojektowany okrąg obłożony błyszczącą kostką brukową ze szwedzkiego granitu. Każdy kamień wybrano z pieczołowitością i tylko te najładniejsze egzemplarze znalazły uznanie w oczach właścicielki. Pozostałe wróciły do dostawcy. Realizacja kosztowała majątek, ale to i tak nic w porównaniu z kosztami otaczającego ogród muru, wysokiego na niemal półtora metra, zbudowanego z oryginalnej gotyckiej cegły, którą pani domu zdobyła z dużym trudem i konsekwentnym ominięciem przepisów ochrony zabytków. Materiał pozyskano bowiem z likwidowanego ogrodzenia kościoła na Falster. Teraz mur, starannie odtworzony, z zachowaniem gotyckiego ułożenia cegieł w nieregularną mozaikę w odcieniach czerni i czerwieni, osłaniał przed wschodnim wiatrem.

Jan Podowski oparł się ciężko o mur i powiódł spojrzeniem po błyszczącej tafli wody cieśniny Sund, która rozciągała się poniżej leniwie, z niebieskoszarą linią brzegową na horyzoncie. Czuł się fatalnie i przez moment zastanawiał się, czy się nie wybrać się na stronę i nie pociągnąć łyku swojego standardowego lekarstwa, ale ostatecznie wstrzymał się z tym pomysłem. To nie był dzień na przesadzanie z alkoholem. Karina Larsen siedziała w ogrodowym fotelu, zwrócona do niego plecami, a mimo to zdawała się jakby czytać w jego myślach.

- Janie, powstrzymaj się dzisiaj od picia - poleciła.

Obiecał jej to bez większego przekonania i pomyślał, że i on mógłby z powodzeniem udzielić jej podobnego upomnienia. Czekaając na gości, wypła już dwa kieliszki białego wina, a teraz była w połowie trzeciego, co wyraźnie świadczyło o jej zdenerwowaniu. Poza tym przez cały poranek popędzała służbę przygotowującą przekąski. Teraz stół niemal ugiął się pod ciężarem tapas, francuskiego brie, kiełbasy chorizo, tapenady, melona w szynce parmeńskiej, oliwek, winogron, marynowanego czosnku i guacamole, które trzeba było przygotowywać trzykrotnie, aż pani domu uznała, że uzyskano oryginalny meksykański

smak, taki, jaki zapamiętała podczas rejsu statkiem wycieczkowym do Veracruz. Wszystko musiało być idealne, jak zawsze w jej przypadku, a jeżeli nawet wiedziała, że ludzie śmiali się z niej za jej plecami, nie dawała tego po sobie poznać.

- Już przyszedł.

Jej głos wyrażał podekscytowanie, ale nie musiała tego mówić. Tylko ślepy nie dostrzegłby Benedikte Lerche-Larsen przechadzającej się ogrodową ścieżką w towarzystwie Bjarnego Fabriciusa. Ich relacja wyglądała na zbyt zażyłą, uznał w myślach Podowski, choć nie potrafiłby wskazać, na czym ta zażyłość polega. Może miał zwidy.

Fabricius odsunął krzesło dla Lerche-Larsen, a potem usiadł obok niej. Jej matka chwyciła za butelkę wina i zapytała lekko zdenerwowanym tonem:

- Bjarne, może kieliszek wina? To Christwein, winogrona zebrano w Boże Narodzenie.

- Zbierane ustami niewidomych korsykańskich zakonnic - wtrąciła jej córka.

Z głosu dziewczyny nie przebijało zadowolenie, a raczej pogarda dla snobizmu matki. Fabricius ją zignorował i odmówił wina, chwając taras i jedzenie. Larsen promieniała, Benedikte sięgnęła poirytowana po kieliszek, a potem zamachnęła się ramieniem, jakby prezentowała ogród.

- I pomyśleć, że to wszystko tutaj dookoła zaczęło się od jednej dziwki i jednego gracza - skomentowała.

- Benedikte, uspokój się, do cholery - starał się ją uciszyć Podowski. - Czego się napijesz, Bjarne?

- Jeżeli macie mrożoną herbatę, byłoby wspaniale. Jeżeli nie, wystarczy mi szklanka wody.

Wskazał dłonią na karafkę, ale Karina nawet nie chciała o tym słyszeć.

- Oczywiście, że mamy mrożoną herbatę. Jestem tego pewna. Prawda, Janie?

Podowski podniósł się z trudem, zrobił krok w tył, stał nieruchomo przez parę sekund jakby zeszywniały, a następnie ponownie ciężko opadł na krzesło. Przez nadużywanie alkoholu od lat cierpiał na marskość wątroby, a lekarz nieustannie go ostrzegał, że jeżeli chce żyć,

musi skończyć z piciem. I właśnie tego cudownego kwietniowego dnia w Rungsted okazało się, że medyk miał rację. W przełyku Jana pękł żylak, lekarz nazwałby to *haemoptysis*, co było naukowym określeniem na krwiopłucie. Z jego ust chlusnęła solidna struga krwi, lądując na stole pomiędzy przygotowanymi przez służbę przekąskami. Mężczyzna przechylił się na bok i wraz z krzesłem runął na ziemię. Z ust Larsen wydobywały się teraz długie, histeryczne piski. W jednej dłoni trzymała kieliszek wina, a drugą pocierała skroń. Fabricius obrócił Jana na bok i zadzwonił ze swojej komórki pod 112. Benedikte wylała zawartość swojego kieliszka na głowę matki, po czym przykucnęła i chwyciła Podowskiego za głowę.

Był już wtedy martwy.

Rozdział 14

Komendant Główny Policji przemawiał. Chociaż robił to już niemal od kwadransa, nikt nie miał pojęcia, o czym właściwie mówi. Wydział zabójstw, podobnie jak wszyscy inni funkcjonariusze z Komendy Głównej, został oddelegowany na szkolenie z wdrażania nowych wartości. Obowiązkowy kurs, ważne było, aby wszyscy wzięli w nim udział. Od miesięcy kierownictwo policji wraz z firmą doradcą pracowało nad znalezieniem kilku przymiotników, które w przyszłości okażą się drogowskazem dla funkcjonariuszy w całym kraju, i właśnie dzisiaj miały ujrzeć światło dzienne. W tym celu zarezerwowano Tivoli Congress Center, nikt nie mógł się wymigać, a pod koniec kursu uczestnicy mieli otrzymać kubek z napisem wyszczególniającym pięć najistotniejszych wartości. Wyrafinowany sposób marnowania czasu.

Simonsen westchnął i trącił łokciem Arnolda, który siedział na krześle obok niego i pochrapywał. Jutlandczyk obudził się, zamrugał, a potem zaczął klaskać, uderzając głośno swoimi wielkimi dłońmi. W sali kilka osób poszło za jego przykładem, ale tylko do momentu, gdy wstał, by kontynuować swoją salwę oklasków z rękoma uniesionymi nad głową. Jego okrzyk: „Alleluja” sprawił, że siedzący z przodu odwrócili głowy, aż w końcu Simonsen ściągnął go z powrotem na krzesło.

- Śpij dalej, obudzę cię, jak będzie przerwa. Albo gdy znowu zaczniesz chrapać.

Do popołudnia wszystkie możliwe określenia dotyczące nowego etosu pracy w policji zostały wypowiedziane tak wiele razy, że nawet najbardziej rozgarnięty przełożony nie byłby w stanie dołożyć nic nowego. Na później zaplanowano pracę w grupach, podczas której uczestnicy mieli wyrazić swoje zdanie na temat tego, co te wartości oznaczały dla nich w codziennej pracy. Simonsen, Pedersen i Arnold spotkali się w salce 22A, gdzie przygotowano dla nich kawę i ciasteczka. W pomieszczeniu czekała na nich również kartka z czterdziestoma pytaniami - tak dla pewności, gdyby sami nie potrafili nic wymyślić. Mężczyźni spoglądali po sobie zaskoczeni. Wszystkie

pozostałe grupy były po pierwsze większe, a po drugie składały się z ludzi z różnych wydziałów.

- Simon, jakim cudem udało ci się to załatwić? - zapytał Pedersen z uznaniem.

Inspektorowi policji nic nie było na ten temat wiadomo, bo sam nic nie załatwiał. Wszystko stało się jasne chwilę potem, gdy dołączyła do nich Hrabianka.

- To moja zasługa, chciałam, żebyśmy przynajmniej trochę czasu wykorzystali rozsądnie, bo zakładam, że darujemy sobie oficjalny harmonogram?

Mówiąc to, spojrzała na Simonsena, ale to Arnold zabrał głos:

- Oczywiście, że tak. W przeciwnym wypadku zbieram się do domu. Nie zniosę więcej tych bzdur.

- To nie dostaniesz swojego kubka - zaśmiał się Pedersen. - Ale powiedzcie mi, gdzie się podziała Berg?

Simonsen ugryzł kawałek ciastka, po czym oznajmił poważnym tonem:

- Naubliżała jednemu z konsultantów podczas przerwy na lunch, a potem się ulotniła. Złapałem ją na parking, chciała się wybrać się do Frederiksværk, ale ją od tego odwiódłem. Obiecałem, że ktoś z nas się tam z nią wybierze w przyszły weekend.

Na ochotnika zgłosił się Arnold, co było dość zaskakujące, bo znał Pauline najświetniej.

- Jeżeli sobota jest okej, to się zgłaszam. Zakładam, że zamierza zbadać to, co nazywacie „nieistniejącą sprawą Juli”.

Gdy jego przełożony potwierdził, Jutlandczyk dodał:

- Miałem kiedyś kolegę, który wyjechał na misję do Afganistanu i u którego po powrocie do domu stwierdzono PTSD, więc zdaję sobie sprawę, że od czasu do czasu dopadają ją niekontrolowane wybuchy płaczu, psychozy lękowe czy napady złości.

Hrabianka odpowiedziała w takim samym tonie:

- Tak, między innymi.

- Jeżeli ją teraz od siebie odsuniemy, nie będzie miała się czego trzymać. To my musimy przejąć nad tym kontrolę, tak to już jest. Ale zrobmy wreszcie coś rozsądnego, bardzo mi to teraz potrzebne - dodał Arnold.

Simonsen ustawił się przy tablicy suchościeralnej z mazakiem w dłoni, gotowy do burzy mózgów w sprawie Murzynki, upominając się w duchu, by nigdy w ten sposób nie nazywać ofiary.

- Jakie mamy tropy? Wypiszmy je i przedyskutujmy jeden po drugim.
- No chyba szybko się z tym uporamy - zauważył oschle Pedersen.
- Wolisz dyskutować o wartościach?

Nikt nie zamierzał tego robić i po chwili zgodzili się odnośnie do trzech wątków: przeszukania lasu Hanehoved, przesłuchania ewentualnych świadków oraz konieczności przyjrzenia się zarządcy majątku Kolleløse Gods, Frodemu Ottonowi. Inspektor ponumerował wątki, po czym podkreślił każdy z nich czerwonym markerem. Następnie zamknął pisak, rzucił go na biurko stojące obok tablicy i powiedział na głos to, o czym wszyscy myśleli.

- Nie mamy zbyt wiele.

- Jeżeli chodzi o las, musimy chwilę poczekać. Miejmy nadzieję, że uda się znaleźć jej ubranie, chociaż szanse wydają się dość marne. Musimy założyć, że zabójca albo zabójcy zabrali odzież ze sobą i się jej pozbyli. Wszystko inne nie miałyby sensu. Ale, jak już wspomniałam, to będzie wiadomo w przyszłym tygodniu - uspokajała Hrabianka.

- Jak wicie, osobiście zajmuję się planowaniem przeszukania lasu i to będzie szeroko zakrojona akcja. Kilkuset mężczyzn z obrony cywilnej pracujących przez trzy dni. Ale masz rację, Hrabianko, prawdopodobieństwo, że coś znajdziemy, jest naprawdę niewielkie. Niemniej trzeba spróbować, bo przecież nie jest żadną tajemnicą, że musimy się wykazać przed górną pewną inicjatywą. Najlepiej taką, która zostanie odnotowana w prasie. Bo tak właśnie, od czasu do czasu, wygląda rzeczywistość. Niestety - dodał Simonsen.

Jego najbliżsi współpracownicy zaakceptowali ten fakt, po czym Pedersen przez kolejne pięć minut rozwodził się na temat kolejnego wątku, mianowicie świadków. Nie miał nic nowego do powiedzenia, a zgłosił się głównie dlatego, że według niego nadeszła teraz jego kolej na zabranie głosu. Podsumował to, o czym wszyscy i tak wiedzieli, czyli że ewentualnych świadków należało szukać wśród myśliwych i ornitologów. I dodał, że zrobiono to już dawno temu, bez żadnego rezultatu. Jednak Simonsenowi przyszła wtedy do głowy myśl, która nie wydawała się wcale taka głupia:

- Chciałbym, żeby ktoś z was sprawdził członków wszystkich kół myśliwskich i ornitologicznych z całej Zelandii i dowiedział się, czy w ich szeregach nie było w dwa tysiące ósmym żadnej Afrykanki, która dzisiaj już nie należy do koła. To powinno zostać zbadane dużo wcześniej, ale z tego, co zdążyłem się przekonać, do tej pory nikt się tym nie zajął. Czy to nie byłoby coś dla ciebie, Klavs?

Arnold zaakceptował decyzję. Zadanie już z daleka cuchnęło co najmniej dwoma bezowocnymi dniami pracy z telefonem przy uchu, ale zgadzał się ze swoim szefem, że warto było spróbować.

Pozostawała jeszcze kwestia przyjrzenia się Ottonowi, zarządcy, który na widok Simonsena zareagował, jakby go kto ukłuł igłą. Nie było wątpliwości, że stanowił najciekawszy trop wydziału zabójstw, chociaż na pierwszy rzut oka nic nie łączyło go z zabójstwem Afrykanki. Zwrócił uwagę funkcjonariuszy swoją nadzwyczaj negatywną reakcją na inspektora, która musiała mieć jakieś uzasadnienie. Jednak Hrabianka, wyznaczona do zbadania tego tropu, nie potrafiła powiedzieć niczego konkretnego.

- Wraz z niewielką grupą roboczą przeanalizowałam wszystkie sprawy, w które Simon był zaangażowany od czasu swojego zatrudnienia w wydziale zabójstw. Jeszcze nie skończyliśmy, ale zmierzamy ku końcowi i jak do tej pory nie natrafiliśmy na nikogo, kto nazywałby się *Frode Otto*.

Również Simonsen nie potrafił uzasadnić dziwnego zachowania zarządcy:

- Jestem niemal pewny, że nigdy wcześniej go nie spotkałem. Bardzo rzadko zdarza mi się zapomnieć czyjąś twarz i... jak już mówiłem, nie znam tego Ottona.

- Może powinniśmy zrekonstruować całe zajście? Mamy przecież mnóstwo czasu, a nuż okaże się, że coś nam jednak umknęło. Inną możliwością jest bezpośredni kontakt z zarządcą i spytanie go, o co chodzi. Może istnieje jakieś proste wytłumaczenie, nie możemy tego odrzucić - zaproponował nieśmiało Pedersen.

Zdecydowali się na rekonstrukcję. Na podstawie zaskakująco dokładnego szkicu wykonanego przez Pedersena na tablicy poprzestawiano stoły i krzesła. Arnold odgrywał Ottona, Pedersen wprowadził pozostałych w kontekst:

- Klavs i ja swobodnie z nim rozmawiamy. W pewnym momencie udaje nam się go rozchmurzyć i rozmowa przebiega w miłej atmosferze. Wtedy pojawia się wy, wychodząc z jakiejś rolniczej maszyny. Nie słyszeliśmy, jak dostaliście się do środka.

Simonsen wyszedł z za stołu, który udawał maszynę rolniczą, ale Hrabianka nie poszła za nim, tylko przerwała Jutlandczykowi:

- A może to na mnie tak zareagował?

Trzech mężczyzn szczerze zapaliło się do tego pomysłu, bo żona Simonsena wskazała całkiem nowy trop.

- Nie mam specjalnej ochoty, aby przekopywać się przez własne stare sprawy. Wzbudzają zbyt dużo wspomnień, które wolałabym sobie darować.

Pedersen zgłosił się na ochotnika, żeby się tym zająć, a potem wrócili do rekonstrukcji.

- Jak tylko was zauważyła, odwraca się i ponownie podłącza spawarkę do prądu. Albo, nie, poczekajcie chwilę... pierwsze, co robi, to zakłada rękawice spawalnicze. Potem podłącza prąd, a następnie zakłada kask i opuszcza przyłbicę - oznajmił Arnold.

Starał się jak najlepiej zademonstrować czynności wykonane przez zarządcę. Wyglądało to nieco głupio, ale nikt się nie roześmiał.

- Nie chciał, żeby któreś z nas, Hrabianka albo ja, go rozpoznało, więc dlaczego, u diabła, nie zaczął od założenia kasku? To byłaby naturalna reakcja. A on zamiast tego założył rękawice - wtrącił z namysłem inspektor.

- Bo nie chciał ci pokazać, że ma tylko dziewięć palców. Oczywiście, że dlatego.

To Pedersen dostrzegł logikę postępowania zarządcy, a Simonsen potaknął z uznaniem.

- Brzmi to sensownie, bo rzeczywiście się nie zorientowałem. Ale jakie to miało dla niego znaczenie? O ile pamiętam, nigdy...

- Czy chodzi o brak małego palca u lewej dłoni? - wpadła mu w słowo Hrabianka.

Gdy Pedersen i Arnold potwierdzili jej przypuszczenia, wyjaśniła z powagą w głosie:

- Północna Jutlandia, lato dziewięćdziesiątego drugiego roku, gwałt na piętnastoletniej Niemce. Nieprawdopodobnie brutalny i bezduszny,

jeden z najgorszych, jakie widziałam. Zasuwaaliśmy wtedy jak dzikie osły przez wiele miesięcy, ale nigdy nie złapaliśmy sprawcy.

- Ale jak rozumiem, mieliście jego odciski palców? - dopytywał Simonsen.

- Niestety, i tak, i nie. Mieliśmy dziewięć wyraźnych siniaków na pośladkach i biodrach dziewczyny po dziewięciu palcach, które ją przytrzymywały.

Rozdział 15

Przeszukanie lasu Hanehoved przeprowadzono z wojskową precyzją. Tego praktycznego zadania podjęła się obrona cywilna, której towarzyszyło dziewięć psów oraz ich dziewięciu przewodników, wynajętych od policji w Hillerød. Ustawieni w długich rzędach, w odległości czterech metrów od siebie, mężczyźni przemieszczali się wolno szpalerem od jednego fragmentu lasu do drugiego. Psy biegły przodem – skore do pracy. Mężczyźni podążali uważnie za nimi, zaopatrzeni w patyki do przewracania gałęzi i rozgarniania podejrzanych miejsc w ściółce. Zespołem świetnie kierował dowódca w średnim wieku, który potrafił być jednocześnie w każdym miejscu. Po przeszukaniu danego obszaru starannie zakreskowywał go na mapie, przegrupowywał swoich ludzi i wyznaczał im kolejne tereny. W przerwach niewiele się odzywał, trzymał się nieco na uboczu, najczęściej siadywał, opierając się o jakieś drzewo, i zagłębiał w lekturze. Dla Simonsena to było spore ułatwienie. W praktyce przejął od niego kierowanie operacją, a inspektor chętnie na to przystał, widząc, z jak kompetentnym człowiekiem ma do czynienia. Zamiast iść z przodu i wydawać komendy, mógł dreptać za kolumną i napawać się przechadzką. Przez dwa dni chodził razem z Adamem Blixenem-Agerskjoldem, który uważał, że jego obecność jest uzasadniona, chociaż nie miał żadnego wyznaczonego zadania. Jeżeli Simonsen dobrze go wyczuł, to szambelanowi chodziło bardziej o kwestie etyczne. Na jego ziemi znaleziono martwą młodą kobietę i skoro nie potrafił w niczym pomóc, to chciał przynajmniej okazać zaangażowanie. Poza tym Blixen-Agerskjold zaproponował również pokrycie kosztów kanapek przez wszystkie trzy dni trwania operacji, a do tego zimne piwo na koniec dnia pracy, dla tych, którzy mieli na to ochotę.

W zamian wzbogacił się o dwa znaleziska, które wprawiły go niemal w ekstazę: krzemienisty topór, przepięknie wyszlifowany i niemal nienaruszony, a drugiego dnia klamrę paska, którą bez wahania określił jako germańską, pochodzącą z epoki żelaza. Musiała jednak najpierw

zostać odesłana do Muzeum Narodowego, żeby mógł ją potem zgodnie z prawem zatrzymać.

Jednak pod względem śledczym rezultaty przeszukania okazały się marne. Poza pewną ilością śmieci, zwłaszcza z terenu graniczącego z drogą krajową. Skromne znaleziska ograniczały się do zbutwiałego parasola, kartonu z trzema pokrowcami na opony, który wszystkich zaskoczył, ale z pewnością nie miał żadnego związku z zabójstwem, telefonu komórkowego starszego typu, który szybko okazał się kompletnie bez znaczenia, oraz – w tym samym miejscu – butelki po winie, gumki do włosów oraz prezerwatywy.

Simonsen szedł jak zwykle w towarzystwie Blixena-Agerskjolda niecałe dwadzieścia metrów za mężczyznami, którzy przeszukiwali ostatni fragment – las liściasty, położony w południowo-zachodniej części graniczącej z majątkiem. Las wznosił się i opadał regularnymi falami co pięć metrów.

– Maszerujemy teraz po dawnych gruntach ornych, tak wyglądały kiedyś duńskie pola. Te płaskie, które znamy, to nowy fenomen z początku dziewiętnastego wieku. Przez tysiąc lat, od wprowadzenia pługu, oraliśmy nasze pola tak, by tworzyły falistą powierzchnię, po to aby je efektywnie osuszać – wyjaśnił szambelan.

Przez ostatnie dni dzięki niemu Simonsen poznał niemałą część historii Danii. Mimo to teraz zdecydował się na zmianę tematu:

– Ten twój zarządca, Otto.

Szambelan zeszywniał, przyjemny nastrój ulotnił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Tak, co z nim?

– Chciałbym, żebyś mi o nim opowiedział. O jego pracy, rodzinie, przeszłości, nawykach. Może gdy tu skończymy, znalazłbyś czas?

Blixen-Agerskjold przez dłuższy czas nie odpowiadał, Simonsen nie naciskał. Wyraźnie było widać, że Otto jest dla szambelana kimś więcej niż tylko pracownikiem. Gdy minęli kolejne trzy grzbiety falistego terenu, inspektor doczekał się odpowiedzi:

– Nie czuję się dobrze z tym, że mam mówić o Ottonie za jego plecami.

– Doskonale to rozumiem i szanuję. Ale prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa, a w takim przypadku osobista lojalność już nie

obowiązuje. Zresztą wydaje mi się, że doskonale o tym wiesz.

Szambelan zamachnął się kilkakrotnie patykiem na kępkę młodych pokrzyw, niemal ze złością.

- Zostań u nas na kolacji, potem możemy porozmawiać. Chciałbym, żeby Lenette była obecna przy tym przesłuchaniu.

- Przesłuchanie to za mocne słowo, ale dziękuję za zaproszenie.

Blixen-Agerskjold pogniótł patykiem kolejne pokrzywy, a potem go wyrzucił. Simonsen pozostawał parę kroków za nim. Po pewnym czasie ponownie się zrównali, szambelan zdążył już dojsć do siebie, było to słyhać w jego głosie.

- Może i ty mógłbyś mi wyświadczyć przysługę?

- To raczej tak nie działa, ale być może. O co konkretnie chodzi?

Blixen-Agerskjold milczał jeszcze przez chwilę, aż w końcu odezwał się z namysłem:

- Jesteś miłym człowiekiem, Konradzie. Takim, którego chciałoby się mieć za przyjaciela. Z wyjątkiem sytuacji, w których występujesz jako inspektor z wydziału zabójstw, bo wtedy często bywasz arogancki i nieprzyjemny. Ta przysługa to nic ważnego, zapomnij o niej.

Simonsen poczuł się dotknięty i musiał wziąć się w garść, żeby czegoś nie odburknąć. Sytuacja go wkurzała, bo ostatnie trzy dni w towarzystwie szambelana należały do przyjemnych, chociaż przeszukanie lasu nie wniosło niczego do śledztwa.

- Nie wiem, jak się nazywała ta Afrykanka, skąd pochodziła ani dlaczego została zabita i wrzucona do twojego jeziora. Wiem jednak, że jest jedyną osobą, która w tej sprawie coś dla mnie znaczy. Bo ona nie ma nikogo innego. Poza tym, Adamie, mów mi Simon, nie Konrad, no i powiedz wreszcie, co to miałyby być za przysługa - odezwał się oschle.

Blixen-Agerskjold dał się przekonać. Chodziło o jego babkę, Victorię Blixen-Agerskjold, kobietę przed dziewięćdziesiątką, która mieszkała w domu opieki w Holbæk i była przekonana, że wie coś o istotnym tropie w sprawie Afrykanki. Staruszka jednak zdecydowanie odmawiała przekazania tej informacji swojemu wnukowi, twierdząc, że ten nie zapewni odpowiedniej poufności.

- Babka cierpi na demencję starczą, miesza jej się przeszłość i teraźniejszość. W młodości brała udział w wojnie, to znaczy w drugiej

wojnie światowej. Pracowała dla SOE, brytyjskich służb specjalnych, a w latach czterdzieści jeden–czterdzieści trzy była radiooperatorką we Francji. To była śmiertelnie niebezpieczna praca i naprawdę niewielu ją przeżyło. Za swoje zasługi otrzymała Krzyż Jerzego, który wręczył jej Churchill w pięćdziesiątym drugim podczas swojej drugiej kadencji na stanowisku premiera. Tylko pięć kobiet dostąpiło tego zaszczytu.

- Imponujące.

Przedzierał się przez gąszcz malin. Szambelan próbował przydeptać krzak w miejscach, gdzie to było możliwe. Nagle w jego głosie zaczęła pobrzmiwać złość.

- W paryskim metrze nadal są zarezerwowane miejsca dla inwalidów wojennych. Ci młodzi mężczyźni, którzy poświęcili swoje zdrowie i sprawność dla Francji, powinni przynajmniej... - Nie dokończył zdania, ale po kilku krokach wrócił do tematu. - W Danii nie potrafiliśmy nawet zapewnić swoim rannym żołnierzom powracającym do kraju przyzwoitej opieki. Musieli stać w kolejce po pomoc razem z innymi osobami z niepełnosprawnością. Ta kolejka sama w sobie była skandalem, ale żeby kazać młodym ludziom, którzy poświęcili dla Danii swoją sprawność, czekać latami...

Gdy jego oburzenie minęło, Simonsen nawiązał do poprzedniego tematu:

- Czego konkretnie oczekujesz? Co mogę zrobić dla twojej babci?

- Potrafisz czytać po francusku?

- Nie, ale moja żona już tak.

- Chciałbym pożyczyć ci książkę o tym, co moja babcia i jej koleżanki z SOE robiły podczas wojny. Ale mógłbyś jeszcze wybrać się ze mną do Holbæk i okazać dumę z faktu, że masz możliwość poznania takiej kobiety jak ona.

- Umowa stoi.

- W mundurze?

- Oczywiście, w pełnym rynsztunku.

Rozdział 16

Trzy dni wysiłków związanych z przeszukiwaniem lasu Hanehoved nie okazały się jednak takie bezużyteczne, jak pierwotnie sądził Simonsen. Analiza gumki do włosów znalezionej razem z butelkami po winie i prezerwatywą wykazała, że należała ona do zabitej Afrykanki. Pozostałe przedmioty nie były z nią powiązane, ale w trakcie badań DNA znaleziono dwa włosy ofiary. Gumka była czarna, postrzępiona, z resztkami włókien sterczącymi na wszystkie strony i na pierwszy rzut oka wyglądała jak zakup za piąta w pierwszym lepszym supermarkecie. Inspektor Simonsen przekazał ją aspirantce Berg w foliowej torebce na dowody. Zrobił to na korytarzu przed swoim biurem, kiedy natknął się na nią i na Arnolda, gdy policjanci szli do stołówki na lunch.

- Nie mogłabyś się dowiedzieć, gdzie została wyprodukowana, jakie sklepy ją sprzedają i tak dalej? - zapytał.

Berg wyraziła zgodę krótkim skinieniem głowy. Potem wyjęła gumkę z torebki, z niejakim trudem ściągnęła swoje włosy w niewielki kucyk, kilkakrotnie owinęła wokół niego gumkę i się oddaliła. Foliową torebkę wcisnęła do kieszeni. Simonsen stał jak oniemiały, a Arnold zauważył ze złością:

- Załatwię to, ale ty też mógłbyś, do licha, najpierw pomyśleć i poprosić o to kogoś innego.

Dopiero wtedy do szefa wydziału zabójstw dotarło, co się właściwie stało. Zaklął siarczyście i przeprosił.

Kiedy Berg została porwana, w bardzo nieprzyjemnych okolicznościach straciła większość włosów. Wtedy niewiele o tym myślał, ale teraz zrozumiał, że zrobił z siebie durnia. Jeszcze raz przeprosił i poczuł się jak idiota, gdy Jutlandczyk w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami i pospieszył za koleżanką. Dlaczego, do cholery, wszystko co było z nią związane, musiało sprawiać tyle problemów? Nie był przecież, do diaska, ani psychologiem, ani lekarzem.

Gdy Arnold siadł naprzeciwko Berg w stołówce, dotrzymanie słowa danego Simonsenowi okazało się nagle trudniejsze, niż się wydawało.

- Zdejmij wreszcie tę gumkę i włóż ją z powrotem do torebki - przekonywał. - Pauline, to jest materiał dowodowy i doskonale o tym wiesz.

Prowokowała go, jak to miała we zwyczaju, zwłaszcza gdy byli sami. Przeciągnęła dłonią po włosach, poluźniła węzeł, po chwili powtórzyła ten ruch, uśmiechając się do niego niemal zapraszająco. W drugiej ręce trzymała widelec, którym odkrajała kawałki kanapki. Arnold zastanawiał się, czy Berg zawsze taka była.

- A wybierzesz się ze mną w sobotę? Jestem umówiona na piętnastą w Asserbo z leśniczym, który ją znalazł.

Mówiąc ją, miała na myśli młodą dziewczynę, co do której zabójstwa Berg nie miała najmniejszych wątpliwości. Arnold pomyślał, że nawet nie pamięta imienia denatki.

- Tak, pojedę tam z tobą. Pauline, przed chwilą rozmawialiśmy o gumce. Włóż ją do torebki, tam, gdzie powinna się znaleźć.

- Potem możemy pojechać do mnie do domu i zjeść wspólnie kolację.

- Miło z twojej strony, ale dziękuję, nie.

- Nie uważasz, że mam piękne włosy? Już prawie odrosły. A co sądzisz o moich oczach? Mam w domu kilka par soczewek kontaktowych, myślisz, że byłabym atrakcyjniejsza z brązowymi oczami? A może z zielonymi? Wielu mężczyznom podobam się w zielonych oczach.

Poczuł irytację i dotarło do niego, że właśnie o to jej chodziło - żeby go wkurzyć. Nie zdążył odpowiedzieć, bo w tym momencie tuż obok niego przysiadła się Hrabianka ze swoją tacką. Otworzyła dłoń, a następnie postukała palcami przed Berg, która niechętnie oddała jej gumkę oraz plastikową torebkę. Hrabianka umieściła gumkę w woreczku, po czym zamknęła go, ściskając końce.

Berg wskazała dłonią na Arnolda i odezwała się drżącym głosem i ze łzami w oczach:

- Ten Jutlandczyk nie chce nigdzie ze mną wyjść.

- Ten Jutlandczyk zamierza ci poświęcić pięć godzin swojego weekendu, a ty możesz wpaść do mnie w sobotę wieczorem, to sobie pogadamy. Simona nie będzie, będziemy miały cały dom dla siebie.

Arnold poczuł coś na kształt rozgoryczenia, kiedy te dwie kobiety doszły do porozumienia, chociaż właściwie sam nie wiedział dlaczego.

Rozdział 17

Ściany w biurze Svenda Lerchego pokrywały staloryty z początku XIX wieku. Kolekcjonował je, ale tylko wybrane ryciny. „Muszą mieć jakiś ordynarny motyw” – wyjaśniał okazującym zainteresowanie gościom, a potem mrugał porozumiewawczo w sposób, który zwykle wywoływał u rozmówców uśmiech na twarzy.

Lerche siedział za biurkiem i czytał jakieś notatki. Był tuż po pięćdziesiątce, miał srebrzyste włosy, mocny podbródek, czujne niebieskie oczy i nienaganne maniery. Zazwyczaj bywał czarujący i wzbudzał zaufanie, niekiedy jednak jego porywczy temperament brał górę i przysparzał mu problemów. Mężczyzna podniósł wzrok znad dokumentów. Po drugiej stronie biurka Benedikte Lerche-Larsen czekała niecierpliwie, aż skończy. Usiadła na krześle odwróconym tyłem, z oparciem skierowanym w jego stronę, i z dezaprobatą przyglądała się ścianie za jego plecami. „Czekanie dobrze jej zrobi”, pomyślał.

W końcu uporał się z czytaniem. Odłożył notatkę na bok, a potem z najwyższej szuflady biurka wyjął magazyn, który przesunął w stronę dziewczyny. Gazeta nosiła tytuł „Gracz pokera” i na okładce widniało zdjęcie jego córki. Lerche-Larsen obrzuciła je kwaśnym spojrzeniem. Poza tym nie zareagowała w żaden inny sposób, dlatego gdy się odezwał, próbował stłumić złość:

- Co ty sobie, do cholery, myślisz?

- Nie ja decyduję o tym, czy ktoś mnie sfotografuje w miejscu publicznym i jakie zdjęcia znajdują się w gazetach. Mamy w kraju wolność prasy.

- Musiałaś być taka wystrojona?

- Wystrojona to jestem tutaj. Znajdowaliśmy się w kasynie, wobec tego nie mogłam przebrać się za bibliotekarkę. Musiałam się jakoś dopasować.

- I pozować przed kamerami też musiałaś? Zdajesz sobie sprawę, że zostałam wymieniona z nazwiska?

Benedikte machnęła lekceważąco dłonią.

- Warunkiem powodzenia naszych interesów jest dyskrecja. Sądziłem, że nie muszę ci tego tłumaczyć - wyjaśnił poirytowany ojciec.

- Warunkiem powodzenia twoich interesów.

- A ty niby z czego żyjesz?

Wstała, obróciła krzesło i ponownie usiadła.

- Akurat ty, Svendie, zamierzasz pouczać mnie na temat dyskrecji? To nie do mnie wzywano oddział policji w ratuszu - odparowała oschle.

Uderzyła w jego czuły punkt i to go wkurzyło. Poza tym nienawidził, kiedy zwracała się do niego po imieniu, a nie jak do ojca. Zresztą najczęściej tak się właśnie zachowywała. Jakiś miesiąc temu naskoczył na pewnego mało istotnego urzędnika administracji podatkowej - wrzeszczał na niego, a nawet, niestety, zaczął mu grozić. Popęłił okropny błąd. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że kwota, jaką miał wysupłać, to był drobiazg.

- O czym rozmawiałaś w sobotę z Fabricusem? Twoja matka mówiła, że spędziliście w szklarni sporo czasu - zmienił temat.

- Jeżeli dziesięć minut to sporo czasu, to matka ma rację. Rozmawialiśmy o orchideach.

- O których nic nie wiesz.

- A o których Bjarne wie całe mnóstwo. Musiałam tylko słuchać.

- Bjarne, najwyraźniej przeszliście na ty.

- Najwyraźniej.

- Benedikte, czy ty próbujesz mnie celowo rozdrażnić? Jeżeli tak, to ci się naprawdę udało.

Dziewczyna przestała się stawiać, jak zawsze, gdy ojciec się wściekał. Najpierw niepotrzebnie zaczęła poprawiać fałdy swojej sukienki, naciągając materiał kilka centymetrów za kolana, a potem nagle się roześmiała, ukazując rząd białych zębów i spontanicznie odchylając głowę do tyłu. Pomyślał z zatroskaniem, że nie zna nikogo, kto potrafiłby tak skutecznie jak ona sterować swoim nastojem.

- Tato, rozmawialiśmy o storczykach. I doskonale zdaję sobie sprawę, że informacje o prowadzeniu naszego biznesu, których Fabricius potrzebuje, powinny pochodzić od ciebie. Swoją drogą to nie wydaje mi się, żeby w ogóle chciał wysłuchiwać mojego narzekania na

twój temat, jeżeli to cię martwi. Wtedy zapewne uznałyby mnie za nielojalną.

- Czyli to czysty przypadek, że do mnie zadzwonił i pouczył, że powinnaś mieć więcej obowiązków?

- Nie miałam pojęcia, że dzwonił. Ale ty zrobisz, co zechcesz. Jesteś swoim własnym szefem.

Oboje wiedzieli, że to nie była prawda. W praktyce jego interesy zależały od dobrej współpracy z Fabriciusem.

- Oczywiście, że zrobię, co zechcę - oznajmił bezbarwnym tonem.

- To co w takim razie, dostanę jakieś dodatkowe obowiązki?

Miał z nią prawdziwy dylemat. Z jednej strony może byłoby lepiej, gdyby się wyprowadziła, stanęła, jak to mówią, mocno na nogach, a potem oczywiście znalazła jakąś normalną pracę. To z wielu względów mogło się okazać korzystne dla obu stron, a on nie miałby nic przeciwko temu, żeby jej pomóc z mieszkaniem i ewentualnie co miesiąc wspierać ją finansowo. Z drugiej strony doskonale orientowała się w jego interesach i chociaż mocno nie zgadzali się co do strategii prowadzenia biznesu, to w dużym stopniu odpowiadała za jego codzienne funkcjonowanie. Była niezła nie tylko w sprawach ekonomicznych, i mimo że nie miała dostępu do wielu jego operacji finansowych, to i tak znacząco go odciążała, wykonując wielogodzinną pracę każdego tygodnia. Za co zresztą dobrze jej płacił, ale niełatwo byłoby mu znaleźć zastępstwo. I na dodatek w okresie, gdy musiał przyuczać nowego człowieka, który zastąpił Podowskiego. To wydawało się wręcz niemożliwe.

- Tak, być może. Zaczekajmy z tym jeszcze chwilę. Ale nie dlatego chciałem z tobą porozmawiać.

Jeżeli nawet czuła się rozczarowana, nie okazała tego. Przeciwnie, wyglądała jak kwintesencja uprzejmości.

- Tato, to o co chodzi?

- Żebyś trzymała się z dala podczas pogrzebu Jana.

- Chętnie, i tak nie miałam zamiaru w nim uczestniczyć. Ale dlaczego?

- Bo Jan rok temu był zaangażowany w pewien epizod, w którym ucierpiała nasza afrykańska współpracownica.

- A co to ma wspólnego ze mną?

- Nic, Benedikte. I tak ma pozostać.

Napotkała jego spojrzenie, ale na sekundę odwróciła wzrok.

- Jeżeli przydzielisz mi więcej obowiązków, muszę też dostać podwyżkę - zaznaczyła.

Rozdział 18

Interes Svenda Lerchego opierał się na dwóch rodzajach działalności. Pracowało dla niego niemal czterdzieści kobiet, a ich liczba stopniowo, acz stale, się zwiększała, w miarę jak Karina Larsen, jego żona, znajdowała kolejne rodziny goszczące. Wszystkie kobiety pochodziły z Afryki i oficjalnie przyjechały do Danii, żeby pracować jako opiekunki do dzieci. Każda z nich dostała oddzielny pokój u rodziny, która ją zatrudniała – ładne pomieszczenie z osobnym wejściem i łazienką z prysznicem, co było jednym z wielu warunków zaakceptowania rodziny. Kolejny dotyczył tego, że kobiety tylko w ograniczonym zakresie mogły się zajmować odkurzaniem, sprzątaniami i innymi domowymi obowiązkami. Pracowały najwyżej godzinę, miały wolne przez większość dnia i w każdy weekend. Oczywiście poza tym właściwym zajęciem, polegającym na obsłudze klientów, jednak nie więcej niż jednego dziennie. Lerche stawiał na jakość, a nie na ilość. Zyskiem dzielił się na pół z rodzinami zapewniającymi pracownikom mieszkanie. Ponadto każda z tych rodzin musiała płacić opiekunce trzy tysiące koron miesięcznie oraz pokrywać koszty jej pobytu, po to aby wymogi formalne dotyczące zatrudniania opiekunek były przynajmniej częściowo spełnione. Pozostałe wymagania ignorowano, jak tylko wtyka Lerchego w Ministerstwie Integracji zatwierdziła wniosek dziewczyny. Kobiety wymieniano przynajmniej raz w roku.

Drugi rodzaj działalności opierał się na hazardzie. Do tego celu Lerche zatrudniał około pięćdziesięciu pokerzystów, najczęściej młodych, samotnych mężczyzn, którzy cztery razy w tygodniu grali dla niego w pokera w sieci. W tym samym czasie pracowali w ten sposób również na własne konto. Właśnie na tym polegała cała sztuczka. Trzy godziny grali prywatnie, a kolejne trzy dla Lerchego. Te trzy, w których poszło im najlepiej, zaliczano na poczet pracy, a wypracowane zyski – czy też w rzadkich przypadkach straty – były dokładnie odnotowywane w zestawieniach finansowych firmy. Przegrane z prywatnych gier pokrywano z brudnych pieniędzy, a pierwszego dnia każdego miesiąca pokerzyści dostawali koperty z gotówką. Jeżeli natomiast gracz podczas

prywatnej rozgrywki zdobył jakieś pieniądze, mógł je zachować. W ten sposób go nagradzano. Dzięki temu Lerche był w stanie wyprać sporo tych pieniędzy, które zarabiał na prostytutce.

Garaż Lerchego należał do sporych, bo mógł pomieścić co najmniej trzy samochody. Umieszczono go jak najdalej od willi, we wschodnim narożniku działki, graniczącym z sąsiadem. Na tylnej ścianie dobudowano około czterdziestometrowe pomieszczenie i właśnie tutaj spotykali się trzej pracujący dla niego mężczyźni, gdy nie przebywali w terenie, dostarczając gotówki graczom czy też inkasując zyski po nocnej pracy dziewczyn.

Pokój został przyjemnie wyposażony - na podłodze leżała wykładzina, na niej stały designerskie meble. Przygotowano tu również dwa wygodne miejsca pracy, wyposażone w biurka, komputery i telefony. W pobliżu drzwi znajdował się automat z kawą oraz drugi z napojami. Pomędzy nie wciśnięto niewielki stolik, na którym ustawiono plastikowe kubki, śmietankę, cukier oraz miseczkę z żetonami do automatów. Leżały tam też łyżeczki.

Benedikte rzadko tu zachodziła. Trochę dlatego, że nie miała nic wspólnego z tymi mężczyznami, a trochę z powodu tego, że nie przepadała za ich żargonem. Typy spod ciemnej gwiazdy, bez wykształcenia, o ograniczonych horyzontach i słownictwie na poziomie neandertalczyka.

Jednak tego wtorku szybciej skończyła zajęcia na uniwersytecie i wróciła do Rungsted już wczesnym popołudniem. Udała się prosto do garażu i od razu rzuciła się na komputer Podowskiego.

Po kilku dniach namysłu jej ojciec wreszcie podjął decyzję i tak jak się spodziewała, poszedł za radą Fabriciusa, dając jej dostęp do kolejnych tajemnic. W związku z tym uznała, że przeszukanie plików w komputerze Podowskiego będzie odpowiednim zajęciem na początek. Zamierzała w ten sposób pogłębić swoją wiedzę na temat prowadzonych finansów. Zaplanowała też, że po przejrzeniu folderów przeniesie na pamięć USB to, co jest do ukrycia, a następnie usunie pozostałe dane. Pomysł był świetny, choć należał do ojca, jednak jego wykonanie było trudniejsze, niż się wydawało. Pierwsza godzina upłynęła jej na grzebaniu w biurku i teczkach Podowskiego w poszukiwaniu hasła do komputera. W końcu znalazła to, czego szukała - w formie karteczki przyklejonej na odwrotnej stronie

podkładki pod myszkę. Hasło brzmiało: „sezamsezam” i było równie mało oryginalne jak właściciel sprzętu. Po jego wstukaniu komputer powoli, centymetr po centymetrze, zaczął wyświetlać trzy strzałki ułożone w trójkąt znaku recyklingu, każda wskazująca na następną. Benedikte nie miała pojęcia, co oznaczały. Gdy uzyskała dostęp, przed przystąpieniem do pracy postanowiła pójść po kawę.

Automat zadrwił sobie z niej albo raczej nie dostarczył żadnego napoju, mimo że wielokrotnie wciskała różne przyciski. Czerwony wyświetlacz znajdujący się na samej górze potwierdzał ten fakt mrugającymi drukowanymi literami, podsumowując problem komunikatem: BRAK NAPOJU. Zakłęła ze złością, po czy odwróciła się do jedynej osoby przebywającej w pomieszczeniu – mężczyzny około trzydziestki, który siedział za nią przy biurku i słuchał muzyki ze swojego iPod'a. Stopy oparł o drugie krzesło i nieco zmrużył oczy. Tyczkowaty, z beznadziejnymi tatuażami na obu ramionach i długimi, nieumytymi włosami z drobinkami łupieżu.

- Mógłbyś naprawić to gównno? - krzyknęła w jego stronę.

Zdjął słuchawki z uszu, a wtedy powtórzyła swoją stanowczą prośbę. Odpowiedział jej ospale, jakby mówienie kosztowało go sporo wysiłku:

- Musisz opróżnić pojemnik na dole. Zapewne jest pełny.

- Błąd. To ty musisz opróżnić pojemnik, a potem załatwić mi filiżankę kawy po wiedeńsku.

Ku jej zaskoczeniu nawet nie drgnął, tylko posłał jej krzywy uśmiech.

- Sama sobie zrób, to nie ja mam ochotę na kawę - wyjaśnił.

Jej oczy ciskały błyskawice.

- Powiedz mi, co ty sobie właściwie myślisz? Kim ty jesteś?

- Tym, który w piątek przychodzi tu po raz ostatni, a ty jesteś tą, która opróżni pojemnik, skoro chce się napić kawy.

Gdy ponownie się roześmiał, postanowiła pójść do siebie na górę.

Wraz ze stertą reklam porzucanych przed drzwiami w korytarzu czekał na nią list. Białą kopertę opatrzone nazwiskiem i adresem, literami nakreślonymi jakby od linijki i przypominającymi pismo runiczne. Stempel pocztowy wskazywał na 3660 Ganløse, ale brakowało nadawcy. Otworzyła kopertę kuchennym nożem, a w środku znalazła mniejszą kartkę oraz dwie formatu A4. Pierwszą rozpoznała. To była okładka z ostatniego numeru „Gracza pokera”, na której

w zamyśleniu uśmiechała się do fotografa. Druga okazała się wydrukiem zdjęcia z kolorowej drukarki, nieco ziarnistym, ale dającym się rozszyfrować. Ujęcie przedstawiało las, a pośród drzew dwoje ludzi. Na pierwszym planie Benedikte zobaczyła wyraźnie samą siebie, a na drugim można było dostrzec głównie dłonie i kawałek ramienia Kraga. Pomiędzy sobą nieśli przymocowany do świerkowych żerdzi kamień. Otworzyła mniejszą kopertę, tym razem rozrywając ją palcem, chociaż nóż leżał tuż obok. W środku znajdował się kawałek tektury, do którego taśmą przyklejono kartę SIM. Na kartoniku tym samym runicznym pismem napisano: „17.04., 10.00” i nic więcej.

Usiadła przy biurku i jeszcze raz uważnie przejrzała całą zawartość: kartki, koperty i kartonik, po czym włożyła wszystko z powrotem do dużej koperty i schowała ją do szuflady biurka.

Chwilę później wróciła do garażu. Jej nowy leniwy jaszczurkowaty przyjaciel siedział w takiej samej pozycji, w jakiej był, gdy go opuściła. Wyrwała mu słuchawki z uszu, a gdy się ze złością odwrócił w jej stronę, pokazała mu banknot.

- Potrzebuję twojej pomocy.

Mężczyzna spojrzał pożądliwie na pięćset koron, które trzymała między palcami.

- To co mam zrobić? - zapytał z zainteresowaniem. - A tak poza tym to nazywam się Jørgen.

Wyciągnął dłoń na powitanie, ale ją zignorowała.

- Tak, to świetnie, Jørgenie. Czy pracowałeś tu już wtedy, gdy był zatrudniony Henrik?

- Henrik Krag? Tak, ale tylko przez tydzień, bo potem odszedł.

- Znasz go?

- Niespecjalnie, a dlaczego pytasz?

- Potrzebuję jego adresu i numeru telefonu.

- I za to dostanę pięćset koron?

- Prawie. Musisz też przenieść do mnie komputer Jana i podłączyć go do prądu. Pokażę ci, gdzie powinien stać.

- Wspaniale, od czego mam zacząć?

- Od adresu i numeru telefonu.

- Znajdziesz te dane w komputerze Jana z folderze z personaliami. Ale wydaje mi się, że numer nie jest już aktualny. To folder wymagający

hasła dostępu, ale tego samego, który uruchamia komputer.

- Sezamsezam?

- Właśnie.

- Dlaczego, do cholery, nie wspomniałeś o tym wcześniej? Szukałam go niemal godzinę.

Odwrócił dłonie wierzchem do dołu, a potem wymachując ramionami, wykonał przeproszający gest.

- Chcesz, żebym już teraz przeniósł ci ten komputer? - zapytał.

- Tak, ale mam jeszcze jedno pytanie. - Pokazała mu karteczkę, na której Podowski umieścił hasło dostępu, i wskazała na znak recyklingu. - Co to oznacza?

- Są dwa dyski. Jeżeli chcesz wejść na D, musisz użyć hasła od tyłu.

- A co takiego tajnego znajduje się na dysku D, że trzeba poświęcić całe dziesięć minut, aby odgadnąć hasło?

Uśmiechnął się bez przekonania.

- To oszczędności emerytalne Jana. Sam je tak nazywał, chociaż się nimi nie nacieszył.

Jego wyjaśnieniu towarzyszył suchy, trzeszczący śmiech.

- Jakie to oszczędności?

Wyprostował palce dłoni, a potem złączył kciuk i palec wskazujący, żeby pokazać waginę. Temu chamskiemu gestowi zawtórował ordynarny śmiech. Lerche-Larsen posłała mu chłodny uśmiech, a następnie upuściła banknot na podłogę. Powiódł za nim spojrzeniem, nie komentując upokorzenia.

- A po naszymu? Jeśli byłbyś uprzejmy wyjaśnić.

- Klipy wideo z wieloma eleganckimi białymi mężczyznami i całym mnóstwem świetnych czarnych cipek.

Rozdział 19

W samochodzie panowała cisza, tylko od czasu do czasu do uszu mężczyzny z bagażnika dochodził stłumiony krzyk – jęczący, przeszywający, a niekiedy wręcz paniczny. Frode Otto włączył radio i znalazł swój ulubiony kanał muzyczny, a potem spojrzął na zegarek.

- Kiedy zaczyna się mecz? - zapytał.

Był 1992 rok, lato, i Dania grała w półfinale mistrzostw Europy przeciwko Holandii. Jan Podowski nie odpowiedział na pytanie, a zamiast tego zapytał:

- Co ty, do cholery, zamierzasz z nią zrobić?

- Trochę ją popieścić, przecież tej pieprzonej Niemce nic się od tego nie stanie. Sam słyszałeś, jak nas w sklepie ochrzaniła z góry do dołu.

Jakiś czas temu zatrzymali się przy sklepie, Podowski nie pamiętał nazwy wsi, to zresztą bez znaczenia. Otto precyzyjnie się w kolejce przed tą dziewczyną, żeby zapłacić za zakupy. Sześć pilznerów i dwie paczki prince'ów, to zresztą też nieistotne. Dziewczyna się wściekła, co było dość dziwne – zapewne nie miała nawet piętnastu lat. Sprzedawca obsłużył ją w pierwszej kolejności i wtedy Otto się rozjątrzył. W samochodzie wypili po piwie i pojechali dalej, a kilka kilometrów za wsią ponownie ją spotkali. Jechała na rowerze z zakupami i ignorowała zaczepki Ottona, gdy ten zjechał samochodem na pobocze i pokrzykiwał przez okno od strony pasażera. Koniec końców pokazała mu język. To było dla niego już za wiele, dlatego teraz leżała w bagażniku. Podowski ściszył muzykę, bo go irytowała.

- Masz coś przeciwko Niemcom?

- Mam coś przeciwko wszystkim obcokrajowcom, którzy tu przyjeżdżają i nie potrafią się odpowiednio zachowywać.

- Przecież nawet nie wiesz, co ci odpowiedziała, bo nie znasz niemieckiego.

- To jej problem, nie mój.

Otto zaśmiał się z własnego dowcipu, próbując zsunąć sygnet z serdecznego palca prawej dłoni. Mocno się zaklinował, więc go

poślinił, ale i to nie przyniosło rezultatu. W końcu się udało, a wtedy wsunął go do kieszeni.

Kiedy Otto napadł na dziewczynę, Podowski zdecydował się przejąć kierownicę, chociaż był lekko wstawiony. Gdy minęli jakieś skrzyżowanie, zdołał przeczytać drogowskaz: trzy kilometry do Hald. „To powinno być, do cholery, chyba jakieś miasto”. Pomyślał, że stamtąd będzie mógł zadzwonić po taksówkę i wrócić do hotelu, pieniędzy mu przecież nie brakowało. Podjął decyzję i zatrzymał samochód. Dziewczyna przetoczyła się w bagażniku i dotarło do niego, że nie powinien był hamować tak ostro.

- Frode, nie zamierzam brać udziału w tym całym gównie. Albo ją wypuścisz, albo stąd spadam - oświadczył.

- Zamierzasz iść na piechotę?

- Czemu nie? To i tak lepsze niż jazda z dziewczyną w bagażniku.

- A jak wrócisz do domu? Nie masz pojęcia, gdzie jesteśmy.

Podowski sięgnął po cztery pozostałe piwa w tekturowym opakowaniu i bez skrępowania zabrał wszystkie. A potem wysiadł.

- Jestem w Jutlandii, a tutaj mówią po duńsku. Znajdę drogę do domu.

- Okej, do zobaczenia wieczorem.

- Zadbaj, do cholery, żeby miała trochę świeżego powietrza.

- Ma mnóstwo powietrza. Ten stary gruchot nie jest przecież taki ciasny.

Otto precyzyjnie sięgnął na fotel kierowcy.

- Zakładam, że nie będziesz rozgadywał, co się tutaj stało?

Nie doczekał się odpowiedzi, a jedynie potrząsania głową, które mogło oznaczać wszystko.

Rozdział 20

Hrabianka opowiadała wolno i z powagą w głosie:

- Biedaczka, dwa dni wcześniej skończyła piętnaście lat. Nazywała się Hannelore Müller i wraz z rodzicami przebywała na kempingu na Jutlandii. Pochodzili z Altendorfu, przedmieść Essen. Taka zupełnie przeciętna rodzina. O ile pamiętam, ojciec był murarzem, a matka laborantką. Mieszkali na kempingu Erikstrup, pomiędzy Viborgiem a Hobro.

Simonsen, Pedersen i Arnold siedzieli z nieprzeniknionymi minami. Nawet Malte Borup, student odbywający praktyki w wydziale i komputerowy geniusz, zmrużył oczy i zacisnął usta. Tylko aspirantka Berg wydawała się niewzruszona, a inspektor pomyślał, że jeżeli znowu zacznie sprawiać kłopoty, tym razem pośle ją do diabła. Siedzieli w biurze Hrabianki, stłoczeni wokół jej biurka - w środku nie było zbyt wiele miejsca, tylko ona umościła się wygodnie, pozostali musieli się ścisnąć, aby się zmieścić. Z góry sterty zdjęć leżących przed nią na biurku wybrała pierwsze i posłała je w obieg.

Dziewczyna leżała naga na brzuchu, tylko na lewej ręce miała opatrunek. Jej szczupłe plecy były usiane niebieskimi śladami po uderzeniach, prawa strona wyglądała gorzej od lewej. Na samej górze obu pośladków widniały dwa siniaki wielkości kciuka. Funkcjonariusze przyglądali się zdjęciu, spuszczaali wzrok i bez słowa przekazywali odbitkę dalej.

- Chcecie zobaczyć kolejne? - zapytała Hrabianka, gdy skończyli oglądać fotografię.

Po tym, co zobaczyli na pierwszej z nich, pytanie zabrzmiało niemal jak groźba. Wszyscy zgodnie potrząsnęli głową, widzieli już wystarczająco dużo.

- To zdecydowanie najgorsza sprawa gwałtu, z jaką miałam do czynienia. Złamał jej dwa palce, przypuszczalnie z czystego sadyzmu. Poza tym miała roztrzaskaną zuchwę i lewą kość policzkową. Błona bębenkowa w prawym uchu była pęknięta. Prząd ciała nie wyglądał

wcale lepiej niż tył, a może nawet jeszcze gorzej. Penetrował ją oralnie, analnie i waginalnie i to przez dłuższy czas. Potem została wrzucona do wody i wyszorowana za pomocą wodorostów od stóp do głów.

- Jakież ślady spermy? - zapytał ponuro Pedersen.
- Niestety, ani żadnych innych śladów DNA.
- Użył prezerwatywy?
- Nie, wycofał się przed wytryskiem.
- Moglibyśmy poznać całą historię? - burknął Simonsen.

Hrabianka wyjawiała im szczegóły sprawy.

- Po całym zajściu dziewczyna nie bardzo nadawała się do przesłuchania. Stres poskutkował ostrymi zaburzeniami, dlatego jej relacja tylko w niewielkim stopniu rzuciła światło na to, co się wydarzyło. Udało nam się ustalić, że została napadnięta i wrzucona do samochodu około trzynastej przy drodze krajowej jakieś dwa kilometry na północny zachód od Vammen, kiedy wracała rowerem z zakupami z lokalnego sklepu. Tam wcześniej pokłóciła się z dwoma Duńczykami pod trzydziestkę i to oni mogli stać za porwaniem. Większość z nas skłaniała się ku tej wersji. Niestety sprzedawca okazał się wiekowym krótkowidzem, więc jego opisy mężczyzn były, łagodnie rzecz ujmując, wybrakowane. Ofiara zresztą też nie pamiętała, czy została napadnięta przez jednego, czy przez dwóch mężczyzn, a jedynie to, że wrzucono ją do bagażnika. Nawet koloru samochodu nie potrafiła zdecydowanie określić. Jedyne, co do czego mieliśmy pewność, to że znalazł ją na leśnej ścieżce mężczyzna wyprowadzający psa na spacer o dwudziestej pierwszej tego samego wieczoru. Była naga, w traumie i błąkała się po okolicy. Znalaziono ją na Lundø, półwyspie rozciągającym się w Skive Fjord. Nie wiemy, gdzie doszło do gwałtu, a jedynie to, że od czasu do czasu rzucał ją na maskę samochodu i tam krzywdził. Wszystko działo się najprawdopodobniej w pobliżu wody, prawdopodobnie chodzi o Limfjorden, ale nawet tego nie byliśmy pewni. Nigdy nie znaleziono jej ubrania. Półtora roku później pojechałam do Essen, żeby z nią porozmawiać. Liczyliśmy, że może uda jej się przypomnieć sobie coś więcej, po tym, jak nabierze nieco dystansu do tego wydarzenia, ale...

- Wydarzenia. To brzmi, jakby chodziło o urodziny, dlaczego nie mówisz gwałt? Do cholery, jak ja dobrze znam te wszystkie przeinaczenia - wtrąciła ze złością Berg.

Hrabianka nie dała się zbić z pantałyku.

- Przepraszam, oczywiście masz rację. Okazało się, że Hannelore Müller nadal sobie nic nie przypomina w sprawie gwałtu. Lekarz, z który rozmawiałam, twierdził, że jej umysł to wyparł. Psychicznie zapłaciła za to ogromną cenę i myślę, że nigdy nie udało jej się z tego otrząsnąć, ale oczywiście nie jestem psychiatrką i możliwe, że z biegiem lat nauczyła się żyć z tą świadomością. Jak się zapewne domyślacie, dołożono wówczas wszelkich starań, by znaleźć sprawcę lub sprawców. I wtedy właśnie wezwano mnie z Kopenhagi. Miałam wesprzeć policję w Viborgu. Sprawa ze zrozumiałych względów wzbudziła spore zainteresowanie mediów i przy każdej okazji moje zdjęcie pojawiała się na okładkach lokalnych gazet, w których okrzyknięto mnie ekspertką ze stolicy i przypisywano mi kierowanie śledztwem. Oba twierdzenia były błędne.

- Ale Otto mógł wtedy zobaczyć twoją twarz - powiedział Borup, który chciał się upewnić, czy właściwie zrozumiał sens tej opowieści.

Hrabianka skinęła głową, żeby potwierdzić jego podejrzenia.

- Jediną znaczącą cechą sprawcy okazał się brak małego palca lewej dłoni. Gdy facet napadł na dziewczynę, musiał mieć go uszkodzonego, na przykład złamanego. Oczywiście bardzo dokładnie przeszukaliśmy cały kemping, na którym mieszkała rodzina Müllerów, ale niczego nie znaleźliśmy. Z czasem śledztwo zaczęło spowalniać i w końcu zostało umorzone - dodała.

- Wiadomo, gdzie Otto był dwudziestego drugiego czerwca dziewięćdziesiątego drugiego? - zapytał Arnold.

- Nie, ale wiemy, gdzie przebywał trzy dni wcześniej, bo wtedy wraz z kolegą obrabował kasę oszczędnościową w Struer, siedemdziesiąt kilometrów w linii prostej od kempingu Erikstrup. Łup wynosił niemal dwieście tysięcy koron. Zagrozili kasjerowi zabawkowym pistoletem, a Otto przy okazji pozostawił ładny odcisk środkowego palca na ladzie przy kasie. Jednak odkryto to dopiero dwa lata później, gdy aresztowano go po banalnym włamaniu do kiosku. Dostał wyrok trzy i pół roku w więzieniu w Ringe, ale nie pisnął słowa o swoim koledze, czy, jak wolicie, współsprawcy.

- Czy nikt nie wpadł na pomysł, by rutynowo sprawdzić w naszej bazie mężczyzn z dziewięcioma palcami? Sprawa gwałtu jest przecież

nadal otwarta - wyraził zdumienie Simonsen.

Z teczki leżącej za plecami Hrabianka wyjęła fotokopię, choć nie było to takie proste, bo obok siedział Arnold i nie bardzo miał gdzie się przesunąć. W końcu wstał i zrobił miejsce, trzymając krzesło w dłoniach - sytuacja wyglądała na groteskową, ale nikt się nie roześmiał. Hrabianka rzuciła kartkę na biurko nieco poirytowanym gestem. Wszyscy rozpoznali ten tradycyjny formularz do dokumentowania odcisków palców. Wypełniono wszystkie dziesięć pól, ale przy uważniejszym spojrzeniu widać było, że odcisk małego palca odbiegał od normy.

- Jakiś kompletny idiota z policji w Odense użył bliższego paliczka do odcisku małego palca Ottona, a centrala wrzuciła dokument do bazy bez żadnych zastrzeżeń - wyjaśniła Hrabianka.

Pedersen popukał się palcem w skroń, żeby pokazać, co o tym myśli. Po chwili złożył propozycję nie do odrzucenia, którą powinni wziąć pod uwagę już na samym początku:

- Czy nie moglibyśmy przenieść się do biura Simona, dostając klaustrofobii w tym pomieszczeniu. A skoro Malte będzie analizował życiorys Ottona - wskazał palcem na laptop, który praktykant trzymał na kolanach - to i tak nie będziemy w stanie wszyscy się tutaj pomieścić.

Hrabianka powiodła wzrokiem dookoła, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie ścisk, a następnie się uśmiechnęła i odparła:

- Oczywiście, że możemy. Moglibyśmy przy okazji zrobić sobie pięciominutową przerwę, mam ochotę na kawę i owoce.

W praktyce, jeżeli chodziło o przerwy, duńskie pięć minut oznaczało prawie półgodziny. Simonsen wrócił jako ostatni, tego kiepskiego nawyku nabrał wraz z biegiem lat, wychodząc z egoistycznego, aczkolwiek zazwyczaj słusznego założenia, że wszelkie spotkania zaczynają się dopiero po jego przybyciu. Tym sposobem przynajmniej nie musiał na nikogo czekać. Borup usadowił się na stałym miejscu szefa wydziału zabójstw, na końcu stołu konferencyjnego, co było uzasadnione, skoro to on miał przeprowadzić prezentację. Mimo to zaczął się tłumaczyć.

- Może przedstawiłbyś nam teraz skróconą wersję, a całość przeczytamy, gdy będzie na to czas? - Simonsen wykorzystał okazję,

żeby wysunąć swoją sugestię.

Praktykant zaakceptował tę propozycję, bo jak oschle zauważyła Berg, nie pozostawało mu nic innego. Jej uwaga została zignorowana, jak zawsze, gdy zachowywała się nieuprzejmie. Borup zaczął prezentację.

Frode Otto urodził się w 1960 roku w Næstved i tam również dorastał. Po skończeniu podstawówki zaczął się uczyć kowalstwa, a dyplom czeladniczy otrzymał w 1982 roku. Jeszcze tego samego roku przeprowadził się do dzielnicy Sydhavnen w Kopenhadze. Nigdy nie miał żadnej stałej pracy, a przez kolejne dziesięć lat najwyraźniej sporo podróżował po Danii, kursując między Odense, Køge i stolicą. W tym okresie wdawał się w różne kryminalne incydenty mniejszego kalibru – drobne oszustwa, paserstwo, kilka włamań, kradzieży samochodów, ale poza obrabowaniem banku w Struer policja nie miała na niego nic większego. Lata 1993–1995 spędził w więzieniu, a w 1997 roku dostał wyrok za pobicie, do którego doszło podczas brutalnej napaści w Assens. Od 2000 roku był zatrudniony w Kolløse Gods i od tego czasu najprawdopodobniej nie wchodził w konflikt z prawem, z wyjątkiem bijatyki w knajpie w 2005 roku, która skończyła się wyrokiem trzech miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu. Interesował się wyłącznie zapasami, był też członkiem wielu klubów zapaśniczych na terenie całego kraju, w zależności od tego, gdzie właśnie pomieszkiwał. W 1987 roku doszedł nawet do finału mistrzostw Danii w swojej klasie wagowej.

- Rozmawiałem o nim z Adamem Blixenem-Agerskjoldem i jego żoną... - Simonsen miał jedną uwagę.

- Jego żona nazywa się Lenette, Lenette Blixen-Agerskjold. Rozmawiałeś z Lenette Blixen-Agerskjold i jej mężem o Frodem Ottonie - wpadła mu w słowo Berg.

Hrabianka się roześmiała.

- Simon, ona ma rację - poparła koleżankę.

Arnold i Pedersen skrzyżowali spojrzenia i przewrócili oczami. Simonsen zamachnął się ramieniem, jakby chciał przegonić muchę, i zaczął od początku, wolno i oficjalnie, wymawiając oba imiona oraz nazwiska i informując, że kolejność jest przypadkowa, a potem przeszedł do sedna:

- Otto regularnie wyjeżdża do Kopenhagi w pierwszy weekend nieparzystego miesiąca, to znaczy w styczniu, marcu, maju i tak dalej. Albo raczej to on tak twierdzi. Według jego wersji odwiedza wtedy swoją siostrę, problem polega na tym, że żadnej nie ma. Wyrusza w sobotę po południu lub pod wieczór i wraca do majątku mniej więcej dobę później. Tak dzieje się, od kiedy tylko Blixen-Agerskjold i jej mąż pamiętają. Chciałbym się dowiedzieć, gdzie wtedy przebywa i co porabia, dlatego następnym razem, gdy pojedzie w odwiedziny do siostry, będzie miał ogon... - wspominając o siostrze, zrobił palcami znak cudzysłowu - ... czyli za jakieś osiem dni, jeżeli dobrze liczę. Kto się tym zajmie?

Arnold zaczął szybko myśleć. Jego sobotnia wyprawa z Berg została odwołana, bo leśniczy jednak nie mógł się z nimi spotkać tego dnia, więc przełożono ją na czwartego maja, dokładnie na ten sam dzień, gdy Otto wybierał się do Kopenhagi. Niemniej jedno zadanie miało zostać zrealizowane przed południem, a drugie pod wieczór, czyli powinien bez problemu zdążyć. Zgłosił się na ochotnika.

- Gwałciciele rzadko ograniczają się do jednej ofiary, jeżeli nie zostaną przyłapani, możliwe, że skrzywdził więcej kobiet - dodał.

- Właśnie. Hrabianko, zajmij się tym. Prześledź wszystkie niewyjaśnione sprawy o gwałt, od kiedy Otto skończył osiemnaście lat, czyli od siedemdziesiątego ósmego. Spróbuj też prześledzić jego wakacje. Dostałem mail od Blixena-Agerskjolda z wykazem zagranicznych eskapad Ottona, przynajmniej tych, o których szambelan pamiętał. Lista z pewnością nie jest kompletna. Pauline, jeżeli masz ochotę, możesz się przyłączyć do Hrabianki.

- A jeżeli nie, to co innego mogłabym robić?

- Pomóc Arnemu, gdy będzie próbował dowiedzieć się czegoś od dawnych kumpli Ottona z więzienia, albo Klavsowi, gdy będzie go sprawdzał w klubach zapaśniczych.

- Nie mogłabym dostać samodzielnego zadania?

- Nie. Hrabianko, à propos tej gumki do włosów, udało ci się czegoś dowiedzieć?

- Całego mnóstwa rzeczy, ale nic z tego nam się nie przyda. Została wyprodukowana w Chinach, za import odpowiada Fair Fashion w Ballerup, a gumkę sprzedawano w tysiącach sklepów w całej Danii.

Zrobiłam notatkę na ten temat i włączyłam ją do akt sprawy, możesz tam zajrzeć, jeśli masz ochotę - wyjaśniła.

Simonsen nie chciał wdawać się w szczegóły i zamiast tego podsumował:

- Otto jest jak na razie oczywiście naszym głównym priorytetem, chociażby z tego względu, że nie mamy żadnych innych rozsądnych alternatyw. Jeżeli w jakiś sposób uda nam się skazać go za gwałt, naturalnie to zrobimy. Równocześnie warto zaznaczyć, że może się zdarzyć, że nie ma on nic wspólnego z zabójstwem Afrykanki. Jest całe mnóstwo elementów, których nie potrafię do siebie dopasować, jeżeli to on miałby ją zabić. Wy z pewnością też macie sporo wątpliwości, ale zaczekajmy z tym, aż dowiemy się czegoś więcej.

Nikt ze słuchaczy nie miał żadnych zastrzeżeń.

Simonsen leżał na sofie w domu w Søllerød i relaksował się po kolacji. Hrabianka siedziała w fotelu ustawionym na tyle blisko przy jego głowie, że mogła głaskać go po rzadkich włosach. Na kolanach trzymała książkę *Kobiety na wojnie*. Otworzyła ją, ale po chwili się rozmyśliła i przewiesiła egzemplarz przez poręcz fotela, aby był w pobliżu, gdy już zdoła przemyśleć temat, który nie dawał jej spokoju od czasu spotkania w komendzie.

- Jeżeli Otto dysponuje jakimiś informacjami o zabójstwie, to będziesz chciał z nim negocjować sprawę gwałtu? - zapytała ostrożnie.

Simonsena tak zaskoczyło to pytanie, że aż usiadł.

- Nie jesteśmy w USA i nie negocjujemy, wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek.

- Niby tak, ale przecież i tak to robimy. Tylko u nas wszystko jest po prostu subtelniejsze. Mniej się staramy w jednej sprawie, a bardziej przykładamy w drugiej. Zresztą to i tak wysoce wątpliwe, czy uda nam się go obciążyć za gwałt na Hannelore Müller. Musielibyśmy mieć jakieś fizyczne dowody. Nie mamy żadnej pewności, że to był on.

- Do czego właściwie zmierzasz? Może Frode nie wie nic użytecznego, a może to on jest zabójcą. Jest o wiele za wcześnie, żeby o tym rozmawiać. Nie wspominając już o negocjacjach, jak je nazywasz.

- Przestań się zachowywać, jakbyś sam wcześniej o tym nie myślał. Simon, zbyt dobrze cię znam.

Zaczął się zastanawiać, a ona dała mu czas, kartkując książkę.

- Jeżeli to będzie ostatnia deska ratunku, wybiorę się do Niemiec i porozmawiam z tą Niemką. A jeśli to też nic nie da, to nie widzę niczego złego w tym, żeby wykorzystać sprawę gwałtu i przycisnąć Ottona, o ile w ogóle posiada jakieś informacje. Zadowolona?

Nie była, ale udawała, że jest. Potem zaparzyła sobie filiżankę kawy, ponownie otworzyła książkę i zaczęła opowiadać o Francji.

Rozdział 21

- Benedikte!

Henrik Krag gapił się na nią z opadniętą szczęką, po tym, jak otworzył drzwi i uświadomił sobie, kto go odwiedził. Lerche-Larsen uśmiechnęła się nieznacznie, dłonią strzepując z włosów krople deszczu.

- Musimy porozmawiać - odezwała się rzeczowo.

Mieszkanie miało nieskomplikowany rozkład. Ciasny korytarz prowadził do kuchni po jednej stronie i salonu po drugiej, na wprost drzwi wejściowych znajdowała się łazienka i dodatkowy pokój. Masowe budownictwo z lat siedemdziesiątych, gdy architekturę podporządkowano wymogom betonowych bloków. W dużym pokoju tuż przy drzwiach stał niewielki stół, a po drugiej stronie, w najdalszym kącie na wprost telewizora, ustawiono sporych rozmiarów zestaw wypoczynkowy. Drzwi balkonowe i panoramiczne okno z widokiem na kolejny blok zajmowały niemal połowę ściany. Obwisłe beżowe zasłony wiszące w oknie domagały się prania. Okno zresztą też było brudne.

Lerche Larsen weszła do pokoju. Na sofie siedziała kobieta w jej wieku i wpatrywała się w nią z wrogością. Tanie ubranie, górna trójka udekorowana kryształkiem, metaliczny eyeliner i białe cienie do powiek, odpadający lakier na paznokciach i wyblakłe żółtawe włosy z ciemnymi odrostami.

- Dlaczego się tak na mnie gapisz?

Lerche-Larsen ją zignorowała.

- Wolałabym porozmawiać w cztery oczy. Może twoja dziewczyna mogłaby w tym czasie pójść na spacer? - zwróciła się do Kraga.

Nie czekając na jego reakcję, otworzyła drzwi balkonowe i wyszła na zewnątrz. Szare chmury zwiastujące niepogodę pędziły na zachód. Lekkie podmuchy wiatru od czasu do czasu przynosiły ze sobą drobne krople deszczu. Wytarła rękawem mokre czoło, zapięła kurtkę po samą szyję i się wzdrygnęła. Miała na sobie krótką skórzaną kurtkę z asymetrycznym zamkiem i pikowanym kołnierzem, który nie dawał

zbyt wielkiej osłony. Chwilę później Krag uchylił drzwi, oświadczając, że jego dziewczyna wyszła.

Lerche-Larsen wróciła do środka i opadła na fotel, przewiesiwszy kurtkę przez oparcie. Potem wyjęła z torby kopertę, otworzyła ją, wyciągnęła wydruk zdjęcia z lasu Hanehoved i położyła je na stoliku pomiędzy nimi. Krag pochylił się nad nim, zamiast wziąć kartkę w dłoń, jakby się obawiał, że jest zatruta.

- Ktoś cię sfotografował, gdy nieśliśmy ten kamień - zauważył ostrożnie.

- Ktoś nas sfotografował, gdy nieśliśmy kamień.

- Ale jak to się stało? Kto ci to przysłał?

Nakreśliła mu kontekst i najlepiej, jak potrafiła, odpowiedziała na jego kolejne pytania. Do czasu, gdy zaczął się powtarzać.

- Nie mam pojęcia, co teraz zrobić - wyznała. - Pytasz już po raz trzeci. Nie możemy zrobić nic więcej, niż poczekać, aż zadzwoni i wysłuchać, czego od nas chce.

- Siedemnastego kwietnia o dziesiątej, to w piątek?

Benedikte potwierdziła.

-Wtedy jestem w pracy.

- Nie, nie jesteś. Będziesz ze mną, gdy zadzwoni.

Jej oczy ciskały błyskawice, więc zrezygnował z protestów. Oczywiście, że będzie z nią.

- A co na to Jan?

- Jeżeli masz na myśli Jana Podowskiego, to nic. Bo nie żyje.

Krag wydawał się wstrząśnięty i dziewczyna musiała mu wszystko wytłumaczyć. Wreszcie był w stanie powrócić do własnych problemów. Wskazał na kartkę, która nadal leżała na stoliku.

- Jej śmierć to był przecież wypadek. Nie chcieliśmy jej zabić.

- To ją z pewnością cieszy.

- Nie w tym rzecz, chodzi mi o cenę, jaką będziemy musieli za to zapłacić. Mam na myśli więzienie.

Spocił się wokół nasady nosa i wytarł pot rękawem. Pokręciła głową, ale go nie poprawiała.

- A co z tobą? Nie ma powodu, żeby cię w to mieszać. Powiemy, że siedziałaś w samochodzie.

- Jak sądzisz, jak długo dasz radę okłamywać najbardziej profesjonalnych śledczych w tym kraju? Godzinę, dwie, a może dziesięć? Ale to było miłe z twojej strony. Zrobisz mi kawę?

Podczas gdy Krag zajmował się parzeniem kawy, Lerche-Larsen kręciła się po pokoju, przyglądając się wszystkiemu. Komputer miał już swoje lata - dell, co najmniej sześćoletni, w przeciwieństwie do telewizora, który wyglądał na nowy. Meble były brzydkie i podniszczone, dywan wyblakły, a przewód prowadzący z sufitu do lampy nad stołem skrócony przez zawiązanie pętelki, w którą wetknięto długopis. Na parapecie dostrzegła niewielkie złote pudełeczko, w którym swego czasu przechowywała kokę. „Już skończyłam z tym głównym, przynajmniej na jakiś czas, więc możesz sobie zatrzymać to puzderko”, tak mu właśnie powiedziała. Potem przejrzała kolekcję DVD Kraga - przeglądała jedną płytę po drugiej i stwierdziła, że są tylko duńskie. Bez powodzenia rozglądała się za jakimiś książkami, żadnej nie znalazła.

Gdy wrócił z kawą, siedziała już na swoim miejscu w fotelu. Ustawił przed nią kubek, podziękowała i potrząsając głową, odmówiła cukru i mleka. Potem zdjęła kozaki, podciągnęła stopy na siedzenie i wskazała na jego płyty.

- Oglądasz tylko duńskie filmy?

Miał rozbiegany wzrok, gdy jej odpowiadał:

- Te mi się najbardziej podobają.

Upiła łyk kawy, zniesmaczona ściągnęła usta, a potem zapytała:

- Jesteś dyslektykiem, prawda? - Skinęła w zamyśleniu głową i zmieniła temat: - Dlaczego nie odbierasz telefonu? Dzwoniłam chyba z milion razy.

- Gwizdnęli mi komórkę.

- To kup nową albo jakąś ukradnij, muszę być z tobą w kontakcie.

W tej samej chwili odezwał się jej własny telefon. Wyjęła go z torebki z zamiarem odrzucenia połączenia, ale zdążyła na czas odczytać nazwisko na wyświetlaczu i się rozmyśliła. Bjarne Fabricius był człowiekiem, którego nie należało ignorować, jeżeli próbował się skontaktować. Odebrała, poprosiła, aby poczekał moment, po czym przykryła głośnik dłonią i poinformowała Kraga:

- Chciałabym porozmawiać na osobności.

Tym razem to Krag wyszedł na balkon. Nie minęło dziesięć minut, gdy zawołała go z powrotem, pukając w szybę. Usiedli na tych samych miejscach co wcześniej. Nawiązał do ich poprzedniej rozmowy, nie komentując przerwy i obiecując, że załatwi sobie telefon. Będzie jednak musiał poczekać z tym do końca tygodnia, aż dostanie wypłatę. Potrząsnęła zrezygnowana głową, kosmyk rudych włosów opadł jej na czoło, ale odgarnęła go z twarzy. Odszukała w torebce portmonetkę, wyjęła z niej wizytówkę oraz trzy pięciusetkoronowe banknoty i rzuciła wszystko na stolik.

- To o wiele za dużo, wystarczy pięćset - zaprotestował Krag.

- To za resztę kup jakąś porządną kawę. A poza tym to pożyczka.

Jej głos brzmiał bardziej smutno niż sarkastycznie, jakby po rozmowie telefonicznej była myślami gdzie indziej. Potrafił wyczuć takie rzeczy - ton stał się bardziej bezbarwny, a mimika straciła wyraz. Benedikte zerknęła na zegarek - złoty, stylowy, od Cartiera. Było po dwudziestej pierwszej i na zewnątrz zaczął zapadać mrok. Sięgnęła po swoje kozaki.

- Muszę wracać do domu, mam jutro egzamin, który powinnam jakoś przyzwoicie zdać - oznajmiła.

- W kwietniu? Nie sądziłem...

- Zaległy, który zresztą i tak został przesunięty, bo nie uporałam się z tym w terminie.

Jej głos stał się nagle ostrzejszy. Krag wstał i kiedy zakładała buty, kręcił się obok niej bez celu, po czym zaczął coś bełkotać o tym, że to była miła wizyta. Nic na to nie odpowiedziała, ale gdy położyła dłoń na klamce drzwi wejściowych, zapytała jakby od niechcenia:

- Nie znasz przypadkiem faceta, który nazywa się Frode Otto?

Chwycił ją za ramię, gwałtownie, niemal brutalnie. Odruchowo zareagował na nazwisko, reakcja nie była przemyślana. Również wtedy, gdy obrócił dziewczynę w swoją stronę i tym razem złapał ją za przedramię.

- Nigdzie z nim nie wychodź! Jest niebezpieczny i dobrze wiem, że to nie moja sprawa, ale mam to w nosie, po prostu tego nie rób. Pod żadnym pozorem.

Jej reakcja była zaskakująco powściągliwa. Wolną dłonią nakryła jego rękę na swoim ramieniu i trzymała ją tak przez dłuższą chwilę,

jakby wnętrzem dłoni ogrzewała jakąś nakrętkę przed otwarciem. Po chwili ją odsunęła – bez złości, niemal łagodnie.

Powtórzył: miała się trzymać z daleka od Frodego Ottona, koniec kropka. Położyła dłoń na jego klatce piersiowej i zaczęła popychać go z powrotem do pokoju, gdzie ponownie usiedli. Rozmasowywała swoje ramię, nie komentując zachowania Krega.

– Jeżeli cię to ucieszy, to nie mam pojęcia, kim jest Otto. Poza tym, że najwyraźniej skontaktował się już z moją matką, moim ojcem i... powiedz mi, wiesz kim jest Bjarne Fabricius?

– Tak, jest mocodawcą. Twój ojciec siedzi u niego w kieszeni. Jak i wielu innych, z tego, co opowiadał kiedyś Jan. Ale nigdy go nie spotkałem.

– To się ciesz. No więc ten Otto, jeden diabeł wie, kim on właściwie jest, chyba że ty mi to powiesz, najwyraźniej dzwonił również do Bjarnego i jeżeli dobrze zrozumiałam, zaczął mu grozić. To najgłupsze, co mógł w ogóle zrobić, ale to jego sprawa. Niestety wygląda na to, że pan Otto wie więcej, niż powinien, ale tego, mam nadzieję, za chwilę dowiem się od ciebie.

– On i Jan byli kiedyś kolegami, dawno temu. Wyświadczyli sobie wzajemnie przysługi.

– Jakie przysługi?

– Otto pozwalał Janowi korzystać ze swojej chatki myśliwskiej poza sezonem. To znaczy, chatka nie była jego, ale pracował jako nadzorca majątku, do którego należała, i...

– Dalej.

– Jako rekompensatę Otto co drugi miesiąc dostawał jedną rundkę gratis... No, chodzi o te cipki. Ale często pojawiały się problemy. Jan sam wspominał, że zrobiło się z tego niezłe bagno. Prawdziwe zatęchłe bagno.

Krag zamilkł na moment, a ona podniosła głos o oktawę:

– O jakie bagno chodzi? Mam z ciebie wyciągać każde słowo?

– Okazał się bezwzględny w stosunku do tych kobiet, często bywał bardzo okrutny. Zwykle dostawał te, z którymi i tak zamierzaliśmy się pożegnać – wyjaśnił Krag.

– A w jakim celu kontaktuje się z nami, a zwłaszcza z Fabriciusem, którego nie powinien nawet znać? Twierdzi, że jesteśmy mu winni

pieniądze, czy to w ogóle możliwe? I domaga się kolejnych spotkań z dziewczynkami, jak je nazywa.

- Nic nie wiem o żadnych pieniądzach, ale czy to nie on załatwił wtedy sprawę tej chatki myśliwskiej? Pamiętasz przecież, że Jan ją spalił. Benedikte, musisz się trzymać z daleka od Ottona. Widziałem na pewnym nagraniu, jak on... się zachowuje, gdy odwiedza dziewczyny. Ten facet to niebezpieczny zboczeniec.

Lerche-Larsen namyślała się przez dłuższy czas, a Krag milczał, spoglądając na nią pytająco.

- Niewykluczone, że ten Otto rzeczywiście jest niebezpieczny, ale drażni kogoś dużo bardziej niebezpiecznego i jeżeli to on nas sfotografował, to już po nim - stwierdziła w końcu.

- Zapomnij. Nie chcę nikogo zabijać. - Krag zdecydowanie pokręcił głową.

- Już to zrobiłeś i właśnie dlatego tu teraz siedzimy.

Rozdział 22

Skończyło się na piątce.

Benedikte Lerche-Larsen uśmiechała się, podczas gdy nauczyciel oceniał jej egzamin, a potem niczym grzeczna uczennica podała mu dłoń i podziękowała. Drugą ręką chwycił ją za łokieć, a ona uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Wszystko odbywało się zgodnie z planem – istniało ryzyko, że będzie ją uczył jeszcze w kolejnym semestrze, jeżeli ojciec zacznie się domagać zaliczenia następnych przedmiotów prawniczych. W końcu zwolnił uścisk, a ona się oddaliła, nie martwiąc się o swoje dwie koleżanki, które siedziały za nią i czekały na swoją kolej.

Przed południem ruch odbywał się płynnie. Nie było jakichś większych, wartych uwagi korków. Niebo pociemniało, zanosilo się na deszcz. Zdecydowała, że ruszy na północ wzdłuż Strandvejen, ale zatrzymała się w okolicach skrzyżowania Trianglen, gdzie udało jej się zaparkować w jednej z bocznych uliczek. Dzisiejszego poranka znalazła i skopiowała trzy nagrania z folderu Frode Otto na komputerze Podowskiego, ale jeszcze nie miała czasu, aby je obejrzeć. Zamierzała to zrobić teraz, popijając espresso podczas zasłużonej przerwy. Z makiem pod pachą przecinała właśnie ulicę, świadomie unikając uwiecznienia, gdy na czas zauważyła grupę Japończyków, którzy z szerokimi uśmiechami, kłaniając się i żywo gestykulując, robili sobie zdjęcia przed budką z hot dogami. Czekaając na zielone światło na kolejnym przejściu, przyglądała się temu przedstawieniu. Właściciel budki, wydając z siebie nieokreślone gardłowe dźwięki, podawał jedną pieczoną kiełbasę z musztardą i keczupem za drugą. Najwyraźniej zrezygnował z poinformowania swoich klientów o bardziej zróżnicowanej ofercie, zwłaszcza że większość tych wspaniałości po kilku sekundach i tak lądowała w koszu, jak tylko spełniła swoją funkcję rekwizytu. Idealny przykład umiejętności pogodzenia przedsiębiorczości, równowagi finansowej oraz zdrowego japońskiego stylu życia.

Kawiarnia była w połowie pusta. Benedikte zamówiła espresso i kawałek ciasta przy barze, a następnie zajęła stolik przy oknie. Na zewnątrz zaczęło kropić, a po chwili drobny deszczyk zamienił się w ulewę. Dziewczyna jadła i wyglądała przez szybę. Krople odskakiwały żwawo od błyszczącej nawierzchni jezdni i odbijały poblask sygnalizacji świetlnej w czerwonych, żółtych i zielonych odcieniach. Obraz tylko od czasu do czasu zaburzały opony przejeżdżających samochodów. Błyskawica rozdarła niebo, na moment oświetlając ulicę swoim białym światłem. Szyba przed Benedikte zadrżała od grzmotu, a ona odruchowo odsunęła się od okna. Dopiero gdy burza ucichła, włączyła swojego maca i uruchomiła pierwszy z klipów.

Zapomniała o espresso, kawa wystygła. Trzy filmy i trzy pobite Afrykanki. Musiała ściszyć dźwięk, chociaż i tak był niemal wyzerowany. Sekwencja obrazów nie należała do najlepszych, nie więcej niż cztery klatki na sekundę, co sprawiało, że widok był jeszcze okropniejszy. Obraz wydawał się prawie nierealny, kiedy obserwowała, jak dziewczyny dostawały ciosy niemal pod każdym możliwym kątem, doświadczały seksualnego upodlenia i sadyzmu w czystej postaci. Otto był silnym mężczyzną. I wytrzymałym.

Rozdział 23

Gdy Benedikte wróciła do domu, do Rungsted, od razu udała się do swojego ojca, który przebywał w ogrodzie. Klęczał przy rabatce z bylinami, mocno zajęty wyrywaniem podagrycznika pospolitego, pochłonięty odstresowującym zajęciem, które tylko w razie konieczności zlecał swojemu ogrodnikowi. Zauważył ją dopiero, gdy córka przysłoniła mu słońce, wychylające się ponownie zza chmur. Wbił łopatkę w ziemię, przełożył stertę chwastów do wiadra stojącego za swoimi plecami i dopiero wtedy skupił się na dziewczynie.

- Jaki wynik?

- Nie oblałam, więc w porządku. Dostałam tróję.

- To kiepsko, co poszło nie tak?

Wiedziała, że taka ocena go wkurzy, zwłaszcza jeżeli ona sama nie będzie się nią przejmować. Na zewnątrz wszystko musiało wyglądać perfekcyjnie i nic nie mogło tego zmienić. Nie interesowało go natomiast, jak ona się z tym czuła.

- Nic nie poszło źle, po prostu na tyle zasłużyłam.

Próbował ją wybadać, wypytywał o szczegóły. Odpowiadała wykrętnie lub wzruszeniem ramion, aż w końcu zrezygnował i zmienił temat.

- Ten idiota, który tu wczoraj dzwonił, udało ci się czegoś o nim dowiedzieć?

- Frode Otto?

- Tak, zdaje się, że tak się nazywał.

- Zapomnij o nim. Zajmę się tym.

- Dzwonił również do Fabriciusa. Szlag by to trafił, Bjarne się wściekł, wiesz, jak on reaguje, gdy zostanie w coś zamieszany.

- Nie, nie wiem, ale ty wiesz. Jak już mówiłam, załatwię to. Nie musisz się tym martwić.

- Co chcesz zrobić? Dać mu pieniądze i darmowy dostęp do naszych usług, tak jak się tego domaga? Nie lubię wywierania presji.

- Żadnego darmowego dostępu, on niszczy kobiety, a to na dłuższą metę zbyt wiele nas kosztuje. Nie możesz po prostu przyjąć do wiadomości, że problem zostanie rozwiązany?

Wyglądało na to, że dopiero teraz zrozumiał, co do niego mówiła. Zmrużył oczy i przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, a potem skinął głową na znak, że się zgadza. Dobrze, niech załatwi tę sprawę, to mu odpowiadało, temat zamknięty.

- Wybierzesz się z matką po południu? - zapytał już lżejszym tonem. - Będzie świeża dostawa z Nigerii, a my musimy wymienić jakieś siedem, może osiem ze swojego personelu. Matka zakłada, że pojedziecie tam razem - dodał.

- Tak, pojedę z nią.

- Chciałbym też, żebyś wieczorem przejrzała dane od trzech pokerzystów. To pilne.

- Rozumiem, ale musi poczekać do jutra. Mam wieczorem spotkanie.

- Z kim?

- Z mężczyzną, Svendie, a więcej nie powinno cię obchodzić. Skoro to takie pilne, sam się tym zajmij zamiast tej idiotycznej pracy.

Oskarżycielsko wskazała palcem na grządkę, nie zastanawiając się nad tym, że ona sama zachowuje się podobnie, kiedy kosi trawę. Odwróciła się na pięcie i zniknęła.

Rozdział 24

Karina Larsen uwielbiała targi. Nieustannie odczuwała dreszcz ekscytacji, gdy z błyskiem w oku i żywą gestykulacją uganiała się za korzystną transakcją. Zawsze obowiązywał ten sam system: antyki z Portobello Road w Londynie, staloryty do biura męża z Porte de Clignancourt w Paryżu albo Nigeryjki z obskurnego hotelu na Vesterbro w Kopenhadze. Chodziło o to, żeby kupić tanio i sprzedać drogo. Metodycznie, bez pośpiechu przebiegała wzrokiem po towarach, notując coś w bloku, który trzymała na kolanach.

Pomieszczenie, w którym właśnie dobijano targu, nie było większe od zwykłego salonu, chociaż hotel nieskromnie określał je jako apartament. Wzdłuż jednej ze ścian, graniczącej z ulicą, ustawiono w rzędzie szesnaście Nigeryjek – niektóre siedziały na krzesłach, inne stały, a jedna usadowiła się na parapecie. Na końcu, w fotelu, przysiadła ich burdelmama i mierzyła teraz swoje dziewczyny chłodnym spojrzeniem. Mówiła zarówno w języku hausa oraz joruba, jak i perfekcyjnie po angielsku, który był w Nigerii językiem urzędowym. Na wprost kobiet poza Benedikte i jej matką siedziało jeszcze dwóch nabywców z Aarhus – jeden Afrykańczyk, drugi Duńczyk. Ten drugi był przeziębiony i cały czas pociągał nosem. To było dość irytujące, dlatego pani Larsen podała mu uprzejmie paczkę jednorazowych chusteczek, która wyciągnęła z torebki. Z wdzięcznością przyjął prezent, a potem zaczął smarkać.

Benedikte zerknęła do notatek matki, a następnie nachyliła się do niej i wyszeptała jej do ucha:

- Nie wydaje mi się, żeby ta po lewej została odpowiednio wymusztrowana.

Skinęła głową w stronę kobiety, która stała z błyszczącymi oczami, wyraźnie było widać, że niedawno płakała. Burdelmama wykazała się czujnością. Chociaż nie mogła usłyszeć wyszeptanego komentarza dziewczyny, odezwała się ostro po angielsku:

- Wszystkie moje dziewczyny przyszły tu z własnej woli.

Benedikte odpowiedziała jej tym samym tonem. Jej matka, której angielski był co najwyżej średni, dopytała:

- Co jej odpowiedziałaś?

- Powiedziałam, że nie mamy wątpliwości, że są tutaj dobrowolnie. A jeżeli tak nie jest, to spuści się im lanie, żeby zrozumiały, co po duńsku oznacza dobrowolność.

- Dlaczego tak mówisz? To ogromnie ważne, że przychodzą tutaj z własnej woli. W przeciwnym wypadku wielu naszych klientów nie będzie chciało mieć z nimi do czynienia.

- Bo jestem już zmęczona tym stekiem bzdur, ale dobrze, niech ci będzie. Od małości każda z nich marzy tylko o tym, żeby przyjechać do naszego legendarnego państwa dobrobytu, żeby mogło ją pieprzyć dziesięciu, dwunastu mężczyzn dziennie do czasu, aż stanie się tak stara i rozjechana, że nikt nie da za nią więcej niż pięćdziesiątka. Ich duńskie marzenie właśnie się spełniło, zobacz, jak się do nas uśmiechają, no to kupmy, co mamy kupić, i wracajmy do domu.

Benedikte mówiła prawdę. Wszystkie szesnaście ochotniczek prześcigiwało się w uśmiechach. Każda z nich liczyła na to, że zasłuży na łaskawe spojrzenie Kariny Larsen. Zgromadzone w pomieszczeniu dziewczyny stanowiły tylko niewielki odsetek tych wielu tysięcy niewolnic seksualnych, eksportowanych każdego roku do Europy z Afryki, głównie z takich krajów jak Niger, Czad czy Nigeria, znanych jako Trójkąt Wstydu. Proceder nazywano handlem ludźmi, chociaż odpowiedniejsza byłaby nazwa zorganizowany gwałt.

Wszystkie kobiety w tym obskurnym hoteliku na Vesterbro próbowały zaprezentować się jako seksowne i pracowite przed tą starszą nabywczynią w blond włosach, która siedziała na końcu pomieszczenia i taksowała je wzrokiem. Już dawno temu rozeszła się plotka - różnymi krętymi ścieżkami w postaci luźnej uwagi czy SMS-a, w każdym razie wszyscy o tym wiedzieli - że gdy należało się do Kariny Larsen, obsługiwało się tylko jednego klienta dziennie. I choć to brzmiało nieprawdopodobnie, było prawdziwe. Jaki to byłby luksus - tylko jeden klient dziennie! Nawet w piekle można niebiańsko marznąć.

Koniec końców Benedikte i jej matka zdecydowały się na pięć kandydatek - to określenie pochodziło od pani Larsen - którym zamierzały się przyrzec. Burdelmama przekazała im paszporty

dziewcząt, a wybrane ruszyły wraz z dwiema kobietami do przylegającego obok pokoju hotelowego. Czekał tutaj na nich młodszy mężczyzna, który wstał, gdy tylko towarzystwo pojawiło się w drzwiach, i nerwowo przywitał się z kobietami. To był jego debiut w tym charakterze i nie był do końca pewny, czy nie wpakował się w coś niezgodnego z prawem. Zaoferowano mu jednak spore pieniądze w gotówce, czyli poza kontrolą urzędu skarbowego. Wytarł spoczone dłonie o nogawki spodni, a potem uprzejmie wyciągnął dłoń w stronę dwóch Dunek. Swoją lekarską torbę ustawił na łóżku.

Pani Larsen komenderowała swoim najlepszym szkolnym angielskim:

- Rozbierzcie się.

Benedikte skinęła głową w stronę lekarza i zwróciła się do matki:

- Zazwyczaj wybierasz kobietę.

- Tym razem był tylko on, ale to bez znaczenia. Czarni nie znają zakłopotania. To ludzie natury, dla nich nagość jest oczywistością.

Larsen wyjęła z kieszeni parę plastikowych rękawiczek, nałożyła je, a następnie centymetr po centymetrze, niczym doświadczony handlarz końmi, zaczęła oglądać dziewczyny. Otwierała im usta, grzebała we włosach, rozwierała im oczy, unosiła nos i oglądała podeszwy stóp. Następnie porównała je ze zdjęciami w paszportach. Zanim je kupi, powinny mieć skończone przynajmniej osiemnaście lat - to znaczy oficjalnie. W praktyce ich rzeczywisty wiek w ogóle jej nie interesował.

Dwie z kobiet zostały odrzucone. Jedna z powodu obwisłych piersi i wystających warg sromowych. Istniało prawdopodobieństwo, że zdążyła się po drodze dorobić dziecka, które może nawet gdzieś ukryła. To się już zdarzało. Z drugiej zrezygnowano z powodu zębów, poprawienie ich wyglądu byłoby zbyt drogie. Ta kwestia wywołała dyskusję między matką a córką. Benedikte kalkulowała zgodnie z najlepszymi umiejętnościami, jakie zdobyła w Kopenhaskiej Szkole Biznesu. Inwestycja, amortyzacja i zysk netto - szybki szacunek wskazywał, że środki przeznaczone na dentystę szybko się zwrócą. Jednak doświadczenie matki i jej przecucie mówiły „nie” i tak już zostało.

Potem przyszła kolej na lekarza, bo jego badanie było istotne. Kilka lat temu Larsen padła ofiarą oszustwa, gdy kupiła kobietę, która

okazała się ciężarna i którą z wielkim trudem udało się przekonać do usunięcia płodu. To się nie mogło już nigdy powtórzyć. Dlatego domagała się sprawdzenia dziewczyn pod kątem ewentualnych chorób przenoszonych drogą płciową, ciąży i innych przypadłości. Dopiero potem kontrakt mógł zostać zawarty.

Pozostawała jeszcze kwestia ceny. Burdelmama i Larsen odeszły na bok. Benedikte, ku swojej irytacji, nie mogła do nich dołączyć. Negocjacje jak zwykle były nerwowe. Kobiety zaczęły się targować i przerzucać argumentami, używając przy tym bełkotliwej mieszanki duńskiego i angielskiego doprawionej żywą gestykulacją. Kwoty podawano w euro, co było zrozumiałe i wydawało się takie międzynarodowe. Larsen miała ze sobą trzy kobiety do zwrotu - tylko lekko zużyte, niemal nowe - one też podlegały negocjacjom i miały zostać uwzględnione przy korzystnej cenie. To nieco komplikowało sytuację, ale w końcu udało się ustalić warunki. Z jednym zastrzeżeniem:

- Pod ścisłym warunkiem, że nie mają żadnych ukrytych chorób. Połowa teraz, a połowa, gdy wypowie się lekarz - podkreśliła po angielsku nabywczynie.

- Oczywiście, proszę pani.

Podąły sobie dłoń, transakcja została przyklepana.

Rozdział 25

Princesse Blå znajdowała się w centrum dzielnicy Nørrebro, z widokiem na jezioro Peblinge, i była jedną z wielu kopenhaskich restauracji, które wyspecjalizowały się w kuchni nordyckiej oraz innowacyjnej kulturze żywieniowej. Dzięki odpowiedniej wizji oraz znakomitemu kunsztowi kucharza przyciągała międzynarodowej sławy gastronomów, a podczas ostatniej ewaluacji otrzymać również wyróżnienie w postaci *rising star* w przewodniku Michelin – co zwiastowało otrzymanie gwiazdki, jeżeli tylko wysoki standard zostanie utrzymany.

Benedikte Lerche-Larsen zadała sobie sporo trudu, żeby dobrze wyglądać podczas umówionej kolacji z Bjarnem Fabriciusem. Nie chodziło tylko o wyjątkowe miejsce. Dziewczyna przeczuwała, że wieczór może się okazać istotny, jeżeli nadarzy się okazja, by porozmawiać o interesach. Wybrała prostą czarną sukienkę bez rękawów, której główny atut stanowił tył z prześwitującej koronki, sięgającej od karku do talii. Zdecydowała się także na delikatny makijaż.

Fabricius powitał dziewczynę szarmancko pocałunkami w policzek, skomplementował jej wygląd, a następnie zaprowadził ją do stolika, który znajdował się w odosobnieniu, w prawie oddzielnym pomieszczeniu na tyłach restauracji. Benedikte rozejrzała się wokół. Miejsca wystarczyłoby przynajmniej na dwa kolejne stoliki. Fabricius wysunął krzesło, żeby mogła usiąść, i powiedział, jakby czytał w jej myślach:

- Ja to zaaranżowałem, nie chciałem, żeby ktoś przeszkadzał nam w rozmowie. Pomyślałem, że tak będzie najlepiej. Ale najpierw zajmijmy się jedzeniem. Złożyłem już zamówienie, jeżeli nie masz nic przeciwko temu?

Skinęła z aprobatą głową, że jej to odpowiada. Gdy uniósł palec, w ich pobliżu zmaterializował się młody kelner w białej marynarce smokingowej oraz czarnych spodniach z klasycznymi jedwabnymi

lamówkami i zaczął nerwowo prezentować menu. Benedikte dopytała o kilka potraw, a mężczyzna odpowiadał, jakby zdawał egzamin – poprawnie, ale sztywno.

- Przyznaj się, jesteś tu właścicielem? – zapytała Fabriciusa, gdy obsługa się oddaliła.

Nalał im wina do kieliszków, a dopiero potem odpowiedział:

- To jedna z tych rzeczy, które w tobie lubię, Benedikte. Rejestrujesz drobiazgi i wyciągasz właściwe wnioski.

Dziewczyna jadła szybko i skończyła przed nim. Na jego prośbę opowiadała trochę o sobie i studiach, ale gdy chciał dolać jej wina, nakryła kieliszek dłonią. Wolno przechylił butelkę i trunek zaczął spływać po jej dłoni, dopóki jej nie cofnęła. Natychmiast pojawił się kelner, a Fabricius zażądał nowego obrusa i ciepłego, wilgotnego ręcznika – „dla swojej młodej przyjaciółki”, jak się wyraził. Przetarła i osuszyła dłonie, podczas gdy dwóch kelnerów w zaskakująco szybkim tempie zmieniło obrus.

- Chcesz mnie upić?

Rozległ się jego oschły, niemal nieuprzejmy śmiech.

- Na pewno nie Chablis Les Clos z dwa tysiące siódmego roku, to byłoby marnotrawstwo dobrego trunku – oznajmił.

- W takim razie dlaczego mnie upokarzasz? Żeby mi pokazać, że możesz? Jeśli tak, to zbędne, bo oboje wiemy, że możesz.

Fabricius pochylił głowę i podrapał się palcem po karku. Po chwili jakby zeszywniał w tej niezręcznej pozie, zupełnie się nie przejmując jej spojrzeniem. Trwał tak przez moment, aż wreszcie się odezwał:

- Benedikte, jesteś piękna, nie ma co do tego wątpliwości, a do tego masz styl. Poza tym jesteś też naprawdę uzdolniona. Los okazał się dla ciebie łaskawy.

To nie był komplement, tylko stwierdzenie faktu, stanowisko, które nie podlegało dyskusji. Nic na to nie odpowiedziała, wzruszyła jedynie ramionami, tym razem bez uśmiechu.

- Boisz się mnie? – zapytał Fabricius.

- Tylko wtedy, gdy się śmiejesz.

- Odpowiadaj poważnie na pytanie.

Przytrzymała jego spojrzenie.

- Oczywiście, że tak, albo może bardziej precyzyjnie: boję się wejść ci w paradę. Tylko głupek by się nie bał.

Gdy zabrali się za kolejną przystawkę, atmosfera błyskawicznie się rozluźniła. Zaczął jej opowiadać o dawnych czasach, gdy on i jej ojciec byli jeszcze młodzi. Słuchała z zainteresowaniem i śmiała się we właściwych momentach. Także wtedy, gdy usłyszała historię, której nie opowiedzieliby jej rodzice. Jej ojciec wygrał w zakładach bukmacherskich - sześćdziesiąt tysięcy koron - z czego większość została przepuszczona podczas trzydniowej eskapady po mieście. Zgodziła się z jego konkluzją: gdyby AGF Aarhus nie wyrównało w meczu przeciwko KB Kopenhaga zupełnie nieoczekiwanym rzutem karnym w dogrywce, do niczego by nie doszło. Potrzaskała głową, a jej rude włosy zakołysały się w zwolnionym tempie. Stuknęli się kieliszkami i wypili zdrowie kiepskich duńskich sędziów, a potem Fabricius powrócił do anegdot ze swojego dzieciństwa, a kelner w tym czasie dyskretnie doniósł kolejną butelkę.

- Muszę się teraz napić wody - weszła mu w słowo w pewnym momencie. - Nie chcę być wstawiona, gdy nadarzy się okazja, żeby ci opowiedzieć, jak powinniśmy rozwinąć interesy mojego ojca. Przygotowałam się i zamierzam to zrobić porządnie.

- Nie będziesz niczego opowiadała - zaśmiał się. - To byłaby strata czasu, a poza tym to zbyt nudne. Benedikte. Nie doceniasz mnie, takie odnoszę wrażenie, i właśnie dlatego wylałam na twoje dłonie to wino.

Przedstawił jej własny plan, z pominięciem zbędnych argumentów, okrojony do meritum. Pokerowy interes powinien zostać rozszerzony na skalę międzynarodową - nadal zgodnie z prawem albo raczej na tyle, na ile to możliwe - z dwoma, trzema graczami w każdym z piętnastu, dwudziestu krajów. Podejrzane transakcje walutowe odbywałyby się w taki sam sposób, jak dokonują ich tradycyjni oszuści internetowi. Pieniądze musiałyby przechodzić przez wiele instytucji finansowych: banków w San Marino, w Ukrainie, Salwadorze, Libanie i tak dalej. Każdy gracz miałby taką swoją sieć, którą należało regularnie zmieniać. Poza tym trzeba też zlikwidować interes z dziwkami - głupotą byłoby prowadzenie go na tych samych zasadach co Akademii Pokera. Działalność burdelu miała sens pod warunkiem, że nie była powiązana z grą w karty.

Jeżeli Lerche-Larsen czuła się zaskoczona jego koncepcją, nie dała tego po sobie poznać, zbyt dobrze wyszkolono ją podczas gry w pokera.

- Jan Podowski? - zapytała ostrożnie, gdy zamilkł.

Potwierdził, że Podowski już dawno temu przedstawił mu jej pomysły, ale z tego powodu nie stały się, rzecz jasna, mniej interesujące.

- Niemniej pojawia się problem. Co z Kariną i Svendem? Jak mam to z nimi rozegrać? A właściwie to powinienem zapytać ciebie: jak ty zamierzasz to z nimi rozegrać?

Wzruszyła ramionami. Teraz to jeszcze nie miało znaczenia. Podzieliła się z nim tylko luźnymi refleksjami na przyszłość, niczym, co wymagałoby realizacji tu i teraz.

- Ach tak. Czyli Jan się pomylił, kiedy mi opowiedział, że twoje uzasadnienie biznesowe liczy sobie dwadzieścia stron i jest gotowe do wdrożenia? Omawiamy teraz tylko luźną teorię ze szkoły handlowej, a nie coś, co należałoby na poważnie wcielić w życie?

Ociekał ironią, ale nie próbowała się uchylać od odpowiedzi.

- Jak słusznie zauważyłeś, mam z rodzicami kłopot, którego nie jestem w stanie rozwiązać, i doskonale zdaję sobie z tego sprawę. I owszem, przyznaję, jak na razie mój model prowadzenia biznesu to czysta teoria. Ale to nie wyłącznie mój problem.

- Jeżeli masz na myśli to, że brakuje mi teraz kompetentnego następcy Jana, żeby móc patrzeć twoim rodzicom na ręce, to liczę, że uda mi się rozwiązać go jeszcze dzisiaj wieczorem.

- Co ja z tego będę miała?

- A czego byś chciała?

- Twojej przychylności, oszczędności na oddzielnym koncercie i od czasu do czasu prawa do popełniania błędów.

- Mądra dziewczynka.

Zrobiło się późno i gdy wychodzili z restauracji, oboje byli już lekko zamroczeni. Noc pachniała wiosną i oparami benzyny z Østerbrogade. Otaczające ich światła neonów kusily, podobnie jak gwiazdy nad nimi.

Benedikte trzymała go mocno pod ramię i się roześmiała.

- Musisz mnie wesprzeć, bo drżą mi nogi i to twoja wina. Co teraz zrobimy?

Podtrzymał ją, a ona oparła głowę na jego ramieniu.

- Przejdziemy się wokół jeziora i będziemy rozkoszować wieczorem. Potem znajdziemy jakiś bar, gdzie wypijemy po lampce taniej whisky, a może nawet po dwie, a potem wsadzę cię do taksówki, która odwiezie cię do domu.

Zdjął jej dłoń ze swojego karku, chwycił za ramię i obrócił o dziewięćdziesiąt stopni, ustawiając przodem do jeziora.

- Chyba że zrobisz się zbyt przylepna, to wtedy natychmiast wsadzę cię do taksówki. Bez problemu możesz iść sama - dodał po chwili.

Znaleźli kompromis i tym razem uczepliła się jego ramienia, gdy podreptali ścieżką biegnącą wzdłuż jeziora. Nucił coś cicho, ale zaskakująco dobrze. *My Heart Will Go On*.

- Jesteś naprawdę niezły - pochwaliła jego umiejętności. - Mogę sobie zamówić kolejny kawałek?

- Pasowałabyś idealnie do tego statku. Może urodziłaś się o sto lat za późno.

- Może, kto to wie? Poczekaj, zaraz ja wymyślę dla ciebie jakąś melodię.

Nigdy nie zdążyła zrealizować swojego planu. Niewielka grupa nastolatków nagle zagroziła im drogę. Byli pijani, agresywni, prowokujący.

- Patrzcie, jakiś pieprzony emeryt i durna dziwka. Hej, ty bogata świnio, co powiesz na to, żeby mi odpalić kilka setek?

W ulicznym świetle błysnął nóż, a jakaś dziewczyna kilka metrów przed nimi krzyknęła, że ma dość tych cholernych awantur i żeby szybko do niej dołączyli. Fabricius oddał im swój portfel i skinął sztywno głową, a następnie, nie odrywając wzroku od noża, mocnym ruchem dłoni popchał Benedikte do przodu. Przepisnęli się między pozostałymi dwoma nastolatkami. Kilka metrów dalej położył jej dłoń na szyi. Za nimi przez chwilę słychać było jakieś zamieszanie, uderzenia i kilka urywanych okrzyków. Najwyraźniej był dzisiaj ze swoją obstawą - dyskretną, trzymającą się na dystans. Nikogo do tej pory nie zauważyła. Chciała obrócić głowę, ale wtedy poczuła, że jego palce ściskają jej szyję niczym imadło.

- No cóż, szkoda, bo cieszyłem się na tę melodię, ale okazja ku temu już minęła. Zamiast tego możesz pomyśleć o czymś innym. Frode Otto,

czy nie tak nazywał się ten dupek, który do mnie dzwonił i mi groził? – zapytał.

Ktoś doganiał ich szybkim krokiem. Zerknęła na niego, nadal nie będąc w stanie dostrzec, co dzieje się za nią. Zauważyła jedynie, jak Fabricius wyciągnął wolną dłoń do tyłu, a potem wsunął swój portfel do kieszeni. Bez słowa, jakby rozwiązała mu się sznurówka, a on ją z powrotem zawiązał i uznał, że nie ma sprawy.

– Owszem, nazywa się Frode Otto. O czym mam właściwie pomyśleć?

– O tym, jak rozwiążesz ten problem, bo jak zrozumiałem, właśnie to obiecałaś swojemu ojcu. Zakładam, że będziesz potrzebować mojej pomocy.

– Tak to sobie wyobrażałam.

– Powiedzmy, że dam ci wolną rękę. Chcę się przekonać, co zrobisz.

Puścił jej szyję, a ona zdążyła chwycić jego dłoń i objąć się nią w pasie.

– Wolna ręka. To brzmi jak marzenie.

– W takim razie zacznij marzyć.

Rozdział 26

Ze śledztwami prowadzonymi przez wydział zabójstw wiązało się wiele drobnych rytuałów - niektóre zawdzięczano Simonsenowi, a inne po prostu odziedziczył po swoich poprzednikach. I tak przyjęło się, że zdjęcia świadków lub podejrzanych w danej sprawie wieszano na wielkiej tablicy znajdującej się na ledwo od drzwi prowadzących do jego biura. Powiązania pomiędzy osobami zaznaczano bawełnianą nitką - czerwoną, jeżeli zostały zweryfikowane, a niebieską, gdy mieli jakieś wątpliwości, które jeszcze należało rozstrzygnąć. W przypadku dużych spraw umieszczenie zdjęć osób w odpowiednich miejscach oraz ustalenie związków między nimi sprawiały, że na tablicy powstawała niezła układanka. Aktualizowano ją na bieżąco, żeby zaangażowani w sprawę funkcjonariusze mieli jak najlepszy ogląd sytuacji. To zadanie należało do szefa wydziału zabójstw - tylko do niego - i absolutnie nikt inny nie mógł się w to wtrącać. Chyba że chciał zaryzykować spory ochrzan. Simonsen stał właśnie ze zdjęciem Frodego Ottona w jednej ręce i niewielkim plastikowym pudełkiem szpilek w drugiej, gdy do jego biura weszli Hrabianka i Pedersen.

- Właśnie o nim chcemy z tobą porozmawiać. - Kobieta wskazała na zdjęcie trzymane przez inspektora.

Usiedli przy stole znajdującym się na tyłach biura.

- Możemy już stwierdzić z pewnością, że Otto przebywał w północnej Jutlandii w czerwcu dziewięćdziesiątego drugiego, gdy zgwałcono Hannelore Müller - oznajmiła.

W głowie Simonsena zapaliły się lampki ostrzegawcze. W jej głosie usłyszał oficjalny ton i wyczuwał determinację, która nie zostawiała miejsca na dyskusję. A do tego wszystkiego jego żona i Pedersen zdecydowali się odwiedzić go wspólnie... Najwyraźniej chcieli go do czegoś przekonać. Do czegoś, na co zapewne nie będzie miał ochoty.

- Mogliśmy już tydzień temu - wpadł jej w słowo.

- No właśnie. - Hrabianka nie dała się zbić z pantafyku i odpowiedziała z naciskiem. Ton jej głosu nie pozostawiał wątpliwości.

Z plastikowej koszulki wyjęła dwa zdjęcia Ottona, oba przedstawiające mężczyznę w odmłodzonej wersji. Jedno było efektem komputerowej obróbki, dzięki której odmłodzono go o dwadzieścia lat, drugie - gorszej jakości - przedstawiało zmodyfikowaną wersję czarno-białego zdjęcia z gazety.

- Tygodnik „Frederiksværk Ugeblad”, popularnie zwany „Wycieraczką”, sekcja sportowa z trzeciego lutego dziewięćdziesiątego trzeciego, kiedy Otto wygrywa mistrzostwa Zelandii w zapasach w klasie wagowej do osiemdziesięciu czterech kilogramów. Należał wtedy do lokalnego klubu zapaśniczego AK Heros - wyjaśniła.

Zdjęcie zrobiono z profilu i nie najlepiej nadawało się do identyfikacji, drugie było dużo lepsze, ale oczywiście mogło zostać nieodpowiednio obrobione. Simonsen przyglądał mu się przez chwilę, kiwając głową, chociaż nie bardzo wiedział, dlaczego to robi.

- Hannelore Müller, ta dziewczyna, którą zgwałcił... - przejął inicjatywę Pedersen.

- Którą prawdopodobnie zgwałcił.

- ...mieszka dzisiaj w Wandsbek, no wiesz, w mieście z tego porzekadła, że coś jest warte tyle co Wandsbek. Czyli niewiele. To są przedmieścia Hamburga.

Simonsen zdał sobie sprawę, do czego zmierza jego kolega.

- Chcecie mnie zagonić do Hamburga, o to wam chodzi?

Inspektor miał kolegę z czasów młodości, który nazywał się Bastian Jancker i od 2008 roku przebywał na emeryturze. Zanim przeszedł w stan spoczynku, pełnił funkcję komendanta policji w Hamburgu. Przedtem pracował jako kryminalny we Flensburgu, gdzie się urodził i dorastał jako jeden z przedstawicieli duńskiej mniejszości w Szlezwiku. W związku z tym mówił znakomicie po duńsku, a poza tym miał doskonałe kontakty w niemieckiej policji. Simonsen namyślał się przez chwilę.

- A dlaczego nie można tego załatwić z Niemcami przez Interpol albo jakimiś innymi oficjalnymi kanałami? - zapytał. - System administracyjny w Niemczech funkcjonuje bez zarzutu. To tak przy okazji, gdybyście mieli jakieś wątpliwości - dodał.

Wszyscy bardzo dobrze zdawali sobie sprawę z tego, że ta krótka osobista podróż do Hamburga okaże się dużo szybszym i zdecydowanie

efektywniejszym rozwiązaniem, pomimo dobrze układającej się współpracy z niemiecką policją. Hrabianka, która najlepiej знаła Simonsena, zorientowała się, że już podjął decyzję.

- O ile dobrze pamiętam, sam kiedyś zaproponowałeś tę podróż. Spakowałam ci torbę, leży w bagażniku. Arne zajmie się twoim biletem, a ty wyruszasz z Dworca Głównego za dwie godziny - odparła z uśmiechem.

- Cóż za imponująca efektywność, wygląda na to, że mam naprawdę bardzo zdolnych współpracowników. Czy nie powinienem jednak najpierw zadzwonić do Bastiana i upewnić się, że jest w domu?

Chciał, aby to zabrzmiało ironicznie, ale mu się nie udało.

- Zrobiłam to wczoraj, czeka tam już na ciebie z currywurstem i frytkami. Zamieszkaś u niego, nie chciał nawet słyszeć o żadnym pokoju hotelowym - uspokoiła go Hrabianka, wstając.

Kolejny komentarz Simonsena o tym, jak bardzo się cieszy na wieczorną przechadzkę po Reeperbahn, też przepadł z kretesem. Zanim wyszła, pomachała mu, życząc udanej podróży.

- Simonie, pamiętaj, żeby zadzwonić - upomniała go jeszcze na odchodnym.

Pedersen pospieszył za nią.

Trzy dni później Simonsen wkładał już klucz do zamka domu w Søllerød. Był wczesny wieczór, ale nie panował jeszcze zupełny mrok, bo dni stawały się coraz dłuższe. Hrabianka przywitała go i wyściskała radośnie. Miała wyrzuty sumienia, że nie odebrała go z dworca z powodu programu dokumentalnego *Operacja X*, który akurat leciał w telewizji i który ją kompletnie pochłonął, w związku z czym mąż musiał się zadowolić taksówką.

Dopiero gdy Simonsen zjadł, zapytała go o Hamburg. Oczywiście rozmawiali wcześniej przez telefon, ale tylko sporadycznie wspominali o pracy, sprawy prywatne miały większy priorytet, a informacje o dochodzeniu mogły poczekać, aż wróci do domu.

- Nie poszło z Hannelore? - zapytała ponuro.

- I tak, i nie, ale wygląda to raczej kiepsko. Ta biedna kobieta ma zniszczone życie. Ma całą paletę dolegliwości: problemy z pamięcią i koncentracją, kłopoty ze snem, koszmary. Choruje też na depresję,

zмага się z lękami, wybierz sobie z tego, co chcesz... Wygląda to mniej więcej tak jak u... no, sama wiesz.

Miał na myśli Berg i od razu się domyśliła. Potaknęła i pomyślała, że to jest właściwie chyba najgorsze – że po jakimś czasie ludzie zaczynają unikać osób z takimi problemami, bo te symptomy za bardzo ich przytłaczają.

- Nienawidzę gwałcicieli i po tym spotkaniu mam do tej sprawy takie podejście jak ty. Chciałbym móc go wsadzić do więzienia za to, co zrobił ten Otto – ciągnął inspektor.

- Ale nie możemy?

Nie bardzo mogli. Wystąpienie Hannelore Müller w roli świadka na duńskiej sali sądowej nie wchodziło w grę. Dziewczyna nie chciała, a poza tym nawet nie była w stanie. Zanim pokazano jej zdjęcia Ottona, wezwano jej brata, który był lekarzem. Ten z miejsca przerwał rozmowę, gdy się okazało, że siostra dostała poważnego ataku duszności, jak tylko zerknęła na pierwszą fotografię.

- Mam to nagrane, wyglądało to strasznie, ale nie może nam posłużyć za dowód – dodał Simonsen.

- Rozpoznała go?

- Na filmie żywo potakuje, ale jak już wspomniałem, ledwo łapie powietrze i każdy obrońca będzie miał uzasadnione wątpliwości co do jej reakcji. Jej brat zadzwonił później i potwierdził, że rozpoznała Ottona jako sprawcę. Mam jego podpis na górnolotnie sformułowanym dokumencie, wydrukowanym na oficjalnym papierze firmowym hamburskiej policji z pieczętkami i całą resztą, niemniej jednak to informacje z drugiej ręki, co w praktyce oznacza, że nie mają żadnej mocy. A dziewczyna nie może nic podpisać, bo po prostu nie jest w stanie zrobić niczego, co ma jakikolwiek związek z tą sprawą. Może to się zmienić, chociaż to bardziej niż wątpliwe. Koniec końców sytuacja nie napawa optymizmem, choć muszę przyznać, że miło było spotkać Bastiana.

Hrabianka poświęciła kwadrans, żeby zapoznać się z dokumentem przywiezionym przez Simonsena oraz obejrzeć wideo z przesłuchania Hannelore Müller. Gdy skończyła, podjęła decyzję.

- Idę z tym jutro do Wielkiej Berthy, pod warunkiem, że zdołam się umówić. Jeżeli dopisze nam szczęście, może dostaniemy nakaz

ujawnienia billingów Ottona.

- Nikt nie ma szczęścia u Wielkiej Berthy. Właśnie dlatego tak ją nazywają. - Jej mąż nie krył sceptycyzmu.

Rozdział 27

Bertha Steenholt, przez większość zwana Wielką Berthą, pracowała jako prokuratorka okręgowa dla Kopenhagi i Bornholmu. Sześćdziesięcioczerolatka była postawną kobietą z siwymi lokami i twarzą o grubych rysach, przywodzących na myśl mieszankę fizjonomii Simone Signoret i Leonida Breżniewa, i emanowała władzą w czystej postaci. Mieszkała w dość obskurnej wili w dzielnicy Frederiksberg razem ze swoją córką i nieznaną dokładnie, ale z pewnością sporą liczbą kotów. Jak wieść gminna niosła, strach było ją tam odwiedzać, bo ponoć nie każdy stamtąd wychodził – istniało ryzyko, że Wielka Bertha uśpi swojego gościa, a potem przerobi go na karmę dla kotów. Jej córka pracowała jako obrończyni i szczyliła się trzecim w kolejności najlepiej zdanym egzaminem prawniczym na Uniwersytecie Kopenhaskim. Lepiej wypadli tylko pewien legendarny komunizujący prawnik, Carl Madsen, oraz jej własna matka. Gdy od czasu do czasu matka i córka natykały się na siebie w sądzie, zawsze robiło się z tego prawdziwe widowisko.

Hrabianka nie należała do kobiet, które dają się łatwo zbyć, jednak Wielka Bertha była wyjątkiem, który potwierdzał regułę. Sytuacji nie ułatwiał fakt, że policjantka nie miała w ręku żadnych prawnych argumentów, a tego Steenholt nie zwykła tolerować. Mimo to należało spróbować.

Prokuratura okręgowa mieściła się przy Jens Kofods Gade, bocznej uliczce do Store Kongensgade. Hrabianka przespacerowała się z komendy, korzystając z pięknej wiosennej pogody, i dotarła na miejsce na kilka minut przez wyznaczonym czasem, a mimo to została od razu wpuszczona do środka.

- Czeka na ciebie, po prostu wejdź. - Sekretarka wskazała w kierunku zamkniętych drzwi, lecz Hrabianka zdecydowała się najpierw zapukać.

Bertha przysłuchiwała się, nie przerywając, a potem na komputerze Hrabianki obejrzały film przedstawiający załamanie nerwowe

Hannelore Muller. Dopiero gdy wszystko wskazywało na to, że funkcjonariuszka nie dysponuje żadnymi dodatkowymi informacjami, prokuratorka stwierdziła:

- Nie oczekujesz, mam nadzieję, że na tej podstawie wniosek oskarżenia. Jeżeli jednak, to równie dobrze możesz już teraz stąd wyjść.

- Nie, potrzebuję nakazu sądowego, aby przejrzeć jego billingi.

- Nie żartuj, pewnie już dawno się ich pozbyli.

- I nakaz powinien być bez ograniczeń.

Prokuratorka zastanawiała się przez chwilę. Hrabianka sama była co prawda ekspertką w zdobywaniu billingów, ale tylko od tych dużych operatorów. Otto korzystał z usług stosunkowo nowej firmy telekomunikacyjnej, nazywała się NewTalkInTown, a policjantka nie miała u nich żadnych kontaktów, więc czekała w napięciu.

- Sprawa Murzynki? - zapytała prokuratorka.

Hrabianka potwierdziła.

- Czy to również on zabił tę nieszczęsną dziewczynę z jeziora?

- Raczej nie, ale jak dotąd to nasz jedyny trop.

- Hm, powiedz mi, dlaczego właściwie przyszedł z tym właśnie do mnie? Sprawę można było gładko załatwić gdzie indziej.

„Gdzie indziej” oznaczało prawdopodobnie kogoś niżej w hierarchii. Wielka Bertha zastanawiała się więc po prostu, dlaczego nie oszczędzono jej tego kłopotu.

- Bo szansę na nakaz mam tylko wtedy, gdy wniosek będzie pochodził od ciebie - odparła Hrabianka zgodnie z prawdą.

Celowo unikała wypowiedziania jakichkolwiek komplementów pod adresem prokuratorki, ponieważ Steenholt, delikatnie mówiąc, za nim nie przepadała. Prokuratorka ponownie pokiwała przez chwilę głową.

- Nie, to jest za cienkie. Daj mi coś więcej, to spróbuję - stwierdziła.

Hrabianka, choć rozczarowana, przyjęła tę decyzję do wiadomości. Nie podejmowała próby przekonania kobiety, bo na nic by się to nie zdało. Wstała, podziękowała za poświęcony czas i opuściła biuro.

Rozdział 28

Hrabianka i Simonsen nie potrafili sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni oboje byli w mundurze w tym samym czasie, jeżeli to w ogóle kiedykolwiek miało miejsce. Przyglądali się sobie teraz z uśmiechami na twarzach, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że wyglądają trochę jak przebierańcy. To jednak nie miało znaczenia, bo Victoria Blixen-Agerskjold najwyraźniej się ucieszyła na widok dwóch funkcjonariuszy, a o to przecież chodziło.

Starsza kobieta siedziała w fotelu przy oknie z nogami przykrytymi robionym na drutach pledem, a pozostali stłoczyli się wokół niej. Poza dwojgiem policjantów w pokoju znajdowali się również Lenette i Adam Blixenowie-Agerskjoldowie. Wewnątrz było niewiele miejsca, a nastrój wydawał się momentami nieco niezręczny, bo staruszka tylko od czasu do czasu była w stanie prowadzić normalną rozmowę. Chwilami zapadała na minutę lub dwie w drzemkę, a gdy się budziła, zachowywała się, jakby przeżywała całą wizytę od nowa. I ponownie się cieszyła. Poza tym przeskakiwała między duńskim a francuskim i to w połowie zdania, co sprawiało, że Simonsen i Lenette rozumieli zaledwie połowę tego, o czym rozmawiano. Inspektor pomyślał, że to w zasadzie bez znaczenia. I tak postanowił zostać tu tak długo, jak będzie to sprawiało przyjemność tej starszej damie, a to wszystko za sprawą Hrabianki. Po tym, jak przeczytała mu na głos po duńsku wybrane fragmenty *Kobiet na wojnie*, nabrał do tej starszej kobiety szacunku graniczącego z zachwytem.

- Słabo mówisz po francusku, zdradza cię akcent. Musisz uważać. Nie ochronimy cię - ostrzegła policjantkę starsza pani. Dla podkreślenia wagi swoich słów uniosła do sufitu zakrzywiony palec.

Hrabianka obiecała mieć się na baczności.

- *Mieux vaut perdre une bête animale plutôt que de voir tout le troupeau dévoré.*

Żona Simonsena zerknęła prosząco na szambelana, jej francuski miał swoje ograniczenia.

- Lepiej stracić jednego niż całe stado - przetłumaczył szambelan.

Było w tym sporo prawdy. Gdy Hrabianka uśmiechnęła się uprzejmie na te słowa, dostała od staruszki srogą reprimendę. Nie było się z czego śmiać, bo to poważna sprawa. Właśnie takie szczegóły zdradzały człowieka.

- To właśnie z tego powodu złapano Juliette i Josephine - wyjaśniła. - A... jak nazywała się ta dziewczyna z piegami? Hansie-Henriku, pamiętasz? Ta, którą złapali w Saint-Augustin, kiedy ja się im wymknęłam?

- Jestem Adam, babciu. Hans-Henrik nie żyje, na pewno pamiętasz. A czy ona nie miała na imię Émilie?

Mógł sobie darować, bo babcia właśnie ponownie zapadła w drzemkę. Lenette spojrzała prosząco na męża, nie mogli w nieskończoność zajmować czasu funkcjonariuszom. Szambelan skinął aprobująco głową i wstał. To samo uczynili jego żona i Simonsen. Hrabianka ani drgnęła.

- Saint-Augustin? - upewniła się.

- Macie na to czas?

Hrabianka gorliwie zapewniła o tym szambelana, więc Simonsen wrócił na miejsce, a pozostali poszli za jego przykładem. Adam zaczął opowiadać.

Wszystko zdarzyło się w Paryżu w maju 1943 roku. Victoria i Emilé były poszukiwane, ale zostały o tym ostrzeżone. Nagle na Saint-Augustin, stacji metra, na której właśnie wysiadły, zaroilo się od żandarmerii. Kobiety się rozdzieliły i Victoria skierowała się w stronę Boulevard Hausmann. Wchodząc po schodach, sięgnęła po swój pistolet, zawinęła go w apaszkę, a jej końce zawiązała na szyi, udając, że ma zwichnięte prawe ramię i musi je podtrzymywać chustą. Na ulicy, przed zejściem do stacji metra, stało na straży dwóch Niemców z pistoletami maszynowymi. Pilnowali, by nikt nie wszedł na górę ani nie zszedł na dół. Pod ziemią, na peronie, Gestapo prowadziło systematyczne przeszukiwanie, które już wkrótce miało objąć również babkę Adama, a wtedy nie byłoby już odwrotu. Niemcy stojący na straży byli zwykłymi żołnierzami, w jej wieku, prawdopodobnie synami rolników z Sachsen-Anhalt i Turyngii, oddelegowanymi do służby w Mieście Świąteł. Nawiązała z nimi rozmowę, posługując się całkiem

przyzwoitym niemieckim. Dopytywała, skąd pochodzili, i o ich rodziny, próbując ich oczarować uśmiechem i zyskać trochę czasu. Następnie z niejakim trudem wyłowiła z torebki szminekę i podręczne lusterko. Jeden z żołnierzy przytrzymał je uprzejmie, gdy zaczęła malować usta na szkarłatny kolor, zgodnie z ówczesną modą. Drugi żołnierz trzymał w tym czasie jej torebkę. Nagle strzeliła do obu, chwyciła za torebkę i zniknęła.

- Opowiadała mi kiedyś, jak w jednej sekundzie widziała swoje odbicie w lustrze, które po chwili roztrzaskało się na kawałki, a w kolejnej spoglądała w twarz młodego mężczyzny z przestrelonym okiem. Miała wtedy dwadzieścia lat - relacjonował szambelan.

- Kupiłam w antykwariacie *Kobiety na wojnie*. Myślisz, że zechciałaby napisać mi dedykację? I że byłaby w stanie? - zapytała cicho Hrabianka.

Szambelan nigdy nie zdołał odpowiedzieć, bo nagle staruszka ponownie przemówiła:

- Ten zarządca twierdził, że był w Norwegii, ale tam nie płacą w euro, więc musiał kłamać, naprawdę. Inspektorze, powinien pan wiedzieć, że to on zabił tę Murzynkę, to ta świnia.

Wypowiedziane słowa zabrzmiały bardzo wyraźnie, mimo że kobieta siedziała z przymkniętymi oczami. Jednak gdy Simonsen próbował dowieść, dlaczego tak twierdzi, nie odpowiedziała mu, tylko warknęła z irytacją po francusku z domieszką duńskiego:

- To on zabił Murzynkę, ta świnia!

Simonsen przeniósł wzrok na Adama, ale ten tylko wzruszył ramionami, o niczym nie wiedział. Najwyraźniej w przeciwieństwie do żony, która wtrąciła niemal z egzaltacją w głosie:

- Victoria ma, do cholery, rację, przecież to nielogiczne.

Wszyscy spojrzeli na nią zaskoczeni - włącznie z szambelanem, który od lat nie słyszał przekleństw z ust swojej żony.

Skorzystali z biura kierowniczkii domu opieki, ale musieli najpierw poczekać na Lenette, która chciała odnaleźć pewien przedmiot. Gdy wreszcie wróciła, trzymała w dłoni pudełko. Było podłużne i przezroczyste, wysokie na długość palca i długości co najmniej dłoni. W środku znajdowało się pięć niewielkich flakoników perfum, każde o kształcie przypominającym surrealistyczne postaci Salvadora Dalí.

- Bardzo mi przykro, że to tyle trwało - przeprosiła, że musieli czekać. - To z powodu pani Jørgensen, która uwielbia te flakoniki i kradnie je Victorii, jak tylko nadarzy się ku temu okazja. Zazwyczaj z radością oddaje je z powrotem, ale dzisiaj była tam jej córka, no i... trochę to zajęło. Ale posłuchajcie.

Opowiedziała im, że w zeszłym roku w Kolleløse Gods zatrudniono kobietę do pracy w kuchni. Otto często się do niej zalecał, ona jednak nie odwzajemniała jego zainteresowania. Po powrocie z wakacji, dziesięciodniowej wędrownicy po dolinie Gulbrandsdalen, przyniósł jej prezent w postaci pudełka z perfumami. Najwyraźniej jednak się jej nie spodobały, albo też niczego od niego nie chciała, koniec końców przekazała prezent Victorii, która wtedy mieszkała w majątku.

- Oczywiście mogło być ku temu wiele powodów, ale pamiętam, że Otto po powrocie do domu szczegółowo opowiadał o swoich wakacjach, czego nigdy wcześniej nie robił - stwierdziła szambelanowa.

Mimika jej męża świadczyła o tym, że podzielał jej zdziwienie. Najwyraźniej zapomniał już o bombastycznych deklaracjach, które składał Simonsenowi w lesie Hanehoved, a które dotyczyły wynajęcia dla Ottona najlepszego obrońcy.

Hrabianka sięgnęła po pudełko z buteleczkami perfum, jeszcze nieotwarte, nadal w oryginalnym opakowaniu. Widocznie pani Jørgensen była bardziej zainteresowana ładnymi kolorami flakoników niż ich zawartością. Metka, z ceną dwadzieścia pięć euro, nie została jeszcze zdjęta. Była naklejona na jakąś inną etykietkę. Hrabianka usunęła ją ostrożnie paznokciem, odsłaniając logo estońskich linii promowych Tallink Silja Line.

- Kiedy wyjechał? - zapytała.

- W dwa tysiące siódmym, to były dwa ostatnie tygodnie czerwca - odparła bez wahania pani Blixen-Agerskjold.

Hrabianka zacisnęła dłonie w geście radości.

- *Yes!*

Rozdział 29

Henrik Krag z mieszanymi uczuciami skierował swój motocykl na parking przy Jægersborg Bibliotek w Gentofte, gdzie Benedikte Lerche-Larsen kazała mu się stawić w piątek 17 kwietnia, w dniu wyznaczonym im przez nieznanego nadawcę listu. Zaparkował tuż przy budynku – długim, dwukondygnacyjnym domu z cegły, którego liczne okna świadczyły o tym, że wybudowano go w czasach, gdy ceny energii były znacznie niższe niż obecnie. Zdjął kask i podrapał się mocno po głowie, a następnie rozpiął do połowy kurtkę, żeby móc głębiej odetchnąć. Pocił się.

Benedikte czekała już wewnątrz, gdy mijał przesuwane drzwi prowadzące do biblioteki. Stała, czytając jakiś plakat na tablicy ogłoszeń po prawej stronie od wejścia, ale obróciła się i spojrzała w jego stronę, gdy usłyszała otwierane drzwi. Była ubrana w miodowy prochowiec, obcisłe dżinsy i kozaki.

- Przyjechałeś motocyklem? - zapytała, kiedy go dostrzegła.

Gdy potwierdził, zerknęła przelotnie na swój zegarek.

- Pokaż mi go.

Wyszli razem na zewnątrz i przez chwilę przyglądała się motorowi.

- Czy to harley-davidson?

Pytanie było zbędne, bo nazwę marki zapisano na zbiorniku wielkimi literami.

- Sportster czterdzieści osiem, tysiąc dwieście centymetrów sześciennych - doprecyzował Krag.

- Jest świetny.

Podziękował i poczuł się głupio.

Lerche-Larsen podeszła do recepcji, a Krag podążył za nią. Za kontuarem siedział około trzydziestoletni bibliotekarz i czytał jakieś czasopismo. Uniósł na chwilę pusty wzrok, po czym przekazał jej klucz, który leżał przed nim na biurku. Dziewczyna poprowadziła Kraga przez bibliotekę, a następnie w dół krótkich schodów i otworzyła kluczem drzwi znajdujące się na ich końcu.

Pomieszczenie, do którego weszli, wyglądało na opustoszałe. Pośrodku stał stół z monitorem komputera podłączonym do jakiegoś urządzenia, którego Krag nie znał. Przed klawiaturą znajdowały się trzy kartony, ustawione na łapu-capu, jeden na drugim, jakby osoba, która to zrobiła, chciała się upewnić, że nie zostaną przeoczone. Do stołu przysunięto dwa wąskie krzesła z podniszczonym laminowanym oparciem z drewna tekowego.

Krag przyglądał się Benedikte, gdy wyjmowała moka ze swojej torby i go włączała. Następnie otworzyła kilka aplikacji, których nigdy wcześniej nie widział, a na koniec podłączyła do komputera swój telefon. Gdy skończyła, sprawdziła godzinę w komórce.

- Mamy dwadzieścia minut, jeżeli zadzwoni punktualnie - oceniła. - Masz ze sobą telefon, o który cię prosiłam?

Potwierdził, a wtedy ona skinieniem głowy wskazała drzwi znajdujące się na końcu pomieszczenia.

- Wyjdź na zewnątrz i zadzwoń do mnie, żebym mogła to przetestować.

- Przetestować co? Najpierw mi wyjaśnij, o co tu chodzi. Co to w ogóle jest? - Wskazał palcem na urządzenie stojące po prawej stronie na stole. - I dlaczego jesteśmy tutaj, a nie u ciebie... albo u mnie?

- Jesteśmy tutaj, bo lepiej mi się funkcjonuje z dala od Ishøj, a to urządzenie to maszyna do przeglądania mikrofilmów, takich starych filmowych klisz, na przykład z gazetami. Zamówiłam dzienniki „Jyllands-Posten” i „Dagbladet” od stycznia do lutego dziewięćdziesiątego piątego i gdy skończymy, zaproszę cię do lektury.

- Dobrze wiesz, że przy mojej dysleksji przeczytanie tego zajęłoby mi masę czasu, więc przestań ze mnie kpić. Czy może zamówiłaś je, żebyśmy mogli wynająć to pomieszczenie?

Potaknęła, a potem skinęła prosząco głową w stronę drzwi, ale on nie ruszył się z miejsca.

- Co takiego będziemy testować?

- Okej, mój błąd, zapomniałam. Oczywiście, skąd miałbyś to wiedzieć?

Wciągnęła głęboko powietrze przez nos, a potem zreferowała mu swój pomysł:

- Ustawiłam swój telefon tak, żebyśmy oboje mogli słyszeć i mówić i żeby wszystko się nagrało. To jest możliwe tylko przy podłączeniu telefonu do komputera. Chciałabym to wypróbować, ale ty musisz się oddalić, bo w przeciwnym wypadku rozlegnie się wycie, kiedy fale się na siebie nałożą.

Drzwi prowadziły do piwnicznego szybu. Zostawił je na wpeł otwarte i zadzwonił. Gdy się z nią połączył, zaczął wyliczać kolejne miesiące, na nic lepszego nie wpadł. Przerwała mu, zanim doszedł do lipca. Po powrocie zastał ją, jak zmieniała kartę SIM w swoim telefonie.

- Nie podoba mi się, że cały czas mnie lekceważysz - oświadczył.

W pierwszej chwili mu nie odpowiedziała i pomyślał, że go zignorowała, jednak po kilku sekundach warknęła, naśladując go:

- Nie podoba mi się, że cały czas mnie lekceważysz. Ech, jakie to przykre. W takim razie weź się w garść i zacznij zachowywać bardziej pojętnie.

- Poza tym chcę być przy tym, jak będziesz się kontaktowała z tym Ottonem. W przeciwnym razie sama będziesz musiała się uporać z tym głównem.

Komentarz sam wyrwał mu się z ust, bezwiednie, jakby kierował nim ktoś obcy. Spojrzała na niego z zainteresowaniem i posłała mu nieodparty uśmiech od ucha do ucha. Położyła dłoń na jego przedramieniu.

- W takim razie będziesz musiał przy tym być. A teraz usiądź, Henriku.

Zrobił, o co prosiła, dziwnie zadowolony, po tym, jak usłyszał swoje imię.

- Od czasu do czasu nawet potrafisz być miły - oceniła Benedikte.

Ich cichy śmiech został przerwany gardłowym głosem Lerche-Larsen, który zabrzmiał seksownie i kiepsko pasował do okoliczności: ding-dong, ding-dong - taki dzwonek nagrała sobie osobiście na swój telefon.

Odebrała, podając swoje imię, a potem usłyszeli dźwięk klawiatury, po którym z głośników komputera dobiegł ich syntetyczny kobiecy głos:

- Jeszcze raz się przedstaw. Podaj imię i nazwisko.

Gdy Benedikte to zrobiła, ponownie usłyszeli odgłosy uderzania w klawiaturę, a potem ten sam głos:

- Dlaczego słycać takie echo?

- Bo jest nas dwoje.

Klawisze poruszały się szybciej, a syntetyczny głos oznajmił głośniej:

- Tylko ty! Zadzwoń ponownie za dwie minuty. Tylko ty!

Połączenie zostało przerwane.

Dziewczyna zaklęła, po czym odłączyła kabel od telefonu.

- Nic się nie stało. Potem mi opowiesz, o co chodziło - stwierdził optymistycznie Krag.

- Nie o to chodzi, nadal mogę nagrywać. Jednak teraz już wie, że tu jesteś, i z pewnością o ciebie zapyta. Już nic nie możemy zrobić.

Chłopak nie sprawiał wrażenia szczególnie zmartwionego, wymamrotał tylko, że przecież i tak są w to zamieszani oboje, ale nic mu na to nie odpowiedziała. Zamiast tego skierowała się na tyły pomieszczenia, skąd nie mógł jej już usłyszeć. Chwilę później zobaczył, że rozmawia przez telefon. Przyglądał się jej uważnie i dotarło do niego, że taki facet jak on nigdy nie zdobędzie dziewczyny takiej jak ona. Co dziwne, ten wniosek nie sprawił mu przykrości, a wręcz przeciwnie, nawet go pobudził.

Gdy wróciła, była blada i się nie odzywała. Ponownie podłączyła telefon do kabla, uruchomiła jakiś program w komputerze, a z głośników popłynął dźwięk.

- Jesteś już sama?

- Tak.

- Gdzie jesteś?

- Jægersborg Bibliotek, w piwnicy, w pomieszczeniu, które wynajęłam.

- Podaj nazwisko, adres i wiek osoby, która wcześniej się przysłuchiwała.

- Henrik Krag, dwadzieścia cztery lata, adresu nie znam.

- To było pierwsze i ostatnie kłamstwo, chyba że po powrocie do domu chcesz się spotkać z kryminalnymi.

- Ishøj Fælled Vej czterysta trzydzieści jeden.

- Czy to ten sam człowiek, z którym zabiłaś tę Nigeryjkę?

- Tak.

- Twój adres mailowy.

- Lerchelarsen, małymi literami, mała gmail kropka com, lerchelarsen bez łącznika.

- Przekażecie sto tysięcy koron na rzecz stowarzyszenia CNN - Freedom Projekt. Tak dla twojej wiadomości projekt przeciwdziała niewolnictwu seksualnemu. Pieniądze wpłaciecie we wtorek, szczegóły prześlę mailem.

- Nie mamy stu tysięcy koron.

- Uważaj.

- W takim razie w piątek. Potrzebujemy więcej czasu.

- Może być w piątek. Poza tym dostaniecie po dwa zadania, które będziecie musieli, powtarzam, będziecie musieli wypełnić. To będzie dla was sprawiedliwa kara.

- Co to za zadania?

- Dowiedziecie się później.

- Dlaczego mamy wykonać te zadania?

- Bo na to zasłużyliście.

Przed wypowiedzeniem każdego zdania rozlegały się odgłosy pisania na klawiaturze, a gdy głos powiedział „Uważaj”, został pogłósniony do tego stopnia, że z powodu zniekształcenia trudno było go zrozumieć. Lerche-Larsen opadła na krzesło, najwyraźniej wyczerpana z energii, jednak po powtórny odsłuchaniu wstała i zaczęła krążyć po pomieszczeniu.

- Sprawiedliwa kara. - Bezradnie potrzasnęła głową, na tyle mocno, że aż uniosły się jej rude włosy, kolejne trzy kroki, a potem znowu powtórzyła: - Sprawiedliwa kara. - Nie mogła przestać. Zatrzymała się przy ścianie, którą pomalowano pewnie lata temu, bo w wielu miejscach farba złuszczyła się do gołego tynku. Benedikte wybrała takie miejsce, a następnie zaczęła w nie kopać, uparcie powtarzając przy tym słowa o karze. - Sprawiedliwa kara, ten psychopata jest w stanie zmusić nas do wszystkiego i co my, do cholery, możemy z tym zrobić?

- Może nie będzie tak źle, poczekajmy, aż ona nam powie, jak zamierza nas ukarać.

- Jak ona? Do diabła, nie dociera do ciebie, że to facet? Przecież to był syntetyczny głos.

- Tak, jasne, wiem, ale chodzi o to, że to była Ida, i... no, ale to oczywiście bez znaczenia.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Zaraz, wyjaśnij mi. Kim jest Ida?

- No tak. Istnieje Ida i Carsten, i Per. A do tego jeszcze Mette, ale ona była dla szkoły zbyt droga. Jest również Emily i Mary w wersji angielskiej.

Cisza, która nastąpiła po jego słowach, wydała mu się tak przytłaczająca, że odetchnął z ulgą, gdy się ponownie odezwała:

- Powiedz mi, dostałeś jakiegoś wylewu?

Wytłumaczył jej: gdy w szkole chodził do specjalnej klasy, wypożyczył komputer z tak zwanym skanerem długopisowym, przeznaczonym do śledzenia tekstów, które następnie były odczytywane na głos. Te różne wersje głosowe miały swoje „imiona” i Ida była jednym z nich.

- Właśnie ją lubiłem najbardziej i najczęściej jej używaliśmy.

Skinęła ze zrozumieniem głową, niczego nie komentując, a po chwili wskazała na drzwi za nimi.

- Nie przyniósłbyś dwóch piw z kiosku po drugiej stronie? Masz pieniądze?

Miał, więc wyszedł, a ona zaczęła się pakować. Usiedli na zewnątrz, na schodach prowadzących do piwnicznego szybu. Krag odkapslował butelki, Lerche-Larsen zapaliła papierosa.

- Nie sądziłem, że palisz.

- Rzadko.

Zerknęła na papieros, zaciągnęła się kolejny raz i go wyrzuciła.

- Szlag, jak mnie wkurzają te zadania, którymi nam groził - oznajmiła.

Upiła solidny łyk piwa, a on poszedł za jej przykładem.

- Jeżeli okaże się, że to coś odjechanego, sami możemy się zgłosić na policję. Może sędzia zrozumie, że to był wypadek. Niekiedy potrafią okazać się całkiem życzliwi.

Gdy odwróciła głowę, jej oczy ciskały gromy.

- Zdaję sobie sprawę, że będziesz świetnie pasował do pozostałych osadzonych. Dla ciebie to będą dłuższe bezpłatne wakacje. Ale ja nie zamierzam marnować pięciu lat swojego życia w towarzystwie jakichś prowincjonalnych gęsi, które nie odróżniają worka na śmieci od torebki Louis Vuitton, ani też zadawać się z jakimiś szemranymi typami,

których zakres słownictwa nie przekracza stu słów, o ile nie dorzucisz do tego słowa „kurwa”, powtarzanego przynajmniej piętnaście razy.

Przez pewien czas siedzieli w milczeniu.

- Musimy się dowiedzieć, kim on jest. Po prostu musimy - odezwała się w końcu.

- Ale jak chcesz... jak my mamy to zrobić? I co z pieniędzmi, jesteś w stanie je załatwić?

- Zorganizuję połowę. Co ty sobie wyobrażasz?

- Nie mam pięćdziesięciu tysięcy.

- Owszem, masz.

Wyjaśniła mu to wprost, bo sam nie miał odwagi o tym pomyśleć. Wypił do końca piwo, niemal w transie, a kolejne minuty upłynęły im w ciszy. Wyciągnęła dłoń, ujęła go delikatnie za podbródek i przekreśliła jego głowę.

Trudno było orzec, czy to z powodu wilgotnego powietrza, czy też z żalu, ale miał wilgotne oczy.

- To nad tym swoim motocyklem tak teraz rozpaczasz?

Wzruszył ramionami, nie było przecież innego wyjścia, sam to rozumiał. Poklepała go po kolanie i powiedziała z namysłem:

- Rozumiem, że to dla ciebie przykre, ale trzeba było pomyśleć o tym, zanim rzuciłeś tą Murzynką o podłogę jak jakimś workiem ziemniaków.

Rozdział 30

Silja Tannik Line kursuje między Sztokholmem a Helsinkami. Prom wypływa ze Szwecji wczesnym wieczorem i przybywa do Finlandii kolejnego dnia rano, po czym jest na nowo przygotowywany do trasy i wychodzi w morze wieczorem, tym razem kierując się w drugą stronę. Trasa jest obsługiwana przez dwa promy.

Dwudziesty trzeci czerwca 2007 roku wypadł w sobotę. Pogoda w Sztokholmie tego dnia należała do przyjemnych – było ciepło i bezwietrznie. Grupka młodych ludzi zebrała się wczesnym popołudniem w okolicy Ringen, dużej hali na stacji Sztokholm Centralny. Młodzi znali się ze strony internetowej vimusiker.se.

Randi Hansson miała dziewiętnaście lat i pochodziła z Jämtland w środkowej Szwecji. Wczesnie rano dotarła do stolicy w dobrym humorze – cieszyła się, bo rzadko wyjeżdżała z domu. Młodzi nie widzieli o sobie zbyt wiele, ale humor im dopisywał, bo piwa nie brakowało. Kiedy dotarli na pokład promu, Hansson była już pijana, a do wieczora jej stan tylko się pogorszył i osiągnął punkt kulminacyjny, gdy zaczęła wymiotować w toalecie, rozsądnie usytuowanej w pobliżu dyskoteki. Kobieta, która pracowała jako ochroniarz, kategorycznym tonem wysyłała ją do łóżka tak długo, aż dziewczyna z ociąganiem zastosowała się do jej rady.

Gwałt należał do brutalnych i sadystycznych. Hansson została zgwałcona we własnej kabinie, a jej koszmar trwał kilka godzin. Złamano jej dwa zebra i cztery palce, wyrwano również część włosów, a na pożegnanie napastnik kolejny raz ją upokorzył, wciskając jej do odbytnicy pilot od telewizora.

Zarówno fińska, jak i szwedzka policja nadały sprawie wysoki priorytet, po pierwsze dlatego, że przestępstwo okazało się wyjątkowo okrutne, a po drugie z tego powodu, że doszło już kiedyś do podobnego przestępstwa. Ponad trzy lata wcześniej na tym samym promie w podobnych okolicznościach zgwałcona została siedemnastoletnia Finka, jednak do tego czasu nie udało się wyjaśnić sprawy. Ustalenie

sprawcy gwałtu na Hansson przysparzało wiele problemów. Podczas przeprawy promowej na pokładzie znajdowało się niemal siedemset osób, z czego zdecydowanej większości nie zidentyfikowano. Na dodatek dziewczyna została oślepią przez sprawcę, który jak tylko ją zakneblował, posypał jej oczy pieprzem. Po pół roku śledztwo zostało umorzone ze względu na brak postępów w sprawie.

Oczywiście szwedzka i fińska prasa szczegółowo je komentowała, jednak to, że Hrabianka się z nim zetknęła, było czystym przypadkiem. Jesienią 2007 roku skontaktowała się z nią jej przyjaciółka ze szwedzkiej policji, która poprosiła ją o wynajęcie na kilka tygodni letniego domku. Bardzo potrzebowała spokoju. W pracy dostała dwumiesięczny, bardzo potrzebny urlop. Domek letniskowy Hrabianki położony był w pobliżu Blokhus nad Morzem Północnym, dlatego w drodze ze Sztokholmu na północną Jutlandię przyjaciółka przenocowała w Søllerød i właśnie wtedy opowiedziała jej historię o gwałcie podczas przeprawy promowej liniami Silja Tannik Line. Opowieść zapadła żonie Simonsena w pamięć.

Następnego ranka w pracy, zaraz po wizycie u Victorii Blixen-Agerskjold, Hrabianka skontaktowała się z przyjaciółką ze szwedzkiej policji, żeby dopytać o szczegóły tamtej sprawy z promu. Następnie przesłała jej odciski palców Frodego Ottona i przez półgodziny niecierpliwie czekała na wyniki. Gdy wreszcie zadzwonił telefon, aż podskoczyła na krześle z wrażenia. To był dobry trop. Ucieszyła się. Nie dlatego, że odciski jednoznacznie wiązały zarządcę z gwałtem na promie, bo tak nie było, ale przede wszystkim dlatego, że zyskała coś, co mogło sprawić, że prokuratorka okręgowa będzie próbowała zdobyć nakaz prześwietlenia billingów podejrzanego. Miała taką nadzieję. Sporządziła staranny raport i osobiście wysłała go do Wielkiej Berthy. Pięć minut później przyszła wiadomość zwrotna: „Okej, będę próbować”. W związku z tym Hrabianka, gdy jeszcze tego samego popołudnia omawiała tę sprawę z Pedersenem, była w doskonałym humorze.

- Wiem na bank, że Otto nie poradzi sobie z tym nakazem. Na jaw wyjdą różne rzeczy, takie czy inne, poczekaj, to zobaczysz.

Kolega się z nią zgodził, ale tylko do pewnego stopnia.

- Może i zabił tę Afrykankę, ale nie wydaje mi się, żeby to akurat on ją utopił. To znaczy, jeśli już, to raczej pomagał wrzucić jej ciało do

jeziora, bo to na pewno wymagało udziału więcej niż jednej osoby. Miał dużo lepsze możliwości, aby ukryć zwłoki. Mógł je chociażby zakopać w lesie Hanehoved dwa metry pod ziemią.

- Mógł je też pociąć na drobne kawałki i nakarmić nimi świnie. To niezwykle skuteczny sposób, bo one żrą wszystko - rzucił Malte Borup, zwrócony do nich plecami i boksujący się z drukarką podłączoną do komputera Pedersena.

- Malte, oglądasz za dużo filmów, ale i tak byłbyś kiepskim sprawcą. Trzymaj się lepiej swoich komputerów. A tak przy okazji, to w majątku nie hodują świń - odparła oschle Hrabianka.

- Nienawidzę drukarek. Arne, czy nie mógłbyś napisać tego odręcznie? - zmienił temat praktykant.

Policjant go zignorował i przez kolejne dwie minuty przekonywał Hrabiankę, że ci, którzy wrzucili ciało Afrykanki do jeziora, wybrali to rozwiązanie, bo nie mieli łopaty - używał argumentu, który funkcjonariuszka już dawno temu przyjęła, ale cierpliwie pozwoliła się przekonywać po raz drugi.

- Czy Simon już zdecydował, kiedy zabierzemy Ottona na przesłuchanie? - spytał na koniec Pedersen.

- Tak, w poniedziałek, po południu.

- Czy już wiadomo, kto go będzie przesłuchiwał?

- Tak, ty i Simon osobiście.

- A kto będzie go jutro śledził? Czy to nie Klavs podjął się tego zadania?

Hrabianka nie potrafiła sobie przypomnieć, poradziła, by zapytał Simonsena. Okazało się to niepotrzebne, bo Borup, stukając w klawiaturę, stwierdził:

- To musi być Klavs. Zarezerwował cywilny pojazd na ten weekend.

Dwoje jego starszych kolegów wymieniło spojrzenia. Społeczeństwo informacyjne wydawało się przerażające. Raz po raz okazywało się, że wszystkie zabezpieczenia, których instytucje państwowe używają, aby chronić swoje bazy danych, na nic się nie zdają. Nawet ich praktykant łamał je niemal rutynowo.

Rozdział 31

Melby Overdrev to opuszczony wojskowy poligon między Asserbo i Hundested, wychodzący na cieśninę Kattegat. Teren jest pod ochroną i stanowi część Parku Narodowego Kongernes Nordsjælland. To właśnie tam 10 czerwca 2008 roku zmarła pewna młoda kobieta. Nazywała się Juli Denissen i była dwudziestoczteroletnią studentką politechniki pochodzącą z Frederiksværk. Jako przyczynę śmierci wskazano rozległy krwotok śródmózgowy. Nie mówiono więc o zabójstwie, ale o zgonie z przyczyn naturalnych, choć rzadko występujących. Okoliczności zdarzenia były dość tragiczne, ponieważ kobietę znaleziono, gdy krzyk jej dwuletniego dziecka zaalarmował leśniczego, który pracował w pobliżu na plantacji drzew, położonej nieco bardziej w głębi lądu. Krótco po śmierci Juli rodzina i przyjaciele wysnuli konspiracyjną teorię, że ktoś przyczynił się do jej zgonu. Utworzono samozwańczą grupę, która starała się przekonać policję do swoich rozbudowanych koncepcji. Przed rozwiązaniem grupy udało im się przekonać jedynie aspirantkę Berg. Śmierć Juli Denissen stała się jej obsesją, którą należało wiązać z jej własnym kiepskim stanem emocjonalnym. Berg z pewnością angażowała się w sprawę także dlatego, że denatka była ważnym policyjnym świadkiem w sprawie porwania funkcjonariuszki. Wśród policjantów ta sprawa, która właściwie nie była żadną sprawą, zyskała nazwę „nieistniejącej sprawy Juli” i zazwyczaj komentowano ją z wymownym uśmiechem lub oczami wznoszonymi ku niebu.

W sobotę 2 maja, w słoneczne, acz chłodne przedpołudnie Berg i Klavs Arnold czekali na parkingu, graniczącym z Melby Overdrev. Stali tam sami, w pobliżu nie było widać ani ludzi, ani samochodów. Policjantka umówiła się na dziesiątą z tym leśniczym, który znalazł kobietę i dziecko. Po dłuższej chwili stało się jednak jasne, że mężczyzna się nie zjawi i że ją wystawił. Arnold przyjął to ze spokojem. Po pierwsze nie bardzo potrafił zrozumieć, czego właściwie Berg oczekiwała od tego mężczyzny, a po drugie nie przyjechał tutaj z powodu śledztwa, bo takowego nie prowadzono, niezależnie od tego,

czy facet by się pojawił, czy nie. Poprzedniego dnia wypożyczył z Komendy Głównej skodę octavię i o ósmej rano odebrał Berg z jej domu w Rødovre. Zjawił się wypoczęty i pełen zapału, przynosząc ze sobą świeże pieczywo.

Aspirantka z dezaprobatą powiodła wzrokiem po okolicy.

- Dlaczego właściwie tutaj jesteś? - zapytała z kwaśną miną.

- Bo to moja kolej. Między innymi.

Zaczął wyjaśniać, chociaż najwyraźniej od razu go zrozumiała. Od czasu do czasu była dla nich utrapieniem, którego wszyscy starali się unikać, jak tylko mogli. Z drugiej strony wśród jej najbliższych kolegów panowała niewypowiedziana zgoda w kwestii tego, że muszą się nią zajmować, także prywatnie. A teraz padło na Arnolda.

Nic mu na to nie odpowiedziała, przyjęła jego wyjaśnienie do wiadomości.

- Chodź przejdziemy się i zobaczysz, gdzie została zabita - zmieniła temat.

Pokazała ścieżkę wijącą się pośród wydmowego krajobrazu. Ruszyli, ona przodem, żeby - jak to ujęła - wskazać mu drogę, chociaż było to zbędne, bo istniała tylko jedna dróżka. Gdy przeszli kawałek, nie odwracając głowy, zapytała:

- A jaki jest drugi powód? Powiedziałeś między innymi, więc jakiś musi być.

Arnold rozejrzał się spokojnie wokół, zwrócił uwagę na wrzosa, wydmuchrzycę i róże pomarszczone.

- Bo znałem kiedyś kogoś takiego jak ty, ale to prywatna sprawa - odparł spokojnie.

Nagle się rozplakała. Bezgłośnie, tylko łzy spływały jej po policzkach, gdy na niego patrzyła. Taka już była, jak dzień i noc, zmienna z sekundy na sekundę, często bez konkretnego powodu, wahania nastroju po prostu ją nawiedzały.

Przytulił ją i stali tak przez moment, a Arnold przyciskał głowę Pauline do swojego ramienia, głaszcząc ją delikatnie po włosach. Następnie łagodnie ją obrócił i poprowadził dalej ścieżką, obejmując ją ramieniem w pasie.

- Sądziłam, że to dlatego, że mnie lubisz - odezwała się cicho po kilku minutach.

Nic na to nie odpowiedział, nawet wtedy, gdy pociągając nosem, dodała:

- Naprawdę tak myślałam.

Usiedli na jednej z wydm, osłonięci przez inną, większą, znajdującą się za nimi. Berg przestała płakać. Słońce grzało i oboje rozkoszowali się chwilą. Wtedy Arnold zaczął opowiadać cichym głosem: Miał kiedyś przyjaciela, dobrego, naprawdę dobrego przyjaciela, takiego, na którego można było liczyć w każdej sytuacji i którego chciałoby się mieć przez całe życie. Potaknęła głową. Niestety, sama nigdy nikogo takiego nie poznała. Kiedyś sądziła, że tak, ale gdy zachorowała, okazało się, że to jednak nie to.

- Zawiodłeś go?

- Tak, zawiodłem. Cały kraj go zawiódł, ja też.

Chwyliła go za rękę, przytrzymała ją, niemal przyciskając do swoich kolan, a drugą wskazała na wgłębienie znajdujące się pomiędzy dwoma wydmami, rozciągającymi się przed nimi.

- To tam zmarła.

W odpowiedzi ścisnął jej dłoń, ten gest mógł oznaczać wszystko, ale nie bardzo wiedział, co mógłby powiedzieć.

- Byłam tu już szesnaście razy, to mój siedemnasty, raz nawet z Simonem. Często o niej śnię i czuję, jakby ona nie chciała mnie puścić. Niezależnie od tego, co mówią inni, jestem przekonana, że Juli została zabita.

- Tak, wiem, wszyscy o tym wiedzą. A ty doskonale wiesz, że ludzie śmieją się z ciebie za twoimi plecami. Zdajesz sobie też sprawę, że wszyscy, włącznie z technikami i patologami, są zgodni co do tego, że ta kobieta zmarła z przyczyn naturalnych.

- Może jest moją przyjaciółką, a ja jej.

- Nie, Pauline, nie możesz się przyjaźnić ze zmarłą - odparł stanowczo Arnold.

Zgodnie ze wskazówkami Berg przeprowadzili eksperyment. Policjantka skierowała się w stronę skraju lasu, znajdującego się dobre pięćset metrów w głąb łądu. Na oko trudno było określić dokładną odległość. Gdy doszła na miejsce, uniosła dłonie, dając mu znak, a wtedy on usiadł we wgłębieniu i zaczął krzyczeć z całej siły. Wstał, Berg znów pomachała i powtórzył całą procedurę. Zrobili to cztery razy,

zanim poczuła się usatysfakcjonowana. Gdy wróciła, pokręciła głową – owszem, coś słyszała, ale bardzo niewiele.

- Kiedyś próbowałam też przywiązać do gałęzi dyktafon i sama krzyżeć. Ale wtedy gdy odsłuchiwałam nagranie, nie było słychać kompletnie nic.

- I jaki z tego wniosek?

- Że leśniczy kłamie, twierdząc, że pracował w lesie i nagle usłyszał krzyk niemowlęcia, a potem ją znalazł, czy raczej ich. Takie maleństwo nie jest w stanie tak głośno wrzeszczeć, nie wierzę w to.

Arnold ocenił dystans, teraz nieco bardziej zainteresowany, a potem odezwał się z wahaniem:

- Krzyk dziecka, nie niemowlęcia. Trzyletnie dziecko to już nie niemowlę. Sam nie wiem... Ewolucja sprawiła, że dzieci potrafią uderzyć w wyjątkowo czułe tony. Sama to zauważysz, jak kiedyś zostaniesz mama, ale... dźwięk to skomplikowana sprawa, na jego odbiór może wpływać wiele czynników. Wiesz, o jaką odległość chodzi?

- Według Google Earth jakieś sześćset metrów.

Zastanowił się, a potem pokręcił głową.

- Nie, jest za daleko, prawdopodobnie masz rację, ale to nie ma sensu. Pauline, moglibyśmy na dziś odpuścić? Pojedźmy do mnie do domu, zjedzmy jakiś lunch, a potem będziesz miała okazję, żeby pośledzić trochę Frodego Ottona. To ma więcej sensu. Co ty na to? Masz czas?

Zgodziła się nieco skonsternowana, bo rzadko ktoś zwracał się do niej w ten sposób.

Rozdział 32

Śledzenie Frodego Ottona zakończyło się całkowitym fiaskiem. Arnold i Berg wiedzieli od szambelana Blixena-Agerskjolda, że jego zarządca zazwyczaj wyrusza między siedemnastą a osiemnastą, gdy co drugi miesiąc wybiera się na swoją sobotnią wyprawę, dlatego przybyli na miejsce odpowiednio wcześniej. Już o wpół do piątej po południu zatrzymali się na bocznej drodze prowadzącej do głównego wjazdu do majątku Kolleløse Gods, dobrze ukryci za nieczynną stacją benzynową. Stąd dojrzeli samochód zarządcy – łatwy do rozpoznania zielony golf minął ich około osiemnastej. Arnold ruszył sto metrów za nim, komentując, że Otto z pewnością wybiera się do Kopenhagi, a wtedy mężczyzna skręcił nagle w lewo i zaczął przemieszczać się wschodnią stroną lasu Hanehoved. Minęli słupek kilometrowy, wszystko przebiegało zgodnie z planem, aż nagle silnik pojazdu zgasł. Poturlali się kawałek na wolnym biegu, a zaraz potem stanęli.

- Co się, do diaska, dzieje?! - krzyknął zdumiony Jutlandczyk.
- Masz paliwo? - dopytywała Berg.

Miał, nie był przecież jakimś amatorem. Wsiadł, otworzył maskę, a po chwili zidentyfikował problem: zerwał się pasek rozrządu. Zadzwoił po pomoc drogową, a gdy zakończył rozmowę, przeklął ze wściekłością – zjawią się w ciągu dwóch godzin, czy naprawę tylko na to ich stać? Następnie skontaktował się z Simonsenem i wyjaśnił mu, co się stało. Jego szef przyjął tę informację ze spokojem, co innego mógł zresztą zrobić, a potem kazał pozdrowić Pauline, co Arnold chętnie uczynił.

Przed pewien czas siedzieli w samochodzie, zabijając czas rozmową, aż nagle Berg wskazała dłonią w kierunku lasu.

- Ile czasu zajmie dojdzie do jeziora, w którym znaleziono Afrykankę?

Głos jej drżał, a on od razu domyślił się dlaczego.

- Około czterdziestu pięciu minut, chcesz spróbować? Zawsze możemy wrócić, jeżeli dopadnie cię strach.

- Zdążymy, zanim się ściemni?

- Zdecydowanie, zostało jeszcze sporo czasu.

- Musi być jasno, zupełnie jasno, w przeciwnym wypadku to wykluczone.

- W takim razie ograniczymy się do chatki myśliwskiej, wtedy będziesz miała pewność, że zdążymy przed zmrokiem. Będę na ciebie uważał, a ty na własne oczy zobaczysz tę chatkę, której poświęciłaś tyle czasu.

Zawahała się. Jej głowę zaczęły nawiedzać absurdalne obrazy. A co, jeżeli Arnold zostawi ją w lesie? Albo jeżeli zostaną napadnięci po drodze? Zmieniła zdanie, ale on zdążył już wysiąść z samochodu.

Polna ścieżka ciągnąca się wzdłuż lasu bardzo jej odpowiadała - niby była w lesie, a jednak nie. Dziewczyna odczuwała strach, a zarazem wydawało się jej, że potrafi go kontrolować. Szli blisko siebie, to też jej pomagało, ale gdy droga skręciła i zaczęła wieść w głąb lasu, Berg się zatrzymała. Czuła, że ma już dosyć, a jednocześnie chciała iść dalej. Może dlatego, że na nią nie naciskał, spróbowała przejść kolejnych parę metrów, po czym ponownie się zatrzymała. Odczuwała dumę, a potem przeszła kolejny odcinek i jeszcze następny. Wkrótce znaleźli się przy polanie, na której stała chatka. Aspirantka się pociła, serce biło jak oszalałe, ale dała radę, a otwarta przestrzeń, wielkości boiska do piłki nożnej, sprawiła, że zaczęła się powoli odprężyć.

Podeszła do chatki i wolno obeszyła budynek.

- Została zbudowana, a właściwie złożona, w grudniu dwa tysiące siódmego roku. To co najmniej miesiąc przed wrzuceniem Afrykanki do jeziora, czyli musiała tu stać, gdy dokonano zabójstwa kobiety. Jednak technicy nie znaleźli żadnych śladów, choćby najmniejszych.

Arnold skinął głową, mimo że doskonale znał te informacje. Berg zajrzała przez okno, a on uklęknął i zaczął się przyglądać sześciu kamieniom fundamentowym, na których osadzono chatkę.

- Zakopał je Otto - wyjaśniła Berg. - Dostał od firmy listę spraw, które musiał załatwić, zanim przyjechała ciężarówka z materiałem. To standardowe wymogi.

- Ile w zasadzie kosztował ten barak?

- Tylko dwadzieścia tysięcy, dostał go tanio, dużo poniżej zwykłej ceny, bo chatka przez kilka lat służyła jako ekspozycja. W przeciwnym

razie budżet na dwa tysiące siódmy by tego nie wytrzymał. Otto ma wolną rękę w sprawie różnych działań, którymi zawiaduje, ale Blixen-Agerskjold domaga się nadwyżki w bilansie rocznym, chociaż chatkę należałoby traktować jak inwestycję, która zwróci się w ciągu najbliższych kilku lat. - Spojrzała z z troskaniem na niebo. - Nie powinniśmy wracać do samochodu? - zapytała.

- Owszem, dobry pomysł, ale powiedz mi najpierw, jeżeli wiesz: kiedy właściwie zmontowano tę chatkę?

Wiedziała i szybko zreferowała mu najważniejsze fakty. Elementy chatki przyjechały ciężarówką wraz z trzema mężczyznami, którzy zajęli się jej składaniem, gdy wyładowali za pomocą dźwigu na samochodzie poszczególne części. Praca najpewniej została wykonana w ciągu jednego dnia. Arnold powtórzył uzyskane informacje, jakby to nie on pytał, a Berg, i chciał się upewnić, że prawidłowo zrozumiała cały proces. Po chwili wskazał na rozciągające się przed nimi karczowisko.

- Miejsce zostało uprzątnięte pod koniec dwa tysiące siódmego. Pamiętasz dokładną datę? - zapytał.

Nie pamiętała, poza tym, że zdarzyło się to w okresie między świętami a Nowym Rokiem.

- Tak, racja, przypominam sobie, że ujęłaś to w swoim raporcie. Ale widzisz, to się w ogóle nie zgadza.

Zrobił kilka kroków do przodu. Teren porastały trawa i chwasty, najwyraźniej ktoś od czasu do czasu kosił tutejszą roślinność. Arnold ukląkł, a wtedy Berg odezwała się nerwowym, a zarazem proszącym tonem:

- Byłbyś tak miły i wyjaśnił mi, co się teraz dzieje? Czuję, że dopada mnie strach. Nie możesz zachowywać się tak dziwnie, bo... po prostu nie możesz.

Wstał, po czym otoczył ją ramionami, chociaż próbowała mu się wyrwać.

- Spokojnie, spokojnie, nie robię nic dziwnego, chodzi o ślady kół. Sama spójrz na trawę. Widać, że samochód podjechał aż do tamtej sosny, a potem wycofał do chatki. Wyraźnie widać koła bliźniacze.

Spojrzała i stwierdziła, że Arnold ma rację. To ją uspokoiło, co prawda nie wiedziała dlaczego, ale uspokoiło.

- Chodź, wracamy do samochodu - oznajmił funkcjonariusz. Dopiero gdy wyszli z lasu i skręcili w polną drogę, wyjaśnił: - W grudniu dwa tysiące siódmego między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem panował ostry mróz, do minus dwunastu stopni. Grudzień jako taki był szary i deszczowy, ale drugiego dnia świąt pogoda się zmieniła i mróz trzymał do trzydziestego, pamiętasz?

- Zupełnie nie, a jakie to ma znaczenie?

- Nie ma najmniejszych wątpliwości, że ślady kół zostały odcisnięte w miękkiej ziemi. Sądzę, że nastąpiło to wiosną albo jesienią, ale na pewno nie wtedy, gdy ziemię skuwał mróz. To po prostu niemożliwe. Ślady miały wgłębienia na pięć, może dziesięć centymetrów, a elementy tej chatki na pewno wcale tak dużo nie ważą. Pod względem obciążenia należałoby ją określić jako lekki ładunek, więc gleba musiała być wtedy miękka.

Wyciągnięcie wniosków pozostawił jej, zresztą nie było to nic trudnego.

- Chatka musiała zostać zmontowana w innym czasie. Czy właśnie to próbujesz mi powiedzieć?

- Tak, mogę cię zapewnić, że tak właśnie było.

Zaśmiała się - zaraźliwie i naturalnie, poczuła się tak po raz pierwszy od lat. Trąciła go biodrem:

- Jasny gwint, ależ jesteśmy zdolni.

Rozdział 33

Wczesnym wieczorem, w sobotę 2 maja, Benedikte Lerche-Larsen i Henrik Krag siedzieli w piwnicy willi przy Pakovsvej w Charlottenlund, położonej w jednym z najbardziej zamożnych północnych przedmieść Kopenhagi. Pokój, w którym się znajdowali, nie miał więcej niż dwadzieścia metrów kwadratowych, a co najmniej połowę jego powierzchni zajmowało ogromne łóżko. Poza nim w pomieszczeniu nie było zbyt wielu mebli, jedynie szafa na ubrania i niewielki sekretarzyk, na którym ustawiono mały telewizor. Pokój miał dwoje drzwi, jedno wejściowe, a drugie prowadzące do wąskiej łazienki z natryskiem. Benedikte i Krag siedzieli na rogach łóżka. Mężczyzna wskazał na drugie drzwi i zapytał nieco zatroskanym głosem:

- Kim on jest?

Gdy dotarł tu chwilę temu, zastał Lerche-Larsen razem z jakimś nieznanym mu facetem. Wyglądał na czterdzieści lat - szczupły, z opadającymi powiekami i nieprzeniknionym spojrzeniem. Miał na sobie garnitur i wyglansowane czarne buty. Nie odwzajemnił powitania, gdy Krag przywitał się nieco onieśmiewiony. Zamiast tego nieznajomy wstał i wyszedł do łazienki, pozostawiając lekko uchylone drzwi.

- Ktoś, o kim powinienesz zapomnieć.

- Czy to obcokrajowiec?

- Myślę, że Polak, ale nie pytaj o nic więcej.

- W porządku, jeżeli tak uważasz. A co z dziewczyną, gdzie ona jest?

- Nie mam pojęcia, moja matka to załatwiła, więc pewnie dostała wolne. Czy to ważne? A swoją drogą, wiesz może, czy to jedno z tych miejsc, gdzie Jan miał zainstalowaną kamerę?

Mówiła cicho, prawie szeptem, bo nie było powodu, aby wtajemniczać Polaka w ten temat. Jeżeli w ogóle rozumiał duński na tyle, żeby się zorientować, o czym rozmawiają. Krag potrząsnął głową - jeżeli dobrze pamiętał, to nie. Rozejrzał się kolejny raz. Nie było tu na czym zawiesić wzorku. Nie, teraz był pewny, że nie zainstalowano tu żadnej kamery.

- Czyli nie zostaniemy nagrani?

- Jan korzystał albo z zegarków, albo z pluszaków - takich amerykańskich systemów do monitorowania opiekunek do dzieci, a tutaj nie ma niczego takiego, więc nie zostaniemy sfilmowani.

Wyglądała na zadowoloną z odpowiedzi.

- Chyba tęsknisz za swoim motocyklem? - zapytała.

Wzruszył ramionami, nie chcąc jej okazać, jak bardzo mu przykro, że musiał sprzedać harleya. Podobna sytuacja zdarzyła się już tydzień wcześniej, w urzędzie pocztowym przy Købmagersgade, gdy wpłacali sto tysięcy koron na konto CNN - Freedom Projekt, zgodnie z tym, czego zażądał nieznany im szantażysta. Wtedy również przez cały czas Benedikte dokuczała Henrikowi w sprawie motocykla, którego musiał się pozbyć jeszcze tego samego dnia, żeby zdobyć swoją część pieniędzy.

- Przysłał ci już pierwsze zadanie? - zapytał.

Zdażyła już zupełnie zapomnieć o jego motocyklu i skupiła się teraz na sobie. Jej twarz przybrała nieprzyjemny wyraz.

- Musimy ustalić, kim jest ta świnka - warknęła. Wyglądała jak ktoś, kto właśnie zjadł cytrynę.

- Co masz zrobić? Obiecałaś zadzwonić, jak tylko do ciebie napisze - przypomniał.

- Mam przez czternaście dni pracować jako wolontariuszka w kuchni dla nieudaczników przy Stengade w Nørrebro. Wolontariuszka! To nie ma, do cholery, nic wspólnego z wolontariatem.

- Nie brzmi wcale tak źle.

Jej oczy błysnęły gniewem, więc Krag przeprosił, chociaż wcale nie widział powodu, ale jej reakcja okazała się zbyt gwałtowna. Pomyślał, że ktoś, kto ukrywał się za syntetycznym głosem, musiał ją dobrze znać, skoro wybrał dla niej właśnie taką karę.

- Jaki jest plan, gdy ten facet tu przyjedzie? - zmienił temat.

- Plan jest taki, że zrobisz to, co trzeba, nie zadając głupich pytań.

Westchnął. Znał ten rodzaj planów, ale przecież sam się upierał, żeby wziąć w tym udział, więc teraz nie bardzo mógł narzekać.

Zorientowali się, że Otto przyjechał, gdy zaparkował swojego zielonego golfa przed piwnicznym oknem, zasłaniając i tak już słabe światło. Trzasnęły drzwi od samochodu, a potem mignęła im para

przechodzących stóp. Krag wyjął kastet i założył go na prawą rękę, ale szybko zdjął go z powrotem, gdy Lerche-Larsen syknęła, dając mu do zrozumienia, że to niepotrzebne.

Chwilę później zarządca wparował do pomieszczenia, nawet nie pukając, jakby to on był właścicielem tego przybytku. Gdy dostrzegł, że na łóżku siedzi para, na moment zeszytniał, a potem przez parę sekund z ciekawością przyglądał się Benedikte.

- W porządku, całkiem niezły łup, ale ona ma być gratis - zwrócił się do Kraga. - Mam w nosie to, że zazwyczaj klienci płacą za nią ekstra, i nie chcę słyszeć żadnego narzekania, jeżeli zostanie nieco poturbowana. Możesz już spływać. Pamiętaj tylko, żeby przekazać swojemu szefowi, że nadal czekam na jego odpowiedź i że nie zamierzam tego robić w nieskończoność. - Zuchwale wyciągnął dłoń w stronę Lerche-Larsen, a potem chwycił ją za ramię. - No, laleczko, nie mogłem się doczekać naszego spotkania.

Krag doskoczył do niego i z całej siły walnął go w ramię.

- Zabieraj te swoje brudne paluchy, ona nie jest żadną dziwką.

Otto najpierw spojrział na niego z zaskoczeniem, jakby jego mózg nie był w stanie pojąć, o co tu chodzi, w ogóle nie reagując na ból po uderzeniu. Po chwili zaskakująco szybkim ruchem dopadł Kraga i bez problemu przewrócił go na podłogę, lądując na nim. Krag poczuł, jak jego unieruchomiony łokieć zostaje wygięty do granic możliwości, ale nie mógł nic na to poradzić, poza kilkoma nieskoordynowanymi i nieskutecznymi pchnięciami w stronę klatki piersiowej przeciwnika. Krzyknął i choć najpierw nie przyniosło to żadnego rezultatu, to po chwili poczuł, że Otto poluzował uścisk, a jego ciało jakby zwiotczało. Zerknął do tyłu. Przy nim stał Polak w garniturze, celując pistoletem z tłumikiem w czoło zarządcy. W milczeniu, z nieznacznym uśmiechem. Na górze, na parterze willi, jakieś dwa głosy wszczęły kłótnie o przypalony sos.

Krag się podniósł i zaczął masować obolały łokieć, a w tym czasie Polak wolną dłonią wyjął z wewnętrznej kieszeni solidne czarne plastikowe opaski zaciskowe. Podał je Kragowi, nawet na ułamek sekundy nie spuszczać wzroku z mężczyzny leżącego na podłodze. Otto zerkał złowrogo na otwór tłumika, ale się nawet nie poruszył. Lerche-Larsen zakomenderowała spokojnym tonem:

- Zwiąż go za nadgarstki, mocno ściśnij, a potem przełóż opaskę między dłonie, tak aby je odpowiednio unieruchomić. Zepnij mu ręce z przodu i przestań się kręcić między nim a pistoletem. Później zajmiesz się jego kurtką, która zapewne wisi gdzieś w korytarzu, i znajdziesz kluczyki do samochodu. Przyniesiesz kurtkę tutaj, a potem wyjdiesz na zewnątrz i odpalisz auto.

Krag wykonywał pierwsze polecenie, z przyjemnością zaciskając opaskę i przysłuchując się pojękiwaniom Ottona.

Rozdział 34

- Dokąd jedziemy?

Krag właśnie zjechał z autostrady M13 na wysokości Farum i skręcił w lewo, kierując się wzdłuż Slangerupvejen. Benedikte siedząca obok na miejscu pasażera nic na to nie odpowiedziała, a on nie zapytał ponownie. Przyglądał się okolicy, próbując się zorientować w terenie, ale na niewiele się to zdało. Musieli się teraz znajdować gdzieś w północnej Zelandii, nic więcej nie potrafił ustalić.

Gdy zbliżyli się do Frederikssund, Lerche-Larsen zaczęła udzielać nieco więcej wskazówek.

- Tutaj w prawo, dalej w lewo.

Znała drogę i po pewnym czasie zbliżyli się do sporego kompleksu budynków, który zdaniem Kraga wyglądał na szpital. Nie zdążył przeczytać szyldu, ale zauważył czerwony krzyż przed napisem. Benedikte poleciła, żeby objechał budynek, a następnie wjechał w stosunkowo wąską drogę pomiędzy dwoma domami. Zrobił, jak mu kazała, i zatrzymał się przed wskazanym przez nią wejściem, znajdującym się na końcu jednego z budynków. Otto zaczął porykiwać i z całej siły szarpać plastikowe kajdanki. Nie było większego rezultatu poza tym, że na jego nadgarstkach pojawiły się podbiegające krwią paski. Krag i Polak musieli go siłą wywlec z samochodu. Nie było to łatwe zadanie, bo zarządca kopał i wierzgał, nie zważając na wycelowany w jego głowę pistolet. Krzyczał ile sił w płucach, gdy wpychali go przez drzwi do środka. Polak uderzył go mocno w nerkę i dopiero wtedy mężczyzna nieco się uspokoił.

- Co było napisane na tym szyldzie? - zwrócił się do Lerche-Larsen Krag.

- Krematorium, a on może sobie krzyczeć, ile mu się żywnie podoba. To miejsce jest w weekendy całkowicie wymarłe.

Pomieszczenie, do którego weszli, było oświetlone i stosunkowo przyjemne. Wzdłuż jednej ze ścian ustawiono kilka krzeseł, na drugiej zawieszono czarny krzyż odpowiednich rozmiarów - ani za duży, ani za

mały. W pokoju znajdował się taśmociąg na metalowych rolkach, biegnący od drzwi do samych drzwiczek pieca. Obok urządzenia, pod najróżniejszymi przyrządami pomiarowymi, zamontowano panel z różnymi przyciskami. Beżowa zasłonka dawała się zaciągnąć, ale tym razem była odsłonięta. Na taśmociągu najbliżej wejścia leżała polakierowana na biało, dobrej jakości trumna. Gdy Otto ją dostrzegł, zaczął się ponownie wydzierać, ale tym razem Polak wściekł się nie na żarty. Wsunął rękę między nogi zarządcy i ścisnął go za jądra, a drugą uderzył go w ucho, domagając się, żeby ten się uspokoił. Krzyk Ottona brzmiał teraz inaczej, wyrażał bardziej ból niż strach, jednak ostatecznie interwencja się powiodła. Po chwili zarządca zamilkł. Polak wyjął z wewnętrznej kieszeni telefon, wystukał numer, a po uzyskaniu połączenia wypowiedział jakieś krótkie, niezrozumiałe słowo. Krag poczuł gorąc bijący z pieca, chociaż stał w pewnym oddaleniu, a drzwiczki były zamknięte. Nagle dodał dwa do dwóch.

- Chcecie go spalić żywcem? - zapytał wstrząśnięty. - Do cholery, nie możecie tego zrobić.

- Mógłbyś, do diabła, przestać zadawać te głupie pytania? Poczekaj, to się przekonasz, co się wydarzy - odparła ze złością Lerche-Larsen.

Pięć minut później do pomieszczenia weszło dwóch kolejnych mężczyzn. Jednym z nich okazał się Bjarne Fabricius, drugi był z obsługi krematorium. Fabricius przywitał się uprzejmie z Benedikte i podziękował szarmancko za ostatnie spotkanie, po czym usiadł na jednym z krzeseł pod ścianą. Ta demonstracja wskazywała jednoznacznie, że to nie było jego show, zjawiał się tutaj wyłącznie w roli obserwatora. Również pracownik krematorium nie zamierzał się angażować bardziej, niż to było konieczne. Wyciągnął w stronę Lerche-Larsen śrubokręt krzyżowy. Natychmiast przekazała narzędzie Kragowi, a ten je odebrał i podziękował, chociaż nie miał pojęcia, co z nim zrobić. Pracownik krematorium podeszedł do pieca i nacisnął jeden z przycisków, a wtedy właz się otworzył i pomieszczenie zalał żar. Po chwili nacisnął kolejny guzik - kłapa się opuściła i zatrzasnęła z głośnym brzęknięciem, które odbiło się echem po pomieszczeniu.

- Czerwony przycisk to ruch w górę, zielony w dół. Nie grzebcie przy innych wskaźnikach. Temperatura w piecu jest odpowiednia - poinformował mężczyzna.

Powtórzył wszystko cierpliwie, a potem sobie poszedł. Gdy mijał Ottona, uniósł dłonie w przeproszającym geście: „Tak to niekiedy bywa, powodzenia w kolejnym życiu, kolego”.

- Daj mi jedną swoją skarpetkę - poleciła Kragowi Lerche-Larsen.

Zrobił, co mu kazała, zdjął lewy but, podpierając się prawą nogą, a następnie szybkim ruchem ściągnął skarpetkę. Gdy już chciał jej ją podać, dziewczyna się rozmyśliła.

- Nie, to był głupi pomysł, sam ją trzymaj - zdecydowała. - Otwieraj gębę! - zwróciła się ostrym tonem do Ottona.

Rozdziawił usta, blady i przestraszony. Hardość już z niego wyparowała, jej miejsce zajął strach. Krag zwinął skarpetkę w kłębek i wepchnął ją zarządcy do ust. Otto rzeził, próbował oddychać przez nos, z trudem łapał powietrze.

Lerche-Larsen gestem nakazała Kragowi, aby odkręcił wieko trumny, a sama zbliżyła się do Ottona i pogłaskała go po policzku.

- Wielka szkoda, naprawdę chętnie posłuchałabym, jak krzyczysz, ale niestety za bardzo nam się spieszy - oznajmiła. To, co powiedziała, nie miało sensu, ale najwyraźniej nikt tego nie zauważył. Zrobiła kilka kroków w kierunku trumny i ją otworzyła. - I kogo my tutaj mamy? No tak, dobry Boże, przecież to sama skóra i kości, najwyższy czas odejść z tego padołu. Powiedz mi, masz coś przeciwko towarzystwu podczas tej ostatniej podróży? - Wróciła do Ottona i poinformowała go wesoło: - Pani Skóra i Kości nie ma nic przeciwko twojej obecności. Z pewnością się zmieścicie, co na to powiesz? Dasz sobie radę?

Jako jedyna zaniosała się krótkim, suchym śmiechem z własnego żartu, a potem zatkała Ottonowi dziurki nosa kciukiem i palcem wskazującym. Mężczyzna zaczął wydawać zduszone odgłosy, ale nie sposób było określić, skąd pochodziły. Jego twarz poczerwieniała, oczy wychodziły mu z orbit. W końcu go puściła.

- No, czyli jesteśmy zgodni. - Odwróciła się i zakomenderowała: - Włóżcie go do środka. Połóżcie na brzuchu, żeby mógł dobrze poznać swoją gospodynię, zanim trafi do piekła.

Otto kopał i wierzgał z całych sił, więc Polak i Krag musieli się naprawdę napocić, żeby wykonać polecenie Benedikte. Fabricius przyglądał się Lerche-Larsen, kiedy mężczyźni szamotali się z zarządcą. Gdy to zauważyła, posłała mu uśmiech. Nie odwzajemnił go.

- Nie mógłbym sobie pójść? - zapytał niemal proszącym tonem Krag, po tym, jak ponownie skręcił śruby w trumnie.

Lerche-Larsen zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Przesuń go trochę po taśmociągu i policz do dziesięciu. Potem możesz go wyjąć.

Polak uśmiechnął się z uznaniem, to było coś nowego, wcześniej nie miał z tym do czynienia.

Po przejeździe w trumnie Otto wyraźnie się postarzał. Ciemność, strach, gorąc, kontakt ze zwłokami zrobiły swoje i męczyzna osiwiiał. Na polecenie Lerche-Larsen Krag uwolnił go z kajdanek i wyjął mu z ust skarpetkę. Mimo to zarządca nadal przyciskał się do ściany - z drżącymi ustami i wilgotnymi oczami - już nie niebezpieczny, tylko złamany.

- Fuj, do cholery. Narobiłeś w gacie? Kurwa, ale tu śmierdzi! - krzyknęła do niego Lerche-Larsen.

Trzymając się za nos, drugą dłonią wygrzebała z torebki mały plastikowy pojemnik z zakrętką. Otworzyła go, nabrała trochę zawartości na palec i posmarowała się pod nosem. Następnie przekazała pojemnik Polakowi, który powtórzył jej gest.

- No dobra, ty podła szujo, posłuchaj, jakie obowiązują między nami reguły. Jeżeli uznam, że kłamiesz, wylądujesz w piecu, a kolejny raz to nie będą żarty. Jeżeli uznam, że nie kłamiesz, to może uda ci się wyjść z tego cało. Rozumiesz?

Otto potaknął. Tak, tak, zrozumiał, że ma mówić prawdę. Z trudem wypowiadał kolejne słowa, jękając się. Trudno było powiedzieć, czy naprawdę zrozumiał, czy tylko powtarzał to, co chciała usłyszeć, gotowy przyznać jej we wszystkim rację. Lerche-Larsen najwyraźniej także miała wątpliwości. Odezwała się wolno, jakby chciała zaznaczyć, że mowa o czymś skomplikowanym:

- Nie chodzi o to, czy będziesz kłamał, tylko o to, czy ja uznam, że kłamiesz. To różnica.

Zapewnił ją, że wszystko, co powiedział, to była prawda.

- Ty idioto, jeszcze o nic cię zapytałam.

Chwycił ją błagalnie za ręce, przysięgając na Boga, że będzie mówił prawdę. I wtedy z jego ust wylał się potok słów - chaotyczny, ale nie pozbawiony sensu.

Było tak, jak Lerche-Larsen się spodziewała. Otto przyjaźnił się z Janem Podowskim i to jemu zawdzięczał fakt, że nigdy nie wylądował w więzieniu, dlatego udostępniał mu chatkę myśliwską za darmo, a w zamian za to mógł korzystać bez płacenia z usług prostytutki raz na dwa miesiące. Zadbął też o postawienie nowej chatki, gdy poprzednia się spaliła. Dlatego gdy Podowski zmarł, zadzwonił do szefów swojego przyjaciela, nie mógł sobie teraz przypomnieć ich nazwisk, próbując zdobyć pieniądze za milczenie w sprawie tej zabitej dziewczyny z jeziora. Ale teraz już nigdy więcej nic na ten temat nie powie, musi mu uwierzyć. Nie pisnie nawet słowa. Został wezwany do Kopenhagi na przesłuchanie w poniedziałek, ale nic z niego nie wyciągną. Ani w sprawie Afrykanki, ani tego epizodu z Jutlandii, bo nie mają żadnych dowodów.

- Z Jutlandii? - przerwała mu ostro Lerche-Larsen.

Tak, zajął się wtedy pewną Niemką, ale Podowskiego przy tym nie było, wolał w tym czasie obejrzeć mecz. Po tym wydarzeniu Otto zdecydował się ograniczyć kontakty z dziewczynami do spotkań poza granicami kraju, podczas swoich wakacji - w sumie chodziło o sześć dziewczyn, ale nikt go o nic nie podejrzewał.

Upłynęło trochę czasu, zanim Benedikte zrozumiała jego historię. Po raz pierwszy nie skomentowała jego wypowiedzi. Wolała posłuchać o innych sprawach.

- Czy Jan wspominał ci coś o grze w karty? A może o jakimś klubie gier?

Zaprzeczył, modląc się z całego serca, aby mu uwierzyła.

- Czy imię Svend coś ci mówi?

- Tak, to był szef Podowskiego.

- A Ida?

Nie, nie znał żadnej Idy. Zmarszczyła brwi. Jej wyraz twarzy sugerował, że Otto powinien się dobrze zastanowić. Ponownie zaczął się modlić w duchu, a potem przysiągł, że nie zna żadnej Idy. Wyraźnie było widać, że mówi prawdę. Nie znał żadnej Idy i sam nie był Idą. Potem zapytała go o Bjarnego. Tak, to też był szef jego przyjaciela, jakaś sycha, jak sądził, ale nigdy więcej do niego nie zadzwoni. Nigdy.

Lerche-Larsen namyślała się przez chwilę, a potem podeszła do Fabriciusa i przez moment z nim rozmawiała. Nikt nie słyszał o czym.

Rozmowa zakończyła się tym, że mężczyzna wstał, wyszedł na środek pomieszczenia i przejął pałeczkę.

- Teraz musimy zdecydować, czy powinieneś trafić do pieca - zwrócił się do Ottona konwersacyjnym tonem. - Nie, nic nie mów, tylko słuchaj. Widzisz, mam pewne wątpliwości, bo z jednej strony nie chciałbym, żebyś wrócił do domu i dalej prowadził normalne życie. Z drugiej jednak pozbycie się ciebie może przynieść więcej problemów, niż to warte, dlatego znalazłem pośrednie rozwiązanie.

Szczegółowo przedstawił mu swój pomysł. Otto zaakceptował go bez najmniejszych protestów.

- W ten sposób będziemy wiedzieli, gdzie cię szukać. Ale nie myśl, że w więzieniu nie będziemy mogli cię dopaść, bo to najprostsza rzecz na świecie. Dostaniemy się do ciebie, jeśli nawet poprosisz o dobrowolną izolację. Będzie to nieco trudniejsze, ale nie niemożliwe - zakończył swój wywód Fabricius.

Zarządca potwierdził, że zrozumiał jego słowa, a Fabricius kontynuował:

- Jest jeszcze jedna możliwość. I ta jest chyba najzabawniejsza. Możesz próbować zwać, za granicę albo do jakiejś wiochy na Bornholmie, istnieje wiele opcji. I wtedy będziesz miał jakąś szansę, nie ma co do tego wątpliwości. Nie wyglądasz teraz na faceta, z którym mógłbym omawiać procent prawdopodobieństwa, dlatego ograniczę się do stwierdzenia, że twoje szanse są nikłe. Wcześniej czy później ukręcisz na sobie bicz, a wtedy zafundujemy sobie kolejną wyprawę w to miejsce. Wówczas jednak nie będziesz już wył, gdy będziemy cię tutaj wprowadzać, a wiesz dlaczego?

Otto pokręcił głową z miną nieszczęśnika.

- Bo najpierw wyrwiemy ci język.

Rozdział 35

Praca w kuchni w ramach wolontariatu na rzecz organizacji Kirkens Korshær, mieszczącej się przy Stengade w Nørrebro, okazała się ze wszech miar sukcesem w kwestii upokorzenia Benedikte Lerche-Larsen. Została zmuszona do pracy przez dwa tygodnie i już pierwszego wieczoru niemal krzyczała ze wściekłości. Krag musiał wysłuchiwać, jak bardzo jest niezadowolona, bo zaraz po swoim dyżurze błyskawicznie ruszyła do Ishøj, żeby złożyć mu niezapowiedzianą, ale niecierpiącą zwłoki wizytę. Pomyślał, że zapewne wybrała go dlatego, że nie miała nikogo innego, komu mogłaby się poskarżyć. Mimo to zachowywał się tak, jakby pod każdym względem podzielał jej poglądy. Zresztą z czasem przyzwyczaił się do tego, że pojawiała się i znikła, kiedy jej się żywnie podobało, nawet go o tym nie uprzedzając. Zdarzyło się to już po raz trzeci. Jak tylko wparowała do pokoju, zaczęła perorować niczym jakiś doświadczony dyrektor cyrku, trąbiąc na całego o swoich ostatnich przeżyciach:

- Wiesz co, czuję że cała śmierdzą tymi... ludźmi. Jeden bardziej niechlujny od drugiego, większość lepi się od brudu. Czarni, Europejczycy z Europy Wschodniej, Duńczycy no i oczywiście Grenlandczycy... Wszyscy razem tworzą jedno wielkie bagno, którego nawet diabeł nie potrzebuje. Kurczę, nie miałam nawet pojęcia, że takie typy mają swoje miejsce. Trzeba być rzeczywiście niezwykle społecznie wrażliwym albo wyjątkowo religijnym, żeby marnować życie na pomaganie takim osobnikom. Nie pojmuję, że ktoś nie wyśle ich do domu, a przychodzącym po posiłek nie wręczy flaszki czystego spirytusu, żeby natychmiast się ich pozbyć.

Kontynuowała swoją opowieść jeszcze przez jakiś czas, a Krag starał się przytakiwać w odpowiednich momentach, chociaż to i tak nie miało większego znaczenia, bo była zbyt skupiona na swojej krzywdzie.

- Napijesz się kawy? - zapytał, kiedy wreszcie dopuściła go do słowa. - Kupiłem dobrą, ale to już wiesz.

Uznała to za niezły pomysł, więc skierował się do kuchni, a ona za nim, nie przerywając swoich wynurzeń.

- Wyobraź sobie, że ludzie przynoszą tam najdziwniejsze rzeczy. - Tym razem mówiła bardziej stonowanie. - Dzisiaj dostaliśmy całą skrzynkę awokado od sprzedawcy warzyw, a potem pojawił się jakiś dyrektor z pięcioma tortami, z centrum konferencyjnego Bella Center, natomiast ja musiałam ostrzyć i uczesać pewną starą babkę, która miała tyle wszy, jakby je specjalnie hodowała. Szczerze mówiąc, wolałabym obierać ziemniaki. Trudno w to uwierzyć, ale wielu wolontariuszy to beneficjenci pomocy społecznej i to oni właśnie stanowią społeczną elitę tej patologii. - W końcu zabrakło jej słów.

- A co z jutrem, nie pójdziesz tam? - zapytał Krag.

- Oczywiście, że pójde, w sumie nie jest tak źle, chociaż... jutro mam wieczorny dyżur, więc pewnie będzie dużo gorzej.

- Nie potrafisz powiedzieć nic dobrego o tym miejscu?

- Nieee, a niby co? Owszem, jedzenie było nie najgorsze. Na obiad serwowaliśmy pieczeń rzymską, lata jej nie jadłam.

- Zauważyłaś kogoś, kto mógłby być naszym szantażystą?

- Nie, ale też przez większość czasu pracowałam na zapleczu kuchni, a tam ta hołota nie może wchodzić. To jedna z obowiązujących zasad. Kolejna mówi o tym, że nie wolno żłopać alkoholu, więc wszyscy przychodzący uprzejmie oddają nam swoje butelki, a my naklejamy na nie małe etykiety i wsadzamy je do lodówki. Niesamowite, nie? Dobra, dosyć o tym, to zadanie nie będzie mi wypełniać życia.

Opadła na sofę z taką oczywistością, jakby była właścicielką mieszkania. Krag rozważał przez moment, czy by się nie wcisnąć w drugi kąt mebla, pomiędzy jej stopy a oparcie, ale zrezygnował, gdy w tym samej chwili uniosła ramiona za głowę i wydając z siebie leniwy pomruk, zaczęła się przeciągać, po czym zajęła resztę wolnego miejsca. Usiadł na krześle naprzeciwko, łamiąc sobie głowę, w jakim teraz będzie humorze, bo trudno mu się było w tym połapać. Pewnie byłoby najlepiej, gdyby już sobie poszła.

Lerche-Larsen podłożyła dłoń pod głowę i spojrzała na niego z zarysem uśmiechu na twarzy. Trudno było sobie teraz uzmysłwić, że to ta sama dziewczyna, która przez pół godziny maniakalnie perorowała o swoich antypatiach i urojeniach.

Gdy się odezwała, jej głos wydawał się nieco głębszy, a słowa padały wolniej:

- Ta tania panienka, którą tu zastałam, gdy zjawiłam się po raz pierwszy... ta gotycka księżniczka o bezmyślnym spojrzeniu i wulgarnie rozwiniętych drugorzędowych cechach płciowych...

Urwane zdanie zawisło w powietrzu.

- Masz na myśli Lone?

- Lone, Line, Lene, nieważne. Jest coś między wami?

- Nie miałem pojęcia, że... będziesz chciała mnie odwiedzić. Ona nie ma znaczenia.

- Oczywiście, że nie ma znaczenia, od urodzenia nie ma znaczenia. Powiedz mi: jesteście razem czy jak?

Rozdział 36

Frode Otto należał do silnych mężczyzn. Był nieco poniżej średniego wzrostu, dlatego szeroka klatka piersiowa i długie, muskularne ramiona nie pasowały do jego postury. Miał odpychający, jakby śpiący wyraz twarzy, a jego mimika, z wyjątkiem tych najbardziej grubiańskich min, ginęła w topornych rysach twarzy. Do tego bezbarwne oczy i jaszczurcze spojrzenie, które niczego nie wyrażało, tylko przez cały czas badało otoczenie, wolno i metodycznie, nie zatrzymując się na niczym konkretnym.

Gdy Berg go zobaczyła, dopadło ją dławiące poczucie bezbronności. Zaczęły jej drzeć policzki i szyja, jakby wpadły w delikatne, niepozorne wibracje, które szczęśliwie nie zapowiadały ataku lęku. Istniała szansa, że za chwilę znikną, ustępując miejsca silnemu ściskowi żołądka. Nie dało się tego przewidzieć, dlatego wyjęła z torebki tabletkę i na wszelki wypadek trzymała ją teraz w dłoni. Siedziała w pomieszczeniu znajdującym się na tyłach pokoju przesłuchań, gotowa, by przez duże lustro fenickie śledzić konfrontację, która jeszcze się nie zaczęła. Po jej prawej stronie siedziała Hrabianka, po lewej Arnold, a dalej jeszcze dwóch innych funkcjonariuszy oddelegowanych do tej sprawy. Na samym końcu, niemal przy drzwiach, na najgorszym miejscu siedziała prokuratorka okręgowa Bertha Steenholt. Przybyła jako ostatnia i upłynęło nieco czasu, zanim pozostali zorientowali się, że już jest.

- Jego widok przyprawia mnie o gęsią skórę - oznajmiła Berg. - Popatrzcie na jego ramiona i dłonie, wygląda jak mała.

- To stary zapaśnik, a z takimi należy uważać. Jak się już do kogoś przyczepią, potrafią rozszarpać na kawałki, niezależnie od tego, czy jest się szybkim, czy silnym. Chodzi o to, żeby przez cały czas zachowywać dystans: błyskawicznie zaatakować, uderzyć w słabe punkty i natychmiast się wycofać - wyjaśnił Arnold.

- Hej, wy tam, bądźcie cicho.

Jutlandczyk zerknął w bok, na koniec rzędu, a potem posłał Hrabiance pytające spojrzenie, nie znał kobiety, która usiłowała ich

uciszyć. Berg też zauważyła jego zdezorientowanie.

- Klavs, to przecież Wielka Bertha - wyjaśniła. - Powinieneś się zamknąć. Może cię rozszarpać na kawałki na wiele sposobów.

W pokoju przesłuchań Simonsen i Pedersen zakończyli wstępne formalności. Z góry zakładali, że Otto załatwi sobie prawnika, ale okazało się, że się pomylili, bo mężczyzna przyszedł sam. Taka sytuacja sprawiała, że policjanci mieli większe pole manewru w kwestii zadawanych pytań.

Inspektor zdecydował się zacząć od spraw związanych z gwałtami. Po pierwsze dlatego, że były to na tyle poważne zarzuty, by podczas przesłuchania nie traktować ich jak spraw drugorzędnych. Po drugie dlatego, że konfrontacja Ottona z tak poważnymi zarzutami mogłaby sprawić, że mężczyzna będzie bardziej zmotywowany do przyznania się do swojego udziału w przypuszczalnie mniej obciążającym incydencie związanym z wrzuceniem do jeziora ciała Afrykanki. Ten argument opierał się na przekonaniu, że to nie Otto stoi za zabójstwem dziewczyny. Tak uważał Simonsen, a jego zdanie podzielali wszyscy najbliżsi współpracownicy.

- Interesujesz się piłką nożną? - rozpoczął przesłuchanie.

Jeżeli nawet Otto był zaskoczony pytaniem, to tego nie okazał.

- Słabo.

- Tak przypuszczałem. Dwudziesty drugi czerwca dziewięćdziesiątego drugiego przypadał w poniedziałek, a ja dla przypomnienia dodam, że wtedy Dania grała przeciwko Holandii w mistrzostwach Europy rozgrywanych w Szwecji.

- Aha.

- Mnie też ten sport nie interesuje. Natomiast bardzo zajmują mnie przestępstwa, a dokładnie to, by ludzie, którzy je popełniają, ponieśli zasłużoną karę.

Inspektor zamilkł, Otto też się nie odzywał. Właściwie to nie został o nic zapytany, a poza tym wcześniejsze stwierdzenie szefa wydziału zabójstw również nie należało do odkrywczych. Inicjatywę przejął Pedersen.

- To podobnie jak ja, ale jest mi wszystko jedno, czy zostaną rozliczeni w Danii, Szwecji czy Finlandii. O ile tylko mówimy o kraju, który dysponuje porządnym systemem sprawiedliwości, gdzie takie

gnojki jak ty mogą liczyć na sprawiedliwy proces, miejsce nie ma dla mnie znaczenia.

Gdy Pedersen znienacka przemówił, Otto nieznacznie drgnął. Hrabianka stojąca za lustrem zmarszczyła brwi, sytuacja ją zaskoczyła, choć dobrze wróżyła. Sądziła, że będzie potrzeba dużo więcej, żeby wstrząsnąć zarządcą.

Simonsen sięgnął po zdjęcie ze sterty dokumentów leżących przed nim na stole, obrócił je, a następnie pchnął w stronę przesłuchiwanego. Było kolorowe i przedstawiało uśmiechniętą Hannelore Müller. Zostało zrobione z profilu, dziewczyna trzymała w dłoni zawieszony na szyi medal. W tle znajdował się sprzęt gimnastyczny, między innymi koziół, na którym usadowiły się dwie machające dziewczyny.

- Nazywa się Hannelore Muller i jest obywatelką Niemiec. Dwudziestego drugiego czerwca dziewięćdziesiątego drugiego pobiłeś ją i zgwałciłeś. Krótko wcześniej skończyła piętnaście lat.

- Tak.

Szef wydziału zabójstw niezwykle rzadko tracił rezon podczas przesłuchania, a jeszcze rzadziej, gdy odbywało się to na jego własnym podwórku, w Komendzie Głównej, mimo to właśnie teraz poczuł się kompletnie zbity z tropu.

- Przepraszam, co powiedziałaś?

- Powiedziałem, że ją zgwałciłem. To prawda.

Otto, wypowiadając te słowa, wyglądał na naburmuszonego. Nic się tu nie zgadzało. Simonsen skierował wzrok na Pedersena, ale ten tylko siedział z rozdziawioną gębą i nie kwapił się do pomocy. Wtedy inspektor szybkim, nieco nerwowym ruchem sięgnął po kolejne dwa zdjęcia. One również przedstawiały młode kobiety. Położył je przed Ottonem i wskazując na nie palcem, oświadczył:

- Susanna Laine, Finka, zgwałciłeś ją we wtorek trzeciego sierpnia dwa tysiące czwartego roku. Kolejna to Randi Hansson, Szwedka - ją zgwałciłeś w sobotę dwudziestego trzeciego czerwca dwa tysiące siódmego. Do obu przestępstw doszło na promie Silja Tannik Lines, który pływa między Sztokholmem a Helsinkami.

Otto przez krótką chwilę przyglądał się obu portretom.

- Nie, ich nie, tylko tamtą pierwszą - oświadczył.

Położył dłoń na zdjęciu Müller, a potem przesunął wolno palcami po jej twarzy, przyglądając się dziewczynie z uśmiechem. Jego zachowanie było skandaliczne i Simonsen musiał się bardzo powstrzymać, żeby nie wyrwać mu fotografii.

- W takim razie na początek skupmy się na niej. Arne, mógłbyś? - zapytał.

Policjant wykonał polecenie i przez następne pół godziny Otto co prawda dość mętnie, ale nie niechętnie opowiadał o tym, jak spotkał Niemkę w sklepie w Vammen na Jutlandii, a potem dopadł ją na drodze i siłą wepchnął do bagażnika swojego samochodu. Przyznał się też do gwałtu i znęcania się. Chociaż opowiadał krótkimi zdaniami i często potrzebował wskazówek w postaci dodatkowych pytań ze strony Pedersena, to wyraźnie było widać, że z przyjemnością przywołuje w pamięci tamto wydarzenie. Nie wykazywał przy tym żadnej skruchy wobec opisywanych perwersyjnych czynów, a wręcz przeciwnie. Słuchanie jego opowieści napawało śledczych obrzydzeniem, choć oznaczały postępy w przesłuchaniu.

Tylko w dwóch kwestiach zeznania Ottona okazały się niekompletne. Po pierwsze nie chciał podać nazwiska partnera, z którym obrabował bank w Struer trzy dni przed gwałtem, co Pedersen doskonale wiedział. Zarządca po prostu zaprzeczał, że w ogóle istniał jakiś partner - mało logicznie, ale skutecznie. Druga sprawa, która nie została dostatecznie wyjaśniona, przypuszczalnie nie wynikała z braku dobrej woli. Mężczyzna nie był w stanie wskazać dokładnego miejsca popełnienia przestępstwa. Twierdził, że sam tego nie wie, i prawdopodobnie mówił prawdę. Niemniej jednak opis całego zajścia był tak szczegółowy - również w dwóch kluczowych kwestiach, które policja zataiła przed opinią publiczną - że zarządca z dużą dozą prawdopodobieństwa zostanie skazany, nawet jeśli zdecyduje się wycofać zeznania.

Gdy Pedersen skończył, zerknął pytająco na przełożonego, który potrząsnął głową. Wtedy wstał, a jego zachowanie znacząco się zmieniło. Do tej pory prowadził przesłuchanie profesjonalnie i chłodno, a teraz warknął złowrogo:

- Oczywiście uważasz, że twoje przestępstwo się...

Dalej nie zdołał dotrzeć, bo Simonsen przerwał mu głośno i gwałtownie, po czym zwrócił się do zarządcy niemal pojednawczym

tonem:

- Odrobiłeś lekcję i oczywiście masz do tego prawo. Twoje przestępstwo się przedawniło, nad czym naturalnie ubolewam, ale takie jest prawo, a ty wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek. Dziesięć lat w przypadku gwałtu i dodatkowe pięć, gdy należał do szczególnie brutalnych, a z tobą tak właśnie było, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Tak czy siak, niestety spóźniliśmy się kilka lat. Proponuję, żebyśmy zrobili godzinną przerwę, a ja zadbam o to, żebyś dostał adwokata, niezależnie od tego, czy go sobie życzysz, czy nie. Potem będziemy musieli to wszystko spisać, a na koniec podpiszesz zeznania, więc musisz się liczyć z tym, że zajmie nam to prawie cały dzień. Możemy się spotkać ponownie o, powiedzmy, wpół do pierwszej?

W pomieszczeniu obok Berg niemal krzyknęła:

- Wypuści go? Nie może, do cholery.

Spojrzała zdumiona na Berthę Steenholt, Arnold poparł aspirantkę w tym proteście. O co tu w ogóle chodziło? To nie mogła być prawda, poza tym takie rozwiązanie nie miało żadnego potwierdzenia w prawie. Do okresu przedawnienia gwałtu należało przecież dodać po roku za cały okres, kiedy Müller nie miała jeszcze osiemnastu lat, co sprawiało, że przestępstwo wcale się nie przedawniło. Prokuratorka okręgowa ledwo zaszczyciła go spojrzeniem, po czym ryknęła swoim grubym basem:

- Słuchaj i ucz się!

W pokoju przesłuchań Otto wydawał się kompletnie roztrzęsiony i z rozdziawioną buzią spoglądał na Simonsena.

- Wypuszczasz mnie?

- Ty w ogóle nie zostałeś zatrzymany, człowieku, weź się w garść.

- Czyli mogę sobie pójść?

- To nie ja ustanawiam prawo w tym kraju. I chociaż ja jestem zadowolony z twojego przyznania się do winy, dla Hannelore to nie będzie znaczyło zbyt wiele. W zeszłym tygodniu byłem w Niemczech i przekonałem się, że ona nadal się nie pozbierała po tym, jak ty...

Zarządca wpadł mu w słowo, kompletnie niezainteresowany stanem Niemki.

- Czy mogę odsiedzieć wyrok w Danii?

Wskazał na zdjęcia swojej szwedzkiej i fińskiej ofiary. Simonsen rozłożył ramiona, jakby ta kwestia niespecjalnie go interesowała.

- Nie możesz pójść do więzienia za coś, czego nie zrobiłeś.

- Ale jeżeli jednak zrobiłem, to będę mógł odsiedzieć karę w Danii?

- Naprawdę tego nie wiem. Sprawa wydaje się dość zawiślana, a my nie jesteśmy prawnikami. Mogę spróbować zapytać, jeżeli natknę się na jakiegoś adwokata, i zadzwonię do ciebie, jeżeli będzie mi się chciało. Nie jesteśmy przecież biurem udzielającym bezpłatnych porad prawnych, nawet jeśli tak ci się wydaje. No, na teraz kończymy, mam już serdecznie dość twojego widoku.

Otto się poddał i położył dłonie na zdjęciach pozostałych dwóch dziewczyn.

- W porządku, one też są moje.

- Twoje, jak to twoje?

- Zgwałciłem je, zgwałciłem je obie.

Pedersen ponownie opadł na krzesło, dopiero teraz orientując się, o co chodziło szefowi. Przyjął równie obojętną pozę co jego przełożony, jakby to, co usłyszał, nie miało większego znaczenia, taki drobiazg, na który wydział zabójstw nie zamierzał tracić czasu.

- Dlaczego mamy ci wierzyć? - zapytał inspektor zmęczonym głosem. - Przecież ty nieustannie kłamiesz.

- Wsadziłem pilota w dupę tej szwedzkiej suce... - Otto wskazał palcem na Randi Hansson. - ...a tę Finkę pokąsałem sztuczną szczęką... - uśmiechnął się odrażająco, dumny ze swego pomysłu z mylącymi śladami po zębach - ...w wielu miejscach: na cyckach, nosie, policzkach, brzuchu i palcach stóp. I poza mną wiedzą o tym tylko gliny, więc nie mogę kłamać - dodał.

Rozdział 37

Spisanie i szczegółowe zweryfikowanie zeznania Frodego Ottona zajęło prawie tydzień. Wydział zabójstw otrzymał spore wsparcie od szwedzkiej i fińskiej policji kryminalnej, która przysłała do Kopenhagi swoich przedstawicieli. Wszyscy wydawali się zadowoleni, gdy w czwartek po południu sprawa została zamknięta i mogła zostać przekazana do prokuratury okręgowej. Szybko zjawiała się również pani komendant. Miała swoisty dar pojawiania się na miejscu, gdy tylko zwietrzyła jakiś sukces, a sprawa, przy której pracowała prokuratorka okręgowa – pani prokurator osobiście – jak to ujęła podekscytowana szefowa, była przecież sama w sobie wystarczającym powodem. Przesadny respekt komendantki nie zrobił na Bercie Steenholt wrażenia, natomiast przy okazji poświęciła trochę czasu na codzienne przyglądanie się odzieży kobiety. Komendantka słynęła z nad wyraz kiepskiego gustu. Niczym wielobarwny owad, zdecydowanie odświętny – stwierdziła w myślach Wielka Bertha, a potem nie poświęcała już uwagi szefowej komendy.

Jednak Konrad Simonsen nie miał w zwyczaju ignorowania komendantki. Po pierwsze była jego bezpośrednią przełożoną, a po drugie lubił ją, chociaż wolał, kiedy siedziała u siebie na górze. Z drugiej strony nie mieszała się do jego śledztwa, domagała się tylko, żeby ją na bieżąco informowano, a gdy to się działo, wyrażała wdzięczność, prawie niezależnie od tego, co jej mówił.

- Simon, nie wyglądasz na zadowolonego – stwierdziła przełożona. - Przecież wszystko świetnie wyszło.

- Nie w przypadku sprawy z lasu Hanehoved, w tej kwestii milczy jak zakłęty.

To była prawda. Otto konsekwentnie odmawiał mówienia o czymkolwiek innym niż sprawy trzech gwałtów. Wcześniej Simonsen dał się przekonać argumentacji Arnolda, że chatka myśliwska w lesie Hanehoved nie została złożona w okresie, na który wskazywał zarządca. To rodziło wiele uzasadnionych pytań, które jednak nadal

pozostawały bez odpowiedzi. Przesłuchiwany nie zająknął się też ani słowem o swoich sobotnich wypadach, które przypadają na co drugi miesiąc, podobnie jak nie chciał współpracować odnośnie do identyfikacji numerów telefonów, z których dzwoniono do niego w ciągu ostatnich lat. Nie należało też zapominać o największej zagadce – dlaczego Otto zdecydował się przyznać do trzech gwałtów? Nikt nie miał na to dobrej odpowiedzi, chociaż wszyscy, może z wyjątkiem Hrabianki, regularnie snuli mniej lub bardziej wiarygodne domysły.

Sam zarządca milczał jak grób, niekiedy uśmiechając się nieprzyjemnie, twierdził, że chciał ulżyć swemu sercu – koniec kropka. Nawet nie zamierzał słuchać dodatkowych pytań na ten temat.

- Czy kiedykolwiek się zorientował, że wyprowadziłeś go w pole? - zapytała komendantka.

Simonsen wzruszył ramionami, nie miał pojęcia. Przełożona nawiązywała do pierwszego przesłuchania, kiedy to inspektor zrozumiał, że Otto z jakichś niejasnych pobudek chciał zostać osądzony i nie miało dla niego znaczenia z jakiego powodu. Dlatego właśnie policjant pozwolił mu uwierzyć, że gwałt na Hannelore Müller się przedawnił, co oczywiście było nieprawdą, bo zarządca nadal podlegał karze. Jednak Otto tego nie wiedział, a Simonsen mu tego nie uświadomił, dlatego też mężczyzna niemal w desperacji przyznał się do kolejnych dwóch przestępstw na promach, skoro ta duńska sprawa nie była już aktualna.

- Jestem pod wrażeniem, że Wielka Bertha osobiście prowadzi tę sprawę. Zazwyczaj bierze wyłącznie trudne i skomplikowane przypadki. To pewnie dlatego, że tak dobrze się wam współpracuje - powiedział Simonsen do komendantki.

- Naprawdę tak myślisz?

Przełożona napawała się chwilą. Wróciły jej młodzieńcze rumieńce, a policzki nagle przybrały ten sam delikatny odcień co jej bluzka.

- Jestem o tym przekonany. Jeszcze jedna kwestia: może się zdarzyć, że będę potrzebował nieco więcej pieniędzy, niż na początku uzgodniliśmy. Nie mogłem sobie pozwolić na zbyt wielkie oszczędności w przypadku międzynarodowego śledztwa.

- Oczywiście, rozumiem, coś na to poradzimy, nie martw się. Powiedz mi, czy wspominała ci coś na temat naszej współpracy?

- Tak to zrozumiałem i zdecydowanie nie jestem w tym osamotniony.

Rozdział 38

Zarówno z ksiąg rachunkowych majątku Kolleløse Gods, jak i dokumentów księgowych spółki osobowej Store Heddinge Fritidshuse, mieszczącej się w Køge, a specjalizującej się w transporcie i składaniu mniejszych drewnianych domków, wynikało, że chatka myśliwska z lasu Hanehoved została dostarczona, złożona i opłacona podczas świąt Bożego Narodzenia 2007 roku. Jednak wiele wskazywało na to, że faktura była antydatowana, a prawdziwy termin postawienia domku przypadał w okolicach 20 marca i rozciągał się na kolejny tydzień. Właśnie w tym okresie Otto przeprowadził z firmą siedem rozmów. Dodatkowo, jeśli wziąć pod uwagę pogodę, marcowy termin montowania chatki znacznie bardziej odpowiadał głębokości śladów opon znalezionych przez Arnolda. Wszyscy wiedzieli, że jeżeli ta teoria okaże się prawdziwa, to zrobi się interesująco, bo 20 marca zbiegał się z przedziałem czasu podanym przez policyjnych techników jako przybliżona data zgonu Afrykanki.

Simonsen oraz Arnold wybrali się do Køge, żeby przesłuchać dyrektora, a jednocześnie jedyne go właściciela Store Heddinge Fritidshuse. Tutaj jednak napotkali na mur niechęci.

Antydatowanie faktury samo w sobie nie było przecież wielkim przestępstwem, takie rzeczy zdarzały się dość często, kiedy klient z jakiegoś powodu chciał zaksięgować wydatek w budżecie z zeszłego roku. Simonsen dokładał wszelkich starań, żeby wyrazić wyrozumiałość, ale na próżno. Dyrektor niczego nie antydatował, na dodatek spytał, jak długo zamierzają jeszcze marnować jego czas. Miał, do cholery, ważniejsze rzeczy do roboty niż konwersowanie z nimi. Powiedział to zaraz po tym, jak funkcjonariusze zdążyli zająć miejsca. Mimo wszystko Arnold kontynuował pojednawczym tonem:

- Niech pan posłucha. Nie jesteśmy z urzędu skarbowego i mamy kompletnie gdzieś ten przekręt, nawet jeżeli przyjął pan przy tej okazji jakąś gotówkę, która nie została zaksięgowana.

Dyrektor był przed trzydziestką, elokwentny i chłodny w obyciu.

- Nikt tutaj nie bierze pod stołem. Jeszcze jakieś pytania?
- Do cholery, człowieku. Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa.
- A ja prowadzę firmę, pod warunkiem, że mi się nie przeszkadza.

Simonsen próbował użyć bata: urząd skarbowy, celny, inspekcja pracy, a potem sanitarna w związku z prowadzeniem stołówki. Poza tym samochód dyrektora z napędem na cztery koła i żółtymi blachami był widziany w okolicy mariny w Køge – co on też tam robił? Do licha, to mogło go trochę kosztować. Właściciel firmy cały czas pozostawał niewzruszony, aż w końcu inspektor zapytał:

- Nie przepada pan za służbami publicznymi, prawda? To dlatego nie kwapi się pan do pomocy?

Mina mężczyzny wyraźnie wskazywała na to, że Simonsen trafił. Niemniej jednak dyrektor migał się od odpowiedzi i ograniczył do stwierdzenia:

- Odpowiedziałem już na wasze pytania. - A zaraz potem spytał: - Macie jeszcze jakieś?

Mieli.

- Kto montował chatkę?

- Nie da się tego ustalić po tak długim czasie. Nie prowadzimy żadnego rejestru, ale jeżeli zamierzacie przepytawać moich ludzi, chciałbym, żeby się to odbyło po godzinach pracy.

- O tym na szczęście zadecyduję sam i mam kompletnie gdzieś, czego pan oczekuje. Jest jeszcze jedna sprawa. W marcu zeszłego roku sześciokrotnie rozmawiał pan przez telefon z mężczyzną, który nazywa się Frode Otto. Jest zarządcą w majątku Kolløse Gods. O czym rozmawialiście?

Na potwierdzenie swych słów Simonsen położył przed dyrektorem billing, ale mężczyzna od razu go od siebie odsunął.

- Nie mam pojęcia, rozmawiam z dwudziestoma ludźmi dziennie. Skończyliśmy?

- Czy nie mógłbym mu przywalić? - zapytał swojego szefa Arnold.

Jednak właściciel firmy ani się nie wystraszył, ani nie dał sprowokować.

- Idźcie już, a następnym razem, jeżeli w ogóle takowy nastąpi, a mam nadzieję, że nie, zadzwonię z wyprzedzeniem, żebym zdążył powiadomić adwokata.

Przełom w sprawie nastąpił niecały tydzień później, a doszło do niego nie gdzie indziej jak w Irlandii Północnej, w drodze między Derryvara a Monea Castle, w hrabstwie Fermanagh. Emeryckie Stowarzyszenie Turystyki Pieszej odbywało właśnie swoją coroczną wycieczkę zagraniczną. Grupa wędrowała z miejsca na miejsce, podziwiając przyrodę i umilając sobie czas niezobowiązującymi rozmowami. Podczas jednej z nich pewna siedemdziesięcioletnia kobieta opowiedziała swojej przyjaciółce o wnuczku, któremu grożono zwolnieniem z pracy w firmie Store Heddinge Fritidshuse, jeżeli będzie rozmawiał z policją o pewnej konkretnej robocie wykonanej dla kogoś szlachetnie urodzonego.

- Wyobraź sobie, chodzi o policję. Nie może rozmawiać z policją, to przecież jakieś wariactwo.

Przyjaciółka przyznała jej rację, to było niesłychane. Na tyle niesłychane, że starsza pani podzieliła się tą historią w nieco podkoloryzowanej wersji ze swoją córką, kiedy tego samego wieczoru rozmawiała z nią przez telefon. Córka dołożyła swoje i opowiedziała historię synowi, gdy ten niezbyt dociekliwie zapytał o samopoczucie babci. Syn był murarzem i pracował obecnie w jednej brygadzie z pewnym młodym mężczyzną przy większej renowacji dachu nieruchomości przy Mitchellsgade w Kopenhadze. Ten młody mężczyzna nazywał się Oliver Malinowski.

- Ty, Oliver, czy twój teść nie jest przypadkiem jakimś ważnym gliną? - krzyknął jego kolega stojący na rusztowaniu.

Malinowski stał na dachu budynku zajęty wymianą ocynkowanej rynny.

- Teść to za wiele powiedziane, ale owszem. A dlaczego?

- Jest takich trzech robotników w Køge, którym grożono laniem i zwolnieniem, jeżeli będą z nim rozmawiać. Oni podobno wiedzą, kto zabił tę Murzynkę w północnej Zelandii, tylko nie mają odwagi nic powiedzieć, bo w sprawę zamieszany jest jakiś szlachcic. To pewna informacja, wiem to od kogoś, kogo dobrze znam.

Malinowski należał do bystrych osób. Doskonale zdawał sobie sprawę, że cała historia niekoniecznie jest prawdziwa, ale nazwa Køge go zaintrygowała. Od swojej dziewczyny, Anny Mii, córki Simonsena, słyszał tę opowieść z drugiej perspektywy. Jakiś głupawy dyrektor

blokował śledztwo, nad którym obecnie pracował wydział zabójstw. Czy coś w tym stylu – był zbyt zmęczony, aby przyswoić sobie wszystkie szczegóły. Może jednak ojciec Anny Mii ucieszyłby się z informacji, którą Olivier właśnie usłyszał od swojego kolegi? Z miejsca, na którym stał, miał widok na kompleks Komendy Głównej, i pomyślał, że fajnie byłoby wpaść tam w przerwie na lunch i sprawdzić, czy Simonsen jest na miejscu, a przy okazji obejrzeć budynki od środka, na co już od dłuższego czasu miał ochotę. Koniec końców niecałe pół godziny później dyżurny zadzwonił do szefa wydziału zabójstw i podśmiechując się, przekazał, że czeka na niego jakiś Rusek, który twierdzi, że mieszka z jego córką. Inspektor zaprowadził gościa do swojego biura, gdzie Malinowski, który mimo obco brzmiącego nazwiska był najprawdziwszym Duńczykiem, zrelacjonował historię, którą niedawno usłyszał. Do zbadania sprawy został wyznaczony Pedersen, natomiast Simonsen zaprosił młodego mężczyznę na lunch w policyjnej stołówce. Lubił go, a co najważniejsze, lubiła go również Anna Mia. Hrabianka, która znała się na takich sprawach, twierdziła nawet, że od czasu kiedy wspólnie zamieszkali, dziewczyna wydawała się radośniejsza.

Pedersen zaklął. Uważał, że miał ważniejsze sprawy na głowie niż sprawdzanie jakiś luźnych tropów. Mimo wszystko zrobił to, o co go poproszono, i telefon za telefonem dotarł od nitki do kłębka, a sam wątek okazał się istotniejszy, niż się na początku wydawało. Recepcjonista w Store Heddinge Fritidshuse, zastępujący kolegę będącego na urlopie, twierdził zawzięcie, że dyrektor firmy w niewybrednych słowach zabraniał trzem pracownikom rozmawiać z kimkolwiek o montowaniu chatki w lesie Hanehoved, a już tym bardziej z policją. Pedersen otrzymał nazwiska trzech mężczyzn, a potem wpadł na pewien pomysł. Poprosił, aby go przełączono do przedstawiciela związków zawodowych, z którym uciął sobie długą, owocną rozmowę. Zakończyła się tym, że po upływie niecałej półgodziny zatelefonował do niego ze Sztokholmu wściekły sekretarz Szwedzkiej Federacji Pracowników Transportu. Policjant ledwo rozumiał, co mężczyzna do niego mówi, i poprosił, żeby ten nieco zwolnił. To pomogło. Sekretarz chciał wiedzieć, czy to prawda, że jakiś głupi duński dyrektor z pieprzonej firmy Store Heddinge Fritidshuse utrudniał wyjaśnienie sprawy gwałtu na promie z Helsinek. Pedersen bezwstydnie potwierdził, uśmiechając się szeroko. Ponad trzy czwarte

domków sprzedawanych przez firmę w Danii pochodziło ze Szwecji i było transportowanych bezpośrednio do klienta. Pod warunkiem, że znalazł się ktoś, kto zechciał je przetransportować.

Kiedy dyrektor wszedł do jego biura, Simonsen uprzejmie wskazał mu miejsce i zaproponował kawę. Triumfował, ale nie chciał tego okazywać, zależało mu tylko na poznaniu prawdy. Jedyny właściciel firmy Store Heddinge Fritidshuse nalał sobie kawy i wymamrotał bez entuzjazmu, że żałuje swojego zachowania i że teraz jest gotowy do współpracy. Chatka myśliwska rzeczywiście została postawiona w marcu 2008 roku, a nie w grudniu poprzedniego roku. Montażu dokonano w niedzielę, 22 marca, a dzień wcześniej mężczyzna, który nazywał się Frode Otto, odebrał z firmy bloki fundamentowe oraz wytyczne dotyczące ich postawienia. Dyrektor osobiście uczestniczył w montażu chatki, podobnie jak klient oraz dwóch pracowników firmy. Inspektor pokazał gościowi zdjęcie Ottona, a właściciel firmy potwierdził zgodność.

- Czy często się zdarza, że osobiście bierze pan udział w montowaniu domków?

- Zdarza się, chociaż niezbyt często. W tym przypadku chodziło o to, że termin przypadał w weekend i w tak krótkim terminie nie byłem w stanie zorganizować dodatkowego człowieka, a poza tym zaproponowano mi pięćdziesiąt tysięcy na czarno po zmontowaniu chatki - przyznał z westchnieniem, choć bez wyrzutów sumienia. - Czy pańska oferta dotycząca niezawiadamiania urzędu skarbowego jest nadal aktualna?

- Tak, tak sądzę, jeszcze zobaczymy. Niech mi pan powie, jak doszło do zawarcia tej umowy.

To było banalnie proste. Otto zwrócił się do dyrektora z ofertą, a on ją zaakceptował. Miał w tym czasie problemy finansowe, więc dodatkowe środki bardzo się przydały.

- Trudno mi w to uwierzyć, ma pan znaczne przychody, sprawdziłem - powiedział Simonsen.

- Jeżeli człowiek wydaje więcej, niż zarabia, to pojawiają się problemy, niezależnie od tego, o jakie kwoty chodzi. Chce pan znać szczegóły? To nic nielegalnego, może poza tym, że od czasu do czasu chodzi o brudne pieniądze.

- Co stało się ze starą chatką myśliwską? Zabraliście ją z powrotem?

- Nie, wydaje mi się, że została spalona.

- Proszę opowiedzieć więcej, to mnie bardzo interesuje.

- Smród spalenizny był wyraźnie wyczuwalny. Nie widziałem jednak żadnych pozostałości, pewnie ktoś wyrzucił je do lasu.

Mylił się. Teorię dyrektora można było wykluczyć, bo policja starannie przeszukała okolicę i niczego nie znalazła, ale tego mężczyzna oczywiście nie mógł wiedzieć.

- Czy można zdemontować chatkę, rozebrać, a potem ponownie ją złożyć? - dopytywał Simonsen.

- Oczywiście.

- Na koszt firmy?

- Zdaje sobie sprawę, że to kiepskie usprawiedliwienie, ale musi pan wiedzieć, że Otto groził mnie i mojej rodzinie, jeżeli tylko kiedykolwiek wspomnę o sprawie. Ustalił nawet nazwisko mojej żony, to było przerażające.

Ta informacja nie zaskoczyła Simonsena, przeczuwał, że coś musiało być na rzeczy, w przeciwnym razie upór dyrektora nie miałby sensu.

- Ten Otto nie będzie już nikomu groził przez następne dziesięć lat, więc pan i pańska rodzina nie mają się czego obawiać.

Policja nie musiała kopać dalej niż na głębokość jednej łopaty, żeby z ziemi wyłoniły się zwęglone resztki dawnej chatki myśliwskiej. Dalsze działania pozostawiono technikom i zajęły one cztery dni. Simonsen pojawiał się na miejscu codziennie i przez pół godziny z niecierpliwością przyglądał się pracom, które jego zdaniem postępowały zbyt wolno. Stawał w odpowiedniej odległości i się nie mieszał. Niemniej jednak już drugiego dnia uzyskał interesującą informację.

- Chatka została spalona dwukrotnie - oznajmiła techniczka pracująca przy sprawie. - Po raz pierwszy podlano ją benzyną, a drugi naftą. Deski, które zachowały się po pierwszym pożarze, porznięto piłą łańcuchową, a potem spalono.

Trzeci dzień również przyniósł niespodziewane wieści. Kiedy inspektor jak zwykle przybył na miejsce prac, natknął się na Berthę Steenholt, która właśnie stamtąd wracała.

- Co ty, do licha, tutaj robisz? - zapytał zdumiony.

- Obserwuję postępy, to przecież nie jest zabronione.

- Nie możesz mi udzielić normalnej odpowiedzi? Mimo wszystko mieszasz się przecież w moje śledztwo.

Prokuratorka okręgowa przyglądała się przez chwilę pracy techników, a potem wyjaśniła:

- Nie mogłam wytrzymać tej hysterii związanej z użyciem obraźliwego słowa Murzynka. Jeżeli tylko ktoś nazwie w ten sposób Afrykankę, to zaraz burzy się cały kraj, a media aż kipią z gniewu, ale kiedy co roku importuje się dziesiątki Afrykanek w charakterze niewolnic seksualnych, to sprawą interesują się tylko nieliczne stacje, chociaż wielu ludzi czerpie z tego korzyści. Można się rozchorować na samą myśl. Wściekałam się na to zamieszanie w prasie, a potem sprawa wypłynęła ponownie, gdy skontaktowała się ze mną twoja żona.

- Sądzisz, że ta zamordowana kobieta była prostytutką?

- Tak, a ty nie? A kogo można zabić bez ryzyka, że będzie poszukiwany? Tobie ta myśl z pewnością też przemknęła przez głowę. A teraz lepiej tam idź, mają coś dla ciebie.

Wszelkie znalezione metalowe części zostały odseparowane od reszty: kawałki pieca i inne duże elementy poukładano na plastikowym worku na trawie, mniejsze stopniowo odkładano na stół. Jak do tej pory były to wyłącznie gwoździe, śruby, okucia i tego typu mało interesujące fragmenty konstrukcji chatki. Dzisiejszy dzień należał do wyjątków.

Simonsen uniósł pod światło guzik od rozporzka spodni i ogarnęło go przyjemne uczucie olśnienia - inaczej nie potrafił tego nazwać. Połączył ze sobą fakty. Musiał należeć do niej, był tego pewny. Widniał na nim napis LEVI STRAUSS & CO, a inspektor rzucił cicho w przestrzeń:

- Miałaś na sobie džinsy i to tu zostałeś zabita.

Niedługo potem techniczka przyniosła klamrę od paska i położyła ją na stole, prosząc go ostrym tonem, żeby tym razem trzymał łapy z daleka.

Rozdział 39

Powietrze nad uliczką Læderstræde w centrum Kopenhagi było przesycone hałasem i wiosennym ciepłem, które jednak nie bardzo chciało przybrać na sile. Benedikte Lerche-Larsen przysiadła na zewnątrz przy jednej z wielu ulicznych kafejek na zasłużone pół godziny relaksu. Popijała espresso, od czasu do czasu wzdrygając się z zimna. Pomyślała, że może powinna wejść do środka, na zewnątrz było trochę za chłodno, ale na myśleniu się skończyło, bo jedyne, na co miała ochotę, to pozostać na swoim miejscu. Chociaż na chwilę oczyścić umysł ze zmartwień. Przed nią pospiesznie przechodzili ludzie, skręcając to w jedną, to w drugą stronę, wiecznie kogoś potrącając lub przeklinając tych, którzy stali nieruchomo albo przecinali im drogę w poprzek. Pośród tłumu pieszych wolno przesuwiał się samochód dostawczy, a gdy za bardzo zbliżył się do ludzi, ci zaczęli dłońią napierać na maskę.

- To pieprzony deptak, ty półgłówku - krzyknął ktoś, ale kierowca nie zareagował.

Siedział za kierownicą z niesamowicie cierpliwym wyrazem twarzy i spoglądał zmęczonym wzrokiem przed siebie, od czasu do czasu pokonując kolejne pół metra. Dziewczyna rozejrzała się dookoła. Niewiele osób zdecydowało się usiąść na zewnątrz, większość stolików była nadal wolna. Między nimi wędrowały wynędzniałe gołębie, kiwając nieprzerwanie głowami w nieustannej pogoni za upuszczonymi okruszkami. Benedikte leniwie kopnęła jednego ptaka, gdy za bardzo się do niej zbliżył.

Nagle przy jej stoliku usiadł młody mężczyzna, jakby zmaterializował się z czystego wiosennego powietrza. Miał szczerą, uśmiechniętą twarz i cudowne oczy, z dokładnie taką nutką niepewności, jaką lubiła. Powiedział, że zauważył ją, przechodząc drugą stronę ulicy, i wydała mu się cudowna, a potem spytał, czy będzie w porządku, jeżeli wypiją razem kawę. Kazała mu spadać, posyłając za nim uśmiech, gdy rozczarowany oddalił się w swoją stronę. Ten epizod wprowadził ją w dobry humor.

Problem polegał na tym, że była obecnie zbyt zajęta, po prostu nie potrafiła się teraz zająć tym wszystkim, co miała na głowie. Jak zwykle zalegała z pokerowymi statystykami, matka co chwilę potrzebowała jej pomocy w sprawie prostytutek, musiała pilnować studiów, które przez ostatnie dwa tygodnie zupełnie sobie odpuściła, a jakby tego wszystkiego było mało, miała przecież jeszcze dyżury w jadłodajni, no i Kraga, którego też nie mogła zupełnie zignorować.

Wyjęła telefon i zadzwoniła do Fabriciusa. Odebrał za pierwszą razem, a to nie zdarzało się zbyt często. Sącząc kawę, złożyła mu tygodniowy raport o tym, co działo się w firmie jej ojca, zwięźle – tak jak oczekiwał tego jej rozmówca. Nic nadzwyczajnego się nie stało, codzienna rutyna: prostytutki zarabiały pieniądze, które w większości prali pokerzyści. Brak przełomowych zdarzeń zdawał się nie przeszkadzać Fabriciusowi, który słuchał uważnie, od czasu do czasu wtrącając jakieś pytanie, a gdy skończyła, podziękował jej za raport. Poza tym pochwalił ją za zorganizowanie – jak to ujął – weekendowego wypadu z Frodem Ottonem do Frederikssund. Wyraził uznanie już po raz drugi, a ona wydawała się równie zadowolona co poprzednio, gdyż wiedziała, że niezwykle rzadko zadawał sobie trud, aby kogoś pochwalić.

Gdy skończyła rozmowę, zadzwoniła do matki, choć wiedziała, że ta nie będzie zadowolona z przekazanej informacji. Benedikte miała jednak szczęście, bo trafiła na automatyczną sekretarkę. Nagrała wiadomość, przepaszając za odwołanie dzisiejszego popołudniowego spotkania i wymawiając się pilnymi obowiązkami na uniwersytecie. Wcześniej obiecała matce, że pójdzie wraz z nią i trzema prostytutkami do centrum handlowego w Lyngby. Karina Larsen przywiązywała dużą wagę do strojów kobiet, a typowe dla niej skąpstwo, obejmujące wszystkich innych poza nią samą, szło podczas tych zakupowych wypraw w odstawkę. Kiedy ktoś płaci za noc z prostytutką pięć tysięcy, ma przecież prawo oczekiwać pewnego standardu. Poza tym matka uwielbiała te wypadki na rozrzutne zakupy, wychodząc z założenia, że sprawiają one przyjemność również jej córce oraz dziewczynom. Traktowała wizyty w sklepie jako swego rodzaju odskocznię od pracy – niezależnie od tego, czy tej wykonywanej w pozycji leżącej, czy siedzącej. Dla Larsen kupowanie ubrań stanowiło po prostu jedną z babskich przyjemności.

Benedikte wypila swoje espresso, a następnie sprawdzila w torebce, czy pamietala o pieniadzach, chociaz doskonale wiedziala, ze tak, a potem wstala i zwawo ruszyla w strone swojego samochodu, zaparkowanego przy Nørrevold. Musiala sie pospieszyc.

Bylo prawie pol godziny przed polnocą, gdy dotarla do Kraga. Dziś musiala zostac dluzej w jadalni. Nie dosc, ze sie spoznila, to jeszcze mieli braki w personelu, bo zachorowaly dwie osoby zatrudnione na stale. Henrik zmywal naczynia, a ona bez przekonania je wycierala. Niekiedy wrzucala jakies naczynie z powrotem do zlewu, przypadkowe, tylko tak dla zasady. Chlopak nie protestowal, ponownie starannie je myl. Trzykrotnie sprobowala tego numeru z tym samym kubkiem, ale nawet wtedy sie nie poskarzyl. Rozmawiali na jej ulubiony temat tozsamosci nieznanego szantazysty i jak zwykle rozmowa nie przyniosla zadnych rezultatow, ale ona nie przestawala drazyć. Glownie po to, zeby nie milczec.

- Wkrótce kończysz te dyżury przy Stengade, czy to nie super? - zagadnala.

- Owszem. Ale i tak wziełam kilka dodatkowych.

- Co zrobilas? - Omal nie upuscil szczotki do szorowania naczyń.

- Wiem, ze to glupio zabrzmia, a poza tym i tak nie mam czasu, ale - tylko sie nie smiej - to pierwsza prawdziwa praca, jaka kiedykolwiek mialam, mimo ze nie dostaje za nia wynagrodzenia. Robie cos nie tylko dla swojego ojca, no i... zreszta juz obiecalam. Przecie ci ludzie, do cholery, tez od czasu do czasu musza cos zjesc, a my mamy tu teraz trudna sytuacje kadrowa. Ale dosyc juz o tym. Powinienes kupic sobie zmywarke.

- Mialem jedna, ale ja wystraszylas.

Dala mu kuksanica w bok. Mocnego. Skulil sie i zasmiat. Wtedy oberwal po raz kolejny.

- Henriku, pewnego dnia bedziemy musieli wrócic nad to jezioro, bez wzgledu na to, jak nieprzyjemne to dla nas bedzie. Musze ustalic, skad zrobiono te zdjecia.

- Wiem, wspominalas o tym osiem razy. Obiecuję, ze tam z toba pojedaje. Sluchaj, a dostalas juz nowe zadanie?

- Dowiem sie za tydzien, ten psychopata przyslal dzisiaj rano maila.

- Obiecuj, ze zadzwonisz.

- Tak, zadzwonię. A teraz zabieraj się do roboty, żeby skończyć przed dwudziestą czwartą.

- Musisz być w domu przed północą?

- Nie, powinnam tam być już wiele godzin temu, ale mam dla ciebie prezent i chcę ci go zdążyć wręczyć, póki jeszcze masz urodziny. I przestań udawać takiego zaskoczonego, zaznaczyłeś je w swoim kalendarzu, znalazłam też informację w komputerze Jana. Czyżby jeszcze nikt nie składał ci dziś życzeń? Nie dostałeś żadnych prezentów?

Obrócił głowę i migał się od odpowiedzi. Owszem, pojechał do matki na ciasto i gorącą czekoladę. Niestety Benedikte zaczęła dopytywać o szczegóły, a on wyznał jej prawdę:

- Była pijana i zapomniała. Ale to nie ma znaczenia, jestem prawdziwie wzruszony, że masz dla mnie prezent... To i tak o wiele lepsze.

Zarzuciła mu na ramię ścierkę do wycierania naczyń i przez moment głaskała go między łopatkami, ale zaraz potem cofnęła dłoń, jakby zrobiła coś niestosownego.

- Chodź, ty mazgaju, idziemy na parking.

Zszedł za nią po schodach - zaciekawiony i zdziwiony. Oby to tylko nie było nic, co miałyby go ośmieszyć lub upokorzyć. Chybaby już wtedy nie dał rady, każdego innego dnia tak, ale nie dzisiaj. Przygotowywał się na najgorsze... a jednocześnie miał nadzieję.

- Jedna z tych rzeczy póki co jest tylko wypożyczona - uprzedziła, idąc przodem. - Druga to twój prawdziwy prezent.

Gdy stanął przed swoim motocyklem, nie potrafił powstrzymać łez. Nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz tak bardzo się ucieszył. Szczęśliwy obrócił się w stronę Benedikte, wyciągając ramiona, ale odepchnęła go od siebie.

- Nie rozkręcaj się za bardzo. Poza tym to nie jest ten właściwy prezent, bo należy do mnie. Ale będziesz mógł go pożyczyć za to, że tak ochoczo o mnie dbałeś w zeszłą sobotę w Gentoft. To było miłe, chociaż kiepsko się bijesz.

Ledwo słyszał, co do niego mówi. Podała mu kluczyki.

- Nie jesteś w ogóle ciekawy swojego właściwego prezentu?

- Ależ tak, tak, oczywiście. Wiesz, Benedikte, to najlepszy...

- W takim razie, głupolu, powinieneś zapytać, co to takiego - wpadła mu w słowo.

- No tak, co to jest?

- Randka ze mną. Ale masz mi podczas niej pokazać coś, czego jeszcze nigdy nie próbowałam.

Pocałowała swój palec wskazujący, a następnie przesunęła nim pod jego nosem. Potem obróciła się na pięcie i skierowała do swojego samochodu.

Rozdział 40

- Jeżeli tylko człowiek wierzy, znajdzie potwierdzenie na wszystko, ale jedynie ten, kto wątpi, odnajdzie prawdę - odezwał się moralizatorsko Svend Lerche.

Benedikte знаła tę sentencję na pamięć, niejako wysłała ją z mlekiem matki, chociaż nigdy nie udało się jej ustalić, z jakiej książki ukradł ten cytat.

Spojrzała na ojca z rezygnacją i pomyślała, że nie ma ochoty mu odpowiadać. Aby mu dokuczyć, wskazała na erotyczne rysunki wiszące na ścianie i poinformowała kwaśno:

- Gdy już wszystko po tobie odziedziczę, to wulgarne porno zostanie sprzedane jako pierwsze.

Ojciec nie dał się sprowokować i trzymał się tematu. Obiecała mu raport o dwóch pokerzystach i jeszcze go nie dostarczyła. A teraz wierzyła, że gracze są wystarczająco dobrzy, aby ich przesunąć do stolika, gdzie toczy się gra o wyższą stawkę. Wierzyła!

- Kiedy ostatni raz opieraliśmy się na wierze? - spytał z pogardą w głosie.

Domagał się statystyk, tabel, wykresów i modeli prawdopodobieństwa, szacunków wyliczonych na podstawie istotnych, wiążących danych. Zaprotestowała bez przekonania, świadoma, że to niczego nie zmieni.

- Czekam na twój raport do jutrzejszego wieczoru, w przeciwnym wypadku potrączę ci dwadzieścia procent z czerwcowego wynagrodzenia. Gdzie ty się w ogóle podziewasz wieczorami? Ciągle nie ma cię w domu.

- Nie powinno cię to obchodzić.

- A jednak obchodzi, skoro nie pilnujesz swojej roboty.

- Zajmowałam się tym szantażystą, to też wymagało trochę czasu.

- Zgadza się i dobrze się stało. Ale nie podoba mi się to, że nie chcesz powiedzieć, jak się z nim uporałaś. Źle się z tym czuję, a skoro już rozmawiamy o tych sprawach - wiedziałas o tym, że Jan nagrywał

klientów, gdy korzystali z naszych usług? Twoja matka osobiście pofatygowała się do wszystkich miejsc i zdemontowała ponad dwadzieścia ukrytych kamer.

- Tak, doskonale o tym wiedziałam.

- I nawet się na ten temat nie zająknęłaś! - Lerche zagryzł zęby ze złości.

- A czy ja pracuję w kadrach? Sam musisz panować nad swoimi pracownikami, dlaczego to ja mam się zajmować wszystkim w tej firmie?

- Wiesz, gdzie przechowywał te nagrania?

- Na swoim komputerze, tym, który po nim przejęłam. Powinien też mieć gdzieś kopię na pendrivie, ja bym tak zrobiła. Zobaczysz, te nagrania pewnego pięknego dnia trafią do sieci, a wtedy będziesz musiał uciekać przed Bjarnem tak szybko, aż zedrzesz zelówki.

Dostrzegła, że nabrzmiała mu żyła na czole, groźba związana z Fabriciusem okazała się skuteczna.

- Idź do siebie na górę i zajmij się swoją pracą - polecił lodowatym tonem.

Wychodząc z jego biura, zostawiła uchylone drzwi. Wiedziała, że to rozwścieczy go bardziej, niż gdyby nimi trzasnęła.

Dotarwszy do swojego mieszkania, zajęła się tym, o co została poproszona. Nie chciała, aby potrącono jej z wynagrodzenia, chociaż sama kwota nie miała większego znaczenia dla jej finansów. Dużo większe dochody przynosiła jej praca prostytutek, którymi wraz z matką zawiadywały nieoficjalnie, czyli bez wiedzy Svenda. Chodziło bardziej o zasadę. Przyniosła sobie lemoniadę i uruchomiła na komputerze kilka programów, których potrzebowała do kontroli pokerzystów. Jednym z nich była aplikacja, dzięki której jej komputer nieustannie zmieniał adres IP, a to sprawiało, że wszelkie kontrole z zewnątrz, na przykład prowadzone przez organy publiczne, niczego by nie wykazały. Kolejny był program, dzięki któremu łączyła się z komputerami pokerzystów i mogła śledzić to, co znajdowało się na ich monitorach. Wreszcie korzystała też z aplikacji, która elektronicznie modyfikowała głos podczas komunikacji na Skypie, tak że rozmówca nie wiedział, z kim rozmawia. Pokerzysta się przywitał i przez parę minut rozmawiali o błahostkach.

Śledziła go przez dwie godziny, ale potem stwierdziła, że ma już dość. To była ciężka, monotonna praca. Podczas każdej gry wypełniała formularz, który następnie wrzucano do wielkiej bazy danych Akademii Pokera, gdzie przechowywano informacje na temat ponad dziesięciu tysięcy przeprowadzonych gier. Baza danych była dumą jej ojca. Sam ją wymyślił i samodzielnie rozbudował większość całego systemu. Okazała się znakomitym narzędziem do oceny zdolności pokerzysty i określenia, czy opłaca się go przenosić na poziom wyżej do droższego stolika. Na koniec Benedikte przyłączyła się jako zwykły gracz i ostro grała ze śledzonym wcześniej pokerzystą, jako że miała wgląd w jego karty, co stanowiło dla niej ogromne ułatwienie. Radził sobie świetnie i kilka razy właściwie ją odczytał, po czy spasował, chociaż miał wolną rękę. Zanotowała swoje spostrzeżenia w innym formularzu, a potem zamknęła wszystkie aplikacje z wyjątkiem Skype'a.

- Z naszych statystyk wynika, że mógłbyś zarabiać około jedenastu tysięcy tygodniowo, gdybyś zaczął grać na siebie. Czy brałeś to pod uwagę? - zapytała.

Temat nie był żadnym tabu, część graczy Akademii Pokera rezygnowała ze współpracy i zaczynała działać na własne konto, ale po pewnym czasie wielu i tak do nich wracało.

Minęła chwila, zanim odpowiedział, jednak Lerche-Larsen nie naciskała. Widziała, że nie skończył jeszcze grać.

- Owszem, zbieram na to środki, ale sądzę, że upłynie jeszcze co najmniej pół roku, zanim mi się to uda. A może nawet dłużej.

- Znasz kogoś, kto mógłby cię zastąpić?

- Nie, właściwie to nie.

- Pomyśl o tym. A teraz zupełnie inny temat. Miałbyś ochotę zarobić trochę ekstra?

Oczywiście, że miał. Wyjaśniła mu, w czym rzecz. Chodziło o informacje o pewnych osobach, większość z nich mógł pozyskać z sieci. Spytała, czy potrafi hakować. Tak jak się spodziewała, potwierdził. Już wcześniej poruszali tę kwestię, chociaż nigdy nie tak bezpośrednio. Wy tłumaczyła mu, czego szuka, i zakończyła:

- Wyślę ci dodatkowe pięć tysięcy z kolejną wypłatą.

- A dlaczego nie dziesięć?

- W porządku, siedem i pół, masz czternaście dni.

- Gdzie mam wysłać informacje? Masz jakiś mail?
- Zadzwoń i o nie poproszę, a potem zapomnisz o całej sprawie. To ostatnie jest ważne, w przeciwnym razie będziemy mieli problem.
- To zabrzmiało jak groźba. Nie chcę być w nic zamieszany.
- Właśnie dlatego musisz o wszystkim zapomnieć. I tak, to była groźba.

Rozdział 41

Henrik Krag niecierpliwie wyglądał przez okno, skąd miał widok na przyległy parking. Liczył na to, że Benedikte nie zapomniała o ich spotkaniu. Spóźniała się, dlatego trzymał w dłoni telefon i już miał do niej zadzwonić, gdy zauważył jej samochód. Chwilę potem otworzył drzwi, a ona delikatnie ścisnęła mu rękę – to było coś nowego, niemal intymnego. Wyglądała jak marzenie.

– Cieszyłam się na to spotkanie. Dokąd się wybieramy?

– To tajemnica. Zobaczysz.

– Mam nadzieję, że pojedziemy moim motocyklem.

Potwierdził skinieniem głowy, właśnie tak to sobie wymyślił.

– Czy już kiedyś jeździłaś motocyklem?

– Nigdy.

Znalazł dla niej kurtkę, rękawiczki i kask. Obwąchała kurtkę – była skórzana i mocno podniszczona.

– Śmierdzi dymem. Kto ją wcześniej nosił? – zapytała z przyganą.

– Wiele różnych osób. Jak już ruszymy, niczego nie będziesz czuła.

Przyjęła ten argument, a potem oboje się ubrali.

Pogoda jak na tę porę roku była idealna, chociaż panował chłód. Majowe słońce uśmiechało się radośnie, niebo pozostawało bezchmurne z wyjątkiem jasnego pasma cirrusów na wschodzie, do tego żadnego wiatru. Stali przed motocyklem, a Benedikte przyglądała się pojazdowi z zainteresowaniem.

– To naprawdę niezła bestia, zwłaszcza gdy ogląda się ją z bliska. Ile potrafi wyciągnąć?

– Wystarczająco, ale my dzisiaj nie będziemy szaleć.

– Bo dopiero zaczynam?

– Między innymi.

– Powinnam o czymś pamiętać?

– Tak, żeby się mocno trzymać.

Tuż przed Solrød Strand Krag zjechał z autostrady i potem podążał bocznymi drogami, aż w końcu skręcił w ścieżkę rowerową. Znacznie

przy tym zwolnił. Lerche-Larsen rozluźniła uścisk i ograniczyła się do trzymania go za biodra, a po chwili całkiem go puściła. Na ścieżce nie było nikogo z wyjątkiem pojedynczego biegacza, który krzyknął coś za nimi ze złością, kiedy go ostrożnie minęli. Kawalek dalej ścieżka przeszła w kiepsko utrzymaną polną drogę. Po ich lewej stronie widok zasłaniały leszczynowe zarośla poprzeplatane krzakami jeżyn, podagrycznika pospolitego i perzu, a po prawej stronie stado krów ospale przeżuwało pozostałości z polnych upraw. Zatrzymali się na końcu drogi. Lerche-Larsen zdjęła kask i rozejrzała się nieufnie dookoła, a Krag schował ich nakrycia głowy do schowka i zabezpieczył motocykl.

- Henriku, świetna przejażdżka, ale gdzie my właściwie jesteśmy?

Przeskoczył zwinnie przez zmurszałe ogrodzenie na łąkę porośniętą trawami, kostrzewą i pokrzywami, sięgającymi do wysokości kolan.

- Chodź, zaraz będziemy na miejscu.

Jej też udało się sforsować przeszkodę, chociaż nie tak elegancko, dlatego na spodniach, od kolan w dół, pojawiły się zielone ślady po mchu.

- Zobacz, co zrobiłeś. Czy ja wyglądam na jakąś dojarkę albo nawiedzonego botanika? I od razu cię uprzedzam, że jeżeli to ma coś wspólnego z koźmi, to możesz o tym z miejsca zapomnieć. Nie cierpię ich... Henriku, nie pójdę ani kroku dalej, jeżeli mi nie powiesz... ech, do cholery.

Mówiła do jego pleców, a on maszerował po wydeptanych śladach w górę krótkiego, chociaż stromego wzniesienia. Zamachnęła się ze złości ile sił w ramionach i pospieszyła za nim. Obcasy jej kozaków zapadały się w miękką ziemię, a mimo to udało się jej go dogonić i zacześć dłonią o skórzaną kurtkę, którą rozpiął.

- Nie możesz mnie zostawiać.

W odpowiedzi chwycił ją za rękę, a ona mu na to pozwoliła. Po drugiej stronie wzniesienia roślinność okazała się niższa i skąpsza. Krag zatrzymał się, jeszcze zanim całkiem zeszli na dół. Nagle odchylił lekko do tyłu głowę i wydymając policzki, zawył głośno niczym psująca się syrena. Benedikte wpatrywała się w niego zdumiona, niemalże przestraszona. Powtórzył wycie, a tym razem odgłos był nawet

donośniejszy. A potem zrobił to samo po raz trzeci, po czym dostał odpowiedź.

Zza krzaka znajdującego się kilkanaście metrów dalej wyłonił się indyk w całej swojej krasie. Miał rozpostarty ogon, jakby chciał zaznaczyć, że wkroczyli na jego terytorium. Przez chwilę przyglądał im się nieufnie jednym okiem i grzebiąc potężną nogą w ziemi, odchylił głowę, po czym wydał z siebie gulgot, aż zadrżały brodawki na jego wstrętnej purpurowej głowie.

Krag uśmiechnął się z dumą.

- Spróbuj, to nie takie trudne - przekonywał.

Benedikte nie posłuchała jego zachęty. Ze wściekłością wyrwał mu dłoń, a jej oczy ciskały iskry.

- Słuchaj no, zaciągnąłeś mnie aż tutaj, na jakieś pieprzone pola, żeby wyć jak idiota do jakiegoś chorego ptactwa?

- Nazywa się E...

- Nadałeś mu nawet imię? O, nie, Henriku, daruj sobie.

- Tylko litery.

- Tylko litery?

Warknęła coś niezrozumiale, a potem sparodiowała jego wcześniejsze nawoływanie i odwróciła się przestraszona, gdy znajdujący się za nią indyk odpowiedział podobnym odgłosem.

- Ten nazywa się B.

- Tak, oczywiście, że B. Dzień dobry, B. To gdzie w takim razie są A, C, D i reszta alfabetu? Im chyba też powinienam zostać przedstawiona? Zdaje się, że naprawdę ci odbiło.

- Są tylko do F, a C jest martwy. Myślę, że został zabity i zjedzony - odparł cicho.

- Coś podobnego, to rzeczywiście prawdziwa tragedia, zmówimy modlitwę za C, zanim się stąd zabierzemy? I pomyśleć, że ze wszystkich ludzi na świecie to właśnie z tobą musiał mnie zetknąć los. Czy to właśnie tutaj przywoziłeś te wszystkie swoje nieudacznice?

- Nie, to pierwszy raz. Zazwyczaj przyjeżdżam tu sam.

- Żeby poćwiczyć alfa... - Ugryzła się w język. - Nie, przepraszam, nie chciałam tego powiedzieć. Ale przyjazd tutaj to był beznadziejny pomysł.

Mimo to odchyliła do tyłu głowę, tak jak nauczyła się od Kraga i indyka, po czym zawyła z całych sił. Dostała odpowiedź z trzech różnych miejsc. Henrik ją pochwalił.

- Dobry Boże, nie muszę się już martwić o swoją karierę. Mam niewątpliwy talent do rozmawiania z indykami. Spokojnie, zrobię to jeszcze raz. Do ciebie się już przyzwyczały, zasługują na jakąś odmianę.

Ponownie się do niego zbliżyła i pchnęła go mocno w ramię, przerywając mu nawoływanie. Po jej policzkach spłynęło parę łez, ale nawet nie próbowała ich wytrzeć i przez chwilę sądził, że jest jej z jakiegoś powodu przykro. Wtedy odkrył, że to po prostu ze śmiechu. Jej reakcja była na tyle zaraźliwa, że jej zawtórował i też zaczął nawoływanie, nie potrafił się powstrzymać.

Rozryczała się ze śmiechu podczas swojej czwartej próby. Dostała drgawek i trzymała się za brzuch, a potem bezwolnie opadła na ziemię na kolana. Zerknął z niepokojem na jej spodnie, teraz jeszcze brudniejsze od wilgotnej czarnej ziemi. Obawiał się, że kiedy się otrząśnie, będzie zła i cała winę przypisze jemu. Powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem i najwyraźniej domyśliła się, o czym myśli, bo ponownie wybuchnęła śmiechem. Pociągnęła go na dół, obok siebie, i oboje zaczęli się skręcać ze śmiechu zwróceniu do siebie czołami, a każdy kolejny napad przeszywał ich ciała, nie pozwalając im wydobyć żadnego sensownego słowa. Gdy indyki poszły w swoją stronę, nawet tego nie zauważyli. Minęło sporo czasu, zanim udało im się odzyskać chociaż minimum kontroli, i to tylko dlatego, że nie spoglądali sobie w oczy, bo najmniejszy chichot u jednego wywołał ryk u drugiego.

- Do cholery, Henriku, z czymś takim mógłbyś zaliczyć nawet Afrodytę - skomentowała wykończona Benedikte.

Trudno mu było wydobyć z siebie choć słowo.

- Nie znam takiej.

- Nie, z pewnością. I na pewno jej przykro z tego powodu. To było po prostu genialne.

Wstali razem i trzymając za ręce, wrócili do ogrodzenia. Zaproponował, że ją podsadzi, ale odmówiła z uśmiechem. Gdy znalazła się po drugiej stronie, stała przez chwilę zamyślona.

- W porządku, Henriku. Coś za coś. Jeżeli masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór, to je odwołaj, bo spędzę go z tobą. W drodze do domu wstąpimy do wypożyczalni DVD, a jeżeli znasz jakieś miejsce, gdzie można zamówić smaczną pizzę, to byłoby idealnie - oznajmiła.

W wypożyczalni wybrała dla nich film, a Krag kupił w tym czasie paczkę chipsów, zgrzewkę coli i tabliczkę czekolady. Podeszła do niego z filmem Quentina Tarantino. Na opakowaniu widniał angielski tytuł *Inglourious Basterds*.

- Znasz to?

Próbował z całych sił, ale bezskutecznie. Czytanie nie szło mu najlepiej. Postanowiła mu pomóc.

- *Inglourious* to rzeczywiście dość trudne słowo. Po duńsku to powinno brzmieć *Niegodziwe szuje* albo jakoś tak. To zresztą bez znaczenia.

- Benedikte, czytanie sprawia mi trudność i dobrze o tym wiesz. Jeżeli chodzi ci o to, żeby mnie poniżyć, to lepiej wracaj sobie do domu.

Stojący najbliżej klienci wypożyczalni zaczęli im się przyglądać, ale Lerche-Larsen odparła ich wzrok gniewnym spojrzeniem, a potem uśmiechnęła się do Kraga.

- Wyluzuj. Oczywiście, że ci przeczytam, na tym polega cały dowcip.

Po przybyciu do mieszkania Henrika wszystko sobie przygotowali. Ustawili w pobliżu przyniesione zakupy i odsunęli fotel, żeby zrobić miejsce na podłodze przed telewizorem. Krag przytargał nawet materac, a Benedikte poukładała poduszki, żeby mogli się o nie oprzeć.

- A co z pizzą? Nie jesteś głodna?

- Zjemy w przerwach. Będziemy musieli zrobić przerwę od czasu do czasu, ale teraz już się zamknij i oglądaj. To rzeczywiście całkiem niezły film. Żadne arcydzieło w przeciwieństwie do innych produkcji Tarantina, mimo to z pewnością film warty obejrzenia. Pokochasz go.

Miała rację. Tak, a nawet świętą rację. Wraz z rozwojem fabuły, gdy odczytywała mu dialogi, zdarzył się cud - zapomniał o jedzeniu, i nawet o niej, cieszył się jak dziecko. W przerwach wydawał się tak zniecierpliwiony, że to było aż śmieszne.

- Zwróć uwagę, jak kulturalnie zachowuje się ten nazistowski pułkownik, a do tego pije mleko.

- Tak, rzeczywiście. A nie moglibyśmy już wrócić do filmu?

- Muszę najpierw coś zjeść i dać odpocząć głosowi.

- Przecież właśnie to zrobiłaś.

Gdy wracali do oglądania, delectował się każdą minutą.

Rozdział 42

Klavs Arnold zdawał się wypoczęty i w doskonałym humorze, gdy około dziewiętej przyszedł do komendy. Nic nie wskazywało na to, że już od niemal trzech godzin ciężko pracował – smarując kanapki, ubierając dzieci, a potem odwożąc pociechy do odpowiednich instytucji. Jego żona wraz ze swoją komisją parlamentarną – jaką, nie potrafił spamiętać – wyjechała na pięciodniowe szkolenie do Paryża, więc nie pozostało mu nic innego, jak wziąć na siebie dodatkowe obowiązki, dla dobra demokracji, jak górnolotnie wyjaśnił sąsiadce, gdy rozmawiali przez płot. Nawal domowych obowiązków sprawiał, że właściwa praca wydawała mu się wręcz odprężająca, a teraz miał przed sobą kolejne siedem godzin, podczas których nie oczekiwano od niego niczego więcej poza wyjaśnieniem okoliczności jednego przestępstwa czy dwóch. Właśnie ta świadomość wprawiała go w dobry humor, poza tym, że z natury był pogodnym człowiekiem. No i rzeczywiście udało mu się coś ustalić. Może nie chodziło o całe przestępstwo, ale o całkiem istotny szczegół. Zmierzał teraz do gabinetu swojego szefa, trzymając w dłoni plik dokumentów.

Simonsen wraz z Hrabianką siedzieli w aneksie połączonym z biurem i oglądali poranny program telewizyjny. Nic więcej nie zdołali zrobić, od kiedy pojawili się w pracy. W telewizyjnym studio występował ich wspólny znajomy wraz z pięcioma psami: foksterierką i czterema uroczymi szczeniętami. Nie chcieli przepuścić takiego widoku, dlatego pogoń za kryminalistami musiała chwilę poczekać. Arnold usiadł na sofie między nimi i dołączył do podziwiania szczeniaków. Dopiero gdy program się skończył i został należycie skomentowany, można było przystąpić do pracy.

- Tak niewiele trzeba, żeby uszczęśliwić ludzi, na przykład dobre hobby - zagaił.

Pozostali się z nim zgodzili.

- Chodzi o twoich ornitologów? - próbowała zgadnąć Hrabianka.

Właśnie do nich chciał nawiązać. Przez kilka ostatnich dni udało mu się skontaktować z mnóstwem miłośników ptaków, a ci przekazali jego wiadomość dalej, do swoich przyjaciół. Jeżeli ktokolwiek robił zdjęcia w okolicach lasu Hanehoved w okresie od 16 do 25 marca 2008 roku, to policja kryminalna była nimi zainteresowana, bez względu na to, o jakiego ptaka chodziło. Praca Arnolda się opłaciła, bo dostał niemal dwieście zdjęć. Jak się można było spodziewać, większość zrobiono poza interesującym policję okresem, ale nie wszystkie.

- I jaki jest tego efekt? - przerwał mu niecierpliwie Simonsen, który miał za dwadzieścia minut spotkanie.

Jutlandczyk się nie spieszył, nienawidził, jak nim komenderowano, a poza tym uważał, że w stolicy sprawy często przybierały zbyt szybki obrót, w przeciwieństwie do Esbjerg, jego rodzinnego miasta, gdzie ludzie należycie i z uwagą rozmawiali o ważnych sprawach.

- No tak, przede wszystkim dowiedziałem się mnóstwa rzeczy o życiu ptaków w lesie Hanehoved. W listopadzie można spotkać dzięcioła czarnego i gągoły w okresie lęgowym, a jeżeli dopisze ci szczęście, wypatrzysz nawet samotnika na terenach bagiennych po południowej stronie Przeklętego Bagna, a w wielu miejscach również wąsatkę. A może chodziło o jakąś inną -atkę, nie pamiętam dokładnie. A do tego jeszcze to. - Położył przed swoimi rozmówcami zdjęcie, które przedstawiało kobuza stojącego na słupie ogrodzenia, trzymającego w dziobie mysz.

- Co to jest? - burknął Simonsen.

- To bardzo rzadki gatunek jastrzębia, ale ptak nie jest istotny. Spójrzcie natomiast na datę, a potem na słup dymu po lewej stronie lasu.

Inspektor i Hrabianka jak na zawołanie bardzo zainteresowali się fotografią. Pochylili głowy i zaczęli się dokładnie przyglądać. Jutlandczyk miał rację. Wyrazny słup szaroczarnego dymu wznosił się niemal pionowo ponad korony drzew. Arnold zaczął opowiadać, jak ornitolożka, która zrobiła zdjęcie, wczoraj po południu wskazała mu ten konkretny słupek ogrodzenia.

- Kąt i odległość pasują idealnie, ale stwierdzić, czy chodzi o pierwsze, czy o drugie podpalenie.

- Dziewiętnastego marca, zgadza się idealnie z szacunkami medyka sądowego - podsumowała Hrabianka.

- Tak. I jest coś jeszcze. Ornitolożka znakomicie zapamiętała ten dzień, bo wtedy dostała mandat na podstawie paragrafu dwudziestego drugiego. Wystawiono go tego samego dnia kilka kilometrów na północ od Lynge. Chodziło o szeroko zakrojoną akcję policji z Hillerød, dlatego skontaktowałem się z dyżurnym i poprosiłem, aby wysłał do swoich kolegów maila w tej sprawie. Być może któryś z nich brał udział w tej kontroli, a poza tym może zauważył coś, co byłoby dla nas istotne. W sumie niewiele się spodziewałem po naszej rozmowie, ale się pomyliłem. W piątek przyjdzie do nas pewien funkcjonariusz z drogówki, jak już wróci z urlopu. Rozmawiałem z nim przez telefon i chociaż to nie jest żaden wielki przełom, to facet pamięta, że widział jakiś samochód z Afrykanką w środku. Na pewno warto z nim o tym pogadać.

Tego wtorku Arnold nie był jedynym, który mógł się pochwalić sukcesem. Funkcjonariusze wydziału zabójstw wreszcie dostali raport techniczny dotyczący świerkowych żerdzi, do których przywiązano kamień i Afrykankę znaną w jeziorze. Omówiono w nim nieliczne aspekty, które nie zostały wyjaśnione do końca na pierwszym etapie śledztwa. Na tę ekspertyzę czekali od kilku tygodni - oburzająco długi czas, ale nic nie dało się z tym zrobić. Pedersen doskonale zdawał sobie sprawę, że pospieszanie techników, nie mówiąc już o zarzucaniu im opieszałości, skutkuje odpowiedzią w postaci niezrozumiałych naukowych frazesów. Poza tym należało się spodziewać, że przygotowanie kolejnego raportu w nowej sprawie zajmie im dwa razy tyle czasu.

Policjant siedział teraz w stołówce Komendy Głównej i zajądając znakomitą zupę porowo-ziemniaczną, czytał dostarczony raport linijka po linijce. Dokument liczył aż trzy strony i gdyby ktoś zapytał go o zdanie, w jego ocenie zawierał sporo niepotrzebnych skomplikowanych fraz, jednak sama konkluzja wydawała się interesująca. Okazało się, że żerdzie noszą ślady zębów przeżuwaczy z rodziny *Cervidae*. Pedersen potrząsnął głową i wstukał hasło w wyszukiwarkę laptopa, którego zabrał ze sobą do stołówki. Tak jak się spodziewał, ten naukowy bełkot oznaczał ssaki jeleniowate. Telefon do skarbnika koła łowieckiego w Frederiksberg, wykonany chwilę

później, potwierdził, że za dawną chatką myśliwską od strony lasu leżało kilka żerdzi używanych do transportu dziczyzny. Jeleń mógł śmiało ważyć nawet dwieście kilo. Coś podobnego – zdziwił się Pedersen. Z takim okazem nie biegało się przecież po lesie ot tak sobie. Nie, to oczywiste. Skarbnik okazał się nieznośnie pouczający i policjant przez dziesięć minut usiłował zakończyć rozmowę. Zaczął się zastanawiać, czy ta Afrykanka została przetransportowana z chatki do jeziora podobnie jak myśliwskie zdobycze, to znaczy ze związanymi dłońmi i łydkami, między które wetknięto żerdź. Po chwili wstał i udał się do biura swojego szefa, żeby złożyć raport.

Również śledztwo prowadzone przez aspirantkę Berg przyniosło rezultaty. Została oddelegowana do sprawdzenia źródła pochodzenia guzika od spodni i klamry od paska, których pozostałości odnaleziono w zgliszczach po chatce myśliwskiej. Podążanie tropem guzika, podobnie jak w przypadku gumki do włosów znalezionej podczas przeszukiwania lasu, można sobie było od razu odpuścić. Oba przedmioty sprzedawano bowiem w wielu tysiącach egzemplarzy w setkach sklepów w całej Danii. Guzik oczywiście razem z lewisami. Natomiast klamra to już inna rzecz. Została wykonana ze stali bezniklowej i miała kształt wijącego się wokół własnej osi węża. Ten specyficzny wzór przywołał na myśl zabytkowe kamienie z Jelling lub jakieś starodawne narzędzie. Technicy znaleźli również trzy nity, używane do przymocowywania paska.

Aspirantka zaczęła od dużych sieciówek odzieżowych i poszczęściło jej się w magazynie COOP Danmark, położonym w Brøndby. Tamtejszy szef działu zakupów zapamiętał te paski i wyjaśnił dlaczego:

- Pewnego razu odkryliśmy w magazynie siedem skrzynek z paskami, chociaż wcześniej zniknęły z naszego systemu. To się czasami zdarza. Wydaje mi się, że stały w magazynie od siedmiu lat – tutaj albo gdzieś indziej. Sprzedawaliśmy je w supermarkecie Kvickly w domu handlowym Lyngby. Prawie za darmo, chcąc się ich jak najszybciej pozbyć. To było jakieś dwa lata temu. Niech pani tam spróbuje, może tam uda się ustalić coś więcej. Być może dostanie pani kopię z numerami towarów, datą i... no zresztą sama pani zobaczy.

Podziękowała.

W supermarkecie Kvickly kierownik określił paski mianem gówna w stylu retro, których nie mogli się pozbyć. W końcu zeszli do dwudziestu koron za sztukę, po czym właściciel sklepu Mode & Trend zakupił wszystkie naraz.

Dalej Berg nie udało się dotrzeć, bo firma Mode & Trend nie miała tak znakomitego systemu logistycznego jak COOP Danmark, a wszystkie informacje dotyczące rozliczeń zostały już dawno usunięte z systemu. Właścicielka rozłożyła ręce w przepaszającym geście. Właściwie to sama miała w domu jeden taki nieużywany egzemplarz, który wisiał w szafie, i mogła go podarować Berg, jeżeli ta była zainteresowana. Tym sposobem, choć policjantka zabrnęła w ślepią uliczkę, mogła pochwalić się całkiem cenną zdobyczą. I zrobiła to kolejnego dnia.

Simonsen słuchał, nie przerywając aspirantce, a gdy pokazała mu pasek, uśmiechnął się szeroko. Był wykonany z czarnego bydlęcego kruponu i miał pięć dziurek. Wyprodukowano go w fabrykach w Kantonie, w chińskiej prowincji Guangdong. Klamra była z nieniklowanej stali i...

Szef wydziału zabójstw uznał, że kiedy policjantka skończy opowiadać, musi ją pochwalić. Chwilę później natychmiast o tym zapomniał, bo Berg wyjęła oryginalną klamrę ze swojej torebki i położyła ją obok dla porównania.

- Słuchaj, czy ty naprawdę przez ostatnie dwa dni paradowałaś z tą klamrą w torebce? - przerwał jej wyjaśnienia.

Odpowiedziała, że nie, bo większość czasu miała ją schowaną w kieszeni spodni. Musiał się powstrzymać, aby na nią nie huknąć.

- Kobieto, to jest zabronione. Co ty sobie myślałaś? Przecież to materiał dowodowy.

Berg wściekła się i sobie poszła. Krzyknął za nią, ale to nic nie dało.

Świadkiem zajścia był Pedersen, a cała ta sytuacja kilka godzin później zainspirowała go do działania. Grupa funkcjonariuszy, która sprawdzała dane billingowe Ottona, powoli zamykała temat. Nie udało im się jeszcze zidentyfikować jednego numeru telefonu z kontaktów zarządcy, a ten wydawał się dość interesujący. Otto przez trzy lata, czyli w okresie, z którego połączenia sprawdzano, regularnie dzwonił pod ten numer, w tym systematycznie w tygodniu poprzedzającym jego

sobotnie wypadły w nieparzyste miesiące, choć nadal nie udało się ustalić, co właściwie w tym czasie porabiał. Poza tym właśnie ktoś z tego numeru aż siedmiokrotnie rozmawiał z zarządcą w okresie od 19 do 24 marca 2008 roku - czterokrotnie dzwonił zarządcę, a trzykrotnie jego nienamierzony dotąd rozmówca. Wszystkie rozmowy trwały ponad dziesięć minut, ale nie dłużej niż pół godziny. Pierwszą z nich przeprowadzono, kiedy nieznany numer skontaktował się z Ottonem 19 marca o godzinie 11.33.

Z oczywistych powodów funkcjonariusze byli zainteresowani ustaleniem właściciela numeru, ale w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych, które udało się zidentyfikować, akurat o tym trudno było pozyskać informacje. Numer należał do tej samej firmy telekomunikacyjnej co telefon Frodego Ottona, mianowicie do NewTalkInTown, jednak spółka odmawiała podania tożsamości klienta bez co najmniej nakazu sądowego. Szef ochrony twierdził, że na numerze ustanowiono służebność, nie chcąc wyjaśnić, czego dotyczyła. Mało tego nie chciał nawet wyjaśnić, co to takiego była ta służebność. Simonsen, gdy to usłyszał, zmarszczył brwi, nigdy wcześniej się z czymś takim nie zetknął. Służebność? Przynajmniej nakaz sądowy? O co tu, do cholery, chodziło? Zwrócił się mailowo do komendantki, może ona będzie mogła coś na to poradzić, ale nie otrzymał jeszcze odpowiedzi. Najprostszym rozwiązaniem było oczywiście zadzwonienie pod ten numer i Pedersen próbował już wielokrotnie, lecz jeszcze nie udało mu się uzyskać połączenia. Aż do teraz, kiedy ku swojemu zdumieniu jednak się dodzwonił. Robił to tak często, że podskórnie spodziewał się, że odpowie mu głucha cisza. Głos z pewnością nie wskazywał na obywatela Danii, tak na słuch może kogoś z Rosji, w każdym razie usłyszał słowiański akcent. Należał do kobiety. Przeszedł na angielski i zapytał, z kim rozmawia. Jego nieznajoma rozmówczyni chciała wiedzieć to samo, tym razem wyrażała się absolutnie zrozumiale, choć nieco kulejącym duńskim. W jej żądaniu było coś apodyktycznego, jakby była osobą przyzwyczajoną do podsłuchu.

- Pedersen, komisarz z wydziału zabójstw, a ty jak się nazywasz...?

Podziała nazwisko, ale nic mu ono nie powiedziało. Było długie i kompletnie niezrozumiałe. Po chwili poinformowała go dość władczy

tonem, ale bez irytacji czy agresji, że jeżeli chce dalej z nią rozmawiać, musi przejść przez oficjalne procedury, a potem przerwała połączenie.

Nagrał rozmowę. Miał taki nawyk, zwłaszcza gdy przesłuchiwał świadków. Pomagało mu to w sporządzaniu notatek, bo głupio byłoby dzwonić ponownie, gdyby się okazało, że jednak coś mu umknęło. Następnie poszukał numeru w sieci do kolegi z Krajowego Centrum Śledczego, który był żonaty z Rosjanką. Poprosił o pomoc, a dziesięć minut później żona kolegi oddzwoniła na jego numer stacjonarny. Odtworzył jej nagraną rozmowę, a kobieta oznajmiła:

- Wiera Rozhdestvenskaja.

„No jasne, czy to rzeczywiście było takie trudne...?”, zastanawiał się. Potem poprosił o przeliterowanie nazwiska, możliwie powoli.

- To nie jest żadne nietypowe rosyjskie nazwisko, ale spróbuj wejść na stronę internetową ambasady Rosji. Nie jestem pewna, choć wydaje mi się, że trafiło ci się doborowe towarzystwo - dodała.

Podziękował i zrobił, jak mu poradziła. Na stronie głównej obejrzał i odsłuchał trzyminutowe wideo, w którym elegancka kobieta pod sześćdziesiątkę przekonywała o znakomitych relacjach między Danią a Rosją.

- Ożeż kurwa mać! - zaklął siarczyście.

Na korytarzu, pomiędzy swoim własnym biurem a gabinetem Simonsena, wpadł na pewien pomysł, zainspirowany krzykiem szefa na Pauline. Zatrzymał się, uśmiechnął, po czym poszedł naokoło do biura Berg, żeby pożyczyć od niej telefon. Wręczyła mu go, nie zadając pytań, najwyraźniej zajęta czymś innym. Gdy wszedł do gabinetu szefa, Simonsen i Hrabianka siedzieli zaczytani każde w swoich notatkach. Pomyślał, że małżeństwo dość regularnie zaczęło ostatnio wspólnie czytać dokumenty.

- Posłuchajcie - przerwał im lekturę. - Dotarłem do tego numeru, którego nie potrafiliśmy namierzyć. Oczywiście mam na myśli właściciela.

Odłożyli papiery, to, o czym mówił, było dużo ciekawsze.

- Pewnie mi nie uwierzycie, ale informacja wygląda na pewną. Numer należy do rosyjskiej ambasadorki. - Podał nazwisko, wymawiając je zupełnie poprawnie. Pedersen miał wyczucie językowe i po trzykrotnym usłyszeniu słowa, potrafił je powtórzyć.

- Rosyjska ambasadorka?

- Tak, Simon. Rosyjska ambasadorka.

Pedersen wyjaśnił, w jaki sposób ustalił tożsamość kobiety.

- Coś takiego. Bóg jeden wie, co Wiera ma wspólnego z takim typem jak Otto. To jednak wyjątkowo delikatna sprawa i należy wdrożyć jak najwyższe środki bezpieczeństwa.

- Wiera? Słuchaj, czy ty ją znasz? - zapytała zdumiona Hrabianka.

- Stare dzieje, kiedyś grywała w szachy. To nieistotne. Arne, ile osób o tym wie?

Pedersen szybko policzył, co nie było takie trudne:

- Tylko nas troje i Pauline, ale ona już zajmuje się tą sprawą.

- Co masz na myśli?

- Pani ambasador prowadzi teraz wykład w Industriens Hus. Pauline tam pojechała, aby ją zatrzymać.

Simonsen zerwał się z krzesła, jakby eksplodowała pod nim butla z gazem. Mebel się przewrócił i uderzył w ścianę z nim.

- Co takiego? Czy ty kompletnie zwariowałeś!? - krzyknął.

- Nie słyszałeś, jak pognali na sygnale? Pauline była zdania, że już najwyższy czas wkroczyć do akcji.

Pedersen pomyślał, że z tym to chyba jednak przesadził. Ale nie. Simonsen zaczął rozpaczliwie rozglądać się po swoim biurku za czymś, co mogłoby... powstrzymać funkcjonariuszy przez aresztowaniem ambasadorki. Z pomocą przyszła mu Hrabianka, wskazując na telefon. Chwycił słuchawkę i jak najszybciej wystukał numer. Sekundę później rozległ się sygnał w kieszeni Pedersena. Odebrał połączenie.

- Halo? Tu Arne Pedersen. Pauline Berg niestety nie może...

Simonsen obdarzył go krótkim, zdezorientowanym spojrzeniem, po czym rzucił telefon na biurko.

- Powiedz, że to żart. Powiedz, do cholery, że to żart - odezwał się zrozpaczony.

Tak też było. Pedersen zaśmiewał się tak mocno, że ledwo mógł utrzymać się na krześle. Hrabianka mu zawtórowała, jak tylko zorientowała się w sytuacji. Za to Simonsen stał ze zbaraniałą miną, nie wiedząc, czy odczuwa ulgę, czy złość.

Po tym, jak Pedersen trzykrotnie oświadczył, że historia z Berg była czystym wymysłem, inspektor przepędził swoich gości z gabinetu,

a potem zadzwonił do znajomego, który pracował w kierownictwie Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a którego poznał podczas prowadzenia jednej ze spraw. Niestety mężczyzna wyjechał i nie mógł mu pomóc. Szef wydziału zabójstw odczuwał irytację. W normalnych okolicznościach należałoby postępować zgodnie z protokołem dyplomatycznym, ponieważ ministerstwo pośredniczyło w kontaktach z przedstawicielstwami zagranicznych placówek dyplomatycznych akredytowanych w Danii, ale Simonsen wiedział z doświadczenia, że ta procedura zajmuje mnóstwo czasu, niekiedy miesiące. Dlatego zamiast tego uruchomił inny kontakt w administracji centralnej. Mężczyzna nazywał się Helmer Hammer, pracował jako sekretarz stanu w Kancelarii Premiera, co oznaczało, że był wpływową osobą. Simonsen liczył na to, że znajomy pociągnie za kilka sznurków i przyspieszy bieg sprawy.

Jego telefon przełączono bez zbędnej zwłoki, a Hammer, gdy tylko usłyszał, w czym rzecz, poprosił szefa wydziału zabójstw o natychmiastowe spotkanie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Do tego czasu Simonsen miał nie podejmować żadnych innych kroków. To ostatnie zalecenie zostało powtórzono wolno i wyraźnie. Sekretarz stanu dokładał wszelkich starań, podkreślając, jakie to ważne. I mu się udało, bo inspektor przyjął ten fakt do wiadomości. Niemniej jednak niezupełnie zastosował się do polecenia, gdyż zanim opuścił komendę, zahaczył o gabinet komendantki i w wielkim skrócie zreferował sprawę. Na dyrektorskim korytarzu, kiedy już kierował się do wyjścia, natknął się na swojego głównego szefa w asyście kilku biurokratów z Ministerstwa Sprawiedliwości. Komendant Główny Policji poklepał go po ramieniu.

- Simon, jak ci idzie ze sprawą?

Uwielbiał taką poufałość, Simon, a do tego jowialne klepięcie - przełożony właśnie takie lubił sprawiać wrażenie, a zwłaszcza w towarzystwie gości.

- Raz lepiej, raz gorzej.

Co mógł więcej dodać. Właśnie w ten sposób myślał o swoim śledztwie - że toczyło się raz z górki, a raz pod górkę.

- Znakomicie, Simon. Właśnie tak powinno być.

Simonsen odprowadził ich wzrokiem. Jeden z urzędników odwrócił głowę i skinął mu łaskawie. Dobrze, wszystko było dobrze.

Rozdział 43

Budynek duńskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, siedmiopiętrowy koszmarek ze szkła i betonu, mieścił się przy Asiatisk Plads w Kopenhadze i sąsiadował z wieżą kontrolną mostu Knippelsbro – takie tête-à-tête architektury w najgorszym i najlepszym wydaniu. Konrad Simonsen zrobił sobie krótką wycieczkę z komendy, która musiała mu wystarczyć za codzienną porcję ruchu.

Helmer Hammer był już na miejscu. Zaproponował kawę, ale najwyraźniej bardzo się spieszył, bo pominął wstępne uprzejmości i od razu przeszedł do sedna. Simonsen metodycznie umówił sytuację – opowiedział o Frodzie Ottonie i pokazał sekretarzowi stanu billing rozmów zarządcy, w którym czerwonym pisakiem podkreślono połączenia wykonywane z telefonu lub na telefon rosyjskiej ambasadorki. Następnie wspomniał o krótkiej rozmowie Arnego Pedersena z Wierą Rozhdetsvenską. Zauważył przy tym, że samo wspomnienie o tym połączeniu sprawiło, że na twarz jego rozmówcy, u nasady nosa, wystąpiły kropelki potu. Ale urzędnik mu nie przerwał. Gdy inspektor skończył, na wyraźne żądanie Hammera musiał przedstawić całą sprawę ponownie i dokładnie, co uznał za przejaw lekkiej hysterii, niemniej jednak zastosował się do polecenia.

– Tylko naprawdę nieliczni Duńczycy znają ten numer. Nawet ja go nie znam. To znaczy nie znałem – oznajmił sekretarz stanu.

Zabrzmiało to niemal jak oskarżenie, jakby wydział zabójstw przywłaszczył sobie numer, nie będąc do tego uprawnionym. I może nawet tak to wyglądało z punktu widzenia Hammera. Simonsen milczał, a jego rozmówca ciągnął:

– Musisz mieć świadomość, że niezależnie od tego, czy ambasadorka Rozhdestvenskaja jest zamieszana w twoją sprawę, czy nie, nie możesz jej teraz przesłuchać ani w ogóle z nią porozmawiać. Nawet gdyby zrobiła coś niezgodnego z prawem i podkreślam, że rozmawiamy o sytuacji czysto hipotetycznej, bardzo mało prawdopodobnej – nawet w takim przypadku nie masz prawa jej przepytować. Ta zasada

obowiązuje nie tylko ciebie, ale też wszystkich innych Duńczyków, żeby nie było wątpliwości.

Simonsen potwierdził, że rozumie sytuację. Hammer zaczął mu wyjaśniać dalszą procedurę. Najpierw spróbuje się wywiedzieć od tych na górze, czy może skontaktować się z ambasadorką w rzeczonyj sprawie. Jeżeli dostanie zgodę, co wcale nie jest takie pewne, porozmawia z kilkoma osobami z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a potem złoży prośbę do rosyjskiej placówki dyplomatycznej i zapyta, czy ambasadorka Rozhdestvenskaja zachciałaby pomóc duńskiej policji w tej sprawie.

- Może się zdarzyć, że zechce, a może nie. Ona sama o tym zadecyduje.

Rozstali się, a Hammer obiecał informować inspektora na bieżąco o postępach w sprawie. Dopiero w drodze do domu Simonsen zaczął się zastanawiać nad dziwnością tej sytuacji. Nigdy nie wyobrażał sobie, że sekretarz stanu osobiście się zaangażuje, a co najwyżej przyciśnie gdzie trzeba, żeby coś przyspieszyć. Najwyraźniej jednak Hammer postanowił sam się tym zająć, a na dodatek prosto z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, udał się do Kancelarii Premiera, co było dość zaskakujące.

- Bardzo zaskakujące. - Inspektor wypowiedział te słowa na głos, po czym zaczął rozważać, czy to jego zwykła podejrzliwość w stosunku do ludzi kazała mu myśleć w ten sposób.

Dwa dni później spotkali się ponownie. Umówili się przy Kristianiagade przed ambasadą Rosji w dzielnicy Østerbro w Kopenhadze. Sekretarz stanu wskazał na budynek.

- Musisz sobie zdawać sprawę z tego, że gdy wejdziemy do środka, znajdziemy się na terytorium Rosji - uprzedził. - I należy rozumieć moje słowa dosłownie. Pod względem prawnym nie ma różnicy, czy wybierzesz się do Moskwy, czy Władywostoku, czy też odwiedzasz rosyjską ambasadę.

Szef wydziału zabójstw doskonale o tym wiedział. Potwierdził to nieco oschle, dość zmęczony przypominaniem, że nie ma w tej sytuacji żadnych uprawnień.

- Nie będzie żadnych pytań uzupełniających, pamiętaj o tym. Gdy ambasadorka Rozhdestvenskaja powie, co ma do powiedzenia,

podziękujemy i wyjdziemy.

- Właśnie tak zrobimy.

- To nie będzie żadne przesłuchanie, absolutnie żadne.

Simonsen westchnął w duchu i powtórzył jak papuga:

- Absolutnie żadne przesłuchanie.

Hammer przyjrzał mu się z troską, zastanawiając się, czy jego odpowiedź nie była sarkastyczna.

- Jeżeli ambasadorka Rozhdestvenskaja zechce mówić po rosyjsku, będę tłumaczył - dodał jeszcze.

- To dobra strategia. - Twarz Simonsena nabrała powagi.

Mężczyźni weszli do budynku i od razu zostali poddani gruntownej i szczegółowej kontroli bezpieczeństwa. Następnie poprowadzono ich na trzecie piętro do gabinetu ambasadorki, gdzie jeszcze dłużej musieli poczekać w sekretariacie, aż wreszcie drzwi się otworzyły i zostali wpuszczeni do pani ambasador.

Rozhdestvenskaja była niską kobietą, mierzyła zapewne poniżej metra pięćdziesiąt pięć, chociaż trudno to było stwierdzić, bo siedziała za biurkiem - olbrzymim mahoniowym meblem, który kiepsko do niej pasował. Miała na sobie drogie ubranie, w dość nudnym stylu. Gdy weszli, udało jej się okazać akurat tyle uprzejmości, żeby nie można jej było zarzucić, że zachowała się niegrzecznie. Szczupłą dłonią wskazała na krzesła stojące przed swoim biurkiem - goście dostali zgodę, by usiąść. Gdy zajęli miejsca, skupiła wzrok na Simonsenie i odezwała się neutralnym tonem po duńsku:

- Chciałabym, żeby przedstawił mi pan sprawę.

Szef wydziału zabójstw był na to przygotowany, co wydawało się dość dziwne. Sprawa nie należała przecież do skomplikowanych, a mimo to ćwiczył jej referowanie w domu, a potem przygotował dokumenty w odpowiedniej kolejności. Opowiedział krótko o Ottonie i pokazał pani ambasador zdjęcie zarządcy. Przyglądała mu się przez kilka sekund uważnie, nie reagując w żaden sposób, a następnie sztywno skinęła głową, polecając mu, aby kontynuował. Wtedy przedłożył jej dokument z billingami Ottona. Jej numer telefonu był podkreślony żółtym pisakiem, a Simonsen zupełnie niepotrzebnie dodał:

- Chciałabym zapytać, co panią łączy z Ottonem.

Wpatrywała się w spis numerów przez parę sekund, zupełnie tak samo jak przed chwilą w fotografię.

- Nigdy nie widziałam tego człowieka ani z nim nie rozmawiałam - oświadczyła.

To była jasna deklaracja, a zarazem niesatysfakcjonująca inspektora. Najgorsza z możliwych odpowiedzi w scenariuszu Simonsena. Co gorsza, ledwo zdołał wydusić ostrożne ale, gdy Hammer przerwał mu w pół słowa.

- Bardzo dziękujemy za odpowiedź i poświęcony czas, Wasza Ekscelencjo.

Sekretarz stanu z Kancelarii Premiera wstał, jednak szef wydziału zabójstw nie ruszył się z miejsca. Rozhdestvenskaja zmarszczyła brwi.

- Czy coś jeszcze, panie Simonsen? - zapytała chłodno.

- Tak, został jeszcze jeden drobiazg, jeżeli można - odparł inspektor.

Obrócił głowę o kilka stopni, uciekając przed spojrzeniem Hammera, świadomy tego, że urzędnik próbuje go teraz przewiercić wzrokiem na wylot. Simonsen sięgnął do swojej aktówki, wyjął z niej książkę i położył na biurku przed panią ambasador.

- Czy mógłbym poprosić o dedykację?

Rozhdestvenskaja nie spojrzała na książkę. Zamiast tego przyglądała mu się uważnie z lekkim uśmiechem, takim, który po chwili ustąpił miejsca uśmiechowi od ucha do ucha.

- Simon, interesuje się pan szachami? Tak, moi współpracownicy wspominali, że ludzie zwracają się do pana per Simon, a nie Konrad. To dość dziwne, nigdy wcześniej o czymś takim mnie słyszałam.

Hammer ponownie usiadł. Podano herbatę.

Rozdział 44

Wiosna na dobre zawitała w całym Królestwie Danii, które powoli budziło się z zimowego snu. Marzec i kwiecień okazały się chłodniejsze niż zwykle, ale maj należał do ciepłych i przyjemnych. Ten piątek również. Białe obłoki sunęły po pogodnym błękitnym niebie i chociaż niekiedy nocą zdarzały się jeszcze przymrozki w pewnych słynących z tego odległych zakątkach kraju, to Duńczycy i tak wylegli do ogrodów i wystawiali się do słońca na dziedziach, gdzie można było znaleźć jakiś ciepły murek, a jednocześnie odgrodzić się od zgiełku ulicy. Dania ponownie stała się najlepszym krajem na świecie z najlepszymi ludźmi, jak uważali sami Duńczycy, ciesząc się już na wakacje, które nadejdą za niedługo.

Wiosną ludzie stają się bardziej pobudzeni, twierdziła Karina Larsen, jej obroty w ciągu ostatnich dwóch tygodni wzrosły o szesnaście procent. Mówiła tak każdej wiosny i co roku uważała za stosowne, żeby podzielić się swoim spostrzeżeniem, jakby miało jakąś unikalną wartość socjologiczną.

- Słuszna uwaga, mamó. Można by pomyśleć, że to zaraźliwe również w stosunku do zwierząt, bo one najwyraźniej też kopulują teraz częściej niż zimą - odparła jej na to córka.

Ironia w stosunku do matki jak zwykle nie przyniosła rezultatu, bo kobieta najzwyczajniej w świecie nie była w stanie jej pojąć.

- Ale czy to nie jest normalne? Czy nie tak to zazwyczaj bywa?

Matka z córką siedziały na tarasie na tyłach ogrodu w Rungsted, była jedenasta przed południem. Wody Sundu marszczyły się w drobne fale. Wielu żeglarzy rekreacyjnych wypłynęło, aby cieszyć się pięknym dniem, a ich rozproszone po akwenie białe żagle było widać z oddali.

Benedikte zdążyła już wrócić z porannego wykładu na CBS, natomiast pani Larsen dopiero niedawno wstała - miała na sobie szlafrok i właśnie piła pierwszą tego dnia filiżankę herbaty. Córka zaczęła się jej przyglądać - matka nie zdążyła jeszcze nałożyć makijażu

i słoneczne światło bezlitośnie eksponowało teraz jej twarz. Lerche-Larsen pomyślała, że matka się starzeje i robi się brzydka.

- Mamo, co ode mnie chciałaś?

Larsen zaczęła wyjaśniać. Pewien dyrektor biura, o ile się orientowała, jakiś bankowiec mieszkający przy Vedbæk, chciał kupić jedną z jej dziewczyn, to znaczy tak na dobre, aby zatrzymać ją dla siebie. Jednocześnie należał do jednej z rodzin goszczących, więc nie był zwykłym klientem, bo dziewczyna i tak już u niego mieszkała.

- Pomyślałam, że może byś tam do niego pojechała i poprowadziła negocjacje - zaproponowała.

Benedikte nienawidziła, kiedy jej matka określała nigeryjskie prostytutki jako swoje. Jeżeli już koniecznie chciała podkreślić to poczucie własności, mogła przynajmniej powiedzieć nasze, bo przecież, do cholery, nie były wyłącznie jej. Doskonale wiedziała, że nie nauczy tego matki. Przez pewien czas próbowała, nawet wytrwale, ale musiała zarzucić ten pomysł. Prawdopodobnie pani Larsen była na to za głupia.

- Jeżeli będzie chciał ją wynajmować na własną rękę, to będziemy miały konkurencję. Jesteśmy pewne, że do tego nie dojdzie?

- Tak, chodzi o prawdziwą miłość.

- Ile on ma lat?

- Myślę, że jest około pięćdziesiątki, a dlaczego? To przecież nie ma znaczenia.

- Oczywiście, że nie. Po prostu chciałam wiedzieć. A właściwie dlaczego sama z nim nie porozmawiasz? Nigdy nie zlecasz mi tego typu zadań.

Pani Larsen zaczęła wiercić się na krześle, łatwo było się zorientować, o co chodzi, i Benedikte zdążyła się wszystkiego domyślić, zanim jeszcze otrzymała odpowiedź.

- Znam go trochę z dawnych czasów.

- Kiedy jeszcze sama pracowałaś jako prostytutka? To dawny klient? - Lubiała, gdy poruszano właśnie ten temat, dlatego zapytała o to całkiem głośno.

Zmieszana matka próbowała ja uciszyć.

- Zamknij się. Pomyśl o sąsiadach, pamiętaj, że to porządna dzielnica.

Gdy rozległ się dźwięk jej telefonu, odebrała, obdarzając przy tym córkę wymowną miną, że człowiek nie może liczyć nawet na dwie minuty spokoju. Nagle na jej twarzy odmalowało się skupienie, wyprostowała się na ogrodowym krześle, wzdychając: „Och, nie”, po czym mało oryginalnie powtórzyła te słowa raz jeszcze. Gdy skończyła rozmowę, wyglądała na przybitą.

- Ta sama sytuacja co wcześniej. Jedna z naszych dziewcząt popełniła samobójstwo. To Havana, ta z Birkerød, przedawkowała tabletki, paracetamol, musiała go gromadzić od jakiegoś czasu. - Przez chwilę czekała na reakcję córki, ale ta konsekwentnie milczała. Kontynuowała więc, użalając się nad swoim pechem: - I co my teraz zrobimy? Mam umówioną wizytę u fryzjera na czternastą. Wychodzimy dzisiaj wieczorem ze Svendem na premierę, nie mogę zostać z takimi włosami. Co za bezmyślność, dopiero co dostała bieliznę za ponad dziewięćset koron. Musimy znaleźć jakieś godne zastępstwo, wieczorem miał ją odwiedzić wiceburmistrz, takiemu mężczyźnie nie możemy przecież odmówić. - Ze stresu zaczęła pocierać dłonie.

Benedikte wstała, nie chciała się w to angażować, jeżeli nie będzie musiała. Samobójstwo zawsze oznaczało mnóstwo zamieszania i kłopotów natury administracyjnej - zarówno dla jej matki, jak i rodziny goszczącej.

- Może skusi się na dziewczynę w jej obecnym stanie. To by było najprostsze, nie raz słyszy się o takich rzeczach. Powinnaś do niego zadzwonić i go zapytać. Może dopisze ci szczęście.

Larsen przez chwilę sceptycznie rozważała tę opcję, a córka wykorzystała moment, żeby się wymknąć.

Rozdział 45

- Jeżeli mamy rozmawiać, to będziesz musiał zdjąć koszulę i podkoszulek, a potem założyć je z powrotem, a ja będę się temu przyglądać. Następnie wybierzemy się na spacer. I to nie podlega dyskusji.

Mężczyzna potaknął, doskonale rozumiał: obawiała się ukrytego mikrofonu albo tego, że jest policyjnym szpiegiem, czy jak to się nazywało. Siedział na sofie, a obok niego dziewczyna, której dotyczyła sprawa. Trzymali się za ręce, ona nieustannie się uśmiechała. Miała piękne białe zęby i puste, ładne oczy.

Lerche-Larsen potwierdziła skinieniem głowy - właśnie taki efekt chciała osiągnąć. W rzeczywistości kompletnie nie bała się podsłuchu. Policja nigdy nie zainwestowałaby środków w taką rozmowę, bo szanse na skazanie winnego były niewielkie, a kara najpewniej okazałaby się absurdalnie niska. Jej wymóg był psychologiczną sztuczką, której nauczyła się od matki, a ta prawdopodobnie od kogoś innego, bo sama nigdy by tego nie wymyśliła. Gdy osoba, z którą się coś negocjowało, zaczynała wykonywać choćby drobne polecenia, nie wspominając już o przekraczaniu pewnych granic, niewątpliwie wpływało to na przebieg dalszych negocjacji. Krótko mówiąc - w ten sposób zyskiwało się przewagę.

Poszli na spacer po ogrodzie, był wystarczająco duży, więc nie wyglądało to śmiesznie.

- Chodzi o miłość. Zakochaliśmy się w sobie. I oczywiście chcę się z nią ożenić - wyznał mężczyzna.

Lerche-Larsen mu pogratulowała.

- Takie uczucie to coś wspaniałego, a do tego jeszcze mimo różnicy wieku, rasy i kultury. Mało co może się z tym równać - stwierdziła.

Podziękował, wyglądał na szczerze wzruszonego.

- I zamieszkacie w Kenii? - zapytała.

Zatrzymał się raptownie.

- Ee, co? Nie, w ogóle nie brałem tego pod uwagę.

- A może wybraliście Skanię? Tam też jest pięknie.

Jej rozmówca kategorycznie zaprzeczył. Oczywiście, że nie wybierał się do żadnej Skanii, co też miałyby tam robić? Wyjaśniła mu, w czym rzecz. Polityka Danii w stosunku do obcokrajowców należała do najbardziej restrykcyjnych w Europie. W praktyce oznaczało to, że jego przyszła żona nie ma w zasadzie szans na otrzymanie zezwolenie na pobyt, nie wspominając już o duńskim obywatelstwie. A wręcz przeciwnie, zostanie odesłana do domu, jak tylko minie termin jej pobytu w charakterze opiekunki do dzieci, czyli za jakieś dwa miesiące. Jednak Szwecja inaczej podchodziła do wyboru potencjalnego małżonka i z tego podejścia korzystało wielu Duńczyków.

- U naszych północnych sąsiadów polityka nie jest tak restrykcyjna - oznajmiła Benedikte.

Pozwoliła mu na chwilę frustracji. Nie była zaskoczona, kiedy zaczął komentować politykę wobec obcokrajowców, ulubiony temat każdego Duńczyka. Sam rzeczywiście optował za tym, żeby przy granicy ustawić barierki, a chciwi uchodźcy nie okradali państwa. Musiała to rozumieć, oczywiście, że myślał w ten sposób. Jego przypadek był jednak zupełnie inny, bo był w stanie utrzymać ich oboje. To takie niesprawiedliwe.

- To zupełnie bez znaczenia, czy będzie ciężarem, czy nie, bo nikt nie pozwoli jej tutaj zostać - wpadła mu w słowo ze złością. - Ale być może istnieje inna możliwość.

Chwycił się tego, co powiedziała, niczym ostatniej deski ratunku, a ona wyjaśniła: Jej matka potrafiła załatwić przedłużenie zezwolenia na pracę i pobyt co półtora roku. Dokumenty wystawiano zgodnie z prawem, nie chodziło o żadne fałszerstwo, ale nie powinien pytać o nic więcej. Mężczyzna potrząsnął głową - to nie miało żadnego znaczenia.

- Załatwienie sprawy będzie oczywiście kosztować, ale to nic w porównaniu z wydatkami związanymi z przeprowadzką, nie mówiąc już o tym, że obecnie nie opłaca się sprzedawać nieruchomości. Poza tym do domu należy przecież cudowny ogród, szkoda byłoby go opuszczać - przekonywała Lerche-Larsen.

Zaczęli negocjować cenę. Najpierw jednorazową opłatę za zakup dziewczyny, a potem tę cykliczną, związaną z przedłużeniem ważności potrzebnych dokumentów. Targował się lepiej, niż się spodziewała.

Może i miłość sprawiła, że oślepl, ale przy liczbach wciąż zachowywał przytomność umysłu. W końcu dogadali się co do ceny. Benedikte była trochę zła. Zamierzała wrócić do domu i pochwalić się ubiciem świetnego interesu, a wracała z przyzwoitym wynikiem, ale nic ponadto. Mężczyzna zaproponował jej kieliszek białego wina, a ona odmówiła, choć naprawdę miała ochotę się napić.

- Według ciebie to głupie, że zamierzam się z nią ożenić?

Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę, niepewna, co ma odpowiedzieć. A zresztą jakie to miało znaczenie, co o tym myślała? Niemniej jednak zapytał, więc ostrożnie odparła:

- To rozwiązanie może się okazać niezbyt praktyczne, gdyby wasza miłość z czasem osłabła. Ale zawsze możesz się rozwieść, małżeństwo, jak wiadomo, nie jest czymś, czego nie da się przerwać.

Uznał jej odpowiedź za rozsądną. Może rzeczywiście na początek bezpieczniej byłoby się formalnie nie wiązać. Mogło się przecież zdarzyć, że będzie miał dość swojej dziewczyny albo najdzie go ochota, żeby po prostu spróbować czegoś innego. Ostatecznie stwierdził, że na początek powinni się ograniczyć do wspólnego mieszkania. Przyjdzie jeszcze czas na ślub.

- Słuchaj, a co właściwie jesteście w stanie zaproponować? - dociekał.

- Wszystko, jeżeli cię na to stać. Wszystko z wyjątkiem białych dziewczyn z Zachodu. Poza tym jest wolny wybór: żółte, brązowe, czarne, mieszane i białe właściwie ze wszystkich krajów byłego bloku wschodniego. Jeżeli jednak myślisz o kimś tylko dla siebie, nie potrzebujesz naszych usług, umowa z nami ma sens tylko wtedy, gdy dziewczyny najpierw muszą się wszystkiego nauczyć, łącznie z dyscypliną. W przeciwnym wypadku sam możesz dokonać zakupu w wielu miejscach w sieci.

- Tak, wiem, ale można paść ofiarą oszustwa. I do kogo się wtedy zwrócić?

Wyglądał na kompletnie zdezorientowanego. Lerche-Larsen wstała, on też.

- Dlaczego nie białe z Zachodu?

- Bo na przykład Anglia, Niemcy i USA strasznie się wściekają, gdy wprowadza się ich obywateli, a ani moja matka, ani nikt inny, kogo

znam, nie ma ochoty mieć FBI na karku. Poza tym dziewczyny z takich krajów raczej nie uważają, że praca w duńskim burdelu to wymarzone zajęcie, i prawdopodobnie szybko, przy pierwszej nadarzającej się okazji, uciekłyby na najbliższy posterunek policji.

Mężczyzna przyznał jej rację. Ale to nic nie szkodzi, jest przecież tyle innych kobiet. Potwierdziła jego przypuszczenia i pomyślała, że czas na nią, bo zaczął ją nudzić. Zatrzymała się jednak w drzwiach, gdy powiedział:

- Bardzo możliwe, że jednak się pobierzemy, jesteśmy przecież w sobie zakochani i takie tam.

„Co za idiota”, pomyślała Lerche-Larsen i odparła z uśmiechem:

- To piękne, że takie rzeczy się zdarzają.

- Chodzi jeszcze o coś innego. Chodzą pewne słuchy na temat tej dziewczyny z jeziora i te opowieści mi się nie podobają.

Spędziła kolejne dziesięć minut na przekonywaniu go, że te plotki nie mają nic wspólnego z interesem jej matki. Zupełnie nic!

Rozdział 46

Po tym, jak Benedikte odbyła swoją drugą i ostatnią karę, pojechała do Kraga, do Ishøj. Zrobił im kawę, a gdy zasiedli na sofie przy stoliku, zapytał:

- No i jak poszło? Opowiesz mi, co musiałaś zrobić?
- Nic szczególnego poza tym, że wzięłam udział w przesłuchaniu.
- Co to było za przesłuchanie? Przeszłaś dalej?
- Chodziło tylko o trochę seksu. Było w porządku. Przynajmniej tego spróbowałam, chociaż właściwie okazało się to dość nudne - odparła jakby od niechcienia.

Krag poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła, i ledwo panował nad swoim głosem, gdy spytał:

- Czy to było przesłuchanie w sprawie nagrań porno? Czy właśnie to chcesz mi powiedzieć?

Lerche-Larsen uciekła spojrzeniem i wzruszyła ramionami.

- Czy przeszłam dalej? - zastanawiała się na głos. Zaśmiała się egzaltowanie, sztucznie, niczym aktorka amatorka. - Przecież to bez znaczenia. O co tyle szumu? A poza tym to jakbym nie była ja - wysyczała znienacka. - Zawahała się, szukając odpowiednich słów. - Jakby mnie tam nie było, nie tak naprawdę... tylko... To dość trudno wytłumaczyć. Jednak dzięki takiemu myśleniu byłam w stanie przez to przejść. I mam to już za sobą. Poza tym o wiele gorzej jest obudzić się z kacem u boku mężczyzny, z którym nigdy nie powinno się być, bo wtedy obrzydzenie do samej siebie może trwać tygodniami. Dlatego już wolę takie popołudnie, to wydaje się o wiele łatwiejsze do przejścia.

- Co tam się zdarzyło? - zapytał Krag bezbarwnym tonem.

Obawiał się tego, jak jego żołądek zareaguje na odpowiedź Benedikte, ale niepewność była jeszcze gorsza.

- No a czego się spodziewasz? Naprawdę potrzebujesz szczegółów? To bez znaczenia i mam to już kompletnie w dupie. Do jutra o wszystkim zapomnę... jutro będzie już po wszystkim. Zrobiłam, co należało, a teraz twoja kolej. - Szybkim ruchem dotknęła ucha, jakby

dopadł ją nagły ból. Przycisnęła dłoń do skroni i zaczęła powtarzać: – Mam to kompletnie w dupie. W dupie! W dupie! – Temu zaklinaniu rzeczywistości towarzyszyły uderzenia. Krótkie, mocne razy w boczną część głowy. Jej dłoń zastygła w powietrzu na ułamek sekundy, gdy odsunęła ją na moment od twarzy tylko po to, aby za chwilę ponownie uderzyć. Ruchy jak z niemego filmu.

Chwycił ją za nadgarstek, żeby unieruchomić jej ramię.

– Co robisz, idioto? Puść mnie!

Trzymał ją tak długo, aż oboje się uspokoili. Po jej policzkach popłynęło kilka łez, ale gdy się odezwała, głos miała wyraźny, choć zrezygnowany i smutny:

– Obiecuję, że sobie z tym poradzę. Tylko teraz jest to jeszcze trochę trudne.

Puścił jej ramię i usiadł przed nią na sofie. Natychmiast sięgnęła po jego dłoń i przycisnęła do siebie, trzymając ją kurczowo.

– Nie masz jakiejś przyjaciółki, do której mogłabyś zadzwonić? – Próbował znaleźć jakieś konstruktywne rozwiązania.

Nie odpowiedziała mu od razu, poczuł tylko, że od czasu do czasu drżała na całym ciele, jakby marzła. Po chwili odezwała się ironicznie, ale bez zwykłej uszczypliwości:

– I co miałabym powiedzieć takiej przyjaciółce? Że może wejść na stronę youngwannabes kropka seks kropka com kropka świństwa i obejrzeć sobie małą napaloną Louise czy jak też ta głupia świnka mnie tam zareklamuje? Film z pewnością stanie się hitem w gronie przyjaciół. Ale przynajmniej istnieje szansa, że mnie nie poznają. Pozwolono mi założyć półmaskę. To trochę pomaga w zachowaniu anonimowości.

– Czyli nikt cię nie rozpozna?

Potrząsnęła oswiale głową. Pomyślał, że to zawsze coś... Było mu trochę lżej na myśl, że najpewniej pozostanie anonimowa. Dość dziwne.

– Nie wiem, może i nie. Chcę teraz do domu i wziąć prysznic. Właściwie to nie wiem, po co tu przyjechałam... I tak nic nie możesz na to poradzić, ale... nie miałam do kogo pójść.

– Uważam, że dobrze, że tu przyjechałaś.

Zignorowała jego komentarz i powtórzyła, jakby mówiła do siebie:

- Chcę wrócić do domu i wziąć prysznic. - Nie ruszyła się jednak z miejsca, a w pewnym momencie powiedziała: - Czy mógłbyś mną nie pogardzać? Wiem, że nie podoba ci się to, co zrobiłam, że tobie też nie jest łatwo, ale zdecydowałam się na to również z twojego powodu. Z naszego powodu.

Pytanie sprawiło, że ponownie zadrżała, choć wcześniej udawało jej się nad tym panować. Ścisnęła mocno jego dłoń.

- Szkoda, że wcześniej nie przedyskutowaliśmy tego zadania. Wtedy nigdy by do tego nie doszło. Już lepiej byłoby zgłosić się do glin i wyłożyć karty na stół.

- Nie jestem w stanie znieść myśli, że poszedłbyś na dwanaście lat do więzienia. A co byłoby ze mną? Moje życie by się skończyło. Ojciec z pewnością wyrzuciłby mnie z domu. Jeżeli będzie musiał wybierać między mną a swoim biznesem, to nie mam najmniejszych szans.

- A dlaczego miałby?

- Bo znajdzie się w sytuacji bez wyjścia. Podobnie zresztą jak moja matka, ale ona jest za głupia, żeby to zrozumieć. Jak tylko prasa połączy mojego ojca z zabójstwem, klienci zaczną masowo uciekać z krzykiem. Podobnie jak pokerzyści, nie wspominając już o Fabriciusie - będzie wściekły na całą sytuację, a ja zostanę od razu wyrzucona na zbity pysk. O ile będę miała wystarczająco dużo szczęścia i stanie tylko na tym.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli to, że w tej grze chodzi o duże pieniądze i o cynicznych ludzi. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Jeżeli ja i ty okazemy się zbyt dużym obciążeniem - na przykład stając się głównym ogniwem śledztwa w sprawie zabójstwa związanego bezpośrednio z firmą mojego ojca - to nie zawahają się nas poświęcić. Tak to już jest, takie są warunki. A swoją drogą, to nie sądziłam, że będę musiała ci to tłumaczyć.

- Masz rację, rozumiem. Po prostu nie myślałem o tym w ten sposób.

- Wniosek jest taki, że mamy tylko siebie.

Taka konkluzja przypadła Kragowi do gustu. Ponury scenariusz przedstawiony przez dziewczynę niespecjalnie go ruszał, a na problemy, które być może pojawią się w przyszłości, nie warto marnować energii, zanim rzeczywiście nie nadejdą.

Potem odtworzyli polecenie szantażysty, które Lerche-Larsen nagrała na swój telefon. Pogłośniła maksymalnie dźwięk, a wtedy zniechęcony syntetyczny głos wypełnił pomieszczenie. Pierwsze polecenie było mało interesujące, bo miała po prostu wziąć kartę i ołówek i być gotowa za dziesięć minut. A drugie stanowiło instrukcję dotyczącą przesłuchania:

- Weźmiesz udział w przesłuchaniu do nagrania filmu pornograficznego i nie możesz wspomnieć o tym Henrikowi. Zgłosisz się pod numer siedem-zero-osiem-zero-dziesięć-zero-jeden do pewnej firmy, literuję: D-a-n-i-s-h, literuję: E-m-o-t-i-o-n-a-l, literuję: P-i-c-t-u-r-e-s. Twoje nagranie ma się znaleźć na stronie internetowej najpóźniej w piątek, masz tydzień.

- Zapomnij, nie zrobię tego - odparła Benedikte.

- Jak chcesz. Pozdrów ode mnie więźniów w Vestre Fængsel.

- Dlaczego to robisz, ty perwersyjna świni?

Nikt na to nie odpowiedział, połączenie zostało przerwane.

- Ida literuje, gdy nie zna słów - oznajmił Henrik.

- Domyśliłam się.

- A co znaczyły?

- Danish Emotional Pictures, to nazwa firmy, którą... odwiedziłam.

- Mogłabyś przetłumaczyć?

Gdy to zrobiła, wzruszył ramionami.

- Musiałam im zapłacić za to, żeby film znalazł się na stronie tego samego wieczoru - oświadczyła dziewczyna. - Dwa tysiące koron, a do tego jeszcze zatrzymali dla siebie moje honorarium. Do cholery, jak ja ich nienawidzę, chociaż to i tak nic w porównaniu z Idą. Jeżeli kiedykolwiek ustalę, kim jest, zabiję tego kogoś.

Henrik zdecydował, że nie będzie jej dopytywał, dlaczego czekała do ostatniej chwili.

Z całych sił próbowali pozyskać z nagrania jakiejkolwiek informacje o szantażyście, choćby najmniejsze wskazówki, ale jak zwykle nie doszli do żadnych konstruktywnych wniosków, a nawet przypuszczenia kiepsko im tym razem wychodziły. Wspomnienie tego, co zaszło, nadal mocno w nich tkwiło, pozostawiając niewiele miejsca na logiczną dedukcję i chłodne domysły. Kraga mocno uwierała hipokryzja, chociaż

do jego umysłu przedzierało się również inne uczucie - nowe i zabronione, mieszało się teraz z zazdrością, tworząc absurdalny koktajl.

Jak tylko wyszła, siadł do komputera. Youngwannabes - łatwo było zapamiętać, gorzej z przeliterowaniem. Zadanie wymagało kilku prób.

Rozdział 47

Simonsen zwołał podsumowujące zebranie w sprawie zamordowanej Afrykanki. Poza nim samym wzięli w nim udział tylko Hrabianka i Pedersen, a porządek obrad ograniczał się do jednego punktu, jako że śledztwo w tym momencie opierało się na jednym tropie, który należało wyjaśnić, zanim sprawa zostanie uznana za niewyjaśnioną i umorzona.

Troje funkcjonariuszy siedziało przy stole konferencyjnym w biurze Simonsena. Inspektor szczegółowo zreferował przebieg wczorajszej rozmowy w ambasadzie Rosji. Wiera Rozhdestvenskaja w latach siedemdziesiątych uczestniczyła w szachowych mistrzostwach świata kobiet. Dwukrotnie doszła do półfinału, gdzie została pokonana przez Nonę Gaprindaszwili, późniejszą mistrzynią świata, a jej książka z 1981 była nawet dzisiaj...

Pedersen ziewnął, sam grał w szachy i był w tym znacznie lepszy od swojego szefa, ale nie przejawiał równie wielkiej fascynacji tą grą. W pewnym momencie monolog Simonsena zaczął się dłużyć nawet Hrabiance, która przerwała mężowi:

- Okej, Simon, zrozumieliśmy. I co w związku z tym?

- No tak, a więc Wiera przekonywała mnie, że mówiła prawdę. Najpierw przytoczyła kilka rozmów, które w danym okresie odbyła najwyraźniej za granicą, częściowo w Moskwie, a częściowo w Malmö. Ten ostatni wyjazd miał zresztą charakter oficjalny. W tym czasie jej telefon komórkowy znajdował się w sejfie. Takie informacje będzie nam oczywiście trudno zweryfikować, zresztą sama to zauważyła, gdy spostrzegła wyraz mojej twarzy. Wtedy przypomniała sobie coś jeszcze. Cała ambasada, w tym ona, zmieniła operatora w grudniu dwa tysiące ósmego roku. Zdecydowali się na to, żeby trochę zaoszczędzić, bo po prostu dostali lepszą ofertę. Mam kopię kontraktu ambasady z tą nową firmą i jeżeli informacje okażą się prawdziwe, a w tej chwili nie mam co do tego wątpliwości, to połowa rozmów między nią a Frodem Ottonem po prostu nie mogła się odbyć.

- Czyli billingi odnośnie do jej numeru są fałszywe - podsumował Pedersen.

Inspektor potwierdził, że na to wygląda.

- Jeżeli świadomie manipulowano danymi, to nasza szachowa mistrzyni świetnie się do tego nadawała - snuł domysły Simonsen. - Chodzi mi o to, że trudno ją sprawdzić. Mało brakowało, a niewiele więcej moglibyśmy zrobić. Kręcilibyśmy się tylko w kółko, rozważając możliwe scenariusze międzynarodowych spisków.

- Masz rację, jeżeli... - Hrabianka postanowiła sprowadzić męża na ziemię. - Zadzwoń tam i poproszę NewTalkInTown o wyjaśnienie - dodała.

Zwykle to właśnie ona zajmowała się billingami, dlatego potraktowała to zadanie jak oczywistość, ale gdy dostrzegła sceptyczną minę Simonsena, zwątpiła.

- Co jest? - zapytała.

- Zadzwoń i wyjaśnij im, w czym rzecz. Powiedz również, że złożysz im wizytę. Jestem skłonny przyznać Arnemu rację, bo sprawa śmierdzi już z daleka, jakby ktoś próbował nas wywieść w pole. Pojedziesz sama?

- Tak, oczywiście. Ewentualnie zabiorę ze sobą paru mundurowych.

To była jedno z ulubionych zagrań Hrabianki. Kiedy odwiedzała jakieś oporne firmy, miejsca pracy inżynierów i tym podobne, niekiedy korzystała ze wsparcia radiowozu i kilku umundurowanych funkcjonariuszy, których jedynym zadaniem było ustawienie się w widocznym miejscu przed główną siedzibą firmy. Twierdziła, że wówczas traktowano ją poważniej, niż gdy przyjeżdżała w pojedynkę. Dodatkowo oszczędzała w ten sposób czas, bo szybciej ją obsługiwano. Nikt w wydziale zabójstw jej się nie przeciwstawił, ale też nikt nie wykorzystał jej metody, gdyż większość uznawała ją za zbyt drastyczną i uważała, że zupełnie nie pasuje do elegancji, z którą zwykle Hrabiankę kojarzono.

- Ta zamiana numeru to wszystko, co na teraz mamy. Mam nadzieję, że coś ustalisz i popchniemy sprawę dalej - podkreślił Simonsen.

To nie było do niego podobne. Ta uwaga wydawała się zbędna, bo przecież doskonale zdawała sobie sprawę z aktualnego statusu śledztwa, więc jego słowa można było zinterpretować jako swego rodzaju presję, upomnienie szefa, żeby się bardziej postarała.

- Przecież sam możesz tam pojechać, jeżeli uważasz, że tak będzie lepiej - zareagowała gwałtownie, choć z uśmiechem na twarzy.

Wszyscy troje doskonale wiedzieli, że najlepiej się nadawała do tego typu zadań, dlatego inspektor też od razu się wycofał.

- Nie, nie, nic takiego nie miałem na myśli - zapewnił.

Pedersen, który wyczuł zmianę nastroju, zapytał nieco spięty:

- Czyli świerkowe żerdzie i klamra od paska nic nam nie dały?

Simonsen z wdzięcznością przyjął zmianę tematu w postaci słów kluczowych i odpowiadał na jego pytanie przez kilka minut, chociaż wystarczyłoby dwa razy „nie”.

- A co z tym funkcjonariuszem, który wspominał o paragrafie dwudziestym drugim w okolicach Lynge? - dopytała Hrabianka.

- Przyjdzie dopiero jutro, pierwsze spotkanie odwołał z powodu choroby. Ale nie spodziewałabym się cudów.

Pozostawał im tylko Otto ze swoim dziwnym przyznaniem się do winy oraz nieprzezwykłą niechęcią do rozmowy o podpaleniu starej chatki myśliwskiej i postawieniu nowej. Zadanie zlecono Pedersenowi, który trzykrotnie przesłuchiwał zarządcę. Hrabianka zapytała o rezultat, chociaż miała pełną świadomość, że gdyby udało się z niego cokolwiek wydobyć, już dawno by o tym usłyszała.

- Już nic więcej z niego nie wycisnę - skomentował Pedersen z rezygnacją.

Simonsen westchnął i poprosił, żeby poszli do siebie. Za pół godziny miał nieprzyjemne spotkanie i bardzo mu zależało, by wyszli odpowiednio wcześniej. Poza tym i tak nie było o czym dyskutować.

Berg odmówiła zajęcia miejsca, które wskazał jej inspektor.

- Nie, dziękuję - stwierdziła i dodała, że znakomicie jej się stoi.

Jeszcze przed spotkaniem obiecał sobie, że nie będzie się wściekał, a nawet w drodze wyjątku przemyślał kilka z tych dobrych rad omawianych na kursach dla kadry zarządzającej, w których od czasu do czasu musiał uczestniczyć. Należało zachować szacunek i wysłać jasny przekaz. Ważne, by pracownicy mieli możliwość wytłumaczenia się - to wszystko uznawano za niesamowicie istotne, a jednak nikt go nie nauczył, co należało zrobić, jeżeli pracownik miał ochotę stać, podczas gdy on sam siedział. Czy można było zmuszać ludzi, aby usiedli? Simonsen uznał, że tak, i krzyknął:

- Siadaj, do cholery, skoro wydałem ci takie polecenie!

Oślupiała Berg zajęła miejsce, po czym inspektor sam wstał i stanął przy oknie, aby trochę ochłoniąć. Otworzył je, chcąc wpuścić nieco świeżego powietrza. Okno odmykało się do wewnątrz - takie kuriozum, wymyślone swego czasu przez architekta Komendy Głównej po to, żeby nie zakłócać ładu elewacji widzianej od strony ulicy.

- Pauline, i co ja mam z tobą zrobić? Jeśli masz taki kaprys, to kompletnie ignorujesz moje polecenia, a ja nie mogę cię ani zwolnić, ani przenieść.

To była prawda, oboje o tym wiedzieli. Dalsze zatrudnienie Berg gwarantował sam Komendant Główny Policji, który uważał, że instytucja państwowa, a dokładniej wydział zabójstw, ponosi część odpowiedzialności za to, jak się obecnie czuje aspirantka. Należało mu przyznać rację. Poza tym zwolnienie Pauline z pewnością spotkałoby się z nieprzychylnymi komentarzami w prasie i Simonsen był przekonany, że właśnie takie obawy stanowiły prawdziwy powód ludzkiego podejścia komendanta. Jednak niezależnie od prawdziwej przyczyny Berg koniec końców zyskała niemal nieograniczoną możliwość, by zachowywać się tak, jak miała ochotę. Co zresztą naprawdę wykorzystywała. Ostatnio na przykład podczas próby przesłuchania leśniczego z Halsnæs w tej urojonej sprawie Juli, której Simonsen nie potrafił jej wybić z głowy ani prośbą, ani groźbą, co regularnie stawiało jego samego i cały wywiad w kiepskim świetle.

Powiedział jej to, zresztą nie pierwszy raz, a ona jak zwykle wykazała się zrozumieniem dla jego stanowiska, jak je irytująco nazwała. Uznała przy okazji, że on również powinien wykazać więcej empatii względem jej postępowania. Zdecydowała, że sprawa Juli ma dla niej sens. Może dla innych nie, ale dla niej bez wątplenia tak. A niewiele rzeczy w jej życiu miało teraz sens. W rzeczywistości jej obecna egzystencja była koszmarna, koszmarna i trywialna jednocześnie, ale nie oczekiwała, że szef to zrozumie. Jak niby miałoby się to stać, skoro nie był nią? Jednak sprawa Juli miała dla niej sens. Zwłaszcza teraz, skoro wznowiono śledztwo, zamiast zignorować okoliczności śmierci kobiety, przemilczeć je tak, jak milczano na temat losu samej Berg.

Simonsen pomyślał, że ta „upominająca” rozmowa przebiegała gorzej, niż się spodziewał. Gdyby chociaż krzyczała, robiła sceny, stroiła

fochy jak zwykle, ale to tutaj... Nie był psychologiem, są przecież jakieś granice tego, co on jako szef... No więc, co on miał z tym zrobić? Wyjść z własnego biura? Powiedzieć, żeby spadała, przekonać ją, że się myli, a może pomóc jej w tej nieistniejącej sprawie? Nagle uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, jak zakończyć tę rozmowę.

- Za chwilę mam spotkanie, wrócimy do tematu przy innej okazji - oznajmił.

- Nie, nie masz, i owszem, wrócimy.

Nadal zachowywała się spokojnie, wydawała się nadzwyczaj pewna siebie i niewzruszona. Zaczął się zastanawiać, czy jest na tabletkach.

Rozdział 48

Operator NewTalkInTown miał siedzibę w dwóch budynkach z żółtej cegły, w Ballerup, w okolicy pomiędzy obwodnicą Ring 4 a Herlev, nazywanej powszechnie Duńską Doliną Krzemową. Hrabianka zaparkowała na miejscu dla gości i stwierdziła z satysfakcją, że radiowóz już przyjechał na miejsce. Dwóch funkcjonariuszy czekało na nią obok pojazdu, tuż przy miejscu parkingowym. Poświeciła dziesięć minut na rozmowę z umundurowanym personelem, przez cały czas dokładając starań, aby ruchem ręki wskazywać na budynek przed nimi, z którego już teraz wyglądały zaciekawione twarze.

Przed wejściem do głównego budynku stała grupka pracowników palących papierosy. Na grządkach po obu stronach chodnika walały się niedopałki - żółtawe filtry w różnym stopniu rozkładu, porozrzucane pomiędzy ciernistymi krzewami ognika. Kilka metrów od palaczy czekał jakiś mężczyzna. Pojawił się, gdy rozmawiała z funkcjonariuszami, więc nietrudno było się domyślić, że to jej osoba kontaktowa. Na odległość wyczuwała jego zdenerwowanie. „Szopka z policjantami po raz kolejny nie zawiodła”, pomyślała Hrabianka, przedstawiając się z wigorem i podając mu rękę.

Mężczyzna był przed czterdziestką, miał przeciętną figurę i wygląd, ale uścisk dłoni wilgotny, jakby się dotykało ryby. Dyskretnie wytarła dłoń o lędźwie. Przedstawił się, podkreślając zajmowane stanowisko. Był głównym programistą. Następnie przekazał jej cztery spięte kartki, które wyjął z kieszeni. Jego dłoń drżała. Hrabianka zerknęła na notatki, nagłówek brzmiał: POPRAWNE DANE! Napisano go czerwonym tuszem i dużą czcionką. Przekartkowała dokumenty i stwierdziła, że stanowią wyciąg rozmów telefonicznych Frodego Ottona. Wyglądały jak te, które już знаła, z wyjątkiem numeru pani ambasador zastąpionego jakimś innym. Wskazała palcem na nowy numer.

- Czy ten numer należy do was? - zapytała.

- Nie, do Telii. Musi pani rozmawiać z nimi, jeżeli chce się pani dowiedzieć czegoś więcej.

- A skąd ten wcześniejszy błąd?

Mężczyzna zaczął się pocić i z trudem wydukał odpowiedź.

- Ktoś zmienił kod naszego programu do wydruków. Ale nie da się ustalić, kto to zrobił. To niemożliwe.

- Aha.

- Nigdy! - Podniósł głos o kilka tonów.

- W takim razie nie mam wyboru. Musi pan pojechać ze mną na komendę - oznajmiła cicho.

Nie zareagował na jej pośrednie oskarżenie, tylko powtórzył, że niczego nie będzie mogła udowodnić. Zaprowadziła go do swojego samochodu i pracowała nad nim z pół godziny: kusiła go, groziła mu, a nawet próbowała przemówić do rozsądku, ale na nic się to wszystko zdało.

- Niczego nie uda się pani udowodnić. - Z trudem wypowiadał słowa, tak bardzo drżał mu głos, ale mimo to nadal uparcie trwał przy swoim. To było jak rozmowa z dzieckiem. Pocił się i kulił w sobie, a i tak się zapierał: - Niczego pani nie udowodni, to niemożliwe.

Nawet krótka wizyta u dyrektora głównego programisty nie pomogła. Przełożony uprzejmie, acz stanowczo odmówił udziału w jakiegokolwiek formie przesłuchania swojego pracownika. Hrabianka wracała do komendy mocno rozeźlona.

Sprawa lasu Hanehoved wyraźnie traciła impet. Simonsen przesłuchał funkcjonariusza, który 19 marca 2008 roku uczestniczył w policyjnej inspekcji z paragrafu dwudziestego drugiego na północ od Lyngge w północnej Zelandii. Rozmowa przebiegła w swobodnej atmosferze, polubił faceta, który dokładał wszelkich starań, żeby sobie przypomnieć coś ponad to, co faktycznie zapamiętał, czyli widok Afrykanki na tylnym siedzeniu samochodu. Przypuszczalnie samochód należał do drogich i najpewniej siedziało w nim dwóch mężczyzn - na miejscu kierowcy i pasażera z przodu - ale pewności nie miał. Jego pamięć i tak była godna podziwu. Inspektor zaczął rozmowę właśnie od takiego stwierdzenia. Wyjaśnienie funkcjonariusza okazało się proste i wiarygodne. Dziewiętnastego marca przypadała rocznica jego ślubu i właśnie tego dnia jego żona, przypadkowo przejeżdżając tamtędy, została zatrzymana i skierowana do kontroli. Chodziło o zbadanie stanu technicznego pojazdu, ale oczywiście nie on się tym zajmował. Auto nie

było najnowsze i zostało zakwalifikowane do przeglądu. Później rozmawiali z żoną o tym, że to fatalny sposób na świętowanie rocznicy ślubu. Dlatego zapamiętał ten dzień. Dlaczego natomiast utkwiała mu w pamięci Afrykanka, tego nie potrafił wyjaśnić, poza tym, że oczywiście różniła się od pozostałych z powodu koloru skóry.

Zeznanie świadka potwierdziło datę i godzinę popełnienia zabójstwa, ale nie wniosło nic poza tym, ponieważ funkcjonariusz mimo najszczerzych chęci nie był w stanie przypomnieć sobie żadnych dodatkowych szczegółów. Nie pomogła nawet rekonstrukcja twarzy ofiary. To mogła być ona, ale też nie musiała, po prostu nie wiedział.

Simonsen poświęcił mu godzinę, a potem się poddał.

Został im tylko numer telefonu, który otrzymała Hrabianka podczas swojej wizyty w NewTalkInTown, oraz główny programista i gwałciciel, ale obaj wzbraniali się przed podzieleniem się z policją swoją wiedzą.

Tak więc numer telefonu wciąż pozostawał najlepszym tropem, aby popchnąć sprawę do przodu. Numer, jak ustaliła Hrabianka, należał do Telii, a podobne pakiety sprzedawano w kioskach i na stacjach benzynowych już od 2005 roku. Klient oczywiście nie został zarejestrowany, a operator nie potrafił powiedzieć nic, poza tym, że karta regularnie – mniej więcej dwa razy w miesiącu – była doładowywana na kwotę około stu koron. Doładowanie najczęściej kupowano w Roskilde, ale nie można było ustalić, w którym sklepie. Nie mówiąc już o tym, kto dokonywał zakupu.

Hrabianka zamknęła się w swoim gabinecie i przekręciła klucz w drzwiach, co robiła nadzwyczaj rzadko. W przypadku większych operatorów, na przykład TDC czy Telii, miała swoje kontakty, dzięki którym od czasu do czasu udawało się jej pozyskać informacje, do których ściśle rzecz biorąc, wydział zabójstw nie miał prawa dostępu. Zazwyczaj ich zdobycie wymagało nacisku o odpowiedniej sile, w tym wypadku bardzo stanowczego. Mężczyzna, z którym rozmawiała, ostro zaprotestował:

- Żeby ustalić, kto kontaktował się z interesującym panią numerem, będę musiał przeszukać całą naszą bazę. Tego nie da się zrobić ot tak, po prostu.

Hrabianka znakomicie to rozumiała i była naprawdę bardzo wdzięczna.

- A poza tym to surowo zabronione.

- Potrzebuję tylko nazwisk trzech osób, z którymi użytkownik interesującego mnie numeru rozmawiał najczęściej. Nic poza tym.

- Nic poza tym! To i tak sporo - usłyszała w odpowiedzi.

Zaśmiała się i użyła wszystkich sensownych argumentów.

Oddzwonił po godzinie, nadal nieco obrażony i lakoniczny. Powtarzała się tylko jedna osoba, za to kontakt nawiązywano regularnie - dwa, trzy razy dziennie. Hrabianka otrzymała nazwisko i wylewnie podziękowała. Rozłączył się.

Rozdział 49

Fakty są takie, że hipochondrycy uwielbiają porady medyczne, a ludzie z lękiem przed lataniem nierzadko okazują się stałymi widzami audycji telewizyjnych o katastrofach lotniczych. Podobnie było w przypadku Svenda Lerchego. Jego główny obiekt awersji nazywał się Helena Holt Andersen, która była polityczką od dziesięciu lat walczącą o to, żeby Dania, podobnie jak Norwegia i Szwecja, wprowadziła ustawę zabraniającą płatnego seksu. Warto podkreślić, że chodziło o ukaranie klientów, a nie prostytutek. Gdyby ta ustawa została uchwalona, w bardzo efektywny sposób zniszczyłaby lukratywny biznes Lerchego. Brak klientów dla afrykańskich opiekunek do dzieci, którymi zarządzała Karinę Larsen, oznaczałoby brak brudnych pieniędzy do prania w Akademii Pokera, co w najlepszym przypadku oznaczałoby jeszcze większe niż obecnie uzależnienie od Bjarnego Fabriciusa. W najgorszym wypadku Lerche musiałby zwijać interes.

Holt Andersen występowała w studiu telewizyjnym, w programie Deadline emitowanym przez kanał DR2, biorąc udział w debacie przy okrągłym stole. Nie był to jej pierwszy występ i za każdym razem Lerche czekał na kolejne audycje z rosnącym wzburzeniem.

- Svendie, nie przejmuj się tak. Duńczycy przecież nadal będą chcieli kupować te swoje cipki, żaden polityk tego nie zmieni - próbowała go uspokajać żona.

Lerche nalał sobie whisky, już drugą szklankę w ciągu ostatniej pół godziny. Zaproponował również swojej córce, obdarzając ją pytającym spojrzeniem i wskazując na butelkę. Benedikte siedziała w fotelu po jego prawej stronie i potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję - powiedziała.

Wtedy Lerche z irytacją pouczył swoją żonę:

- Nie chodzi o to, czego chcą Duńczycy, tylko o to, czego domaga się parlament. Szlag by to trafił, skończy się na tym, że ta suka dopnie swego.

- Ale nie mogą uchwalić ustawy, jeżeli ludzie będą jej przeciwni.

- Owszem, droga mamó, mogą - oznajmiła z przesadną słodyczą Benedikte, przejmując pałeczkę.

Zawsze starała się, żeby nie stracić okazji i móc poobserwować ojca śledzącego Holt Andersen. Celowo zeszła na dół całą godzinę wcześniej, by nic jej nie umknęło. Siedziała teraz wygodnie w swoim fotelu, zwróconym w taki sposób, żeby mieć widok na telewizor i Lerchego. Doskonale zdawał sobie sprawę, że przyszła tu po to, by przyjrzeć się jego złości, a mimo to akceptował jej obecność, gdyż córka wciąż stanowiła dużo lepszą publiczność dla jego wybuchu agresji niż żona, która nie potrafiła zrozumieć najprostszych mechanizmów społecznych.

- Co ty, do licha, poczniesz, jeżeli pewnego dnia uda jej się zebrać większość? - warknął w stronę Benedikte.

- Większość gdzie?

Larsen po raz kolejny wykazała się ignorancją, ale zarówno jej mąż, jak i córka zignorowali pytanie.

- Nasz plan B to pływający burdel - luksusowy jacht na wodach międzynarodowych ze stałym połączeniem motorówkami z Kopenhagi, Malmö i Helsingør - oświadczyła chwilę później Benedikte.

- Svendie, to przecież doskonały pomysł. Przy okazji nabędziemy jacht, zawsze o tym marzyłam. - Zachwycona pani Larsen natychmiast włączyła się do rozmowy.

- W takim razie umowa stoi. Zaraz zamówię opinię z Instytutu Prawa na temat międzynarodowych aspektów prawnych takiego biznesu. Możemy zacząć za kilka tygodni. Mamó, może już teraz mogłabyś się rozejrzeć za jakimiś tańszymi kamizelkami ratunkowymi i jachtem?

- Benedikte, przestań pieprzyć. Zaczynamy oglądać.

Nareszcie na ekranie zawitała Andersen. Program zaczął się od krótkiego ulicznego klipu z miejsca określanego jako kopenhaska dzielnica czerwonych latarni: młoda kobieta w obcisłej spódnicy i na wysokich obcasach przechadzała się tam i z powrotem po zalanym deszczem chodniku, a widzowie zostali nakarmieni statystykami. W Danii żyło trzysta tysięcy mężczyzn, którzy regularnie bądź często kupowali usługi seksualne. Sąsiedzi Duńczyków, Norwegia i Szwecja, zabronili płatnego seksu. Co roku sutenerzy zarabiali miliardy na imporcie kobiet z innych części świata do Europy. Przedstawiono

jeszcze kilka innych informacji, większość i tak powszechnie znanych, same nudy. Gdy zwiastun dobiegł końca, kamera skupiła się wreszcie na Helenie Holt Andersen, podczas gdy prezydent profesjonalnie zaangażowanym tonem wprowadził w temat debaty, podkreślając wagę poruszanego problemu.

- Ale z niej pewna siebie moralizatorska krowa - wysyczał Lerche.

- Svendie, a kim jest ta druga osoba? To też jakaś polityczka?

- Kobieta reprezentuje twoje importowane współpracownice, mamó. Jest dawną prostytutką, tak jak ty.

Gdy Lerche-Larsen wróciła do siebie na górę, zadzwoniła do Fabriciusa, żeby złożyć mu cotygodniowy raport. Naśmiewając się, w ramach ciekawostki, zakończyła opowieścią o wściekłości ojca z powodu debaty, w której udział wzięła Holt Andersen. Jednak Fabriciusa bynajmniej to nie ubawiło.

- Czy Svend zaczyna tracić nad sobą kontrolę, czy właśnie to próbujesz mi teraz powiedzieć? - zapytał chłodno.

- Nie, zupełnie nie o to chodzi. Ta kobieta po prostu działa mu na nerwy, ona i urząd skarbowy to jego ulubione obiekty nienawiści.

- I co on zamierza z tym zrobić?

- Zakładam, że nic - odparła Benedikte z namysłem. - A co miałyby zrobić?

- To, o czym mówisz, a mianowicie nic. W przeciwnym wypadku znajdziemy się w trudnej sytuacji. Liczę, że ma tego świadomość.

- Oczywiście. Nie jest głupi, tylko pobudliwy.

Fabricius powtórzył swoje słowa. Czas zabawy się skończył. Lerche-Larsen potrzebowała jeszcze co najmniej godziny, żeby przygotować się do jutrzejszych zajęć.

Rozdział 50

Henrik Krag wraz z przyjaciółmi oglądał mecz – nagrałą powtórkę z Anfield, rozgrywkę między Liverpooliem a Manchesterem United. Mecz, którego przegranej nie udźwignęliby kibice żadnej ze stron. I tak zrodził się konflikt między czterema mężczyznami, którzy dwuosobowych grupach kibicowali przeciwnym drużynom. Mieszkanie wypełniały okrzyki i wiwaty – chodziło o to, żeby móc się potem chwalić zwycięstwem swojego faworyta przez najbliższe pół roku, do czasu kolejnego spotkania między dwoma arcywrogimi klubami. W przerwie z werwą dyskutowano o przebiegu meczu.

- Nie pojmuję, dlaczego mamy kwadrans przerwy, skoro to powtórka. Przecież to bez sensu.

- Kurwa, niewiele brakowało, żebyśmy zdobyli przewagę. Podasz mi piwo?

- Henriku, dlaczego tak zwiesiłeś głowę? Czyżby te twoje pieprzone dupki miały znowu przerznąć?

Krag zaprzeczył, nic mu na ten temat nie było wiadomo. Zerknął na zapasy piwa, które szybko znikają.

- Czy ktoś z was nie mógłby załatwić więcej piwa? - zapytał. - Zaraz nam zabraknie - zauważył.

Goście natychmiast zrozumieli powagę problemu i jeden z nich, ten mieszkający w sąsiedniej klatce, podniósł się zdecydowanym ruchem. Wrócił chwilę później z sześciopakiem i w towarzystwie Benedikte Lerche-Larsen.

Krag miał przez moment dylemat, jednak piłka nożna zwyciężyła. Było to widać, jak tylko wznowiono mecz, a Henrik oraz jego koledzy ponownie skupili uwagę na telewizorze. Benedikte przyjęła swoją porażkę ze stoickim spokojem, co go dość zdziwiło. Ambicja, aby znajdować się w centrum uwagi, należała w końcu do jej dominujących cech. Ale dziś dziewczyna najwyraźniej sobie odpuściła. Stała przez chwilę, rozglądając się wokół, po czym wzruszyła ramionami, akceptując sytuację, a następnie starannie rosznurowała buty i je

zdjęła. Sięgnęła do stolika na kawę po szalik w biało-czerwonych barwach, a potem opadła na sofę w miejscu, które wcześniej zwolnił mężczyzna, który wyszedł po piwo. Nachalnie ułożyła głowę na kolanach Kraga, a on podłożył jej jeszcze poduszkę.

- Nie dostałem jeszcze swojego zadania, jeżeli przyszłaś, żeby o to zapytać - mruknął w trakcie oglądania.

- Przychodzę, kiedy mam na to ochotę, i nie zamierzam słuchać niczego o twoim zadaniu, dopóki go nie wykonasz - szepnęła w odpowiedzi.

- Czyli nic nie mogę ci powiedzieć?

- Nie, zresztą takie wytyczne dostaniesz od Idy. Tak było ostatnio ze mną.

- Przecież nikt się nie dowie, że z tobą rozmawiałem.

Pokręciła zdecydowanie głową.

- Obudź mnie, jak skończycie z tymi sportowymi bzdurami - poleciła.

Potem rozwinęła szalik i przykryła nim sobie głowę, żeby nie musieć dłużej rozmawiać.

Tradycyjna końcowa faza meczowych nasiadówek została tym razem pominięta z powodu wizyty Benedikte. Trzech przyjaciół ograniczyło się do niezobowiązującej konwersacji, a kibice zwycięskiej drużyny powstrzymali się od większych kpin. Nie pojawiły się nawet żadne sprośne komentarze ani wymowne grymasy. Krag zdjął szalik z twarzy dziewczyny i kilkakrotnie delikatnie nią potrząsnął, ale efekt był taki, że tylko chwyciła go za dłoń, obróciła się na brzuch i schowała twarz w poduszkę, osłaniając się od światła. Pozwolił jej spać, a jeden z kolegów przyniósł kołdrę i nakrył nią dziewczynę. Przyjaciele pożegnali się bardziej gestami niż słowami, zgasili światło i wyszli.

Krag siedział w bezruchu, napawając się chwilą, zdecydowany, by czuć przy Benedikte. Może później będzie mógł pogłaskać ją po włosach - ostrożnie i dopiero wtedy, gdy już się upewni, że dziewczyna śpi. Albo jeszcze lepiej - spróbuje powąchać jej perfumy, tak całkiem z bliska, najlepiej tuż przy szyi, jeżeli zdobędzie się na odwagę. Te zuchwałe plany sprawiły, że przymknął oczy, a marzenia na jawie zaczęły mieszać się z myślami, których nie potrafił kontrolować. Po chwili jego głowa mimowolnie opadła i zapadł w drzemkę.

Obudził się gwałtownie, gdy obróciła się na bok, pociągając go za dłoń. Tuliła ją do siebie niczym pluszaka, aż poczuł jej oddech na kłykciach. W górnej części okna odbijał się garbaty księżyc, a jego blask oświetlał jej twarz. Ostrożnie przesunął palcem wskazującym najpierw po czole, następnie po skroniach, kości policzkowej, grzbiecie nosa i ustach. A potem z powrotem. Oddychała głęboko, od czasu do czasu wydając z siebie słabe westchnienie, a wtedy jego palec zastygał na moment, by po chwili kontynuować wędrówkę. Myślał o tym, jak bardzo różniła się od tych wszystkich innych dziewczyn, które znał, oraz z pewnością tych, które jeszcze pozna. Była inna – nieosiągalna, odległa – a mimo to leżała teraz w jego domu, żywa i piękna, choć to wszystko wydawało się takie niepojęte. Wyciągnął dłoń, aby ponownie ją pogłaskać, ale nie zdążył, bo właśnie w tym momencie przekręciła się na plecy. Znieruchomiał, gdy przycisnęła jego dłoń do swojej piersi, a roztrzęsiony głos w jego głowie zaczął bić na alarm. Adrenalina pompowała krew w żyłach. Szybko zacisnął dłoń na jej dwóch palcach z obawy, że dziewczyna się obudzi i uzna, że Krag obmacuje ją podczas snu. Spłoszył na samą myśl i już miał przeprosić, ale zdążył ugryźć się w język. Przypadkowo ich kciuki zetknęły się ze sobą, opuszek z opuszkiem, a kiedy odsunął swój, zorientował się, że jej palec poruszył się w ten sam sposób. Powtórzył ruch – z tym samym rezultatem. Niewerbalna komunikacja czy przypadkowe reakcje? Ostrożnie wyprostował palec wskazujący, a wtedy ona również przybliżyła swój. Ponownie kciuk, potem palec wskazujący, a następnie mały doczekały się odpowiedzi. Dopiero wtedy to dostrzegł: grymas uśmiechu na jej twarzy i przymknięte oczy. Jego dłoń nabrała odwagi. Benedikte pomogła mu rozpiąć swoją bluzkę, a potem zdjęć biustonosz. Po chwili wcisnął się na miejsce obok niej i poczuł, jak dziewczyna proszącym gestem wygina podbrzusze w łuk i drży pod wpływem jego nadal niepewnego dotyku. Potem dostrzegł irokeza z włosów łonowych na tle gładko ogolonej skóry. Synapsy eksplodowały w jego mózgu, gdy pomyślał o miękkim cieple i wilgotnym wnętrzu. Później nastąpiła szamotanina, gdy nieporadnie zaczęli zdzierać z siebie ubrania. A potem, gdy już się na niej położył, przyszedł czas na pierwsze pocałunki – niewprawne, głodne, a potem...

Potem nie było już nic!

Kompletnie nic z wyjątkiem upokarzającej wiotkości i niezrozumiałej zdrady ze strony jego ciała, gdy czas szuflował kolejne żalosne sekundy, a on jak zwykle nic z tego nie rozumiał.

Całą wieczność siedział przy jej stopach, pozwalając, aby karał go chłód. W końcu przyciągnęła go do siebie i podzieliła się z nim kołdrą. Długo tak leżeli, wreszcie po jakimś czasie odwróciła głowę i wyszeptła mu do ucha:

- Kiedy spełniają się marzenia, czasem trudno je kontrolować. - Jej głos wydawał się czuły, niemal pocieszający.

Wstała i się ubrała, a on nadal leżał, zobojętniały na wszystko, nawet na to, że być może sobie pójdzie, chociaż jeszcze tego nie zrobiła. Zamiast tego przyniosła poduszkę i wróciła na sofę. Role się odwróciły, teraz to on leżał z głową na jej kolanach. Przez pewien czas głąskała go czule i ostrożnie, jakby był dzieckiem. W końcu popukała go palcem wskazującym po nosie i odezwała się cicho:

- Henriku, będzie jeszcze inna okazja. Czuję to. I przestań sobie robić wyrzuty, takie rzeczy już się zdarzały, gdy byłam z pewnymi mężczyznami po raz pierwszy. Zwykle z takimi, którym bardzo się podobałam.

Nic na to nie odpowiedział, a ona ciągnęła dalej:

- Gdy miałam cztery, może pięć lat, ojciec wymyślił nam pewną zabawę. Podnosił mnie i ustawiał na stole, a potem odchodził na pół metra i wyciągał do mnie ramiona. Przekonywał, żebym do niego zeskoczyła. Zapewniał, że na pewno mnie złapie, że nie ma się czego bać, że będzie na mnie uważał. Było niebezpiecznie, wysoko, ale w końcu...

Poczuł, jak jej ciało się napina, a gdy milczenie się przedłużało, spytał ostrożnie:

- I co, skoczyłaś?

- „Benedikte, nigdy nikomu nie ufaj, nikomu”. Tak powiedział, gdy już przestałam płakać. A potem miałam powtórzyć jego słowa. Nigdy nikomu nie ufaj, nikomu. Kolejny raz musiał się bardziej nagimnastykować, zanim uwierzyłam, że właśnie ten dzień będzie wyjątkowy, że mnie pochwyci, tak jak obiecał. Jednak w końcu pojęłam lekcję. Niezależnie od tego, co mi wmawiał i obiecywał, już więcej nie skoczyłam. Matka bardzo mnie chwaliła, on nie.

- Co za dupek. Boisz się go?

- Tylko w snach.

Cisza się przedłużała, aż w końcu dziewczyna znów się odezwała:

- Jestem w takiej staroświeckiej karczmie w lesie. Ludzie odpoczywają na ławkach na zewnątrz, korzystając z ładnej pogody. Zupełnie przeciętni ludzie, głównie chłopcy ze swoimi dobrze wychowanymi dziećmi - chłopcy w marynarskich strojach, dziewczynki z czerwonymi wstążkami w warkoczach. Stoliki są pięknie nakryte prostymi obrusami w biało-niebieską kratkę, na dziedzińcu rozwieszono wieczorne oświetlenie, za ogrodzeniem wolno toczy się bryczka zaprzęgnięta w dwa konie. Czarny pies macha ogonem. Wszyscy dobrze się bawią, lokalni mieszkańcy piją piwo z dużych szklanek, kilku zagranicznych turystów, nieszczęśliwie pasujących do tego miejsca, popijają wino.

- Muszę przyznać, że pamiętasz sporo szczegółów.

- Śniłam ten sen wielokrotnie i początek jest taki cudowny. Jakiś młody mężczyzna wstaje i zaczyna śpiewać. Wydaje się taki prawdziwy w tej swojej beżowej koszuli i skórzanym pasku, ma białe zęby i chustę skautowską zawiązaną niczym krawat. Bije od niego blask. Piosenka brzmi donośnie i czysto, bez akompaniamentu muzyki. Wydaje się, jakby śpiewał tylko dla mnie - cudowną, podnoszącą na duchu piosenkę o przyszłości. Wtedy wydarza się coś fantastycznego: ludzie w różnym wieku dają się ponieść tej atmosferze, wstają, jeden po drugim, a potem zaczynają śpiewać chórem. Ja również, jestem jedną z pierwszych osób, które się przyłączają. Tworzymy jedną wielką wspólnotę, nawet ta spięta kobieta u mojego boku, ubrana w błękitny kostium i pasujący do niego kapelusz, ona też się temu poddaje. Na swoim miejscu pozostaje tylko jeden stary, zniedołężniały robotnik w tanich okularach i z obwisłymi zmarszczkami. To bez znaczenia, bo i tak ledwo ma siłę, aby unieść swój kufel, więc możemy go sobie darować. Śpiewak, wykonując ostatnie zwrotki, entuzjastycznie pozdrawia swoją publiczność, a ludzie odpowiadają mu tym samym. Czuję w ciele cudowny spokój i wiarę w to, że przyszłość należy do mnie, a wszystko rysuje się w jasnych barwach.

- To rzeczywiście bardzo przyjemny sen, też chciałbym tak śnić.

- To prawda, ale jest miły do czasu, aż pojawia się mój ojciec, a on wkracza właśnie teraz. We wstrętnym ubraniu, z pomalowaną na białą twarzą i przyczernionymi brwiami, które unoszą się do góry i łączą, tworząc czubek wyglądający jak róg. Taki pół diabeł, pół klaun, a ja nienawidzę klaunów. Siada tam i zaczyna się do mnie diabolicznie uśmiechać, bo dobrze wie, że... spadnę i się uderzę. Cała moja radość znika, a kolana i łokcie pieką mnie z bólu.

Krag uniósł się nieznacznie i przybliżył do Benedikte.

- To może dlatego jesteś czasami taka zjadliwa? - zapytał.

- Co masz na myśli? Naprawdę? - Jej zdziwienie wyglądało na szczere.

- Tak.

- Myślę, że nie potrafię znieść zdrady. Jan mi to uświadomił, a on znał mnie od małego. Dochodzę do wniosku, że miał rację.

- Jan Podowski?

- Właśnie.

- Tęsknisz za nim?

- Czasami. To dziwne, że już go tu nie ma. Takie niewłaściwe.

- Ja cię nie zdradzę.

- Obiecaj mi to jeszcze raz.

Powtórzył.

Łzy spływały jej po policzkach, a jedna skapnęła i uderzyła o dłoń Henrika. Usiadł i zaczął ostrożnie całować jej oczy - najpierw jedno, potem nos, a później drugie. Smakowała solą, drogą perfumowaną solą. Po chwili mocno ją przytulił i omal sam się nie rozplakał - to wszystko wydawało się takie bezsensowne.

Rozdział 51

- To żadne rozwiązanie, żeby wykluczać ze społeczeństwa ludzi z problemami psychicznymi tylko dlatego, że tak jest najłatwiej. I cieszę się, że kierownictwo policji jest tego samego zdania. Możecie sobie z Simonem narzekać do woli, ale to i tak nic nie da. Pauline pozostanie tam, gdzie jest, i całe szczęście. - Hrabianka podkreśliła wagę swoich słów, uderzając lekko obiema dłońmi o kierownicę i zerkając z ukosa na Pedersena siedzącego obok niej.

Sprzeciali się przez większość trasy, niezbyt mocno, ale wystarczająco, żeby można było wyczuć napiętą atmosferę. Jak zwykle chodziło o aspirantkę Berg.

- Wygląda na to, że jesteśmy na miejscu - zakończył dyskusję Pedersen.

I rzeczywiście dotarli do celu. Właśnie minęli wzniesienie, z którego roztaczał się znakomity widok na ich miejsce docelowe. Wioska Karlslille składała się z jedenastu domostw, rozlokowanych wokół sadzawki. W promieniach słońca widok można by z pewnością uznać za idylliczny, ale w tym momencie prezentował się dość smutno. Z deprymująco szarego nieba kropił drobny deszcz - nieciekawa, brzydka, senna pogoda.

Na dole wzniesienia Hrabianka skrzyła w prawo zaraz za tablicą z nazwą miejscowości, a chwilę później ponownie. Zaparkowała przed dwukondygnacyjną willą, nieco oddaloną od drogi. Był to budynek po opuszczonej wiejskiej szkole z czerwonej cegły i z frontonem na pierwszym piętrze oraz gipsowym reliefem, na którym wryto napis: „rok 1903”. Policjantka wysiadła z samochodu i zaczęła się przyglądać zabudowaniom. Dach pokryto szaroczarnym naturalnym łupkiem, a ścianę szczytową, wzdłuż rynny dachowej, oplatały najmłodsze pędy bluszczu. Ogród na tyłach domu, przynajmniej z miejsca, w którym stała Hrabianka, wydawał się niewielki w stosunku do budynku, ale został odgradzony masywnym płotem.

- Idziemy już? - zapytał krótko Pedersen, żeby ją pośpieszyć.

Pozostała jednak na miejscu dłużej, niż było to konieczne, aby mu dać do zrozumienia, że nikt nie będzie jej poganiał.

Drzwi otworzyła im piękna kobieta. Średniego wzrostu, o szczupłej sylwetce i twarzy, która przywodziła na myśl klasyczne greckie rzeźby. Srebrnosiwe włosy sięgały jej do ramion, układając się w loki, i choć przykuwały uwagę, bardzo do niej pasowały. Trudno było określić jej wiek, Hrabianka dawała jej około pięćdziesiątki, ale mogła być też starsza. Dopiero po kilku sekundach funkcjonariusze dostrzegli w jej oczach białawą błonę. Kobieta była niewidoma.

- Kto tam?

Miała niski, nieco ochryply i pełen życzliwości głos. Pedersen zdążył pomyśleć, że to dość dziwne, biorąc pod uwagę, jaka była delikatna. Wtedy w drzwiach pojawiła się głowa. Policjanci cofnęli się o krok, niejako odruchowo.

Pies wydawał się gigantyczny, przyglądał się funkcjonariuszom znad ciężkich powiek – ani agresywnie, ani uprzejmie.

Hrabianka przedstawiła przybyłych, a potem zapytała:

- Silje Esper?

Kobieta potwierdziła i zgodziła się na rozmowę, ale nie zaprosiła ich do środka.

- Macie jakąś legitymację? Chciałabym ją najpierw zobaczyć. - Użyła „zobaczyć”, a jednocześnie wyciągnęła rękę.

Hrabianka wyjęła z torebki policyjną odznakę i włożyła ją do jej dłoni. Kobieta macała ją opuszkami palców, bez pośpiechu, a potem oddała przedmiot z powrotem.

- Zapomniałem swojej legitymacji. Bardzo mi przykro – wyjaśnił przepaszającym tonem Pedersen.

Kobieta posłała mu piękny uśmiech, to było bez znaczenia, jedna jej wystarczyła. Potem otworzyła drzwi i wydała psu krótką komendę:

- Stado.

Czworonóg pozostał na miejscu, ale natychmiast zmienił swoje zachowanie i zaczął machać ogonem.

- Nie obawiajcie się Madsa, nic wam nie zrobi. Jeżeli będzie was trącał, dajcie mu po nosie.

Poszli za nią, przechodząc przez pomieszczenie gospodarcze i kuchnię. Mads podążał jako ostatni i rzeczywiście kilkakrotnie trącił

Pedersena w plecy. Gdy już wrócili do wydziału zabójstw, funkcjonariusz twierdził, że między łopatki, ale to była przesada. Pozostało jednak faktem, że Pedersen nie miał najmniejszej ochoty, aby dać Madsowi po nosie, jak to zasugerowała jego pani. Gdy weszli do salonu, pani Esper zaproponowała im miejsca na sofie, a sama zasiadła w fotelu naprzeciwko. Mads położył się w rogu, z głową na łapach, i najwyraźniej zapadł w drzemkę. Hrabianka zaczęła od psa:

- Ma pani w domu całkiem spore zwierzę. Nigdy wcześniej nie widziałam takiego wielkiego psa. Co to za rasa? Nie potrafisz określić.

- Krzyżówka owczarka francuskiego briarda i doga niemieckiego. To prawda, jest ogromny, ale to najlepszy pies na świecie. Pilnuje swojego stada i dlatego tak od czasu do czasu trąca nosem, stado powinno trzymać się w kupie, pies ma to w genach.

- A co, jeżeli nie należy się do stada? - zapytał ostrożnie policjant.

- Jeżeli ktoś jest wrogiem, to znaczy kimś, który zagraża jego stadu, to pies stara się go zabić - odparła natychmiast rozmówczyni. - Ale dosyć o Madsie, sądzę, że przyjechaliście tutaj z powodu Philipa.

- Jak Philip ma na nazwisko? - zapytał Pedersen.

Pani Esper odpowiedziała mu po chwili zawahania. Pełne imię i nazwisko brzmiało Philip Sander, ale teraz była chyba ich kolej na wyjaśnienia.

Hrabianka wytłumaczyła, w jaki sposób dotarli do jej numeru telefonu na podstawie billingów innego numeru. Poinformowała również o tle całej sprawy, zwięźle relacjonując wydarzenia z lasu Hanehoved oraz podpalenie chatki myśliwskiej i postawienie nowej. Esper słuchała, nie przerywając. Gdy policjantka skończyła, gospodyni przez chwilę siedziała nieruchomo, wpatrując się przed siebie niewidomym wzrokiem. Żadne z funkcjonariuszy nie przerwało ciszy, ale Mads nieznacznie otworzył jedno oko, jakby wyczuł napięcie w swoim stadzie.

- Od wielu lat czekałam na tę rozmowę, dwanaście, może trzynaście, jeżeli miałabym być dokładna.

Jej opowieść brzmiała zaskakująco. Philip Sander był jej partnerem i mieszkali razem przez ponad siedem lat. Bez problemu rozpoznała numer telefonu, bo często pod niego dzwoniła. I to by było na tyle, jeżeli chodzi o normalność w ich związku.

- Philip prowadził podwójne życie i zdecydowanie oddzielał jedno od drugiego. Jedno ze mną i drugie, którego nie poznałam. Już na samym początku, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, a było to w banku i wiązało się ze straszną historią, która na szczęście dobrze się zakończyła, ale o tym mogę opowiedzieć przy innej okazji, no więc od razu dał mi jasno do zrozumienia, że jego praca i to, czym się zajmuje, nie będąc ze mną, należy tylko do niego i nie zamierza się tym ze mną dzielić. „To dwa różne światy, tak będzie najlepiej”. To cytat, jego słowa, pamiętam je wyraźnie. No tak, to były początki, potem się do tego przyzwyczaiłam i już nie pytałam.

- To brzmi bardzo... nietypowo - zauważyła nieufnie Hrabianka.

- To było bardzo nietypowe.

- Było, dlaczego używa pani czasu przeszłego? Czy Philip już tu nie mieszka?

- Myślę, że nie żyje. Albo też jest w więzieniu, a może w szpitalu, ale niestety... czuję, że już go nie ma.

Policjantka miała co najmniej dwadzieścia kolejnych pytań, jedno istotniejsze od drugiego, nie potrafiła ich jednak nawet uporządkować, więc Pedersen przyszedł jej w sukurs:

- A co powie pani na to, żeby pojechać z nami do Komendy Głównej w Kopenhadze? Oczywiście odwieziemy panią potem do domu, ale naprawdę mamy mnóstwo pytań.

Silje Esper zdecydowanie pokręciła głową i stanowczo odmówiła. Nie lubiła obcych miejsc. Zapewniła przy tym, że oni mogą przyjeżdżać tutaj, kiedy tylko będzie taka potrzeba, a ona dołoży wszelkich starań, by im pomóc, nawet jeśli to przypuszczalnie będzie bardzo trudne.

- Co będzie takie trudne? - dopytywała funkcjonariuszka.

- Ustalenie prawdziwego nazwiska Philipa. Zakładam, że właśnie tym jesteście zainteresowani.

Simonsen spierał się ze swoją żoną i Pedersenem. Nie był do końca zadowolony z rezultatów ich wyprawy do Karlslille, a jego frustrację dzielali również Arnold i Berg.

- Nawet nie ustaliliście, kiedy Philip Sander przestał przyjeżdżać do domu? - zwrócił się poirytowany do Pedersena.

- To wszystko jest jakieś niedorzeczne - wtrąciła się Berg. - Dlaczego jej tutaj nie przywieźliście?

Hrabianka próbowała bronić atakowanego Pedersena. Podniosła głos, co nie zdarzało się często, dlatego od razu przykuła uwagę wszystkich zgromadzonych.

- Bo nie można tak po prostu zgarniać ludzi, jeżeli nie mają na to ochoty i nie popełnili żadnego wykroczenia - zwróciła się najpierw do aspirantki. - Szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że nauczyli cię tego w szkole policyjnej. - Potem napadła na swojego męża: - Sam ją o to zapytasz, gdy wybierzemy się tam ponownie, bo to oczywiste, że znowu tam pojedziemy. Arne i ja od samego początku zdawaliśmy sobie z tego sprawę. A teraz po prostu się zamknijcie i posłuchajcie, co udało się nam ustalić.

Malte Borup otworzył drzwi do gabinetu, ale dalej stał w wejściu. Miał ultraczuły radar, który pozwalał błyskawicznie wyczuć kiepski nastój wśród współpracowników Simonsena. I w takich wypadkach, gdy tylko coś takiego zarejestrował, zazwyczaj znikał - albo zajmował się jakimś programem komputerowym, albo po prostu wychodził przy najbliższej okazji.

- Tak? - Hrabianka postanowiła go zachęcić do zabrania głosu.

Szybko zreferował, co ustalili - wśród siedmiu mężczyzn mieszkających w Danii, którzy nazywali się Philip Sander i mieli między czterdzieści a sześćdziesiąt lat, nie było nikogo, kogo można by podejrzewać o spędzenie połowy życia w Karlslille. Ponadto nikt o takim nazwisku nie zmarł w ciągu ostatnich trzech lat. Gdy to wyłuszczył, po prostu sobie poszedł. Policjanci przyjęli te informacje do wiadomości - tego się właściwie spodziewali, chociaż liczyli na coś innego.

Pojawienie się praktykanta ostudziło nieco nastroje i Hrabianka, już spokojnie, mogła przystąpić do zreferowania faktów o Philipie Sanderze i Silje Esper.

Mężczyzna mieszkał z kobietą od 2002 roku, ale nie był zameldowany w Karlslille. Może miał gdzieś wynajęty pokój, może tylko skrytkę pocztową, jego partnerka nic na ten temat nie wiedziała. Pobieżne przeszukanie jej domu pozwoliło zlokalizować różne przedmioty należące do Sandera, ale niestety nigdzie nie znaleziono

żadnych osobistych dokumentów. Pani Esper oszacowała wiek partnera na pięćdziesiąt pięć lat i była tego dość pewna, ale ile dokładnie miał lat, nie potrafiła powiedzieć. Wskazała ponadto, że dorastał w Kopenhadze, ale gdzie dokładnie, również nie miała pojęcia. Podobnie z jego wykształceniem - wiedziała, że zdał maturę, ale nie umiała odpowiedzieć, w której szkole. Podejrzymywała, że zrezygnował z dalszej nauki.

- A co z jego pracą, do cholery? Nie mogła żyć z facetem przez... - przerwał jej poirytowany Arnold.

- Zamknij się, Klavs, i daj jej skończyć. - Tym razem Pedersen postanowił odwdziżyć się Hrabiance za udzielone wcześniej wsparcie.

- Sander ma pracę i to przypuszczalnie tę samą od siedmiu lat. Niestety Esper nie wie jaką, poza tym, że jest stosunkowo dobrze płatna i dość nieregularna. Nie ma własnego samochodu, dlatego często pożycza od niej auto, gdy wyjeżdża o poranku. W tym celu zresztą je nabyła, bo przecież sama i tak nie może prowadzić. Gdy Sander zabiera samochód, parkuje go przy stacji Roskilde, a potem przesiada się na kolejkę. Ma dwa telefony - jeden do prywatnego użytku, i to jest nasz numer, i drugi do załatwiania spraw służbowych. Kobieta nie zna tego ostatniego numeru, wie tylko, że karta SIM często jest wymieniana na nową.

Hrabianka zamilkła, zastanowiła się chwilę, a potem dodała jeszcze kilka mniej istotnych szczegółów. Wszyscy przenieśli wzrok na szefa, jak zwykle w sytuacjach, gdy czuli się rozdarci. Inspektor burknął coś pod nosem i podrapał się kłykiem w skroń.

- Pani Esper nie należy chyba do ciekawskich osób?

Na to pytanie odpowiedziała Hrabianka, uzupełniając wcześniejsze informacje:

- Na początku ich związku obawiała się, że jej partner ma na boku inną kobietę, a może nawet rodzinę. Wtedy jeszcze była i zazdrosna, i ciekawska. Jednak dzisiaj jest przekonana, że nic takiego nie miało miejsca. Zakłada, że żyli na takich zasadach, bo Sander przez te wszystkie lata chciał mieć takie miejsce, o którym nie będą wiedzieć ludzie z jego pracy. Coś w rodzaju azylu, do którego będzie miał codzienny dostęp, a w razie czego również stały, jeśli zajdzie taka

potrzeba. Pani Esper wydaje się też, że partner jest zamieszany w jakieś sprawy kryminalne, ale nie potrafi ani sprecyzować, ani rozwinąć swoich podejrzeń. Sedno sprawy tkwi w tym, że kobieta przez kilka ostatnich lat wspierała Philipa w tej jego grze. Przede wszystkim świadomie unikała tematów związanych z tymi aspektami życia mężczyzny, które nie miały z nią nic wspólnego.

- Wspominała o jakimś pokoju - kryjówce. Przed kim chciał się ukryć: przed nami czy przed swoimi kolegami? - dopytywał inspektor.

- Myślę, że i przed nami, i przed nimi.

Simonsen ponownie zamruczał, po czym powtórzył gest, tym razem drapiąc się kłykiem drugiej ręki.

- Rozumiem, że jest gotowa współpracować podczas ustalania jego tożsamości?

- Tak twierdzi.

- Wierzysz jej?

- Tak.

Rozdział 52

Niełatwo żyje się w Danii komuś, kto chce, żeby władze nie miały kontroli nad tym, jak się nazywa, gdzie mieszka i pracuje. Trzeba się bardzo postarać, żeby to osiągnąć, ale się da. Pierwszy i podstawowy warunek jest taki, że nie można pobierać żadnych świadczeń od państwa. Należy radzić sobie finansowo samemu. Jeżeli podejmuje się pracę, to na czarno, a jeśli robi się zakupy, to płaci w gotówce. Poza tym nie można posiadać żadnej nieruchomości ani samochodu.

Philip Sander spełniał te warunki. Ponadto poza życiem prowadzonym w Karlslille miał przecież swoją prawdziwą tożsamość, tę, którą policja tak usilnie próbowała ustalić, więc nie mógł żyć w zupełnym ukryciu.

Dzień po wyprawie Hrabianki i Pedersena do Karlslille Simonsen złożył Silje Esper wizytę w towarzystwie dwunastu funkcjonariuszy wydziału zabójstw, w tym swojej żony.

Wczorajsza irytacja inspektora zdążyła się już na dobre ulotnić. Po części dlatego, że z pewnością w miarę szybko uda mu się ustalić prawdziwą tożsamość Sandera, a po części dlatego, że teraz miał przynajmniej jakieś konkretne zajęcie. Następnie wyznaczył Pedersena i Arnolda, aby poszukali Duńczyka w odpowiedniej grupie wiekowej wśród zmarłych, hospitalizowanych lub osadzonych w więzieniu w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Liczba takich przypadków okazała się pokaźna, ale nie na tyle, żeby tych dwóch policjantów nie mogło się w tym rozeznąć. Później, w ramach planu B, będzie można ruszyć tym tropem. Pozostawała jeszcze Berg, ale inspektor nie mógł się z nią skontaktować, bo po prostu nie odbierała telefonu i nie zjawiała się w pracy. Znalazł się więc w sytuacji, którą zmuszony był ignorować, i tak też zrobił.

Zdecydował, że Hrabianka zajmie się nadzorowaniem kolegów przeszukujących nieruchomości pod kątem śladów, które mogłyby

doprowadzić do ustalenia prawdziwego nazwiska Sandera. On sam zamierzał przesłuchać jego partnerkę, panią Esper – nie tylko po to, żeby wyrobić sobie o niej własne zdanie, ale także po to, żeby znaleźć odpowiedź na pytania, których długą listą sobie wynotował.

Zgodnie z zapowiedzią Hrabianki Esper okazała się chętna do współpracy. Nie miała nic przeciwko przeszukaniu jej domu, pod warunkiem że funkcjonariusze po sobie posprzątają. Mogli mówić o szczęściu, bo Simonsen nie dysponował żadnym nakazem, nie miał też większych szans, żeby takowy dostać. Obiecał jej, że jego koledzy zachowają daleko idącą ostrożność podczas swojej pracy, a oni podzielili się na dwuosobowe zespoły i zgodnie ze wskazówkami Hrabianki rozeszli do różnych pomieszczeń. Mads pomagał jej zapanować nad gośćmi – truchtał od pomieszczenia do pomieszczenia, szybko sprawdzał, czy wszystko było w porządku. Jego inspekcja wykazała, że stado jest rozproszone, ale nic mu nie grozi.

Simonsen i Esper wyszli na zewnątrz, kierując się do wybiegu dla psa, otoczonego dwumetrowym płotem. Niedawno pomalowano go na czerwono, z wyjątkiem trzech, czterech metrów, nadal pokrytych starą, łuszczącą się, zabrudzoną farbą. Na prośbę kobiety inspektor rozłożył parasol chroniący ich przed delikatną mżawką. Usiedli na ogrodowych krzesłach ustawionych obok niewielkiego stolika. Wyjął dyktafon i włączył nagrywanie.

– Co takiego pan przed chwilą zrobił? – Pani Esper miała wyostrzony słuch. – Mógł mnie pan uprzedzić – stwierdziła po jego odpowiedzi.

Wytłumaczył się, a ona przyjęła przeprosiny, po czym rozpoczęło się przesłuchanie.

Rozmowa trwała długo, niemal dwie godziny, jednak rezultat okazał się nieadekwatny do włożonego wysiłku. Simonsen otrzymał tylko kilka interesujących informacji.

– Posiada pani samochód, dlaczego?

– Głównie z powodu Philipa. No i na weekendy, często wybieramy się na koncerty, niekiedy do Jutlandii czy na Fionię.

– Czy zna pani jakichś jego przyjaciół, znajomych, rodzinę? – Pytanie padło kwadrans później.

– Nie, nic mi o nich nie wiadomo. Wydaje mi się, że ma siostrę, ale nigdy nas tu nie odwiedziła.

Niewiele więcej ta niewidoma kobieta potrafiła powiedzieć o pracy swojego partnera:

- Podejrzuje pani Sandera o udział w jakiejś działalności kryminalnej, dlaczego?

- Dostawał swoje wynagrodzenie w gotówce, a to sugeruje coś niezgodnego z prawem. Co konkretnie, nie wiem, może chodzi o jakiś przemyt.

- Narkotyki, papierosy, napoje bezalkoholowe, alkohol, podrabiane towary, handel ludźmi?

- Narkotyki nie, tego jestem pewna. Może alkohol, jak już wspominałam, dużo pił.

- Czy kiedykolwiek był karany?

- Nie wiem, ale nie wydaje mi się.

Simonsen zrobił krótką przerwę, a potem zapytał o informacje, które mogłyby pomóc w ustaleniu prawdziwej tożsamości Sandera. Jednak i w tym przypadku niewiele się dowiedział.

- Czy pani partner miał kartę Dankort albo jakąś inną kartę płatniczą?

- Nie, świadomie tego unikał. Na przykład kiedy wypożyczał książki z biblioteki, używał mojej karty.

- A co z mandatami czy jakimkolwiek kontaktem z policją, gdy prowadził pani samochód?

- Nic podobnego mu się nigdy nie przytrafiło. Bardzo dbał o to, żeby nie doszło do czegoś takiego. Mamy specjalną kartę na przejazd mostem przez Wielki Bełt czy Sund, ale obie zostały wystawione na moje nazwisko.

- Sądzi pani, że pani partner nie żyje. Dlaczego?

- Oczywiście przede wszystkim dlatego, że nie pojawia się w domu, zniknął. A poza tym mam takie przeczucie. Wspominałam wcześniej, że Philip wiódł skomplikowane życie.

Esper uśmiechnęła się przepraszająco, świadoma, że niewiele zdołała pomóc. Simonsen potrząsnął bezradnie głową i spróbował ponownie:

- Czy potrafiłaby pani wskazać jakiegokolwiek miejsce, gdzie moglibyśmy zdobyć jego zdjęcie? Nieważne, stare czy nowe.

- Zdecydowanie nie. Aparat to była jedna z tych rzeczy, których unikał za wszelką cenę.

W tym momencie optymizm Simonsena stracił swój impet. Zdecydował się zmienić perspektywę i zamiast tego skupić się na kobiecie.

- W takim razie proszę mi opowiedzieć o sobie. Jak sobie pani radzi na co dzień? Nie korzysta pani z żadnej pomocy?

- Staram się jak najmniej, ale w poniedziałki i czwartki przychodzi pomoc sprzątająca, a gmina co wieczór dostarcza mi ciepłą kolację, którą wystarczy podgrzać w mikrofalach. Swoją drogą smakuje znakomicie. Zakupy robię przez telefon i są mi potem dostarczane do domu. Zdarzają się oczywiście i trudniejsze sytuacje, zwłaszcza teraz, gdy Philip... zniknął. Chce pan o nich posłuchać?

Simonsen zaprzeczył ruchem głowy, ale potem oprzytomniał i powiedział:

- Nie, zamiast tego proszę mi opowiedzieć o swojej sytuacji finansowej. Ma pani w domu drogie przedmioty, zauważyłem między innymi telewizor marki Bang & Olufsen.

- Tak, to prawda. - Uśmiechnęła się do niego. - No więc telewizor mam głównie z powodu Philipa, chociaż też czasem z niego korzystam, lubię na przykład słuchać wiadomości. Moja sytuacja finansowa jest dobra, mam trochę pieniędzy w banku, żeby nie powiedzieć, że całkiem sporo.

- Zdradzi mi pani ile?

- Ponad cztery i pół miliona, a do tego mam jeszcze zdeponowane jakieś akcje, ale nie wiem dokładnie, ile są warte.

- To całkiem sporo.

Nie musiał zadawać kolejnego pytania. Ponownie się uśmiechnęła, tym razem skromnie, i wyjaśniła, że jest ceramiczką, a jej wyroby przez wiele lat cieszyły się w Danii ogromnym powodzeniem. Po chwili poprawiła samą siebie, dodając, że sprzedawały się najlepiej w kraju. Specjalizowała się w dzbankach, które kupowało głównie dwóch nabywców z Niemiec. Rok temu zamknęła produkcję i teraz pracowała tylko dla przyjemności. Jeżeli miał ochotę, mógł zajrzeć na pierwsze piętro i obejrzyć jej atelier.

- Dzisiaj wykonuję głównie bajkowe figurki do ozdabiania ogrodów, i choć niewiele na tym zarabiam, nie ma to większego znaczenia, dopóki sprawia mi przyjemność. A tak póki co jest. To o wiele zabawniejsze niż produkowanie takich samych dzbanków. Powinnam była to zrobić już wiele lat temu.

- To dlaczego pani tego nie zrobiła?

Zamilkła na chwilę, zanim odpowiedziała.

- Myślę, że byłam zbyt zachłanna. Gdy w końcu zaczęłam zarabiać na tych swoich dzbankach, a niech mi pan wierzy, że przez wiele lat było krucho, to... na swój sposób nie potrafiłam się tym nasycić. Zrobiła się z tego niemal produkcja przemysłowa na małą skalę, a nie o to w tym chodzi. Wytwarzanie dzbanków to rękodzieło, może nawet sztuka, a już z pewnością nie taśmowa produkcja.

Hrabianka otworzyła drzwi na taras. Wcześniej były uchylone, a na dodatek ktoś dobrze je naoliwił, a mimo to gospodyni natychmiast odwróciła się w kierunku funkcjonariuszki. Policjantka pokręciła przecząco głową w stronę Simonsena. A to mogło oznaczać tylko jedno: Nie, nie znaleziono niczego, co pomogłoby ustalić prawdziwą tożsamość Philipa Sandera. Inspektor rozłożył ramiona w przepaszającym geście, a potem zadał niewidomej kobiecie kolejne pytanie:

- Ma pani dzieci?

- Córkę, mieszka w Caen, w północnej Francji. Odwiedzam ją chętnie dwa razy w roku. Poza tym nie mam żadnej rodziny. Mój ojciec zmarł kilka lat temu, był emerytowanym audytorem. Mama nie żyje od wielu lat.

- Czy zawsze była pani niewidoma?

- Nie. W dziewięćdziesiątym szóstym miałam wypadek samochodowy, w okolicach Næstved, ale nie z mojej winy. Na początku byłam zgorzkniała, to był trudny okres. Jednak dzisiaj traktuję swoją utratę wzroku jako dar. Gdyby nie ten wypadek, nigdy nie udało by mi się odkryć, co kryje się w glinie. Innym dość trudno to zrozumieć, ale tak właśnie jest. To dar.

W drodze powrotnej do Kopenhagi, Simonsen zapytał Hrabiankę:

- A co z odciskami palców, ich też nie znaleziono?

- Znalezione, całe mnóstwo, ale żadnych dokumentów.

- Pozostaje więc mieć nadzieję, że mamy tego Philipa w systemie. W przeciwnym wypadku wrócimy do punktu wyjścia.

Nic na to nie odpowiedziała, to było oczywiste, zamiast tego stwierdziła ostrożnie:

- Wydaje się niemożliwe, że przez siedem lat żyła z mężczyzną, który przez cały ten czas ani razu nie zdradził się z tym, kim jest czy gdzie pracuje. Może nie wprost, ale z pewnością dawał jakieś wskazówki, które można by poskładać w całość... - Zawiesiła na chwilę głos, zaraz jednak dokończyła: - To po prostu niemożliwe.

- Najwyraźniej tak to ze sobą uzgodnili.

- Tak, jasne. Chociaż to i tak wydaje się mało realne. Jeżeli odciski palców nie wniosą do sprawy niczego nowego, pojedę do pani Esper i nad nią popracuję. Jest przecież nad wyraz chętna do współpracy. Poza tym wpadłam na jeszcze jeden pomysł. Opowiedziała mu, że w atelier niewidomej kobiety zauważyła kilka popiersi różnych ludzi, które sprawiały wrażenie dość wiernych. Poprawiła samą siebie: - To znaczy takie żywe. Realistyczne, jeżeli miałabym je określić, bo czy przypominały modeli, oczywiście nie potrafię stwierdzić.

- Chcesz, żeby wykonała popiersie Sandera? - spytał Simonsen.

- Właśnie.

- Do czego nam się przyda?

Wyjaśniła, że popiersie zostanie sportretowane lub sfotografowane, a potem pokazane dojeżdżającym do pracy kolejką, która odjeżdża około dziewiątej ze stacji Roskilde, czyli w czasie gdy Philip Sander wybierał się do pracy. Wielu pasażerów jeździło przecież o stałych porach, istniała jakaś szansa, że ktoś rozpozna mężczyznę i będzie potrafił powiedzieć, dokąd jeździł, a może nawet, jak się nazywał.

Mąż wydawał się sceptyczny, więc dodała:

- Bez względu na wszystko, to i tak tańsze niż sprawdzanie krewnych mężczyzn pod pięćdziesiątkę, którzy zmarli w ciągu ostatnich miesięcy. Nasz budżet może tego nie udźwignąć.

Ujechali kolejny kawałek. Jej finansowe argumenty nie do końca go przekonywały, a mimo to pozwolił jej działać.

Rozdział 53

Hrabianka spędziła trzy dni robocze u niewidomej ceramiczki i jej psa. Kobiety się polubiły i prowadziły pogawędki na różne tematy, a policjantka świadomie nie ograniczała się wyłącznie do rozmów o Philipie Sanderze. To oznaczało, że dość wolno zbierała informacje o mężczyźnie, jednak wciąż jakieś kompletowała. Dowiedziała się na przykład, że był alkoholikiem ze znaczną nadwagą oraz poważnymi problemami z oddychaniem, przez co musiał przyjmować leki. Wiele różnych, każdego ranka po kawie. Używał też inhalatora, prawdopodobnie cierpiał na POChP, czyli przewlekłą obturacyjną chorobę płuc.

- Symbicort czy Spiriva? - dopytała kolejnego dnia. - To kapsułki do inhalacji.

Pani Esper potrząsnęła głową, nie wiedziała.

- Może Amlodypina, Enalapryl? To najpopularniejsze tabletki na nadciśnienie.

- Nie mam pojęcia, nie potrafiłam zapamiętać tych wszystkich nazw, chociaż wydaje mi się, że mi o tym wspominał. Jedne chyba były różowe, jeżeli się pani to do czegoś przyda. A inne czarne. Tak mówił.

To oczywiście na niewiele się zdało. Podobnie jak historia o tym, jak gospodyni poznała swojego późniejszego partnera. Tej informacji też nie dało się w żaden sposób wykorzystać w śledztwie, niemniej Hrabianka słuchała z zainteresowaniem.

Oboje czekali na swoją kolejkę w okienku obsługi banku Nordea w Roskilde, a ona w pewnym momencie upuściła trzymaną w rękę kartę. Chcąc jej pomóc, Sander podniósł ją z posadzki, a wtedy jej pies go ugryzł.

- Był naprawdę postrzelony i w końcu musiałam go uśpić - zaśmiała się. - Chociaż akurat wtedy dobrze się stało, że zaatakował, bo w przeciwnym wypadku nigdy nie poznałabym Sandera.

Hrabianka odnotowała, że partner kobiety najprawdopodobniej miał konto w Nordea w Roskilde, a następnie przeniosła wzrok na psa

leżącego i drzemiącego u jej stóp.

- Zabrzmiało poważnie, żeby nie powiedzieć niebezpiecznie.

- Nie, nie. Tamten pies to był owczarek niemiecki i oczywiście sprawa była poważna. Philipowi założono cztery szwy. Jednak to i tak nic w porównaniu z tym, co by się stało, gdyby to Mads go zaatakował.

Hrabianka po raz kolejny zdumiała się wyczuciem tej kobiety, zdolnością do intuicyjnego wyczuwania tego, o czym myśli i gdzie patrzy. Właśnie spoglądała na Madsa, wychodząc z założenia, że dawny pies Esper musiał być jego rozmiarów. To było zdumiewające. Podrapała czworonoga za uchem - naprawdę zdumiewające.

Ceramiczka zgodziła się wykonać popiersie swojego partnera i pracowała nad nim przez pięć godzin w swoim atelier, zanim poczuła się usatysfakcjonowana. Hrabianka śledziła cały proces, który wydał się jej fascynujący. Już po półgodzinie Esper uformowała twarz wyglądającą nad wyraz prawdziwie, ale to jej nie zadowoliło. Kolejne cztery godziny przeznaczyła na drobne korekty, pojedyncze zmiany, w zasadzie ledwo zauważalne, ale wszystkie razem wraz z upływem czasu sprawiały, że gliniana twarz nabierała coraz więcej wyrazu. Było coś wzruszającego w tej niewidomej kobiecie siedzącej przy roboczym stole, gdy na zmianę to spoglądała w przeszłość i ze wzrokiem zwróconym ku sufitowi wspominała zaginionego partnera, to ubrudzonymi gliną palcami poprawiała jego policzki, kark, nasadę nosa... wszystkie miejsca aż do uzyskania perfekcyjnego rezultatu.

Od czasu do czasu Hrabianka przychodziła jej z pomocą. Zdążyła już zaznajomić się z domem kobiety - smarowała kanapki na lunch w kuchni na dole, przynosiła świeżą wodę do gliny albo podawała Madsowi karmę Pedigree z worka stojącego w pomieszczeniu gospodarczym.

- Skończyłam - stwierdziła w końcu Esper.

Hrabianka pochwaliła jej dzieło i zadzwoniła po fotografa.

- Staralam się wystrzegać swojej własnej perspektywy, bo wtedy Philip wyglądałby zupełnie inaczej - wyjaśniła niewidoma kobieta.

- Co ma pani na myśli?

- Że to rzemiosło, a nie sztuka. Sztuka nie polega na odtwarzaniu rzeczywistości, tylko na jej interpretacji.

- Jak by go pani przedstawiła, gdyby miała go pani, ja to pani nazwała, zinterpretować?

Wytłumaczyła to za pomocą dłoni, unosząc je do góry z trzymaną porcją piasku, który rozsypywał się między palcami.

- Bardziej podniosłe, z taką świetnością jak podczas grania Chopina, gdy palce prawej dłoni przesuwają się tylko po czarnych klawiszach. Philip mnie zasmuca, chociaż glina domaga się czegoś optymistycznego, pozytywnej energii. Za bardzo za nim tęsknię, żebym mogła stworzyć go tak naprawdę, jeszcze nie czas.

Hrabianka po raz pierwszy usłyszała, że kobieta tęskni za swoim partnerem. Esper się roześmiała, ja zwykle świadoma tego, co się między nimi rozgrywało.

- Tak, tak to czasami bywa, ale dosyć już o tym. Skoro skończyliśmy, to czy nie zasłużyliśmy na piwo? A może woli pani świeżą kawę?

Rzadko się zdarzało, żeby Hrabianka piła piwo dwukrotnie w ciągu tego samego tygodnia. Nie dlatego, że miła coś przeciwko picciu, ale zwykle wolała wino, a poza tym w sumie niezbyt często sięgała po alkohol.

Wieczór był jasny i ciepły. Lokalni mieszkańcy zebrali się przy ławeczce obok sadzawki i przy jednym czy dwóch piwach omawiali wydarzenia dnia. W tej cieplejszej połowie roku stało się to już niemal tradycją i to zupełnie miłą, gdyby zapytać o to mężczyzn. Zawsze przyjemnie napić się piwa, a poza tym było o czym rozmawiać. Teraz na przykład syn szypra Thorkila, tak, ten który odziedziczył po nim kuter, w zeszłym tygodniu złowił we włok prawdziwą minę. Podobno ciągle zdarzają się takie odkrycia. Potakiwano i potwierdzano sobie nawzajem tę wersję, chociaż żaden z mężczyzn nigdy nawet nie postawił nogi na kutrze, nie wspominając już o pracy z włokiem. Jednak historia była ciekawa, podobnie jak kolejna... i jeszcze następna. Hrabianka zdecydowała się przysłuchiwać rozmowom, aby odnaleźć się w tym towarzystwie i móc zaśmiać się lub zachować powagę w odpowiednim momencie. Jej obecność była uprzejmie, acz stanowczo ignorowana. Mężczyźni próbowali dać jej do zrozumienia, że tutaj w Karlslille nie padną przed nią na kolana tylko dlatego, że pracuje w wydziale zabójstw w Kopenhadze.

W oddali rozległ się grzmot, a niebo nad lasem rozjaśnił niebieskawy błysk, po czym zrobiło się niebezpiecznie ciemne, chociaż słońce nadal oświetlało gospodarstwa na horyzoncie, sprawiając, że ich kontury świeciły czerwonym, chwilami złotawym blaskiem. Gdy wszyscy na chwilę zamilkli, Hrabianka odchrząknęła. Gdy na nic się to nie zdało, zrobiła krok do przodu, wtapiając się w gromadkę mężczyzn – uporczywie i już nie tak uprzejmie. W przeciwnym wypadku mogłaby porządnie zmoknąć. Zaparkowała samochód przy domu Esper, ostatnim na końcu wioski, a burza zbliżała się szybkimi krokami. Mężczyźni okazali się jednak dość ciekawscy, a poza tym żaden z nich nie zamierzał moknąć.

Esper pracowała w glinie. Miała profesjonalne koło garncarskie z elektryczną tarczą sterowaną bezprzewodowym pedałem nożnym i z regulacją obrotów, ale urządzenie postawiono w rogu i zastąpiono je tradycyjnym kołem, w którym kobieta sama musiała popychać stopą tarczę. Już niemal udało jej się nadać kształt dzbankowi. Widać było, że jest skoncentrowana, jakby wsłuchiwała się w glinę. Godne podziwu, jeśli się weźmie pod uwagę, że musiała wcześniej wykonać tysiące takich dzbanków, a sama czynność pewnie już dawno stała się rutyną. Niemniej jednak poświęcała temu procesowi pełną uwagę.

Hrabianka obeszła dom i weszła do środka przez drzwi od ogrodu, to było najprostsze rozwiązanie. Niewidoma kobieta uznała, że nie ma co robić niepotrzebnego zamieszania.

- Nie ma powodu, żebyś za każdym razem dzwoniła, skoro dobrze znasz dom.

Gdy policjantka uchyliła drzwi do atelier, Mads się podniósł. Został poklepany przez gościa, a potem wrócił do swojego kąta i zapadł w drzemkę, usypiany monotonnym ruchem garncarskiego koła. Hrabianka długo mu się przyglądała, nawet po tym, jak się położył. Przyjechała do Karlslille już po raz szósty. Było przedpołudnie. Esper się przywitała i skomentowała:

- Ależ wczoraj mieliśmy pogodę. Dotarła pani bezpiecznie do domu?

Hrabianka potwierdziła, jakoś jej się udało, chociaż gdy zrobiło się naprawdę groźnie, musiała się na kilka minut zatrzymać na poboczu. Nie pytając o zgodę, nalała sobie kawy do kubka z termosu stojącego

na stole w rogu pomieszczenia, a potem zajęła miejsce na krześle. Torebkę trzymała na kolanach.

- Czy pracuje pani teraz nad moim dzbankiem?

- Tak. Będzie gotowy pojutrze i zabierze go sobie pani do domu.

- Czy jest taki sam jak te, które były sprzedawane w Niemczech?

- Trochę mniejszy, ale tak.

- Ile taki dzbanek właściwie kosztował?

- Pod koniec niemal cztery tysiące euro.

- To sporo pieniędzy.

- Były sprzedawane jako sztuka użytkowa w drogich sklepach na terenie północnych Niemiec, a także w Holandii i Belgii.

- Trudno mi w to uwierzyć. Zresztą to przecież kłamstwo, bo dodała pani zero. Przynajmniej jedno.

Esper puściła glinę i zamarła, koło zaczęło wolno wytracać obroty i w końcu zupełnie się zatrzymało. Niewidoma kobieta odwróciła się z wyrazem twarzy, którego policjantka nigdy wcześniej nie widziała – srogim i pełnym nienawiści. Warknęła, wydając swojemu psu jakieś krótkie, niezrozumiałe polecenie. Mads natychmiast wstał, jakby rażony prądem. I stał tak z postawionymi uszami i napiętym każdym mięśniem. Skupił wzrok na Hrabiance i zaczął złowrogo powarkiwać, gotowy na kolejną komendę.

- Z kim jeszcze pani o tym rozmawiała? – wysyczała gospodyni.

- Z pani niemieckimi dostaw...

- Chodzi mi o pani kolegów – przerwała jej ze złością. – Z kim pani o tym rozmawiała? Chwila, co to za odgłos? Proszę mi odpowiedzieć! Co to było?

- Dźwięk odbezpieczanego pistoletu. Jeżeli pani pies zbliży się do mnie choćby o krok, zarobi trzy kule w głowę. I proszę sobie nie wyobrażać, że pracuję sama, nikt w policji tak nie funkcjonuje. Jedyne, co pani osiągnie, to martwy pies i zarzut usiłowania zabójstwa, więc gdybym była na pani miejscu, tobym się naprawdę dobrze zastanowiła.

Esper poszła za jej radą i doszła do właściwych wniosków. Jej zrezygnowana komenda „stado!” sprawiła, że pies się uspokoił.

- Proszę go wyprowadzić i zamknąć drzwi – zakomenderowała policjantka.

- Jak mnie pani nakryła? Czy to przez pieniądze?

- Między innymi, były też inne rzeczy. Na przykład pani sąsiedzi nie rozpoznali popiersia pani partnera. Wyniknęły również dodatkowe sprawy, ale nimi zajmiemy się później, najpierw proszę się pozbyć psa.

Niewidoma kobieta zatrzasnęła drzwi za zwierzakiem, a potem zrezygnowana oparła się plecami o ścianę, przytknęła oczy i teatralnie zwróciła głowę w górę. Hrabianka się tym nie przejęła.

- Proszę mi podać nazwisko - poleciała.

- Jan, miał na imię Jan i już nie żyje.

- Poproszę nazwisko!

- Podowski. Jan Podowski.

Rozdział 54

Tegoroczna wiosna nie przypominała żadnej innej w życiu Kraga. Wszystko było inne - cudowne i okropne, szalone i wspaniałe, przywodzące na myśl zupełnie pozbawioną kontroli karuzelę. Niemal niczego nie dało się przewidzieć, niemniej jednak odczuwał ogromną radość, większą niż kiedykolwiek. Chodziło o Benedikte, tak, wszystko z czasem zaczęło kręcić się wokół niej. Myślał o niej nieustannie i liczył dni, a nawet godziny do kolejnego spotkania.

„Będzie jeszcze okazja” - obiecała mu wtedy, tej cudownej, choć żalostnej nocy, którą razem spędzili.

Od tamtego czasu ta myśl wypełniała mu głowę, a jednocześnie powoli odsuwał swoje upokorzenie na dalszy plan. Dlatego też nie przejął się tak bardzo tym, że jego pierwsze zadanie okazało się dość nieprzyjemne. Należało je jak najszybciej wykonać i o nim zapomnieć. „Innym razem”. O wiele lepiej było się skupić właśnie na tej refleksji, zwłaszcza że podczas jazdy i tak nikt nie mógł go usłyszeć, nawet gdyby wykrzyczał tę myśl.

Dwa dni wcześniej Krag odsłuchiwał na telefonie swoje pierwsze zadanie od Idy:

Stacja Skovbrynet przy schodach na peron. Chodzi o stację Skovbrynet. Zbiera się tam banda gówniarzy, którzy dokuczają ludziom. Spuścisz im porządne lanie, aby się tam nigdy więcej nie pokazali. Najlepsza będzie środa albo czwartek wieczór. Masz tydzień.

Ida powtórzyła wiadomość, chociaż nie było takiej potrzeby, bo zrozumiał ją już za pierwszym razem. Gdy głos się rozłączył, Henrik wzruszył ramionami, nic nie mógł na to poradzić. Liczył na zadanie podobne do tego, które dostała Lerche-Larsen, oczywiście to pierwsze, coś związanego z wolontariatem, a przynajmniej takie, które nie

szkodziło innym. Jednak okazało się inaczej. Dostał, co dostał, a i tak nie miał przecież możliwości dyskusowania o tym z Idą.

Jeszcze tego samego wieczoru, kiedy otrzymał wiadomość, wybrał się na wyznaczone miejsce, by mu się bliżej przyjrzeć. Odnalazł je bez problemu. Stacja Skovbrynet okazała się mniejszym dworcem kolejki podmiejskiej na linii Farum, pomiędzy stacją Bagsværd a Værløse, nieopodal obwodnicy Ring 4. Biorąc pod uwagę charakter zadania, stacja miała dość korzystne położenie: z dala od najbliższych zabudowań, dobrze osłonięta dużymi betonowymi filarami, wspierającymi po części most kolejowy, a po części fragment obwodnicy ze zjazdem w okolicy mostu. Krag nie zauważył żadnych kamer z wyjątkiem tych na peronie, a w ciągu niespełna trzydziestu minut, kiedy krzątał się po terenie, naliczył zaledwie szesnaście osób wychodzących z pociągu lub kierujących się do niego. Nie dostrzegł natomiast tej bandy łobuzów, o której wspominała Ida w swojej wiadomości, i szczerze mówiąc, dziwił się, dlaczego ktoś wybierał sobie takie pustkowie na miejsce spotkań. Zarazem wierzył, że Ida wiedziała, o czym mówi. Zanim wrócił do domu, wbił sobie do głowy czas odjazdu kolejki w obu kierunkach: 02, 22, 42 po każdej godzinie w stronę Farum i 03, 23, 43 po każdej godzinie w kierunku Kopenhagi, dlatego uznał, że 05, 25, 45 doskonale nadają się na moment uderzenia.

Wybrał powrót okrężną drogą, przez Kopenhagę, potem wyjazd wzdłuż Strandvej na Klampenborg, a następnie w lewo przez Lyngby i dalej do obwodnicy Ring 4 w stronę Ballerup. To miało mu zapewnić czas, aby nastawić się na planowaną misję - miał nadzieję, że zdoła przygotować się do niej mentalnie, ale tak się nie stało. Jak zwykle przez większość drogi myślał tylko o Benedikte. Zmniejszył prędkość i na wysokości Bagsværd, tuż za jeziorem, wolno skręcił w prawo, gdzie się zatrzymał i zaparkował motocykl. Rozejrzał się uważnie wokół i z zadowoleniem stwierdził, że droga jest pusta. Z torby na bagażnik wyjął kij bejsbolowy i rozpakował go z reklamówki, która skrywała wystający podczas jazdy koniec. Trzykrotnie zważył swoją broń w dłoni, oceniając rozkład obciążenia i siłę uderzenia, jakby właśnie stał w jakimś sklepie i rozważał zakup kija. Dawno go nie używał. Potem rozsunął do połowy wysokości zamek skórzanej kurtki i włożył kij po lewej stronie, szerszą

końcówką za pasek spodni i uchwytem skierowanym ukośnie w prawo. Pół sekundy i był gotowy do ataku. Następnie na lewą rękę założył kastet, po czym zdecydowanym krokiem pokonał ostatni krótki odcinek w drodze na stację. Znowu powróciła ta sama myśl: trzeba mieć to, kurka, po prostu za sobą, o nic więcej nie chodziło, zupełnie o nic.

Krag przyspieszył nieco kroku i pomyślał, że już wkrótce będzie wracał, a ci młodzi przecież zasłużyli na to, co zamierzali zrobić. Uprzykrzali życie innym, tak twierdziła Ida i pewnie miała rację. Znał takie typy – podpite półgłówki, naćpane gazem z zapalniczek, kretyni wyzywający ludzi, zapewne też starszych. Nie, nie zapewne, tylko na pewno. Krag nie potrafił znieść, gdy ktoś krzywdził starsze osoby. „I właśnie teraz, kurwa, banda gówniarzy zarobi zasłużony wpierdol za tych wszystkich staruszków, których tak przerażali”, stwierdził w myślach. Z trudem usiłował przywołać w głowie obraz swojej babci leżącej bezradnie na ulicy, popłakującej i bezskutecznie próbującej odszukać leżącą gdzieś laskę. Potem wszystko zniknęło, gdy droga skręciła w prawo, a na wprost przed nim wyłoniła się stacja. Usłyszał śmiech – donośny i radosny dziewczęcy głos. Zatrzymał się na chwilę nieco dalej, żeby ocenić sytuację. Dwóch chłopaków trenowało każdy na swojej deskorolce, a dziewczyna siedząca na prowadzących na peron schodach przyglądała się ich wysiłkom. Kilka metrów dalej Krag dostrzegł kolejnego chłopaka, siedzącego na skuterze. On też obserwował poczynania kolegów. Czterech młodych ludzi. Poczł ulgę, bo obawiał się, że będzie ich więcej. Było czworo, tylko czworo, czyli nie tak źle, nawet jeżeli znajdowała się wśród nich dziewczyna. Mogło być dużo gorzej.

Mężczyzna zamierzał w pełni wykorzystać moment zaskoczenia. Jak tylko minął betonowy filar, wyciągnął kij bejsbolowy. Pięć długich kroków przybliżyło go do dwóch młodych na deskorolkach. Od samego początku wytypował większego na swojego pierwszego przeciwnika. Chwycił kij oburącz i z całej siły walnął nim chłopaka w obojczyk, słysząc, jak ten pęka pod ciosem. Potem uderzył drugiego – mniejszego, chuderlawego gościa z brudnymi jasnymi włosami i czapką z daszkiem, odwróconą przodem do tyłu. Kij złamał mu kość ramieniową,

a precyzyjne kopnięcie w jądra posłało go na beton. Dwa kolejne kroki i Krag znalazł się obok kierowcy skutera, którego pchnął mocno w bok, w stronę schodów. Pojazd się przewrócił, a kierownica uderzyła dziewczynę w stopę. Wszyscy czworo zaczęli krzyczeć, ale nikt nie podjął żadnych konstruktywnych kroków, nie mówiąc już o stawieniu jakiegoś zorganizowanego oporu. Krag wsunął kij za pasek spodni na plecach. Potem przeniósł wzrok na chłopaków i pomyślał, że chyba wystarczy. Dziewczyna, która na wpół stała, na wpół siedziała, oparta o betonową ścianę, zawodziła histerycznie. Chwycił ją za włosy i odciągnął od wyjących kolegów. Pomyślał, że zostało mu jeszcze najgorsze i że nie ma powodu, aby ją ciągać w jakieś inne miejsce, może jej przecież przyłać tu, gdzie teraz stoi. Przycisnął ją do ściany i rozluźnił uścisk. Płakała i wyraźnie się bała.

- Mógłbyś mnie nie bić? - błagała nieporadnie i niewyraźnie.

Nie rozmawiaj z nią, nie patrz na nią, kurwa, ty idioto, doprowadź sprawę do końca. Nie znasz jej, może być kimkolwiek, to bez znaczenia. To ona przewróciła babcię - kołatało mu się w głowie.

Dziewczyna miała jasne włosy i piegowatą twarz, kolczyk w nosie i niewielką czarną runę nieokreślonego rodzaju wytatuowaną na kości policzkowej, na granicy linii włosów. Krag wziął się mocno w garść.

- Zamknij oczy, policz do dwudziestu - polecił. - Nic ci się nie stanie.

Zrobiła, jak jej kazał. A do tego na głos, jakby tym samym chciała okazać mu swoje posłuszeństwo.

- Jeden, dwa, trzy, cztery...

Zacisnął dłoń z kastetem, ale nie potrafił się przełamać i zamiast tego uderzył ją w twarz drugą dłonią.

Rozdział 55

W czwartek 28 maja Krag otrzymał od Benedikte niewielki prezent. Nie należał do drogich ani specjalnie wyszukanych, a jednak zadała sobie trud, żeby go ładnie zapakować i przewiązać czerwoną jedwabną wstążką – zachowanie, którego by się po niej nie spodziewał, więc sprawiło mu tym większą radość.

Odebrała go w Ishøj Landsby, z parkingu położonego za wiejską świetlicą, gdzie o czwartej czekał na nią zgodnie z wcześniejszą umową. Usiadł na miejscu pasażera. Nonszalanckim gestem wręczyła mu prezent, jakby nie było o czym mówić, a on zaliczał się do wielu innych, którym ofiarowywała takie podarunki. Henrik podziękował zaskoczony i zaczął odpakowywać upominek. Mały plastikowy pingwin, wysoki na niecałe pięć centymetrów, z czerwonym sercem na białym brzuchu i jajkiem między tylnymi płetwami. Podniósł figurkę pod światło.

- Bardzo ładny, ale dlaczego go dostałem?

- Przecież to nic takiego. - Wzruszyła ramionami. - To tylko głupi pingwin. Poprowadzisz?

Wzięła audi ojca, przekonana, że Henrik przyjmie propozycję. Zamienili się miejscami – on wysiadł z pojazdu, ona przeczółgała się na miejsce pasażera. Gdy ruszyli z parkingu, odezwała się nieśmiało:

- Henriku, cieszę się, że jesteś.

Zupełnie nie wiedział, co na to odpowiedzieć, również wtedy, gdy dodała:

- Nazywa się Pandora. To znaczy pingwin. Tak zdecydowałam.

Wioska ginęła we wstecznym lusterku. Po obu stronach drogi rozciągały się pola, gdzieniegdzie pojawiały się rozproszone gospodarstwa, ale poza tym przeważała zieleń. Nie było specjalnego ruchu, mieli drogę tylko dla siebie. Krag zdał sobie sprawę, że w zasadzie nie ma pojęcia, dokąd zmierzają. Gdy rozmawiali ze sobą przedpołudniem i podał jej adres, brzmiała wręcz entuzjastycznie. W ostatnich dniach coś udało jej się ustalić i bardzo chciała mu o tym

opowiedzieć, ale co to konkretnie było, nie wyjawiała. Twierdziła, że to zbyt skomplikowane, żeby wyjaśniać przez telefon, więc będzie musiał poczekać.

Zerknął na nią. Siedziała ze splecionymi dłońmi i twarzą zwróconą w kierunku szyby, najwyraźniej nie zwracając na niego uwagi, i pomyślał, że być może powinien okazać większą radość z powodu pingwina.

- Dokąd w zasadzie jedziemy?

- Do ciebie do domu.

To głupie. Równie dobrze od razu mogli się tam spotkać. Nie odezwał się jednak, bo może po prostu miała ochotę, żeby go odebrać, żadne inne wytłumaczenie nie przychodziło mu do głowy.

- Nie powiesz mi, o co chodzi? Jestem dość ciekawy.

- Wiem, że jesteś. Powiedz: wykonałeś już swoje pierwsze zadanie?

- Tak.

- Było trudne?

- Sądziłem, że nie chcesz nic o tym wiedzieć.

- Racja, nie chcę. Ale jakie było?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Nie jakieś koszmarnie, ale niezbyt przyjemne. Myślę, że to coś w stylu twojej kuchni dla biedaków.

- Z tą kuchnią wszystko jest w porządku, tam dzieje się dużo dobrego dla ludzi, którzy nie mają łatwego życia - odparowała ostro. - A co z drugim zadaniem, dostałeś je?

- Nie, jeszcze nie. Dlaczego pytasz? Byłem niemal pewny, że nic nie chcesz o tym wiedzieć...

Przerwała mu, tym razem zupełnie innym tonem, bardziej optymistycznym:

- Zdaję sobie sprawę z tego, co mówiłam. Po prostu byłam ciekawa, ale dosyć już o tym. Posłuchaj. Być może wiem, jak namierzyć drukarkę, na której wydrukowano przesłane nam zdjęcie. Słyszałeś kiedykolwiek o programie do śledzenia drukarek albo analizowaniu żółtych kropek, którymi koduje się informacje o sprzęcie?

- Nic mi to nie mówi.

- Mi też nie mówiło, dopóki nie poszłam na wykład w zeszły poniedziałek. Czy nazwa Secret Service z czymś ci się kojarzy?

Lepiej niż ktokolwiek inny zdawał sobie sprawę, że ich doświadczenia bardzo się od siebie różnią, ale tak jak z wdzięcznością wysłuchiwał jej wyjaśnień na tematy, w których się nie orientował, tak ze złością reagował, gdy nie dowierzała, że istniały kwestie, na których rzeczywiście się znał. Gdy się odezwał, próbował pohamować irytację:

- Tak, oczywiście. To amerykańskie specśłużby.

- Zgadza się, a teraz posłuchaj. Przez cały dzień czytałam o tym w sieci. Być może uda nam się ustalić mnóstwo danych o sprzęcie użytym do wydrukowania naszego zdjęcia. Jeżeli dopisze nam szczęście, ustalimy nie tylko typ i numer seryjny, ale także kto ją sprzedał i kiedy.

- Brzmi fantastycznie. Jak to zrobimy?

- A myślałaś, że co będę chciała ci wyjaśniać? Wiesz, dowiedziałam się o tym zupełnie przez przypadek. Kiedy byłam na wykładzie z prawa międzynarodowego, wykładowca - ten, którego w SMS-ie określiłam jako nerda - no więc on, niemal niechcący, opowiedział o tym, jak Amerykanie, to znaczy Secret Service, na początku lat osiemdziesiątych przekonali czołowych producentów kolorowych drukarek laserowych, żeby w tajemnicy umożliwili oznakowanie każdego pojedynczego wydruku kilkoma niewidocznymi żółtymi kropkami. Chodziło niby o utrudnienie życia przestępcom, ale władze zawsze tak się tłumaczą, gdy próbują uzyskać jakiekolwiek informacje o obywatelach. Producenci przystali na propozycję. Polega to po prostu na tym, że na każdej stronie wychodzącej z danej drukarki pojawia się powtarzalny słaby wzór niewielkich żółtych kropek. Mogą one zostać odczytane z powierzchni prostokąta o wymiarach piętnaście na osiem, a sam wzór można przełożyć na rok, miesiąc, dzień, godzinę, minutę wydruku oraz - co nas najbardziej interesuje - unikalny numer seryjny urządzenia. Wiem, że to brzmi jak jakaś teoria konspiracyjna, ale to prawda.

- Brzmi jak jakiś bełkot. Zrozumiałem najwyżej połowę. Nie mogłabyś mi przedstawić jakiejś ultrakrótkiej wersji?

- Poczekaj, aż dotrzemy do domu. Wtedy na pewno bez trudu zrozumiesz. Już zakupiłam wszystko, czego będziemy potrzebować.

- Czyli?

- Silną ledową latarkę kieszonkową świecącą na niebiesko i dobrą lupę. Zdążyłam też wypróbować ten sprzęt, działa bez zarzutu, ale to ty masz zdjęcie i to jest brakujący element naszej układanki. Bo chyba go nie wyrzuciłeś? - W jej głosie zabrzmiała panika.

Uspokoił ją - wydruk leżał w szafie u niego w domu.

Kiedy dobry kwadrans później weszli do mieszkania, Krag poprosił swoją gościnię, aby dała mu chwilę, a potem długimi krokami skierował się do salonu i szybko pozbierał ubrania pozostawione w różnych miejscach - skarpety, koszule, ręcznik rzucony na telewizor, majtki zostawione na sofie. Wrzucił tłumoczek do sypialni, a potem wyniósł brudne talerze do kuchni. Benedikte czekała w przedpokoju. Początkowo sądził, że chciała dać mu możliwość posprzątania, ale chodziło o coś innego. Zawołała go. Z torebki wyjęła wysokiej klasy latarkę, włączyła ją, a potem ostrym niebieskim światłem omiotła wieszak, niewielką komodę, parę znoszonych butów oraz kilka innych drobiazgów znajdujących się w pomieszczeniu, które uznała za najlepsze i najłatwiejsze miejsce do zaciemnienia. Nie zaprotestował i już chwilę później rozpoczęli przygotowania.

- Im ciemniej, tym lepiej - stwierdziła. - Przynies koldrę, żebyśmy mogli położyć ją przy drzwiach, a potem zakleimy gazetą otwór na listy. Masz jakąś taśmę? Musisz też wyłączyć światło w całym mieszkaniu i oczywiście zaciągnąć zasłony.

Gdy to zrobił, komenderowała dalej:

- Przynies zdjęcie.

Znajdowało się w plastikowej koszulce. Wyłowiła je, a następnie, niemal z pobożną czcią, położyła na komodzie. Leżało tam teraz złowróźnie, nadając sytuacji powagi. Zaraźliwy entuzjazm dziewczyny związany z jej pomysłem gdzieś się nagle ulotnił. Widział to po jej ruchach, odczytywał w nich mniej zapału, a więcej rutyny, zaczęła działać zadaniowo. Wyjęła z torebki prostokątne szkło powiększające wielkości dłoni.

- Skąd to masz? - zapytał Krag z zainteresowaniem.

- Z lupy, którą udało mi się nabyć u pewnego handlarza starociami w Østerbro. Zresztą pomógł mi ją zdemontować. Zobaczmy najpierw, czy w ogóle jest co powiększać. Wyłącz światło. Ponownie włączyła

latarkę i skierowała ją na papier. – Szukaj mikroskopijnych niebieskich punkcików, ale poza samym zdjęciem, to znaczy na białej powierzchni.

– Myślałem, że kropki są żółte.

– Bo też są, ale nie w niebieskim świetle. Teraz będą granatowe, a tym samym łatwiejsze do zobaczenia. Dlatego właśnie używamy latarki. Łatwo je dostrzec. Są wszędzie.

– Ja nie bardzo je widzę. – Gdy użyła szkła powiększającego, zmieniła zdanie. Potem włączyła światło i wyjaśniła: – Wzór jest powtarzalny niczym na arkuszu znaczków, więc musimy wyizolować jeden z obszarów. Trzeba to zrobić bardzo precyzyjnie, dlatego popracujemy oddzielnie, najpierw ty, potem ja, i na końcu porównamy wyniki.

– Jak to zrobimy?

Dobrze się do tego przygotowała. Ponownie włożyła dłoń do torebki, po czym wręczyła mu długopis oraz blok A5 w kratkę, a na jednej z kartek narysowała siatkę złożoną ze stu dwudziestu kwadratów. Było osiem kolumn, a w każdej po piętnaście pól.

– Szukaj najpierw siedmiu kropek tworzących kolumnę, to linia podziału i istnieje zawsze. Potem przemieszczaj się na prawo i na lewo od niej.

Zademonstrowała ruch palcem i wręczyła mu szkło powiększające. Krag okazał się zaskakująco zręczny w odnajdywaniu wzoru. W ciągu niecałej minuty wypełnił zaznaczoną kratkę. Benedikte zajęło to więcej czasu, ale gdy porównali rezultaty, te całkowicie się ze sobą zgadzały.

– I co teraz? – dopytywał Krag.

– Teraz włączysz komputer. Znalazłam program w internecie, nazywa się yellowDotSystem, który odszyfruje czas wydruku i numer seryjny. Na tej podstawie znajdziemy producenta, no wiesz, Canon, Xerox i takie tam, a także dokładny typ sprzętu. To będą zapewne jakieś liczby i parę liter.

– Ale jak znajdziemy właściciela? Nie pojmuję tego.

– Przy pomocy hakera, a jest ich paru wśród moich pokerzystów. Ale póki co, nie zrobiłbyś nam kawy?

Benedikte siedziała przy komputerze Kraga. Kartkę z kropkami wsunęła częściowo pod klawiaturę, zostawiając sobie tylko widok na informację. Włączyła wyszukiwarkę internetową i w polu adresowym wstukała „y”. Natychmiast pojawiło się rozwijalne menu zawierające

listę linków do ostatnio odwiedzanych stron, zaczynających się na tę literę. Witryna „Youngwannabes.com/audition/louise.html” wyświetlała się jako druga w kolejności. Dalej klikała szybko i bez wahania i już miała listę tymczasowych folderów zdradzających aktywność Kraga w sieci w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Posortowała foldery według rozmiaru i od razu znalazła to, czego szukała. Zmienił nazwę pliku na „Benedikte.flv”. Kliknęła dwukrotnie myszką i powiększyła maksymalnie okno programu Winamp, ale wyciszyła dźwięk. Kiedy Krag wrócił z zaparzoną kawą, siedziała na sofie przy stoliku i wpatrywała się pustym wzrokiem przed siebie – z niedowierzaniem i rozczarowaniem malującym się na jej pięknej twarzy.

Postawił przed nią kubek. Przewróciła go. Ciepła ciecz rozlała się po blacie i z pluskiem zaczęła się sączyć na podłogę. Potem odsunęła od siebie naczynie, który również z brzękiem wylądowało na podłodze.

– Co ty wyprawiasz? Dlaczego to robisz?

W odpowiedzi skinęła głową w stronę komputera. Przeniósł wzrok na monitor i zapadł się w sobie.

– Oddaj mi pingwina, ty głupia świni.

Rozdział 56

Benedikte nie dała po sobie poznać, że kilka dni temu mocno zawiodła się na Kragu. Jeżeli nawet było jej przykro, to tego nie okazywała. Tak było zresztą od wielu, wielu lat.

„Tej dziewczyny nie można rozgryźć. Kto wie, co tak naprawdę dzieje się w jej głowie?” – słyszała często na swój temat.

Gdy zaczęła edukację w zerówce, nauczyciele i pedagodzy ze zdziwieniem i troską komentowali jej zachowanie, przekonani, że jej nieprzystępność to coś negatywnego. Od tego czasu zdołała dopracować swój wizerunek niemal do perfekcji. Uroda oczywiście ułatwiała sprawę. Niektórzy, najczęściej mężczyźni, których odrzuciła, uważali, że nie ma nic poza wyglądem – ozdobną, ale pustą skorupą, za którą nic się nie kryje. Inni zdawali się przekonani, że jej skrytość, zamieszanie, jakie wokół siebie robi, oraz swego rodzaju autopromocja – jak to zwykle określali – są czymś więcej niż zwykłą próżnością i z całą pewnością należy je postrzegać jako psychologiczny mechanizm obronny. To była dość kusząca i przyjemna wizja, która w mniejszym lub większym stopniu nadawała dziewczynie bardziej ludzki charakter, dlatego też właśnie ta koncepcja zyskała najwięcej zwolenników. Tylko dwoje ludzi znało prawdę, z czego jedna była martwa, a drugą była ona sama – a ona nigdy nie wypowiadała się na ten temat.

W niedzielę 30 maja Lerche-Larsen postanowiła pospać dłużej i było już po dziesiątej, gdy wystawiając z uśmiechem twarz do słońca, zeszła w roboczym stroju do ogrodu rodziców. Miała na sobie rozchodzone mokasyny, dzinsy i flanelową koszulę, czyli dość nietypowo jak na nią, ale przez kolejną godzinę zamierzała kosić trawę.

Praca fizyczna, niezależnie od tego, czy chodziło o ogród, czy o coś innego, raczej nie należała do jej ulubionych zajęć. Unikała jej, jak mogła, a mogła w zasadzie zawsze. Jednak koszenie trawy stanowiło wyjątek. Uwielbiała kręcić się przy hałasie maszyny, chodząc w kółko metodycznie wybranymi ścieżkami i patrzeć, jak ciągnie za sobą ślady

świeżo skoszonej trawy. Grabienie, nie mówiąc już o wyrywaniu mleczy, oczywiście nie wchodziło w rachubę, ale samo koszenie to było coś zupełnie innego. Miała stałą umowę z ogrodnikiem, że sam będzie kosił ogród wyłącznie po wcześniejszym uzgodnieniu.

Benedikte uruchomiła kosiarkę i rzuciła się w wir pracy, jednak nie zdążyła zrobić nawet dwóch okrążeń, gdy przerwał jej Jimmy Heeger, nowy człowiek jej ojca, którego zatrudnił na miejsce Podowskiego. Miał trzydzieści kilka lat, był dobrze zbudowany, z brylantyną we włosach i w fircykowatym ubraniu, które sprawiało, że przypominał gangstera z tanich filmów. Benedikte nie darzyła go sympatią. Po pierwsze dlatego, że Svend sam go zatrudnił bez konsultacji z nią, mimo że to właśnie ona znalazła jego nazwisko w komputerze Podowskiego. Po drugie dlatego, że zwracał się do niej pogardliwie, niemal jakby była jego podwładną, co ją strasznie wkurwiało, bo przecież nie mógł się nawet z nią równać. Teraz pochylił się nieco i wyłączył kosiarkę.

- Musisz się z tym wstrzymać, bo nie słyszymy własnych słów.

Wskazał na otwarte okno gabinetu jej ojca. Nie chciało jej się odpowiadać, potrząsnęła tylko współczująco głową. Zastanawiała się, czy on naprawdę myślał, że potraktuje takiego jak on poważnie. Chwilę potem schyliła się, żeby włączyć silnik, gdy, ku jej zdumieniu, Heeger szarpnął ją za ramię, niczym jakąś uczennicę.

- Nie usłyszałaś, co mówiłem?

Był poirytowany, najwyraźniej musiał należeć do mężczyzn o wybuchowym temperamencie i wielkim ego - kiepska kombinacja. Potrząsnął nią, zanim ją puścił. Wyraźnie naruszył przy tym przestrzeń osobistą Benedikte, przysuwając głowę zbyt blisko jej twarzy. Jego brylantyna śmierdziała ostro, tanio i nieprzyjemnie. Uśmiechnęła się do niego słodko, podrapała się po kości policzkowej, a następnie włożyła mu palec do oka - szybko i z dużą siłą. Palec napotykał opór, jakby naciskała balon, nie dziurawiąc go. Mężczyzna zawył z bólu i chwycił się za oko, a ona poklepała go po policzku i skomentowała wesołym tonem:

- Hau, hau, hau... pies, co dużo szczeka, nie gryzie.

Po chwili ponownie włączyła kosiarkę i ruszyła dalej, z pełną świadomością, że nie zdoła wykonać zbyt wiele okrążeń, bo zaraz na trawniku pojawi się jej własny ojciec.

Lerche-Larsen uprzedziła zarzuty ojca, przyjmując ofensywną postawę i stwierdzając ze wściekłością:

- Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że zdarzają się między nami nieporozumienia. Ale, jakby na to nie spojrzeć, jestem przecież twoją córką i to kompletnie nie do przyjęcia, żeby którykolwiek z twoich pracowników podnosił na mnie rękę. Co ty sobie, do cholery, myślisz? W tym wszystkim nie chodzi tylko o mój autorytet, na szali leży także twój, a może przede wszystkim twój.

- Ucisz się, mamy sąsiadów. Nie ma powodu, żeby angażować w rozmowę całą dzielnicę.

Zaciągnął ją z powrotem na taras i on również szarpnął ją za ramię, ale to było co innego i pogodziła się z tym faktem.

Słońce prażyło, od południa wiał lekki zmienny wietrzyk, który zwykle zapowiadać dobrą pogodę. Lerche mocował się przez chwilę z otwarciem parasola, bo nie lubił, gdy na niego świeciło. Tymczasem Benedikte wykorzystała okazję, żeby dokończyć swój wywód:

- Jeżeli nie potrafisz zapanować nad swoimi podwładnymi, poszukam innego mieszkania. Albo to, albo też będę musiała znaleźć jakiegoś ochroniarza, który skutecznie nauczy naszych pracowników, że mają trzymać ręce z dala ode mnie.

Lerche rozłożył w końcu parasol, a następnie usiadł w cieniu i stłumił w sobie złość. Po pierwsze dlatego, że kłótnia z córką nie wróżyła niczego dobrego, a po drugie musiał przyznać, że miała rację. Dostrzegł to dopiero teraz, wcześniej skupił się wyłącznie na tym, że zaatakowała jego człowieka.

- Wydaje mi się, że wyląduje na pogotowiu. Naprawdę musiałaś wsadzać mu palec w oko? Nie było innej możliwości?

W odpowiedzi precyzyjnie przesuwała koszulę przez głowę i została w samym biustonoszu - jedwabnym, z francuską koronką wokół trójkątnych miseczek.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? Natychmiast z powrotem się ubierz - zażądał wytrącony z równowagi.

Zignorowała go, pokazując zaczerwienione plamy na przedramieniu, w miejscu gdzie Heeger ją chwycił i szarpnął. Nie wyglądało to zbyt poważnie, jednak ślady pozostały, nie dało się temu zaprzeczyć.

- Svendie, zadbaj o to, żeby to się już nigdy nie powtórzyło - odezwała się cicho jadowitym tonem.

Zawahał się i zastanowił. Gdy była młodsza, potrafiła stawiać nierealne żądania i grozić zrobieniem rzeczy, których i tak nie była w stanie dokonać. Jeszcze rok temu z pewnością zażądałaby zwolnienia Heegera, ale teraz wykazywała się większym sprytem, o wiele większym. Należało to przyznać. Paradoksalnie on sam był również nad wyraz niezadowolony z nowego, który już po kilku dniach pracy wydał mu się bezpodstawnie brutalny i bezduszny. Właśnie o tym z nim rozmawiał, gdy hałas kosiarki przerwał im rozmowę.

- W porządku, Benedikte. Obiecuję, że to się już nie powtórzy. A teraz się ubieraj, bo nie zamierzam siedzieć w twoim towarzystwie, gdy jesteś taka roznegliżowana.

- No to sobie idź, przecież to nie ja cię tu ściągnęłam.

Pomimo swoich słów włożyła koszulę. Gdy siedziała już ubrana, Lerche zaproponował z namysłem:

- Może ta twoja przeprowadzka to nie taki zły pomysł. Mama i ja rozmawialiśmy swego czasu o tym, że tak byłoby dla ciebie najlepiej.

Ukryła zaskoczenie tak dobrze, że niemal wszyscy, może z wyjątkiem jej ojca, raczej niczego by nie zauważyli. Milczała przez parę sekund, a potem twierdzącym tonem wypaliła przed siebie, jakby nie zwracała się do niego:

- Matka ma IQ na poziomie temperatury pokojowej i interesuje się wyłącznie samą sobą. - Gwałtownie odwróciła głowę, łowiąc jego spojrzenie. - Svendie, z tobą jest podobnie, tyle że ty lepiej potrafisz to zamaskować.

- Pomogę ci kupić coś porządnego, no bo zakładam, że wolisz mieszkać gdzieś w centrum miasta.

Zignorowała go i kontynuowała swoją ciętą analizę:

- Ale ty się cholernie boisz tego, że zrezygnuję z pracy, bo w takim wypadku będziesz zmuszony do znacznego zredukowania zakresu swojej działalności, chyba że pozwolisz niektórym interesom popłynąć.

Obrócił się w jej stronę i odpowiedział jej tym samym chłodnym tonem:

- Przesadzasz, bo wcale, jak to ujęłaś, nie boję się cholernie. Masz jednak rację w tym, że twoja praca ma spore znaczenie, głupio byłoby

temu zaprzeczać. Z drugiej strony polegam na twojej zachłanności, radości z zarabiania pieniędzy. Jesteś w tym cudownie banalna i przewidywalna.

Potaknęła w zamyśleniu głową. No tak, przecież jestem, przecież właśnie taka jestem - przyznała w myślach. Balans, równowaga, zbrojna neutralność, reszta to tylko słowa, które, gdy przychodziło co do czego, nie są w stanie niczego zmienić.

- Przemyślę to, może to rzeczywiście nie taki zły pomysł? - stwierdziła.

- Świetnie, byleby nie za długo.

Nie za długo zabrzmiało przyzwocie. Wróciła do kosiarki, ale decyzję podjęła, zanim zrobiła pierwsze okrążenie.

Rozdział 57

Policyjne młyny miały wolno, ale efektywnie. Jak tylko śledczy poznali tożsamość Jana Podowskiego, w ciągu zaledwie kilku dni jego życie zostało gruntownie sprawdzone. Wszystko było kwestią środków i zasobów, a tych szef wydziału zabójstw w tym przypadku nie skąpił. Sprawa, która wcześniej wydawała mu się beznadziejna, przybrała ostatnio pozytywny obrót i inspektor wyczuwał, że może uda się wyjaśnić sprawę. W podobnym nastroju byli jego współpracownicy. Nie żeby rozmawiano o tym otwarcie, nie chciano grzeszyć pychą, ale w wydziale zabójstw wyraźnie powiało optymizmem.

Fragmenty układanki, którą było życie Podowskiego, powoli wskakiwały na swoje miejsce, wszystkie z wyjątkiem fatalnej, choć istotnej luki w aktywności mężczyzny podejmowanych w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Jednak Simonsen był pewny, że i te braki wkrótce zdołają uzupełnić.

Jan Podowski urodził się w Kopenhadze w 1955 roku. Po skończeniu szkoły podstawowej, w wieku szesnastu lat, rozpoczął naukę stolarstwa meblowego i zaledwie pięć lat później, w 1975 roku, zdobył świadectwo czeladnicze. Następnie przez trzy lata pracował w firmie Clausa Pedersena w Frederiksberg, zajmującej się stolarstwem meblowym, gdzie składał i bejcował projektowane na zamówienie stoły do jadalni. Opuścił zakład w 1978 roku, po tym, jak jeden z jego kolegów uległ poważnemu wypadkowi. Arnold zdradził szczegóły, składając swojemu szefowi raport:

- Jego kolega usunął osłonę z noża do rozdzielania płyt, bo chciał wykonać niewidoczne cięcie. Wtedy płyta przechyliła się na niego, a on przeciął sobie rękę w nadgarstku. Po tym wydarzeniu Podowski opuścił firmę. Uznał, że muszą istnieć łatwiejsze i mniej ryzykowne sposoby na zarabianie pieniędzy. Z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że na zostanie kryminalistą zdecydował się z dnia na dzień.

- Świetnie, dalej. - Simonsen próbował przyspieszyć raportowanie.

Arnold starannie przekartkował swoje notatki, co zajęło mu nieco czasu, ale w końcu znalazł to, czego szukał.

- I ten biedak nie dostał więcej niż trzynaście tysięcy koron odszkodowania - wrócił do poprzedniego wątku.

Pedersen się zaśmiał, chociaż zazwyczaj zgadzał się ze swoim szefem, że ich kolega Jutlandczyk potrafił być niezwykle skrupulatny w swoich ustaleniach.

- W latach osiemdziesiątych Podowski pracował jako kierowca, często dla różnych kryminalistów - kontynuował Arnold. - Oprócz tego zatrudniał się jako bramkarz w kopenhaskich dyskotekach, gdzie wielokrotnie oskarżano go o handel nielegalnymi środkami odurzającymi, ale za każdym razem zarzuty oddalano. Przez dłuższy okres był zatrudniony jako pracownik sceny w legendarnym klubie Madame Arthur - najbardziej szalonym nocnym klubie w mieście w latach osiemdziesiątych, a jednocześnie miejscu spotkań gejów, drag queens i transwestytów i różnej maści typów miłujących się w nocnych imprezach. Do czasu, aż AIDS przetrzebiło bywalców tego miejsca pod koniec dziesięciolecia. W latach dziewięćdziesiątych był zamieszany w nielegalny import podrabianych towarów i szmuglowanie papierosów. Poza tym przypuszczalnie brał udział w napadach na tiry i w kradzieżach z włamaniem, ale nie zaliczył nawet jednego pobytu za kratkami. Musiał mieć sporo szczęścia albo sprytu - zapewne jedno i drugie.

- Skąd mamy te informacje? - zapytał Simonsen.

- Od informatorów, ale pochodzą z niezależnych źródeł i zostały potwierdzone. Wiele osób z półświatka okolic Kopenhagi, a w pewnym okresie także z Odense, doskonale pamięta Podowskiego. Był zresztą dość lubianym facetem, jeżeli to w ogóle ma dla nas znaczenie. Określono go jako gościa, na którym można polegać - taką miał opinię.

- A co z adresami, dziewczynami, finansami?

- Mamy wszystko, chcesz, żeby ci to przedstawić? Nie wygląda, jakby mogło coś wniesć do sprawy.

Nie było takiej potrzeby.

- Czyli pod koniec lat dziewięćdziesiątych znika nam z pola widzenia - stwierdził inspektor.

- Ostatnie znane miejsce zamieszkania to wynajmowany pokój przy Brannersvej w Charlottenlund. Wyprowadził się stamtąd w dziewięćdziesiątym szóstym i od tego czasu nie był zameldowany pod żadnym innym adresem. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że facet dokładał wszelkich starań, żeby wyraźnie rozgraniczyć pracę i życie prywatne, a także nie figurować w żadnych publicznych rejestrach. W dziewięćdziesiątym czwartym przestał płacić podatki, w dwa tysiące drugim sprzedał samochód i zlikwidował konta w banku, nie pobierał żadnych świadczeń i żył w Karlslille jako Philip Sander... Tak, to by było na tyle. Ale nie wiemy dlaczego i ciągle jeszcze pozostaje niejasne, czym się w tym okresie zajmował.

- Ustalimy to, to tylko kwestia czasu. A co z dziećmi, rodziną i tego typu sprawami? - Simonsen zdawał się tryskać optymizmem.

- O ile nam wiadomo, był bezdzietny. Nie utrzymywał też kontaktu ze swoimi dwiema siostrami. Jedna zresztą mieszka w Belgii.

- Czyli jego niewidoma partnerka ma rację, gdy twierdzi, że nie wie, czym się zajmował? - zwrócił się Arnold do Pedersena.

Policjant miał co do tego wątpliwości - sprawa póki co pozostawała otwarta. Nie wątpił jednak, że na to pytanie, podobnie jak na wiele innych, odpowiedź znajdzie Hrabianka.

Rozdział 58

Rozstanie z Benedikte wysysało Kraga od środka, zżerało go od zewnątrz, przywodząc na skraj zwątpienia za każdym razem, kiedy o niej myślał, co czynił wiele razy dziennie. Zdarzały się i chwile wytchnienia, gdy na krótki czas udawało mu się o niej zapomnieć, a wtedy życie wydawało się całkiem normalne jak dawno, dawno temu, zanim jeszcze ją poznał. Nieustannie próbował się z nią skontaktować, zwłaszcza w weekend po rozstaniu, jednak za każdym razem bez powodzenia. Nie odbierała od niego telefonów, mógł też sobie darować wysyłanie SMS-ów – nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Mimo to nie ustawał w próbach, wystukując litera po literze pojedyncze wyrazy – najpierw na klawiaturze komputera, który zapewniał możliwość odsłuchania wiadomości: „Benedikte, przepraszam. Kocham cię, Benedikte. Benedikte, tak mi przykro. Benedikte, nie mogę bez ciebie żyć”. Jak na ironię to właśnie Ida odczytywała jego wiadomości. Następnie każdą literę należało wystukać w telefonie. Potem wielokrotnie wszystko sprawdzał, żeby się upewnić, że jest w porządku i może nacisnąć przycisk „wyślij”. Na nic się jednak zdały te wysiłki.

Wielokrotnie próbował też z obcych numerów, należących do znajomych lub przyjaciół, ale i to nie pomogło.

– Benedikte, poczekaj... – Nigdy nie dotarł dalej, bo dziewczyna się rozłączała, a jemu w uszach jeszcze tylko przez chwilę dźwięczał jej głos.

Wieczorami wypił zdecydowanie za dużo piw, lecz nawet one nie pomagały na tęsknotę, a właściwie to sprawiały, że stawała się jeszcze dotkliwsza. Mimo to przez ostatnie dwa dni, wracając z pracy do domu, kupował sześciopak. Zaczął też unikać przyjaciół.

Noce okazały się lepsze, były na swój dziwny sposób jakby autentyczniejsze, nie obiecywały niczego, czego nie mogłyby dotrzymać. Nocą, by do niej nie zadzwonił, nawet wtedy, zanim sprawy nie przybrały fatalnego obrotu, bo w nocy spała. Miał taką nadzieję. To znajome uczucie zazdrości dopadało go ze wszystkich stron, a w jego

głowie rodziły się bolesne obrazy. Przeganiały sen. Benedikte z obcym mężczyzną, Benedikte naga, oddana, wzdychająca, spocona... tak jak na tych filmikach, których nie potrafił przestać oglądać, właśnie tych, które były źródłem jego nieszczęścia. A on mimo to, mimo wszystko nie potrafił przestać! To było niepojęte. Dlaczego tak się działo? Był głupi, to dlatego - nie potrafił niczego przewidzieć, niczego pojąć... Tym razem nie zadziałał nawet ten klasyczny mechanizm ucieczki. Usiadł na łóżku i zaciśniętą pięścią walnął w ścianę, aż poczuł ból w łokciu. Potem sięgnął po kolejne piwo. Rano zadzwonił do pracy i powiedział, że jest chory.

Wcześniej umówił się z Benedikte na poniedziałkowy wieczór u niego w mieszkaniu i miał szczerą nadzieję, że dziewczyna dotrzyma umowy. Minęło już pięć dni, odkąd opuściła go w złości. Przez cały dzień próbował sobie wmawiać, że pewnie przyjdzie, skoro nie odwołała spotkania. No i mieli przecież wspólny projekt do zrealizowania. Oczywiście, że się zjawi. Nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. Nasłuchiwał na schodach, wyglądał przez okno w poszukiwaniu jej samochodu. Na próżno.

We wtorkowy poranek wyruszył do Solrød Strand. Nie mógł spać, nie potrafił też wytrzymać w domu. W trasie zdał sobie sprawę, że jeżeli zostanie zatrzymany i będzie musiał dmuchać w alkomat, zabiorą mu prawo jazdy. Pomyślał wtedy, że to i tak bez znaczenia. Poszedł na plażę. Zamglone i wyblakłe słońce wisiało jeszcze nisko na horyzoncie, a nieliczne kamyki na plaży rzucały na piasek blade cienie. W odruchu bezsilności kopał te, które napotkał po drodze. Kolejny dzień, który trzeba przetrwać. Splunął na spłaszczony karton po mleku, który wyłonił się tuż przed nim. Nie trafił.

Nieco później, gdy już trochę wytrzeźwiał, wrócił do domu, zaparkował motocykl i udał się do kiosku, gdzie zakupił karton prince'ów, butelkę whisky i zgrzewkę piwa w puszcze. Potem skierował się do domu matki. Otworzyła mu w koszuli nocnej i ucieszyła się na widok whisky i papierosów. Przyniosła szklanki, wypili.

- Henriku, powiedz mi: jak ty się właściwie miewasz? - spytała i ponownie napełniła szklanki.

On otworzył dwa piwa.

- Dobrze, mam, dobrze - zapewnił.

Włączyła telewizor, głos w tle przyjemnie wypełniał przestrzeń. A wtedy nagle – nie bardzo wiedział, czy spędził u niej godzinę, czy może trzy – doznała olśnienia. Papieros w kąciku jej ust, w dłoni szkło, które ponownie napełniła, a także głos przypominający odgłosy palnika do cięcia, głos, którego tak bardzo się wstydził jako dziecko.

– W takim razie walcz, ty dupo wołowa. Zamiast biegać w kółko i się nad sobą uzalać.

Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek napomknął jej o Benedikte. Z pewnością o niej nie wspominał. Może sama zgadła, widocznie jej nie doceniał.

– Jak mam walczyć, skoro jej nie ma? – zapytał zrezygowany.

– Przecież nie umarła ani nie wyemigrowała, prawda?

No dobra, czyli zgadła.

– Nie, mam, nie umarła. – Otworzył kolejne piwo, już piąte, i pomyślał zmęczony, że może lepiej, gdyby tak się stało. To byłoby prostsze.

– Jeżeli ci na niej zależy, to ją znajdź. Albo to, albo zapij się na śmierć tak jak ja. – Zaśmiała się zaskakująco pięknym śmiechem, którego się po niej nie spodziewał.

Minęła chwila, zanim zrozumiał, że matka ma rację. Wylał resztę piwa do jej figowca benjamina. Uśmiechnęła się, gdy to zauważyła, a po chwili opróżniła swoją szklanę.

Rozdział 59

Po epizodzie z psem relacje Hrabianki z panią Esper wyraźnie się ochłodziły. Ta pierwsza była całkowicie pewna tego, że niewidoma kobieta wykorzystałaby swojego psa, aby ją zabić, gdyby tylko miała taką możliwość, bo upatrywała w tym sporą korzyść. Nie był to dobry punkt wyjścia dla przyszłej współpracy, dlatego też policjantka musiała wykrzesać z siebie tyle profesjonalizmu, ile tylko się dało, żeby przeprowadzić przesłuchanie w stosunkowo merytorycznym tonie.

Wcześniej szczegółowo przedyskutowała tę sprawę z Simonsenem i postanowiła, że kolejne rozmowy z Esper powinny się odbyć w Karlslille, a nie w komendzie, co – biorąc pod uwagę okoliczności – wydawało się naturalniejsze. Stan zdrowia przesłuchiwanej nie był tu oczywiście bez znaczenia – ze względów praktycznych przeprowadzenie rozmów w miejscu zamieszkania niewidomej kobiety wydawało się dużo prostszą opcją. Poza tym Hrabianka nie chciała jeszcze rejestrować oficjalnego przesłuchania, bo wtedy nie mogłaby w nim niczego zmienić, musiałyby się trzymać ściśle określonych procedur. Uznała, że na nagrywanie jest po prostu za wcześnie. Ponadto spodziewała się rozmów, których wolałaby nie zapisywać na taśmie. Mimo wszystko teraz obowiązywały już inne zasady. Tym razem żona Simonsena zabrała ze sobą dwóch funkcjonariuszy. Jeden z nich pracował jako opiekun psów i to właśnie on, z pomocą Esper, zamknął jej zwierzaka w swoim wozie, zanim jeszcze Hrabianka wysiadła z własnego samochodu. Uparła się, że tak ma być, i zapewnienia niewidomej kobiety, że jej pies nie stanowi żadnego zagrożenia, na nic się nie zdały.

Abstrahując jednak od kiepskiej atmosfery, przesłuchanie Hrabianki przyniosło pewne rezultaty. Pojawiały się wolno, stopniowo, ale okazały się istotne. Gdy stwierdzono, że kobieta okłamywała policję, śledczy z Komendy Głównej gruntownie prześwietlili jej życie.

Kiedy Hrabianka wznowiła przesłuchanie, zaczęła od ustalania relacji łączącej Esper i Jana Podowskiego:

- Ma pani syna z uszkodzeniem mózgu, który mieszka w domu opieki Sankt Eliza Pflengewohnen w Rintel, w Niemczech. Czy to również syn Podowskiego?

Esper potwierdziła skinieniem głowy, a wtedy Hrabianka wskazała na dyktafon i poprosiła o powtórzenie na głos.

- Tak, to prawda, Frederik to również syn Jana. - Kobieta zastosowała się do polecenia.

- Proszę o tym opowiedzieć. - Hrabianka domagała się szczegółów.

Jeszcze w 1986 roku Esper i Podowski mieli krótki romans, gdy kobieta była zamężna i mieszkała w Middelfart. Zaszła w ciążę i mniej więcej w tym samym czasie, w szpitalu klinicznym w Odense, przebadano nasienie jej męża i okazał się bezpłodny. Małżeństwo się rozpadło, a ona przeprowadziła się do Kopenhagi, gdzie przez kilka lat mieszkała z synem w dzielnicy Vesterbro.

- Nie próbowała pani odnaleźć Podowskiego? - wtrąciła policjantka.

- Nie.

- Dlaczego?

- Początkowo sądziłam, że to nie Jan jest ojcem. Jednak później nie miałam już wątpliwości, to było widać po Frederiku, ale ja wtedy zdążyłam się już przyzwyczaić do mieszkania w pojedynkę, to znaczy bez mężczyzny. Jan odnalazł mnie dopiero później, już po wypadku. Wiedział, że jest ojcem Frederika, a właściwie chyba się domyślił. Powiedział mi wtedy, że od czasu do czasu miał na nas oko, chociaż my o niczym nie wiedzieliśmy.

W 1995 roku Silje Esper spowodowała wypadek samochodowy, gdy wiozła swojego syna i jego kolegę. Do zdarzenia doszło na Ballerup Boulevard - była lekko wstawiona i jechała za szybko. Konsekwencje okazały się poważne: ona sama straciła wzrok, jej syn doznał poważnego uszkodzenia mózgu, a jego przyjaciel zmarł. Podowski odwiedził ją, gdy leżała w szpitalu w Herlev, zatroskany stanem Frederika... Na twarzy Esper pojawił się smutny uśmiech, ale wyraz jej niewidomych oczu się nie zmienił.

- Tak, martwił się również o mnie - przyznała.

Gdy Hrabianka wróciła do komendy, złożyła raport pozostałym pracownikom wydziału zabójstw:

- Znaleźli dla Frederika sanatorium w Niemczech. Chłopak reaguje na światło, dźwięk i ból, ale nie potrafi mówić ani skoordynować ruchów. Nie rozpoznaje ludzi i chrząka, gdy chce okazać niechęć. Całe dnie siedzi przykuty do wózka inwalidzkiego, korzysta z pieluch i jest karmiony przez sondę. Sankt Eliza to dobre miejsce dla ludzi w jego stanie, ale to również bardzo drogi dom opieki. Kosztuje około trzech tysięcy euro miesięcznie, z czego państwo, to znaczy nasze duńskie, płaci mniej więcej połowę, ale nawet półtora tysiąca nie jest na kieszeń Esper.

- Ale nie dla Podowskiego? - Arnold powiedział na głos to, o czym wszyscy myśleli.

- Nie, nie dla Podowskiego. W swojej pracy miał do czynienia ze znacznymi kwotami, tak, to cytował za Esper. Gdy spotkali się po raz drugi, jeżeli można to tak nazwać, na różne sposoby zarabiał już całkiem sporo. Jednak gdy poczuł się odpowiedzialny za swoją rodzinę, zaczął kraść regularnie, bardziej systemowo. Ester twierdzi, że nie wie, dla kogo pracował, a ja jej wierzę. Orientuje się natomiast, ile kradł, i mowa tu o dużych pieniądzach, mniej więcej pięćdziesięciu tysiącach koron tygodniowo.

Pedersen zagwizdał, a Simonsen zapytał:

- A ona nie ma pojęcia, gdzie pracował?

- Jakieś mgliste ma. Burdele i nielegalny hazard, tak przypuszcza. Jednak podkreśla, że to tylko domysły. Na przestrzeni lat Podowski czasem tracił czujność, a ona wyciągała wnioski. Ale nie mamy żadnych konkretów. Nigdy bezpośrednio nie wyjawiał jej nic na temat swojej pracy.

- Czy to wszystko? To rzeczywiście niewiarygodne, że zupełnie nie ma pojęcia o pracy Podowskiego, skoro tak długo mieszkali razem.

Hrabianka usłyszała ten komentarz co najmniej dziesiąty raz, nie licząc tego, co sama pomyślała na ten temat i wypowiedziała na głos. Póki co takie były fakty, niewiarygodne, ale jednak. W tym tygodniu zamierzała jeszcze raz pojechać do Karlslille, bo nadal istniały pewne luźne wątki wymagające wyjaśnienia. Do tego jeszcze dwa szczegóły, o których do tej pory nie wspomniała, a które mogły się okazać istotne.

- Mężczyzna, dla którego pracował Podowski, miał trzy samochody, z czego jeden to audi R8, a drugi to białe porsche - wyjawiała. - To

chyba nienajgorszy punkt wyjścia, biorąc pod uwagę, że w Danii nie ma zbyt wielu osób, które posiadają jednocześnie akurat te dwie marki. Jest jeszcze jedna interesująca rzecz. Podowski regularnie pracował na swoim komputerze nad czymś, co nazywał polisą na życie. Nie chciał zdradzić Ester, o co chodziło, ale wyniki swojej pracy zapisywał na pendrivie, którego potem gdzieś schował, tego jest pewna. Nie wie tylko gdzie.

Simonsen mruknął z zadowoleniem, zwłaszcza wątek samochodów wydawał się obiecujący. Poprosił Pedersena, aby ten sprawdził tę informację, a potem stwierdził:

- Wygląda na to, że będziemy musieli przeprowadzić kolejne przeszukanie. Myślisz, że Esper wyrazi na to zgodę? Jeśli nie, będziemy się musieli postarać o nakaz sądowy.

Hrabianka uważała, że dostaną zgodę kobiety, a Simonsen zapisał coś w swoim notatniku leżącym przed nim na stole. Domagał się, aby przeszukanie odbyło się już w poniedziałek, i oddelegował do tego zadania Hrabiankę.

- Czy udało się w systemie ustalić coś na temat zakupu i sprzedaży jej ceramiki? - zapytał. - Opowiedz nam o tym.

Hrabianka streściła: Podowski i Esper mieli spory problem, mianowicie taki, że te znaczne kwoty, które mężczyzna przynosił do domu, zarobił nielegalnie. Stanowiło to oczywisty problem w razie kontroli urzędu skarbowego, ale przede wszystkim uniemożliwiało im założenie legalnego rachunku oszczędnościowego, po to by Frederik Esper mógł pozostać tam, gdzie przebywał, przez resztę swojego życia. Zanim kobieta straciła wzrok w wypadku samochodowym, uczyła pracy w glinie w różnych szkołach wieczorowych i wszystkich innych miejscach, wszędzie, gdzie tylko zaoferowano jej pracę. Po wypadku para nabyła dom w Karlslille, odnowiła go, a Esper urządziła w jednym z pomieszczeń atelier, w którym produkowała swoje dzbanki. Szybko okazało się, że jest świetna w tym, co robi. I rzeczywiście udawało jej się sprzedawać większość swoich wyrobów, ale wcale nie po cenach, o których wspominała w kontekście swoich niemieckich kontrahentów. Po pewnym czasie, regularnie rozliczając się z urzędem skarbowym, zgromadziła całkiem przyzwoity legalny majątek, czy raczej majątek, który mógł wyjść na jaw.

Gdy Hrabianka skończyła, okazało się, że Pedersen doszukał się niespójności w jej opowieści.

- To po co Podowski prowadził podwójne życie? To znaczy, po co wymyślił Philipa Sandera? O ile dobrze rozumiem, to w żaden sposób nie pomagało w praniu brudnych pieniędzy.

- Nie, nie bezpośrednio, a może nawet wcale. Esper twierdzi, że chodziło mu przede wszystkim o to, żeby mógł zniknąć - po prostu uciec. Nie przed władzą, ale przed swoim pracodawcą, gdyby ten pewnego dnia złapał go na gorącym uczynku. W takiej sytuacji Podowski mógłby bez większych problemów wycofać się z interesu i prowadzić ciche, spokojne życie w Karlslille jako Philip Sander. I jeszcze jedna rzecz, o której zapomniałam wam powiedzieć.

- Tak? - spytał krótko Simonsen. Prawdopodobnie jako jedyny zorientował się, że Hrabiance nic nie umknęło, tylko celowo zostawiła tę informację na koniec.

- Obiecałam Esper, że nie będziemy nagłaśniać jej niemieckich transakcji. Nie ma powodu, by państwo grzebało przy pieniądzach przeznaczonych na syna. Zakładam, że jesteśmy w tej sprawie zgodni?

- Nie, absolutnie się z tym nie zgadzam.

Głos należał do Arnolda, pozostała trójka spoglądała na niego zaskoczona.

- Nie zgadzasz? - spytała wolno, niemal złowrogo Hrabianka, nie ukrywając przy tym swojego zdumienia.

- Zupełnie. Wszystkim się wydaje, że państwowa kasa to taki wielki potwór, który pożera nasze pieniądze, ale kto w takim razie opłaca pobyty w ośrodkach opieki tych wszystkich pozostałych ofiar wypadków drogowych, którzy są w takiej samej sytuacji jak Frederik Esper, a nie mają dostępu do prywatnego, luksusowego sanatorium?

- A ty nigdy nie przyjąłeś żadnej drobnej kwoty na czarno, wykonując te swoje liczne prace, gdy mieszkałeś w Esbjerg? - zapytała ostro Hrabianka.

- I to niby miałyby być argument dający ci prawo do traktowania obowiązujących przepisów zgodnie z własnym uznaniem?

Stąpali po grząskim gruncie. Pedersen natychmiast przeniósł wzrok za okno, dając do zrozumienia, że nie weźmie udziału w dyskusji. Hrabianka i Arnold wyglądali niczym dwa rozwścieczone koguty, które

na chwilę przerwały rywalizację. Simonsen podniósł nieco głos i zapytał złowrogim tonem sugerującym, że zamierza zaprowadzić porządek:

- Czy obiecałaś Esper, że jeżeli nam pomoże, to zapomnimy o jej majątku?

Pytanie było oczywiście skierowane do Hrabianki.

- Nie bezpośrednio, ale to wisiało w powietrzu.

Jej odpowiedź brzmiała, łagodnie rzecz ujmując, niejasno. Mogła oznaczać wszystko, jak dość szybko zorientował się Arnold. Nie odezwał się jednak, postanowił poczekać na opinię swojego przełożonego. Po chwili namysłu, która stanowiła wyłącznie grę pozorów, szef wydziału zabójstw oznajmił stanowczo:

- Nie jesteśmy urzędem skarbowym i to cholernie ważne, żebyśmy mogli negocjować, gdy okaże się to niezbędne. Klavs, zapomnimy o tych pieniądzach.

Mężczyzna nic na to nie odparł. Simonsen powtórzył ostatnie zdanie, tym razem unosząc wzrok i spoglądając prosto w oczy Jutlandczyka. To pomogło.

- Simon, zapomnimy o tych pieniądzach - powtórzył za nim ze złością Arnold.

Rozdział 60

Tak jak Hrabianka podejrzewała, niewiele osób w Danii posiadało jednocześnie audi R8 i porsche. Tak w zasadzie były to jedynie dwie osoby, z czego jedna mieszkała w Herning i zajmowała się produkcją wędlin, więc dla niej Jan Podowski najprawdopodobniej nie pracował. A poza tym tamten mężczyzna miał jasnoniebieskie porsche. Drugi mieszkał w Rungsted.

- Svend Lerche, z wykształcenia inżynier, pod pięćdziesiątkę, dyrektor administracyjny i współwłaściciel czegoś, co nazywa się Akademią Pokera - poinformował Pedersen.

- Jak to działa? - zapytał zaintrygowany Simonsen. - Brzmi dość podejrzanie.

- Być może, ale w rzeczywistości to zgodne z prawem. Facet zatrudnia wiele osób, które grają dla niego w pokera w sieci. Rozmawiałem z urzędem skarbowym, a oni twierdzą, że wszystko jest w porządku. Księgi rachunkowe i dokumenty zatrudnieniowe prowadzone zgodnie z przepisami. Mężczyzna ma zakaz zbliżania się do jednego z pracowników urzędu skarbowego, po tym, jak rok temu mu groził. Jednak poza tym nic na niego nie mają.

- Żadnego hazardu?

- Poker to nie hazard, tak definiuje to ustawodawca. W dłuższej perspektywie sukces w pokerze zależy od zdolności i niczego innego. Co nie zmienia faktu, że Silje Esper mogła sądzić, że chodzi o hazard.

Inspektor zapytał o adres Lerchego, a wtedy Pedersen, nieco poirytowany tym poleceniem, pofatygował się do swojego biura i znalazł go w komputerze. Wybierał się już do domu na weekend, poza tym trudno oczekiwać, by w Rungsted mieszkał więcej niż jeden Lerche. Simonsen sam mógł sobie znaleźć jego adres. Pedersen wrócił i wręczył szefowi karteczkę z namiarami.

- Czy to nie może poczekać do poniedziałku?

Hrabianka, która zdążyła już dotrzeć do biura męża, zgodziła się ze swoim kolegą. Inspektor wyraził jednak przekonanie, że Pedersen

zapewne znajdzie trochę czasu, żeby zajrzeć tam w niedzielne przedpołudnie. Warto było przecież spróbować. Gdy szef wydziału zabójstw spojrzął pytająco na Arnego, ten zdecydowanie odmówił. Prawda była taka, że nie miał czasu. Obiecał bliźniakom, że pojedzie z nimi na turniej piłki nożnej, który potrwa cały weekend. Simonsen przyjął to do wiadomości - być może on też nie pojedzie tam sam, a zamiast tego wyśle pod ten adres paru ludzi. Hrabianka i Pedersen wymienili się krótkimi uśmiechami, bo doskonale wiedzieli, że tak nie zrobi.

- Swoją drogą, póki jeszcze jesteś - zwróciła się do Pedersena Hrabianka - w poniedziałek będzie nas tylko dwoje i może kilkoro kolegów. Odwołałam pozostałych. Esper zadzwoniła godzinę temu i opowiedziała interesującą rzecz, która nagle przysła jej do głowy. Przez pewien okres, gdy Podowski pracował nad swoją polisą na życie, to znaczy używał tej pamięci USB, wyraźnie wyczuwała farbę. W związku z tym na początek powinniśmy przeszukać akcesoria malarskie w szopie. To przecież klasyczny schowek.

Rozdział 61

Zebranie się na odwagę i posłuchanie rady matki o odszukaniu Benedikte zabrało Kragowi cztery dni. Decyzję podjął w sobotę, która już od porannych godziny zapowiadała się ponuro. Niebo przypominało jednolitą szarą maź, a słońce gdzieś się schowało. Jediną okolicznością łagodzącą w tym całym ponuractwie okazała się temperatura - było ciepło, a do tego bezwietrznie.

Krag przyglądał się willi i spoglądał w okna mieszkania Lerche-Larsen, znajdującego się na pierwszym piętrze. Czuł się tym, kim teraz był: obcym i niemile widzianym człowiekiem. Chociaż było już dobrze po dziewiątej, to nie zarejestrował w nieruchomości żadnej aktywności. Również na parterze, gdzie mieszkali jej rodzice i gdzie bywał dość często, gdy jeszcze dla nich pracował. Nigdy nie dotarł na górę, dzisiaj miał być ten pierwszy raz. „Pierwszy i może ostatni, jeżeli w ogóle mi otworzy”, pomyślał i od razu się upomniał, że przecież i tak nie ma nic do stracenia. Ich relacja nie mogła się już bardziej pogorszyć, a ostatnie dziewięć dni okazało się prawdziwym piekłem. Lepiej już zakończyć to raz na zawsze, żeby mógł ruszyć do przodu. Od pewnego czasu prowadził ze sobą podobny dialog częściej, niż by chciał, a mimo to, stojąc teraz na chodniku, zawahał się. W ręce trzymał bukiet kwiatów.

Wyczuwał specyficzny zapach wód cieśniny Sund, prawie zapomniał, że to możliwe. Jednak go zapamiętał. Jakby to miało jakieś znaczenie. W końcu zebrał się w sobie, zrobił kilka zdecydowanych kroków w stronę furtki i się zatrzymał. Najgorzej, jeżeli okaże się, że dziewczyna ma gościa. Ta myśl była nie do wytrzymania. Albo jeżeli Svend Lerche go stąd przegoni. Może lepiej będzie wrócić do domu i zapomnieć o całej sprawie.

Gdy już niemal podjął decyzję, zauważył nagle ruch zasłony w jej oknie i środkowy palec trzymany w górze przez kilka sekund.

Kiedy dotarł na piętro, otworzyła mu drzwi. Ostrożnie wszedł do środka, a serce waliło mu tak, jakby właśnie przebiegł sto metrów.

Zastał ją w salonie, gdzie czekała na niego w milczeniu. Rozejrzał się przelotnie po jej mieszkaniu – stylowym i bogato urządzone. To go trochę zdołowało. Tak jak się zresztą spodziewał. Podszedł do niej blisko, nie potrafiąc się pohamować. Zrobiło się niezręcznie: jego dłoń na jej ramieniu, potem jego dłoń na jej barku, a następnie na plecach, podczas gdy druga trzymała bukiet kwiatów. Nie zareagowała, stała nieruchomo niczym posąg, znosząc w milczeniu jego intymne gesty.

Niepewnie zrobił krok do tyłu i wręczył jej kwiaty. Wzięła je, po czym odrzuciła obojętnym ruchem. Wylądowały na najniższej półce regału na książki, celofan przez chwilę zaszeleścił jakby w proteście. Potem obróciła się nieznacznie, tak by stanąć dokładnie na wprost niego. Skrzyżowała ramiona, jej spojrzenie tchnęło lodem, było zdecydowane, zaczepne, powściągała złość, jej głos brzmiał złowieszczo niczym symfonia dudniących kotłów i bębnow.

- Twój dotyk mnie brzydzi – powiedziała, cedząc każde słowo. - Poza tym znudziłam się twoim ciałem, znam twoje mięśnie na pamięć, a poza nimi nie mam już czego poznawać. Skończyłam z tobą, koniec kropka. Nawet twoja głupota nie jest mnie już w stanie zaskoczyć.

Szyderstwo mocno go dotknęło, twarz Kraga nabrała koloru. Nie znalazł żadnej odpowiedniej riposty.

- Dlaczego oglądałeś mój film? - zapytała Benedikte.

Pochylił głowę i rozłożył ramiona. Powtórzyła pytanie donośniejszym tonem i dodała:

- Chcę to wiedzieć. Odpowiedz albo spadaj.

Przynajmniej zdobył się na szczerą, choć to nie było proste. Słowa wypływały z jego ust falami: z zakłopotaniem, urywane frazy na przemian z długimi, kłopotliwymi przerwami i proszącymi spojrzeniami, w nadziei, że zrozumie, co miał na myśli. Daremnie – nie okazywała żadnej łaski, a on próbował dalej, czerwony ze wstydu, jękający się i upokorzony, aż w końcu mu przerwała:

- I co takiego cudownego zobaczyłeś na tym filmie? Pewnie podobało ci się, jak leżę gotowa na brzuchu niczym wypatroszony kurczak, a kamera kradnie każdą fałdkę mojej skóry, każdy mieszek włosowy, każdą najmniejszą wypływającą ze mnie kroplę? Tak, ja też oglądałam to nagranie, ale w przeciwieństwie do ciebie omal nie spaliłam się ze wstydu. To było najgorsze, co do tej pory przeżyłam. Dopóki nie dotarło

do mnie, że ty się śliniłeś, przyglądając się temu przedstawieniu. To się okazało jeszcze gorsze. Ale ciebie to najwyraźniej podnieca, co, Henriku?

Zadała pytanie, a on tylko potrząsnął głową bez słowa. Ponizła go dalej:

- Spójrz na mnie i przestań zachowywać się jak wychłostany kundel. Podnieca cię, że cały świat może się teraz na mnie gapić? Mów!

Do kolekcji jego nieszczęść dołączyło jeszcze zawstydzenie, ale zanim zdążył odpowiedzieć, dodała przesłodzonym i złośliwym tonem:

- Henriku, dobrze, że to właśnie dzisiaj się zjawiłeś, bo jutro wybieram się ze swoim chłopakiem do Mediolanu i spędzimy tam parę tygodni, może pięć. Wyślemy ci stamtąd widokówkę, no wiesz, taka naprawdę intymną, taką jak lubisz.

Sponiewierany, znieważony, żaloszny i brudny - Henrik Krag czuł do siebie odrazę i miał nadzieję, że go za chwilę wyrzuci, skoro sam nie potrafił zdobyć się na to, żeby odejść. Jednak nagle, kiedy się tego najmniej spodziewał, objęła go ramionami.

- Nic nie mów.

To polecenie wydało mu się miłe, czuł gulę w gardle i nie wiedział, czy w ogóle może się odezwać. Stali tak przez dłuższy czas, aż wreszcie przerwała ciszę:

- Wakacje i chłopaka wymyśliłam.

Ponownie zapadło milczenie, aż w końcu uwolniła się z jego objęć, prawie. Trzymała go za przedramiona.

- Dlaczego zajęło ci to tyle czasu, ty tchórzu? Naprawdę za tobą tęskniłam.

Opowiedział jej o matce, szczerze, tak było najlepiej. Zaśmiała się, ale nie szyderczo.

- Dostanę całusa? Czy może musisz najpierw spytać swoją...

Zduślił jej słowa ustami.

Benedikte podniosła kwiaty i wstawiła je do wody, a potem poczęstowała Kraga sokiem z dzbanka stojącego na stole. Wystawiła tam również dwa kubki, dopiero teraz to zauważył. Gdy zarejestrowała jego zdziwienie, uśmiechnęła się i zapytała:

- Miałeś ostatnio jakieś wieści od Idy?

- Tak, dzwoniła przedwczoraj. Wydawała się zadowolona z tego, jak wywiązałem się z pierwszego zadania, a nowe dostanę w poniedziałek.

- Skąd Ida może wiedzieć, jak sobie poradziłeś?

Z wewnętrznej kieszeni wyjął stronę z gazety i ją rozłożył.

- To było na okładce środowego wydania lokalnej gazety z Bagsværd.

- Skąd masz gazetę? - zapytała, gdy przeleciała wzrokiem artykuł.

- Z biblioteki Gladsaxe.

- Mam ci przeczytać na głos?

Potrząsnął głową, to nie miało znaczenia. Po chwili zerknęła na swój zegarek. Doskonale wiedział, co to oznacza, ale w tym momencie był w stanie znieść wszystko, nawet to, że nie miała dla niego więcej czasu.

- Denerwujesz się? Chodzi mi o kolejne zadanie.

- Trochę, pewnie gorsze od poprzedniego. Ale staram się o tym nie myśleć, do tej pory wszystko układało się dobrze, a poza tym było tyle innych spraw... to znaczy, mam na myśli ciebie i takie tam.

- Wiesz już coś?

- Nie dostałem jeszcze żadnych wskazówek.

- Wolałabym nie wiedzieć, dopóki nie będzie po wszystkim. A może nigdy.

- Dlaczego?

- Wydaje mi się, że się boję. Poza tym to trudniejsze, gdy chodzi o inną osobę. Gdybyś wiedział o moim... drugim zadaniu, pewnie bym tego nie zrobiła.

- Może tak byłoby lepiej.

- Skoro ja mogłam, to ty też możesz.

Zabrzmiała stanowczo, a on szybko dodał:

- Możesz być pewna, że wypełnię swoją część. Ale czy to znaczy, że do tego czasu się nie zobaczymy? To może potrwać.

Wszystko na to wskazywało, gdy tylko Benedikte zaczęła przeglądać swój kalendarz.

- Dzisiaj wieczorem to niemożliwe, bo mam dyżur. Jutro naprawdę muszę się pouczyć, a w poniedziałek i wtorek też... - Pokręciła z rezygnacją głową.

- Co to za dyżur? - zapytał Krag z zainteresowaniem.

- Wzięłam kilka dziennych dyżurów w kuchni. To nic stałego, chodzi tylko o to, że naprawdę brakuje im ludzi. - Rzadko się rumieniła. - Dziwi cię to? Przecież wiesz, że lubiłam tam pracować. Zresztą mówiłam ci o tym.

Nic jej na to nie odpowiedział, ale po chwili wyznał:

- Tęskniłem za tobą.

- Ja za tobą też. Nie miałbyś ochoty wpaść jutro wcześniej rano, żebyśmy mogli wspólnie się wykąpać?

- Wykąpać? W Sundzie?

- Nie, zwariowałaś? Nie bierzesz rano prysznic?

- Pewnie, że biorę.

- To tak jak ja. A po drodze mógłbyś kupić parę bułek. Jeżeli zjawisz się wcześniej, będziemy mieli dla siebie dwie, może trzy godziny. I rozejrzemy się też za mieszkaniem.

Nie zdołał nic powiedzieć, tylko stał i gapił się na nią, niepewny, czy dobrze usłyszał. Dostał krótkiego buziaka.

- Możesz być tu jutro o siódmej?

Mógł.

Rozdział 62

Benedikte otworzyła Henrikowi ubrana w przezroczystą koszulkę z jedwabiu i szyfonu. Pod spodem była naga. Już w salonie, gdy stał i wymachiwał torbą z piekarni, zaczęła mu przez chwilę pozować. Tylko przez moment, jakby dla żartu, odwrócona bokiem do światła wpadającego przez okno, ucieleśniała zamierzoną niewinność: spuszczonego wzrok, jakby nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy, uniesione ramię przykrywające podbródek i przedramię osłaniające piersi. Zaraz potem wróciła jej pewność siebie, granicząca z arogancją. Jakby bezgłośnie pytała: „Czyż nie jestem piękna?” albo zachęcała: „Chodź tu i mnie złap”. Mógł sobie wybrać wersję – obie wydawały się prawdopodobne. Po chwili się zaśmiała autoironicznie, a potem zaczęła go całować i oplotła miękkimi ramionami. Nagle odsunęła jego dłoń.

- Poczekaj, najpierw zjedzmy śniadanie. - Wskazała na nakryty stół, uwolniła się z jego objęć, chwyciła pieczywo i usiadła. - Okej, nie mogę mieć do ciebie pretensji o to, że się na mnie gapisz – skomentowała chwilę później. - Miałam kiepskie wycucie czasu. Niestety jest parę mieszkań, które musisz najpierw obejrzeć. Chwila.

Wstała i zniknęła w jednym z pokoi. Gdy wróciła, miała już na sobie szlafrok, a w dłoni swojego maca. Wspólnie obejrzeliby parę mieszkań w Kopenhadze – drogie mieszkania. Opowiadała o nich, porównywała je ze sobą. To położone przy Amerika Plads z ogrzewaniem podłogowym i dwiema łazienkami miało jednak tylko cztery pokoje. Z kolei mieszkanie na Christianshavn było ładne, dwupoziomowe, a z tarasu był świetny widok na kanał, ale dzielnica wydawała się zbyt hałaśliwa. Wydawało się jej, że to mogło być uciążliwe na dłuższą metę. Nie wiedział, co powiedzieć, lecz to oczywiście nic nowego. Zasadniczego pytania, które nasuwało się już poprzedniego dnia, mianowicie, czy będzie się mógł do niej wprowadzić, nie miał odwagi zadać. Dopiero gdy w pewnym momencie skomentowała, że do jednego z mieszkań przynależy piwnica, więc będzie mógł trzymać tam motocykl zimą, dotarło do niego, że przecucia go nie myliły.

- Uważasz, że powinien się do ciebie wprowadzić? Że powinniśmy razem zamieszkać? - upewniał się.

- Tak.

Nie było nic więcej do dodania. Tak, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Jej słowa wydały się niesamowicie obezwładniające. I szalone. Miał tysiąc pytań, a nie zadał ani jednego.

Zjedli cudowne śniadanie i na moment zupełnie zapomnieli o wspólnym prysznicu. Ostrożnie zaczął komentować zaprezentowane mieszkania i przez chwilę rozmawiali o nich w przyjaznej atmosferze. W końcu zdecydowali się na dwa, a on obiecał, że po powrocie do domu obejrzy je na swoim komputerze i się zastanowi. Później mieli je razem pooglądać.

- Wyślę ci linki, będziesz mógł się od razu zapoznać - zaproponowała.

W podtekście: nie będzie musiał samodzielnie literować adresów. Podziękował, to było miłe z jej strony.

- Kiedy planujesz przeprowadzkę?

- Wkrótce, najpóźniej w ciągu miesiąca, najlepiej szybciej. Jak tylko uporasz się ze swoim ostatnim zadaniem i będziemy mieli to gównem z głowy. Miejmy nadzieję. Muszę jeszcze uporządkować parę rzeczy ze swoim ojcem. Ale to nie potrwa długo. Co ty na to?

Stwierdził, że jeżeli chodzi o niego, to mogą się przeprowadzić już jutro. Dodał też, że nie pojmuje, że ona chce z nim zamieszkać. Prawda była taka, że obawiał się, czy przypadkiem nie robi z niego idioty. Chwyła jego dłoń ponad stołem.

- Nie bój się, Henriku. Nie mam złych intencji. Chodź, weźmiemy prysznic.

Trzymała na wodzy swoją namiętność i podczas seksu ani na chwilę nie straciła nad sobą kontroli. Przez większość czasu obejmowała go za szyję, jakby obawiała się, że wpadnie w otchłań, jak tylko go puści. Sapała mu do ucha, wydawała z siebie krótkie westchnienia, jakby w obawie, że on nią zawładnie. Kiedy przypadkowo się przekręcili i strumień wody zaczął jej się lać prosto na głowę, odsunęła się. Później namydlali wzajemnie swoje ciała - delikatnie i bez pośpiechu. Gdy skończyli się kąpać, wyciągnęła z szafki kilka ręczników. Wycierał się

i od czasu do czasu obdarzał ją pocałunkami. Uśmiechała się przy tym, wodziła palcami po jego twarzy i klepała go po policzku. Nagle zamarła i zaczęła nasłuchiwać, po chwili otworzyła wielkie łazienkowe okno, które wcześniej było tylko uchylone. Oboje spojrzeli w dół. Poniżej otwarto parę tarasowych drzwi prowadzących do mieszkania jej rodziców.

Potem znowu zajęli się sobą, Benedikte pieściła Kraga, również ustami. Gdy ponownie był gotowy, obróciła się tyłem, oparła ramiona o parapet, wypięła biodra i nadziała się na niego. W przeciwieństwie do pierwszego razu, teraz sapała bez zahamowań, prosto przez okno, z całych sił, niczym tenisistka trenująca po godzinach. Nagle zamarła i odepchnęła go od siebie. Usłyszał odgłos zatrzaskiwanej furtki ogrodowej i jej głos klnący ze złości:

- Kurwa mać.
- Benedikte, co się dzieje?
- To się dzieje, że mamy gości.

Krag stanął obok niej, pochylił się do przodu i wyjrzał przez okno.

- Kto to jest?
- Nie znam ich nazwisk.
- Ale?
- Jeden to szef wydziału zabójstw w Kopenhadze.

Rozdział 63

Niedzielnego przedpołudnia Hrabianka postanowiła towarzyszyć Simonsenowi w podróży do Rungsted, ponieważ z Søllerød nie było daleko, a poza tym im więcej myślała o właścicielu Akademii Pokera, tym bardziej była go ciekawa. Firma, która najmuje pokerzystów do gier w sieci? Oczywiście, działalność mogła być legalna, ale istniały spore szanse, że tak nie było. Nie trzeba być ekspertem od przestępczości gospodarczej, żeby żywić takie podejrzenia. Hrabianka zaparkowała samochód obok stojącego tam motocyklu, harleya-davidsona – pięknej maszyny. Potem zerknęła na zegarek na desce rozdzielczej, a następnie zwróciła się do Simonsena siedzącego na miejscu pasażera i mocującego się z pasem bezpieczeństwa:

- Jest za kwadrans dziesiąta, niedzielny poranek. Czy to na pewno dobry pomysł?

- Przecież moglibyśmy zadać tych kilka rutynowych pytań w poniedziałek rano, w dodatku przez telefon. To po prostu nad wyraz nierozsądne – dokończył ze śmiechem.

Wysiedli z pojazdu i już nie komentowali tego wyboru. Mimo że oboje pracowali w policji dłużej, niż chcieliby to przyznać, nadal odczuwali cichą radość z tego, że od czasu do czasu mogli pokazać tym zamożnym, wpływowym i odnoszącym sukcesy, że znajomości ani pieniądze nie ochronią ich przed policyjną odznaką i następującą po niej krótką frazą: „Wydział zabójstw”. Cudownie mieszkało się w kraju, w którym wszyscy byli równi wobec prawa, a tym, którzy znaleźli się po słonecznej stronie społeczeństwa, nie zaszkodziło czasem przypomnieć, że nie władają całym światem. Oczywiście były pewne granice takiego nękania, ale mała pobudka w niedzielny poranek się w nich mieściła.

Zatrzymali się przed furtką i bez pośpiechu omietli wzrokiem dom. Hrabianka skomentowała niczym jakiś pośredniczka nieruchomości:

- Dwadzieścia do dwudziestu pięciu milionów, nawet po załamaniu się rynku mieszkaniowego. Jeżeli parę lat temu nieruchomość została

do granic możliwości obciążona hipoteką, to dyrektor Svend Lerche z technicznego punktu widzenia musi być teraz w stanie upadłości.

Simonsen nic na to nie odpowiedział, ale zapytał:

- Co to za odgłos?... Słuchaj, czy to nie jest...?

Zaśmiała się cicho, a Hrabiance po krótkim nasłuchiowaniu udzieliła się jego wesołość.

- Wygląda na to, że ktoś już się obudził. Wchodzimy?

Wskazała na furtkę i ją otworzyła. Gdy przeszli kolejnych parę kroków po ogrodowej ścieżce, odgłosy ucichły.

Kiedy Svend Lerche otworzył im drzwi, inspektor trzymał swoją odznakę w pogotowiu.

- Konrad Simonsen, wydział zabójstw - powiedział, wyciągając legitymację przed siebie, a potem natychmiast ją schował.

- Dyrektor Svend Lerche? - przejęła inicjatywę Hrabianka.

- Tak, to ja. O co chodzi?

Twarz mężczyzny wydawała się nieprzenikniona. Nie wyrażała ani spokoju, ani zdenerwowania, raczej coś pomiędzy, coś z czym policjanci niezwykle rzadko mieli do czynienia. Brakowało mimiki i mowy ciała i już po pięciu sekundach stało się jasne, że mają przed sobą pokerzystę.

- Chcielibyśmy z panem porozmawiać - oświadczył inspektor. - Czy mógłby nas pan wpuścić do środka?

Odpowiedź Lerchego padła o pół sekundy za późno, żeby udawać spontaniczną reakcję:

- Usiądźmy na tarasie, na tyłach ogrodu, jest przecież cudowna pogoda.

Funkcjonariusze błyskawicznie zarejestrowali, że mężczyzna nie wykazywał woli współpracy. Jego postawa wskazywała na zamkniętość, rezerwę, niechęć.

Gdy już wszyscy troje usiedli na ogrodowych krzesłach, szef wydziału zabójstw wyjął z wewnętrznej kieszeni zdjęcie Jana Podowskiego i położył je na stole starannie i bez pośpiechu. Obraz był rozmyty i kiepskiej jakości, odtworzony na podstawie fotografii z prawa jazdy wystawionego piętnaście lat temu, ale tylko takim zdjęciem dysponowali.

- Jan Podowski, pański dawny współpracownik, mamy odnośnie do niego parę pytań.

Funkcjonariusze z zaciekawieniem czekali na odpowiedź, ale już teraz wyraźnie było widać, że Lerche znał Podowskiego, chociaż nawet nie spojrział na fotografię. W końcu pokerowy dyrektor podjął decyzję i zdecydowanie potrząsnął głową.

- Nie znam żadnego Jana Podowskiego i nigdy wcześniej nie widziałem tego mężczyzny.

- Proszę przestać nas okłamywać - odparła Hrabianka, która brzmiała na bardziej poirytowaną niż złą. Jej ton głosu sugerował: „Posłuchaj no, darujmy sobie te gierki, bo to i tak nikomu nie służy”.

Simonsen pomyślał, że zaraz mężczyzna wstanie i oznajmi, że będzie kontynuował rozmowę tylko w asyście swojego adwokata. Dwie sekundy później Lerche zachował się zgodnie z oczekiwaniami, chociaż wybrał nieco zawołowaną formę:

- Nie widzę powodu, żeby z wami rozmawiać, skoro mi nie wierzycie. Sami znajdziecie drogę do wyjścia.

Simonsen wstał i wyciągnął rękę na pożegnanie.

- Nie pogadaliśmy sobie. W takim razie do widzenia, panie Lerche, na pewno jeszcze się zobaczymy i to wcześniej, niż się pan spodziewa, a ja już się cieszę na to spotkanie. Wszystkiego dobrego do tego czasu.

Lerche zawahał się przez moment, czy powinien uścisnąć wyciągniętą ku niemu dłoń, jednak ostatecznie postanowił zignorować ten gest.

Rozdział 64

Silje Esper przed śmiercią wiele wycierpiała. Została przywiązana taśmą do krzesła w swoim salonie, zmiądzono jej opuszki palców oraz palce lewej stopy. Prawdopodobnie zrobiono to imadłem, bo szczypcy nie dałyby rady. Poza tym wyłupano jej lewe oko, a na koniec została uduszona. Miała twarz zwróconą ku sufitowi, otwarte usta wykrzywiały się w niemym krzyku, a drugie niewidome oko wypływało z oczodołu. Wszędzie było pełno krwi – na podłodze, na jej ubraniu, w jej włosach.

- O mój Boże. – Hrabianka smutno pokiwała głową.

Powstrzymała Pedersena, który chciał podejść bliżej ofiary.

- Chcę się przekonać, czy ten kolor na jej ubraniu to nie jest farba. Tak to stąd wygląda – wyjaśnił.

Hrabianka również chciała poznać prawdę, więc go przepuściła. Policjant podszedł bardzo blisko martwej kobiety i pochylił się do przodu, żeby przyjrzeć się czerwieni. Stanowiło to dość osobliwy widok, chociaż w samej sytuacji nie było nic śmiesznego. Potwierdził swoje przypuszczenia – na rękawach farba mieszała się z krwią.

- Ty dzwoń, a ja poszukam kolegi – zarządziła żona Simonsena.

Gdy dotarli na miejsce przed paroma minutami, dostrzegli przed głównym wejściem pochylonego funkcjonariusza, który wymiotował na grządkę po lewej stronie od schodów wejściowych. Policja została wezwana przez pracownika opieki domowej, który przyszedł posprzątać u niewidomej kobiety, zajrzał do wnętrza domu przez okno. Kryminalni weszli do środka pomimo ostrzeżeń kolegów.

Hrabianka zaprowadziła policjanta do jego samochodu i poprosiła, by nigdzie nie odjeżdżał. Chwilę później dołączył do nich Pedersen.

- W jej kuchni leży martwy pies, dostał dwa strzały w głowę, a w szopie ktoś wylał na podłogę większość zawartości puszek czerwonej farby.

- Tylko czerwonej? – upewniła się Hrabianka.

- Tam najwyraźniej tylko taka była, ale nie chciałem wchodzić do środka, bo technicy by rozszarpali mnie na kawałki. No, cały ten cyrk

jest już w drodze, nawet Melsing zjawi się tu osobiście.

- Co z Simonsen?

- Będzie tu za trzy kwadranse. Wygląda na to, że ktoś jeszcze poza nami interesował się tym pendrive'em, nie uważasz?

Hrabianka się z nim zgodziła. Też tak sądziła.

- Biedna kobieta, nie potrafiła powiedzieć nic więcej poza tym, że pendrive pachniał farbą. Ale i tak próbowano z niej coś wyciągnąć - dodała po chwili.

Poniedziałek okazał się wyjątkowo męczący i dopiero po siedemnastej udało im się opuścić Karlslille. Na dodatkowe informacje musieli poczekać. Dowiedzą się więcej, jak dostaną raport z sekcji zwłok i wyniki badań techników. Sami też mieli sporo do zrobienia - musieli przesłuchać sąsiadów, przyjrzeć się otoczeniu i tak dalej. Simonsenowi udało się wycisnąć z Kurta Melsinga tylko jeden dość przerażający szczegół. Gdy tylko szef Instytutu Medycyny Sądowej przybył na miejsce, inspektor zaczął się domagać rozmowy z nim. Simonsen zażądał, żeby wyszli na zewnątrz. Nie chciał, aby ktokolwiek przysłuchiwał się ich rozmowie.

- Kurt, zdaję sobie sprawę, że to nie twoja działka, ale widziałeś znacznie więcej zwłok niż my. Czy do zabójstwa doszło przed wczorajszym porankiem czy po nim? - zapytał cicho, obawiając się odpowiedzi. - Możesz coś na ten temat powiedzieć? To dla mnie niezwykle istotne. W przeciwnym wypadku nie zawracałbym ci głowy.

- Dlaczego nie zapytasz lekarza? - zdziwił się Melsing.

- Już to zrobiłem, ale kobieta jest nowa i odmawia udzielania jakichkolwiek informacji, dopóki nie otworzy denatki.

- No tak, to zapewne zajmie jakąś dobę. Ze swojej strony mogę powiedzieć, oczywiście nieoficjalnie, że do zabójstwa doszło przed wczorajszym porankiem. To oczywiście, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Podejrzewam, że zdarzenie miało miejsce w piątek wieczorem, a już na pewno przed niedzielą.

Simonsen uderzył zaciśniętą pięścią w drugą rozwartą dłoń. „Noże kurwa, co za gówno!”, zaklął w myślach. W niedzielny poranek odwiedził Svenda Lerchego i pokazał mu zdjęcie Podowskiego.

Teoretycznie właśnie ta wizyta mogła się przyczynić do śmierci kobiety, ale po wstępnych ustaleniach mógł odrzucić tę hipotezę.

Melsing należał do bystrych facetów i sam wyciągnął wnioski. Chociaż jego postawa wyrażała opanowanie, to trzeba było go dobrze znać, żeby zauważyć, że jest równie wstrząśnięty jak Simonsen.

- Bo jedynymi osobami, które wiedziały, gdzie kobieta mieszka i że prawdopodobnie jest w posiadaniu pendrive'a należącego do Podowskiego, który ukrył go gdzieś w willi... - Szef Instytutu Medycyny Sądowej nie dokończył zdania, ograniczył się do pokiwania głową.

- Tak, wiedzieli o tym tylko funkcjonariusze policji - odpowiedział z przygnębieniem Simonsen.

Rozdział 65

Biuro prasowe Komendy Głównej Policji powstało w rekordowym czasie. Zaledwie trzy lata wcześniej główny komendant zdecydował, że poza doradczynią do spraw kontaktów z mediami potrzebuje również rzecznika prasowego. Wszyscy na podobnych stanowiskach, z którymi zwykł się porównywać, takowego mieli, dlatego i w komendzie zatrudniono jednego i choć nie wydawało się to konieczne, nie stanowiło też problemu. Na początku. Niedługo potem dołączyło kolejnych dwóch, więc pierwszego należało awansować na szefa biura. Rok później z trzech zrobiło się siedmiu, a biuro otrzymało samodzielne lokale i zostało wyodrębnione jako oddzielna komórka w schemacie organizacyjnym, podlegająca bezpośrednio pod Komendanta Głównego Policji. Obecnie biuro liczyło dziewięciu pracowników, którzy sprawiali wrażenie nieziemsko zabieganych, dlatego wszystko wskazywało na to, że wkrótce zatrudnieni zostaną kolejni.

Simonsen miał od zawsze dość ambiwalentny stosunek do konferencji prasowych. Z jednej strony dostrzegał, że w niektórych sytuacjach są niezbędne, na przykład gdy podczas śledztwa chciało się skorzystać ze wsparcia zwykłych obywateli. Z drugiej strony nie przepadał za takimi wydarzeniami medialnymi, a często wręcz pogardzał tak zwanymi reporterami kryminalnymi, których – z nielicznymi wyjątkami – postrzegał jako leniwych ignorantów. Równie niejednoznacznie oceniał rolę biura prasowego. Odpowiadało mu, że jego pracownicy odciążali go w kontakcie z mediami i miał ten problem z głowy, a jednocześnie, gdy uznał, że chce coś przedstawić mediom, konsekwentnie ignorował wewnętrzne wytyczne, zgodnie z którymi wszelka komunikacja zewnętrzna, jak ją nazwano w błyszczącej ulotce, musi się odbywać za pośrednictwem służby prasowej. Zazwyczaj w takich przypadkach kończyło się na telefonie od szefa biura prasowego, który robił mu awanturę, nadętym tonem powołując się na swoje uprawnienia. Inspektor miał je kompletnie w nosie, czego nie omieszkał oznajmiać mężczyźnie wprost, co oczywiście wywoływało

kolejny wybuch z jego strony. I to by było na tyle, nic więcej się nie działo.

Zabójstwo Silje Esper wzbudziło zainteresowanie mediów, dlatego zdecydowano się na zorganizowanie konferencji prasowej, zaplanowanej na wtorkowe przedpołudnie o dziesiątej w budynku Komendy Głównej, niestety nie w nowych lokalach, bo ich remont jeszcze się nie skończył. Szef biura wściekał się, że wystarczyłoby, gdyby do zabójstwa doszło tydzień później. No, ale co się stało, to się nie odstanie, więc na inaugurację nowych pomieszczeń trzeba będzie poczekać. O wpół do dziesiątej do biura inspektora wpadła, gotując się ze złości, zastępczyni rzecznika prasowego. Simonsen siedział za biurkiem i uniósł brwi wyraźnie zdziwiony tym widokiem. Na jej twarzy – ładnej, ale dość nijakiej – malował się stres. Czekał na nią od co najmniej pół godziny.

- O co właściwie chodzi? Dlaczego nie zamierzasz się pojawić na konferencji? - zapytała zdenerwowanym głosem.

- Szanuję swój czas, dlatego z pełnym zaufaniem pozostawiam tego typu spotkania profesjonalistom. Przecież w jednej z tych waszych broszur... Chwileczkę... - Bez trudu odnalazł ulotkę, która przypadkowo leżała na jego biurku po prawej stronie, i zaczął ją kartkować.

- Wiem doskonale, co jest napisane w naszych broszurach, ale co, do cholery, mamy powiedzieć dziennikarzom? Zdajesz sobie sprawę, że już zaczęli ustawiać kamery? - przerwała mu ze wściekłością.

- Nie zastanawiałem się nad odpowiedzią na twoje pierwsze pytanie i nie, nie zdawałem sobie sprawy, że zaczęto ustawiać kamery - odparł, starając się być precyzyjny.

- To przecież sabotaż, ty nas jawnie lekceważysz.

- W żadnym wypadku, stosuję się tylko do waszych instrukcji, które...

Gdy ponownie zaczął kartkować broszurę, odpuściła. Kobieta sprawiała teraz wrażenie bardziej uległej.

- Nie mógłbyś nam pomóc? My przecież nie mamy pojęcia, co zaszło w Karlslille.

- Oczywiście, że mogę. Spójrz na te zdjęcia, to będziesz wiedziała dokładnie, co tam się zdarzyło.

Wręczył jej plik fotografii. Zbladła już przy pierwszej, zerknęła na następną i zrobiła się jeszcze bledsza, musiała też powstrzymać odruch wymiotny. Zdjęcia wypadły jej z rąk i spadły na podłogę.

Simonsen gwałtownie wstał i szybko znalazł się tuż przy niej.

- Pochyl głowę. Jeżeli musisz, to zwymiotuj. - Chwyił ją jedną ręką za ramię, a drugą położył na głowie, popychając ją w dół, próbując stopą odsunąć zdjęcia znajdujące się w polu widzenia.

Niedługo potem kobieta odzyskała nad sobą kontrolę. Jedna z fotografii przykuła jego uwagę. Przedstawiała wybieg dla psa znajdujący się na wprost tylnego wejścia do domu Silje Esper i jak dotąd nie wzbudziła niczyich podejrzeń.

Zastępczyni opadła na krzesło i choć wydawała się wstrząśnięta, udało jej się wydusić parę słów.

- Bardzo ci dziękuję. - A po chwili: - Przepraszam.

Zebrał zdjęcia z powrotem na kupkę.

- Proszę, żebyś zachowała dyskrecję. Obiecuję, że ci pomogę, ale teraz musisz... no właśnie, po prostu zachować dyskrecję - poinstruował ją.

Zrobiła, o co prosił. Przez kilka sekund wpatrywał się w okno pustym wzrokiem, a potem zadzwonił po Pedersena, który błyskawicznie zjawił się w jego biurze.

- Arne, idź tam i pomóż im podczas tej konferencji prasowej, a jeżeli uznasz to za zasadne, zabierz ze sobą Hrabiankę - polecił bez większego zaangażowania, pogrążony we własnych myślach.

- Hrabianka jest w Karlslille i kieruje poszukiwaniami pendrive'a.

Wyglądało, jakby jego szef nie zrozumiał odpowiedzi, bo odparł:

- No tak, rzeczywiście, to świetnie. - A po chwili dodał jeszcze: - Wyjeżdżam na parę godzin.

Pedersen znał go na tyle, by wiedzieć, że inspektor od czasu do czasu musiał zostać sam na sam ze swoimi myślami, dlatego obiecał zająć się konferencją prasową.

Simonsen nawet nie usłyszał jego zapewnienia.

Hrabianka wydawała się przyjemnie zaskoczona, gdy zobaczyła Simonsena. Do spotkania doszło w atelier Esper, gdzie policjantka

właśnie wydawała instrukcje trzem funkcjonariuszom. Dokończyła rozmowę z nimi i dopiero gdy wyszli, zapytała:

- Nie miałeś przyjechać dopiero po południu?

- Rzeczywiście taka była umowa - potwierdził. - Ale... - Nie dokończył zdania, a zamiast tego zapytał: - Nie widziałeś tu gdzieś w domu jakiegoś taboretu albo czegoś podobnego?

- W kuchni stoi składana drabina.

- Przez pięć minut trzymaj swoich ludzi z dala od wybiegu dla psa.

Ogrodzenie wokół wybiegu miało co najmniej dwa metry wysokości. Składało się z dziewięciu słupków, z czego dwa były narożne, a kolejne dwa umieszczone przy samym budynku, tak blisko, jak pozwalał na to cokolwiek. Połączono je dwoma rzędami poziomych listew - górny znajdował się na wysokości ponad metra osiemdziesiąt, dolny około trzydzieści centymetrów nad ziemią. Do nich w pionie przybito gwoździami deski. Simonsen rozejrzał się wokół i stwierdził, że dziewięćdziesiąt procent ogrodzenia pomalowano na czerwono, i to całkiem niedawno. I właśnie ten niedomalowany kawałek wraz z słupkiem go zaintrygował, gdy niecałą godzinę temu przypadkowo zwrócił uwagę na zdjęcie. Przez ponad minutę wpatrywał się intensywnie w ten fragment fotografii. A potem przystawił drabinę przy pomalowanym słupku i się po niej wspiął.

Pendrive był wciśnięty w otwór między słupkiem, listwą a pierwszą z desek. Z trudem, za pomocą długopisu, wyciągnął czarne urządzenie. Następnie zawinął je w chusteczkę i schował do kieszeni.

W salonie pracowało czterech kolegów, a Hrabianka siedziała przy stole, ale podniosła się na jego widok.

- Znalazłem to, czego szukamy - wyszeptał.

Bez słowa poklepała go po ramieniu.

- Kontynuujecie poszukiwania jak gdyby nigdy nic.

- Tak jest, oczywiście.

- Pojadę do Melsinga i poproszę go, żeby sprawdził odciski palców, ale na razie nie będę wciągał pendrive'a do listy znalezionych przedmiotów. Jeszcze nie, może później. Nikt nie może się dowiedzieć.

Zgodziła się z jego rozumowaniem, znalezienie urządzenia należało zachować w tajemnicy. Zapytała, czy poinformował prokuraturę o przypuszczalnym przecieku. Dowiedziała się, że rozmawiał z zastępcą

prokuratora, który planował utworzyć zespół składający się z kilku kompetentnych kolegów i polecić im zbadanie tej sprawy. Takie mieli standardowe procedury, ale wbrew wyobrażeniom opinii publicznej przesłuchanie przez taką grupę to nie były żarty, przeciwnie – wewnętrzne dochodzenia prowadzono nad wyraz gorliwie i konsekwentnie.

Gdy Simonsen i Hrabianka już wszystko ustalili, pożegnała go krótkim pocałunkiem. Spoglądając na jego plecy, kiedy opuszczał salon, pomyślała, że niekiedy potrafi być znakomitym śledczym. Uzmysłowała sobie jeszcze, że bardzo go kocha i że się postarzał. Chociaż kiedyś różnie z tym bywało, teraz regularnie uprawiał sport, a mimo to jego postawę i ruchy cechowała pewna ociężałość, której wcześniej nie dostrzegała.

Jeszcze jedna osoba spoglądała za wychodzącym inspektorem, ale ona nie myślała, że policjant zaczął się starzeć. Był to kapuś, który kablował Svendowi Lerchemu. Siedział w kucki i przeglądał książki zapisane alfabetem Braille'a, poszukując w środku pendrive'a. Miał nadzieję, że nie zostanie odnaleziony, a jeżeli nawet, to wyłącznie przez niego. W zeszły piątek wyznaczono go do zespołu odpowiedzialnego za przeszukanie domu, ale akcja z niewiadomych powodów została odwołana. Już wtedy krążyły plotki, że wybiorą się do Karlslille, by poszukać pamięci USB. Kiepskie wieści dla niego, biorąc pod uwagę zapisane tam dane. Poza tym doskonale znał osobę, której zdjęcie krążyło po wydziale zabójstw. To znaczy, nazwisko Podowski nic mu nie mówiło, ale widział go wielokrotnie, a jeszcze częściej rozmawiał z nim przez telefon, gdy kupował sobie noc z jedną z tych cudownych Afrykanek, zatrudnionych jako opiekunki w różnych domach w północnej Zelandii. W drodze powrotnej z pracy do domu zadzwonił pod ten numer co zwykle i zażądał połączenia z szefem, nie mając pojęcia, kto to jest. Po krótkiej dyskusji poinformowano go, aby się rozłączył i poczekał. Chwilę później skontaktowała się z nim jakaś kobieta, która przedstawiła się jako pani Larsen. Powiedział jej, co się szykuje, i podał adres domu w Karlslille. W najgorszych koszmarach nie wyobrażał sobie, że ta informacja doprowadzi do zabójstwa. Gdyby to wiedział, nigdy nie zdecydowałby się na ten przeciek. Jednak co się stało, to się nie odstanie. A teraz się bał – bał się mężczyzny, który właśnie opuścił salon.

Rozdział 66

Konrad Simonsen udał się z pendrive'em do Maltego Borupa.

Chłopaka od czasu zatrudnienia przy różnych okazjach przenoszono z biura do biura, a ostatnio zaczął dzielić pokój z aspirantką Berg. Dobrze się ze sobą dogadywali, zresztą praktykant łatwo nawiązywał kontakty, a teraz najwyraźniej ani jemu, ani Pauline nie przeszkadzało, że pomieszczenie jest za małe dla ich dwojga. Poza tym taki dzień jak dzisiejsze wtorkowe południe, gdy zawitał do nich szef i ujrzał ich razem, należały do rzadkości.

- Dwie sprawy. Pierwsza: nie możecie z nikim rozmawiać o tym pendrivie. To niezwykle istotne.

Berg obiecała zastosować się do polecenia i zapewniła, że nie puści pary z ust, nawet we śnie. Simonsen burknął coś w odpowiedzi i kontynuował swoją krótką wyliczankę:

- Druga: Malte, pamięć została zabezpieczona. Wydaje mi się, że musi chodzić o jakieś hasło. Potrafiłbyś odczytać dane bez niego? To znaczy: jakoś się dostać do tej pamięci?

Borup zerknął przelotnie na pendrive'a i uznał, że powinien dać radę, po czym wyciągnął rękę po urządzenie.

- Potrzebuję pół godziny, więc jeżeli masz coś do roboty...

Praktykant nie cierpiał, gdy podczas pracy ktoś zerkał mu przez ramię. Jeszcze rok temu miałby problem, żeby w taki sposób odezwać się do szefa, jednak powoli stawał się coraz odważniejszy. Inspektor obiecał, że w tym czasie wybierze się do stołówki na lunch, co w gruncie rzeczy nie było jakimś wielkim poświęceniem.

Gdy syty i zadowolony czterdzieści minut później wrócił do biura Borupa i Berg, zastał ich oboje przy komputerze praktykanta. Przyglądali się zawartości pamięci na ekranie - Pauline z zainteresowaniem, Malte z lekko odwróconym wzrokiem. Inspektor przyłączył się do nich. Teraz wszyscy patrzyli na dwoje nagich ludzi w łóżku. Biały mężczyzna w średnim wieku ujeżdżał młodą Afrykankę. Od czasu do czasu zdyszany zwracał twarz w stronę kamery, podczas

gdy kobieta wpatrywała się w sufit, drapała po policzku i wyglądała, jakby się nudziła. Jakość filmu była kiepska, ujęcia wydawały się poszarpane – i to nie tylko z powodu specyfiki rejestrowanej sceny.

– To plik accdb, czyli baza danych. Znajdziesz tu mnóstwo mężczyzn z czarnoskórymi dziewczynami, pliki zostały uporządkowane według informacji o tych klientach – to znaczy nazwisko, stanowisko, zdjęcie, do których dołączono jeden lub więcej klipów. Kobiety nie mają nazwisk, nazywają się po prostu Iben, Frida, Carmen i tak dalej. – Przerwał odtwarzanie. – Wyłączyliśmy dźwięk, ale gdybyś jednak chciał... – zadeklarował.

– To nie będzie konieczne – przerwał mu Simonsen. – Wiesz, ile jest tych plików, to znaczy mężczyzn?

– Prawie sześćset, ale oczywiście zdążyliśmy sprawdzić zaledwie kilku.

Berg wskazała palcem na ekran, na którym mężczyzna zamarł z otwartymi ustami i wyglądał, jakby zamierzał zjeść twarz kobiety.

– Swoją drogą to i tak kiepski z niego prezenter – odezwała się oschle.

Na polecenie inspektora Borup wydrukował z bazy danych listę zawierającą pięćset dziewięćdziesiąt jeden nazwisk mężczyzn. Umieścił je w trzech kolumnach i chociaż użył czcionki o rozmiarze dziewięć, to wydruk i tak wypełnił całe cztery strony. Następnie udał się z szefem wydziału zabójstw do jego biura i pokazał mu, jak się obchodzić z bazą danych. To nie było trudne. Gdy praktykant wyszedł, Simonsen przeleciał wzrokiem wydruki. Od czasu do czasu wydawał z siebie odgłos zaskoczenia, niekiedy pomrukiwał twierdząco, jakby chciał powiedzieć, że nie dziwi go to, co widzi. Nazwiska nie zostały uporządkowane alfabetycznie. Udało mu się dobrnąć do przedostatniej kolumny na ostatniej stronie, gdy nagle zeszywniał i przez parę sekund siedział zamyślony. Następnie poszperał w bazie danych zgodnie ze wskazówkami Borupa i stwierdził, że nie mogło być mowy o pomyłce.

Zadzwoił po praktykanta, który błyskawicznie zjawił się w jego biurze. Jak tylko Borup wszedł do środka, Simonsen zamknął drzwi na klucz, chociaż nie pamiętał, kiedy po raz ostatni zrobił coś podobnego. Funkcjonariusz również przyglądał się mu nieco przestraszony, czując się jak ktoś złapany w pułapkę.

- Potrafisz usunąć plik z tej bazy danych? Mam na myśli całkowite usunięcie, żeby nie było po nim śladu.

Rozdział 67

Chociaż Simonsen praktycznie przekazał kierowanie śledztwem w sprawie zabójstwa Silje Esper Pedersenowi, to i tak zdecydował się być w sali konferencyjnej, gdy jego najbliżsi współpracownicy omawiali postępy w sprawie i otrzymywali kolejne zadania. Przysłuchując się rozmowom kolegów, zauważył, że Pedersen w dużo większym stopniu niż on sam pozwala funkcjonariuszom na artykułowanie wątpliwości i pomysłów. Takie podejście było bardzo czasochłonne, a w większości przypadków oznaczało również stratę czasu, ale nie interweniował. Dwukrotnie, gdy Pedersen zapytał go o zdanie, odbił piłeczkę krótkim komentarzem:

- Ty tu decydujesz. - Gdy spotkanie dobiegło końca i wychodzili z pomieszczenia, zwrócił się do podwładnego: - Spotykamy się o osiemnastej w moim biurze. Jest parę spraw, o których jeszcze cię nie poinformowałem. Poza tym będzie okazja do krótkiego omówienia twojej sprawy zabójstwa Esper.

Pedersen zwrócił uwagę na określenie „twojej sprawy”, które oznaczało, że to on przejmował odpowiedzialność za dochodzenie. Jego szef słynął z oddelegowywania zadań, a także z tego, że gdy przychodziło co do czego, to jednak tego nie robił. Ale ostatnia sprawa najwyraźniej należała do wyjątków. Odpowiadał mu taki układ, a nawet poczuł odrobinę dumy, że jest teraz takim zajęтым człowiekiem.

- Jeszcze wczoraj sądziłem, że za zabójstwem stoi zawodowiec, ale dzisiaj już nie jestem tego taki pewien - stwierdził.

- W przypadku zabójstwa to rzadkość, ale wstrzymaj się ze swoimi wątpliwościami do osiemnastej. Do zobaczenia.

Wokół stołu konferencyjnego w gabinecie inspektora zebrali się wszyscy jego najbliżsi współpracownicy: Hrabianka, Berg, Arnold i Pedersen, czekając z zaciekawieniem, co ma im do powiedzenia. Pokazał im pendrive'a i opowiedział o jej zawartości, a na koniec stwierdził:

- ...to jednak ważne, żebyśmy przez cały czas mieli na uwadze, że tych sześciuset klientów nie zrobiło niczego nielegalnego, o ile nie uda nam się udowodnić, że któreś z kobiet miały mniej niż osiemnaście lat. A nawet wtedy grozi im co najwyżej kara grzywny, jako że żadna z nich nie jest już dzieckiem. Rozumiecie, o co mi chodzi?

Jego słuchacze doskonale zdawali sobie z tego sprawę, a Arnold skomentował:

- Mężczyźni zdecydowali się na płatny seks i nie ma w tym nic nielegalnego. Mieli szczęście, że nie zostali przyłapani na zakupie sprzętu marki Bang & Olufsen poniżej ceny rynkowej, bo wtedy ryzykowaliby karę za paserstwo. Powinni się przecież zorientować, że zapłacili za mało. I choć faktem jest, że nawet najbardziej ograniczony facet doskonale wie, że te nagrywane kobiety nie oddają się dobrowolnie, to i tak... - Zabrakło mu odpowiednich słów, więc tylko syknął ze złością, że to przecież, do cholery, nie do pomyślenia.

Pozostali przyznali mu rację i cały pięcioosobowy zespół wyraził nadzieję, że wkrótce politycy wezmą się do roboty i zakażą prostytucji, oczywiście wymierzając karę klientom, a nie kobietom. Zdawali sobie sprawę, że taki zakaz ma swoje minusy, ale to i tak nic w porównaniu z jedną wielką zaletą - rozwaleniem rynku niewolnictwa seksualnego w Danii. Szczęśliwie w konstytucji nie zawarto żadnego zapisu, że Duńczycy mają prawo do płatnego seksu z kobietami innych narodowości.

- Jutro dołączy do was kraniołożka. - Simonsen ponownie przejął inicjatywę. - Kobieta pracuje u Melsinga i poza nim jest jedyną osobą, która wie o istnieniu bazy danych Jana Podowskiego. Pauline, Klavs, znajdźcie sobie jakieś spokojne miejsce, gdzie będziecie mogli popracować, i porównajcie rekonstrukcję twarzy kobiety ze sprawy lasu Hanehoved z twarzami prostytutek z bazy danych. Sam już trochę w tym grzebałem i wiem, że to trudne, ale ta specjalistka od czaszek uważa, że to możliwe. Po prostu zajmuje sporo czasu. Przy tej okazji przyjrzyjcie się też miejscom, gdzie odbywały się te schadzki. Oglądając pobieżnie filmiki, zorientowałem się, że każda kobieta ma swój własny pokój czy też pomieszczenie, ale nie potrafię ich zlokalizować. Nie ma oczywiście gwarancji, że wam się to uda, bo na filmach czasem niewiele widać, ale miejcie to z tyłu głowy.

Zamilkł. „Pewnie po to, aby odsapnąć, zanim zaczniesz wydawać dalsze rozkazy”, pomyślał Arnold. Inicjatywę przejęła jednak Hrabianka, mimo że nikt jej o to nie prosił. Simonsen spojrział na nią zaskoczony, zastanawiając się, czy może nieumyślnie dał jej jakiś znak, który niewłaściwie zinterpretowała.

- Milczymy jak zakłęci w sprawie bazy danych. Poprosiłam Maltego, żeby wykonał dwie kopie, więc na teraz mamy trzy egzemplarze i nikt nie może jej powielać bez zezwolenia Simona. Podejrzewamy, że jednemu z naszych ludzi zawdzięczamy przeciek do niewłaściwych osób. Tym samym ta osoba jest pośrednio lub wręcz bezpośrednio odpowiedzialna za to, co spotkało Silje Esper. A może nawet - tego również nie możemy wykluczyć - sama ją torturowała w Karlslille, a potem zabiła.

- Czy któryś z klientów korzystających z usług czarnoskórych prostytutek jest z nami jakoś powiązany? - dopytał Pedersen. - Mam na myśli kogoś z wydziału zabójstw czy też z którejś z komend z Vestegnen, skąd wypożyczyłem paru ludzi.

Simonsen wykorzystał okazję, by przywrócić porządek spotkania. Uniósł cztery palce.

- Paru się pewnie znajdzie, ale nie mieszajcie się w sprawdzanie tego. Sprawą zajmie się zastępca prokuratora, utworzono już specjalną grupę dochodzeniową. Arne, i to jest jedyne, co cię ogranicza w twoim śledztwie. Jeżeli kiedykolwiek nabierzesz najmniejszych podejrzeń odnośnie do sprawcy w naszych własnych szeregach, natychmiast przejmuję sprawę. Zwróć uwagę, że wspominam o podejrzaniach, a nie dowodach.

Gdy już uzgodnili zasady, Simonsen oddał mu głos i poprosił, żeby w dużym skrócie - podkreślił to ostatnie słowo - przedstawił stan śledztwa w sprawie zabójstwa w Karlslille.

Pedersen zastosował się do polecenia szefa dotyczącego zwięzłości sprawozdania. Czekало go jeszcze mnóstwo pracy i również nie miał ochoty na ciągnące się w nieskończoność spotkanie. Dlatego skupił się wyłącznie na istotnych wątkach oraz takich, o których nie wszyscy wiedzieli. Nie przejmował się chronologią wydarzeń, wiedział, że w razie czego jego słuchacze pomogą mu wszystko uporządkować.

Przed wszystkim dotychczasowe wyniki badań technicznych wskazywały, że mieli do czynienia z jednym sprawcą, który przeciwnie, niż pierwotnie zakładano, nie był zawodowcem. Jakkolwiek to brzmiało w odniesieniu do mordercy. A co więcej, sprawca musiał być raczej zdesperowany. Torturował niewidomą kobietę przez przynajmniej trzy godziny, mimo że wcześniej zmiął jej pierwszy palec i gdy prawdopodobnie wyznała mu wszystko, co wiedziała o pendrivie swojego zmarłego partnera, a mianowicie to, że pachniał farbą. Nic więcej nie umiała przecież dodać, a mimo to zgniół jej pozostałe dziewięć palców u rąk oraz pięć u stóp, a do tego wyłupał oko, zanim ją udusił. Jej krzyk zdusił jednorazową kuchenną ściereczką, polewał ją też wodą, by ją ocucić, po tym, jak zemdląca z bólu. Szmatkę musiał wkładać jej do ust kilkakrotnie - od czasu do czasu wyjmował ją, żeby wydobyć z kobiety coś jeszcze. W związku z tym pozostawił na materiale parę czytelnych śladów DNA. Na miejscu zbrodni znaleziono także włos oraz parę podejrzanych włókien.

- Znakomicie - skomentowała krótko Hrabianka, gdy usłyszała tę ostatnią informację, a wszyscy jej przyklasnęli.

Arnold wykorzystał krótką przerwę, żeby wtrącić pytanie:

- Zastrzelił psa, ale udusił kobietę. Myślisz, że jest sadystą?

Pedersen potrząsnął głową z powątpiewaniem. Jego zdaniem zabójca był raczej zdesperowany i wściekły na Esper za niepowodzenie swojej misji, ale było jeszcze za wcześnie, żeby...

- Darujmy sobie szczegóły, przyjdzie na nie czas. Opowiedz nam jeszcze, co wiadomo o imadle, i będziemy kończyć, a dokładniej Hrabianka i ja będziemy musieli wyjść, a wy oczywiście możecie zostać i dalej rozmawiać, jeżeli macie na to ochotę - przerwał mu Simonsen.

Pedersen nie miał na to najmniejszej ochoty, dlatego powiedział tylko, że imadło zostało najpewniej zakupione, aby poznać się nad kobietą, a technicy wkrótce ustalą więcej szczegółów, gdy przyjrzą się śladom na palcach ofiary. Na tym zakończył spotkanie.

Rozdział 68

Simonsenowi dopisywał humor, gdy w towarzystwie Hrabianki przemierzał ulice Kopenhagi. Wczesne lato dodawało miastu uroku, a oni się nie spieszyli.

- Dokąd my właściwie idziemy? - zapytała.

- Trzy ulice stąd.

Po drodze opowiedział jej o tym, jak zadbał o usunięcie jednego pliku z bazy danych Jana Podowskiego. Zaakceptowała to, choć nie poznała uzasadnienia. Ufała mu i to właśnie w niej lubił. Jego decyzję można przecież było uznać za niezgodną z prawem manipulację materiałem dowodowym. Z wewnętrznej kieszeni wyjął złożoną kartkę i podał żonie. Rozłożyła ją, przebiegła treść wzrokiem, ponownie szybko ją złożyła i oddała.

- Spotkamy się z nim? - chciała wiedzieć.

- Tak.

- Gdzie?

Kiedy znajdowali się na wysokości Ved Glyptoteket, wskazał w stronę Tietgensgade i pomyślał, że mogliby znaleźć jakieś miejsce na tyłach parku rozrywki Tivoli, żeby napić się piwa czy wody. Hrabianka nagle się zatrzymała.

- Dlaczego mnie ze sobą zabierasz? - zapytała zdziwiona.

Zazwyczaj miał nosa, jeśli chodzi o dobór odpowiednich świadków, ale tym razem przeczucie go zawiodło. Uszedł jeszcze parę kolejnych kroków, zanim się zorientował, że żona nie idzie za nim.

- Przepraszam, co mówiłaś?

- Zapytałam, dlaczego mnie ze sobą zabierasz.

Wyjaśnił, że nie lubi mieć przed nią tajemnic, a tym bardziej, kiedy nie jest to konieczne. Uśmiechnęła się. „Ładnie powiedziane”, pomyślała, choć nie miała wątpliwości, że to była tylko połowiczna prawda. Chodziło również o to, że chciał się z nią podzielić moralną odpowiedzialnością za swoją decyzję - szukał u niej potwierdzenia, że postąpił właściwie, usuwając ich znajomego z bazy danych. Rozumiała

go, prawdopodobnie postąpiłaby identycznie w takiej sytuacji. Skoro jednak miał już jej wsparcie, uznała, że jest, delikatnie rzecz ujmując, zbędna, i pomyślała, że to kiepski pomysł, aby dotrzymała mu towarzystwa.

- Simon, pamiętaj, żeby na niego nie naciskać. Poza tym, jak sam niedawno stwierdziłeś, facet nie zrobił przecież nic niezgodnego z prawem. Zobaczmy się wieczorem, przygotuję coś do jedzenia, a jeżeli jednak zdecydujecie się wyskoczyć na miasto, nie mam nic przeciwko temu, tylko zadzwoń i mnie uprzedź. - Pocałowała go.

Przez chwilę stał nieruchomo jak jakiś osłupiały uczeń. Zostawiasz mnie? - przemknęło mu przez myśl. W końcu zrozumiał jej intencję. „Tak, oczywiście. Oczywiście, masz rację”, pomyślał.

Simonsen usiadł na ławeczce, plecami do Tivoli. Od tyłu dochodziły go radosne popiskiwanie gości parku rozrywki, przed nim rozciągał się budynek Ny Carlsberg Glyptotek - pięknego muzeum położonego przy Dantes Plads. Minęła go jakaś młoda mocno obejmująca się para i omal na niego nie wpadła - chłopak przeprosił, a jego dziewczyna klepnęła go w czoło, a potem posłała inspektorowi piękny uśmiech. W powietrzu wyczuwało się radość, zapach popcornu i miłości. Po dziesięciu minutach zjawił się sekretarz stanu.

- To miłe, że chciałeś się spotkać - przywitał się Helmer Hammer.

Simonsen nie potrafił powstrzymać uśmiechu, że taki wpływowy i niezwykle zajęty człowiek mimo wszystko potrafi się zdobyć na tego typu powitanie - i to pozbawione ironii. Taki właśnie był - przyjemny i uprzejmy dla wszystkich, nie przesadzając przy tym ze zbytnią uległością czy powierzchownością w kontaktach z innymi ludźmi.

- Simon, ależ ci się udała ta rozmowa z ambasadorką Rozhdetsvenskąją. Ta historia obiegła całe ministerstwo i teraz wszyscy się ze mnie śmieją. Nawet mój szef uważa, że to zabawne. Powiedz mi: jak się miewa twoja cudowna żona? A Anna Mia? - zapytał Hammer.

Dopiero po kolejnych dziesięciu minutach luźnej rozmowy przeszedł do rzeczy.

- No to słucham: w czym tym razem mógłbym ci pomóc?

- Chciałabym, żebyś mi powiedział, dlaczego osobiście zająłeś się umówieniem spotkania z panią ambasadorką. To musiało kosztować cię

mnóstwo biurokratycznych przepychanek. Dużo łatwiej byłoby oddelegować jakiegoś dyplomatę z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który towarzyszyłby mi podczas tego spotkania. Miałbyś sprawę z głowy po jednym telefonie.

Hammer nie odpowiadała, więc Simonsen skomentował:

- Przynajmniej miałeś okazję wbić mi do głowy, żeby pod żadnym pozorem nie zadawać Wierze dodatkowych pytań.

- Simon, czego ty właściwie chcesz? - zapytał sekretarz stanu cichym głosem.

Inspektor opowiedział mu o Janie Podowskim, jego bazie danych i usunięciu pewnego pliku. Dwa zdjęcia, które nosił w swojej kieszeni, pozostały na swoim miejscu.

Hammer siedział z nieodgadniętą miną i ze spuszczonej wrokiem przyglądał się płytkom chodnikowym.

- To był prezent urodzinowy - wyznał wreszcie. - Dostałem dwie karty, wykorzystałem tylko jedną, a i tego nie powinienem był robić. Owszem, cieszę się, że usunąłeś moje nazwisko z bazy danych, nie chciałbym w niej figurować, ale...

Simonsen czekał cierpliwie na ciąg dalszy.

- Simon, pomogę ci, zwłaszcza że w zasadzie nie mam wyboru. Pamiętaj jednak, że stąpasz po cienkim lodzie. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

- Inaczej postrzegam tę sytuację. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby wywierać na ciebie jakiegokolwiek naciski, ani pośrednio, ani bezpośrednio. Przyznaję, że wolałbym porozmawiać ze świadkiem skłonny do współpracy, niż wyciskać prawdę z dwudziestu innych opornych. Poza tym w tym momencie mam swoje powody, aby zachować daleko idącą ostrożność w tej sprawie. Pamiętaj, że pracuję w wydziale zabójstw szmat czasu i zdążyłem się już napatrzeć na tyle różnych sytuacji i nasłuchać takich historii o nietypowych prywatnych relacjach, o jakich nawet ci się nie śniło. Ta ostatnia wydaje się przy nich błahostką.

- Pewnie masz rację, skoro tak mówisz - odparł z wahaniem Hammer. - Pytaj więc, a ja zobaczę, czy będę mógł ci odpowiedzieć - dodał po chwili.

- Świetnie, w takim razie opowiedz mi o tych kartach, które dostałeś, i wyjaśnij, dlaczego skorzystałeś tylko z jednej.

Sekretarz stanu zaczął wyjaśniać: Chodziło o ręcznie wykonane, laminowane plastikami kartoniki, wielkości karty płatniczej. Na jednej stronie wydrukowano uśmiechniętą buźkę, jakiś numer - chyba pięciocyfrowy, o ile dobrze pamiętał, oraz imię dziewczyny - bez nazwiska. Na odwrocie zamieszczono natomiast adres i zwięzłą instrukcję: obejdz budynek, zejdz po schodach do piwnicy i zadzwoń do drzwi. Otworzyła mu kobieta, przekazała jej kartę i... wiadomo, co było dalej.

- Gdzie mieszkała ta kobieta?

- W Taarbæk, nie mam teraz adresu w głowie, ale gdybym tam wrócił, bez problemu go sobie przypomnę. Mam to zrobić?

- Niewykluczone, że będzie trzeba. Powiedziałeś, że nie wykorzystałeś tej drugiej karty, dlaczego?

- Wyrzuciłem ją. Zresztą wyszedłem od tej kobiety już po paru godzinach, chociaż mogłem zostać do rana. Czułem się niekomfortowo, bo muszę przyznać, że ona była bardzo młoda. Powinienem był się wycofać, jak tylko się zorientowałem.

Simonsen nie zamierzał go pocieszać.

- Owszem, powinieneś, ale tego nie zrobiłeś. A ten twój kolega, od którego dostałeś ten prezent, mógłbym z nim porozmawiać?

- To jest kobieta. Ona i jej mąż także... mają u siebie zakwaterowaną Afrykankę. Ale nie tam mnie zaproszono. Nie chciałbym podawać danych osoby, które mnie obdarowała, ale też nie zamierzam jej chronić. Mogę ci natomiast podać kontakt do świadka, który wie na ten temat dużo więcej ode mnie. Daj mi dwie minuty. - Hammer wstał, odszedł kawałek dalej i zadzwonił. Po chwili wrócił. - Gdy dotrzesz do domu, w mailu znajdziesz nazwisko i miejsce spotkania. On wie, jak funkcjonuje cały ten system, właśnie tak to nazwał. Pięć tysięcy za noc z Afrykanką to więcej, niż się spodziewałem. Ta baza danych, którą dysponujesz, są tam zapewne - jeżeli mogę się tak wyrazić - osoby z elity społecznej?

Simonsen zdawał sobie sprawę, że Hammer próbuje się czegoś dyskretnie dowiedzieć, ale go zbył.

- Tak, zapewne - stwierdził, co należało rozumieć tak, że nie przyglądał się liście pod tym kątem.

- Poszukajmy jakiegoś miejsca, żeby napić się piwa - zaproponował sekretarz stanu. - Czuję, że teraz właśnie tego mi potrzeba. Wejdźmy tam. - Skinieniem głowy wskazał na Tivoli.

Simonsen nie miał ochoty na piwo w towarzystwie Hammera, na pewno nie teraz, może kiedy indziej. Prawda była taka, że mężczyzna go rozczarował, chociaż jako inspektor nie miał prawa do takiej oceny. Chodziło o to, że sekretarz stanu, który do tej pory jawił mu się jako wzór do naśladowania, nagle przestał nim być.

- Dobra, chodźmy - odparł bez entuzjazmu.

Ustawili się w kolejce.

- Ta Afrykanka, ta zamordowana... czy to właśnie u niej byłem? - zapytał ostrożnie Hammer zmartwionym głosem.

- Nie wiem, nie przyglądałem się za bardzo tym zdjęciom.

- Czyli nigdy się tego nie dowiem?

Simonsen wzruszył ramionami. „Może się dowie, pewnie tak, jeżeli mu na tym zależy”, pomyślał. Sekretarz stanu zmienił temat i choć ton jego głosu wydawał się teraz bardziej rzeczowy, to inspektor doskonale wyczuwał, że to udawana zmiana.

- Jest jeszcze jedna rzecz.

- Tak?

- Na twoim miejscu zacząłbym od Ministerstwa Integracji, a zwłaszcza od biura ustalającego zasady zatrudniania opiekunek.

- Dobry pomysł, dziękuję.

- Pomogę ci się umówić na dyskretne spotkanie, to powinno nieco ułatwić śledztwo. Jestem w tym dobry, ale zakładam, że to wiesz.

- Owszem, wiem, niemniej jednak poradzę sobie sam. Tak będzie najlepiej.

Zapadła niezręczna cisza. Wykupili bilety i weszli do parku rozrywki.

- Pewnie masz rację - stwierdził. - Jeżeli chodzi o ten pomysł z opiekunkami, to wpadł mi do głowy dopiero teraz. Wierz mi.

- Oczywiście, że ci wierzę - odparł Simonsen ze świadomością, że kłamie.

Rozdział 69

Aspirantka Berg siedziała na balkonie swojego mieszkania w Rødovre, na szóstym piętrze. Uznała, że jest jej tam dobrze – robiło się ciepło, a przyjemny poranek zapowiadał piękny dzień. Wspięła się na boczną krawędź balkonu i siedziała tam teraz, niepewnie balansując nogami i tułowiem. Kiedy odczuwała, że pręty za bardzo ją uwierają, pochylała się nieznacznie to do przodu, to do tyłu. Poza tym wszystko wydawało się takie, jak powinno być – pod nią, w dole, przejeżdżała kolejka w stronę stacji Brøndbyøster. Lubiła te pociągi, jeździły tędy od zawsze i ta powtarzalność dawała jej swego rodzaju poczucie bezpieczeństwa. Pomachała do pędzącej kolejki. Właściwie nie wiedziała, dlaczego wybrała właśnie to miejsce do siedzenia, ale tak się złożyło tego poniedziałkowego poranka. Wiedziała natomiast, że po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna, miała poczucie kontroli nad własnym życiem. To było przyjemne, powinna częściej siadać w tym miejscu.

Ostatnia niedziela przebiegła paskudnie, podobnie zresztą jak większość jej dni. Spędziła ją w pracy razem z Arnoldem i kraniołożką na ciężkiej, ale zarazem produktywnej pracy. Udało im się wykluczyć czterdzieści sześć z pięćdziesięciu jeden kobiet z bazy danych Podowskiego. Żadna z nich nie była ich Afrykanką – pod uwagę należało wziąć jeszcze Jade, Jessicę, Kayę i Kiki. Sprawdzenie wymagało dokładniejszych badań, ale jeżeli dopisze im szczęście, mogą się podziewać konkretów już w poniedziałek, może we wtorek. I nagle, chwilę przed tym, jak mieli zakończyć pracę, Berg nabrała obrzydliwego podejrzenia. Siedzieli wtedy wszyscy troje przed jednym komputerem, wielkim urządzeniem z dwoma monitorami, który kraniołożka przyniosła od siebie z pracy i czasowo podłączyła w wydziale zabójstw. Berg bez słowa wyjaśnienia odsunęła Arnolda i przejęła od niego klawiaturę. Odsunął się nieco zaskoczony i obserwował, jak wpisuje jakieś nazwisko, które nic mu nie mówiło. Powtórzyła wyszukiwanie trzykrotnie, a potem wstała, splunęła na ekran i wybiegła z pomieszczenia, nie tłumacząc swojego absurdalnego zachowania. Jutlandczyk wytłumaczył kraniołożce, że jego koleżanka

cierpi na wahania nastroju. Potem znalazł papierową chusteczkę i wytarł monitor ze śliny.

Berg skierowała się do Gammel Strand, gdzie wsiadła na pokład statku wycieczkowego żeglującego po kanałach. Robiła to regularnie. Dawniej wybierała halę Dworca Głównego, gdzie zasiadała z kubkiem kawy i jakimś kolorowym czasopismem, ale ten nawyk zamieniła ostatnio na przejażdżki po kanałach. Mogła usiąść na tyle łodzi i sobie popłakać, zazwyczaj nikt nie zwracał na nią uwagi. Wsiadła na Langelinie, przespacerowała się do Esplanaden, a potem dalej wzdłuż Store Kongensgade, po czym wybrała przypadkową kafejkę i znalazła jakiegoś przygodnego faceta, którego zaciągnęła do domu. Wyszedł niedawno, a ona zasiadła na poręczy balkonu. Pomyślała, że już zapomniała, jak ten facet się nazywał, i wybuchnęła niekontrolowanym chichotem.

*

Drzwi wejściowe do mieszkania Berg stały otworem. Simonsen i Pedersen weszli do środka, nie używając dzwonka. W salonie znajdowało się kilkanaście osób. Drzwi balkonowe były otwarte, a w progu stała starsza funkcjonariuszka z Gladsaxe, którą inspektor doskonale znał, i coś mówiła do Pauline. Dostrzegł jej postać przez okno – plecy i twarz z profilu, skierowanego w stronę policjantki, oraz rozwiewane przez wiatr włosy. Pomyślał, że to nie w porządku – chociaż sytuacja zasługiwała na dosadniejsze określenie, ale właśnie taka była jego pierwsza myśl: To nie w porządku. Poczł przyływ adrenaliny, może dopiero teraz do niego dotarło, co się naprawdę wydarzyło. Zrobił dwa głębokie wdechy, wolno, dał sobie czas i poczuł, jak jego puls zwalnia, choć tylko nieznacznie.

- Pozbądź się tych wszystkich ludzi, a potem też stąd wyjdź – zwrócił się z wymuszonym spokojem do Pedersena. - Podeszedł do policjantki i położył jej dłoń na ramieniu. - Gudrun, przejmuję ją.

Kiedy Berg go dostrzegła, odwróciła na chwilę twarz. Przez moment rozważał, czy zdąży do niej doskoczyć, zanim dziewczyna zareaguje. Wtedy odwróciła głowę i było już za późno na taki krok. Zabrał z jadalni jedno z krzesel, ustawił je na wprost drzwi balkonowych i na nim usiadł. Uważał, że kojarzy się ze spokojem.

- Nie za blisko, Simon - ostrzegła.

Nic na to nie odpowiedział, nawet wtedy gdy chichocząc, oznajmiła:

- Wiesz co, teraz sobie przypominam, miał na imię Tom.

- W drodze tutaj rozmawiałem z Klavsem. Wiesz, że usunąłem jedno nazwisko z bazy danych Podowskiego - odezwał się cicho.

Dopiero teraz nawiązali kontakt wzrokowy.

- Denerwujesz się? - zapytała.

- Tak, bardzo.

- Dlaczego? Przecież zawsze wygrywasz. - Wypowiedziała te słowa, jakby nie miały z nią nic wspólnego - jak zwykle stwierdzenie, mające potwierdzenie w faktach. Siedząc na poręczy i rozmawiając z nim, dodała nieco bardziej zaangażowanym tonem: - Podobnie jak ci twoi dystyngowani znajomi, oni też zawsze wygrywają. Natomiast gdy ja nie mogę sobie z czymś poradzić, od razy na mnie krzyczysz.

Postanowił powiedzieć jej prawdę i przekonać się, co z tego wyniknie.

- Kiedy siedziałas w tym bunkrze, wymieniłem czyjeś życie na twoje. Bardzo niewiele osób o tym wie i teraz jesteś jedną z nich.

Początkowo nie zaakceptowała zmiany tematu, ponownie zachichotała.

- Ja sobie poradziłam, ale Jeannette już nie, podobnie jak Juli, jej też się nie udało. Ale ty nie chcesz, żebym znalazła mordercę.

Jeannette była kobietą, którą zamordowano w bunkrze, gdzie przetrzymywano Berg. A Juli główną ofiarą w nieistniejącej sprawie o zabójstwo.

Poczuł się postawiony pod ścianą i nie potrafił myśleć produktywnie. Lepiej byłoby znaleźć jakiegoś profesjonalistę - psychologa od sytuacji kryzysowych, może jej psychiatrę. Co Simonsen, do cholery, mógł zrobić, skoro nie potrafił nawiązać z nią porządnego kontaktu? Nie miał pojęcia, co począć w takiej sytuacji. Nagle jakby zmieniła zdanie i krzyknęła ze złością:

- Opowiedz mi, kurwa, o tym barterze! Chcę wiedzieć, o co chodzi.

Historia wymagała czasu, ale Simonsen go nie żałował, również na szczegóły. Chciał mieć pewność, że rozumie, co do niej mówi. Gdy skończył, zapytała cicho:

- Czyli zawdzięczam życie temu Hammerowi?

- Nie, to ja mu zawdzięczam twoje życie.
- Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?
- Bo najchętniej o wszystkim bym zapomniał.

Skinęła głową ze zrozumieniem, to miało sens - ona w wielu sprawach miała podobne odczucia. Następnie spojrzała w dół - wpatrywała się w ziemię długo, o wiele za długo. Simonsen poczuł, jak zaczyna mu pulsować w skroniach, ale nic nie powiedział. W końcu uniosła głowę i popatrzyła na niego.

- Simon, boję się. Zaraz zaczniesz się najgorsze. Nie mógłbyś podejść i mnie przytrzymać?

Na parkingu przed wieżowcem Hrabianka przejęła Pauline i zamierzała odwiedzić ją na oddział psychiatryczny szpitala w Glostrup. W tym samym czasie podobny zamiar miał również kierowca karetki i Pedersen musiał go przekonywać, żeby pozwolił im działać po swojemu. Simonsen nie miał już na nic siły. Zaczepił pierwszego z brzegu funkcjonariusza i poprosił o odwiezienie do domu. Był wykończony.

Rozdział 70

Ministerstwo do spraw Uchodźców, Imigrantów i Integracji, potocznie zwane po prostu Ministerstwem Integracji, było jednym z najpóźniej utworzonych duńskich urzędów państwowych. Powstało w 2001 roku w celu wspierania integracji nowych obywateli w duńskim społeczeństwie i już od samego początku, niezależnie od zmieniających się ministrów, stanowiło punkt zapalny politycznych dyskusji i było przedmiotem rozlicznych skandali. W jego struktury wchodził między innymi Urząd ds. Migracji, któremu z kolei podlegało biuro zawiadujące zatrudnianiem opiekunek do dzieci, mieszczącym się przy Rymsgade w Østerbro. Właśnie tutaj dotarł Arnold w poniedziałek po południu, przybywając w zastępstwie swojego szefa, który pojechał do domu po dramacie z Berg.

W sekretariacie Jutlandczyka przyjął zdenerwowany kierownik biura – mężczyzna w średnim wieku, który nawet nie krył irytacji faktem, że to nie sam szef wydziału zabójstw złożył mu wizytę, jak obiecywało ministerstwo. Arnold przeprosił w imieniu swojego przełożonego, nie podając żadnego uzasadnienia dla tej nieobecności. Gdy został zapytany wprost o przyczynę, odparł, że to nie powinno nikogo obchodzić. Zapewnił tym samym, że nie ma żadnego powodu przekładania spotkania na dzień, kiedy szef wydziału zabójstw znajdzie czas.

Ministerstwo zostało powiadomione z wyprzedzeniem o wizycie policji i zdążyło już częściowo przeprowadzić swoje własne szybkie dochodzenie. Stało się tak, ponieważ Simonsen, pomimo wcześniejszych oporów, zgodził się, by Helmer Hammer pociągnął za odpowiednie sznurki, co miało ułatwić funkcjonariuszom pracę. „Podobnie jak samemu ministerstwu”, pomyślał Arnold, kiedy prowadzono go do pokoju konferencyjnego, gdzie czekało na niego dziewięć osób. Na stole ustawiono lemoniadę i kruche ciasteczka, a na końcu blatu, w miejscu, gdzie stało puste krzesło, policjant zauważał notatnik z logo ministerstwa oraz dwa zaostrzone ołówki. W końcu poproszono, by Arnold zajął miejsce.

Jak tylko Jutlandczyk usiadł, mężczyzna pod pięćdziesiątkę, siedzący po drugiej stronie stołu, rozpoczął spotkanie. Arnold nie zdołał zapamiętać jego stanowiska, zresztą było mu to obojętne, ale nie miał wątpliwości, że ten urzędnik przewodzi zgromadzonemu towarzystwu. Prowadzący spotkanie wyjaśnił, że niestety od dłuższego czasu w biurze administrującym zatrudnianie opiekunek dochodziło do pewnych nieprawidłowości, w związku z czym ministerstwo zdecydowało się na przeprowadzenie szybkiego, ale dogłębnego dochodzenia i przekazanie sprawy policji. Arnold dowiedział się wtedy, że znalazł się tutaj właśnie po to, by pomóc w tym dochodzeniu.

- Ach tak - skomentował krótko Jutlandczyk, a przemawiający mężczyzna opowiadał dalej, bo to przecież była tylko jedna strona całej sprawy.

W drugiej chodziło o to, że ministerstwo wraz z policją uznało, że nie należy informować o niczym opinii publicznej przed zakończeniem śledztwa.

- To oczywiste, że nie unikniemy skandalu, ale to ważne, żebyśmy sami zdecydowali, kiedy te nieprawidłowości ujrzą światło dzienne. Tu i teraz nie wchodzi w rachubę. To byłoby nad wyraz niekorzystne i nie ma w tym ani krzty przesady.

Arnold miał dość czasu, żeby przyrzeć się pozostałym osobom przy stole. Nietrudno było się zorientować, że dwie kobiety siedzące obok przemawiającego obarczono winą za wspomniane nieprawidłowości. Miały puste, zrezygnowane spojrzenia, jedna niedawno płakała. Policjant po pierwsze zdziwił się, że w ogóle brały udział w spotkaniu, a po drugie zaskoczyło go, że chodziło o kobiety, typowałyby raczej mężczyzn. Zaczął się zastanawiać, ile na tym zarobiły.

Gdy mężczyzna skończył przemawiać, zapadła cisza, a wszystkie spojrzenia skierowały się na Arnolda. Złamał rysik jednego z ołówków o notatnik i przyglądał się, jak większość osób wzdrygnęła się na ten krótki, ostry odgłos. Potem połamał kolejny, po czym rzucił przed siebie, nie kierując pytania do nikogo konkretnego:

- Ile czasu minie, zanim otrzymam ten raport?

Kilku mężczyzn rozpoczęło krótką dyskusję i uzgodnili, że dwa tygodnie, najwyżej miesiąc.

Arnold wstał i stanął przed wspomnianymi wcześniej kobietami. Wycelował w nie połamanymi ołówkami.

- Siedzicie w gównie po uszy, ale z pewnością zdajcie sobie z tego sprawę, prawda?

Jedna z nich zerknęła na niego spod oka, obawiając się jego spojrzenia, i tylko skinęła głową. Druga płakała cicho, już się z tym nie kryjąc.

- Dostaniecie ode mnie dwie dobre rady. Po pierwsze: przedstawicie wszystko jak na spowiedzi, niczego nie będziecie ukrywać. I jeżeli dopisze wam szczęście, to może sędzia odliczy parę miesięcy od kary pozbawienia wolności. Po drugie: jak najszybciej zorganizujcie sobie dobrych adwokatów, bo ci panowie siedzący na sali bez wątplenia mają inne priorytety niż wy.

Obie spoglądały na niego jak tonący, któremu w ostatniej chwili rzucono koło ratunkowe. Potem Arnold uniósł dłoń, żeby uciszyć protesty prowadzącego spotkanie, i zapytał cicho:

- Zakładam, że w grę wchodziły pieniądze?

Jedna z kobiet z zakłopotaniem skinęła głową.

- Tak było.

- A co z waszymi przełożonymi? Czy im też odpalałyście jakąś część, czy może od czasu do czasu przysługiwał im gratisowy numerek na boku, po to by nie interesowali się tym procederem?

Trafił w sedno, paru mężczyzn poczuło się nieswojo i poruszyło niespokojnie.

- Wystarczy, panie sierżancie Arnold, czy jak się pan tam nazywa - niemal krzyknął głównodowodzący.

Jednak funkcjonariusz odkrzyknął jeszcze donośniej, wydając z siebie nieartykułowany ryk, i zażądał, żeby mężczyzna się zamknął. Podziałało. Jutlandczyk wycelował w niego palcem i zaczął wyliczankę:

- Wnioski, zezwolenia na pobyt, nazwiska i adresy rodzin goszczących, nazwiska kobiet, ich narodowość, numer paszportu - chcę kopii wszystkich dokumentów. Poza tym kwoty łapówek, nazwiska osób, które je wręczały, oraz sposób ich przekazywania. Do tego oczekuję przedstawienia procedur, podań, rozmów telefonicznych, maili... po prostu wszystkiego, również tego, o czym zapomniałem, i przygotujecie to dla mnie do jutra do dwunastej.

Mężczyzna pokręcił głową ze złością, nigdy jeszcze nie miał do czynienia z tak nagannym zachowaniem.

- Porozmawiam z pańskimi przełożonymi, bo najwyraźniej mamy tu jakiś problem - odezwał się chłodno.

Arnold zdecydował, że najlepiej na to zareagować z nutką jutlandzkiego humoru.

- Ma pan rację, ale to nie ja jestem problemem, tylko moja żona - odparł. - Tak, naprawdę należy do tych niesterowalnych. Stella przez cały wieczór, jak tylko położy dzieci spać, nie mówi o niczym innym poza pytaniami, które musi zadać pana ministrowi, chociaż nieustannie przekonuję ją, że ja i pan poradzimy sobie z tym po cichu. Dlatego, sam pan rozumie, nie mogę wrócić do domu bez tego, co wcześniej sam jej zaproponowałem.

Minęło parę sekund, zanim prowadzący spotkanie połączył imię Stella z nazwiskiem Arnold, a potem poczerwieniał na twarzy i z trudem wydusił:

- Nie dam rady w dobę. Muszę mieć przynajmniej dwie.

Zdawało się, że Arnoldowi dopisuje dziś humor.

- W takim razie powiedzmy środa o dziesiątej, ale ani godziny dłużej. Dłużej nie przeszkadzam, macie przecież pełne ręce roboty. Miłej pracy. - I wyszedł.

Rozdział 71

Kiedy Hrabianka przywiozła aspirantkę Berg na oddział psychiatryczny szpitala w Glostrup, była nastawiona na to, że pozostanie z nią tak długo, jak będzie trzeba. Dość szybko jednak pojawiła się pielęgniarka, która najwyraźniej znała Berg i przy której młoda funkcjonariuszka czuła się bezpiecznie. Okazało się, że obecność Hrabianki jest zbędna, więc policjantka już po półgodzinie się pożegnała, obiecując zajrzeć wieczorem.

W drodze do samochodu zdecydowała się nadłożyć drogi i zahaczyć o Ballerup, żeby złożyć szefowi programistów NewTalkInTown jeszcze jedną wizytę. Przedtem zadzwoniła do dyrektorki firmy telekomunikacyjnej i przedstawiła jej rozwój sytuacji, upewniając się przy okazji, że mężczyzna, z którym chce porozmawiać, jest w pracy. Gdy dotarła na miejsce, kobieta stała już przed wejściem i paliła papierosa. Była sama. Hrabianka nie posądzała by jej o taki nałóg, bo dyrektorka wyglądała na zatwardziałą maniaczkę zdrowego stylu życia, która pogardzała tytoniem. Policjantka przyjęła do wiadomości, że pozory najwyraźniej mylą. Przywitały się uściskiem dłoni, a kobieta pokrótce zrelacjonowała jej swoją rozmowę z programistą, dodając na koniec:

- Facetowi zdarza się pod presją zachowywać dość nieodpowiednio. - Brzmiała tak, jakby chciała przeprosić za jego reakcję.

Hrabianka była zadowolona, bo dzięki przełożonej informatyka dostała informacje, po które przyjechała, i nie musiała nawet przekraczać progu budynku. Zawróciła do samochodu z dokumentami.

- Dziękuję za pomoc - powiedziała na odchodne.

W środku tygodnia sprawa lasu Hanehoved przybrała nowy obrót. W środę wieczorem Arnold po kilku godzinach przeglądania grubej teczki, którą otrzymał z Ministerstwa Integracji, doszedł do wniosku, że za systemem sprowadzania do kraju afrykańskich prostytutek stoi

niejaka Karina Larsen. Najwyraźniej była stręczycielką działającą w zamożnych dzielnicach, sama też mieszkała w wytwornej willi gdzieś w Rungsted. I wtedy coś zaczęło mu świtać. Odszukał jej adres, potem sprawdził inny raport i bingo! Natychmiast skierował się do biura Simonsena.

- Chcesz powiedzieć, że Akademia Pokera i opiekunki do dzieci mają ze sobą coś wspólnego?

- Karina Larsen jest żoną Svenda Lerchego, a oba interesy są zarządzane z ich willi w Rungsted. Nie sądzisz, że facet w ten sposób pierze zarobione przez nią pieniądze?

Konrad Simonsen aż zagwizdał.

- Owszem.

Dopiero co wrócił ze spotkania z Komendantem Głównym Policji, na którym była obecna również jego przełożona. Zabiegali o dodatkowe środki i je dostali, a teraz musiał ponownie porozmawiać ze swoją szefową.

Inspektor zajął się reorganizacją pracy swoich podwładnych. Utworzył grupę, która analizowała informacje związane z Akademią Pokera i kontrolowała grę pokerzystów w sieci. Kolejny zespół zajmował się dokumentacją opiekunek do dzieci oraz importem Afrykanek. Trzecia grupa przygotowywała sprawy przeciwko rodzinom goszczącym, a czwarta - tak zwana logistyczna - koordynowała działania i dbała o właściwe wykorzystanie środków, była też odpowiedzialna za przepływ istotnych informacji między zespołami. Dzięki pomocy głównego komendanta Simonsen otrzymał również czasowe wsparcie w postaci dwóch zdolnych i doświadczonych inspektorów z wydziału kryminalnego policji okręgu północnej Zelandii oraz Vestegnen. Policjanci kierowali odpowiednio grupami pracującymi nad pokerzystami oraz opiekunkami do dzieci. Poza tym inspektor zdecydował się przydzielić Arnoldowi zadania Pedersena, to znaczy kierowanie śledztwem w Karlslille, a tego drugiego oddelegował do zarządzania grupą kontrolującą rodziny. Sam zajął się nadzorowaniem logistyki.

Wszyscy ciężko pracowali, a mimo to pula nadgodzin ciągle się powiększała, czym jednak inspektor niespecjalnie się przejmował.

Zależało mu wyłącznie na wynikach, na pozbyciu się niejasności powstałych podczas śledztwa, które rzeczywiście krok po kroku udawało się wyjaśniać. Pokerowy interes Svenda Lerchego rozpracowano dość szybko dzięki pomocy specjalisty od statystyki, wypożyczonego z Uniwersytetu Kopenhaskiego. Naukowiec próbował w pedagogiczny sposób przekazać swoje ustalenia większej grupie funkcjonariuszy zebranej w sali wykładowej, oznaczonej jako B i mieszczącej się w Komendzie Głównej Policji.

- Każdy pokerzysta pracuje wieczorem i w nocy, częściowo na własny rachunek, a częściowo dla Akademii Pokera. Cały trik polega na tym, że dopiero po rozegraniu obu partii, jeżeli można tak to nazwać, podejmuje się decyzję, która z nich zostanie zaliczona na poczet przychodów pokerzysty. Wyobraźcie sobie, że nie chodzi o pokera, ale na przykład o dwukrotny rzut monetą. To nam daje cztery możliwości...

Pedersen przeniósł wzrok na schemat rzutów, które naukowiec wyświetlił na projektorze, i już po chwili się poddał. Gdy dyskretnie rozejrzał się wokół, stwierdził, że nie był jedyny. Wtedy pochylił się w stronę siedzącego obok inspektora.

- Zrozumiałeś coś z tego? - zapytał. - Pewnie tak, co?

- Gdybyś nabył kupon lotto i w niedzielę mógłbyś zdecydować, czy będzie obowiązywał dla środowego, czy sobotniego losowania, to tym samym podwoiłbyś poniekąd swoje szanse na wygraną. Niemniej wyjaśnienie tego w sądzie to będzie piekło, zwłaszcza gdy jakiś bystry obrońca postanowi fakty przedstawić w taki sposób, że sam diabeł tego nie pojmie. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli podnosić tej kwestii na sali rozpraw.

- O której wybierasz się dzisiaj do domu?

- Późno, planujemy z Hrabianką jeszcze jedno przesłuchanie, a potem będę się musiał zająć zaległymi sprawami. A dlaczego pytasz?

- Bo wydaje mi się, że w ciągu paru godzin będę miał dla ciebie nazwisko.

- Afrykanki?

- Afrykanki alias Jessiki, tym razem prawdziwe.

- Byłbym bardzo zadowolony.

Pedersen zamilkł, próbując skupić się na prezentacji, ale było już późno, a poza tym specjalista zdążył już dojść do pewnych kwot,

procentów i ich podziału, co okazało się dość skomplikowane.

- Dlaczego, do licha, sam zajmujesz się przesłuchaniami? - zapytał swojego szefa. - I tak jesteś już potwornie zajęty - ocenił.

Simonsen próbował wymigać się od odpowiedzi, aż w końcu stwierdził, że pewnymi sprawami woli zająć się osobiście.

Rozdział 72

Szambelan Adam Blixen-Agerskjold czuł się źle i cały się pocił. Jego adwokatka spoglądała na niego zatroskana.

- Czy to już wszystkie pytania, dla których ściągnęliście tutaj mojego klienta? - zapytała ostrym tonem. - Nie zrobił przecież nic nielegalnego. No chyba że macie jakiś akt oskarżenia.

Simonsen postanowił ją zignorować.

- Jan Podowski prowadził na boku własny interes. Zamożnym ludziom, takim jak ty, załatwiał na weekendowe wyjazdy towarzystwo młodych Afrykanek. Cena tej usługi wynosiła dwadzieścia tysięcy koron i było na nią mnóstwo chętnych, co w sumie wydaje się dość zaskakujące, ale najwyraźniej niektórzy zarabiają niemałe pieniądze. Podowski zabierał połowę, a Karina Larsen była przekonana, że chodziło o dwie standardowe wizyty u opiekunki do dzieci, w domu jej gospodarzy. Ale ty nie płaciłeś dwudziestu tysięcy, prawda? - zwrócił się bezpośrednio do szambelana.

Adwokatka ponownie zainterweniowała - nie doszło do naruszenia prawa, więc inspektor mógłby przynajmniej zmienić ton.

- Doskonale wiedziałeś, do czego wykorzystywano myśliwską chatkę... - Hrabianka wpadła prawnicze w słowo, zupełnie ją ignorując.

- Mianowicie do wymierzania kar młodym kobietom sprzeciwiającym się wykorzystywaniu - dokończył Simonsen. - Wiesz może też, co zdarzyło się dziewiętnastego marca?

Adwokatka zaprotestowała, Bóg jeden wie, który już raz.

- Odpowiedz, człowieku, do cholery! - krzyknął inspektor.

Jego wrzask na niewiele się zdał, szambelan nadal siedział w milczeniu, wpatrując się przed siebie pełnym smutku wzrokiem. „Jakby użalał się nad sobą”, pomyślał Simonsen i dalej go maglował. Położył przed nim trzy starannie wybrane i nad wyraz sugestywne zdjęcia, a adwokatka z zakłopotaniem odwróciła wzrok.

- Ty jednak nie ograniczyłeś się do weekendów, ty zabawiałeś się również w dni robocze - stwierdziła Hrabianka. - Swoją drogą, czy Lenette wie o twoim hobby? Twoja babcia musi być z ciebie bardzo dumna, Adamie. Może to i dobrze, że już nie całkiem do niej dociera, co się właściwie dzieje - skomentowała Hrabianka.

- Wystarczy! Nigdy nie słyszałam czegoś podobnego - próbowała interweniować adwokatka, ale bezskutecznie.

- To był wypadek i nie wiem, jak do niego doszło - odezwał się nagle cichym, ale wyraźnym głosem Blixen-Agerskjold.

Prawniczce z trudem udało się mu przerwać i szepnąć coś do ucha. Dodała coś jeszcze, a wtedy przesłuchiwany dodał nieadekwatnym do swojego nastroju oficjalnym tonem:

- Nie powiem nic więcej, dopóki nie przestaniecie mnie nagrywać.

Simonsen wstał, podszedł i wyłączył kamerę stojącą z ich plecami.

- Kto ją pobił? - zapytał.

- Jan, miał też ze sobą pomocnika, jak zawsze, ale nie wiem, kto to był.

- Nikogo więcej nie było?

- Nie, żadnych innych ludzi.

- Skąd to wiesz?

- Nigdy nie było nikogo więcej.

- Nigdy, powiadasz. Czy w twojej chatce często bito wykorzystywane kobiety?

- Niezbyt często, trzy, może cztery razy w roku, o ile się orientuję.

Jak to często w takich sytuacjach bywa, zeznania przesłuchiwanego - czy raczej formułowane przez niego oskarżenia wprawiły - inspektora i Hrabiankę w zażenowanie. Zupełnie ich nie cieszył odniesiony triumf, czuli raczej odrazę do tego mężczyzny, a przy okazji obudziła się w nich awersja do wykonywanej pracy.

Już wcześniej ustalili, że Adam Blixen-Agerskjold otrzymywał kawałek finansowego tortu z procederu wykorzystania Afrykanek za to, że nie interesował się tym, do czego dochodziło w jego myśliwskiej chatce. Poza tym niemal histerycznie zaprzeczał, jakoby wiedział cokolwiek o gwałtach Frodego Ottona. Twierdził, że ta informacja go zszokowała. Policjanci mu uwierzyli. Utrzymywał również, że programistę z NewTalkInTown poznał, gdy ten z rodzicami spędzał

letnie wakacje w jednym z domków wczasowych wynajmowanych przez szambelana. Nieco później programista opracował dla niego indywidualnie zaprojektowane aplikacje ułatwiające zarządzanie majątkiem. W ramach zapłaty za tę usługę Blixen-Agerskjold zafundował mu weekend w Paryżu. Z osobą towarzyszącą. Po pewnym czasie szambelan zdobył numer służbowy Jana Podowskiego i od czasu do czasu, gdy było go na to stać, a także gdy miał na to czas i ochotę, zamawiał Afrykankę dla siebie.

- Czy to przypadek, że programista pracował w firmie telekomunikacyjnej, z której korzystał Otto? - zapytał Simonsen.

To nie był zbieg okoliczności. Szambelan wyjaśnił, że mężczyzna zawsze miał dostęp do jakichś korzystnych ofert usług telekomunikacyjnych i Otto dał się namówić. Kiedy więc policja za bardzo zbliżyła się do zarządcy, Blixen-Agerskjold skontaktował się z programistą i poprosił o manipulację billingami połączeń z Janem Podowskim.

- Dlaczego? - zapytała Hrabianka.

- Domyśliłem się, że w pewnym momencie zainteresujecie się jego rozmowami telefonicznymi. To było, zanim jeszcze dowiedziałem się, czego Frode się dopuścił. Naprawdę. Nigdy nie kryłbym sprawcy gwałtów.

- Ale zabójstwa już tak? - zauważyła Hrabianka.

- To był wypadek - odparł szambelan z nieszczęśliwą miną.

- Wiesz, dlaczego Otto przyznał się do gwałtów, a nie chce współpracować w sprawie opiekunek do dzieci?

- Nie, nie mam pojęcia.

- Wiesz, gdzie mieszkał Jan Podowski?

- Nie.

- A Otto wie?

- Zakładam, że wie. Byli przecież przyjaciółmi.

- Dla kogo pracował Podowski?

- Wydaje mi się, że dla Kariny Larsen i Svenda Lerchego, małżeństwa mieszkającego w Klampenborgu.

Dalsza rozmowa nie przyniosła żadnych istotnych informacji. Gdy Simonsen zdecydował się ją zakończyć, Blixen-Agerskjold zapytał z rezygnacją:

- Co teraz się ze mną stanie?

- Zupełnie nic - uspokoiła go adwokatka. - Może zostanie przeciwko panu wniesione oskarżenie, a wtedy nie będzie pan już miał obowiązku mówienia prawdy. Nie mają nic, co pozwoliłoby pana skazać, dlatego po pewnym czasie oskarżenie zostanie wycofane.

To niestety była prawda.

Rozdział 73

Simonsen, choć właściwie nie miał czasu, przeznaczył niemal godzinę na „udekorowanie” swojego biura portretami wszystkich klientów nagranych razem z Jessicą i uwzględnionych w bazie danych Podowskiego. Zdawał sobie sprawę, że to tylko niewielka część klienteli. Stało się jasne, że w „polisie na życie” znalazły się wyłącznie nazwiska osób, które były zamożne bądź znane, lub jedno i drugie. Prawdopodobnie Jan Podowski planował mały szantaż finansowy jako swego rodzaju dodatek do emerytury, ale – jak wiadomo – nie doczekał jego realizacji. Borup pomagał inspektorowi – przygotował wydruki portretów i każdą twarz opisał dużymi literami, opatrując zdjęcia nazwiskiem oraz nazwą stanowiska: Hans Tage Schmidt – dyrektor administracyjny, Peter Ertmann – dyrektor orkiestry, Niels Sværte – rektor seminarium. Simonsen z wyrazem zadowolenia na twarzy starannie umieszczał kolejne portrety na ścianie. Pożyczył nawet drabinę od sprzątaczek. W grę wchodziły pięćdziesiąt cztery zdjęcia i zajęło mu to trochę czasu. Na samej górze powiesił portret Afrykanki, którą jak do tej pory nazywał tylko Jessicą lub – niezgodnie z obowiązującymi zasadami – Murzynką.

Sytuacja uległa zmianie, gdy dziesięć minut po tym, jak uporał się z fotografiami, do jego gabinetu wszedł Pedersen. Podwładny uważnie przyjrzał się osobiście udekorowanej ścianie.

– Simon, to imponujące. Masz talent do tworzenia galerii.

– Dowiedziałeś się, jak naprawdę nazywa się dziewczyna?

Pedersen wręczył szefowi kartkę, którą trzymał w dłoni, a ten odczytał ją niepewnie, wymawiając na głos słowa:

– Ifunanya Siasia. Ładnie. Idź i przekaz tę informację Maltemu, żeby podpisał zdjęcie dziewczyny, tak jak te pozostałe.

– Tak jest, szefie. A jak je zatytułować? Chciałbym zaproponować: Nigeryjka, szesnaście lat.

Simonsen kiwnął z powagą aprobująco głową – to była dobra propozycja. Piekielnie dobra propozycja.

Rozdział 74

Krag wyczuwał zapach bzu. Bzu i rumu. Doskonale się orientował, skąd pochodzi ten drugi, ale nigdzie nie potrafił dostrzec krzaku bzu. Rozejrzał się wokół i pomimo ciemności nocy dostrzegł po swojej lewej stronie drzewo wiśni japońskiej z miriadami żółtych kwiatków, których nazwy nie znał, ale nadal nigdzie nie zauważył krzaków bzu. Zatrzymał się bezwiednie – może z powodu tego pieprzonej woni, a może dlatego, że całe jego ciało opierało się wyznaczonemu zadaniu i na swój sposób chciało opóźnić jego realizację. Zaczęły mu drżeć nogi, co prawda nie tak bardzo jak godzinę temu, zaraz po przebudzeniu, niemniej było to irytujące, żeby nie powiedzieć paraliżujące. Wyjął butelkę, uniósł ją w stronę światła lampy ulicznej i stwierdził, że nie wypił nawet jednej trzeciej zawartości. Wziął spory łyk, potem kolejny – nieco mniejszy – i już po chwili poczuł, jak przyjemne ciepło rozchodzi się po całym jego ciele i uspokaja drżenie kolan. Zależało mu na złapaniu swoistej równowagi – chciał dojść do momentu, w którym będzie jeszcze w stanie funkcjonować, a jednocześnie pozbędzie się strachu. A może wcale nie chodziło o niepokój, tylko o to, że dzięki rumowi nabierał dystansu do rzeczywistości i łatwiej mu było odnaleźć się w sytuacji. Trunek sprawiał, że umiał skoncentrować się na jednej rzeczy – nie myślał o przeszłości ani o przyszłości, tylko robił to, co musiał w tej sytuacji. Ponownie ruszył, skręcił w prawo i pomyślał, że gdy dojdzie do kolejnej uliczki po lewej stronie, znajdzie się na miejscu. Jego zegarek wskazywał pięć po drugiej.

Vallensbæk Landsby leży przy autostradzie przebiegającej między Holbæk a Køge Bugt i Krag doskonale znał tę okolicę. Znajdowała się niedaleko jego miejsca zamieszkania, dlatego przyjechał na rowerze. Motocykl za bardzo rzucałby się w oczy. Zostawił rower za wiatą przystanku jakiś kilometr od miejsca, w którym się teraz znajdował. Powtarzał sobie w myślach, że gdy do niego wróci, będzie już po wszystkim. Już wcześniej podzielił swoje zadanie na etapy – pierwszym był przejazd rowerem, drugim spacer do miejsca docelowego.

Oczywiście należały do najłatwiejszych, ale miał je już za sobą i to się liczyło.

Budynek był czworokątny, z czerwonej cegły, położony niemal tuż przy drodze. Ani duży, ani mały, dwukondygnacyjny, z pokojami na poddaszu. W wysokim, pomalowanym na czarno cokole umieszczono piwniczne okna. Był to zwykły, zupełnie przeciętny dom. Po jego lewej stronie znajdował się wyłożony płytkami podjazd, na którym teraz parkowała ciężarówka. Krag spodziewał się, że pojazd tam będzie, dostał te informacje od Idy. Ciężarówkę zaparkowano przodem do ulicy i tuż przy samym murze budynku z dużą precyzją. Stała gotowy do drogi, gdy jej właściciel będzie chciał ruszyć nocą na targ warzywny. Z drugiej strony było też wystarczająco dużo miejsca, aby precyzyjnie się między samochodem a półtorametrowym murem oddzielającym grunt od willi sąsiada. Henrik zatrzymał się na wysokości szoferki i stał tam przez chwilę, przebiegając metodycznie wzrokiem po oknach domów po drugiej stronie ulicy. W żadnym nie świeciło się światło, nie zarejestrował też choćby najmniejszej aktywności. Wyszedł na ulicę i sprawdził budynek, do którego miał wejść, ale i tam panował mrok, wszyscy spali. Po chwili wrócił na podjazd i zaczął się przeciskać między budynkiem a ciężarówką. Dwukrotnie się zatrzymał i nasłuchiwał, ale ciszę przerywały wyłącznie jego własne kroki. Wydało mu się, że są zbyt wyraźne i za głośne, ale wiedział, że to tylko omamy, bo miał na sobie sportowe buty z gumowymi podeszwami. Mimo to zaczął się skradać – ostrożnie i wolno.

Na tyłach domu znajdowało się niewielkie podwórko z zabudowaniem przypominającym warsztat oraz tylne wejście do domu. Murowane schody prowadziły do kuchennych drzwi, a pod schodami było wejście do piwnicy. Na podwórku zaparkowano niebieskie osobowe suzuki. Po kolejnym zerknięciu w okna i upewnieniu się, że nic się nie dzieje, zszedł po piwnicznych schodkach i chwycił za klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz, tak jak się spodziewał. Wrócił na górę i kucnął przed jednym z dwóch piwnicznych okien. Miało około pół metra wysokości i metr szerokości. Było uchylone, więc wsunął rękę do środka i upewnił się, że jest w stanie odblokować zapadkę. Udało się bez problemu. Wyciągnął latarkę, poświecił nią w szybę i dostrzegł kilka zmagazynowanych mebli, trzy kartony przeprowadzkowe, ułożone jeden na drugim, oraz stół do

bilarda indyjskiego z dwoma strikerami. Pomyślał, że teraz nadszedł czas na kolejny krok. Wyłączył latarkę i schował ją do wewnętrznej kieszeni, a wyciągnął z niej buteleczkę rumu.

Oczywiście kolejne zadanie należało wykonać szybko. Chodziło o to, by nikt z mieszkańców okolicznych domów nie obudził się w tym czasie i nie wyrztał przez okno. Dlatego Krag nie mógł tracić czasu na rozglądanie się wokół. Ponownie wyszedł na drogę, a następnie podążając wzdłuż budynku, skierował się w stronę działki drugiego sąsiada. Ogrodzenie składało się z łańcucha zwisającego łukami pomiędzy wkopanymi w ziemię drewnianymi słupkami rozmieszczonymi w odległości mniej więcej metra od siebie i wystającymi pół metra nad ziemię. Łańcuch miał rdzawy kolor, co najpewniej miało wyglądać dekoracyjnie. Odpiął go z pierwszego słupka, poszło łatwo, nawet dziecko by sobie z tym poradziło – był zahaczony o klamrę zamocowaną na zbutwiałej końcówce palika. Sprawnie i szybko przemieszczał się wzdłuż kolejnych słupków, zdejmując łańcuch i owijając go sobie wokół ramienia. Okazał się cięższy, niż pierwotnie zakładał, ale nie na tyle, żeby niesienie go stanowiło problem. Gdy skończył, wrócił na swoje skryte w ciemnościach dawne miejsce obok ciężarówki i ponownie powiódł wzrokiem po oknach znajdujących się po drugiej stronie ulicy. Z tym samym rezultatem – i tym razem nikogo nie dostrzegł.

Zwalczył ochotę na kolejny łyk rumu i od razu przeszedł do następnego etapu. Rozwinął łańcuch i ułożył go przed przednim kołem ciężarówki, tym od strony muru budynku. Jeden koniec wsunął jak najgłębiej pod oponę. Potem obszedł samochód, położył się na ziemi i czołgając się na łokciach, wcisnął się pod pojazd. Z niewielkimi problemami udało mu się dosięgnąć końcówkę łańcucha i ostrożnie pociągnął ją w swoją stronę, a potem zaczął się cofać. Po chwili przewrócił się na wznak, poświecił latarką i wybrał poprzeczkę w ramie podwozia, na którą nawinął łańcuch, a następnie zawiązał pięć węzłów.

Gdy wysunął się spod ciężarówki, pozwolił sobie na trochę rumu – tylko dwa małe łyeczki, a potem jeszcze jeden. Wrócił do przedniego koła, podniósł drugi koniec łańcucha i przeciągnął go tuż przy cokole wzdłuż muru budynku aż do miejsca, gdzie znajdowała się pomalowana na czarno wnęka z oknem, osłoniętą zaciągniętą zasłoną. Jak najciszej, metr po metrze, spuszczał łańcuch w głąb pomieszczenia –

był wystarczająco długi, wystarczająco... Miał nadzieję, że wkrótce zacznie padać, a nawet lać.

Rozdział 75

Krag bez problemu wszedł do budynku przez na wprost otwarte piwniczne okno, które uchylało się do góry i na zewnątrz, gdy za nie pociągnął. Wcisnął się do środka na brzuchu - najpierw nogi, a potem cała reszta - trzymając w dłoniach plecak. W piwnicy założył go ponownie na plecy i przez moment poświecił latarką, którą szybko z powrotem zgasił. Ostrożnie przeciął pomieszczenie, minął jakiś stary telewizor i otworzył drzwi na korytarz. Miały mosiężną klamkę i skrzypiały jak diabli, chociaż zachował najwyższą ostrożność. Otworzył je zaledwie na tyle, by zdołać się przez nie przecisnąć, a potem zamykał je całą wieczność. Gdy znalazł się na korytarzu, odblokował zamek w drzwiach do piwnicy. Zamykały zejście po schodach do pomieszczenia, które sprawdził już wcześniej. Tym samym zapewnił sobie szybką drogę ucieczki, choć miał nadzieję, że to nie okaże się konieczne. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, odejdzie stąd równie spokojnie, jak tu dotarł. Zatrzymał się na chwilę, czekając, aż oczy przyzwyczają się do ciemności, a potem ruszył korytarzem, który po kilku metrach skręcał w lewo i kończył się pomalowanymi na biało drzwiami. Skierował latarkę w prawo, oświetlając pomieszczenie, które okazało się pralnią. Dostrzegł tam pralkę, suszarkę bębnową oraz stojącą rozkładaną suszarkę na pranie. Wziął kilka głębszych wdechów, ostrożnie nacisnął klamkę, pchnął skrzydło, wślizgnął się do środka, a następnie zamknął za sobą drzwi.

Serce biło mu jak szalone, puls przyspieszył, a w skroniach poczuł dudnienie. Dopiero po kilku sekundach dotarło do niego, że wszystko dobrze widział. Nie spodziewał się tego. Przez okno osłonięte zasłonką wdzierało się nieco światła - niezbyt wiele, ale wystarczająco. Usiadł na pierwszym z brzegu krześle. Stało obok biurka, przykryte parą spodni, które zrzucił na podłogę. Potem wychylił spory łyk rumu, wiedział, że bez tego się nie obejdzie.

Para spała w łóżku. Chłopak na skraju, na plecach, z otwartymi ustami, oddychając spokojnie i miarowo. Dziewczyna wtuliła twarz w jego ramię i pochrapywała, wydając świszczący dźwięk, który od

czasu do czasu, na parę sekund, przechodził w pochrząkiwanie. Założył na dłoń kastet, zdjął plecak i wyciągnął z niego nóż. To był największy kuchenny nóż, jaki znalazł w domu, i liczył na to, że zdoła ich nim przestraszyć. Jeżeli będzie musiał użyć przemocy, to na pewno nie użyje noża. Upomniął się, żeby pod żadnym pozorem po niego nie sięgać – kastet tak, ale nie nóż. Przez chwilę przyglądał się chłopakowi – był szczupły i nie stwarzał zagrożenia. Nadal trzeba było jednak rozwiązać największy problem. Chodziło o to, żeby nie krzyczeli. Żadne z nich.

Naciągnął kominiarkę na głowę i nacisnął włącznik przy drzwiach, żeby zapalić światło, po czym w dwóch susach doskoczył do leżącej w łóżku pary, trzymając przed sobą nóż. Jego oczy przyzwyczyły się do światła szybciej, niż to sobie wyobrażał.

- Leżcie cicho i żadnych odgłosów, wtedy nic wam się nie stanie.

Wpadli w panikę – chłopak zaczął piszczeć, więc Krag uderzył.

- Zamknij się, piśniesz jeszcze raz i będziesz martwy.

Dziewczyna osłoniła uszy dłońmi i zaczęła się histerycznie trząść, dlatego i ją uderzył. Miał wrażenie, jakby upłynęła wieczność, ale żadne z nich już nie krzyczało, tylko cicho pojękiwali.

- Nie ruszacie się z miejsca. I mordy w kubel! Kurwa, leżycie nieruchomo. Zamknijcie oczy! Jeżeli któreś z was je otworzy, poderżnę wam gardła – warknął ze złością.

Oboje zamknęli oczy, mocno zaciskali powieki i wtulali się w siebie, dokładnie tak jak to zaplanował.

- Teraz nakryję wam głowy kołdrą, a wy macie zachować spokój – nakazał.

Dziewczyna z trudem łapała powietrze, wtulając się w swojego chłopaka.

- Nie, nic takiego ci się nie stanie, żadnemu z was – dodał.

Nakrył ich głowy kołdrą, a następnie wsunął jej brzegi pod wezgłowie łóżka i przyklepał po bokach, żeby nic nie widzieli. Byli nadzy, dlatego próbowali ją nieco naciągnąć, żeby przykryć chociażby podbrzusze, a równocześnie nie przeciwstawić się jego poleceniom. Nie uwierzyli jego zapewnieniom, że nie zrobi im krzywdy. Na fotelu przy oknie Krag znalazł jakiś koc, rozłożył go, a potem ich nakrył, pozostawiając na widoku tylko stopy i łydki. Dziewczyna się posikała. Zauważył ciemną plamę na prześcieradle, ale, co dziwne, nie poczuł

żadnego zapachu. Wyraźnie było widać, że pod przykryciem młodzi nieco się uspokoili. Tak miało być. Wyłączył światło i próbował się doliczyć, ile etapów miał już za sobą, ale nie potrafił. Po chwili rozsunął zasłony i otworzył okno. Uchyłało się w górę i na zewnątrz, tak jak to, przez które dostał się do środka – ten sam typ, tyle że miało białe framugi. Wciągnął łańcuch do środka i ponownie przymknął okno. Pociągnął łańcuch w stronę łóżka, a jego koniec położył przy ich nogach. Z plecaka wyjął taśmę izolacyjną.

Czas okropnie się dłużył. Krag omal nie zasnął na krześle, więc zmusił się, by wstać. Niekiedy unosił rąbek kołdry i powtarzał w mroku, że mają być cicho. Poza tym nic więcej się nie działo. Przez wypity rum zachciało mu się sikać. Zwymyślał się od idiotów, powinien pomyśleć o tym wcześniej. Wstrzymywał parcie i cierpiał. Regularnie spoglądał na zegarek, było zaledwie wpół do trzeciej. Czas mijał wolno, zdecydowanie wolniej niż kiedykolwiek. Wreszcie do jego uszu dotarł jakiś odgłos z góry. Kroki na strychu, a potem syk wody w rurach kanalizacyjnych i ponownie kroki.

Osoba z góry wybrała wyjście kuchennymi drzwiami. Krag właśnie na to liczył. W przeciwnym wypadku musiałyby przejść obok palików pozbawionych łańcucha i zapewne zwróciłyby na to uwagę. Zapewne nie zainteresowałyby się tym, gdzie się podział, ale wykluczyć się tego nie dało. Skoro jednak wybrała kuchenne drzwi, Henrik miało jedno zmartwienie mniej. Usłyszał trzaśnięcie drzwi szoferki, a po chwili uruchamiany silnik i radio, które włączyło się automatycznie wraz z nim. Łańcuch drgnął, zabrzączał, ale się nie napiął. Zakrzywiony cień samochodu oświetlonego światłem latarni ulicznej wolno przesunął się wzdłuż okna i wtedy... Wtedy nagle tych dwoje młodych zostało wyciągniętych przez okno – szybko, o wiele szybciej, niż zakładał. W tle słyhać było ich krzyki, mimo że mieli usta zaklejone taśmą izolacyjną. Krag zwymiotował. Nie potrafił się powstrzymać. Zrobił to ponownie na podwórku, a potem pomyślał w panice, że teraz policja na pewno go wyśledzi. I ruszył biegiem.

Rozdział 76

Svend Lerche zadzwonił ostrożnie do drzwi córki. Dwa krótkie dzwonki – było co prawda dopiero po siódmej, ale wydawało mu się, że słyszał jakiś ruch na górze. Benedikte otworzyła drzwi i na widok ojca odwróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem do mieszkania. Mężczyzna wszedł za nią do środka. Usiadł przy stole, a ona wróciła z kuchni z filiżanką kawy, którą ustawiła przed nim bez słowa, a następnie usadowiła się na wprost niego, pod drugiej stronie, z własną kawą.

– Svendie, czy to zajmie dużo czasu? Jeżeli tak, to musiałabym najpierw porozmawiać z paroma osobami – oznajmiła.

Potrząsnął przecząco głową – to nie zabierze dużo czasu.

– Słuchaj, czy ty nie jesteś chory? – zapytała. – Kiepsko wyglądasz.

Lerche wyglądał tak, jak się czuł – był mężczyzną z problemami, mężczyzną, który nie mógł spać w nocy. Zbagatelizował pytanie, wykonując dłonią falisty ruch, który miał prawdopodobnie sugerować, że ma się raz lepiej, raz gorzej.

– Sfinalizowałem zakup twojego mieszkania, przyniosę ci dokumenty, jak tylko je dostanę, najpóźniej po południu. Nabyłem je na takich warunkach, że nie będziesz miała problemów w razie mojej śmierci. Jeżeli znajdziesz czas, możemy jeszcze wieczorem przejrzeć te papiery.

Po naradzie z Kragem zdecydowała się na mieszkanie na poddaszu przy placu Gråbrødretorv – w centrum miasta.

– Dlaczego jesteś taki miły? – zapytała ojca. – To do ciebie niepodobne. I co to za problemy, w które rzekomo miałbyś się wpakować? – ciągnęła.

Lerche zignorował jej tupet i odpowiedział wymijająco:

– Chodzi o Jimmy’ego Heegera, tego nowego faceta, któremu wsadziłaś palec w oko. Już u mnie nie pracuje, zwolniłem go.

– Bo?

– Chyba miałaś rację, nie pasował tu i zdążył się już wielokrotnie wygłupić. Ale dosyć na ten temat, nie ma powodu, żebyś się tym

zajmowała. Wypłynęły też inne sprawy i jeżeli złączą tworzyć pewien wzór, to znaczy łączyć się ze sobą... to może się zrobić niebezpiecznie.

Zaczął opowiadać. Osoby kontaktowe Kariny Larsen w Ministerstwie Integracji przestały odpowiadać na jej telefony. Do tego dochodził niezrozumiały znaczny - bo niemal o jedną trzecią - spadek liczby klientów nigeryjskich pracownic, jeżeli porównać z obrotami z zeszłego roku. Trudno to uzasadnić przypadkowym odchyleniem statystycznym, jeżeli rozumiała, co ma na myśli. Potaknęła, nieco poirytowana, bo przecież sam uczył ją rachunku prawdopodobieństwa. Chyba jeszcze to pamiętał. Lerche tłumaczył dalej: z interesu wycofało się sześciu pokerzystów i trzy rodziny goszczące - nagle, ni stąd, ni zowąd, w ciągu jednego tygodnia.

Pozwoliła mu dokończyć, a potem przyniosła kolejną filiżankę kawy, tym razem tylko dla niego, i wyjęła mu konkluzję z ust:

- Rozumiem, że w takim razie mój urlop zostaje przesunięty? Czy do tego zmierzasz?

Potwierdził. Potrzebował jej teraz bardziej niż kiedykolwiek, a ona przyjęła to do wiadomości. Z niejakim wahaniem, jakby trudno mu było znaleźć odpowiednie słowa, dodał:

- Być może na pewien czas będziemy musieli zamknąć interes, ewentualnie działać na pół gwizdka. Możliwe też, że twoja matka i ja... wyjedziemy na wakacje.

Benedikte skinęła głową - doskonale rozumiała, o co chodzi ojcu. Wróciła do tych sygnałów ostrzegawczych, o których wcześniej wspominał.

- Czyli nie sądzisz, że to przypadek?

- Nie, niestety. Wydaje mi się, że jesteśmy pod obserwacją.

- A co na to Bjarne? Zgadza się na zamknięcie interesu?

- To jeszcze nic pewnego.

- Czyli próbujesz mi powiedzieć, że jeszcze z nim nie rozmawiałeś?

Wymigał się od odpowiedzi, nie była zresztą konieczna.

- Jakie masz plany na dzisiaj? - zapytał.

- Zamierzam kupić sobie samochód, pójść z Henrikiem na spacer, do tego zajęcia na uniwersytecie, chcę też pomóc Karinie z... - Wyliczała na palcach.

- W porządku, rozumiem - przerwał jej. - Zapytam inaczej: z czego mogłabyś zrezygnować?

- Ze wszystkiego, z wyjątkiem Henrika.

Uśmiechnął się po raz pierwszy tego poranka.

- Naprawdę go polubiłaś, co? Załóż coś przeciwdeszczowego, zanim wybieriecie się na spacer. Zapowiadali deszcz.

Wstała, nie komentując jego słów. Jej relacje z Henrikiem nie powinny go obchodzić.

- Przyjdę do twojego biura za pół godziny - obiecała.

Rozdział 77

Z każdym kolejnym przyjazdem do Viborga miasto wydawało się Helena Holt Andersen coraz bardziej obce. Dorastała w nim, tu chodziła do podstawówki i liceum, tutaj też mieszkała przez niemal trzy lata studiów. Minęło sporo czasu i miasto bardzo się zmieniło, podobnie jak ona sama. Dzisiaj czuła się bardziej kopenhazanką, prawdopodobnie dlatego, że dopiero w stolicy urodziła dzieci, które już tam dorastały. Trudno ocenić, co sprawia, że człowiek przywiązuje się do tego czy innego miejsca, co nie zmienia faktu, że ta więź ma znaczenie. Pomimo oziębienia relacji z Viborgiem nie zmieniła swojego okręgu wyborczego, chociaż przez ostatnie lata miała wiele okazji, żeby wybrać inny, położony bliżej i co najważniejsze taki, który zapewniłby jej zwycięstwo w wyborach. Rozejrzała się wokół, napotykając spojrzeniem zarówno uśmiechnięte znajome twarze, jak i takie, które nic jej nie mówiły.

Partia obchodziła jubileusz stulecia. Helena miała być główną mówczynią nie tylko podczas porannych, ale także - na dobrą sprawę - wieczornych wystąpień. Było oczywiste, że gdy poproszono ją o wystąpienie, nie mogła się od tego wymigać i wtedy - jakieś pół roku temu - naprawdę chciała wziąć udział w tym wydarzeniu. Jednak na nieszczęście jubileusz przypadł na okres gorączkowych konsultacji społecznych, za które odpowiadała z ramienia partii. Nie było jej łatwo opuścić budynek parlamentu - wielu kolegów z Christiansborga sugerowało bez ogródek, żeby odwołała wizytę w Jutlandii. Zapewne właśnie dlatego zdecydowała się pojechać.

Zgromadzeni na sali śpiewali, a ona wraz z nimi. W międzyczasie wykorzystała moment, aby wyciągnąć z torebki i położyć przy talerzu tekst swojego przemówienia. Kolejny punkt programu należał do niej, ale sama miała zdecydować, kiedy przemówi. Ludzie powinni przecież mieć też czas, aby coś zjeść i wypić. Butelka z gorzkim likierem krążyła z rąk do rąk. Gdy dotarła do niej, Helena potrasnęła przecząco głową i podała ją dalej. Próbowwała przemówić sobie do rozsądku, przekonując się w duchu, że powinna wygłosić mowę, którą dla niej przygotowano.

Miała praktycznie dowolność w wyborze tematu. Propozycje przewodniczącego okazały się mało konkretne i nieprecyzyjne.

- Aktualna sytuacja polityczna albo coś o przyszłości, coś optymistycznego. Heleno, wybierz sama.

Coś optymistycznego, dobry Boże. Niemniej jednak właśnie o to poprosiła swojego sekretarza, sugerując mu hasłowo:

- Napisz coś optymistycznego związanego z przyszłością - jakieś wizje, perspektywy, przecież wiesz, o co mi chodzi.

Napisał, jak go prosiła, i teraz przemówienie leżało gotowe przed nią na stole. Proste, nieproblemатyczne - pełen sukces, jeżeli tylko będzie potrafiła zmobilizować się na piętnaście minut. Umiała przemawiać, to była jedna z jej mocnych stron, może nawet najmocniejsza. I właśnie to powinna teraz zrobić - wygłosić, do cholery, swoją mowę, nic więcej.

Problem polegał na tym, że poprzedniego wieczoru, przeglądając dziennik „Viborg Folkeblad”, natknęła się na artykuł przewodniczącego miejscowego okręgu partyjnego. Nosił tytuł *Dziwki będą zawsze* i podtytuł *Dlatego nie powinniśmy zabraniać płatnego seksu*. Dziwki - jak ona nienawidziła tego słowa - dziwki, czarnuchy, arabusy, szkodniki. Wszystkie te pojęcia oznaczały to samo - oczywiste prawo silniejszego do werbalnego upokarzania słabszego. Przewodniczący posłużył się w artykule wszystkimi tradycyjnymi, idiotycznymi zastrzeżeniami wobec wprowadzenia zakazu płatnego seksu, używając argumentów, które były nie do obronienia przy dokładniejszym przeanalizowaniu sprawy. Niemniej jednak powtarzano je bez końca, jakby debata na ten temat nie miała nigdy prawa ruszyć z miejsca i za każdym razem musiała zaczynać się od nowa. Jeżeli wprowadzi się zakaz płatnego seksu, to prostytutki znajdą się w jeszcze gorszym położeniu, skazane na pracę w szemranych burdelach. Wiele pracownic seksualnych - kolejne słowo, które uwierało polityczkę - świetnie odnajdywała się w swoim zawodzie i tak czy owak nie dokonałaby innego wyboru. Osobom z niepełnosprawnością również należało zapewnić dostęp do seksu. Zakazu nie dało się kontrolować. Pokręciła głową, próbując odsunąć od siebie te myśli, jednak bezskutecznie.

Od początku do końca chodziło o władzę. Władzę mężczyzn nad kobietami, w rzadkich przypadkach władzę bogatych kobiet nad biednymi mężczyznami. Władzę nad dostępem do usług seksualnych,

w których klient bezwzględnie górował nad sprzedającym. Upokorzenie, upodlenie – te wszystkie pieprzone przypadki, które tak dobrze znała ze środowiska prostytutek w Kopenhadze, gdzie kobiety narażano na nieopisane rzeczy, bo kupujący musiał dać upust swoim żądom. Same „usługodawczynie” w ogóle go nie obchodziły, bo przecież zapłacił.

Minęło już niemal osiem lat, odkąd postanowiła zająć się tą sprawą. Z góry przegrana – taką kulą u nogi – jeżeli planowała wspinać się po politycznej drabinie, a jednocześnie pracować nad sprawą, w którą naprawdę wierzyła. W pewnym okresie wspierało ją nie więcej niż dwóch partyjnych kolegów i stała się tarczą strzelniczą, obiektem ataku wielu osób, które wyraźnie sugerowały, że jej przekonania wynikają przede wszystkim z problemów z własną seksualnością. Dzisiaj znajdowała się już w zupełnie innym miejscu – uzyskanie sprzeciwu wobec prostytucji na kongresie partii leżało w zasięgu jej możliwości. Przede wszystkim jednak zaczęto traktować ją poważnie. Rzuciła władzy wyzwanie, ale jeszcze jej nie pokonała, o czym świadczył chociażby ten głupi artykuł lokalnego przewodniczącego. Zorientowała się, że jego treść jest wymierzona przeciwko niej, chociaż nie wymienił jej z nazwiska. Nie odważył się – mięczak.

Upiła łyk soku, wstała, wyszła na środek sali i skupiła wzrok na przewodniczącym. Po chwili przemówiła wysokim, czystym głosem:

- Kobiety, które z zadowoleniem uprawiają prostytucję, to iluzja.

Rozdział 78

Funkcjonariusz, który wszedł do pomieszczenia, miał na sobie mundur. Mimo to nikt z obecnych nie zwrócił na niego uwagi, bo wszystkie spojrzenia skierowane były na Helenę Holt Andersen. Żywo gestykulowała, dopasowując ruchy dłoni do tonu głosu, jakby tłumaczyła swoje wystąpienie wymyślonym przez siebie językiem migowym. Przenikliwie spoglądała na słuchaczy, jeden po drugim. Przemawiała przekonująco, ostro, świadoma wpływu wywieranego na audytorium. Mówiła szybko, wplatając po trzy, niekiedy cztery argumenty przy każdej z poruszanych kwestii, a równocześnie znakomicie panowała nad wypowiedzią, okraszając jej poszczególne fragmenty zgrabnymi puentami. Miała niewątpliwy talent krasomówczy, który już sam w sobie przykuwał uwagę, mimo że jej przemówienie nie było ani fanatyczne, ani nachalne. Nie on jednak sprawiał, że potrafiła przedrzeć się do umysłów ludzi, bo właśnie taką uzasadnioną reputacją się cieszyła. Kluczową rolę odgrywało to, że każdą cząstką swojego ciała szczerze wierzyła w to, co mówi, i z niekłamanym zaangażowaniem oddawała się sprawom osób, których dotyczyły jej poglądy.

Funkcjonariusz miał wątpliwości, czy powinien jej pozwolić skończyć przemówienie, czy jednak przerwać. Namyslał się przez chwilę i doszedł do przekonania, że nie ma wyboru. Zajście w Vallensbæk Landsby, o którym usłyszał przez telefon, okazała się zbyt przykra, by mógł poczekać.

Samochód ciężarowy wyszarpnął chłopaka i dziewczynę przez piwniczne okno i zaciągnął na koniec willowej uliczki. Tam się zatrzymał, żeby przepuścić taksówkę - osobówka właśnie skręcała w tę samą drogę, z której on wyjeżdżał. Młodemu ludziom mimo poważnych obrażeń udało się na moment stanąć na nogi, ale już parę sekund później znów się przewrócili, gdy pojazd odbił na zakręcie. Chłopak zahaczył głową o wystający drut z poluzowanej siatki ogrodowej i zranił

się w oko. Zaraz potem dziewczyna uderzyła głową w znak drogowy, a chwilę później w kolejny, gdy ruch ciężarówki zniósł łańcuch na pas zieleni znajdujący się pomiędzy pasami jezdni. Potem samochód przyspieszył, mając przed sobą sto metrów prostej drogi.

Nie było wątpliwości, że gdyby ta podróż potrwała dłużej, młodzi ludzie by zginęli. Na szczęście dostrzegł ich kierowca, który minął się z nimi na zakręcie, i zareagował imponująco szybko. Nie przejmując się protestami zaskoczonego klienta, który niczego nie zauważył, gwałtownie zawrócił taksówkę, wcisnął pedał do dechy i na pełnym gazie pod prąd popędził za ciężarówką. Właściwie bez specjalnego ostrzeżenia, jedynie wciskając klakson, zajechał jej drogę i zablokował przejazd. Kierowca samochodu ciężarowego zatrzymał się i wściekły wyskoczył na ulicę, a taksówkarz od razu zaciągnął go na tył pojazdu, gdzie załamany mężczyzna zobaczył, co zrobił własnej córce. Kierowca taksówki zadzwonił po karetkę. Jakaś pielęgniarka, obudzona zamieszaniem na drodze, wybiegła przed dom w koszuli nocnej, i udzieliła rannym pierwszej pomocy.

Policjant przeszedł w poprzek sali, zbliżył się do polityczki i przerwał jej przemówienie. Dostrzegł w jej oczach strach – była przede wszystkim matką.

- Pani syn miał wypadek. Przeżyje, ale ma poważnie uszkodzone oko – poinformował ją łagodnym tonem.

Polityczka ruszyła za funkcjonariuszem – oszołomiona, wciąż nie wierzyła w to, co przed chwilą usłyszała. Jakieś osoby zaczęły klaskać, ale szybko je uciszono. Wszędzie można znaleźć bezmyślnych ludzi. Przewodniczący pospieszył za policjantem i mówczynią. Na jego twarzy malowała się powaga, ale w duchu odczuwał radość. Holt Andersen miała rację – wszystko sprowadzało się do władzy, a walka była zacięta.

Rozdział 79

- Czuję, jakby Svend przez całe moje życie próbował jakimś sposobem mnie zdyscyplinować, ukształtować wedle własnego uznania. Już później, gdy nauczyłam się z tym żyć - a może nawet walczyć - szybko znajdował jakąś inną metodę.

Benedikte mówiła o swoim ojcu, przez ostatnie dni to był jej ulubiony temat. Krag przysłuchiwał się jej wynurzeniom, od czasu do czasu wtrącając jakąś stosowną uwagę. Znajdowali się w lesie iglastym i starali się maszerować przed siebie, nie zbacząc z drogi. Krag zmierzył dziewczynę wzrokiem z góry na dół i pomyślał, że nawet podczas leśnej wyprawy jest elegancko ubrana. Miała na sobie zamszowe buty w karmelowym kolorze, czarne dżinsy i białą jedwabną bluzkę pod szmaragdową tweedową marynarką.

To ona zaproponowała, żeby wybrali drogę prosto przez las zamiast tej polnej, prowadzącej obok myśliwskiej chatki.

- Kurczę, nie mam najmniejszej ochoty znów oglądać tego miejsca.

Krag się z nią zgodził, bo właściwie mógłby to samo powiedzieć o całym tym pieprzonym lesie i jeziorze, w którego kierunku zmierzali. Męczył go kac po tych okropnych porannych... wydarzeniach i choć wziął kilka tabletek, to raczej niespecjalnie mu pomogły. Przeczozłgali się pod obalonym drzewem, pojedynczo, ona pierwsza. Czekwała na niego po drugiej stronie i gdy podszedł, wtuliła się w niego - oparła głowę o jego ramię, utrudniając nieco dalszą wędrówkę. Deszcz co prawda ustał, ale niebo ponad wierzchołkami sosen nadal pokrywały chmury, ale przynajmniej nie było chłodno.

- Jako dziecko - musiałam być wtedy w pierwszej albo drugiej klasie - często śniłam, że jestem martwa. Leżałam na kupie innych zwłok w czerwonym płaszczku i się wyróżniałam. Pozostali tworzyli bezkształtną masę, niczym się od siebie nie różnili - bladzi, czarnobiali, jakby nieobecni, zresztą tacy przecież byli. Ale ja próbowałam się wygrzebać z tej sterty trupów - chciałam poprawić płaszczek, żeby lepiej przykrywał mi nogi, i nie dawałam rady. Musiałam to zrobić,

ojciec na mnie krzyczał, a jednak to okazywało się niemożliwe. Groził mi, że mnie zabije, chociaż już nie żyłam. To było chore, a zarazem takie przerażające, nawet sobie nie wyobrażasz. Zabije mnie znów. – Uderzyła się dłonią w czoło. – Czy to nie jest nienormalne?

Krag odpowiadał jej bez specjalnego zaangażowania, miał swoje sprawy do przemyślenia, ale Lerche-Larsen zdawała się nie zauważać jego roztargnienia.

– Wtedy kluczowym słowem był porządek. Miałam zachowywać się porządnie, ładnie wyglądać, pilnować swoich rzeczy – musiałam wiedzieć, gdzie się co znajdowało, i mieć kontrolę nad tym wszystkim, co do mnie należało. Potem, jak już dorosłam, porządek zastąpiły pieniądze. Nie tylko, ale głównie. Wiesz co, tak sobie myślę, że mogłabym znaleźć jakąś zwykłą pracę, bo chyba poradzilibyśmy sobie, gdybyśmy mieli trochę mniej pieniędzy, prawda?

– I mówi to dziewczyna, która właśnie kupiła mieszkanie za ponad cztery miliony i zapłaciła gotówką.

Zatrzymała się i dostrzegł przeblysłk rozczarowania na jej twarzy, choć szybko zastąpił go uśmiech. Przeprosił, powiedział, że naprawdę mu przykro, a potem ją objął i próbował wyznać, jak bardzo ją kocha, chociaż niespecjalnie potrafił się wysłowić. Uścisk pomógł również jemu – w takich okolicznościach łatwiej było sobie wyobrażać, że na świecie są tylko oni, i że tutaj, pośrodku lasu, nie dosięgną ich żadne problemy. Pomyślał, że niezależnie od tego, co się wydarzy, to znaczy, co jemu się przydarzy – bo jej nic nie miało prawa się przytrafić – i tak niczego nie żałuje.

Stali objęci przez dłuższą chwilę, aż Benedikte znowu się odezwała.

– Wszystko się jakoś ułoży. Wiem, że tak będzie. Na pewno zdarzy się coś dobrego. Mamy przed sobą całe życie i mamy siebie. To nie tak znów mało i nie możemy o tym zapominać.

Pocałował ją, tylko to przyszło mu teraz do głowy. Odsunęła go od siebie ostrożnie, odpychając go dłonią opartą o jego pierś.

– Nie, nie przerywaj mi. Jestem dość zdenerwowana i dlatego tak trajkoczę. Jednak muszę to wiedzieć. Czy to, co stało się z partnerką Jana w Karlslille, to twoja sprawka?

Momentalnie zaschło mu w ustach, bo przeczuwał kolejne pytanie.

– Nie.

- Cieszę się. Ale tę dwójką nastolatków z Vallensbæk Landsby to ty tak urządziłeś, prawda?

- Nie sądziłem...

- Mam rację, Henriku? - przerwała mu łagodnie.

Przytaknął - owszem, to był on.

Rozdział 80

Henrik i Benedikte zgubili się w lesie. Powinni już dotrzeć do jego liściastej części i brzegu jeziora, ale jak dotąd im się to nie udało. Postanowili się rozdzielić, ale tylko na tyle, żeby nie stracić się wzajemnie z pola widzenia. Może i dobrze się stało. Krag potrzebował chwili, by dojść do siebie. Byłoby mu łatwiej, gdyby nie wiedziała o tym porannym zajściu. Gdyby nikt o nim nie wiedział. Niedługo potem zbliżyła się do niego, chwyciła go za rękę, a drugą dłonią wskazała przed siebie – powinni pójść w tamtym kierunku. Podążył za nią.

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że zdarzy się coś dobrego?

Ścisnęła mocniej jego dłoń. Przed nimi, nieco po przekątnej, rozciągało się jezioro.

- Po prostu wiem, że tak będzie. Ale nagle dopadło mnie bardzo złe przeczucie. Powinniśmy byli dotrzeć tutaj dawno temu. Oboje baliśmy się tu przyjść, ale wydaje mi się, że zwlekanie z tym to był ogromny błąd.

Wskazała dłonią na wieżę widokową, która pojawiła się przed nimi. Dostrzegli również drugi brzeg, miejsce, gdzie kiedyś zatopili zwłoki Nigeryjki. Odległość wydała się Kragowi krótsza, niż to zapamiętał. Zatrzymał swoją towarzyszkę, uznał, że teraz jego kolej.

- Musisz mi wyjaśnić jedną rzecz. Wcześniej nie miałem odwagi cię zapytać. Benedikte, dlaczego ja? I dlaczego tak szybko? Jeszcze czternaście dni temu spacerowałem po jakiejś durnej plaży i tęskniłem za tobą jak szalony, a dzisiaj jesteśmy parą i mamy razem zamieszkać. Nie zrozum mnie źle, bardzo się z tego cieszę, bardziej niż z czegokolwiek wcześniej, ale nie potrafię tego pojąć.

- Bo jesteśmy do siebie podobni – odpowiedziała mu rzeczowo. - Nie wierzysz w to, ale tak jest. I dlatego, że mnie kochasz. To mi daje poczucie bezpieczeństwa.

Pospiesznie zadał kolejne pytanie, świadomy, że jeżeli nie zrobi tego teraz, to już nigdy się nie odważy.

- A ty mnie nie kochasz?

Przez dłuższą chwilę stała ze spuszczonego wzrokiem.

- Henriku, nie chciałabym cię rozczarować, ale wydaje mi się, że nie potrafię nikogo pokochać. To nie ma nic wspólnego z tobą, tak już po prostu niestety jest. Może kiedyś się tego nauczę, może ty mnie nauczysz. Kto wie?

Pogłaskała go po policzku. Nie potrafił rozstrzygnąć, czy to dobry znak, czy nie.

- No, ale chciałeś usłyszeć dobre wieści - ciągnęła. - Obojgu nam się przydadzą.

Rzeczywiście chciał je usłyszeć.

- Zostaniesz ojcem.

Ambona była dość niska, bo miała zaledwie pięciu metrów wysokości, zrobiono ją z impregnowanych ciśnieniowo okrągłaków i wyglądała solidnie. Lerche-Larsen jako pierwsza zaczęła się wspinać po drabinie. Gdy weszła na kilka pierwszych stopni, Krag wyciągnął rękę i przesunął ją po wewnętrznej stronie uda dziewczyny. Odwróciła głowę i spojrzała na niego z góry. Jej mina mówiła: „Opanuj się, ty wariacie”. Nie chodziło o to, że miał na nią ochotę, bo ta w zasadzie nigdy go nie opuszczała, a bardziej o to, żeby sobie samemu udowodnić, że potrafi i może sobie pozwolić na taki gest. Zaśmiał się i poklepał ją po łydce, a potem poczekał, aż wejdzie wyżej, i ruszył jej śladem.

Kiedy do niej dołączył, zauważył, że siedzi tam osłupiała. Przed nią leżało zdjęcie, które otrzymali od Idy - wypadło jej z rąk. Sięgnął po nie, następnie skierował wzrok na jezioro, żeby porównać widoki, i doszedł do tego samego wniosku co ona: nie zostało zrobione z tego miejsca, nie było takiej możliwości. Przez cały czas sądzili, że fotografię wykonano przez przypadek, że może zauważył ich jakiś miłośnik ptaków, który zabrał ze sobą aparat z obiektywem zmiennoogniskowym. Ale teraz dotarło do nich, że z tej wysokości perspektywa jest zgoła inna. Krag poczuł, jak wraca wcześniejsza niepewność.

- I co dalej? Co teraz zrobimy?

Nic na to nie odparła. W odpowiedzi zeszła po drabinie na dół z zaciętym, wściekłym wyrazem twarzy. Trzymając w dłoni zdjęcie, pospieszył za nią.

W miejscu, w którym zatopili ciało Nigeryjki, zastali wbity pal. O ile Krag dobrze pamiętał, nie było go tam wcześniej. Zaczął się zastanawiać, czy umieszczono go z powodu tej dziewczyny, i doszedł do wniosku, że chyba tak. Jaki mógłby być inny powód? Lerche-Larsen przykucnęła ze zdjęciem w dłoniach i bacznie przyglądała się wzniesieniu, odsuwając się od czasu do czasu o metr lub pół od linii brzegowej. Stojący za dziewczyną Henrik mógł się dokładnie przypatrzeć fotografii i porównać ją z tym, co teraz widział. Nie było wątpliwości, że nie zrobiono jej stąd, a mimo to Benedikte nie przestawała się przemieszczać, próbując dopasować ujęcia. Nagle wyjęła zdjęcie z plastikowej koszulki i zaczęła je drzeć na drobne kawałki – nie zapalczywie, a wręcz wolno, jakby leniwie.

- Jan Podowski - zasugerował.

Potrząsnęła przecząco głową i zatkała sobie uszy palcami.

- Jan Podowski... a może twój ojciec.

Krzyknęła na niego ze złością, straciła nad sobą kontrolę.

Zamknij się. Miał zamilknąć, chciała wracać do domu. Rzuciła na ziemię ostatnie skrawki fotografii. Chciała do domu, tylko tego teraz chciała, dotrzeć, do cholery, do domu. Próbował ją objąć, ale go odepchnęła, jednak poznał ją już na tyle dobrze, że się nie poddawać.

- Chodź, Benedikte, wracajmy do domu.

Kiedy uszli kilka metrów, ponownie się odezwała:

- Zdjęcia już nie ma i nigdy więcej nie chcę o nim myśleć.

Zauważył, że płacze, i ostrożnie wytarł jej łzy spływające po policzku. Racja, zdjęcia już nie było, ale on doskonale pamiętał ten wzór z żółtych kropek. W domu nadal miał dokumenty z czasów, gdy pracował dla Svenda Lerchego. Zbada je i porówna. Musi to zrobić – dla niej... i dla ich dziecka. Uniósł głowę i nieznacznie skinął w stronę nieba – tak, musi to zrobić.

Rozdział 81

Wielka Bertha alias prokuratorka okręgowa Bertha Steenholt z pewnością zasługiwała na swój przydomek, kiedy tak stała w gabinecie szefa wydziału zabójstw, z lekko zaciśniętymi dłońmi opartymi na masywnych biodrach, i przyglądała się portretom rozwieszonym na jednej ze ścian. „Wielka jak samica prazubra”, pomyślał Simonsen i zaraz dotarło do niego, że na dobrą sprawę nie ma pojęcia, jak taki zwierz wyglądał. Stał nieco po przekątnej od prokuratorki, z mimowolnym uśmiechem, choć w tej sytuacji nie było nic, co mogłoby poprawić mu humor, i czekał na pytania. O ile jakieś padną, bo jak do tej pory nic tego nie zapowiadało. Czuł się jak bagażowy stojący przed gościem bez walizki. Zamiast się tak miotać bez celu, powinien był usiąść w swoim fotelu, a nie irytować Wielką Berthę chęcią okazania się przydatnym. Pomyślał, że on na jej miejscu też poczułby irytację, a mimo to się nie ruszył, od czasu do czasu przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Nabrał tego nawyku wiele lat temu, gdy jako młody funkcjonariusz został oddelegowywany do pełnienia warty. Teraz przyzwyczajenie wróciło, chociaż nie miał pojęcia dlaczego.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka weszła Hrabianka. Przywitała się, a w odpowiedzi prokuratorka wydała z siebie jakiś krótki nosowy dźwięk, który trudno było zinterpretować – mógł równie dobrze oznaczać „cześć”, jak i „nie przeszkadzaj”. Hrabianka również ustawiła się twarzą do zdjęć i zaczęła się im przyglądać. Stali we troje w całkowitym milczeniu. Kiedy inspektor usłyszał pukanie, był przekonany, że to komendantka, która w ostatnim czasie wykazywała się niespotykanym wyczuciem i pojawiała się zawsze w ślad za prokuratorką. Wyglądało to, jakby zaczajała się gdzieś za rogiem na korytarzu wydziału zabójstw i po spontanicznym powitaniu: „Coś takiego, co ty tutaj robisz? Miło cię widzieć” przyłączała się do niej przy każdej nadarzającej się okazji. Najwyraźniej jednak dzisiaj jej czujność osłabła. Przynajmniej póki co.

Steenholt uniosła nieco głowę i skinęła w stronę fotografii kobiety umieszczonej na samej górze galerii.

- Jeżeli dobrze rozumiem, to jest ta Murzynka? - odezwała się wreszcie. Znow padło zakazane słowo.

Trudno było orzec, skąd Simonsen nagle znalazł w sobie tylko odwagi, ale najpewniej zbyt długo stał obok prokuratorce niczym jakiś kamerdyner i uznał, że już najwyższy czas, aby zademonstrować swoją niezależność. Tak czy inaczej, zrobił krok w przód, napotkał jej spojrzenie i odezwał się ostrzej, niż wymagała tego sytuacja:

- Ifunanya Siasia, w tym gabinecie mówimy o niej Ifunanya Siasia!

Akcent na „w tym gabinecie” był wyraźny, niemal zaczepny. Wielka kobieta zmarszczyła brwi, a potem ponownie przeniosła wzrok na zdjęcie Nigeryjki i odparła pojednawczo:

- Tak, oczywiście. Nazywała się Ifunanya Siasia i tak powinniśmy o niej mówić. Przepraszam. - A za moment zapytała już bardziej rzeczowym tonem: - Czyli co właściwie mamy? Jaki jest aktualny status sprawy lasu Hanehoved? Wygląda na to, że w rekordowym tempie zrobiło się z tego spore dochodzenie.

Aktualny status sprawy lasu Hanehoved. Simonsen rozpoznał swoje własne słowa.

- Całkiem niedawno przesłałem ci obszerny raport na temat aktualnego statusu mojego dochodzenia.

- Wiem i przyszłam tutaj właśnie dlatego, żeby nie musieć czytać tych trzydziestu pięciu stron, skoro mogę poprosić cię o zreferowanie najważniejszych punktów w ciągu kwadransa.

Hrabianka wybuchnęła śmiechem, bo prokuratorce jak zwykle od razu przeszła do konkretów. Policjantka zaproponowała, żeby usiedli przy stole, i jej propozycja spotkała się z aprobatą. Kiedy zajmowali miejsca przy stole konferencyjnym, Steenholt przyznała się do kolejnego powodu swojej wizyty:

- Sporo słyszałam też o tej twojej... galerii klientów i chciałam ją zobaczyć na własne oczy. Simon, skoro już przy tym jesteśmy - dlaczego właściwie powiesiłeś tu te portrety? Zakładam, że żadna z tych osób nie ma bezpośredniego związku z prowadzoną przez ciebie sprawą. - Dała Simonsenowi czas na potwierdzenie jej przypuszczenia,

a potem dodała: - Zapewne dobrze wiecie, że żadna z tych osób nie złamała prawa. W każdym razie ja nie byłabym w stanie tego dowieść.

- Zdjęcia zawisły na ścianie, bo ci mężczyźni na to zasłużyli - odpowiedziała Hrabianka. - Powinni się spalić ze wstydu. Chodzi również o to, że żadnego z nich nie można pociągnąć do odpowiedzialności za życie i los, jaki spotkał Ifunanyę Siasię, co nas niezwykle frustruje, bo każdy z nich jest po części cholernie odpowiedzialny za to, co spotkało tę dziewczyną.

Prokuratorka walnęła wielką łapą o stół, który aż zadrżał.

- Zgadzała się z wami, nie myślcie, że jest inaczej, ale ja nie mam w zwyczaju walczyć z wiatrakami - zaznaczyła to z żalem, a potem dodała: - Jestem święcie przekonana, że wydział zabójstw najlepiej wykorzysta swój czas i potencjał, gdy skupi się na tych, których będzie można osądzić, zamiast na wszystkich innych.

Trudno było z tym dyskutować. Prokuratorka w ten sposób próbowała też po raz kolejny skłonić Simonsena do zreferowania aktualnego stanu dochodzenia, skoro i tak nie miała zamiaru czytać tego, co jej wysłał. Inspektor odchrząknął i zaczął raportować:

- Przede wszystkim jesteśmy w trakcie poszukiwań tych popleczników czy - jak może wolisz współpracowników - Kariny Larsen i Svenda Lerchego. Ustalamy, kto pracował dla kogo, a także kto wycofał się z interesu. Jedna z tych osób brała udział w zabójstwie Ifunanyi Siasii dziewiętnastego marca dwa tysiące ósmego roku w lesie Hanehoved razem z Janem Podowskim, którego przecież już znasz. Myślę, że wkrótce uda nam się to ustalić. Zgaduję, że za jakieś parę tygodni. Czy jednak zdobędziemy wystarczające dowody, by wnieść sprawę do sądu, to się okaże.

- A co z drugim zabójstwem, tym z Karlslille?

- Sprawa wygląda podobnie, jeżeli sprawca to ktoś z współpracowników wspomnianego małżeństwa, a to wielce prawdopodobne. Sądzę, że w tym przypadku to również kwestia czasu, a tutaj jednak dysponujemy śladami DNA, więc sprawcy trudno będzie się wywinąć.

- Czy może chodzić o tego samego sprawcę?

- Jak najbardziej, ale póki co trudno wyrokować.

Prokuratorka zgodziła się z inspektorem, a on ciągnął dalej:

- Pozostaje jeszcze sprawa tego całego systemu związanego z zakupem prostytuujących się opiekunek, a tutaj udało nam się całkiem sporo ustalić.

Kolejne dziesięć minut Simonsen przeznaczył na opowiadanie o tym, w jaki sposób klienci Kariny Larsen wykupywali usługi u jej prostytutek. Przede wszystkim wszyscy klienci muszą najpierw zostać zarejestrowani u stręczycielki, a to jest możliwe tylko wtedy, gdy zostaną zarekomendowani przez co najmniej dwóch aktywnych usługobiorców. Dopiero wówczas można kupić sobie kobietę, nabywając specjalną kartę, najczęściej za pięć tysięcy koron. Istnieją dwa typy kart - czerwone i zielone, z czego jedna daje dostęp do konkretnej prostytutki, druga zapewnia swobodę wyboru. Po zakupie karty na podstawie unikalnego numeru należy zalogować się na stronie internetowej Kariny Larsen, gdzie można zapoznać się z ofertą, a także wybrać czas spotkania. Karty można nabywać na wiele sposobów. Najprostszy z nich to wizyta w zajeździe Skovriderkroen w Klampenborgu między osiemnastą a dziewiętnastą, gdzie dyżur pełni jedna ze współpracownic Larsen. Płacić można tylko gotówką, a prostytutki dbają o pobranie karty podczas takiej wizyty. Poza tym istnieje złożony system rabatowy. Do tego stali klienci mogą liczyć na specjalne warunki. Inspektor dla pewności spytał, czy je również powinien omówić. Prokuratorka potrząsnęła głową - to nie było konieczne.

- Skąd masz te informacje? - zapytała.

- Od klientów. Część z nich okazała się niezwykle chętna do współpracy pod warunkiem, że nie podadzą ich nazwisk do publicznej wiadomości. Nietrudno ich było znaleźć. Udało nam się również zdobyć kilka kart, niektórzy kupowali po pięć czy nawet dziesięć za jednym razem - niejako na zapas, jeżeli można tak to ująć. Karty są teraz badane przez techników.

- Chodzi o odciski palców?

- Między innymi.

Następnie inspektor podsumował informacje na temat rodzin goszczących prostytutki oraz pracowników Ministerstwa Integracji, którzy oszukiwali przy rekrutacji dziewcząt. Potem przeszedł do pokerowych graczy i omówił działalność Akademii Pokera.

Prokuratorka mu nie przerywała. Gdy skończył, ku jego zaskoczeniu pytanie zadała Hrabianka:

- Kiedy wkraczamy?

Zarówno Simonsen, jak i Steenholt spojrzeli na nią zdumieni, a jednak po chwili prokuratorka powtórzyła jej pytanie:

- No więc kiedy wkraczacie?

Inspektor stał w tej sprawie przed trudnym dylematem. Brakowało mu tylko bezpośredniego nacisku ze strony Berthy Steenholt, która właśnie oczekiwała odpowiedzi na zadane pytanie. Przeniósł wzrok na Hrabiankę. „Dziękuję, kochana żonko, właśnie tego teraz potrzebowałem”, pomyślał. Odpowiedziała na jego wściekłe spojrzenie promiennym uśmiechem. Zaczął kluczyć: trudno było powiedzieć, bo należało uwzględnić wiele czynników – niektóre przemawiały z szybkością interwencją, inne wręcz przeciwnie. Prokuratorka natychmiast na niego naskoczyła, bo takie lawiranie zawsze wzbudzało w niej złość.

- Te bzdury zostaw sobie dla tej swojej wystrojonej laleczki.

Nie było trudno zgadnąć, że miała na myśli komendantkę.

Simonsen pomyślał, że to wcale nie były bzdury. W przypadku takiego złożonego dochodzenia, z jakim miał obecnie do czynienia, zazwyczaj niełatwo zdecydować i z całą pewnością powiedzieć, że policja już wystarczająco długo obserwowała podejrzanych. Jeżeli decyzja zostanie podjęta za szybko, istnieje ryzyko, że nie zdobędzie wystarczających dowodów potrzebnych w sądzie. Jeżeli z kolei przeciągnie się obserwację, sprawcy mogą się zorientować w sytuacji i zniknąć.

- Grupa robocza zajmująca się pokerzystami domaga się jeszcze miesiąca. Ta, która rozpracowuje rodziny goszczące, też potrzebuje dodatkowego czasu. Z kolei grupa pracująca nad opiekunkami do dzieci i działalnością burdelu chciałyby, żebyśmy wkroczyli już teraz – raczej dzisiaj niż jutro. Zakładam, że znajdę jakiś kompromis.

- Zakładasz? Czy to nie ty tutaj decydujesz?

- Nie całkiem. Zaangażowano w to dochodzenie tyle środków, że nie mogę lekceważyć względów ekonomicznych. A jeżeli nawet się na to zdecyduje, to kierownictwo nie omieszka wywierać na mnie presji.

Steenholt potarła górną wargę kciukiem i palcem wskazującym, zastanawiając się nad czymś przez chwilę, a następnie stwierdziła:

- Dziś mamy środę, czyli od teraz jakieś dodatkowe dziesięć do dwunastu dni, co oznacza poniedziałek szóstego czerwca, i wtedy zapuszkujesz tych, których należy zapuszkować. Co na to powiesz?

Simonsen zaakceptował jej propozycję, brzmiała całkiem rozsądnie. Prokuratorka obiecała potwierdzić ich umowę u przełożonych inspektora. Zaraz potem wstała, oznajmiając, że na nią już czas. Wychodząc, zatrzymała się przy ścianie z portretami mężczyzn, które najwyraźniej na swój sposób ją fascynowały.

- Tak, przykra sprawa - skomentowała Hrabianka. - Chodzą sobie wolni i mogą niszczyć kolejne kobiety.

Steenholt nie skomentowała, jedynie uprzedziła:

- Nie oczekujcie cudów, bo sprawy o sutenerstwo i przestępstwa gospodarcze są bardzo skomplikowane i ciągną się bardzo długo. A jeżeli do tego prostytutki i ich klienci nie będą chcieli zeznawać, a rzadko kiedy chcą, całe dochodzenie może się zakończyć bez większego sukcesu, to znaczy niewielką lub nawet żadną karą. I to w przypadku, jeżeli dopisze nam szczęście. Takie są niestety fakty.

Policjanci doskonale zdawali sobie z tego sprawę, o czym Simonsen zapewnił prokuratorkę w imieniu swoim i żony. Steenholt odparła coś niedosłyszalnie, cały czas przyglądając się zdjęciom mężczyzn, jakby miała problem, by się od nich oderwać.

- Znam wielu z nich - powiedziała z namysłem.

- To bez znaczenia - odparła Hrabianka. - Odpowiedzialność, etyka, moralność i zwykła ludzka przyzwoitość przestały ich obowiązywać. Tacy jak oni najczęściej wykpiwają się ze wszystkiego przy pełnej akceptacji społecznej. Dlatego mam w nosie, czy ich znasz - uzasadniła policjantka.

Wielka Bertha obróciła się twarzą do niej i posłała Hrabiance jeden ze swoich rzadkich uśmiechów. Wyglądała, jakby wpatrywała się w smakowity kawałek mięsa na swoim talerzu.

- Ja też - stwierdziła.

Rozdział 82

Hrabianka doskonale pamiętała, komu była winna przysługę, a kogo mogła o takową poprosić. Jednym słowem: doskonale orientowała się w aktualnym bilansie wzajemnych grzeczności. Na dodatek w ciągu ostatniego roku sprawowała pieczę nie tylko nad własnymi kontaktami, ale również nad znajomościami męża. Należało to rozumieć w ten sposób, że jeżeli Simonsen wyświadczył komuś przysługę, czuła się upoważniona do wyegzekwowania rewanżu, jeżeli zaistniała taka potrzeba. Uważała, że tak to powinno działać, gdy się prowadzi wspólne gospodarstwo. Nie ulegało też wątpliwości, że szef wydziału zabójstw wyświadczył Helmerowi Hammerowi ogromną przysługę, usuwając jego nazwisko z bazy klientów Jana Podowskiego. Inna kwestia, że złamał w ten sposób prawo, jednak gdyby na takich listach pojawiło się nazwisko sekretarza stanu, nie wyglądałoby to najlepiej, nawet jeśli była mowa tylko o wewnętrznym obiegu dokumentów w Komendzie Głównej. Hrabianka zadzwoniła do Hammera na numer prywatny i od razu przeszła do rzeczy:

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że wisisz Simonowi przysługę w ramach rewanżu za to, co dla ciebie zrobił w zeszłym tygodniu?

Sekretarz stanu nie próbował się od niczego wymigiwać i przyznał, że trudno temu zaprzeczyć.

- Możesz teraz rozmawiać? - zapytała.

W tym momencie nie bardzo mógł, ale zaproponował spotkanie, jeżeli oczywiście zechce przyjechać do miasta. Wymienił nazwę restauracji czynnej do północy. Obiecała się zjawić, chociaż niespecjalnie odpowiadała jej ta propozycja.

Trzy godziny później siedzieli każde z lampką białego wina w dyskretnym rogu niemal pustego lokalu. Oprócz nich - w drugim końcu sali - przebywało tam jeszcze tylko jedno starsze małżeństwo, które właśnie kończyło deser.

- Wyglądasz na zmęczonego - zauważyła z z troskaniem Hrabianka.

Na te słowa Hammer jeszcze bardziej zapadł się w siebie. Jego zawodowy wizerunek w żadnym razie nie powinien się kojarzyć ze zmęczeniem, jednak w ostatnim tygodniu sekretarz był wyjątkowo zajęty, nawet jak na jego własne standardy. Najpierw skinął głową, a po chwili wyjaśnił beznamiętnym głosem, który coraz częściej przebijał się w jego kontaktach z ludźmi:

- Tak, przydałoby mi się kilka dni wolnego, żeby nie powiedzieć prawdziwe, długie wakacje. Jednak jedyne, na co mogę obecnie liczyć, to kilka godzin przyzwoitego nocnego snu, dlatego przejdźmy do rzeczy, żebym mógł w miarę szybko wrócić do domu.

- Może zacznę od informacji, że nigdy nie miałeś przyjemności obcować z Nigeryjką zabitą w lesie Hanehoved. Jeżeli dobrze kojarzę, to Simon obiecał dać ci w tej sprawie znać.

Hammer podziękował i wyglądał, jakby mu użyło. Na moment obdarzył policjantkę tym swoim zwykłym uprzejmym uśmiechem, który miło było znowu zobaczyć.

- Oczekuję dwóch rzeczy - ciągnęła. - Po pierwsze mam przy sobie zdjęcie i nazwisko pewnej młodej Nigeryjki, o której chciałabym się jak najwięcej dowiedzieć. Jak trafiła do Danii, co jej się przydarzyło w Nigerii, gdzie dorastała, co z jej rodziną, ewentualnie coś na temat edukacji i tego typu informacje. Zanotowałam wszystkie pytania. Mam świadomość, że dzięki swoim wyjątkowym kontaktom możesz przekonać kogoś z naszej ambasady w Lagos do udzielenia nam takiej pomocy. Do listy załączyłam dwadzieścia tysięcy dolarów na ewentualne wydatki. Jeżeli okaże się, że po zbadaniu sprawy zostaną jakieś pieniądze, to ambasada przekaze je rodzinie dziewczyny, jeżeli takową posiada. W przeciwnym wypadku znajdzie jakąś rozsądną organizację. Nie potrzebuję rozliczenia, tylko rezultatów, i to możliwe jak najszybciej. Myślisz, że dasz radę się tym zająć?

- Tak, nie powinno być z tym większego problemu - potaknął Hammer. - A stolica Nigerii nazywa się Abudża, nie Lagos - pouczył ją. - Na dodatek Dania nie ma w tym kraju własnej placówki dyplomatycznej. Najbliższa znajduje się w Ghanie, a to kawałek drogi stamtąd. Ale o ile pamiętam, to Szwedzi mają tam swoją ambasadę, więc chyba... tak, powinienem móc to załatwić. Nie wiem, czy pieniądze okażą się konieczne, ale może pomogą, skoro sprawa jest pilna. Wezmę

je i zobaczymy. – Sięgnął po kopertę i schował ją do wewnętrznej kieszeni. – To była pierwsza rzecz, a jaka jest druga?

– Trzy zezwolenia na pobyt.

Potrzaskał głową, to było całkowicie niemożliwe. Nawet dla niego. A może zwłaszcza dla niego, bo chodziło o nad wyraz... zwyczajnie zbyt... politycznie drażliwy temat. Hrabianka próbowała go przekonywać, bo – jak sądziła – miała ku temu naprawdę istotne powody. Jeśli śledztwo miało przynieść wymierne rezultaty w postaci solidnej kary dla stręczycieli, policja musiała nawiązać współpracę z przynajmniej kilkoma afrykańskimi prostytutkami. Dlatego Hrabianka naciskała na możliwość zaproponowania kobietom zezwolenia na pobyt. Hammer upierał się przy swoim – tego nie dało się załatwić.

– Czyli nasi obywatele mogą wykorzystywać te kobiety miesiącami, podczas gdy służby publiczne w Danii przymykają na to oczy, jednak udzielenie trzem z nich zezwolenia na pobyt jest poza naszym zasięgiem? Dobrze rozumiem?

– Niestety tak.

– Jasne, przecież nietrudno sobie wyobrazić, jak nagle miliony młodych Afrykanek przyjeżdżają do nas, żeby upokorzeniem i cierpieniem zapłacić za prawo pobytu w naszym wspaniałym kraju. Czyli obawiamy się napływu imigrantów?

– Mniej więcej tak.

– No dobra, to może załatwisz chociaż jedno takie pozwolenie?

Wypił ostatni łyk wina i namyślał się przez chwilę.

– Może – odparł ostrożnie. – Nie chcę niczego obiecywać. Spróbuję, ale potem uznasz, że jesteśmy kwita.

Hrabianka pomyślała, że wcale tak nie będzie, bo właściwie nie oczekiwała od sekretarza stanu niczego, co wykraczałoby poza zwykłą ludzką przyzwoitość. Ale taka uczciwość – szczególnie w odniesieniu do tematów, o których rozmawiali – w ostatnim dziesięcioleciu zdecydowanie stanowiła w Królestwie Danii towar deficytowy. Funkcjonariuszka nie podzieliła się z Hammerem swoimi wnioskami i wściekała się o to na siebie przez całą drogę powrotną do Søllerød.

Rozdział 83

Policijni technicy ustalili, że ślady DNA znalezione w salonie zamordowanej Silje Esper w Karlslille zgadzają się z tymi zebranymi z jednej z kart zakupionych jako bilet wstępu do świata prostytutek Kariny Larsen. To oznaczało istotny przełom w śledztwie w sprawie śmierci niewidomej kobiety, którym kierował Arnold. I jakby tego było mało, na karcie wstępu znaleziono również dobrze zachowany odcisk kciuka, który znajdował się także w policyjnej bazie danych. Jutlandczyk nie potrafił powstrzymać radości i pospiesznie skierował się do biura swojego szefa.

Zastał tam Pedersena i dwóch jego kolegów, których nie znał. Przerwał im i tryskając humorem, opowiedział, z czym przyszedł, a rewelacje skończył podaniem nazwiska.

- Jimmy Heeger, trzydzieści sześć lat, z pokaźną kartoteką. Pchnięcie nożem, przemoc, pobicia, włamania, dwa napady powiązane z paserstwem - jednym słowem: dość przykry gość. Nie mogę się doczekać, aż przymknę tego palanta. Mam nadzieję, że już nigdy nie wyjdzie na wolność.

Pedersen i jego gości zdawali się podzielać radość funkcjonariusza, bo takiej masakry jak w Karlslille - to musieli przyznać - dawno nie widzieli.

- Wiesz, gdzie mieszka? - zapytał Pedersen.

- Nie wiem nic poza tym, co już wam powiedziałem. Po prostu musiałem się tym z kimś podzielić.

- Zadzwoń do Simona. Jeżeli nie odbierze, ustal, gdzie się podziewa. A jak będzie na jakimś spotkaniu, to go stamtąd wyciągnij.

Dwie godziny później Arnold wiedział już całkiem sporo o Jimmym Heegerze. Dziecko z rozbitej rodziny, mieszkanie z matką bez wykształcenia i przemocową, często zmieniającą partnerów. Spore problemy już w szkole podstawowej, potem pobyt w różnych ośrodkach wychowawczych dla młodocianych. Do tego masa wyroków

w zawieszeniu aż do zatrzaśnięcia się pułapki w 1994 roku, gdy zamknięto go na trzy lata za napad z bronią i brutalne pobicie. Potem było już tylko gorzej – jedno przestępstwo gonіło kolejne.

Jimmy Heeger wynajmował mieszkanie między stacją Valby Langgade a Akacieparken. Swego czasu był tu zameldowany, dopóki go nie wyrzucono jakieś półtora roku temu. Tylko takim adresem dysponowali. Arnold wysłał funkcjonariuszy, żeby albo znaleźli faceta, albo przynajmniej zdobyli o nim jakieś dodatkowe informacje. Pierwsze, co zdołano ustalić o domniemanym sprawcy, to że miał bzika na punkcie broni i był potencjalnie niebezpieczny. Arnold dowiedział się jeszcze, że Heeger przez lata próbował przyłączyć się do grupy rockersów Hells Angels, ale ci nie chcieli mieć z nim nic wspólnego. Uzasadnienie okazało się proste, a policji przekazał je jeden z informatorów mający bliskie kontakty z organizacją – facet zwykle był na haju. W sumie to nie było nic zaskakującego. Arnold zadzwonił do domu, żeby powiedzieć, że musi zostać dłużej w pracy. Nie potrafił dokładnie określić, jak długo, ale prawdopodobnie całą noc.

Pod wieczór kilku policjantów dostało wreszcie cynk, na który wszyscy czekali. Mężczyzna ukrywał się u swojej przyrodniej siostry w Tårnby na Amager. Wydała go dawna dziewczyna. Była mocno naćpana, a oprócz tego strasznie na niego wściekła, bo wisiał jej pieniądze. Odwiedziło ją dwóch sierżantów po cywilnemu, których wcześniej wypożyczono z okręgu Vestegnen Politi. Powiedzieli jej, że reprezentują Duńską Loterię i że Heeger wygrał na niej sporą kwotę i dlatego go szukają, przy czym mogą jej odpalić trzysta koron za dobrą wskazówkę. Uwierzyła w tę bajeczkę, sprawie zgarnęła banknoty i schowała je do kieszeni, a potem podała im adres na Amager niedaleko autostrady E20, biegnącej w kierunku lotniska Kastrup. Policjanci natychmiast zadzwonili na Komendę Główną, bo informacje od kobiety brzmiały wiarygodnie pomimo jej stanu. Arnold wysłał ich do Tårnby, nie mając pojęcia, gdzie to jest, i z poleceniem, by obserwowali adres, ale nie zatrzymywali podejrzanego. Mężczyzna był niebezpieczny, prawdopodobnie uzbrojony, więc mieli nie ryzykować.

Heeger siedział w knajpie. Właściwie robił to niemal bez przerwy od czasu, gdy został wyrzucony z pracy przez Lerchego po fatalnym wyjeździe do Karlslille. Na szczęście dostał pokaźną sumkę w ramach odprawy, jak to określił ten idiota z klasy wyższej. Tak jakby miał się nie zorientować, że chodziło głównie o to, by na zawsze trzymał się z daleka od Rungsted.

Heeger pił piwo machinalnie, bez przyjemności – picie już od dawna stało się zwykłym nawykiem, pozwalającym zdystansować się od rzeczywistości. Nadal tego potrzebował. Był pijany, chociaż właściwie wcale się tak nie czuł. Jeszcze niedawno przekonywał każdego, kto chciał go wysłuchać, że nie jest jakimś zwykłym baranem, którego można tak po prostu zaprowadzić na rzeź. Nie zdradził, kto zamierzał go zaszlachtować, ale jedno spojrzenie w jego przekrwione, błyszczące oczy wystarczyło, by nie drążyć tematu. Brak reakcji jeszcze bardziej go rozwścieczał, powtarzał tę swoją mantrę, aż w końcu ludzie – te chore gnojki – zaczęli go omijać szerokim łukiem. Zamówił kolejne piwo i wrócił myślami do tego, co zdarzyło się w Karlslille. Robił to już wielokrotnie, zwłaszcza gdy alkohol nie przynosił mu ulgi.

Ogarnął go wtedy amok, kompletnie stracił nad sobą kontrolę, jakby doszło do jakiegoś zwarcia w jego mózgu, za które – jak sam uważał – nie mógł ponosić odpowiedzialności. Miał wrażenie, że w tym czasie coś się w nim otworzyło, coś, o czym wcześniej nie miał pojęcia, zapewniając mu tym samym kilka koszmarnych, a jednocześnie cudownych godzin. Po tym, jak wpadł na pomysł z wykorzystaniem imadła, nie potrafił się już zatrzymać. Delektował się jej krzykiem, bólem, nie wspominając o władzy nad nią. Po wszystkim nie był już z siebie taki dumny, a w rzeczywistości wolałby o wszystkim zapomnieć. To jednak było trudne, żeby nie powiedzieć niemożliwe. Nadal doskonale pamiętał radość, którą dało mu sianie grozy, i miał ochotę ponownie zaznać tego uczucia.

Funkcjonariusze siedzący w cywilnym fordzie ka, zaparkowanym po przekątnej od ulicy Bredagerstien 11 w Tårnby dyskutowali przez chwilę, czy mimo zakazu Arnolda nie powinni teraz wysiąść i zatrzymać Heegera, gdy ten wyraźnie zawiany, choć nie pijany w sztok, pojawił się o drugiej w nocy na przeciwległym chodniku. Zdecydowali się jednak

poczekać, chociaż zapewne mogliby go bez problemu zatrzymać. Zamiast tego skontaktowali się z sierżantem i oświadczyli:

- Jest już na miejscu.

Policjant zapadł w płytką drzemkę przy swoim biurku, ale błyskawicznie oprzytomniał, gdy odebrał wiadomość od funkcjonariuszy. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami natychmiast zadzwonił do swojego przełożonego. Minęła dłuższa chwila, zanim szef wydziału zabójstw odebrał połączenie. Gdy to wreszcie nastąpiło, Jutlandczyk powitał go tymi samymi słowami, którymi go obudzono:

- Jest już na miejscu. Bredagerstien jedenaście w Tårnby, właśnie wszedł do mieszkania.

Z żalem przyjął rozkaz Simonsena:

- Klavs, użyj jednostki specjalnej, sam trzymaj się na uboczu. Niech młodzi wezmą się do roboty, zostali do tego wyszkoleni. Dojadę za jakąś godzinę, ale nie zamierzam przejmować sprawy, bo świetnie sobie radzisz.

Arnold zastosował się do polecenia. Ustalił z szefem grupy specjalnej, że najlepiej będzie wejść do mieszkania o piątej nad ranem. To pozwoli zebrać niezbędnych ludzi, a poza tym należało założyć, że podejrzany wciąż będzie o tej porze spał.

Rozdział 84

Szef grupy specjalnej od początku nie ukrywał, że to będzie jego operacja. Przywitał się z Jutlandczykiem nieco szorstko i polecił mu pozostać na miejscu, obiecując, że za kwadrans dostarczy podejrzanego. Jego grupa składała się z czterech samochodów i jedenastu ludzi - ekspertów od takich właśnie zadań. Wszyscy byli uzbrojeni w standardową policyjną broń - pistolety Heckler & Koch USP 9 mm - i zachowywali kamienny spokój. Grupa czekała na ulicy, jakieś sto metrów od mieszkania siostry Jimmy'ego Heegera. Lokal zajmował pierwsze piętro budynku, tuż nad zamkniętą pizzerią, a do głównego wejścia prowadziły drewniane schody. Szefowi grupy udało się ustalić, że w lokalu poza kuchnią i łazienką znajduje się pojedynczy pokój oraz salon z balkonem wychodzącym na trawnik znajdujący się na tyłach budynku. Przedstawił swoim ludziom plan działania. Co prawda analizowali go już wcześniej, ale dla pewności zrobił to ponownie, żeby przed wkroczeniem do akcji wszystko było jasne. Po chwili ruszyli w kierunku wyznaczonego celu, a wtedy Arnold zakradł się i przyłączył do dwóch policjantów, którzy mieli dyżurować przy balkonie. Gdy niedługo potem wyważono drzwi, do uszu sierżanta doszedł głośny huk.

Heeger obudził się pod wpływem tego huku i błyskawicznie zeskoczył z sofy, na której spał. Natychmiast zdał sobie sprawę, co się dzieje, świadomy tego, że z drzwiami do salonu już im tak łatwo nie pójdzie. Obecny chłopak jego siostry zamocował po obu stronach ościeżnicy, w rogach futryny, łącznie osiem haków śrubowych, do których z obu stron można było przytwierdzić nylonową siatkę. Stanowiła skuteczną przeszkodę, gdy nieproszeni goście próbowali się dostać do dużego pokoju. Właścicielka mieszkania zyskiwała tym sposobem dodatkowy czas, by móc zadzwonić po policję, kiedy jej eksmałżonek usiłował włamać się do środka, bo nabrał ochoty, aby jej przyłożyć, co zdarzało mu się nader często. Kiedy Heeger parę godzin temu wrócił do domu,

też naciągnął siatkę, bo przecież nigdy nic nie wiadomo. Potem zmęczony rzucił się na sofę i zapadł w sen.

Heeger kopnął jednego z funkcjonariuszy dyżurujących na zewnątrz. Policjant ukrył się pod balkonem, więc nie było go widać z okna salonu. Wszystko potoczyło się niezwykle szybko, a na dodatek nad wyraz pechowo i nawet trudno mu było potem robić z tego powodu wyrzuty. Z pewnością nie był nieostrożny. Mimo to upadł na trawę, w przeciwieństwie do Heegera, który dla odmiany nadspodziewanie zwinnie wylądował na nogach. Wyprostował się i trzymając w dłoni broń, wycelował lufę w głowę gliniarza, gotowy, by go zlikwidować.

Arnold oddał trzy strzały w kierunku zbiega, dwa w plecy między łopatki, a trzeci w kark mężczyzny. Policjant spod balkonu szybko stanął na nogi i skierował wzrok na rannego, którego ciało drżało w konwulsyjnych skurczach, by po chwili znieruchomieć.

- Szykuje się awantura - zauważył funkcjonariusz rzeczowym tonem.

Rozdział 85

Benedikte siedziała w swoim nowiużeńskim samochodzie – srebrnym citroënie C5, zaparkowanym przy niedawno nabytym mieszkaniu przy Klostergade, i niecierpliwie wypatrywała Henrika, który kończył dzisiaj wcześniej pracę i zmierzał już do domu. Było wpół do dwunastej, słońce szczerze grzało, jednak dzielnica sprawiała wrażenie zaskakująco cichej, jakby goście, którzy zazwyczaj w porze lunchu odwiedzali tutejsze liczne restauracje, nie mogli znieść panującego upału i postanowili pozostać w swoich mieszkaniach. Tuż obok niej z brzękiem przeleciała pszczoła, kierując się zygzakiem w stronę ulicy w poszukiwaniu kwietników lub doniczek z kwiatami na balkonach. Dziewczyna machnęła kilkakrotnie dłonią przez otwarte okno, żeby odgonić owada. Kilka budynków dalej zatrąbił klakson, ale ledwo zarejestrowała sygnał. Wyglądała na zestresowaną, co chwilę rozglądała się to w jedną, to w drugą stronę, jakby jej nerwowe ruchy miały przyspieszyć powrót Henrika do domu.

Dzwoniła do niego już dwukrotnie, żeby spytać, gdzie się podziewa, ale chłopak nie odbierał. „Cześć, tu Henrik. Nie mogę teraz...” Poirytowana przerwała połączenie i stwierdziła, że z pewnością jest już w drodze. Uznała, że w gruncie rzeczy to powinien być dobry znak, a jednak zrobiła się jeszcze bardziej niecierpliwa i zaczęła go pospieszać krótkimi, dość głupimi komendami.

- Henriku, chodź tu, do cholery – powtarzała, żeby za chwilę dodać: - No, już powinienes tu być.

Od czasu do czasu ocierała wierzchem dłoni pot z czoła i przeklinała słońce. Pogrzebała w torebce w poszukiwaniu chusteczek higienicznych, ale niczego takiego nie znalazła. W końcu usłyszała donośne buczenie silnika motocykla, który chwilę potem skręcił w jej uliczkę. Wyciągnęła dłoń przez okno, by przykuć uwagę kierowcy. Podjechał do niej, zdjął kask i zapytał zdumiony:

- Co się tak wystroiłaś? Wybierasz się gdzieś?

Miała na sobie prostą jedwabną bluzkę w kolorze lawendy i obcisłą ołówkową, dwuwarstwową spódnicę. Spodnią warstwę wykonano z białego jedwabiu, wierzchnią z niemal przezroczystej koronki w kolorze kości słoniowej. Na szyi zawiesiła naszyjnik z pereł, który świetnie współgrał z kolczykami w kształcie łezki.

- Tak, wyjeżdżamy, zaparkuj motocykl i wskakuj do środka - odpowiedziała tylko na drugie pytanie.

Gdy wsiadł, przyjrzał jej się uważniej.

- Wyglądasz na spiętą. Czy coś się stało?

- Tak, żebyś wiedział. Ale jak się stąd wreszcie ruszymy, to wszystko będzie wyglądać inaczej.

- Dokąd jedziemy?

Przyłapała go na czułym spojrzeniu, już dużo bardziej odprężona.

- Henriku, ciesz się pogodą.

Ruszyła Østerbrogade, a gdy po chwili odbiła w Ryvangs Allé, znów była sobą.

- Svend i Karina opuścili Rungsted i zapadli się pod ziemię, czy jak to nazwać. I nawet po sobie nie posprząтали, to znaczy nie pozamykali spraw z dziwkami i pokerzystami. Fabricius jest wściekły, chociaż próbuje trzymać fason. Poza tym rodzice są poszukiwani, widziałam informację na stronie internetowej policji w Kopenhadze. Svend wysłał mi maila na adres, który znamy tylko my oboje, i mam się z nim spotkać o osiemnastej. Wyjeżdżają z kraju, a ja obiecałam im w tym pomóc.

Krag nie wydawał się szczególnie poruszony. Interesowały go raczej względy praktyczne.

- A co to dla nas oznacza?

- Sama do końca nie wiem, być może to nawet dobrze, ale są też inne rzeczy.

Zignorował jej wypowiedź, a zamiast tego dodał:

- Nie pojmuję, że chcesz pomóc tej głupiemu łajdakowi po tym, co ci zrobił... co nam zrobił, bo przecież mnie również.

- A wieczorem o dwudziestej pierwszej zjawi się Bjarne - dokończyła. - To będzie dla nas decydująca rozmowa.

- Chyba masz na myśli mnie.

- Tak, przede wszystkim ciebie, ale myślisz, że jest mi wszystko jedno, co się z tobą stanie?

Jej głos znów zabrzmiał miękko i Henrik to ucieszyło. Zwykle tego typu uwagi wypowiadała ostro, jakby chciała zdystansować się od swoich słów, które w gruncie rzeczy przeczyły temu zamiarowi. Może właśnie dlatego tak się wściekała.

- Zdaję sobie sprawę, że w ten czy inny sposób przyjdzie mi zapłacić za to, co zrobiłem - oznajmił rzeczowo. - Od dawna o tym wiedziałem, mimo wszystko niczego nie żałuję, mimo że robiłem rzeczy, których robić nie powinienem.

Przejechali kilka kolejnych kilometrów w milczeniu, każde z nich zastanawiało się nad swoimi sprawami.

- Czy to nie ty zawsze twierdzisz, że należy cieszyć się chwilą? - zapytała nagle Lerche-Larsen.

- Owszem, jeżeli to możliwe. Mówię to najczęściej wtedy, gdy nie chcę za wiele myśleć.

- W takim razie zróbmy sobie parę godzin przerwy.

- Jak dla mnie okej. Czy to dlatego nie chcesz mi zdradzić, dokąd się wybieramy?

- Tak, właśnie dlatego.

Zatrzymała się na Vangede Bygade przed kwiaciarnią, wyjęła z portmonetki tysiąckoronowy banknot i mu go wręczyła.

- Wejdz do środka i kup najpiękniejszy bukiet.

- Ja?! Nie znam się na kwiatach. Jakie mam kupić?

- Henriku, poproś o najładniejsze. Najlepsze, jakie tam mają.

Znów poczuł się niepewnie.

- Ale nie sądziłem, że....

Nadal potrafiła wprawić go w zakłopotanie, chociaż ostatnio rzadko korzystała z tej umiejętności, a jeżeli nawet, to robiła to z zawadiacką miną, jakby nie traktowała sprawy zbyt poważnie. Przekrzywiła głowę i posłała mu nieśmiały uśmiech. W odpowiedzi pokazał jej środkowy palec i zaśmiał się z samego siebie, bo przecież nie jest idiotą.

Wrócił z pięknym bukietem białych lilii i różowych róż, niepotrzebnie dodając, że skorzystał z pomocy sprzedawczyni.

- Jeszcze się nie domyśliłeś, ty głupolu? - zapytała.

Niestety nic nie przychodziło mu do głowy – a może wybierali się do kogoś z wizytą?

– Naprawdę jesteś mało rozgarnięty – podsumowała.

– Tak już mam.

Pięć minut później dotarli do celu. Zatrzymali się przed willą z żółtej cegły. Jedyne, co ją odróżniało od przyległych domostw, to pięć wyznaczonych z przodu budynku miejsc parkingowych. Lerche-Larsen zaparkowała pośrodku, miała wybór, bo wszystkie były wolne. Wsiadła z samochodu, wyjęła z bagażnika jakąś reklamówkę, po czym podeszła do drzwi wejściowych i krótko zadzwoniła. Krag pobiegł za nią, w pośpiechu nie zdążył przeliterować szyldu przy drzwiach.

Zostali serdecznie przyjęci przez kobietę pod sześćdziesiątkę o pomarszczonej twarzy i jasnym, uprzejmym spojrzeniu.

– Benedikte! Co za cudowna niespodzianka. Jak się miewasz?

Kiedy się już serdecznie przywitały, starsza kobieta zaczęła dociekać:

– A kim jest ten piękny, młody mężczyzna?

– To mój chłopak, babciu. Chcielibyśmy, żebyś udzieliła nam ślubu. Teraz, natychmiast.

Henrik upuścił bukiet.

Babcia Benedikte zaprowadziła ich do biura, w którym siedziała tyczkowata kobieta wyglądająca na trzydzieści lat i pisała na komputerze. Przedstawiła się jako kościelna, uściśnęła im dłonie, a potem wróciła do pracy, jakby chciała zaznaczyć, by się nią nie przejmowali, bo niczego nie będzie słyszeć ani widzieć.

– Nic się nie zmieniłaś, moja droga. – Pastorka potrząsnęła głową. – Zawsze gnałaś przed siebie, nie oglądając się wstecz. Jednak małżeństwo to poważna decyzja i musicie mieć naprawdę ważny powód, żebym mogła błyskawicznie udzielić wam ślubu.

– Babciu, a jaki powód byłby najlepszy? Ten wybierzemy.

– Najlepszy to ciężka, zagrażająca życiu choroba, a wy oboje wyglądacie na całkowicie zdrowych.

– To dlatego, że go kocham i gdy będziemy małżeństwem, to nie będę zmuszona zeznawać przeciwko niemu. W obecnej sytuacji mogliby

mnie do tego nakłaniać, a to byłoby niesprawiedliwe. Nikt nie powinien musieć pogrążyć kogoś, kogo się kocha.

Zapadła cisza, a Henrik pomyślał, że wydaje się jeszcze głębsza niż dotychczas, dopiero po chwili zorientował się, że kościelna przestała pisać na maszynie. Pastorka długo się zastanawiała i minęła całą wieczność, zanim zwróciła się do Kraga:

- Piękno jest zwodnicze, a uroda to próżność, jak powiada poeta. Kochasz ją, młody przyjacielu? Tak naprawdę, nie ze względu na jej urodę?

Henrik nie miał najmniejszych wątpliwości. Oczywiście, że ją kochał.

- Mogę wystarać się o wstępną zgodę z gminy, a dokumenty będą gotowe w ciągu pół godziny. Potem doślą akt ślubu - oświadczyła kościelna. - Jaki mam podać powód?

- Ciężka, zagrażająca życiu choroba. Kiedyś mnie już w ten sposób nabrano, więc teraz będę mieć okazję, żeby się odegrać - odparła starsza pani. A potem zwróciła się do Benedikte: - Zgadzam się z tobą, moja droga. Nie należy pogrążyć kogoś, kogo się kocha. Twoje uzasadnienie nie jest pozbawione logiki. Wydaje mi się jednak, że mój biskup lepiej przyjmie ten argument z chorobą. Spróbuję zaraz do niego zadzwonić. A co masz w reklamówce?

- Szampana i obrączki oraz pudełko czekoladek dla was. Jest tu gdzieś toaleta, w której mogłabym się trochę przygotować?

Rozdział 86

Benedikte spotkała się z Lerchem w okolicach jeziora Furesø, na parkingu przed zamkiem Næsseslottet – dawnej eleganckiej letniej rezydencji Frédérica de Conincka z końca XVIII wieku. Pogoda nadal dopisywała, słońce grzało, ale mimo to żadne z nich nie miało ochoty na spacer po pięknym parku zamkowym. Benedikte wsiadła do samochodu ojca – jego ulubionego audi R8.

Nie trzeba było zajmować się psychologią, żeby dostrzec, że Lerche jest mocno zestresowanym mężczyzną. Wyglądał okropnie – z powodu braku snu i zmartwień, z którymi nie potrafił sobie poradzić, miał podkrążone oczy. Jego ochryply głos sugerował, że niedawno skończył pić. Przywitali się, niespecjalnie serdecznie, ale też niezbyt wrogo – można by rzec, że dość rzeczowo.

– Opuściliście z mamą Rungsted – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

Lerche potwierdził i dodał, że tymczasowo nie zamierzają tam wracać, jednak sam zdawał sobie sprawę z tego, że miał na myśli „nigdy”. Wręczył córce grubą kopertę, wyjaśniając, że zawiera dokumenty, które upoważniają ją do przejęcia domu, jego wyposażenia, dwóch samochodów, domku letniskowego w Dronningmølle oraz wielu innych rzeczy. Uprzedził przy tym, że będzie musiała się trochę poprzepychać z policją skarbową, czyli prokuraturą okręgową zajmującą się przestępstwami gospodarczymi. W związku z tym kopercie znajdzie również kontakt do dwóch prawników – szanowanych starszych współwłaścicieli kancelarii. Zostali opłaceni z góry, więc o to nie trzeba się martwić. Potem przeszedł do kolejnych spraw, przez cały czas odwołując się do dokumentów w kopercie, a Benedikte ograniczyła się do pobieżnego oglądania papierów, potakiwania i jednosylabowych odpowiedzi. Nie widziała powodu do większej dyskusji. Gdy ojciec skończył, przejęła inicjatywę:

– Rozumiem, że nie rozmawiałeś z Fabriciusem, chociaż wasz interes wisi teraz na włosku.

– Nie, nie rozmawiałem z nim.

- Dzwonił do mnie, nie brzmiał na zadowolonego, tato. Wydaje mi się, że was szuka, chociaż nie powiedział tego wprost. Gdybym była na waszym miejscu, zadbałabym o to, żeby tak pozostało.

- A myślisz, że co my robimy? - warknął Lerche.

- O ile wiem, policja też chętnie by sobie z wami porozmawiała. Mówiono o was w wiadomościach o szesnastej, że nie wspomnę już o przedpołudniówkach. Zresztą pewnie sam widziałeś.

- Naprawdę cię to bawi?

- Tak, trochę. Gdzie teraz mieszkacie?

- Ta informacja na nic ci się nie przyda. Przygotowałam dla nas trasę, o którą cię prosiłem? Musimy się wydostać z kraju.

Tłumaczył jej już wcześniej, że tam gdzie przebywa, nie ma dostępu do internetu ani do żadnych innych źródeł informacji, ale oboje wiedzieli, że to kłamstwo. Nie tylko dlatego, że napisał jej o tym w mailu. Prawda była taka, że znakomicie sobie radził za biurkiem, gdy pracował nad statystykami pokerzystów, ale gdy musiał wyjść poza ustalony schemat, przypominał dziecko we mgle. W takich okolicznościach jego talent do planowania i przewidywania wyraźnie go zawodził. Benedikte doskonale zdawała sobie z tego sprawę, a ponadto jej matka nie byłaby w stanie odszukać drogi od Skagerrak do Kattegat, nawet gdyby była prosta jak drut.

- Macie jakieś paszporty na inne nazwisko? - zapytała.

Potaknął, mieli. I gdyby tylko udało im się dotrzeć do Londynu czy Paryża, to stamtąd daliby sobie już radę. Nie powiedział, dokąd się wybierają, i wcale tego nie oczekiwała.

- Masz pieniądze? - zapytała. - Jeżeli nie, to ja mam.

Miał mnóstwo, ale miło z jej strony, że zapytała. Rozwinęła przed nim mapę.

- Musicie unikać mostów nad Sundem i Wielkim Bełtem, chyba że wybierzeć podróż pociągiem. Zakładam jednak, że nie. W takim wypadku rekomendowałabym zamianę naszych samochodów.

Lerche przyznał jej rację. Myślał o tym już wcześniej. Benedikte przystąpiła do omawiania szczegółów trasy:

- Pojedziecie w stronę Roskilde, Holbæk i Vig do Sjællands Odde, ale będziecie się trzymać bocznych dróg i unikać głównych. Wybierzecie szybki prom z Odder do Aarhus, ostatni odpływa

o dwudziestej pierwszej, i dotrzecie na miejsce za godzinę, to znaczy o dwudziestej drugiej, a wtedy zacznie się już ściemniać. Nadal trzymając się bocznych dróg, skierujecie się na Viborg i Skive i dojedziecie do mostu Sallingsundbroen, prowadzącego na Mors. Potem przetniecie wyspę i dotrzecie do Vildsundsbroen, a następnie do Thy, skąd odbijecie do Thisted. Końcówka trasy może się wydawać nieco uciążliwa, więc na wszelki wypadek narysowałam ją na mapie. Zarezerwowałam również małe wakacyjne mieszkanie w dyskretnym miejscu, żeby nie powiedzieć na kompletnym pustkowiu, w pobliżu miejscowości Vigsø nad zatoką Tannis. Właściciel został uprzedzony, że dotrzecie późno, nie będzie zadawał pytań, tylko wręczy wam klucze. Nie używajcie nawigacji, bo nie wiem, co potrafi wysledzić policja ani jakie dodatkowe wyposażenie ma mój samochód. Zostaniecie w mieszkaniu do kolejnego popołudnia, a potem wasz gospodarz zabierze was do Hanstholm. Tam kupicie dwa bilety na prom do Bergen, który odpływa o dziewiętnastej, i dotrzecie do Norwegii dobę później. Weźcie taksówkę na lotnisko i wybierzcie jakiś lot do Londynu - odbywają się kilka razy dziennie. Udanej podróży!

Gdy jej podziękował, odniosła wrażenie, że zrobił to szczerze, a po chwili dodał:

- Nie bój się, jak tylko dotrzemy do Londynu, to już dalej sobie poradzimy. Planowaliśmy to od lat. Napiszę do ciebie, jak już będziemy na miejscu.

- Nie boję się.

Wszystko zostało już ustalone, a jednak przez pewien czas nie ruszał się z miejsca. Jakby chciał coś jeszcze powiedzieć.

- To przez Jimmy'ego Heegera - odezwał się ostrożnie. - Przez tego idiotę i to, czego dopuścił się w Karlslille. Powinienem być cię posłuchać i zabrać cię na rozmowę rekrutacyjną, kiedy go zatrudniałem. Może wtedy do niczego takiego by nie doszło.

Podawała mu kluczyki.

- Pozdrów mamę, tato.

Rozdział 87

- Tę łatwiejszą rozmowę mam za sobą. - Lerche-Larsen nawiązywała oczywiście do spotkania z ojcem. Wspomniała o nim już dwa razy.

- Skoro tak twierdzisz - odparł Henrik. - Denerwujesz się?

- Zdecydowanie i ty też powinienesz. Która godzina?

Henrik się roześmiał.

- Benedikte, przecież masz zegarek.

Nie denerwował się, był tylko lekko zaintrygowany. W ostatnim tygodniu przydarzyło mu się tyle miłych rzeczy. Miał zostać ojcem, zamieszkali razem, pobrali się, a nawet Ida, to znaczy Svend Lerche, nie będzie ich już więcej nękał. Być może zostanie zgarnięty przez gliniarzy, pewnie do tego dojdzie. Miał teraz Benedikte i był pewny, że kiedy wyjdzie na wolność, będą żyć razem jak rodzina. Dostanie też prawo do odwiedzin, a w duńskich więzieniach nie przetrzymuje się ludzi w nieludzkich warunkach. W gruncie rzeczy nie musiał się więc obawiać. A Fabricius? Przecież Henrik osobiście w żaden sposób mu nie dokuczył, ale czas pokaże. Przesunął kciukiem po obrączce - zwykłej złotej z trzema małymi diamentkami, dokładnie takiej, jaką sam by wybrał, gdyby było go stać. I pomyśleć, że teraz błyszczała na jego palcu, a do tego jeszcze miał taką żonę.

- Skąd wiedziałaś, że obrączka będzie pasować?

Rozległ się dzwonek do drzwi. Podskoczył. Już przyszedł.

Młodzi małżonkowie złożyli zakupiony stół, a Benedikte nakryła go skromnie, stawiając na nim zimną wodę mineralną, dzbanek mrożonej herbaty i miseczkę orzeszków ziemnych. Ustawiła na nim również wazon ze ślubną wiązką, przesuwając go na róg, żeby siedząc przy stole, mogli się widzieć. W pozostałej części mieszkania nadal panował jeden wielki bałagan - wszędzie walały się kartony do przeprowadzki oraz sterty mebli. Miną tygodnie, zanim zdołają doprowadzić lokal do porządku.

Wyraźnie było widać, że Fabricius nie jest w nastroju do żartów. Przywitał się z nimi powściągliwie i choć dostrzegł obrączki na ich palcach i najpewniej domyślił się, co się zdarzyło, w żaden sposób tego nie skomentował. Zasiadł u szczytu stołu, zignorował napoje, ale sięgnął po garść orzeszków. Gdy młodzi zajęli miejsca po obu jego stronach, ostrzegł ich złowieszczo:

- Wystarczy jedno kłamstwo i będzie po wszystkim.

Benedikte uśmiechnęła się do niego - wydawała się zrelaksowana i naturalna, co było nieprawdopodobnym wyczynem, jeśli się wzięło pod uwagę jej wcześniejsze zdenerwowanie.

- Bjarne, dlaczego mielibyśmy cię okłamywać? - zapytała. - Nic nam z tego nie przyjdzie.

Gość jednak nie dał się udobruchać, bo odparł chłodno:

- No właśnie, dlaczego mielibyście kłamać? - Potem wskazał głową w stronę Kraga i zażądał: - Opowiedz mi o zamieszaniu z tym waszym szantażystą, czy jak go tam nazwać.

Henrik zerknął z ukosa na małżonkę, jakby oczekiwał od niej zgody, zupełnie nie kojarząc, że to właśnie ona musiała poinformować ich gościa o całym zajściu. Fabricius trzasnął płaską dłonią w stół na tyle mocno, że aż zadrżało szkło.

- Uważaj! - Najwyraźniej to on tutaj rozdawał karty, a nie Benedikte. - No, opowiadaj - polecił Kragowi.

Henrik zaczął opowieść - spokojnie i krok po kroku. W zasadzie przedstawił całkiem spójną historię zawierającą wszystkie niezbędne elementy: streścił sprawę zdjęcia, pieniędzy, które musieli wpłacić, telefonów z syntetycznym głosem oraz czterech zadań, jak je nazwał. Na koniec dodał, w jaki sposób się zorientowali, że za wszystkim stał Svend Lerche. Fabricius słuchał uważnie, nie przerywając, i żadne z nich nie potrafiło się domyślić, co o tym wszystkim sądzi. Gdy Krag skończył opowiadać, gość skupił się tylko na jednym pytaniu:

- Ci młodzi ludzie ze stacji Skovbrynet - czemu to miało służyć?

Krag nie umiał odpowiedzieć, zrobił tylko to, co mu kazano.

- Ja wiem - odezwała się ostrożnie Benedikte. Nie chciała się za bardzo wtrącać w rozmowę bez zgody Fabriciusa.

- W takim razie wyjaśnij - przyzwolił ich gość.

- Jeden z tych, którzy oberwali, to syn faceta ze skarbówki, który nasłał na Svenda policję.

Fabricius uderzył się otwartą dłońią w głowę, ale poza tym w żaden inny sposób nie skomentował szaleństwa Lerchego.

- A te głupoty związane z wdową po Janie? Wiesz coś na ten temat? - zwrócił się ponownie do Benedikte.

- Ojciec twierdzi, że to był błąd. Temu idiotcie, zastrzelonemu na Amager, najwyraźniej kompletnie wtedy odbiło. Wydaje mi się, że Svend mówi prawdę, nie dał przyzwolenia na to, co się tam stało. To byłoby zresztą zupełnie do niego niepodobne. Chodziło mu głównie o pendrive'a należącego do Jana, o nic innego.

- Ale go nie zdobył?

- Nie, nie udało mu się. Myślę, że jest w rękach gliniarzy, ale to tylko przypuszczenia.

- Twierdzisz, że to do niego niepodobne, ale okazuje się, że potrafi wysłać własną córkę na nagranie filmu pornograficznego, nie wspominając już o tej aferze z ciężarówką...

- W tym przypadku chodziło o coś osobistego, o emocje, a to co innego.

Jej słowa zabrzmiały, jakby broniła ojca. Gdy je wypowiadała, nie wydawała się choćby w najmniejszym stopniu poruszona, mimo że Svend ze swoimi emocjami nieustannie dokuczał właśnie jej, a nawet usiłował ją zniszczyć. Nie widać było po niej wzburzenia, gdy próbowała rzeczowo podsumować sytuację:

- Większość ludzi jednocześnie kocha i nienawidzi swoich rodziców, a ja zawsze czułam wyłącznie nienawiść.

Fabricius nalał sobie mrożonej herbaty i oboje zauważyli, że się namyśla.

- Pytanie brzmi, co ja mam, do cholery, z wami teraz począć. Może sami macie jakiś pomysł?

Ostatnia uwaga została okraszona ironią, ale Krag najwyraźniej jej nie wyczuł.

- Myślę, że wyląduję w więzieniu, ale nie jest mi specjalnie przykro z tego powodu. Wyjdę, będę miał czystą kartę i zacznę wszystko od nowa.

Tak to postrzegał. Gdy człowiek odbył zasłużoną karę, mógł się czuć oczyszczony z winy, bo zapłacił za swoje czyny. Zupełnie nie brał pod uwagę, że ich gość miał zupełnie inne poglądy na ten temat i gdyby zdecydował się go ukarać, to wyrok miałby zapewne bardziej ostateczny charakter. Benedikte w mig to dostrzegła i błyskawicznie stanęła w obronie męża:

- Ta dziewczyna z Vallensbæk Landsby leży w centrum urazowym Szpitala Krajowego, ale przeżyje. Zakładam, że Henrik dostanie sześć, siedem lat, może osiem, jeżeli będzie miał pecha. A gdy już się przyzna do winy, sprawa ucichnie i w żaden sposób to na ciebie nie wpłynie. Z kolei ja mogę odbudować twoje... nasze interesy, przecież wiesz, że potrafię. Wszystko może się jeszcze kręcić lepiej niż do tej pory.

- Potrafisz i tak się stanie. Ale twoim zdaniem, jak szybko Henrik puści parę z gęby podczas przesłuchania? Pamiętaj, że sprawa nabrała politycznego wymiaru. Mówi się o stosowaniu terroru, a na to jest kilka bardzo przykrych paragrafów, które dają policji specjalne uprawnienia. Białe rękawiczki nie wchodzą tu w grę, możesz być tego pewna.

Mówił do niej, jakby jej męża nie było przy tej rozmowie. Nagle wpadł na pewien pomysł. Ponownie zwrócił się do Kraga.

- Henriku, spójrz na mnie. - Gdy ten wykonał polecenia, Fabricius przytrzymał jego spojrzenie i powiedział wolno: - Jeżeli mnie teraz okłamiesz, nie dożyjesz jutra. Powiedz mi: czy Benedikte była z wami, kiedy wraz z Janem zabiliście tę murzyńską dziwkę w lesie Hanehoved?

Świat zadrżał w posadach, Benedikte poczuła niekontrolowane drganie w okolicach prawego oka, ale była zbyt spięta, żeby się tym przejąć. Fabricius pochylił się złowieszczco nad stołem i zmrużył stalowoszare oczy.

- Nie, nie było jej z nami.

Miał poczucie, że od zadanego pytania minęły wieki, ale w rzeczywistości odpowiedział niemal od razu.

- Na pewno mnie nie okłamujesz?

- Nie, nie kłamie. Byliśmy tam tylko Jan i ja.

Fabricius się roześmiał, poklepał Kraga przyjacielsko po plecach i odezwał się pojednawczo:

- Muszę przyznać, przyjacielu, że nie brakuje ci odwagi. Zdecydowałeś się na kłamstwo, nie spodziewałem się, że masz takie

jaja. Ja jednak doskonale wiem, że była tam z wami, bo już dawno temu sama mi się do tego przyznała. Podobnie jak Jan. Ale może gliniarzom nie pójdzie z tobą tak łatwo, jak pierwotnie zakładałem.

I właśnie wtedy, dokładnie w tamtym momencie, Krag uratował swoje życie. Nie dał się porwać wybuchowi śmiechu, a zamiast tego zaoponował:

- Nie, nie było jej tam. Nie było z nami Benedikte.

Fabricius założył dłonie za głowę, podrapał się kciukiem w kark i namyślał przez chwilę.

- W porządku, Benedikte. Może z tobą zostać.

Dziewczyna głęboko odetchnęła. Było po niej wyraźnie widać, że pozbywa się wstrzymywanego dotąd powietrza.

- Czy wszystko w porządku? - upewnił się Krag.

Benedikte i Fabricius wymienili spojrzenia i oboje, mimo powagi sytuacji, parsknęli krótkim śmiechem. To był cały komentarz do reakcji tego niezbyt rozgarniętego uczestnika rozmowy.

- Tak, wszystko w porządku - zapewnił Fabricius.

Twierdzenie, że atmosfera się rozluźniła, byłoby grubą przesadą, ale przez moment napięcie nieco zelżało. Fabricius zdecydował się skomentować kwiaty. Podobały mu się lilie, natomiast róże uznał za kiepskie, genetycznie modyfikowane badziewie, które nie przeżyłoby poza szklarnią. Benedikte zaproponowała mu kieliszek czerwonego wina, bo wcześniej zakupiła butelkę dobrego trunku z okazji jego wizyty. Najpierw odmówił, potem się zawahał, aż w końcu jednak się zdecydował. Krag znalazł w jednym z kartonów kieliszki, a potem za pomocą śruby i szczypiec odkorkował butelkę. Lerche-Larsen irytowała myśl, że wcześniej nie przygotowała się na tę okoliczność.

Fabricius nie przestawał zadawać nieprzyjemnych pytań. Jedno z nich skierował właśnie do niej:

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś o tych waszych idiotycznych zadaniach?

- Obawiałam się, że zlikwidujesz nas, aby rozwiązać problem - odparła mu prosto z mostu, tak jak lubił.

Rozumiał jej punkt widzenia, bo oczywiście istniało taka możliwość, może nawet nie taka mało prawdopodobna. Upił łyk wina, pochwalił je, po czym poinformował Benedikte:

- Macie dwa dni.

- Cztery. Dzisiaj wzięliśmy ślub, kolejne dwa dni to będzie twój prezent dla nas.

Zgodził się, tłumacząc, że nie potrafi się oprzeć takiemu uśmiechowi. Kto mógłby jej odmówić? W każdym razie nie on.

- Cztery dni na co? - dopytał Krag.

- Cztery dni, aż znajdziesz komendę policji i się zgłosisz, chyba że wcześniej sami cię namierzą - wyjaśnił Fabricius. - Myślę, że są na to spore szanse. Pójdiesz ze mną, jak będę wychodził, bo musisz porozmawiać z adwokatem, żeby przeciwiczył z tobą parę kwestii. Na początek zapomnisz o tym szantażu, bo to zbyt zawile. Lepiej będzie trzymać się wersji, że Svend zapłacił ci za wykonanie tych zadań, tak będzie o wiele wiarygodniej. Gdzie ukryłbyś pieniądze, gdybyś takowe dostał?

- U swojej matki, mieszka w Ishøj - odparł bez wahania Henrik.

- Doskonale. Mam u siebie kilka plików banknotów z odciskami palców Lerchego. Zawieziesz je jutro do niej. Benedikte, potrączę ci później od zysków.

- Oczywiście, ale adwokat? - zareagowała niespokojnie. - Teraz, o dwudziestej drugiej?

- Moi adwokaci są do dyspozycji zawsze, gdy ich potrzebuję. A ty się nie denerwuj, jutro rano będziesz go miała z powrotem. Nie mam w zwyczaju kłamać, chyba że to absolutnie konieczne.

Następnie Fabricius dopił wino, przeniósł wzrok na Benedikte i pokręcił przecząco głową, gdy chciała mu jeszcze dolać.

- Wiesz, że w świecie musi panować równowaga, ona jest istotna - oznajmił. - Czy Svend był zadowolony z trasy, którą mu wyznaczyłem? - zaciekawiał się.

Potaknęła skinieniem, a oczy lekko zaszyły jej łzami. To mimo wszystko nie było takie proste.

- Masz dla mnie grafik z rozpiską godzin? - dopytał.

Wręczyła mu kartkę, a on podziękował i dodał:

- Przestań się mazać. Poczekaj, aż sobie pójdziemy. Nie znoszę widoku kobiecych łez. Poza tym przez nie szybciej się zestarzejesz, a to byłaby wielka szkoda. Podoba mi się, że jesteś młoda.

Rozdział 88

Dwóch mężczyzn, których Bjarne Fabricius wysłał do Jutlandii, nie próżnowało przez całą noc i nikt nie mógłby im zarzucić, że nie zapracowali na swoją wypłatę. Najpierw przez pół godziny cierpliwie czekali na podwórzu domu, który wcześniej wynajęli. I chociaż w ciągu dnia panował tu upał, to noc okazała się chłodna i porządnie zmarzli. Mogli co prawda usiąść w środku, w ciepłe, i ograniczyć się do obserwowania stamtąd polnej drogi wiodącej do gospodarstwa, bez trudu dostrzegliby reflektory zbliżającego się samochodu, ale byli profesjonalistami i brali pod uwagę, że ich goście mogą wyłączyć światła. Dlatego postanowili wytrzymać w chłodzie. Gdy pojazd wreszcie dotarł, jeden z mężczyzn przywitał przybyłych uprzejmie:

- Witamy w Thy.

Drugi wyłonił się z mroku i strzelił im w tył głowy - najpierw mężczyźnie, potem kobiecie. Dopiero wtedy zaczęła się ich prawdziwa robota. Rozebrali ofiary, a potem zanieśli ich odzież w jedno miejsce. Następnie włożyli ciała do solidnych plastikowych worków. Zasadniczo były przeznaczone na puszki do recyklingu, ale jak się okazało, nadawały się również do zwłok. Ich samochód, nowiuteńkiego citröena C5, przestawiano na tył gospodarstwa, następnie oblano go benzyną i podpalono wraz z ubraniami zostawionymi na tylnym siedzeniu. Ludzie Fabriciusa poczekali, aż auto spłonie, a potem zlali je wodą, aby je schłodzić. Później przystąpili do systematycznej pracy z palnikiem spawalniczym i szlifierką kątową - solidnym sprzętem, najlepszym na rynku. Po dwóch godzinach żmudnej roboty pojazd był pocięty na kawałki, z wyjątkiem bloku silnika, z którego usunięto tylko numer fabryczny. Załadowali metal na mniejszą ciężarówkę i wyruszyli do Hanstholm. Rybak nie zadawał żadnych pytań, bo został wcześniej dobrze opłacony. Przenieśli na kuter cały ładunek, który kilka godzin później spuszczone do Morza Północnego, na głębokość niespełna pół kilometra, na terenie toru wodnego Jyske Rev. Szkoda, bo to był bardzo dobry samochód.

Od strony Morza Północnego Hanherred to smutny i niegościnnie ląd. Jak tylko człowiek z wielkim mozołem zdoła się wspiąć na szczyt jednego z tych szarych piaszczystych wzniesień, które oddzielają plażę od łądu, czeka go dość ponury widok. Od Bulbjerg na zachodzie po Hansholm na wschodzie jak okiem sięgnąć rozciąga się jałowy krajobraz. Znajdujące się blisko siebie wydmy, usypane bez łądu i składu, jedna na drugiej, nie tworzą żadnych regularnych kształtów. Niektóre są wielkie i postrzępione, inne mniejsze i spłaszczone, ale wszystkie pokryte połaciami poczerńiałego wrzośca i wydmuchrzycy w odcieniach zwiędłej żółci, z których wiatr już dawno wysał wszystkie życiowe soki. Tutaj, pośrodku tego pustkowia, z dala od wszystkiego i w pewnym ukryciu, za piaszczystym pagórkiem od wchodu, stoi kościół Lodbo.

Został wzniesiony w XII wieku i składa się z dwóch połączonych ze sobą, starannie zaprojektowanych budynków. Zarówno wnętrze, jak i otoczenie odzwierciedlają konsekwentny szacunek budowniczych dla tego miejsca. Wokół kościoła rozciąga się cmentarz, otoczony wysokim kamiennym murem, z bramą z kutego żelaza od strony północnej. Również cmentarz jest niewielkich rozmiarów, a mimo to groby znajdują się w pewnym rozproszeniu, w rzędach po trzy lub cztery, jakby ludzie z miejscowej parafii nie potrafili odpowiednio zagospodarować przestrzeni.

Grabarz pomógł dwóm małomównym obcokrajowcom przenieść zwłoki. Wcześniej wykopał grób, który miał zostać wykorzystany w sobotę, tym razem głębszy o metr, żeby dodatkowych dwóch nieboszczyków mogło spocząć w odpowiednim towarzystwie dawnego urzędnika, który pochodził stąd, a którego rodzice leżeli w kwaterze obok.

Svend Lerche i Karina Larsen przeżyli większość życia w luksusie, bo wykorzystywali innych i szkodzili wielu ludziom. Mimo to mieli dobrą, choć nieco przedwczesną śmierć, bo nawet nie zdążyli zauważyć jej nadejścia. Kto by tak nie chciał? Teraz ich ciała zostały złożone na cmentarzu, o którego istnieniu nie mieli pojęcia, w grobie opłaconym przez prostytutki, które dla nich zarabiały.

Gdy złożono zwłoki, grabarz przysypał je ziemią. Dobrze mu za to zapłacono, więc nikomu o tym nie powie, zresztą nie pierwszy raz zajmował się takim dodatkowym pochówkiem. To zdarzało się już wcześniej, choć nigdy nie chodziło o dwie nadprogramowe osoby. Mężczyzna splótł dłonie i z pochyloną głową zmówił modlitwę w swoim własnym języku, spoglądając w głąb grobu, w którym przed chwilą zniknęło dwoje ludzi. Był katolikiem i czuł respekt przed śmiercią.

Rozdział 89

Simonsen był przybity – Karina Larsen i Svend Lerche zniknęli. Nikt ich nie widział od wtorku. Dzisiaj był piątek, a oni jakby zapadli się pod ziemię. Poszukiwał małżeństwa w całym kraju, również przez Interpol, ale bez rezultatu. Jak na razie. Ich córka – nie potrafił przypomnieć sobie jej imienia – jeździła obecnie jednym z trzech luksusowych samochodów ojca, z kolei jej nowo zakupiony citröen C5 gdzie się zapodział. Policja nie była w stanie go zlokalizować. Należałoby więc przypuszczać, że zamienili się pojazdami, dlatego inspektor zarządził przejrzenie zapisów z kilku ostatnich dni z kamer rozmieszczonych na mostach nad Wielkim Bełtem i Sundem. To jednak też nic nie dało. Pomyślał, że w zasadzie nie wiadomo, czy już zakończono sprawdzanie zapisów, lecz nie bardzo wierzył w jakikolwiek sukces, choć z drugiej strony niczego nie należało z góry przesądzać. Wysłał Pedersena do córki poszukiwanego, ale to przesłuchanie policja mogła sobie darować. Dziewczyna najpierw odmówiła jakichkolwiek zeznań do czasu przybycia adwokata, więc policjant musiał spędzić godzinę na schodach przed wejściem głównym. Nie zaproszono go do środka, to w ogóle nie wchodziło w grę. Gdy wreszcie prawnik dotarł na miejsce, aroganckim tonem poinformował Pedersena, że jego klientka nie zamierza odpowiadać na pytania dotyczące jej ojca i matki. Dodał, że w obecnych okolicznościach jej oświadczenie należy interpretować w najszerszy możliwy sposób, nie wyjaśniając przy tym, co to właściwie oznacza.

Niestety – Simonsen wreszcie przypomniał sobie imię – Benedikte, chyba Benedikte Larsen – miała do tego prawo.

Zgodnie z obowiązującymi przepisami mogła odmówić świadczenia przeciwko rodzicom. Pedersen musiał odejść z kwitkiem, a gdy wreszcie dotarł na Komendę Główną, nie miał do powiedzenia nic poza tym, że dziewczyna jest naprawdę ładna.

– Mówię ci, Simon, prawdziwa z niej ślicznotka.

Szef wydziału zabójstw stał w swoim biurze przy oknie – jak zwykle, gdy miał poczucie, że cały świat sprzysiął się przeciwko niemu. Wpatrywał się w ulicę, która dyszała od upału, dostrzegając, że życie na zewnątrz wymarło w proteście przeciwko tej spiekocie. Jakby miał mało kłopotów ze zniknięciem Kariny Larsen i Svenda Lerchego, doszły kolejne, gdy nigeryjskie opiekunki do dzieci zaczęły, jedna po drugiej, opuszczać kraj. I w żaden sposób nie mógł temu zapobiec. Nie mógł ich zatrzymać, a zresztą jaki to miałyby sens? Równocześnie zmuszanie ich do składania zeznań nie wchodziło w grę, a one były przecież niezbędne, jeżeli chcieli postawić poważniejsze zarzuty goszczącym je rodzinom. Żadna z kobiet nie chciała pomóc policji, były na to zbyt przerażone i miały ku temu uzasadnione powody. Wyjątek stanowiła młoda Kenijka, która wyszła za mąż za swojego gospodarza, pewnego starszawego urzędnika na kierowniczym stanowisku z Vedbæk. Hrabianka pracowała obecnie nad uzyskaniem dla niej zezwolenia na pobyt. Było to możliwe tylko dzięki wstawiennictwu Hammera, na którego policjantka próbowała wpłynąć różnymi metodami. Przed uzyskaniem zgody na pobyt kobieta nie chciała niczego powiedzieć, co Simonsen doskonale rozumiał i akceptował. Zapewnił Afrykance ochronę przez okrągłą dobę, świadomy faktu, że sutenerzy, którzy sprowadzili ją do kraju, nie cofną się przed niczym.

Koniec końców prawda była jednak taka, że jego wielkie dochodzenie z godziny na godzinę coraz bardziej wymykało mu się z rąk, a on nie mógł nic z tym zrobić, poza uzalaniem się nad sobą. Pomyślał ironicznie, że akurat to ostatnie szło mu nad wyraz dobrze. Zrobił kilka kroków w stronę biurka, po czym zadzwonił do Berg. Wiedział, że dzień wcześniej wypisano ją ze szpitala, więc zaprosił ją na lody. Ucieszyła się, tak ogólnie brzmiała na zadowoloną, od chwili gdy odebrała telefon, i przyjął to z ulgą. Umówili się w centrum handlowym w Rødovre, gdzie mogła bez problemu dotrzeć, poza tym liczyła na odrobinę chłodu.

Rozdział 90

Krag odczuwał przyjemny spokój ducha, gdy w piątek 26 czerwca, piętnaście miesięcy po fatalnym w skutkach wypadzie do lasu Hanehoved, wolno wjechał na chodnik i zaparkował motocykl tuż przed komendą policji przy Halmtorvet w Kopenhadze. Odłożył kask na siedzenie i pomyślał bez żalu, że upłynie sporo czasu, zanim ponownie wsiądzie na swojego harleya-davidsona. Uśmiechnął się do starszego mężczyzny, który uniesioną dłonią wskazywał na szyld komendy, ostrzegając go przed parkowaniem w tym miejscu.

- To najgłupsze miejsce do niedozwolonego parkowania, chłopcze. - Mężczyzna oczywiście miał rację, ale dla Kraga nie miało to najmniejszego znaczenia, nie w sytuacji, w której się znajdował.

Uparł się, żeby pożegnać się z żoną w ich mieszkaniu. Chciała go odprowadzić aż do samej komendy, ale się nie zgodził i w końcu mu ustąpiła. Gdy skończyli się kochać, rozplakała się - wszystko odbyło się dokładnie tak, jak powinno.

- Będę za tobą tęsknić - oświadczyła w pewnej chwili zaskoczona, z naiwnością małej dziewczynki. - Czuję to. - A zaraz potem, pociągając nosem, zapytała: - Czy jeżeli się za kimsz tęskni, to znaczy, że jest się zakochanym? Henriku, ty musisz to wiedzieć.

Tak bardzo chciała się w nim zakochać. Nie po raz pierwszy zadawała takie pytania. To było miłe i dowartościowujące. W tej kwestii to on był ekspertem, a ona nowicjuską. Mógł się z niej naśmiewać, poklepywać ją pobłażliwie po policzku, a niekiedy pocałować ją w te nic nierozumiejące oczy.

- Tak, może tak jest. - A kiedy wydawała się rozczarowana jego odpowiedzią, bo liczyła na inną, mógł ją jeszcze pouczyć: - Jak nadejdzie odpowiedni moment, będziesz wiedziała. Bez żadnych wątpliwości.

Pożądanie seksualne to pożądanie seksualne - szalał na jej punkcie. Uwielbiał jej ciało, uwielbiał, gdy leżała pod nim i wzdychała. Przede wszystkim zachwycił się jednak jej urodą - dziewczyna była tak

perfekcyjna, że podczas ich pierwszych zbliżeń bał się, że ją w jakiś sposób uszkodzi. To było przerażające i podniecające zarazem – upajające uczucie, o którym jej nie wspomniał, było jego tajemnicą. Poza tym trochę się obawiał, że to jest nie na miejscu.

Jednak bardzo szybko, jeżeli nie na samym początku, pożądanie przerodziło się w miłość do niej. Najzwyczajniej w świecie ją kochał. Dawała mu coś, o co nigdy by jej nie podejrzewał, mianowicie poczucie wartości. Szacunek dla niego, takiego, jakim był. Wpuściła go do świata, o którego istnieniu wiedział. Ba, nie wyobrażał sobie nawet, że kiedykolwiek stanie się jego częścią. Nie dlatego, że był lepszy od tego, który znał – zdecydowanie nie. Był po prostu zupełnie inny i Krag długo żył w przekonaniu, że jest dla niego całkowicie nieosiągalny, ale okazało się inaczej. Dzięki niej.

Wyprostował plecy, omiół okolicę jasnym spojrzeniem i z dumnie uniesioną głową wszedł do budynku komendy. Nie miał najmniejszych wątpliwości co do swojej decyzji.

Rozdział 91

Berg i Simonsen delectowali się lodami w Rødovre. Siedzieli w kawiarni na wprost piekarni i oboje trzymali w dłoni ogromny, tuczący i cudownie niezdrowy przysmak w rożku. „Dobrze wygląda”, pomyślał inspektor, a po chwili uznał, że tego samego nie można powiedzieć o nim, bo czuł się jak z krzyża zdjęty.

- Nie będziemy rozmawiać o szpitalu, okej?

- Absolutnie okej, szpitale nie są moim ulubionym tematem rozmów.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Zaczęła nieufnie obwąchiwać swój lód.

- Kurczę, on jest zepsuty!

Zrobił to samo, ale niczego podejrzanego nie wyczuł, jednak policjantka upierała się przy swoim:

- Sam powąchaj.

A gdy naiwnie zrobił, o co go poprosiła, nieznacznym ruchem przysunęła swoją dłoń do jego twarzy, robiąc mu ślad na nosie. Potem cieszyła się jak łaskotana nastolatka

- Simon, naprawdę nie znasz tego numeru? Jest starszy niż grzech pierworodny.

Udzieliła mu się jej wesołość, a potem wytarł nos serwetką, którą przezornie zabrała z kawiarnianego bufetu. Przyjemnie było widzieć ją w dobrej formie, mimo że - jak to miała w zwyczaju - przesadzała z impulsywnymi komentarzami i zbyt prywatnymi tematami.

- Postanowiłam, że nie będę już zgarniała do domu przypadkowych mężczyzn.

- A ja postanowiłem, że będę ignorować uwagi, których wolałbym nie słyszeć.

Znał ją zbyt dobrze, by wiedzieć, że na tym nie poprzestanie, jeżeli zamierzała go sprowokować, co zresztą po chwili nastąpiło.

- Napisałam wypowiedzenie. Dostaniesz je lada dzień.

- Znakomicie, wyląduje w koszu na śmieci - zbył ją.

„Do cholery, przecież nie pozwolę jej odejść”, pomyślał. Postanowił porozmawiać poważnie z Hrabianką, żeby przydzielić jej funkcję, z której dziewczyna będzie zadowolona. Musi się znaleźć coś odpowiedniego.

Każde z nich zjadło już niemal połowę swojej porcji, gdy rozdzwonił się telefon Simonsena. Odebrał, a potem obiecał pojawić się w komendzie w ciągu pół godziny. Jak tylko aparat wylądował w kieszeni na piersi, gwałtownie wstał.

- No tak, wiesz, o co chodzi jak mało kto. Muszę wracać, bo facet, który uczestniczył w zabójstwie Ifunanyi Siasii, właśnie sam się do nas zgłosił.

Wstała razem z nim, nie okazując irytacji. Jak sam przyznał, znała takie sytuacje lepiej niż ktokolwiek. Cieszyła się, że w ogóle się spotkali. Gdy mijali kosz na śmieci, wyrzuciła resztę loda.

- I tak nie miałam zamiaru jeść do końca tego zepsutego rożka. Chodź, odprowadzę cię do samochodu.

Rozdział 92

Krag został przewieziony z komendy przy Halmtorvet do Komendy Głównej Policji, a jego pierwsze przesłuchanie trwało ponad dwie godziny i z punktu widzenia funkcjonariuszy przebiegało znakomicie. Poza przesłuchiwanym wzięli w nim udział Simonsen, Pedersen oraz pewien starszy adwokat z jednej z tych drogich kancelarii prawniczych, mieszczących się z centrum miasta. Ten ostatni nie stwarzał jednak żadnych problemów, a wręcz przeciwnie, wielokrotnie pomagał policji, gdy jego klient nie potrafił sobie czegoś przypomnieć lub udzielić odpowiedzi na zadawane pytania. Nie żeby działał na jego niekorzyść – chodziło o to, że starał się pomóc w sprawnym przeprowadzeniu przesłuchania.

Zeznania młodego mężczyzny dotyczące okoliczności śmierci Ifunanyi Siasii pokrywały się, najogólniej rzecz ujmując, z dotychczasowymi ustaleniami wydziału zabójstw. Krag opowiedział, jak wraz z Janem Podowskim w sobotę, 19 marca 2008 roku, pojechał do myśliwskiej chatki w lesie Hanehoved, żeby ukarać nigeryjską prostytutkę za jej bierność w stosunku do klientów. Dziewczyna została rozebrana i przywiązana sznurem do kija – wykorzystano metodę zwaną „żerdzią dla papugi” albo „kurczakiem z różną” – a następnie podniesiona, gdy sznur zahaczono o jedną z jętek chatki. Umówili się, że Henrik obje Nigeryjkę przyniesioną ze sobą pałką, ale zanim do tego doszło, rozwiązał się węzeł wokół żeliwnego pieca i dziewczyna runęła na podłogę, łamiąc sobie kark. Mężczyźni zanieśli zwłoki do leśnego jeziora, o którym wiedział Podowski, a następnie na świerkowych żerdziach, które znaleźli na tyłach chatki, przytaszczyli przydrożny granitowy kamień. Przywiązali do niego dziewczynę tym samym sznurem, na którym ją powiesili, a następnie pomaszerowali z nią jak najdalej w głąb jeziora, gdzie ją utopili. Zanim opuścili las Hanehoved, wyciągnęli z samochodu zapasowy zbiornik z benzyną, oblali myśliwską chatkę i ją podpalili, żeby zatrzeć wszystkie ślady. W drodze powrotnej Podowski poinformował Kraga, że nie będzie już mógł pracować dla Kariny Larsen. Został zwolniony i otrzymał dziewięć

tysięcy koron odprawy. Podowski wręczył mu pieniądze, które miał w portfelu.

Historia opowiedziana przez Kraga była prosta i zrozumiała. Simonsen i Pedersen przerobili ją z podejrzanym dwukrotnie, krok po kroku, i doszli do wniosku, że w zasadzie brzmiała wiarygodnie z wyjątkiem punktu, w którym twierdził, że nie uderzył Ifunanyi Siasii. Zaczęli go przypierać do muru – Pedersen z grubej rury, inspektor argumentami, a adwokat chłopaka zasadniczo im na to pozwalał. Tylko raz, gdy pierwszy funkcjonariusz za bardzo się zagalopował, prawnik zaprotestował:

- No, no, spokojnie młody człowieku.

- Owszem, uderzyłem ją i dlatego spadła – przyznał Krag po dziesięciu minutach, a po chwili dodał: - Ale my nie chcieliśmy jej zabić.

Adwokat wsparł swojego klienta, argumentując, że zabicie dziewczyny nie miało żadnego logicznego uzasadnienia. Policjanci przyznali mu rację.

Po krótkiej przerwie wznowiono przesłuchanie Kraga, tym razem na okoliczność jego pracy dla Svenda Lerchego i Kariny Larsen. Również w tej kwestii wydawał się nadzwyczaj chętny do współpracy. Szczegółowo opisał opracowany przez małżeństwo system zakupu prostytutek. Jeżeli kiedykolwiek uda się ich dopaść, Krag będzie znakomitym świadkiem w sprawie, gdyż wielokrotnie uczestniczył w comiesięcznych rozliczeniach z rodzinami goszczącymi. Nic natomiast nie wiedział o Akademii Pokera, nie potrafił również wskazać miejsca, gdzie mogło się ukrywać poszukiwane małżeństwo.

Tylko raz, poza samym zakończeniem przesłuchania, Kragowi udało się zaskoczyć policję, kiedy oznajmił, że jest żonaty z Benedikte Lerche-Larssen, córką Svenda Lerchego i Kariny Larsen. Ta informacja uruchomiła lawinę pytań, ale one mogły poczekać. Henrik Krag zostanie tymczasowo aresztowany, to było pewne jak amen w pacierzu, i pozostanie w izolacji, więc nigdzie nie ucieknie. Będą go jeszcze wielokrotnie przesłuchiwać.

- Czy coś ci mówi imię i nazwisko Bjarne Fabricius? - spytał na koniec Simonsen.

- A co on ma z tym wspólnego? - zaproponował adwokat.

Niepotrzebnie, bo Krag pokręcił przecząco głową.

- Nie, nie znam nikogo takiego. Miałem do czynienia głównie z Janem, to znaczy z Janem Podowskim.

Pedersen spojrzał wymownie na swojego szefa z miną mówiącą, że na dzisiaj już chyba wystarczy. Inspektor był tego samego zdania i zakończył przesłuchanie. Tak mu się przynajmniej wydawało, bo wtedy adwokat oznajmił zmęczonym głosem:

- Jest jeszcze jedna kwestia.

- To ja związałem tych dwoje młodych ludzi wleczonych przez ciężarówkę w Vallensbæk Landsby w piątek rano zeszłego tygodnia - wyjaśnił Krag.

Rozdział 93

Sprawę zabójstwa w lesie Hanehoved można było uznać za rozwiązaną. Simonsen nie bez dumy oświadczył to swoim współpracownikom – Hrabiance, Pedersenowi i Arnoldowi podczas ostatniego spotkania dotyczącego tego dochodzenia. Policjantka i Pedersen uśmiechali się radośnie, uznając, że zespół świetnie sobie poradził. Tylko Arnold nie podzielał ich entuzjazmu.

- Chciałbym jak najszybciej zapomnieć o tej sprawie.

Na chwilę zapadła kłopotliwa cisza, przerwana dopiero przez szefa wydziału zabójstw:

- Klavs, przepraszam za swój ton. To było nie na miejscu. Mamy świadomość, że sporo cię to kosztowało.

Jutlandczyk przyjął przeprosiny i wymigiwał się od odpowiedzi na dodatkowe pytania funkcjonariuszy. Radził sobie, ale jego zdaniem nie było podstaw do radości. Inspektor kontynuował podsumowanie, tym razem dużo bardziej formalnym tonem:

- Badania DNA potwierdziły, że to Henrik Krag jest sprawcą przestępstwa popełnionego w Vallensbæk Landsby. Poza tym chłopak przyznał się również do napaści na czterech młodych ludzi przy stacji kolejki Skovbrynet w Bagsværd, do której doszło dwudziestego siódmego maja. Oba przestępstwa były dokładnie zaplanowane i opłacone przez Svenda Lerchego, ale już po tym, jak mężczyzna zwolnił Kraga z pracy. Policja znalazła część zapłaty w domu matki Kraga za kuchennym kredensem – dokładnie w miejscu, które sam wcześniej wskazał. Były na nich odciski palców Lerchego, a pieniądze przesłano Kragowi w zwykłej kopercie. Nie udało się jednak odtworzyć przebiegu i treści ich wzajemnych ustaleń. Krag otrzymał instrukcje, żeby kontaktować się z Lerchem ze zwykłej budki telefonicznej. Miał dzwonić pod numer, który od niego dostał. Niestety wyrzucił kartkę z tą informacją po wykonaniu ostatniego zadania. Nie chciał kłopotów, a poza tym zamierzał wycofać się ze współpracy. Z kolei motywy Lerchego wydają się oczywiste. W przypadku tych młodych ludzi

w Vallensbæk Landsby chodziło o osobistą zemstę na Helenie Holt Andersen za stosunek polityczki do odpłatnych usług seksualnych. Drugie zadanie dotyczyło pracownika skarbowki, którego najwyraźniej nienawidził i któremu już wcześniej groził. Lerche postanowił ukarać tych dwoje, mszcząc się na ich dzieciach. – Następnie Simonsen podzielił się ze swoimi współpracownikami wątpliwościami dotyczącymi niewyjaśnionych wątków związanych głównie z małżonką Kraga, Benedikte Lerche-Larsen. – Dlaczego Krag zdecydował się sprzedać swój motocykl, a jego żona już po tygodniu ponownie go nabyła? I co zrobił z pieniędzmi? Chodziło przecież o sześćdziesiąt tysięcy koron. Spłacił kredyt, ale co z resztą? Zakładając oczywiście, że nie wierzymy w jego wyjaśnienia, że przekazał je przyjacielowi, którego imienia nie pamięta.

– Dlaczego Krag i Lerche-Larsen pobrali się w takim pośpiechu? – dodała swoje wątpliwości Hrabianka. – Krag co prawda twierdzi, że nie chcieli, by musiała przeciwko niemu zeznawać, ale to nie ma sensu, bo przecież sam się do wszystkiego przyznał. Chyba że chodzi głównie o to, żeby to on nie musiał świadczyć przeciwko niej.

– I najważniejsze pytanie – przyłączył się Pedersen. – Dlaczego taka oszałamiająco bogata, śliczna laleczka z Rungsted postanowiła się związać z dyslektycznym nieudacznikiem z Ishøj?

Ta ostatnia uwaga wydała się Hrabiance zbyt pogardliwa, ale tylko ona zaoponowała. Zarówno Simonsen, jak i Arnold uważali, że Pedersen trafił w sedno.

Rodziły się kolejne pytania, bo wszystko wskazywało na to, że Lerche-Larsen miała dużo większy wpływ na działalność prowadzoną przez ojca, niż do tej pory sądzono.

– Rzeczywiście nic nie chce powiedzieć na jej temat? – spytał szefa Arnold.

Inspektor kilkakrotnie rozmawiał z Kragiem nieoficjalnie, gdy odwiedzał go wieczorami w areszcie w Vestre Fængsel, żeby spróbować uzyskać dodatkowe informacje. Rozmowy odbywały się bez obecności adwokata, bo Simonsenowi udało się przekonać Kraga, że ich spotkania to nie przesłuchanie, tylko luźna pogawędka, by policjant mógł lepiej zrozumieć tło całej sprawy. Chłopak przyjął jego wyjaśnienia, najwyraźniej zadowolony z odskoczni od monotonnej codzienności.

Domagał się jedynie, by ich spotkania nie były nagrywane, na co szef wydziału zabójstw przystał.

- Owszem, nawet bardzo chętnie. Uwielbia ją i jest z niej dumny, ale gdy tylko pytam o coś, co mogłoby ją choć w najmniejszym stopniu skompromitować, nie puszcza pary z ust. I zaskakująco świetnie wyczuwa, kiedy powinien trzymać gębę na kłódkę.

- Nie ma pewności, czy kiedykolwiek uda nam się uzyskać brakujące odpowiedzi - zauważyła Hrabianka.

Wcześniej rozmawiała z mężem w domu na temat jego spotkań i doskonale wiedziała, jak bezowocne okazały się jego wysiłki.

Pozostawała jeszcze kwestia potencjalnych oskarżeń i ewentualnych wyroków skazujących w stosunku do osób, które w ten czy inny sposób były zaangażowane w interes prowadzony przez Karinę Larsen i Svenda Lerchego. I w tym przypadku sprawy nie wyglądały najlepiej, a lista podejrzanych kurczyła się z dnia na dzień. Żaden z licznych klientów nigeryjskiej prostytutki, z którym skontaktowała się policja, nie chciał zeznawać w sądzie, więc dochodzenie objęło tylko dwie rodziny goszczące. Jedna zamieszkiwała w Vedbæk - chodziło o bankowca, którego młoda żona, jak tylko otrzymała zezwolenie na pobyt, zażądała rozwodu i wykazywała się wyraźną chęcią świadczenia przeciwko swojemu przysłemu eksmałżonkowi. Drugi przypadek dotyczył małżeństwa z Gammel Holte - mężczyzna okazał się na tyle głupi, by prowadzić dokładne rozliczenia dochodów swojej podopiecznej. Po jednej z karczemnych awantur, do której doszło między małżonkami, żona przejęła zapiski i dostarczyła je policji. Małżeństwo było obecnie w separacji. Na domiar złego policja skarbową, zdecydowała się odstąpić od dobruania się do majątku Lerchego i Larsen, co w praktyce oznaczało ich letni domek, willę w Rungsted oraz trzy drogie samochody. Postawione małżeństwu zaocznie zarzuty zostały w całości wycofane. Prawdopodobieństwo wydania wyroku skazującego po długim i kosztownym procesie okazało się w tym przypadku po prostu zbyt małe. Tym samym sąd w Lyngby uchylił zamrożenie ich majątku, a prawo do dysponowania nim przypadło Benedikte Lerche-Larsen, która posiadała niepodważalne dokumenty dające jej takie uprawnienia. Koniec końców policja miała

widoki na skazanie zaledwie sześciu osób, mianowicie Kraga, dwóch kobiet z Ministerstwa Integracji oraz ewentualnych trzech osób goszczących u siebie opiekunki do dzieci. Wynik niezbyt imponujący, ktoś mógłby nawet określić go jako fiasko. I tutaj z pomocą przyszło biuro prasowe. Dzięki znakomicie przygotowanej kampanii informacyjnej policji udało się przekonać społeczeństwo, że nie oszczędzono środków, by rozwiązać sprawę tej biednej Nigeryjki, zabitej i utopionej w jeziorze w lesie Hanehoved. Media rozdmuchały tę historię, bo Duńczycy kochają tego typu przekazy, z których wynika, że do wszystkich spraw zabójstw podchodzi się tak samo, bez względu na koszty dochodzenia i kolor skóry ofiary, jak to podkreślono w artykule opublikowanym w jednej z przedpołudniówek. Komendant Główny Policji wyraził swoje zadowolenie, Simonsen zebrał pochwały, ale podczas rozmowy z przełożonym zastrzegł:

- Jeszcze nie zamknęliśmy sprawy.

- To prawda, Simon, ale teraz już możesz śmiało to zrobić. Masz na to moją zgodę. Kawał dobrej roboty.

Rozdział 94

Willa, w której mieszkała prokuratorka okręgowa Bertha Steenholt ze swoją córką, była dokładnie tak ciemna i ponura, jak uprzedzono o tym Hrabiankę. Monstrualny budynek ze skądinąd całkiem ładnym pokoikiem w bocznej wieży, pokrytej miedzianym dachem z nalotem patyny. Dom zbudowano w pewnym oddaleniu od ulicy, w okolicy Humleby, w dzielnicy Frederiksberg. Otaczał go zapuszczony ogród, żeby nie powiedzieć kompletna dzicz, oddzielona od sąsiadów metrowej wysokości ogrodzeniem. Po otwarciu furtki i wejściu na posesję Hrabianka przyglądała się z zainteresowaniem znajdującemu się w gąszczach budynkowi. Pomyślała, że brakuje tu tylko fosy i zwodzonego mostu albo jeszcze lepiej barki i garbatego przewoźnika – wtedy wszystko byłoby jak należy. Nagle odskoczyła pół metra na bok, gdy jakiś kot siedzący na zmurszałym stosie drewna opałowego prychnął na nią znienacka.

Steenholt przyjęła ją dużo serdeczniej, niż Hrabianka się spodziewała, i chociaż nie były wcześniej umówione, funkcjonariuszka została zaproszona do salonu z wysokim sufitem, gdzie dwie kobiety właśnie spożywały kolację. Prokuratorka bez pytania przyniosła dodatkowe sztuce i talerz, bo policjantka musiała spróbować ragoût przygotowanego przez jej córkę. Nie zapytała o cel wizyty. Pytanie zawisło w powietrzu, ale z odpowiedzią należało się wstrzymać do zakończenia posiłku. Hrabianka pomyślała ironicznie, że jak coś tu zje, to pewnie padnie trupem, po czym z apetytem zabrała się do posiłku. Wcześniej nie zdążyła zjeść kolacji, a okazało się, że prokuratorka miała rację – danie smakowało wyśmienicie. Dopiero gdy córka posprzątała ze stołu, a Steenholdt zapaliła cygaretkę, przeszły do sedna.

- Niewiele osób odwiedza mnie prywatnie w służbowych sprawach – zagaiła prokuratorka. – Muszę przyznać, że jestem zaintrygowana.

Dla Hrabianki nadeszła chwila prawdy. Zaryzykowała i zacytowała z pamięci:

- Kto przemocą lub groźbą bezprawną doprowadza inną osobę do obcowania płciowego, podlega karze pozbawienia wolności do lat ośmiu. Za przemoc uznawane jest również doprowadzenie danej osoby do stanu, w którym nie może przeciwstawić się temu działaniu.

- Artykuł dwieście szesnaście Kodeksu karnego. Dlaczego mi go recytujesz?

- Z jej powodu. - Hrabianka wyjęła z torebki siedem fotografii formatu A5, wydrukowanych z komputera. Zadała sobie nawet trud, żeby je zalaminować. Wręczyła zdjęcia prokuratorce, która długo i uważnie przyglądała się każdemu z nich.

Przedstawiły Ifunanyę Stasię w codziennych sytuacjach i w różnym wieku. Jej pierwszy dzień w szkole, gdy w nowym niebiesko-białym szkolnym mundurku, z tornistrem na plecach z dumą i uśmiechem pozuje fotografowi. Potem mała Nigeryjka karmi swojego młodszego brata, który ma całą twarz wysmarowaną jedzeniem i odwraca głowę, gdy dziewczynka zbliża się do niego z łyżką. Następnie jej dziewiąte urodziny, gdy wraz z bratem dostają rower złożony przez ojca i wujka. I kolejne zdjęcia przedstawiające codzienne sytuacje.

- Mieszkała w mieście Yenagoa w stanie Bayelsa i chodziła do katolickiej szkoły położonej trzy kilometry od domu. Była powszechnie lubiana, jej rodzice ją hołubili, jak to rodzice, nauczyciele ją chwalili - była świetna z angielskiego i matematyki - opowiadała Hrabianka.

Steenholdt wydawała się poruszona.

- O mój Boże.

Policjantka nie skomentowała tej reakcji, tylko ciągnęła dalej:

- Piątego czerwca dwa tysiące siódmego jej dawny kolega ze szkoły zaproponował, że ją tam podrzuci. Po drodze odurzył ją eterem i zawiózł do Lagos, ponad pięćset kilometrów od jej domu. Sprzedał ją do burdelu, gdzie była bita i gwałcona do czasu, aż nie nauczyła się odpowiedniego traktowania klientów. Według rodziców miała wtedy piętnaście lat, mimo że jej paszport wskazywał na więcej. Po upływie pół roku została odsprzedana i przetransportowana do Europy, najpierw do Madrytu, a potem do Kopenhagi. W Danii pracowała początkowo jako dziewczyna od masażu w Skælskør, a potem została zakupiona przez Karinę Larsen i stała się opiekunką oraz prostytutką

w Gammel Holte. Oczywiście zgodziła się na to wszystko. Nie zastosowano wobec niej żadnego przymusu.

- Jeżeli masz nadzieję, że uda mi się skazać tych mężczyzn ze ściany Simona, to się grubo mylisz - uprzedziła prokuratorka. - Nie mogę ich za nic skazać i doskonale zdajesz sobie z tego sprawę, więc gdybym cię nie znała, to pomyślałabym, że marnujesz mój czas.

- I być może tak jest. Ale czy z punktu widzenia prawa nie można działań tych mężczyzn zinterpretować jako gwałtu? Chodzi mi o to, że dziewczyna była do tego zmuszana, i ci klienci o tym wiedzieli. Albo przynajmniej mieli świadomość, że istnieje takie prawdopodobieństwo. Wszyscy są przecież świetnie wykształceni i doskonale znają pojęcie handlu, chyba że są głusi i ślepi. A mimo to zdecydowali się na odbycie stosunku seksualnego.

Wielka Bertha namyślała się przez dłuższy czas. Dym z jej cygaretki roznosił się w powietrzu, a z ogrodu dobiegło miauczenie kota, przypominające odgłos dręczonego dziecka.

- Nie da się udowodnić, że wiedzieli o przymusie, ale twoją interpretację przy odrobinie wysiłku dałoby się obronić - odezwała się w końcu.

- A co się stanie, jeżeli ich aresztujesz i oskarżysz o gwałt?

- Co się stanie? No cóż, oczywiście zostaną zaraz wypuszczeni. Prokurator generalny i minister sprawiedliwości unieważnią moją decyzję i będą mieli ku temu podstawy.

- Chodziło mi bardziej o to, co się stanie z tobą.

Prokuratorka nie kryła zdziwienia.

- Ze mną? Prawdopodobnie nic. Wniesienie oskarżenia, które nie utrzyma się w sądzie i nie spełnia wymogów procesu sądowego, jest oczywiście karalne, ale...

Jej córka, która siedziała w fotelu na drugim końcu salonu, wykrzyknęła:

- Mamo, obiecuję cię wtedy bronić, będę przeschęśliwa.

Steenholdt potrząsnęła głową, dając do zrozumienia, że to nie będzie konieczne.

- W praktyce zapewne skończy się na reprimendzie, jeżeli w ogóle komukolwiek będzie się chciało te trzy miesiące przed moim odejściem na emery...

Zamarła na moment, po czym uśmiechnęła się bez wdzięku niczym wilczyca, która zwierzyła ofiarę. Hrabianka nie przerywała prokuratorce, czekając cierpliwie, aż ta koncepcja na dobre zagnieździ się w jej głowie. Jednak już po chwili Wielka Bertha odrzuciła dopiero co rodzący się pomysł:

- To nie przejdzie. Jak tylko funkcjonariusze dokonujący zatrzymania powiedzą, o co chodzi, prokurator generalny odwoła moje polecenie.

Hrabianka odpowiedziała cichym głosem, bez zbędnego dramatyzowania, mimo to obie kobiety czuły, że w powietrzu niemal iskrzy od napięcia:

- Nakaz zatrzymania przekażesz mi na piśmie, a ja znajdę pięćdziesięciu funkcjonariuszy, którzy nie pisną ani słowa do czasu, aż zatrzymani znajdą się na Komendzie Głównej.

- Pięćdziesięciu funkcjonariuszy? A to ilu mężczyzn zamierzasz zatrzymać?

- Wszystkich. - Odpowiedź nie sprawiła Hrabiance najmniejszych trudności.

Rozdział 95

Przesłuchanie Benedikte Lerche-Larsen było przekładane dwukrotnie. Jej adwokat skontaktował się z Simonsenem, poinformował go, że niestety coś jej wypadło, i poprosił o wyznaczenie innego terminu. Gdy w końcu doszło do spotkania we wtorek 30 czerwca przed południem – przesłuchanie okazało się kompletną parodią.

Lerche-Larsen przybyła do komendy w szytych na miarę granatowych jedwabnych spodniach z plisowanymi nogawkami i prostej białej koszuli. Na jej przedramieniu dyndała torebka od Hermésa Birкина w sztandarowym kolorze domu mody. Wyglądała jak milion dolarów i z pewnością nie bała się przesłuchania. Oczywiście towarzyszył jej adwokat. Miał około trzydziestu lat, był nienagannie ubrany i wyschnięty na wiór. Powtórzył to, co swego czasu przekazał Pedersenowi, a mianowicie, że Lerche-Larsen nie odpowie na żadne pytania dotyczące jej rodziców i męża. W zaistniałych okolicznościach należało jej decyzję interpretować jak najszerzej. Prawnik przesadnie długo delectował się dobieranymi słowami, a Pedersen – siedzący za lustrem fenickim i przysłuchujący się rozmowie – się roześmiał. Simonsena naszała ochota, aby przywalić adwokatowi, ale się powstrzymał. Zamiast tego rozpoczął przesłuchanie od zadania formalnych pytań, bo wszystko było nagrywane.

– Henrik Krag, to znaczy pani mąż, twierdzi, że zgłosił się na policję na pani prośbę. Dlaczego go pani do tego namawiała?

Adwokat oznajmił, że jego klientka nie odpowie na to pytanie. Dotyczyło jej męża i jak już wcześniej zaznaczono, nie miała obowiązku świadczyć przeciwko niemu ani na sali sądowej, ani na policji.

– W takim razie niech pani powie, czy ma pani jakieś wieści o swoim ojcu lub swojej matce – wtrąciła się do rozmowy Hrabianka.

Adwokat udzielił podobnej odpowiedzi, nieco zmodyfikowanej, bo tym razem dotyczyła rodziców Lerche-Larsen.

Spróbowali jeszcze siedmiokrotnie i za każdym razem prawnik recytował swoją stałą formułkę, każdorazowo w nieco zmodyfikowanej

formie, pasującej do zadanego pytania. Nawet gdy Hrabianka zapytała przesłuchiwaną, czy to prawda, że studiuje na CBS, dowiedziała się od adwokata, że Lerche-Larsen nie odpowie na to pytanie.

- W jakim stopniu moje pytanie dotyczy rodziców albo męża pana klientki? - dopytywała poirytowana policjantka.

- Uzasadnię to w sądzie, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Sytuacja przedstawiała się beznadziejnie.

- Co pani w takim razie sądzi o pogodzie, jaką mamy od kilku tygodni? - zapytał sarkastycznie Simonsen.

Adwokat odparł bezbarwnym głosem, że pytanie nie ma związku ze sprawą, a jeżeli to był żart, to mało stosowany i policjant powinien go zachować dla siebie.

W tym momencie Simonsen się poddał i przerwał przesłuchanie.

Lerche-Larsen opuściła komendę, nie wypowiedziawszy ani słowa. Szef wydziału zabójstw miał tylko jeden wniosek z tej nieodbytej rozmowy - musiał przyznać Pedersenowi rację, że przesłuchiwana, a raczej nieprzesłuchiwana, wyglądała rewelacyjnie.

Wieczorem Simonsena czekało kolejne rozczarowanie. Zaczęło się od telefonu od szefa specjalnego zespołu badającego przeciek informacji o przeszukaniu domu Silje Esper w poniedziałek 8 czerwca, do którego doszło w kręgach policji. Grupa spotkała się po raz ostatni, aby zamknąć temat, bo chociaż mieli głównego podejrzanego, nie byli w stanie zdobyć dowodów i uznali, że nie mają szans zrobić nic więcej. Simonsen podziękował za informację, próbując ukryć irytację.

- Dziękuję, że zadzwoniłeś tak szybko. - Nic więcej nie mógł zrobić, jak to zresztą często bywało w tego typu sprawach.

Nieco później wybrał się z Pedersenem do klubu szachowego, w którym z okazji jubileuszu gościł sam Vladimir Kramnik. Inspektor już jakiś czas temu zgłosił swojego policyjnego kolegę do symultany i teraz cieszył się, że będzie mógł poobserwować rywalizację obu panów. Jednak gdy przybyli na miejsce, okazało się, że mistrz zachorował i leży z gorączką w pokoju hotelowym, dlatego wieczorne partie zostały odwołane. Chcąc nie chcąc, poirytowany Simonsen zawrócił do Søllerød. W domu zastał coś zadziwiającego. Kiedy stał w korytarzu, ściągając buty, otworzyły się drzwi do salonu i stanęła

w nich Anni Staal, dziennikarka z działu kryminalnego dziennika „Dagbladet” – jego dawny obiekt niechęci, choć ich wzajemna antypatia nieco zelżała, po tym, jak kobieta, co prawda mimowolnie, ale pomogła mu swego czasu przy pewnej większej sprawie.

- Cześć, Simon – przywitała się uprzejmie, a potem skierowała się do toalety.

Gapił się na nią, jakby miała dwie głowy. Anni Staal tutaj?! W jego domu! Wszedł do salonu, ale już po zrobieniu dwóch kroków zatrzymał się i stanął jak idiota z opuszczoną szczęką. Wokół stolika kawowego w nad wyraz przyjacielskich nastrojach siedziały Hrabianka, Stella Arnold, komendantka i prokuratorka Steenholdt. Kobiety się przywitały, a żona inspektora zaznaczyła:

- Simon, to jest zamknięte spotkanie.

Rozdział 96

Odejście na emeryturę prokuratorki okręgowej Steenholdt po zakończeniu wieloletniej pracy zawodowej w służbie prawa przeszło do legendy i w pełni korespondowało z jej błyskotliwą karierą. Odeszła bowiem z hukiem, który jeszcze długo odbijał się echem. Istniała duża szansa, że zapewni jej nawet pośmiertną sławę. Wszystko rozegrało się 7 lipca w Komendzie Głównej w Kopenhadze, a dokładniej w odnowionych lokalach biura prasowego, mieszczących się na prawo od głównego wejścia do budynku. Pomieszczenia stały jeszcze puste, ale ściany pomalowano na kolory promowane przez policję – na optymistyczny wiosenny zielony, na kojarzone z kompetencją beżowy i niebieski oraz na ekstrawertyczną żółć. Podłogi wycyklinowano i polakierowano, chociaż nie użyto do tego celu lakieru najwyższej jakości. Jednak do tej pory centrum prasowe nie zdążyło się jeszcze przenieść ze swoich dotychczasowych ciasnych pomieszczeń, dlatego Hrabiance udało się, dzięki życzliwości sekretarki głównego komendanta, otrzymać zgodę na korzystanie z lokali przez pierwsze dwa dni bieżącego tygodnia.

Dzień wcześniej zadbała o parę niezbędnych drobiazgów. Chodziło o przygotowanie stanowiska pracy z komputerem i dostępem do internetu – biurko ustawiono w rogu większego pomieszczenia – oraz kilku specjalnych rekwizytów, umieszczonych w mniejszym, przylegającym lokalu. Poza tym funkcjonariuszka udekorowała ściany obu pomieszczeń. Niczego więcej nie potrzebowała. Komendantka również włączyła się do tej pracy, chociaż pierwotnie nie miała brać aktywnego udziału w planowanych wydarzeniach. Jednak nie potrafiła się powstrzymać i zakradła się do środka, żeby pomóc Hrabiance.

Gdy kobiety skończyły przygotowania, przez kilka minut przyglądały się rezultatowi swojej pracy, z którego były zadowolone. Wokół, na wszystkich ścianach – dotąd pozbawionych wyrazu, mimo że pomalowano je na kolory mające zachęcać do komunikacji – wisiały teraz powiększone zdjęcia Ifunanyi Siasii, rodzinne fotografie, które Hrabianka otrzymała od Helmera Hammera. Zostały obrobione przez

profesjonalnego grafika, który wykonał kawał dobrej roboty, eksponując na każdej z nich twarz Ifunanyi Stasi. Wyostrzył rysy Nigeryjki i nadał jej twarzy kolorów, podczas gdy pozostałe fragmenty zdjęcia otrzymały przytłumione, szarawe odcienie. Manipulacja grafika sprawiła, że fotografie na dłużej przykuwały uwagę zaintrygowanych oglądających. Nie było wykluczone, że niektórzy poczują nawet pewien dyskomfort i zadadzą sobie pytanie: „Czego ta dziewczyna ode mnie chce?”.

Tego dnia komendantka, z przekonaniem i zgodnie z tradycją, postanowiła pobić swój własny miesięczny rekord w noszeniu niegustownego stroju. Włożyła o wiele za krótką jedwabną białą sukienkę w czarne grochy z krótkimi czarnymi rękawami. Wyglądała w niej jak przerośnięty cętkowany pingwin, ale Hrabianka doszła do przekonania, że ten beznadziejny styl przełożonej w połączeniu z jej pełnym animuszem, nieco egzaltowanym sposobem bycia sprawia, że wprost nie można nie poczuć do niej sympatii. Była całkowicie sobą i za to należał jej się szacunek. Ten najwyraźniej obowiązywał w dwie strony, bo komendantka, już wychodząc, skomentowała:

- Hrabianko, mało kto by cię o coś takiego podejrzewał. Chodzi mi o to, że naprawdę przejmujesz się ludzką krzywdą, choć jesteś w dobrej sytuacji finansowej i nieszczęścia innych mógłby cię w ogóle nie obchodzić.

Komentarz zaskoczył Hrabiankę do tego stopnia, że nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Nie zawsze tak reaguję.

Tylko to jej przyszło do głowy, ale komendantka wydawała się zadowolona.

- No tak, oczywiście, ale te parę razy i tak wystarczy. - Posłała jej piękny uśmiech.

Hrabianka wydała polecenie swoim funkcjonariuszom. Mieli na sobie mundury, jeździli zwykłymi radiowozami i pracowali w parach, a każda z nich była odpowiedzialna za zatrzymanie jednej osoby. Wcześniej spokojnie przygotowali się do tego zadania i otrzymali informacje, gdzie mogą zastać przyszłego aresztanta, co w większości przypadków oznaczało jego miejsce pracy. Tego dnia mężczyźni w różnym wieku, pochodzący z Kopenhagi i północnej Zelandii - odnoszący sukcesy

zawodowe i piastujący odpowiedzialne stanowiska - zostali zatrzymani, zakuci w kajdanki i zaprowadzeni do radiowozów. Często ku konsternacji i niedowierzaniu swoich kolegów oraz podwładnych.

- Knud Arvidsen, jest godzina jedenasta trzydzieści siedem i zostaje pan zatrzymany w związku z podejrzeniem o gwałt. - Głośno i wyraźnie, aby aresztowany nie miał wątpliwości co do powodu interwencji.

Potem skonsternowanemu mężczyźnie skuwano ręce za plecami, by zaraz potem chwycić go mocno za ramię i odprowadzić do radiowozu. Wszelkie pytania i protesty, a było ich sporo, konsekwentnie ignorowano, uzasadniając, że policja nie ma nic wspólnego z klubem dyskusyjnym i że aresztowany będzie miał prawo do rozmowy telefonicznej po przybyciu do Komendy Głównej w Kopenhadze. Poza tym funkcjonariusze, przeszkoleni w komunikacji, instruowali, że odpowiedzi na wiele pytań można znaleźć na stronie internetowej komendy, na której znajduje się również masa interesujących informacji.

Z pięćdziesięciu czterech klientów, którzy, jak wynikało z bazy danych Jana Podowskiego, kupowali usługi seksualne u Ifunanyi Siasii, aresztowano czterdziestu trzech. Z dwóch klientów Hrabianka i prokuratorka Steenholdt zrezygnowały od razu - chodziło o członka duńskiego parlamentu i szwedzkiego dyplomatę. Kobiety nie zamierzały wywoływać ani dyplomatycznego, ani konstytucyjnego skandalu. Poza tym sześciu innych mężczyzn przebywało właśnie na wakacjach, dwóch nie można było odnaleźć, a jeden tego samego poranka trafił do szpitala z powodu zapalenia wyrostka, więc funkcjonariusze musieli odpuścić. Pozostałych przetransportowano do Komendy Głównej, gdzie zagoniono ich do nowych lokali centrum prasowego, wynajętych tymczasowo przez Hrabiankę. Tutaj pozwolono im odbyć przysługującą im zgodnie z prawem rozmowę telefoniczną. Większość mężczyzn była wściekła, żywo protestowała i odgrażała się na wszelkie możliwe sposoby. Do najpopularniejszych gróźb należało domaganie się milionowych odszkodowań od państwa, wniesienie skargi do rzecznika praw obywatelskich lub ministra sprawiedliwości. Z tego tłumu wyróżniała się też niewielka garstka osłupiałych, wystraszonych czy wręcz przerażonych. Znalazł się również jeden taki, który doskonale się bawił sytuacją - śmiał się głośno, zachowując przy tym przesadną unizoność wobec policjantów - do czasu, aż aspirantka z Vanløse

odciągnęła go na stronę i szarpiąc za ramię, nakazała mu zachowywać się przyzwoicie. Co za klaun – oceniła w myślach.

W miarę jak mężczyźni docierali do komendy, zdejmowano im kajdanki, pozwalano na odbycie rozmowy telefonicznej, a następnie sadzano ich w szeregu na podłodze w dokładnie taki sam sposób, w jaki policja odpowiedzialna za utrzymanie porządku robiła to podczas masowych zatrzymań demonstrantów. Siedzieli z rozstawionymi nogami, mając przed sobą i za sobą rzędy innych zatrzymanych, i czekali na spisanie. Trwało to strasznie długo, gdyż starszawy policjant w randze sierżanta, siedząc przy biurku na końcu pomieszczenia, dwoma palcami wpisywał ich dane do komputera. Następnie odbierał od nich osobiste przedmioty i wkładał je do tego celu przeznaczonych torebek, mozolnie spisując zawartość i dane właściciela. Po otrzymaniu stosownego podpisu kontynuował procedurę, pobierając odciski palców, po czym starym polaroidem wykonywał policyjne zdjęcia – jedno z profilu, drugie en face. Na koniec zabierał zatrzymanemu pasek, krawat oraz sznurówki, zliczał wszystko i wkładał do kolejnej torebki. Dobrotliwie tłumaczył, że zabiera sznurówki dla dobra zatrzymanego, żeby on sam nie doprowadził do jakiegoś nieszczęścia. Co prawda nie potrafił wytłumaczyć, w jaki sposób ktoś miałby się powiesić na sznurówce, skoro siedział na podłodze otoczony dwudziestoma funkcjonariuszami, ale przecież to jeszcze nie powód, żeby się wściekać, bo sznurówki na pewno w swoim czasie wrócą do właściciela.

- A teraz możesz pan odejść i zająć miejsce na końcu szeregu, żebym mógł obsłużyć kolejną osobę.

Dwóch policjantów podeszło, żeby odprowadzić zatrzymanego na miejsce, na wypadek gdyby sprawiał trudności.

- I niech pan pilnuje spodni, żeby nie opadły.

Mężczyźni cierpieli, od czasu do czasu coś wykrzykiwali i nieustannie się skarżyli, ale ostatecznie zachowywali się posłusznie. Dyżurujący przy nich funkcjonariusze zgodnie przyznawali, że mieli już do czynienia ze znacznie gorszym i bardziej kłopotliwym zachowaniem aresztantów. Zbiorowy opór stawiono natomiast, gdy na miejsce przybyła Anni Staal – wspomniana już dziennikarka z działu kryminalnego dziennika „Dagbladet” – wraz ze swoim fotografem. Kobieta – jak później z przekonaniem twierdziła – już dawno temu

umówiła się z prokuratorką okręgową Berthą Steenholdt, że tego dnia będzie towarzyszyć jej w pracy, żeby przygotować materiał i zdjęcia do artykułu, który miał ukazać się z okazji jej odejścia na emeryturę.

- To przecież nie moja wina - wykrzykiwała niemal do redaktorki naczelnej już po wszystkim - że właśnie wtedy został zatrzymany jakiś napalony dupek z zarządu dziennika „Dagbladet”. - Przy okazji chciałam się też dowiedzieć - skierowała palec w stronę przełożonej - czy sugerujesz, żebym zrezygnowała z napisania artykułu, który ma się ukazać jutro na pierwszej stronie. Jeśli tak, oznacza to, że wizja wolnego i niezależnego dziennikarstwa promowana w „Dagbladet”...

Redaktorka naczelna, unosząc obie dłonie w obronnym geście, próbowała powstrzymać ten potok słów.

- Anni, do cholery. Nic takiego nie sugerowałam, oczywiście, że to puścimy - usłyszała ostatecznie.

Zamieszanie wśród zatrzymanych, wywołane pojawieniem się prasy, skutecznie powstrzymali dyżurujący funkcjonariusze, którzy nie zrobili nic poza tym, że zbliżyli się do aresztowanych o kilka kroków. Wtedy fotograf wykonał parę zdjęć, a Anii Staal przeprowadziła kilka krótkich wywiadów. Kręciła się po pomieszczeniu z notatnikiem i długopisem.

- Coś takiego, dzień dobry. Nie wierzę, że spotykam doradcę Torstena Olesena, bo to pan, prawda? Proszę mi powiedzieć: czy to pana pierwsze aresztowanie w związku z podejrzeniem o gwałt?

Gdy wreszcie sierżant wpisał wszystkich do systemu, pobrano odciski palców i wykonano niezbędne zdjęcia, na scenę wkroczyła Bertha Steenholdt. Trzymała w dłoni plik kartek, które zaczęła osobiście i bez żadnych komentarzy wręczać każdemu aresztantowi. Wcześniej Hrabianka wymogła na Borupie parę nadgodzin, podczas których praktykant przygotował małe dossier dla każdego mężczyzny, zawierające sugestywne zdjęcia, na których uwieczniono jego spotkanie z Ifunanią Stasią. Gdy prokuratorka skończyła rozdzielanie dokumentów, oznajmiła donośnym głosem, słyszalnym w każdym miejscu pomieszczenia, że właśnie rozdała wszystkim materiał dowodowy. To miało przekonać zatrzymanych, że nie znaleźli się w tym miejscu bez powodu. Kiedy kilku z mężczyzn zaprotestowało, twierdząc, że nie ma żadnych przesłanek prawnych do wniesienia oskarżenia - natychmiast zadziałała siła autorytetu.

- Milczeć! Zaraz do tego dojdziemy - usłyszeli.

Najpierw jednak prokuratorka okręgowa zdążyła opowiedzieć o tragicznym losie Ifunanyi Stasii, wskazując przy tym na poszczególne zdjęcia wiszące na ścianie, mimo że nikt z audytorium nie spoglądał na fotografie, gdy snuła swoją opowieść. Następny punkt dotyczył prawnego aspektu zatrzymania. Steenholdt nie ukrywała przed mężczyznami, że sprawa ma charakter precedensowy i może się przyczynić do zmiany interpretacji paragrafu o gwałcie. Nie było też najmniejszych wątpliwości, że sprawa w ostatniej instancji trafi do Sądu Najwyższego. Jednak zdecydowała się zaryzykować i spróbować walczyć o wyroki skazujące na podstawie graniczącego z pewnością prawdopodobieństwa, że wszyscy tu zgromadzeni mieli świadomość, że Ifunanya Stasia czuła się zagrożona, gdy odbywali z nią stosunek płciowy. Prokuratorka postanowiła przy okazji nadmienić zatrzymanym, że żaden z najlepszych ekspertów z Ministerstwa Sprawiedliwości nie przeciwstawił się jej ocenie sprawy. Kobieta się nie spieszyła, rzetelnie wyłuszczała szczegóły. Gdy skończyła swój wywód, wśród mężczyzn zapanowała cisza. Udało jej się wystraszyć każdego z nich. Porządnie.

Ostatni punkt programu został starannie wyreżyserowany przez Hrabiankę i Steenholdt. Na miejsce przybyła policjantka z psem i spokojnie stanęła na tyłach pomieszczenia. W pewnym momencie zwierzę jakby dostało amoku i szarpiąc smycz, wyskoczyło do przodu, w stronę siedzących mężczyzn, a potem zaczęło szczekać głośno i bez opamiętania. Był to labrador, a ponieważ poza tym, że ujadął, nie zachowywał się szczególnie agresywnie, zatrzymani raczej się go nie przestraszyli. Większość go po prostu ignorowała, w końcu mieli na głowie większe zmartwienia. Natomiast prokuratorka wściekła się na czworonoga, bo przerwał jej wyjaśnienia, chociaż i tak już zbliżała się do końca. Niemniej jednak zarządziła ostrym tonem:

- Zabierzcie tego psa, bo nie słyszę własnych słów.

Zwierzę umilkło, ale tym razem odezwała się Hrabianka:

- Ale, no, ale...

Steenholt nie ukrywała irytacji i ze złością zwróciła się do policjantki:

- O co ci tym razem chodzi?

- To jest pies do wykrywania narkotyków.

Nie było wątpliwości, że sprawa jest poważna. Ktoś – a może nawet kilku aresztowanych – najwyraźniej był w posiadaniu zabronionych środków odurzających. I to w Komendzie Głównej! To oczywiście niedopuszczalne.

- Proszę, aby osoba, która ma przy sobie marihuanę, dobrowolnie się zgłosiła. – Prokuratorka najpierw próbowała po dobroci.

Przestępca okazał się jednak uparty i tchórzliwie ukrywał się wśród pozostałych, więc nie było innego wyjścia. Należało przeprowadzić gruntowną kontrolę osobistą wszystkich mężczyzn. Szczęśliwie się złożyło, że w budynku akurat przebywał lekarz, właściwie to po sąsiedzku, w wydziale obok, i na dodatek był gotowy wesprzeć policję. Żeby nie wprawiać nikogo w niepotrzebne zakłopotanie, kontrolę postanowiono przeprowadzić w przyległym lokalu. Prokuratorka przepraszała, bo takie badania nie są oczywiście niczym przyjemnym, jednak podkreśliła, że ze względu na podejrzenia policji zgodnie z paragrafem takim i takim kontrola osobista jest w pełni uzasadniona, a na dodatek w tych okolicznościach absolutnie niezbędna... Zatrzymanych wywoływano pojedynczo po nazwisku i prowadzano do lekarza.

Minęło sporo czasu, zanim zakończono ten absurdalny pochód. Pięć kobiet uczestniczących w spotkaniu w salonie Simonsena wykazało się niesamowitą kreatywnością. Całą akcję przeprowadzono w starannie wybranym czasie, kiedy Komendant Główny Policji przebywał na konferencji w Ålborg, a jego zastępca na urlopie w Norwegii. Dlatego też wiele połączeń telefonicznych, zwłaszcza z Ministerstwa Sprawiedliwości, przekierowywano bezpośrednio do komendantki, która skutecznie uspokajała poddenerwowanych urzędników.

- To najpewniej jakieś pogłoski – zapewniała. – Absolutnie nie zlecałam żadnego masowego aresztowania w związku z podejrzeniem o gwałt. Sprawdziłam też wszystkie pomieszczenia, które mogłyby pomieścić zatrzymanych w takiej liczbie, i nie znalazłam śladu tego rodzaju aktywności. Może chodził o jakiś inny okręg policyjny, trudno mi coś na ten temat powiedzieć, ale u mnie, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości, nic takiego się nie dzieje.

Z czasem telefony ucichły, bo – jak niosła plotka – nawet minister sprawiedliwości poddał się sugestii, że mieszanie się w tę sprawę było sporą polityczną gafą, jeżeli w ogóle można było mówić o jakiejś sprawie. Wkrótce do urzędników wszelkiej maści, nawet tych najmniej wpływowych, dotarło, że wtykanie nosa w tę historię z pewnością nie posłuży ich karierom. Stało na tym, że adwokatów i prawników, którzy dzwonili do ministerstwa z prośbą o interwencję, w nieskończoność odsyłano od Annasza do Kajfasza, bo nikt za biurkiem nie chciał wziąć odpowiedzialności za decyzję w kwestii tego incydentu.

Tylko jedna osoba mogła powstrzymać to nadużycie władzy i był nią prokurator generalny. Wziął tego dnia wolne, żeby popracować w ogrodzie i wypielić grządki, jednak w pewnym momencie ze złością uznał, że musi opuścić swój dom w Snekkersten i wracać do Kopenhagi. Nie ujechał nawet kilometra, gdy został zatrzymany przez patrol drogówki. Jechał za szybko. Wściekł się, bo radar wskazywał zaledwie cztery kilometry więcej niż dopuszczalna prędkość. Co to za gorliwość w wykonywaniu służbowych obowiązków? – przemknęło mu przez myśl. Do tego jego pojazd został dokładnie sprawdzony pod względem technicznym, chociaż był leasingowany i w najlepszym stanie. Ale co mógł na to poradzić?

Rozdział 97

Lerche-Larsen przeciągnęła się na łóżku, a potem wykonała kilka okrążeń ramionami - najpierw do przodu, po chwili do tyłu - po czym założyła ręce za głowę. Była naga i spocona i powinna wejść pod prysznic. Tuż obok podparty na łokciu i zwrócony w jej stronę leżał Fabricius, wodząc opuszkami palców drugiej ręki po jej brodawce. W jego dotyku nie było ani krzty pożądania, ruch wydawał się bezwiedny i jakby nieświadomy, bo mężczyzna pogrążył się we własnych myślach. Zdjęła jego dłoń z swojej piersi i chwyciła go za palec. Jego dotyk ją irytował. Gest Benedikte najwyraźniej przywrócił go do teraźniejszości. Złowił jej spojrzenie i przyjrzał się jej uważnie, jakby widział ją po raz pierwszy.

- To był jednorazowy wybryk, to już się nie powtórzy - oznajmił.

- Skoro tak uważasz - odparła Benedikte, próbując uderzyć w podobny ton.

- Tak uważam.

Nie uzasadnił swojej decyzji, zresztą zupełnie tego nie oczekiwała. Usiadła na łóżku, on zrobił to samo.

- Znalazłem walizkę z pieniędzmi, są twoje. Nie wiem, ile ich tam jest, ale wygląda na to, że całkiem sporo - stwierdził.

- Od Svenda i Kariny?

- Tak, od nich - potwierdził jej przypuszczenia.

- Powiesz mi, czy wszystko odbyło się szybko? - zapytała.

- Powiem. Tak właśnie było. Nie zdążyli się zorientować, ale nie pytaj o nic więcej.

Przyjęła jego słowa do wiadomości. O co zresztą miała zapytać?

- Uważam, że powinieneś zatrzymać te pieniądze. Jesteś teraz sporo stratny i uważam, że to częściowo moja wina.

Fabricius zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Benedikte, jesteś mądrą dziewczynką. W takim razie umowa stoi. A skoro już jesteśmy przy interesach, jak myślisz, ile czasu upłynie, zanim wdrożymy ten twój nowy model?

- Zamierzam przedstawić ci szczegółowy plan w przyszłym tygodniu. Jest w nim parę rzeczy, które chciałabym z tobą skonsultować.

- Znakomicie, ale czy nie mogłabyś już teraz nieco mnie wprowadzić?

Benedikte przystała na jego propozycję i omówiła główne założenia pomysłu. Zaproponowała cztery lub pięć zwykłych burdeli na prowincji, bo jest tam mniejsza konkurencja. Rozliczenie raz w miesiącu, dzierżawcy mieli uiszczać stałą opłatę, a co będą robili z resztą pieniędzy, to już ich sprawa. Chodziło o jak najmniejszą ingerencję z jego czy jej strony, a umówione kwoty miały być wpłacane na karaibskie konto, a następnie przelewane dalej międzynarodowym pokerzystom. Przerzuciła nogi przez brzeg łóżka i dodała:

- Jedyne ograniczenia to: żadnych dzieci, żadnej niepotrzebnej przemocy, a dziewczyny będą nabywane tylko za twoim pośrednictwem. Ile i jak szybko jesteś w stanie dostarczyć?

- Tyle, ile potrzebujesz, i tak szybko, jak to konieczne. Spodziewany zysk?

- Musisz jeszcze poczekać na konkretną kwotę, nierozsądnie byłoby strzelać na oślep, skoro nie mam pełnego obrazu sytuacji. Jednak w ciągu maksymalnie pół roku co najmniej takie sumy, jakie otrzymywałeś od Svenda, ale warto zaznaczyć, że pieniądze będą już wyprane. To zresztą bardzo ostrożne szacunki, bo nie chciałabym czegoś obiecywać, a potem nie dotrzymać słowa.

Już miał skomentować, że jest rozsądna, ale ugryzł się w język. Uznał, że wystarczy rozmów o interesach.

- Chcesz wziąć kąpiel? - zapytał.

- Tak, też masz ochotę? Chyba że to wykracza poza, jako to nazwałeś, jednorazowy wybryk.

Roześmiał się. Nie, nie postrzegął tego w ten sposób, a decyzja obowiązywała od jutra.

Rozdział 98

W samym środku lata 2009 roku Benedikte Lerche-Larsen opuszczała piękną trzykondygnacyjną willę przy Ellevej 7 w Rungsted, z widokiem na cieśninę Øresund. W jej pożegnaniu z domem nie było nic dramatycznego. Sąsiedzi ukryci za ręcznie haftowanymi frankami i żywopłotami z ligustru z zaciekawieniem śledzili całe zajście, obserwując, jak młoda kobieta, ubrana w piękna letnią sukienkę, wychodzi przez ogród po uprzednim zamknięciu domu.

Znalazszy się na chodniku, starannie zamknęła za sobą furtkę z kutego żelaza i po raz ostatni skierowała wzrok na budynek, w którym całe przedpołudnie trwała gorączkowa krzątanina. Wszystkie ruchomości zostały spakowane i wywiezione wielkimi samochodami do przeprowadzek. Nikt nie wiedział dokąd. Bez pośpiechu skierowała się do volvo, który przybyło na miejsce niemal pół godziny temu. Przyciemniane szyby pojazdu zostały opuszczone. Sąsiedzi wyciągali szyję i po raz pierwszy mignęły im sylwetki nowych właścicieli. Plotki o nich rozeszły się po okolicy już wcześniej. Lokalny pośrednik nieruchomości z Usserød, który pośredniczył przy sprzedaży, sam mieszka przy Ellevej i zdradził, że willę nabyło małżeństwo emerytów z Horsens. On pracował wcześniej jako hurtownik w branży mięsnej, a ona - mówiąc to, pośrednik uśmiechnął się szelmowsko - ona, no cóż, była jego żoną. Mężczyzna wysiadł z samochodu, a chwilę później to samo zrobiła jego małżonka. Lerche-Larsen przekazała im klucze i przy akompaniamencie donośnego szczekania cierpiącego na dyskopatię jamnika ucisnęła dłonie małżeństwa. Najwyraźniej pies miał dosyć obwąchiwania tego samego słupa latarni ulicznej i chciał pobiec dalej. Mieszkańcy dzielnicy pozytywnie ocenili nowych właścicieli - na pierwszy rzut oka wyglądali na porządnym ludzi. Sądząc po ubraniu, może nieco prowincjonalnych, ale to się powinno z czasem zmienić. Wydawali się zdecydowanie lepsi od Lerche-Larsen i jej rodziców. Nawet członkowie jakiejś komuny byliby lepszymi sąsiadami.

Ukryta publiczność willowej uliczki nie wiedziała, na czym się skupić, gdy dziewczyna - uśmiechnięta i uprzejma jak zwykle -

pożegnała się z małżeństwem i zamiast wsiąść do swojego samochodu, czy raczej do pojazdu swego ojca, wdała się w pogawędkę ze starszawym mężczyzną, który niejako znienacka pojawił się u jej boku. I tak oto jedni z sąsiadów obserwowali nowych właścicieli, a drudzy skupili uwagę na młodej kobiecie.

Mężczyzna, który tak niespodziewanie pojawił się na horyzoncie, miał około sześćdziesiątki. Był wysoki, o nieco pochylonej sylwetce i trochę otyły. Niektórzy rozpoznali go z telewizji jako inspektora z wydziału zabójstw, ale większość uważała, że to reporter. Zapewne z jakiejś bardziej pospolitej gazety, bo jego ciemnoszary garnitur, nawet z pewnej odległości wyglądał jak z sieciówki. Ostatnio na ich ulicy kręciło się zdecydowanie zbyt wielu takich typów.

Simonsen rozejrzył się nieswojo wokół. Czuł się obserwowany. Lerche-Larsen odgadła jego myśli, też popatrzyła uważnie dookoła i stwierdziła:

- Tak, można się poczuć jak jakiś przerywnik reklamowy. Myślę, że moi drodzy sąsiedzi chcą mieć pewność, że trafię do wyjścia.

- Zapewne ma pani rację, ale raczej nie powinna pani mieć do nich o to pretensji.

- Nie sądziłam, że się jeszcze spotkamy. - Wzruszyła ramionami. - Swoją drogą kiepsko pan wygląda. Jest pan chory?

- To nie pani sprawa.

- Tak, to prawda i w zasadzie mnie to nie obchodzi. Przyszedł pan, żeby mnie zatrzymać? - W jej głosie nie dało się wyczuć ani krztyny strachu.

- Nie, niestety.

- Po co więc?

- Żeby uzyskać odpowiedź na kilka pytań. Może to pani nazwać ciekawością.

Spodziewał się tego jej krótkiego, ironicznego śmiechu.

- Naprawdę pan myśli, że jestem głupia?

- Wystarczająco mądra, żeby odpowiadać czysto hipotetycznie, używając zwrotów, które niczego nie dowiodą, nawet gdybym miał przy sobie ukryty mikrofon, choć nie mam.

- W ogóle nie powinnam z panem rozmawiać. Ma pan pięć minut, a potem ruszam dalej, bo jestem bardzo zajęta.

Simonsen zakładał, że ją zaintryguje, gdy zjawi się nagle i poprosi o krótką rozmowę. I najwyraźniej się nie mylił.

- Spędziłem wiele wieczorów u pani męża i muszę przyznać, że wydaje się do pani bardzo przywiązany. Mam panią zresztą od niego pozdrowić.

Skłamał. Wcale nie miał jej przekazać pozdrowień, a te liczne wieczory były grubą przesadą. Co prawda odbył kilka rozmów z Henrikiem Kragem, ale nie przyniosły pożądanych rezultatów i postanowił tego nie ciągnąć. Szkoda czasu. Niemniej jednak kilka jego drobnych uwag podsyciło podejrzenia inspektora, że Lerche-Larsen była o wiele bardziej zamieszana w sprawę z lasu Hanehoved, niż udało się ustalić policji. Jednak co konkretnie, jak i gdzie, przypuszczalnie na zawsze pozostanie tajemnicą.

- Musi pani świetnie znać swój organizm - stwierdził.

- Nie rozumiem.

- Z góry przepraszam, że ośmielam się wtrącać w pani prywatne życie, ale skądinąd wiem, że po raz pierwszy obcowała pani fizycznie z Kragem siódmego czerwca, a już dwanaście dni później była pani w stanie stwierdzić, że jest w ciąży. Radziłem się w tej kwestii eksperta i jest to co prawda możliwe, ale wydaje mi się, że wcale nie spodziewa się pani dziecka.

Dziewczyna w najmniejszym stopniu nie sprawiała wrażenia zaskoczonej i zareagowała błyskawicznie:

- Być może powinnam zrobić kolejny test, żeby mieć całkowitą pewność. To w zasadzie dobry pomysł, dziękuję.

- Pozostaje jeszcze inna interesująca kwestia. Kiedy śni pani o swoim ojcu, a zdaniem Henrika zdarza się to często, pani sny bardzo przypominają pewne słynne filmowe sceny. Naprawdę brakuje pani fantazji, żeby wymyślić coś lepszego?

Roześmiała się.

- To wszystko, co na pan na mnie?

Nie udawała, naprawdę ją to rozbawiło i Simonsen poczuł się upokorzony. Zamierzał jej powiedzieć, że jest z niej kawał szui, o czym był przekonany. Nie zrobił tego, tylko ją ostrzegł:

- Będę miał panią na oku, Benedikte. Będę regularnie wracał do tej sprawy, zaglądał pani w karty i sprawdzał, jak się pani wiedzie

w małżeństwie. Niewykluczone, że kiedyś Krag powie mi więcej, niż chce powiedzieć w tej chwili.

Nawet te słowa nie zrobiły na niej wrażenia.

- Proszę uprzejmie, być może spotkamy się jeszcze przy innej okazji.

- Mam nadzieję - odparł inspektor.

- Pewnie, że pan ma. Jak wielu innych mężczyzn. - Uśmiechnęła się, tym razem chłodno, a potem odwróciła na pięcie i skierowała do swojego samochodu.

Rozdział 99

Lerche-Larsen wjechała na parking w Rudersdal, ten sam, na którym po raz ostatni spotkała się z ojcem. Wsiadła z audi R8, niespiesznym krokiem minęła zamek Næsseslottet i skręciła w przypadkową ścieżkę wiodącą po romantycznym parku krajobrazowym, nie mając pojęcia, czy w ogóle jest dostępny dla zwiedzających. Świeciło słońce, ale nie było jeszcze upału. Od północy nadciągały szare deszczowe chmury. Trudno było stwierdzić, czy przemieszczą się w jej kierunku. Wiatr bawił się leniwie jej letnią sukienką, wprawiając ją w miły nastrój.

Zamierzała jak najszczerzej przeanalizować własne wysiłki, które podejmowała w ciągu ostatnich miesięcy.

Co prawda zajęło jej to sporo czasu, ale bez trudności sfabrykowała zdjęcie, na którym wraz z Kragem niosą kamień w okolicy lasu Hanehoved. Poczekala, aż upłynie rok od śmierci tej dziewczyny, a następnie natychmiast udała się w to samo miejsce do zbrocza opadającego do leśnego jeziora, gdzie zawlekli kamień, oczywiście ubrana tak jak wtedy - w strój do joggingu. Za pomocą samowyzwalacza zrobiła sobie sporą liczbę zdjęć w pozycjach, jakby dźwigała świerkowe żerdzie z kamieniem. Fotografie kamienia znalazła w różnych dziennikach prasowych i po prostu ją stamtąd zeskanowała. Dłonie i ramiona Henrika dopasowała z jakiegoś czasopisma reklamowego. Cała reszta sprowadzała się do żmudnej pracy przy obróbce obrazu, a jej wynik okazał się całkiem znośny. Gdy skończyła, przeformatowała zdjęcie, żeby wyglądało jak rozpixselowany obraz wyświetlany na telefonie komórkowym, a następnie znów powiększyła je do poprzednich rozmiarów. W końcu wraz z okładką Gracza pokera wysłała je pod swój adres. Jeżeli ktoś nie był ekspertem, a Krag z pewnością do nich nie należał, nie mógł się zorientować w tym fałszerstwie.

Kolejnym technicznym wyzwaniem okazało się nagranie syntetycznego głosu, który Henrik nazywał Idą. Nagranie większości wysłanych do siebie wiadomości nie nastęrczało trudności, a jeszcze łatwiej było zadzwonić do Henrika i wyznaczyć mu zadania. Jedyne problemy stanowiły te pierwsze kontakty telefoniczne w bibliotece

w Jægersborg, gdy musiała rozmawiać z Idą. I nie chodziło o kwestie techniczne – tu sprawa była prosta, bo wystarczyło, że skorzystała z karty telefonicznej przypisanej do swojego komputera. W wyznaczonym czasie wykonała połączenie, a następnie odtworzyła dwa wcześniej przygotowane pliki dźwiękowe. Najtrudniejsze okazało się czasowe dopasowanie połączenia, tak aby wszystko wyglądało naturalnie. Ćwiczyła wiele razy, zanim stwierdziła, że jest w porządku. Nigdy w życiu, nawet jak dobije setki, nie zapomni tych czterech zdań: „Jeszcze raz się przedstaw. Podaj imię i nazwisko”. „Benedikte”. Tu należało chwilę odczekać, a potem dodać: „Lerche-Larsen”. „Dlaczego słyhać takie echo?”. Znow krótką przerwa, jakby się zastanawiała, a zaraz potem: „Bo jest nas dwoje”.

Pozostawało jeszcze przywiązać do siebie Henrika do tego stopnia, żeby był gotów zrobić dla niej wszystko, nawet rzeczy, których normalnie by się nie dopuścił. Również takie, które miały na celu osłabić zaufanie Bjarnego do jej rodziców i to z fatalnym dla nich skutkiem. Chodziło o to, żeby uznał ich wyeliminowanie za konieczne. Z Kragem poszło jej łatwo, tak bardzo wczuła się w swoją rolę, że w pewnym okresie całkiem się z nią identyfikowała, a jednocześnie lubiła spędzać z nim czas. Co prawda jej własne zadania nie należały do przyjemnych, ale były przecież konieczne.

Miała też w tym wszystkim sporo szczęścia, musiała to szczerze przyznać. Na przykład z takim Jimmym Heegerem. Wprawdzie to ona zasugerowała ojcu, że mężczyzna figuruje w bazie danych Jana Podowskiego i poświęciła sporo czasu na lekturę stenogramów z rozpraw oraz przeglądanie bulwarówek w poszukiwaniu najgorszego psychopaty, ale mimo wszystko nie spodziewała się, że będzie zdolny zabić wdowę po Janie. Nawet o tym nie śniła.

Nie wszystko jednak potoczyło się zgodnie z planem. Zakładała przykładowo, że Bjarne Fabricius będzie chciał usunąć Henrika, ale do tego nie doszło, jak na ironię. Może dlatego, że sama tak zajadle go broniła. No, ale musiała odgrywać swoją rolę. Najmniejsza podejrzliwość ze strony sutenera, że sama chętnie pozbyłaby się Kraga, mogła okazać się fatalna w skutkach. Nie było miejsca na podwójną grę, musiała udzielić mężowi wszelkiego możliwego wsparcia, co

w połączeniu z jego bezgraniczną lojalnością wystarczyło, żeby uratował swoje życie. Jednocześnie nie stwarzał zagrożenia, póki spokojnie siedział w więzieniu, i tak pozostanie przynajmniej przez kilka lat.

Zdarzyły jej się również potknięcia. Musiała to przyznać przed sobą, jeżeli chciała się czegoś nauczyć i wyciągnąć wnioski na przyszłość. Zagrywka z ciężką okazała się błędem, czasowo źle to rozegrała. Oczywiście będzie musiała okłamać Henrika, że doszło do samoistnego poronienia – od zawsze miała to w planach.

- Oh, to było takie okropne, nagle pojawiło się tyle krwi...

Ale teraz, gdy czuła oddech Simonsena na karku, sprawa nie wydawała się taka prosta, jak pierwotnie sądziła.

Kolejny błąd popełniła, gdy zleciła zdobycie informacji na temat syna tej polityczki Heleny Holt Andersen i jego dziewczyny przypadkowemu pokerzyście. Może był to nawet jej najpoważniejszy błąd. Facet z pewnością się domyślił, do czego wykorzystano te informacje, jak tylko przeczytał w prasie o wypadku tej dwójki w Vallensbæk Landsby. Gdyby tylko skontaktował się z policją – chociaż został wcześniej ostrzeżony, że nie powinien tego robić – mogłoby się to dla Benedikte źle skończyć. Zwłaszcza zanim zmarł jej ojciec. Na szczęście pokerzysta postanowił milczeć, chociaż to nie była jej zasługa. Na swoje usprawiedliwienie mogła jedynie powiedzieć, że była wówczas piekielnie zmęczona i nie potrafiła zawiadywać wszystkim w tym samym czasie. Kiepskie usprawiedliwienie, bo zawiodło niewłaściwe planowanie.

Ostatnią pomyłkę popełniła, idąc z Bjarnem do łóżka. Zdecydowanie nie powinna była tego robić, a jeżeli już, to przynajmniej poczekać parę miesięcy. Po tym epizodzie jej niewierność kłuła w oczy, a czego jak czego, ale jej miłości do Henrika nie powinien był móc podważać. Poza tym nie doczekała się z jego strony żadnej intymności, ale to nie miało większego znaczenia. Co prawda liczyła, że jej otwartość – uśmiechnęła się na myśl o tym słowie – wpłynie na ich współpracę zawodową, ale tak się nie stało.

Usiadła na ławce i przeniosła wzrok najpierw na wypalone ognisko z wieczoru świętojańskiego po drugiej stronie ścieżki, a następnie w górę i z zainteresowaniem zaczęła przyglądać się pięknej tęczy, która

rozpięła się nad jeziorem Furesø. Zastanawiała się, czy o niczym nie zapomniała. Zapewne nie. Być może umknęło jej parę szczegółów, ale o nich pomyśli kiedy indziej, a zresztą to i tak bez znaczenia. Koniec końców wszystko udało się nadzwyczajnie: zagrała o wysoką stawkę, tak jak uwielbiała, i wygrała, a to kochała jeszcze bardziej. Teraz miała pieniądze, władzę i wolność – wszystko, czego pragnęła najbardziej na świecie. Wstała, chociaż dopiero co usiadła – czuła się niezdecydowana i jakaś niespokojna. Podaruje sobie wolne na resztę dnia, przecież na to zasłużyła. Ruszyła w stronę zaparkowanego samochodu z miłym przeświadczeniem, że świat leży u jej stóp.